

„NIETYKALNY” I RADCA SUDER ŚWIDRUJĄ GŁOWĘ CZYTELNIKA NICZYM POCISK. KRYMINALNA MAPA
POLSKI MA NOWE, PODZIURAWIONE KULAMI MIEJSCE: TO MRO CZNY SZCZECIN MARKA STELARA!
- MARCEL WOŹNIAK

MAREK
STELAR
NIETYKALNY



FILIA

MAREK
STELAR

NIETYKALNY

FILIA

Copyright © by Marek Stelar, 2018
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © niwat chaiyawoot/Shutterstock

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

eISBN: 978-83-8075-609-0

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

I POLOWANIE

1

2

3

4

5

6

7

8

II GRA

9

10

11

12

13

III OSACZENIE

14

15

16

17

18

19

20

OD AUTORA

Jest wieczór, prawie noc. Brzęczenie nastawionej na milczący tryb komórki przerywa panującą w moim domu ciszę. Nagle, a przy tym jakby mimochodem zauważam, że tej ciszy jest w nim coraz więcej. Biorę telefon do ręki, odłączam kabel ładowarki i zerkam na wyświetlacz.

Odbieram.

– Dzień dobry, panie Suder – słyszę rozbawiony głos.

– Cześć... – mruczę w odpowiedzi.

– Chciałam tylko wiedzieć, czy spotkamy się w najbliższym czasie? Może jutro? Co ty na to?

Milczę. Przełykam ślinę, szykując się do powiedzenia jej tego, czego nie miałem odwagi powiedzieć w twarz wczoraj, kiedy dzieliła nas tylko wąska przestrzeń nad stolikiem w restauracji, a nie kilka kilometrów.

– To chyba nie ma sensu, Svetlana – mówię wreszcie cicho.

– Słucham?

– Mówię, że to nie ma sensu – powtarzam trochę głośniejszym głosem. – Ja... Nie potrafię. I chcę być uczciwy wobec ciebie, zanim to wszystko zajdzie za daleko, rozumiesz?

– Za daleko?

– Zanim się za bardzo zaangażujesz.

Cisza. Oboje milczymy przez chwilę. Słyszę pisk paska alternatora przejeżdżającego za oknem samochodu. Sąsiadka Aśka wraca z miasta.

– A co, jeśli jest już za późno, Darek? Jeśli już się zaangażowałam? Nawet gdy to trwa tylko dwa tygodnie?

– To tym bardziej – odpowiadam bezlitośnie, ale naprawdę uważam, że tak będzie na pewno nie prościej, ale uczciwiej; jestem o tym przekonany. – Przykro mi. Nawet nie wiesz jak bardzo, ale nie zamierzam cię okłamywać ani niczego udawać. Ja po prostu nie potrafię... Już nie... I nic z tym nie zrobimy. Ani ty, ani ja. Przykro mi – powtarzam i czekam, sam nie wiedząc na co.

Svetlana jest przesympatyczną kobietą po czterdziestce. Litwinką z pochodzenia od dziecka mieszkającą w Polsce i rozwódką z odchowanyimi dziećmi. Nie wiem, co odbiło jej byłemu mężowi, że ją zostawił. Jeszcze mi tego nie powiedziała, choć mogę się łatwo domyślić, nawet tego, że tamta nie ma jeszcze trzydziestki. Nie rozumiem faceta i dziwię mu się, choć nie powinienem, zważywszy na własną historię. A może jednak rozumiem, choć wciąż się dziwię. Poznaliśmy się ze Svetlaną jakiś miesiąc temu w hipermarkecie, w banalnych okolicznościach, jak to czasami bywa.

Oszczędzam jej tekstów o pozostaniu przyjaciółmi, bo za bardzo ją szanuję i lubię. Żegnamy się spokojnie i grzecznie; mówimy sobie „dobranoc” i rozłączamy się

w tym samym momencie. Wiem, że będzie przeze mnie płakać, i jestem na siebie zły, że do tego doszło. Nie, nie doszło. To ja do tego dopuściłem. Ja. Pozwoliłem na to, wiedząc, że i tak mi się nie uda. Nie tym razem i zapewne żadnym następnym.

Kładę telefon na udzie i czując przez materiał spodni ciepło rozgrzanej baterii, patrzę przez okno na noc. Wiem, że jeśli kiedykolwiek spotkam Svetlanę, będzie to czysty przypadek.

Stan, w którym się znajduję od dwóch lat, sprawia, że rośnie we mnie przekonanie o czymś w rodzaju własnej wyjątkowości. Nie powodowanej posiadaniem nadnaturalnej mocy sprawiania czegokolwiek: cudu czy katastrofy, nic w tym rodzaju. To niedefiniowalne uczucie. Coś nadprzyrodzonego, ale rozrzedzonego wrodzonym sceptycyzmem. Jak wiara w Boga złamana tragedią wykluczającą swoją potwornością Jego istnienie. Jak stąpanie po twardej ziemi, kiedy wdeptujesz w kałużę i widząc odbijające się w niej niebo i chmury, przez ułamek sekundy nie wiesz, gdzie jesteś... Lekka dezorientacja, powątpiewanie w stan swoich zmysłów. Nie wiem, czy ma to związek z moim cierpieniem, czy nie. Milena powiedziałaby, że to naturalne w moim wieku i przy bagażu moich doświadczeń. Możliwe. To pewnie dlatego coraz częściej myślę o śmierci, choć nie jestem jeszcze stary ani bardzo chory, pomijając kawałek metalu w głowie. Coraz częściej w snach widzę coś ciemnego

i nieokreślonego, jak otchłań, która kiedyś zabrała mi żonę i córkę i w której teraz zanurzają się moje senne marzenia. I ta otchłań pochłania je, wsysa jak czarna dziura wszelką materię, a ja budzę się ze ściśniętym sercem i szumem w głowie, nie pamiętając nawet, co mi się przed chwilą śniło. Może powinienem iść do lekarza i zacząć brać jakieś leki czy coś...

Przecież nie da się przewidzieć okoliczności własnej śmierci. Wiem to. Wiem to, ale wiedzieć to jedno, a czuć to zupełnie co innego...

I

POLOWANIE

1

Jacek Mołczun umarł w sobotę. Umarł niespodziewanie dla wszystkich, samotnie, w swoim mieszkaniu, równie pustym jak moja altana na działkach w Bartoszewie. Umarł we śnie, a przynajmniej tak lekarz pogotowia powiedział jego sąsiadce. Cieszyło mnie to, o ile w ogóle śmierć może kogokolwiek cieszyć. Dobrze, że Jackowi przydarzyła się, kiedy spał; dobrze, że niczego nie czuł, że się nie bał... Po prostu zasnął, być może myśląc o następnym dniu, planując, co zrobi, a czego nie, a potem się po prostu nie obudził, bo przeszedł na drugą stronę. Bez strachu, bez cierpienia, w nieświadomości. Zasłużył na to. Zasłużył na dobrą śmierć, choćby w nagrodę za to, jakie miał życie przez ostatnich parę lat. A po tamtej stronie czekała już na Jacka jego żona. Zmarła kilka tygodni wcześniej, choć jej droga do miejsca, skąd się nie wraca, była pełna cierpienia i bólu. Ona również na nie nie zasłużyła, ale tak się złożyło, że doświadczyła w nadmiarze i cierpienia, i bólu, co nie zawsze jest przecież tożsame. Jacek starał się jej ulżyć, ale i towarzyszyć. Z tą ulgą bywało różnie, więc

towarzystwo Irce w cierpieniu i bólu było jedynym, co mógł zrobić, choć od lat miał wątpliwości, czy to jej w czymkolwiek pomaga. Irka twierdziła, że tak, potem nie mogła już mówić, tylko słuchać i patrzeć. Jacek wspominał przy jakiejś okazji, że to towarzystwo jej pomaga przynajmniej jemu. Odrobinę. Tak twierdził.

A potem umarł.

Znam wiele osób, które powiedziałyby, że Irka pociągnęła go za sobą w zaświaty. Nie zgadzam się. Nikt nikogo nigdzie nie ciągnął. Oni po prostu najzwyczajniej w świecie zmarli i tak się złożyło, że to stało się w krótkim odstępie czasu. Doszło do tego przypadkiem. Tak jak przypadkiem jeden pocisk ominął najważniejszą strukturę mojego mózgu, pozostawiając mnie przy życiu, a kilka innych pocisków przerwało życie moich najbliższych.

Po prostu stało się.

– Szkoda chłopca – powiedział ktoś.

Nie wiedziałem kto, bo stał z tyłu, schowany wśród żałobników otaczających świeżo rozkopany grób. Była środa, od śmierci Jacka upłynęły cztery dni. Jakieś pięćdziesiąt osób zgromadziło się na Cmentarzu Centralnym wokół tego grobu w pełnej szacunku wobec śmierci ciszy. Wszędzie wokół rozkwitała wiosna, a my wszyscy, zamiast się nią cieszyć i rozkoszować, przyglądaliśmy się, jak ksiądz strząsa z łopatką grudki żółtej, zbrylonej ziemi. Wpadały do prostokątnego dołu

otoczonego zielonymi płachtami sztucznej trawy i kończyły swój lot, uderzając z głuchym stukiem w wieko trumny, która zniknęła w nim chwilę wcześniej. Niecały miesiąc temu dokładnie tu, gdzie stałem teraz ja, stał Jacek, przyglądając się, jak w takiej samej dziurze, w tym samym miejscu, znika urna z prochami jego żony. A jakieś dwieście metrów stąd w kierunku starego wiatraka znajdował się inny grób. Grób mojej żony i mojej córki.

– Szkoda chłopca... – powtórzył ów ktoś po chwili.

Miał rację.

Kiedy nad Jackiem zamknęła się ziemia, wszystko się skończyło. Stałem jeszcze przez chwilę przed kopcem, wpatrując się w wiszącą na krzyżu tabliczkę z imieniem, nazwiskiem i dwiema, jedynymi istotnymi w życiu człowieka datami, kiedy nagle poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Zesztywniałem odrobinę. Nie lubię tego. Nie lubię, kiedy ktoś, w dodatku z zaskoczenia, narusza moją osobistą przestrzeń. Odwróciłem się i zobaczyłem Bartochę, komendanta wojewódzkiego. Wiedziałem, kim jest, ale nie znałem go osobiście; nastał po Szewczyku już po moim postrzeleniu i po aferze z Mileną.

Nie miał na sobie munduru, zresztą niemal wszyscy byli po cywilnemu. To nie był pogrzeb policjanta zabitego na służbie, tylko pożegnanie dobrego kolegi, z którym pracowało się od kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu lat. Bartocha był wyższy ode mnie, szczupły

i szpakowaty. Włosy miał sztywne i dość długie, układały się w fale założone za uszy, kończyły odrobinę za nisko na karku i wyglądały jak włókna, którymi wypełnione są maskotki. Ciemne brwi nad głęboko osadzonymi brązowymi oczami niemal łączyły się nad nasadą lekko garbatego nosa, a wąskie usta niczym zdecydowana krecha postawiona czerwonym pastelem olejnym przecinały dół pociągłej twarzy.

Kiedy Bartocha napotkał mój wzrok, zdjął rękę z mojego ramienia. Nie był zmieszany, po prostu zabrał dłoń, schował ją za siebie, gdzie zapewne połączyła się z drugą, i zagaił ciepłym, spokojnym głosem:

– Dzień dobry, panie Darku. Jerzy Bartocha, komendant wojewódzki.

– Wiem, panie komendancie – odparłem, też spokojnie. – Dzień dobry.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. Zdaje się, że byliście z inspektorem Mołczunem dość bliskimi przyjaciółmi. Tak przynajmniej słyszałem...

Pokiwałem w milczeniu głową. Nie wyprowadziłem go z błędu. Jacek i ja byliśmy kumplami. Dobrymi i sprawdzonymi, łączyło nas wiele, zarówno dobrego, jak i złego, choć nigdy nie nazywaliśmy siebie przyjaciółmi. Mieliśmy osobne życia, inne charaktery, ale mimo to wspieraliśmy się wzajemnie w ciężkich chwilach, których obaj w życiu doświadczyliśmy całkiem sporo. Definiowanie naszej relacji nie było nam tak naprawdę

do niczego potrzebne. Ale w jednym Bartocha miał rację. Byliśmy z Jackiem blisko. Do zeszłej soboty.

Ruszyliśmy przed siebie niemal równocześnie i szliśmy wolnym krokiem, mijani przez pracowników komendy wojewódzkiej. Niektórzy kiwali nam w milczeniu głowami i szli dalej, wracając do swoich spraw i swojego życia, zostawiając za sobą Mołczuna, a zabierając tylko wspomnienie o nim, które w miarę upływu czasu będzie blaknąć jak klisza w świetle dnia. Obejrzałem się jeszcze na grób Jacka i Irki, a potem wystawiłem twarz do słońca, jakbym chciał ciepłem jego promieni ogrzać kawałek metalu w swojej głowie, który w końcu miał mnie zaprowadzić tam, gdzie był teraz Jacek. Wyszliśmy na szeroką asfaltową ścieżkę między kwaterami. Bartocha, wciąż z rękami założonymi z tyłu, kroczył obok mnie, patrząc pod nogi. Poły lekkiego, jasnego trencza powiewały wokół jego kolan. Wiaterek był chłodny, podobnie jak wczorajszy deszcz, tylko słońce pozwalało mieć nadzieję, że ten chłód w końcu zniknie, a wiosna przyjdzie na dobre. Tak zimnego maja nie było od lat, nawet zieleń świeżych liści mniej cieszyła oko i duszę.

– Chciałbym pana zaprosić na rozmowę – powiedział w końcu komendant, zerkając na zegarek. – Najlepiej przy obiedzie, bo to już ta pora. Zgodzi się pan?

– O czym chciałby pan ze mną porozmawiać? – zapytałem zdziwiony i lekko zaniepokojony.

– Chciałbym omówić z panem pewną sprawę, a potem złożyć propozycję.

– Propozycję nie do odrzucenia? – Zerknąłem na niego.

– Nie, skąd... – Wzruszył ramionami, nie patrząc na mnie, tylko na czubki swoich butów. – To od pana zależy, czy pan ją przyjmie, czy nie. Nie będę nalegał. No, może trochę, ale w granicach przyzwoitości.

– Co to za propozycja?

– Wolałbym nie mówić o tym... – rozejrzał się – ...tutaj.

Wszyscy żałobnicy już poszli, byliśmy sami. Przystanąłem na chwilę. Bartocha uznał to chyba za objaw niezdecydowania. Może i słusznie.

– Nie ma pan chyba teraz za wiele na głowie? – zapytał, zerkając na mnie spod lekko zmarszczonych brwi.

Jego słowa bez wątpliwości świadczyły o przekonaniu, że policyjny rencista jest bezużyteczny i nie ma zupełnie nic do roboty. Gdyby tak nie było, sformułowałby pytanie nieco inaczej. To zadane przed chwilą już zawierało odpowiedź, której udzielił sobie sam. Nie jestem przewrażliwiony, ale trochę zaboląło. Leciutko, ale zawsze.

– Szczerze mówiąc, panie komendancie, mam. Mnóstwo. Muszę skosić trawnik – powiedziałem tonem koszmarńczo zmęczonego człowieka.

Spojrzałem w bok, na zbiegające się w perspektywie rzędy żołnierskich grobów. Leżeli w nich chłopcy zabrani z kołchozów i szkół rzućeni w wir wojny, który ich pochłonał. Leżeli w nich wyrwani z obozów młodzi ludzie zamieszkujący kiedyś Rzeczpospolitą, których jedynym dziś przewinieniem było to, że wywieziono ich na wschód, a nie na zachód. Leżeli żołnierze polscy, ale z tej złej Polski, i radzieccy, których dziś zwano sowieckimi, jakby to stanowiło jakąś istotną różnicę. Patrzyłem na wodny pióropusz fontanny prześwitujący między grzebieniami pomnika zwycięstwa i na kaplicę zamykającą oś kompozycyjną cmentarza, zwieszając ramiona w geście potwierdzającym ton głosu.

– Ale trawnikowi chyba nie zaszkodzi, jeśli skosi pan go dwie godziny później? Czy nawet jutro? – zapytał Bartocha.

Ożywiłem się nagle, moje ramiona uniosły się odrobinę, a głos nabrał mocy.

– Z pewnością nie – odparłem.

– To cieszę się niezmiernie. – Wąskie usta komendanta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Zapraszam zatem na obiad.

Też się cieszyłem. Nie cierpię kosić trawnika. Po prostu nienawidzę.

* * *

Omawianie pewnych spraw przy jedzeniu jest od dawna najzupełniej naturalne dla człowieka, będąc swego rodzaju rytuałem wprowadzonym w życie po to, by uprzyjemnić sobie przekazywanie różnych, nie zawsze pomyslnych wieści. Przeliczyłem się, sądząc, że Bartocha zabierze mnie na obiad do jakiejś znanej restauracji. Kiedy wsiadaliśmy do jego służbowej skody przy głównej bramie cmentarza, nie powiedział kierowcy, dokąd ma jechać. Dziesięć minut później byliśmy pod Urzędem Wojewódzkim. Jak się okazało, w przeciwieństwie do komendy wojewódzkiej znajdował się tam przybytek o nazwie „Bonus Gustus”, coś pomiędzy barem a restauracją. Niedookreślenie wynikało z faktu, że obiad można było zamówić na dwa sposoby: albo podchodząc do kontuaru, albo czekając grzecznie przy stoliku. Bartocha bez wahania wybrał ten pierwszy sposób, być może w przeciwieństwie do mnie bywał tu wcześniej. Stanęliśmy przy kontuarze, przy którym pojawił się po chwili zwalisty mężczyzna o melancholijnym spojrzeniu. Zarówno głowę, jak i dół twarzy porastała identyczna, gęsta, mieniąca się srebrzystym połyskiem szczecina. Zerknęliśmy na leżące na blacie menu z daniami dnia na cały tydzień. Na środę przewidziano pieczeń z ziemniakami albo frytkami oraz buraczki. Ewentualnie filet z kurczaka, też z ziemniakami, ale bez buraczków, tylko z sałatką wielowarzywną. Dania niezbyt wyszukane, ale domowe, sprawdzone i smaczne. Oraz

tanie i z kompotem w zestawie. Zamówiliśmy obaj wersję

numer jeden, solidarnie rezygnując z zupy, a komendant uparł się, żeby zapłacić również za mnie.

– W końcu umówiliśmy się, że ja zapraszam, prawda?
– powiedział, a mnie nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić.

Zabraliśmy z kontuaru szklanki z kompotem wiśniowym i usiedliśmy przy małym kwadratowym stoliku pod ścianą niedaleko okna wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec. Siedzieliśmy tak oddzieleni szklankami z czerwonym płynem oraz koszykiem ze sztuczkami i patrzyliśmy na siebie oparci łokciami o blat.

W odróżnieniu od Szewczyka, który moim zdaniem był facetem średnio inteligentnym, choć bez wątplenia odczytanym i ze sporą wiedzą, Bartocha robił na mnie wrażenie intelektualisty. Nie pasował na stanowisko wymagające mocnych pleców i giętkiego karku, ale równocześnie zdecydowania, mocnych nerwów i umiejętności zarządzania nie tylko zasobami ludzkimi. Wyglądał na spokojnego, pewnego siebie człowieka, opanowanego, o ruchach oszczędnych, wręcz dystyngowanych. Pasował do pokrytego zakardem fotela, marmurowego kominka z polanami trzaskającymi w ogniu i tomiku wierszy Baudelaire'a czytanyymi w oryginale przy migotliwym świetle. W czasie luźnej, niezobowiązującej pogawędki, którą toczyliśmy w samochodzie, jadąc tutaj, z ust Bartochy nie padło ani

jedno słowo powszechnie uważane za obelżywe czy wulgarne. To o czymś świadczyło.

– Nie brakuje panu adrenaliny? – zapytał nagle. – Poczucia, że coś się dzieje? Że gdzieś pana brakuje, a najbardziej właśnie tam, gdzie coś się dzieje?

– W ostatnim czasie nie narzekałem na brak wrażeń – mruknąłem.

Ale komendant miał trochę racji. Ten „ostatni czas”, o którym wspomniałem, skończył się już dość dawno. Prawie rok temu.

– Taak, słyszałem. – Bartocha obejrzał się przez ramię i popatrzył w okno, wyciągając długą szyję w jego stronę. – Między innymi dlatego chciałem z panem porozmawiać. Ze względu na te... wrażenia, jak pan to określił.

Zacząłem zastanawiać się, czy znów wróci kwestia zaginionych z domu Marty Kielan pieniędzy, do czego lubił nawiązywać co jakiś czas Jacek. Ale nie o to chodziło. Na szczęście. W końcu one nie zaginęły, tylko je ukradłem.

– Wie pan... – komendant ponownie spojrzął mi w twarz – ... ta pana historia z komisarz Kielan i resztą wraca co jakiś czas w opowieściach. W komendzie, wśród moich znajomych... To zrozumiałe, nie co dzień zdarza się coś takiego. Wraca i to nawet, proszę wybaczyć, nie w aspekcie pańskiej tragedii... ludzie mówią o tym, co stało się potem. Jak pan odkrył, kto za tym stoi...

– Minęło trochę czasu – mruknąłem, dając mu do zrozumienia, że ten czas trochę wyleczył rany, a ja doszedłem jakoś do siebie.

Nauczyłem się jakoś żyć po nowemu. To tyle, jeśli chodzi o aspekt mojej osobistej tragedii.

– Zdaję sobie sprawę, że niewiele osób potrafi zrozumieć taką stratę. – Bartocha pokiwał głową. – Ja również nie potrafię. Ale chodzi mi o to, że ktoś zupełnie bez doświadczenia w tym zakresie przeprowadza dochodzenie, nie dysponując przy tym praktycznie żadnymi specjalistycznymi środkami. Ani ludźmi...

Tu Bartocha trochę się mylił. Miałem do dyspozycji ludzi. Pomagali mi, często nieświadomie, ale bez nich stanąłbym w miejscu już na samym początku i pewnie stałbym w nim po dziś dzień.

– Dochodzenie zakończone sukcesem. Majstersztyk. A potem znowu, z tym złotem tego świadka koronnego z Gdańska...

– Maziarza – odpowiedziałem.

– Właśnie. – Komendant pokiwał głową, chyba z uznaniem. – Co prawda nie odkrył pan, kto chciał zabić jego żonę, ale to, co pan osiągnął, również można zaliczyć do pańskich sukcesów. I to spektakularnych, biorąc pod uwagę wartość tego znaleziska. Bez wątplenia...

Pomyślałem ciepło o Milenie. Tęskniłem za nią czasem. Za nią, zapachem jej ciała, miękką skórą, krótką grzywką opadającą na oczy i gestem strząsania jej z czoła

bez pomocy rąk. Tęskniłem nawet za małym Kosmą, jej synem. I tu Bartocha znów się mylił. Odkryłem, kto stał za zamachem na Milenę, choć nie wiedział o tym nikt, z wyjątkiem jej, mnie i zleceniodawcy tego zamachu.

Nagle pojawiła się obok nas przepasana kuchennym fartuszkiem kobieta. W rękach miała talerze; postawiła je przed nami, życząc „smacznego” i to była ta restauracyjna część „Bonusa”. Pieczeń i purée z ziemniaków pływały w gęstym sosie razem z kilkoma plasterkami pieczarek, buraczki oparły się powodzi jak bobrza zapora na rzece. Zapach był bardzo obiecujący, a czas reakcji na zamówienie imponujący. Spodobał mi się ten lokalowy miks.

– Nie będę robił z siebie Holmesa, panie komendancie – powiedziałem, biorąc do ręki widelec i dziabiąc ziemniaki. – Trzeba uczciwie przyznać, że miałem trochę szczęścia. A może nawet więcej niż trochę.

– Możliwe. – Bartocha zrobił z ziemniakami to samo co ja, wyciskając w nich zgrabny dołek, który natychmiast wypełnił się brązowym sosem. – A nawet całkiem prawdopodobne. To też brałem pod uwagę. Dlatego właśnie pomyślałem, że złożę panu propozycję, o której wspominałem na cmentarzu. I zanim pomyśli pan, że to wszystko jest bez związku, a ja przejdę wreszcie do rzeczy, powiem coś jeszcze. Od dwóch dobrych generałów wolę jednego, który ma szczęście. Wie pan, kto to powiedział?

– Napoleon. Jemu samemu w końcu go zabrakło...
Szczęścia, nie generała.

– Zgadza się, Napoleon Bonaparte. Nie będę dyskutował, czy jest sam sobie winien ostatecznej klęski, czy to przypadek, efekt motyla, czy cokolwiek innego. Coś jest w tym, co powiedział. Nawet jeśli to szczęście jest w istocie przypadkiem, szczęśliwym trafem, to nieważne: ważny jest cel, który chce się osiągnąć i który się w końcu osiąga dzięki niemu. Chodzi wyłącznie o cel. – Młasnął cicho, ale nie zrobił tego ordynarnie, przypominał raczej smakosza delektującego się wyśmienitą potrawą. – To na razie tyle o szczęściu. A teraz do rzeczy...

Spojrzał na mnie, nabrał na widelec trochę buraczków i zanim włożył je do ust, dokończył:

– Pan wie, kto to jest „Snajper”? Nie, kim jest, oczywiście, tylko kto to jest?

Przełknąłem kęs, odłożyłem sztucce na talerz. Hmm... Chyba zaczynałem się domyślać, czemu Bartocha zamiast na przykład swojej żony czy jakiejś ładnej kobiety zaprosił na obiad właśnie mnie. Ale nie zapytałem go o to. Zawsze mogłem się mylić, wyszedłbym na idiotę, w dodatku zadufanego w sobie idiotę.

– Czasem czytuję gazety – powiedziałem, patrząc, jak komendant krzywi się, przełykając buraczki, i zapija je kompotem. – Z nudów, nie z zasady ani z jakiejś wyraźnej potrzeby. Wpadło mi w oko coś o nim.

Bartocha odstawił szklanę z kompotem, z wyraźną niechęcią wpatrując się w pływające na dnie szklanki wiśnie.

– Coś panu o nim wpadło... To może pozwoli pan, że opowiem o „Snajperze” nieco więcej, niż piszą w gazetach, może nie tyle więcej, ile na pewno coś bardziej zbliżonego do prawdy.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem.

Bartocha odsunął od siebie talerz, pochylił się ku mnie, znów opierając się łokciami o blat stołu i chwytając dłońmi za przedramiona. Zobaczyłem drobne kropeczki zarostu wokół jego ust i kilka włosków na prawej brwi, które rosły w przeciwną stronę niż pozostałe.

– „Snajper” to pseudonim, którym media ochrzciły działającego na terenie naszego miasta mordercę kilku osób. To na pewno pan wie. Oczywiście jest to określenie na wyrost, wymyślone w celach marketingowych, służące wyłącznie wzbudzeniu paniki, która pomoże w sprzedaży gazet i tak dalej, ale nieważne: fakt faktem, że sprawcę tak właśnie nazwano. „Snajper”...

– O ile wiem, ofiary nie zostały zastrzelone, ale zatłuczone na śmierć – przerwałem mu.

– Owszem. – Pokiwał głową. – Owszem... Nie wiadomo dokładnie czym, na pewno czymś ciężkim, w ekspertyzach była mowa o narzędziu tępokrawędzistym, ze wskazaniem na młotek. Choć

oddając mediom sprawiedliwość, nazwa „Snajper” nie jest całkiem chybiona, że tak powiem.

– Naboje na miejscu zbrodni?

– Zgadza się. Nie pociski, jak piszą w gazetach i mówią w wiadomościach, tylko dziewięciomilimetrowe naboje. Nówki. Błyszczące, prosto z pudełeczka. Leżały przy każdej z ofiar, w widocznym miejscu, jakby sprawca bał się, że ktoś może ich nie zauważyć. Znak. Ktoś pismakom sprzedał tego newsa, podchwycili to i dalej poszło... Narodził się „Snajper”.

– Mamy swojego seryjnego mordercę?

– Na to wygląda. I to takiego prawdziwego „naszego”.
Niestety.

Wiedziałem, co ma na myśli Bartocha, mówiąc „prawdziwy” i „nasz”. W kryminalnej historii mojego miasta czerwonymi od krwi zgłoskami zapisało się dwóch morderców uważanych za seryjnych, choć seryjnym był tylko jeden, drugiemu to miano nadali twórcy miejskich legend. Cyppek, zwany rzeźnikiem z Niebuszewa, zabił i częściowo zjadł swoją sąsiadkę. Więcej ofiar na koncie nie miał, choć z racji zawodu, jaki wykonywał, całe miasto uznało, że były ich dziesiątki; najpierw zostały sprzedane w kawałkach na targu, a potem przyrządzone i zjedzone przez niczego nieświadomych klientów. Kwaśniak, „Ręcznikowy dusiciel”, był seryjnym w latach dziewięćdziesiątych, ale nie „naszym”, bo do Szczecina

zawitał raz – zgwałcił i zabił chłopca, o ile pamiętam, na osiedlu Kaliny.

Milczeliśmy przez jakiś czas, jedząc obiad. Bartocha skończył pierwszy.

– Napije się pan kawy? – zapytał, podnosząc do ust papierową serwetkę.

Pokręciłem głową. Zmiał serwetkę w małą kulkę, położył na skraju talerza, potem wstał, poszedł do kontuaru i wrócił po chwili rozmowy z panią, która wcześniej przyniosła nam obiad. Usiadł i kontynuował, podczas gdy ja kończyłem jeść swoją pieczeń i ziemniaki.

– Na razie ma na koncie trzy zabójstwa. Ofiary to mężczyzna i dwie kobiety – mieszkańcy Szczecina z wyższym wykształceniem. Po kolei: mężczyzna był lekarzem psychiatrą, jedna z kobiet sędzią sądu rejonowego, a druga kierowniczką oddziału w banku. Trochę zaskakujące powiązanie, najprawdopodobniej całkiem przypadkowe, ale jest. O ile pierwsza ofiara, mężczyzna, nie wyglądała, jakby sprawca działał na tle seksualnym, o tyle następne, kobiety, już tak. Obnażony dół zwłok, ślady nasienia na skórze i bieliźnie i tak dalej. Badania DNA śladów biologicznych nic nie dały, sprawca nie figuruje w wykazach. Wszystkie ofiary zginęły wieczorem; psychiatra wracał z pracy, nawiasem mówiąc, pracował poza Szczecinem, w domu pojawiał się w weekendy. Sędzia uprawiała jogging, a dyrektorka wychodziła z domu na kolację służbową. To tak w skrócie,

żeby miał pan jakiś obraz. Wspominałem już też, że ktoś sprzedał do gazet informację o nabojach znalezionych przy ciałach ofiar. Tą osobą najprawdopodobniej musiał być któryś z naszych, zabezpieczających miejsce zbrodni. A może przeciek z prokuratury? Nie wiem. Ale jest jedna rzecz, o której media nie mają pojęcia. Wie o niej tylko kilka osób od nas i paru prokuratorów. I nie wyobrażam sobie, żeby to mogło się zmienić. Żeby to mogło wyciec. Nawet nie będę pana prosił o dyskrecję, bo to rzecz oczywista. – Wykrzywił lekko usta.

– Co to za rzecz?

– Listy.

– Listy?

– Tak, listy. On pisze do nas listy. Po każdym z zabójstw. Podpisuje je nawet. Oczywiście nie swoim nazwiskiem, ale podpisuje i to od tego podpisu pochodzi nazwa zespołu dochodzeniowego, który powołałem w komendzie. „Nietykalny”. Tak sprawca nazywa sam siebie. Nietykalny. Za takiego się najwyraźniej uważa.

Nie skomentowałem tego.

– O czym pisze? – zapytałem.

– Och, o przeróżnych rzeczach. O sobie, o morzu, o drzewach... Generalnie bełkot. Sam pan zresztą zobaczy.

A więc nie myliłem się.

– Jak to: zobaczę? – zdziwiłem się odrobinę nieszczerze, a w oczach Bartochy zobaczyłem błysk kpiny.

Wiedział, że domyśliłem się powodu, dla którego ściągnął mnie do komendy. Od początku to wiedział, a obiad był tylko pretekstem. Smacznym, z wyjątkiem buraczków, ale pretekstem.

– To właśnie jest moja propozycja – powiedział. – Chciałbym, żeby pan dołączył do tej grupy.

Roześmiałem się cicho.

– Jak pan to sobie wyobraża? – zapytałem, kręcąc z rozbawieniem głową. – Jestem rencistą, kaleką. Byłem policyjnym urzędasem, biurwą w mundurze, nie śledczym. W robocie dochodzeniowej, takiej prawdziwej, policyjnej, mam znikome doświadczenie. Nie, co ja gadam... Nie: znikome. Żadne.

Nagle pojawiła się pani z kawą dla komendanta. Kiedy stawiała filiżankę na stoliku, podziękował grzecznie, obdarzając ją uśmiechem błakającym się po wąskich wargach. Kiedy odeszła, uśmiech wciąż na nich pozostał.

– Urzędasem, mówi pan? – Dotknął palcem spodeczka, przesuwając go odrobinę w moją stronę. – Racja, był pan urzędasem, biurwą, jeśli pan woli. Ale urzędasem, który wystawił na pośmiewisko aparat ścigania, w pojedynkę wskazując sprawców największej rzezi funkcjonariuszy policji w tym kraju. Policyjnym biurwą, który ujawnił ponad cztery miliony w złocie ukrytym w czyimś grobie przez prawie dekadę.

– Dobrze... A formalnie? Na jakiej zasadzie dołączę do zespołu formalnie?

– Wróci pan do pracy w charakterze radcy na jakąś część etatu. Nie wątpię, że badania psychologiczne wykażą, że zaangażowanie choćby w nieznacznym stopniu w pracę zawodową, jaką wykonywał pan poprzednio, pomoże w rekonwalescencji. Załatwimy to jakoś, tym proszę się nie martwić. Renty panu nie odbiorą.

– Pieniądze to nie wszystko – mruknąłem, chyba trochę niepotrzebnie, dodając po chwili jeszcze bardziej niepotrzebnie: – Nie oczekuję już zbyt wiele od życia, prawdę mówiąc.

– Sam pan widzi. – Bartocha dotknął czubkiem języka kącika warg, znów sięgnął po papierową serwetkę i starannie wytarł nią usta. – Wracając do Napoleona i szczęścia. Pan miał szczęście podczas swoich śledstw, sam pan to przyznał. Ale samym szczęściem niczego by pan nie zdołał. Niczego. Podobnie jak ten jeden generał, który ma szczęście, nie zdołałby wiele, gdyby nie był generałem. To oczywiste. Te dwie rzeczy się niejako dopełniają. Dlatego proszę o pomoc właśnie pana. Szczęściarza o zmyśle dochodzeniowca. Kreatywnego szczęściarza. Szczęściarza z wynikami. A wyników teraz potrzebujemy jak cholera...

Nic nie mówiłem. Komendant wziął ze spodka papierową rurkę, potrząsnął, oderwał jej koniec i wsypał

zawartość do filiżanki. Patrzyłem, jak błyszczące brązowe drobinki cukru trzcinowego spływają z szelestem i toną w gęstej cieczy o barwie toffi.

– Przepraszam za tę insynuację na komentarzu – powiedział nagle Bartocha, mieszając kawę.

– Nie rozumiem? – Uniosłem brwi.

– Z tym, że nie ma pan za wiele roboty. To nie było miłe, wiem. Widziałem to w pana oczach. Pociemniały na chwilę.

– Czyli nie jestem sukinsynem o kamiennej twarzy? – zapytałem.

– Nie. – Roześmiał się, podnosząc filiżankę.

– To czemu pan to powiedział?

Upił łyk kawy, odstawił filiżankę powolnym ruchem. Porcelana brzęknęła cicho, zawtórowała jej leżąca na spodku łyżeczka.

– Żeby to zobaczyć – powiedział.

– Jak ciemniej mi oczy?

– Niekoniecznie ciemniejące oczy. Chciałem zobaczyć... Pazur.

– Ach, więc to był test?

– Owszem. Można tak powiedzieć.

– Zdałem go, skoro zjedliśmy obiad?

– Zgadza się. Gdybym nie zobaczył tego pazura, powiedziałbym, że skontaktuję się później, a potem bym tak jakoś zapomniał. Nie byłoby obiadu. Cóż... Więc jak

brzmi pańska odpowiedź na moją propozycję? Zaznaczam, że nie mamy wiele czasu.

Spojrzałem mu w twarz.

– Cieszę się. – Wyraźnie odetchnął z ulgą, co mnie nieco zdziwiło, bo pokazywało, jak wyjątkowo mu na mojej zgodzie zależy. – Bardzo się cieszę...

Ja mimo wszystko cieszyłem się mniej. Miałem dziwne wrażenie, że znów pakuję się w coś, czego mogę później żałować.

– Dlaczego pańska radość z tego powodu jest aż tak duża? – Moje pytanie było chyba naturalne.

Bartocha spoważniał.

– Dlaczego, pyta pan? To ja panu powiem dlaczego, po prostu nie uważam tego wbrew wielu opiniom za powód do wstydu. Tu nie ma się co wstydzić, tak po prostu jest. Otóż dlatego, że przy całym zaangażowaniu wszystkich możliwych sił i środków jesteśmy w ślepych zaułku. I już. A najgorsze, że nie mamy dokąd pójść. Tkwimy w nim nawet nie jak w zaułku, bo tam zawsze można zawrócić i się z niego wycofać, tylko jak Puchatek w norze Królika; ani wte, ani wewte. Utknęliśmy. Mam wrażenie, że w chwili obecnej sprowadza się to do jednego: czekamy, aż Nietykalny znów uderzy, znów kogoś zabije, licząc na to, że tym razem popełni jakiś błąd, na którym go przyłapiemy i który w konsekwencji do niego nas doprowadzi. A to nie jest dobry sposób, bo to tak, jakbyśmy godzili się na następną śmierć. I na to zgody

nie może być. Co, jeśli następną ofiarą będzie ktoś z naszych bliskich? No właśnie, kto to może wiedzieć... I dlatego chwytam się dziwnych, niekonwencjonalnych sposobów, takich jak zwracanie się z prośbą o pomoc do de facto cywila, który nie ma już z policją nic wspólnego. Robię to, narażając się na niewybredne komentarze moich ludzi, prokuratora i nie wiem kogo jeszcze, oby nie było ich za dużo; i tych komentarzy, i tych osób. Ale robię to z bardzo ważnego powodu. Wie pan, jaki to powód? Wie pan. Wspomniałem już o tym. To cel. Uważam po prostu, że w tym konkretnym wypadku cel uświęca środki. A cel mamy jeden: dorwać sukinsyna, zanim znów kogoś zabije. Środek służący osiągnięciu owego celu; środek w postaci zatrudnienia do pomocy byłego policjanta, sam pan przyzna, nie jest aż tak bardzo kontrowersyjny, prawda? Nie zwracam się do wróża, jasnowidza ani znanego detektywa bez licencji, tylko do ekspolicjanta, jednego z nas. Może ubodzie to czyjaś dumę, może kiedyś nawet obróci się przeciwko mnie i ktoś to wykorzysta w walce o stołek jako przejaw mojej niekompetencji, zwłaszcza w obecnej sytuacji politycznej, ale mam to gdzieś, rozumie pan? Gdzieś. Najważniejsze jest coś innego. Najważniejsze jest schwytanie Nietykalnego. Teraz. Jak najszybciej. I tylko to się liczy. Teraz już pan wie, dlaczego tak bardzo cieszę się, że pan się zgodził. To co, zapraszam na Małopolską?

– Tak od razu? – zapytałem, choć tym razem moje pytanie pozbawione było sensu, zwłaszcza wobec tego, co usłyszałem przed chwilą.

Nie popisałem się. Ale Bartocha nic nie powiedział. Lekko się uśmiechnął i wstał. Zrobiłem to samo i przysunąłem krzesło do stolika. Okienko w ścianie, przez które zobaczyłem panią wycierającą naczynia, wywołało u mnie odruch bywalca baru mlecznego; chciałem wziąć talerze, na których zostały wyłącznie buraczki, i odnieść je na zmywak.

– Niech pan zostawi – mruknął komendant. – To jednak bardziej restauracja niż bar. Nie pogniewają się, jak pan ich nie odniesie.

2

– Na początek spotka się pan z komisarzem Ręzią – powiedział Bartocha, kiedy szliśmy już korytarzem na pierwszym piętrze komendy wojewódzkiej. – On kieruje grupą „Nietykalny” i to on wprowadzi pana w sprawę, a potem pozna z resztą chłopaków. Odbyłem z nim już rozmowę na pański temat, choć nie miałem oczywiście pewności, a jedynie nadzieję, że pan przyjmie moją propozycję. Sam pan rozumie, mamy mało czasu, a nie chciałem go zaskakiwać, to by nie było zbyt rozsądne. Rozmowa z Ręzią odbyła się przedwczoraj, miał więc chwilę, żeby przemyśleć zasady współpracy. Widzi pan, zdaję sobie sprawę, że on może nie być zadowolony. Ale szczerze mówiąc, mało mnie to interesuje. Nie życzę sobie tarć między wami, co już mu oznajmiłem, a teraz oznajmiam panu. Nie jestem waszym tatusiem, nie chcę sytuacji, w których zgłosicie się do mnie, żebym rozstrzygał spory, nazwijmy je kompetencyjnymi. On jest szefem, pan jest ciałem doradczym; na nietypowych zasadach, ale jednak doradczym, to nie podlega dyskusji. Chodzi mi o to, że nie chciałbym, żeby na waszej

współpracy położył się jakikolwiek cień. Rędzia to twardy zawodnik, pan z tego, co wiem, też nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Jesteście filarami tego zespołu. Nie wyobrażam sobie, żeby on nie brał pod uwagę pańskich sugestii wyłącznie z powodu niezadowolenia z faktu, że ktoś mu doczepił piąte koło do wozu. To wy razem i reszta jesteście tym wozem, a wszelkie tarcia w zespole mogą uderzyć w nas rykoszetem, skutkując opóźnieniami, a w konsekwencji śmiercią kolejnej Bogu ducha winnej osoby. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?

Pokiwałem głową. Słuchałem słów komendanta i naszych rytmicznych kroków, zachłannie wpatrując się w posadzkę, ściany i sklepienia. Nie do wiary, jak szybko zapominamy miejsca, do których przywykliśmy, w których spędziliśmy kawał życia i które traktowaliśmy niemal jak swoje. Nie byłem tu z rok, może półtora, nie było sensu przypominać sobie, kiedy po raz ostatni odwiedziłem te mury. Kiedy trwała jeszcze afera z Bogutowiczem i Martą? Nie, przecież później urządziłem pożegnanie; Zakrzewski, zastępca komendanta odpowiadający za sprawy gospodarcze i zaopatrzeniowe, udostępnił mi nawet salę odpraw z pruskim orłem spadającym z sufitu, bym mógł pożegnać się i zostać pożegnany godnie i z fantazją... Podczas kolejnej afery, z Mileną, podrabiałem tu policyjne plomby. A jeszcze później? Nie pamiętałem... Teraz zerkałem w widoki za mijanymi oknami, wdychałem

zapach starego, choć odświeżonego budynku i przypominałem sobie ludzi, zdarzenia i chwile. To było dziwne uczucie. Napawające smutkiem.

Bartocha przystanął nagle przed jakimiś drzwiami i otworzył je.

– Zapraszam, oto kwatera główna zespołu.

Weszliśmy do środka. Kwatera główna zespołu „Nietykalny” wyglądała jak typowy pokój służbowy w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Szczecinie. Ciasny, zagracony, były nawet rośliny – dwie rachityczne draceny. Nic się nie zmieniło, odkąd byłem tu ostatni raz, nawet kolor ścian. No, może z wyjątkiem tego, że brakowało Heni i mojego następcy na stanowisku szefa Zespołu do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji. Pokój, do którego weszliśmy, był sekretariatem mojego dawnego gabinetu. Sam gabinet zobaczyłem przez otwarte drzwi łączące oba pomieszczenia. Coś mnie ścisnęło za gardło. Musiałem odchrząknąć.

– Pan wiedział? – zapytałem Bartochę, odwracając się do niego.

– O czym? – zdziwił się.

– Nie, nic. – Machnąłem ręką. – Nieważne.

Zamiast Heńki za biurkiem pod oknem siedział jakiś facet, zapewne komisarz Rędzia. Siedział tyłem do okna, na jego jasnym tle, więc nie widziałem go wyraźnie. Wróciły wspomnienia. Taki widok miałem zawsze wtedy, gdy wchodziłem do sekretariatu. Z tą różnicą, że ciemna

postać na tle okna była korpulentna i miała na głowie drobno kręconą trwałą. Z lekkim wahaniem podszedłem do biurka. Facet wstał, z takim samym wahaniem, i teraz zobaczyłem go lepiej. Patrzyliśmy przez chwilę na siebie. Nie, nie patrzyliśmy; raczej obserwowaliśmy się jak dwoje zwierząt tego samego gatunku, które właśnie spotkały się w zoo na wspólnym wybiegu. Jedno było starym mieszkańcem, drugie właśnie przywieziono z innego ogrodu zoologicznego. A teraz miały dzielić przestrzeń, którą zajmowało wcześniej tylko jedno.

– To ja uciekam. – Komendant podszedł do drzwi i położył ręką na klamce, nie otwierając ich. – Zostawiam was samych, pogadacie sobie, wyjaśnicie wszystko. A pan, panie Darku, jutro zgłosi się do kadr, dziewczyny wszystko przygotowują. Miło było pana poznać. Życzę powodzenia. Panu, komisarzowi Rędzi i sobie również. Nam wszystkim go życzę. – Nacisnął klamkę, otworzył drzwi i przekroczył próg, ale zanim całkiem zniknął nam z oczu, odwrócił się jeszcze i dodał cicho: – Zamknijcie tę sprawę jak najszybciej. To oczywiście nie jest polecenie służbowe ani rozkaz. To prośba, ale bardzo gorąca. Na razie.

I wyszedł. Obaj z Rędzią spojrzeliśmy na drzwi z lekkim zaskoczeniem. Uznałem wybieg komendanta Bartochy za bardzo udany. Miałem sądzić, że każe nam podać sobie rączki i grzecznie się bawić? Chyba postąpił najlepiej, jak mógł. Niech się chłopcy sami dogadują...

Komisarz Rędzia miał jakieś czterdzieści kilka lat, był nieco niższy ode mnie, ważył około osiemdziesięciu kilogramów, miał króciuteńkie, przerzedzone na czubku głowy włosy bez śladu siwizny i miłą, wzbudzającą zaufanie twarz. Z doświadczenia wiedziałem, że często takie wrażenie odbierane na podstawie rysów twarzy może być mylne, i to bardzo. Ale taką twarz miał: okrągłą, ale nie pyzată, z szerokim, lekko przekrzywionym nosem i ciepłym spojrzeniem oczu o kolorze trudnym do określenia. Były raczej ciemne. Takie ciepłe spojrzenia także w przeszłości mylnie interpretowałem. Okoliczności, w jakich znajdowaliśmy się obaj obecnie, z pewnością nie były właściwe ku temu, by mnie takim spojrzeniem zaszczycić, co mogło oznaczać jedno; to też mogło być wrażenie. Mylne.

Wyciągnąłem rękę i powiedziałem po prostu:

– Darek.

Chwycił ją i oddał uścisk, jednak ostrożnie i zachowawczo.

– Tomek.

Postaliśmy tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy jak bokserzy podczas ważenia. Puściliśmy swoje dłonie w tym samym momencie. Przypadkowy remis. Rędzia odwrócił się i mruknął:

– Zapraszam.

Wszedł do mojego dawnego gabinetu, a ja poszedłem za nim.

– Pokażę ci akta sprawy i omówimy... – zaczął sucho.

– Poczekaj – przerwałem mu. – Najpierw załatwmy sprawy formalne. Usiądziemy?

Usiedliśmy. Rędzia na moim dawnym miejscu, ja pod ścianą. To też było dziwne uczucie.

– Posłuchaj – zacząłem powoli, ważąc każde słowo. – Obaj wiemy, że sytuacja z twojego punktu widzenia może być trochę niezręczna. Nie mam pojęcia, czy uważasz mnie za przydupasa komendanta, który będzie mu donosił o każdym twoim posunięciu, czy może za przejaw braku jego zaufania do ciebie albo element jakiejś większej personalnej rozgrywki, jakie w przeszłości widywałem w tym miejscu i nie tylko w tym. Nie wiem tego. Wiem tylko, że komendant z pewnych względów, o których ci pewnie przedwczoraj powiedział, poprosił mnie o pomoc, a ja się zgodziłem. Z nudów, z braku mocnych wrażeń, z głupoty, nie wiem, ale się zgodziłem, choć mam świadomość własnej słabości, a przede wszystkim braku doświadczenia. Przyznaję się do tego, licząc, nie ukrywam, że taka samokrytyczna postawa powinna nieco podnieść moją ocenę w twoich oczach. A jeśli jednak nie podniesie, to trudno, będę musiał z tym jakoś żyć... Dodam również, że nie miałem nigdy problemów z pracą w zespole, czy to jako jego szeregowy członek, czy szef. I zawsze, podkreślam: zawsze znałem swoje miejsce w szeregu. Wyraziłem się jasno? Pytam poważnie; jeśli masz jeszcze jakieś wątpliwości, to podziel

się nimi ze mną, a ja je rozwieję. Po prostu. Nie znoszę niejasnych sytuacji. Nic mnie tak nie wkurwia jak zamotana relacja z człowiekiem, z którym mam pracować.

Rędzia siedział rozparty w fotelu, kręcąc się lekko, i przypatrywał mi się spod półprzymkniętych powiek. Nagle zerwał się, wyprostował i oparł o biurko. To samo, przy którym kiedyś siedziałem ja. Był na nim jeszcze mały ślad w postaci niewielkiego, kolistego spuchnięcia, które powstało na okleinie, gdy w pudełku po landrynkach paliłem wizytówkę firmy wynajmującej butle z gazami technicznymi. Wszystko dookoła przypominało mi minione momenty życia...

– W porządku. – Głos Rędzi był mocniejszy niż do tej pory, komisarz nie mrucał już pod nosem. – Przyjmuję do wiadomości. Wątpliwości brak; myślę, że na tym etapie naszej współpracy rozwiąłeś je, a jeśli pojawią się nowe, nie omieszkać cię o tym poinformować. I żeby było jasne: nie uważam cię za przydupasa starego. Nie sądzę, żebyś był również przejawem jago braku zaufania do mnie, bo inaczej już by mnie wypieprzył z „Nietykalnego”, tak byłoby chyba najprościej, prawda? Jesteś po prostu jeszcze jednym członkiem zespołu, takim samym jak pozostali, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie będę cię prosił o zrobienie pewnych rzeczy związanych z... Nie wiem, jakimś ryzykiem czy wysiłkiem.

– Mówisz o tym? – Wskazałem bliznę na swojej głowie.

– Tak, o tym. – Spojrzał na nią z ciekawością, nawet się z tym nie kryjąc.

I, szczerze mówiąc, nawet mi to nie przeszkadzało. Wolałem to niż ukradkowe zerknięcia, przed którymi nie mogą powstrzymać się ludzie, kiedy myślą, że nie widzę.

– Okej – powiedziałem po prostu. – W porządku.

– Jak duże jest ryzyko? – zapytał.

– Mówisz o nagłych komplikacjach z powodu kuli?

Pokiwał głową.

– Słyszałem, że to trochę jak tykająca bomba?

– Coś w tym stylu – potwierdziłem. – Ale dokładnie nie wiem, jakie jest ryzyko. Nikt nie wie. Na razie nie ma problemu; z wyjątkiem sporadycznych bólów albo lekkich zawrotów głowy brak innych, fizycznych dolegliwości. A co?

– Nic. Zastanawiam się, jak bardzo angażować cię w to śledztwo. Czy będziesz siedział z nami tu, w KWP, i po prostu ślęczał nad papierami, czy będziesz również jeździł z nami, czasem w środku nocy, bo i tak bywa...

– Chciałbym, żebyś zaangażował mnie w to śledztwo na tyle, na ile się da. Na sto procent. Nie mam żadnych zobowiązań ani rodziny, obowiązków domowych i tak dalej. Nawet psa już nie mam. Dlatego idę na całość. Jak już coś robić, to porządnie. Więc wysiłek może niekoniecznie, ale ryzyko jak najbardziej. Może być?

– Może być. W końcu jesteś dorosły i odpowiadasz sam za siebie. Ale będę szczery: głupio by było, gdybyś nagle kofnął gdzieś przy biurku albo na ulicy. Nieważne gdzie, ale podczas pracy, rozumiesz? Nie jestem pewien, czy stary zdaje sobie z tego sprawę, że jakby co, będą kłopoty. Kto dopuścił cię do służby i tak dalej... Jak sam wiesz, czasem odpowiedzialność za pewne rzeczy się rozmywa i trudno wtedy znaleźć kogoś, na kogo powinno się ją rzucić, czy może raczej: kto powinien przyjąć jej brzemię. I w takich wypadkach znajduje się kozła ofiarnego...

– Podoba mi się twoja bezpośredniość i szczerość, to po pierwsze – powiedziałem i uśmiechnąłem się do niego, bo to była prawda. – Po drugie: nawet jeśli coś takiego, tfu, tfu, się zdarzy, nie będzie nikogo, kto ewentualnie miałby o to pretensje. Ani do policji generalnie, ani do ciebie w szczególności. Jak wspomniałem przed chwilą, jestem sam jak palec. A śmierć w pracy, śmierć z przyczyn naturalnych, zdarza się, po prostu. I nie jestem w czynnej służbie. I nigdy nie będę. Więc twoje obawy o zostanie kozłem ofiarnym są nieco na wyrost. Przekonałem cię?

– Powiedzmy. – Skrzywił się.

– To na razie poprzestańmy na tym. Jakby co, będziemy się martwić później, bo zdaje się, że jest coś pilniejszego do roboty?

– Zgadza się. A skoro sprawy formalne mamy już załatwione, to faktycznie przejdźmy do rzeczy. Nasz zespół liczy na stałe trzy, a od dziś cztery osoby. To trzon.

Mamy priorytet, możemy zlecać uzyskiwanie informacji, mamy natychmiastowy dostęp do baz i tak dalej. Jeśli trzeba wysłać w teren stu chłopca ze szkoły policyjnej, żeby go przeczesali, to wysyłamy. Nad nami jest tylko Bartocha. No i prokurator, oczywiście, ale o tym za chwilę. Teraz skrót wydarzeń. Pierwszą ofiarę znaleziono w piątek siedemnastego marca w godzinach wieczornych na posesji przy ulicy Na Stoku, na Warszewie. Grzegorz Olędzki, pięćdziesiąt siedem lat, zwłoki znalazła żona, leżały koło garażu, do którego ofiara tuż przed napadem wprowadziła samochód. To dom jednorodzinny przy małej, cichej uliczce. Olędzki był dyrektorem prywatnej kliniki psychiatrycznej w Gronowie, gdzieś koło Drawska Pomorskiego, w tygodniu mieszkał tam, a do domu wracał tylko na weekendy. Wtedy też wrócił na weekend, żona widziała światła zajeżdżającego pod dom samochodu. Dopiero po półgodzinie zorientowała się, że męża wciąż jeszcze nie ma, ale jak twierdzi, myślała, że po prostu zagadał się z sąsiadem. Kiedy wyszła, leżał z rozbitą czaszką na podjeździe, w kałuży krwi. Zmarł dwie doby później w szpitalu. Ofiara numer dwa zginęła na miejscu. Ewa Materny, lat trzydzieści siedem, sędzia szczecińskiego sądu rejonowego Szczecin–Prawobrzeże i Zachód. Zaatakowana podczas wieczornego joggingu w lesie, niedaleko swojego domu na Głębokim. Znaleziona przez przechodniów. To było trzynastego kwietnia, w Wielki Czwartek. Trzecia ofiara, podobnie jak

pierwsza, też jeszcze żyła, kiedy ją znaleziono, ale zmarła w karetce w drodze do szpitala. Anita Ejzert, lat pięćdziesiąt dwa, dyrektor szczecińskiego oddziału Pomorskiego Banku Przemysłowo-Gospodarczego w Gdańsku. Miała właśnie jechać na służbową kolację do centrum. Mieszkała w Podjuchach, na Cynowej. To stało się tydzień temu, dziesiątego...

Pokiwałem głową. Ta wiadomość mignęła mi gdzieś w gazetach, które przeglądałem na swoim odludziu. Wieść o „Snajperze”, czy raczej „Nietykalnym”, dotarła wtedy i do mnie.

– Dom Ejzertów też położony jest w bardzo spokojnej okolicy, blisko kompleksu leśnego. Ciało dość szybko znalazł mąż, bo ofiara zaczęła głośno rzeźnić. Zachował zimną krew i zadzwonił na policję, więc ekipa zjawiała się błyskawicznie. Zarządziliśmy oczywiście obławę, ale nic to nie dało. Pies podjął trop, ale zgubił go na pobliskich torach kolejowych. Założyliśmy, że skoro sprawca oddalił się w stronę ulicy Batalionów Chłopskich, przez tory i las, to nie przyjechał na miejsce samochodem, bo zaparkowałby go gdzieś niedaleko, najwyżej kilka ulic dalej. Przejrzeliśmy więc monitoring ze środków komunikacji miejskiej; autobusów przejeżdżających przez Podjuchy, nawet tramwajów startujących z pętli na Turkusowej.

– I nic?

– I nic. – Pokręcił z niechęcią głową. – Być może on nawet znajdował się wśród pasażerów, ale nie zauważyliśmy nikogo, kto zachowywałby się podejrzanie. A przecież nie będziemy identyfikować na podstawie zdjęć z kamer setek ludzi, nawet trudno sobie wyobrazić, jakby to miało wyglądać...

– Racja – mruknąłem.

– No właśnie. Ze względów, o których za chwilę, przyjęliśmy, że we wszystkich przypadkach sprawca jest ten sam. Ofiary łączy kilka rzeczy. Po pierwsze: miały wysoki status społeczny; pełniły ważną funkcję na wysokim stanowisku, co związane było również z wysokim wynagrodzeniem i odpowiednim statusem materialnym. Można powiedzieć, że ofiarami byli bogaci i wykształceni ludzie. Czasem bardzo bogaci. Wszystkie mieszkały w domach jednorodzinnych, to też nie jest bez znaczenia. Chodzi mi o tuje, żywopłoty, mury, czyli efekty zabiegów służących zachowaniu prywatności, które niejako obróciły się w końcu przeciwko nim. A dlaczego? Bo nikt Nietykalnego nie zauważył, kiedy obserwował wcześniej swoje ofiary, nawet one same. Tak uważamy; musiał je obserwować, zanim przeszedł do rzeczy. Zostały zaskoczone przez sprawcę w sytuacjach związanych z pewnym unormowaniem życia – piątkowe powroty Olędzkiego, służbowe kolacje Ejzert, na które chadzała dość często i regularnie, no i codzienny jogging Materny. Czy je znał, czy tylko obserwował? Czas między

zabójstwami nie jest zbyt długi, co może również zasugerować, że znał je osobiście – inaczej nie połapałby się tak szybko w tygodniowym rozkładzie. Treść jednego z listów może z kolei sugerować, że jednak przypatrywał się życiu ofiar przez jakiś czas. Jeżeli jednak działał z zaskoczenia, pod wpływem impulsu... Cóż, wtedy nie pasuje status majątkowy i społeczny, no chyba że to faktycznie przypadek, czego przecież nie możemy do końca wykluczyć... Dobra, dwa: narzędzie zbrodni. Raporty z sekcji mówią o narzędziu twardym, tępokrawędzistym, prawdopodobnie młotku, co najmniej półtorakilogramowym. Sprawca jest dość silny, praworęczny i raczej wysoki, sądząc po obrażeniach i obszarach głowy, w których je zadano. Zachodził je od tyłu, zadawał cios z góry, a kiedy ofiara upadała, poprawiał, do skutku... U kobiet stwierdzono również ślady penetracji analnej i waginalnej, ale zdaniem patologa otarcia powstały wskutek użycia czegoś twardego, być może nawet trzonka młotka, którym je zabijał. Nie gwałcił ich, zbok po prostu stał i trzepał się, patrząc, jak jego ofiary umierają... – Wzrok Rędzi niczego nie wyrażał. – Nie wierzę, że ktoś może robić takie rzeczy, po prostu nie wierzę...

– A co z tym nabojem?

– Właśnie. Trzy: pozostawiony na miejscu zbrodni nabój pistoletowy dziewięć milimetrów Parabellum. Jego znak. Symbol.

– Znak czy symbol?

– A to jakaś różnica?

– Poniekąd. Mówiąc znak, mam na myśli coś w rodzaju podpisu sprawcy, a symbol: coś, do czego morderca nawiązuje. Na przykład do wydarzenia, z powodu którego teraz się mści. O to mi chodzi.

– Okej. To może być w tym wypadku równoznaczne. Mam na myśli jego znak rozpoznawczy. Rozmawialiśmy już o tym z psychologiem, a i tak jutro, pojutrze zaaranżujemy następne spotkanie. W sprawie Ejzertowej. Chciałbym, żeby się wypowiedział. – Tomek przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. – No i cztery. Listy. Pisane na komputerze, w edytorze tekstu, drukowane na drukarce laserowej, bez odcisków palców tym razem.

– Tym razem? – zapytałem. – Zostawił gdzieś odciski?

– Owszem. To dziwne, ale pod tym względem nie jest zbyt ostrożny. Przede wszystkim przecież zostawił ślady biologiczne. Z premedytacją, tak? Spuszczenie się na ofiarę nie jest działaniem noszącym znamiona zachowania własnej tożsamości w tajemnicy. Poza tym ujawniono odcisk palca na jednym z nabojów. Na tym znalezionym przy pierwszej z ofiar, przy Olędzkiej. Nierejestrowany w bazie AFIS. Śladów DNA również nie mamy w bazach, jak się domyślasz, ale chodzi o to, że jak już go dorwiemy, to zdobędziemy materiał porównawczy. Facet zostawia swoją spermę i te paluchy, jakby w ogóle

nie dbał o ostrożność. Takie działanie charakteryzuje sprawcę chaotycznego, impulsywnego, co mogą potwierdzać te obrażenia, które zadaje. Ale listy... Te listy pisze na chłodno, na spokojnie, jakby zbrodnia go... Nie wiem, wyciszała czy uspokajała. Snuje refleksje, wraca do swojego dzieciństwa, ale nigdy w sposób, który mógłby go jakoś zidentyfikować: zero dat i konkretnych miejsc. Trochę się przechwała. A potem zabija znowu. I znowu przysyła list. Pieprzony pojeb...

Przerwał na chwilę, w jego spojrzeniu przez moment pojawiło się to coś, co widziałem kilka minut wcześniej, gdy mówił o trzonku młotka.

– Co powiedziałeś przed chwilą? – zapytał nagle. – O zemście? Że kulka jest nawiązaniem do czegoś, za co on teraz się mści?

– A to takie mało prawdopodobne? Ale ja nawet nie mówiłem o zemście na konkretnych ludziach za konkretną rzecz. Każdy psychol zabijający seryjnie ludzi mści się w ten sposób za doznane krzywdy, tak? Spaprane dzieciństwo, toksyczną matkę albo ojca, albo wujka, który wkładał ręce tam, gdzie nie powinien. Na przykład w jego majtki, kiedy miał dziesięć lat...

– Są i tacy mordercy, którzy mieli szczęśliwe dzieciństwo... – Rędzia westchnął.

– Śmiem wątpić. To musiało być tylko pozornie szczęśliwe dzieciństwo. Coś musiało się w nich stać, że robili to, co robili.

– Możliwe. Wiemy na pewno, że nie lubi policji, zobaczysz, jak przeczytasz w spokoju listy. Widzisz, dziewięćdziesiąt dziewięć procent zabójstw jest popełnianych z jednego z trzech powodów na literę „Z”: zemsty, zazdrości oraz z braku powodu. Tę ostatnią przyczynę wieńczą zwykle słowa: „To się po prostu samo stało, wysoki sądzie...”. To jak motto bezsensownej śmierci. Te trzy powody, z których ludzie popełniają morderstwa, są najpopularniejsze od czasu, kiedy Kain zabił swojego brata Abła. I jeden z tych powodów, właśnie zemsta, może być motywem. Taka szerzej pojęta zemsta, rozumiesz? Może ktoś z jego bliskich ucierpiał z rąk stróżów prawa, może jego ojciec siedział w więzieniu, nie wiem... Nie nazywamy Nietykalgono seryjnym, choć zabił już trzy, najprawdopodobniej przypadkowe osoby. Na razie nie stwierdziliśmy bezpośrednich powiązań między ofiarami, ale przecież nie możemy wykluczyć, że one istnieją, tak? – Tomek oklapł nagle w fotelu. – A jeśli chodzi o popaprańców: mamy jeszcze jeden mały problem, a może i wcale nie taki mały. To prokurator, który prowadzi śledztwo. Dupek. Roman Cieślak się nazywa, jest z okręgowki. Spotkania z Cieślakiem odbywają się codziennie. Przekazuje nam, co mamy zrobić albo sprawdzić, odbiera raporty, co już zrobiliśmy i co sprawdziliśmy, i wkurwia się na nas, że nawet na krok nie zbliżyliśmy się do sprawcy. Czasem mam ochotę palnąć, że on też nie, i sam się sobie dziwię, że jeszcze

tego nie zrobiłem. Za to kiedy Cieślar nie może z jakiegoś błogosławionego powodu przyjść, wysyła swojego zastępcę, Maćka Zabiellę, i to są chwile wytchnienia. Atmosfera jest przyjemna, profesjonalna i pełna wzajemnego zrozumienia. Są pomysły, które nie zawsze się sprawdzają, ale przynajmniej są. A następnego dnia znów przyłazi Cieślar i znów jest, jak było. Atmosfera zmienia się diametralnie, a ja nie mogę uwierzyć, że dwóch przedstawicieli tego samego zawodu może lokować się na skrajnie przeciwległych końcach skali człowieczeństwa. Skurwiel kontra niesamowicie porządny gość...

– Z policjantami jest tak samo, nie sądzisz? Również z lekarzami, hydraulikami i tak dalej. – Wzruszyłem ramionami. – Ludzie to ludzie...

– Może i masz rację. Ale poczekaj do jutra, aż poznasz Cieślara. Chyba że przyjdzie Zabiello, czego nam życzę.

Do późnych godzin wieczornych Rędzia zaznajamiał mnie ze sprawą Nietykalnego. Pokazywał zdjęcia z miejsc zbrodni, dowody tam zebrane, listy, które do komendy przysłał szaleniec. Listy, a w zasadzie ich kopie, pozwolił mi zabrać do domu, żebym sobie poczytał do poduszki. W końcu stwierdził, że właśnie sobie przypomniał, że ma rodzinę, a w związku z tym pierdoli i wraca do domu. Zrobiłem to samo, choć w moim domu nie czekał na mnie nikt.

Po przyjeździe przygotowałem kolację. Usiadłem na kanapie w saloniku, mając przed sobą okno wychodzące na zachód. Zmierzch następował już dość późno, kwadrat okna wypełniony był granatem na górze i żółcią na dole, a pomiędzy nimi prezentowało się całe spektrum przenikających się odcieni tych barw. Wpatrywałem się przez jakiś czas w ten spektakl natury, konstatuując ze smutkiem ogrom zmian, jakie nastąpiły w moim życiu w ciągu ostatnich dwóch lat. Siedząc tak samotnie i gapiąc się w okno, miałem świadomość tego, że oto nadciąga starość. Zdawałem sobie sprawę z tego, że również ode mnie zależy, jak szybko nadejdzie, ale nie miałem wątpliwości: to nie była kwestia zbyt długiego czasu. Zrobiło mi się chłodno, sam nie wiem, czy ten chłód czułem bardziej na skórze, czy w środku. Napilem się herbaty, a potem włączyłem lampkę i wziąłem do ręki kopie listów od Nietykalnego.

Były oznaczone numerkami, które w rogach kopii napisał mi Rędzia. Na liście numer jeden zobaczyłem pieczęć kancelarii ogólnej KWP z datą wpływu. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że sprawca będzie wysyłał listy do policji. Tego dnia, kiedy ów list przyszedł, był najzwyczajszym listem, jednym z setki i zanim pani z kancelarii zorientowała się, czym jest, zdążyła przybić datownik i zostawić trochę odcisków palców. Następne już pieczołowicie zabezpieczano, podejrzewam, że niemal wyrywano je bezpośrednio z rąk listonosza, kiedy tylko

przesyłka trafiała na Małopolską. Tomek wspomniał, że wszystkie trzy listy wrzucono do skrzynek pocztowych w różnych punktach miasta. Nie zostało ich tak wiele, wypierane przez nowe technologie wymierały niczym dinozaury, ale te, które wciąż istniały, zapewniały w jakiś sposób anonimowość. Także Nietykalnemu. Pierwszy wrzucił do samotnej i zapomnianej skrzynki na Warszawie, drugi w placówce pocztowej w Urzędzie Wojewódzkim, a trzeci do skrzynki przy poczcie głównej na Dworcowej. Numer jeden nadał w tym samym dniu, w którym zamordował psychiatrę. Wrzucił go do skrzynki koło placówki na Dzierżonia, róg Złotowskiej, zaledwie kilkaset metrów od miejsca zbrodni. Numer dwa dzień po morderstwie sędzi, w Wielki Piątek. Trójkę trzy dni po zabiciu dyrektorki banku. Różny czas, różne miejsca. Tym samym wiszący w moim dawnym gabinecie plan miasta przekształcony w mapę aktywności sprawcy został upstrzony tworzącymi swego rodzaju diagram pinezkami. Problem w tym, że z owego diagramu nie dało się wyczytać niczego; żadnego powiązania. Układ pinezek był zupełnie przypadkowy, choć swoją drogą czego innego można by się spodziewać? Że ułożą się w odwrócony pentagram?

Na jeszcze jedną rzecz zwróciłem uwagę. Tomek wspomniał, że listy uspokajają emocje po morderstwie, ale fakt nadania listu numer jeden jeszcze tego samego dnia, a przecież był to wieczór, świadczył według mnie

o czym innym. Sprawca miał ten list ze sobą. Miał go w trakcie zabójstwa albo wrzucił go do skrzynki, gdy szedł do domu Olędzkiego. List przygotował wcześniej... Z kolei z listem numer dwa jeszcze do niedawna Rędzia wiązał spore nadzieje, a przynajmniej tak wspomniał rozgoryczonym tonem. W Urzędzie Wojewódzkim monitoring obejmował również hol wejściowy od strony ulicy Jarowita, w którym znajdowała się poczta. Nadzieje okazały się jednak płonne. To był okres przedświąteczny. Przy okienkach kłębiły się tłumy, kilkanaście osób wrzucających listy do wiszącej na ścianie skrzynki zasłoniętych było szczelną ścianą, cielskiem węża składającego się z podenerwowanych, przebierających ze zniecierpliwienia nogami ludzi. Jedna z tych osób zamiast spóźnionej kartki świątecznej wsunęła w szparę czerwonej skrzynki świadectwo swojej zbrodni. Sęk w tym, że nikt nie wiedział która. Kilkugodzinny seans najnudniejszego filmu świata skończył się podobno dla chłopaków totalnym zwątpieniem w sens tej pracy. Cieszyłem się, że mnie to ominęło.

List numer jeden nie był długi. Ot prolog, wstęp, zapowiedź czegoś poważniejszego. Przywitanie.

Hej, szczecińska Policjo! Proponuję wyzwanie. Wy i ja. Samotny strzelec kontra banda zbirów w granatowych mundurach, bandytów zabijających w komisariatach niewinnych ludzi. Ostatni sprawiedliwy kontra stróże

bezprawia. Numer jeden zapłacił już najwyższą cenę, będą następni, tego możecie być pewni. Nie możecie mnie powstrzymać, bo jestem Nietykalny. Wczoraj był krwawy zachód słońca. A kiedy słońce zachodzi krwawo, to znaczy, że następnego dnia będzie wiatr. Lubię krwawe zachody słońca i lubię wiatr. Ja jestem jak wiatr. Wiatr, którego nie można dotknąć, można tylko zobaczyć jego skutki. Jest mi smutno, ale musiałem to zrobić. Wiatr nie jest winny zniszczeń. Winni są ludzie, którzy go nie docenili i zbudowali zbyt słabe domy. On był słaby. Ładny samochód, ładny dom i ładna żona to nie wszystko, kiedy jest się słabym. Wypatrujcie następnych trupów i czekajcie następnych wieści!

Nietykalny

I tyle. Drugi list był odrobinę dłuższy i równie bogaty w przemyślenia.

To znowu ja, Policjo! Znów uderzyłem, znów celnie i znów jesteście bezradni. Numer dwa, na pewno nie ostatni. Tym razem było przyjemniej, zdecydowanie przyjemniej, lubię, kiedy kobiety są spocone. Opowiem Wam coś. Jako dziecko byłem zabierany nad morze. Pamiętam taki widok, kiedy szliśmy na plażę: sosnowy las, poprzybijane do pni czarne plastikowe doniczki, do których z nacięć w korze spływała żywica. Te nacięcia wyglądały jak nieudolny rysunek choinki zrobiony przez

dziecko i odwrócony do góry nogami. Były głębokie. Pachniały. Pamiętam ten zapach i pamiętam również, że zastanawiałem się, czy drzewa to boli. Czy cierpią w milczeniu, czy może szum ich koron jest ich skargą, czy boli je jeszcze bardziej, kiedy wygina je wiatr wiejący znad morza? Czy wiedzą w ogóle, po co oddają swoją krew ludziom? I czy w końcu umrą same, zmarnieją i uschną, czy nie zdążą, bo zabiją je ci sami ludzie, którzy zrobili im te nacięcia, a potem przerobią ich pozbawione bursztynowej krwi drewniane ciała na deski? A z tych desek powstaną trumny i będą później do nich wkładani tacy ludzie jak ci, którzy je zabili. Najgorsze było to, że niektóre z tych doniczek były oberwane albo przekrzywione, bo ktoś przybił je niedbale albo nie chciało mu się przyjść i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Żywica skapywała na ziemię. Marnowała się, czyniąc te straszne rany jeszcze bardziej bezsensownymi. Kompletnie bezsensownymi. Wciąż zastanawiam się, jak te drzewa się czuły. A jak Wy się czujecie? Ja wiem jak. Krwawicie. Mocno. Wszyscy. I będzie jeszcze więcej krwi. Będzie spływać z ludzkich głów jak żywica z pni tych nadmorskich sosen, których już nie ma. I będzie wsiąkać w wybrukowane granitową kostką podjazdy przed garażami bogatych domów i w klepiska zaniedbanych blokowych podwórek. Będzie wsiąkać jak ta żywica, którą zmarnowało ludzkie niedbalstwo. Obiecuję Wam to solennie.

Nietykalny

W trzecim liście odniósł się do nadanego mu przez media przydomku „Snajper”. Nie rozpisywał się tym razem, ale to nie zmieniało postaci rzeczy; treść listu świadczyła o tym, że mamy do czynienia z człowiekiem nieobliczalnym.

Ahoj, Policjo, to znowu ja. Nietykalny. A może „Snajper”? Widzę, że nasza korespondencja jest tajemnicą? Cieszę się. W końcu to gra tylko między nami, po co mieszać w to opinię publiczną, bandę durniów, słabeuszy chłonących papkę ze szpalt gazet i ekranów telewizorów. Zdecydowanie wolę przydomek „Nietykalny”. Pocisk to element naszej gry, ale sami musicie dojść, po co go zostawiam. To w końcu gra, prawda? A każda gra ma to do siebie, że ktoś musi ją wygrać, a ktoś przegrać. Takie są reguły i trzymajmy się ich. To co, może mała wskazówka? Zastanawiacie się pewnie, skąd się wziąłem? Z przeszłości. Wziąłem się z przeszłości, skrzęcej się drogocennym blaskiem. Na razie wystarczy. Sam nie wiem, kim będzie następna ofiara. Kobieta, mężczyzną, dzieckiem? Kogo olśni blask z przeszłości, kogo mi wskaże? Działajcie, czasu jest niewiele.

Nietykalny

Kiedy tuż przed pójściem spać myłem zęby, poprzez szum wody w grającym w salonie radiu usłyszałem Back in black AC/DC. Pomyślałem, że to trochę jak znak. Znów miałem kroczyć ciemną doliną i doświadczać zła w najgorszej postaci, bo ucieleśnionego. Wyszczrzyłem pokryte spienioną pastą zęby do chudzielca przed sobą i zapytałem go: „Znowu w grze, co, Suder?”. Ale gość w lustrze nie odpowiedział, tylko popatrzył mi w oczy, a potem ściągnął usta, ścierając pianę z zębów i uśmiechy z naszych twarzy. Zgasilem światło w łazience, a kiedy już miałem kłaść się na kanapie, rozległo się ciche stukanie do drzwi. Poszedłem otworzyć. W mroku majaczyła postać sąsiada Waldka.

– Cześć, panie Darek – zagaił nieśmiało. – Wiem, że późno, ale interesy swoje miałem, a teraz pomyślałem, że lepiej z tym nie czekać.

– Co tam, panie Waldku? – zapytałem.

– Pytali o pana. – Waldek przybliżył się odrobinę i jego twarz wychynęła z ciemności, oblewając się nikłą poświatą światła lampki dochodzącego z salonu.

– Kto pytał?

– A, tacy... Pana koledzy, niby.

– Jacy koledzy? – zaniepokoiłem się lekko.

Przecież ja już prawie nie miałem kolegów.

– Policja. – Waldek pociągnął nosem, jakby lekko zakłopotany. – Nie wiem, kto konkretnie, bo tylko mignęli mi czymś przed nosem, aż się przestraszyłem, że

za te leśne sprawy po mnie przyszli. Ale pytali, czy był pan w domu.

– Kiedy? – nie zrozumiałem.

– Podali jakieś daty, ale zapamiętałem tylko tę tuż przed Wielkanocą. Wielki Czwartek spędziliśmy razem i to pamiętam, przynajmniej do pewnego momentu, co nie, panie Darek? – Uśmiechnął się szeroko.

Miał rację. Uszczupliliśmy we dwóch jego zapas nalewek, które miały to do siebie, że były wyjątkowo zdradliwe. Człowiek orientował się, że przesadził, dopiero kiedy chciał wstać, a wtedy było już za późno.

– To w związku z pracą – uspokoilem Waldka. – Dzięki za czujność.

– Pan wie, że jestem lepszy niż te wszystkie zasrane wynalazki, te monitoringi-sringi. – Wycelował we mnie palec.

– Wiem – przyznałem.

To prawda, Waldek był lepszy. Pożegnałem go i poszedłem spać, nie zastanawiając się więcej nad tajemniczą wizytą kolegów.

Następnego dnia stawilem się w komendzie jak pełnoprawny pracownik. Punktualnie o siódmej trzydzieści zameldowałem się w moim dawnym gabinecie. Był tam tylko Tomek. Siedział przy biurku nad kanapką, kawą i gazetą, a kiedy wszedłem, leniwie skinął mi głową, choć w jego oczach błysnęło zdziwienie. Mruknął coś tylko i wrócił do lektury. Po chwili oderwał wzrok od gazety i spytał niewyraźnie:

– Kawy chcesz?

Kiedy potwierdziłem, wskazał oczami ekspres w kącie i przełykając kęs bułki, rzucił:

– Jest kilka smaków do wyboru. Zrób sobie, na jaką masz ochotę.

Tak właśnie zrobiłem. Kiedy filiżanka wypełniła się gorącym napojem z nutą wanilii, zabrałem ją z urzędnika i podszedłem do Tomka. Spojrzał na moją kawę i powiedział:

– W sumie dobrze, że się zjawiłeś. Twoja kolej na kupno kapsulek. Tak tu mamy: każdy po kolei dostarcza

nową partię, kiedy się kończą. To tak organizacyjnie. Aha, ostrzegam: sporo tu tego towaru schodzi.

– Jasne, nie ma sprawy, kupię. Zawsze są dobre strony niespodziewanych zdarzeń. Zawsze – podkreśliłem z mocą, nie żeby się dobrze zaprezentować czy wytłumaczyć, tylko dlatego, że naprawdę mocno w to wierzyłem.

W ciągu kwadransa w pokoju zjawily się dwie następne osoby. Członkowie zespołu „Nietykalny”. Najlepsi kryminalni w komendzie. Elita. Musiałem uczciwie przyznać, że na nią nie wyglądali. W ogóle. Rędzia przedstawiał mi ich w takiej kolejności, w jakiej się pojawiali.

– Sławek Jończyk, szaszłyk z mojego zespołu – powiedział, kiedy za dwadzieścia ósma do pokoju wszedł chudy, blady i wysoki blondyn w drucianych okularach, w jakich chodziło się w latach dziewięćdziesiątych. – Uwielbia grzebać w papierach, przejawiając w tym kierunku nadzwyczajne zdolności. Jak się na czymś nie zna, to poznaje w trzy dni, nieważne, czy to księgi wieczyste, prawo handlowe, czy instrukcja obsługi instalacji z ciekłym azotem. Nikt jeszcze nie zdołał nakłonić go do tego, żeby wyszedł trochę na słońce i przestał różnić się kolorem skóry od tych papierzysk, w których lubi grzebać.

Jończyk spojrział na Rędzię znacząco, ale on się tym w ogóle nie przejął. Szaszłyk w policyjnym slangu

oznacza aspiranta. Nagle poczułem lekki zapach świeżego potu.

– A to pan radca Darek Suder – dodał Tomek, wskazując na mnie kubkiem ze swoją kawą. – Świeży narybek w naszym zespole. Będzie nam patrzył na ręce. – Mrugnął do mnie naraz jednym i drugim okiem, co wyglądało jak tik, ale miałem nadzieję, że to nie tik, tylko po prostu sygnał, że był to żart. Nie najwyższej próby, ale żart.

Pięć minut później do pokoju wpadł następny członek zespołu. Jończyk właśnie kończył robić sobie kawę, zadowolony, że odwlekleła się w czasie jego kolej na kupno kapsułek do ekspresu. Wyglądało na to, że schodziły jak cukier za komuny: ledwo się pojawił na półkach, a już znikał. Najprawdopodobniej kawa była jedynym pitym w tym pomieszczeniu napojem.

– Komisarz Krzysiu Zalewski, zespół poszukiwań celowych. – Rędzia walnął na powitanie szatyna z kędzierzawymi włosami opadającymi na czoło, ubranego w skórzaną kurtkę motocyklisty, ale takiego motocyklisty, który nie ma motocykla. – W przeciwieństwie do kolegi Jończyka nie przejawia żadnych nadzwyczajnych zdolności w jakiejś konkretnej dziedzinie. Po prostu jest. Dokładny, metodyczny, pomysłowy i logiczny. Podobno. Tak, Krzysiu?

Zalewski ze stoickim spokojem skinął głową i skierował się ku szafce z ekspresem do kawy.

– Też tak słyszałem – odparł.

– Poznajcie się z Darkiem. – Tomek wykonał rękami ruch, jakby przysuwał nas do siebie. – Jaki jest Darek, to nie wiem, ale będzie tu z nami gnił, aż znajdziemy tego skurwysyna z młotkiem. Nie mam nic przeciwko Darkowi, choć pewnie w to nie wierzy, ale obyśmy gnili tu razem jak najkrócej. Pijcie, co tam macie, i do roboty.

Popijając kawę, znad krawędzi filiżanki spoglądałem na krzątających się po gabinecie nowo przybyłych mężczyzn. Wyraźnie udawali, że ich nie interesuje.

– Ale wiecie, kim jestem? – zapytałem w końcu. – W zasadzie kim byłem?

Zaczęli mi się przyglądać. Jończyk cmoknął, a Zalewski zmarszczył nos. Obaj w milczeniu pokiwali głowami, gapiąc się na bok mojej głowy, aż blizna zaczęła mnie swędzieć, choć wyłącznie w umyśle.

– Tylko nie wiecie dokładnie, po co tu jestem? – upewniłem się.

Obaj powtórzyli gest, więc w odpowiedzi ja powtórzyłem to, co wczoraj powiedziałem Rędzi. Wyglądali na zadowolonych takim obrotem sprawy. Może też nie lubili niedopowiedzeń.

– Pięknie – rzucił Tomek. – To teraz jesteśmy jedną wielką rodziną. Policyjną, oczywiście... Ja będę tatusiem. Wczoraj po południu i wieczorem opowiedziałem Darkowi o naszych dotychczasowych ustaleniach, a przynajmniej o większości. Niemożliwością jest przekazanie tego

wszystkiego w tak krótkim czasie, to zrozumiało. Dlatego w razie pytań udzielacie mu wyczerpujących odpowiedzi, posiłkując się materiałami, które mamy. Nic w tej odpowiedzi nie ma prawa umknąć, każdy detal ma znaczenie, dlatego podkreślam przymiotnik: „wyczerpująca”. Darek ma jak najszybciej wiedzieć to, co my. Wszystko. Teraz byłem śmiertelnie poważny, więc pytam, czy to jasne.

Zalewski i Jończyk pokiwali głowami. Sławek dolał sobie do kawy mleka i usiadł przy biurku, stawiając ją przed sobą i obejmując kubek dłońmi, jakby było mu w nie zimno. Milczeliśmy. Miałem wreszcie okazję lepiej przyjrzeć się swoim współpracownikom.

Sławek ubrany był dość niedbale. Wyglądał, jakby nie przywiązywał do stroju większej wagi. Nie miał obrączki, z czego mogłem wyciągnąć wniosek, że nie ma nikogo, kto by o to dbał w jego imieniu albo chociaż zachęcił go, by sam zaczął to robić. Lekko wyczuwalny zapach potu mógł tę teorię potwierdzać. Zalewski pod tym względem był kompletnym przeciwieństwem Jończyka. Był dość przystojny, w ten specyficzny, łobuzerski sposób, który tak lubią kobiety. Niesforne loki wysuwały się z za uszu, opadając na ciemne oczy, więc Krzysiu odsuwał je co jakiś czas spokojnym, wyćwiczonym ruchem, zakładając je z powrotem za uszy, po czym cała procedura zaczynała się na nowo. Obaj z Jończykiem zbliżali się do

czterdziestki, choć docierali do tej granicy różnymi ścieżkami.

Cisza się przedłużała, więc przejąłem inicjatywę.

– Poczytałem sobie wczoraj te wybitne dzieła epistolografii. – Wskazałem leżące na biurku kserokopie listów Nietykalnego. – Tomek wspominał coś o opinii psychologa wydanej na ich podstawie, ale jej jeszcze nie czytałem. Tylko te listy. I po tej pasjonującej lekturze nasunęło mi się kilka wniosków, które niekoniecznie muszą być słuszne, ale chciałbym się nimi z wami podzielić.

– Proszę. – Chłopaki odstawili kubki i zaczęli się we mnie wpatrywać.

Nie wyglądali, jakby sobie ze mnie kpili, choć podświadomie oczekiwałem takich zagrywek. W stadzie zawsze będzie rywalizacja. Nawet jeśli nie ma w nim samic i liczy tylko dwa osobniki.

– Przede wszystkim odniosłem wrażenie, że to niestety inteligentny facet. Po moich doświadczeniach życiowych byłbym ostrożny w określaniu płci sprawcy, bo czasem można się porządnie zdziwić, ale przyjąłem w ślad za opinią biegłego badającego charakter obrażeń, że to jednak mężczyzna. Tę tezę może również potwierdzać fakt, że kobiety nie produkują nasienia. – Uśmiechnąłem się lekko i nie wiem czemu, ale przed oczami stanęła mi nagle twarz Marty Kielan. – To inteligentny mężczyzna. Nie psychiczny, nie w tym

tradycyjnym pojęciu. Zobaczcie... – wziąłem do ręki jeden z listów i podniosłem go, jakby to miało w czymś pomóc – ... zdania są krótkie, niekiedy zastępowane równoważnikami. Ludzie zaburzeni psychicznie budują długie, złożone i chaotyczne zdania, często bez znaków przestankowych. Obrazują one stan ich umysłu; to treść przelewana na papier w czasie rzeczywistym, nie ma czasu na namysł, na refleksję, na zastanowienie się. A tu? Wręcz przeciwnie. Bzdury, to prawda, ale ujęte w precyzyjne ramy zrozumiałej wypowiedzi. W dodatku z listu na list styl autora się poprawia, wygląda, jakby sprawcy spodobał się ten element gry. I równocześnie kontroluje się, by nie zdradzić za wiele. Żadnych konkretów. Nazw topograficznych, określeń osób bliskich... Przykład? Nie napisał: „tata i mama zabierali mnie nad morze”. Nie: „tatuś i mamusia” lub „mamusia i tatuś”, co mogłoby świadczyć może o lekkim dzieciennieniu, może o wyjątkowo mocnej relacji, a na pewno o jakiejś hierarchii. Nie: sama „mamusia” albo sam „tatuś”, co z kolei sugerowałoby brak któregoś z rodziców, nie: „ojciec”, czyli chłodniejszy lub bardziej męski związek emocjonalny. Nie napisał nawet: „rodzice zabierali mnie...”. Nie, on napisał: „jako dziecko byłem zabierany”. Moim zdaniem to ostrożność.

– A może w dupie ma i mamusię, i tatusia? – Zalewski siorbnął kawy.

– Brak związku emocjonalnego nie jest wykluczony – przyznałem. – Ale ostrożność przede wszystkim. Na to bym stawiał. Pilnuje się. Po prostu się pilnuje...

– A jak to się ma do faktu, że chłapie dookoła spermą i wszędzie zostawia odciski palców? – zapytał Jończyk.

– Jeden zostawił – zauważyłem.

– Ale zostawił. Gdyby był taki ostrożny, jak mówisz, wytarłby go. Nie zostawia nabojów przypadkiem, to przemyślany element gry, przygotowany zawczasu, sam to przyznał. Przecież musi nosić rękawiczki, skoro paluchów nie było na niczym innym; ani na sprzączce od paska tej dyrektorki, ani na komórce tej sędzi, a przecież ich dotykał. I nagle taki błąd?

– Właśnie. Pocisk przygotowywał w domu. A w domu nie nosi się rękawiczek i może się trochę zapomniał. Ale z tą... Z tym nasieniem... Taak, masz rację, to stoi trochę w sprzeczności. Chyba że po prostu nie zakłada, że zostanie złapany. Każdy z tych pojebów jest pewien, że przechytrzy policję. A Nietykalny musi być o tym przekonany jak żaden inny. W końcu sam pseudonim o tym świadczy, no nie? Ale jest jeszcze jedna rzecz, która też trochę do tego nie pasuje. Słowa „Policja” i „Wy”, czyli my, pisze wielką literą. Albo jest grzeczny, albo ma jakiś szacunek do nas. Albo obie te rzeczy naraz, w każdym razie nie jest aż tak bezkrytyczny wobec siebie, ani tak krytyczny wobec policji, jak pisze, wspominając o bandytach w mundurach. Jest świadomy, że

przeciwnik, czyli my, dysponuje mimo wszystko znacznymi siłami. I to mnie martwi. Bo oznacza, że będzie się lepiej pilnował. Będzie nas traktował poważnie, jak godnego przeciwnika. Będzie mniej nonszalancki, a więc uważniejszy i zapewne nie powtórzy błędu z odciskiem palca. Powtarzam: niewątpliwie jest inteligentny. Zna takie słowa jak „solennie” albo „szpalta”. A to „pozbawione bursztynowej krwi drewniane ciała” to niemal poezja...

– Raczej grafomania. – Zalewski się skrzywił.

– To nieistotne, o gustach się nie dyskutuje. W każdym razie pewne jest, że takich sformułowań nie użyje debil o ilorazie inteligencji równym wartością długości swojego prącia podanej w centymetrach. No i nie zna się na broni...

– Bo? – Zalewski uniósł lekko brwi.

– Wspomniał o pocisku, który jest elementem gry. Osoba obeznana z bronią raczej nie popełni takiego powszechnego błędu. Określenie pocisk używa się zamiennie z nabojem, ale nieprawidłowo, wyłącznie potocznie, bo sami przecież wiecie, że to nie to samo. Ktoś, kto ma styczność z bronią albo chociaż został przeszkolony w jej użyciu, tak nie powie.

– Możliwe.

– I ostatnia rzecz. Blask przeszłości. Wskazówka z listu numer trzy, po zabójstwie tej Ejzert. Wskazówka-niewskazówka. Z jednej strony sam nam ją podaje. Ale

z drugiej, nawet jeśli to element jego chorej gry, to przecież nie może zrobić tego w oczywisty sposób, który pozwoli nam zbyt szybko go zidentyfikować. On przecież w ogóle nie może mieć pewności, kiedy wpadniemy na to, o co mu chodzi, rozumiecie? Może jutro, a może nigdy. Tego się nie da zaplanować. Naoglądał się filmów, jakichś Siedem czy Zodiak i teraz próbuje być oryginalny. Więc wydaje mi się, że nie ma sensu traktować tej wskazówki zbyt poważnie; że to zwód. Nie gra, ale gierka. Może go to rajcuje?

– No dobra, pomądrzyłeś się i przyznaję, że coś w tym jest. Powiedzmy, że twoja opinia niezbyt odbiega od opinii zespołu psychologów. – Tomek zerknął na zegarek. – Aha, Cieślar wpadnie dziś wcześniej, o dziesiątej. Zapomniałem wam przekazać, że dzwonił do mnie z samego rana.

– Po co znowu ma wpadać? – zdziwił się Zalewski.

– Po to co zwykle. Jeszcze się nie przyzwyczałeś?

– Nie mogłeś mu powiedzieć, że nic nowego nie mamy?

– Powiedziałem.

– I co?

– Nic. Będzie o dziesiątej.

– Czy on nie ma nic do roboty tam u siebie? A może mu wieczorem nie stanie, jak po kimś nie pojedzie? Przypomina sobie potem w sypialni, jak zjechał biednego policjanta...

– Sławek, daj już spokój, co?

Do dziesiątej chłopaki zdążyli pokazać mi kilkanaście kadrów z monitoringu udostępnionych przez szczeciński Zarząd Dróg i Transportu Miejskiego oraz przedsiębiorstwo autobusowe z Dąbia. Ujęcia przedstawiały ich zdaniem najpoważniejszych kandydatów na Nietykalnego. Wyróżniało ich nietypowe zachowanie, obserwowanie atrakcyjnych kobiet i gadanie do siebie. Sam Rędzia przyznał, że obserwowanie w tramwaju czy autobusie atrakcyjnych kobiet nie jest niczym nienormalnym, gadanie do siebie też jeszcze nie świadczy o zabójczych skłonnościach, ale usprawiedliwiał te wątpliwe pod względem efektywności działania chęcią zrobienia czegokolwiek. Rozumiałem to. Bardzo dobrze to rozumiałem.

O dziesiątej przyszedł prokurator Cieślar. Właściwie nie przyszedł; on wpadł do naszego pokoju tak, jak kapral wpada do izby poborowych. Bez krzty szacunku dla prywatności przebywających w środku osób. Zamknął za sobą drzwi tak samo gwałtownie, jak je otworzył, potoczył dzikim wzrokiem po pokoju, a na końcu zatrzymał go na mnie.

– A pan to...? – zapytał.

Miał całkiem przyjemny głos i dość sympatyczną twarz. Granatowy garnitur z jakiegoś sieciowego sklepu leżał na nim jak szyty na miarę, a staranny węzeł jedwabnego krawata mówił o tym człowieku więcej niż

jego CV. Gdyby Tomek nie powiedział mi wcześniej, jaki jest Roman Cieślar, niemal przysięgłbym, że po jednym wypitym z nim piwie mógłbym nazwać go dobrym kumplem, a po dwóch następnych pożyczyłbym mu samochód na tydzień. Ale mimo to, mimo jego ujmującego wyglądu, od razu go zniechęciłem.

Czasem człowiek tak ma i nic nie da się z tym zrobić.

– To pan tu wszedł – powiedziałem spokojnie, nie zmieniając pozycji na krześle. – Też nie wiem, kim pan jest, ale skoro ja byłem tu wcześniej, wypadałoby, żeby to pan przedstawił się pierwszy. Pomijając już fakt, że jestem starszy.

Cieślar stał przez chwilę nieruchomo z ręką za plecami, wciąż zaciśniętą na klamce.

– Proszę, proszę, panowie sobie akademię dobrego wychowania urządzili. – Krzywy uśmiezek wykwitł na jego twarzy. – Prokurator Roman Cieślar, ale nie powiem, że do usług.

– Dariusz Suder – mruknąłem w odpowiedzi. – Radca.

Formalnie nie byłem jeszcze radcą, ale to było w tym momencie mało istotne. Drobiazg niewart krzty uwagi.

– Radca. – Cieślar wypowiedział to słowo z kpina. – To może teraz pan radca opuści pomieszczenie, ponieważ mamy sprawę do załatwienia, a pan radca, jako człowiek spoza kręgu zainteresowanych...

– Ja jestem w kręgu zainteresowanych. – Podkreśliłem słowo „jestem”.

– Pozwolisz, kolego, że to ja będę o tym decydował, dobra?

Wstałem i podszedłem do prokuratora. Stałem tuż przed nim, spojrzałem na jego buty, potem na krawat, a następnie w twarz.

– Wypierdalaj – powiedziałem spokojnie, przekrzywiając głowę i obserwując, nie bez lekkiej przyjemności, jak oczy Cieślara najpierw stają się okrągłe, a potem zmieniają się w wąskie szparki.

– Coś ty...?

– Wypierdalaj – powtórzyłem równie spokojnym tonem jak przed momentem.

Kiedyś wybuchnąłbym srogim gniewem i pewnie zaczął machać rękami, ale teraz byłem oazą spokoju. Tomek pokazywał Zalewskiemu i Jończykowi coś na swojej komórcie, a chłopaki wpatrywali się w wyświetlacz z ogromnym zainteresowaniem, świata poza nim nie widząc. Cieślar ruszał zuchwą, a ja, oaza spokoju, stałem wciąż tuż przed nim, nie pozwalając mu zrobić ani kroku naprzód. Z tyłu miał drzwi, więc cofnąć się też już nie mógł. Chyba żeby je otworzył.

Znów szarżowałem. Sprowokowałem konflikt z człowiekiem, którego zobaczyłem po raz pierwszy w życiu. Nic mi nie zrobił, może z wyjątkiem uczynienia afrontu, który i tak spłynął po mnie jak woda po kacze. A jednak zrobiłem to. Nie byłem pewny, czy mam przewagę. Wiedziałem tylko, że ludzie przyzwyczajeni do

władzy i lubiący ją okazywać przeważnie tak naprawdę są słabi. Zwłaszcza ci, których władza nie wynika z ich realnej siły, tylko ze sprawowanego urzędu. Dla takich ludzi każda agresywna reakcja w odpowiedzi na ich butę sprawia, że miękną. Zamiast reagować równie brutalnie, zaczynają rozważać różne opcje, co się opłaca zrobić, a czego nie, a cenny czas mija bezpowrotnie i mogą już zrobić bardzo niewiele. A potem się wycofują, próbując uczynić to z godnością, choć przeważnie wychodzi im to żałośnie.

Nie pomyliłem się co do pana Cieślara. On też zaczął się wycofywać. Jego język ruszał się za zaciśniętymi ustami, jakby prokurator szykował się do oplucia mnie, ale to wszystko, na co było go stać. Patrząc na mnie mściwie, bez słowa nacisnął klamkę, otworzył drzwi, obrócił się na pięcie, aż zafurczały poły jego marynarki, i opuścił nas. Sławek i Krzysiu odczekali chwilę, a potem wstali i podeszli do drzwi. Jończyk otworzył je ostrożnie i wyjrzał na korytarz, a potem machnął na Zalewskiego i obaj wyszli z pokoju. Rędzia wpatrywał się przez chwilę w podłogę, a potem odwrócił się do mnie.

– Może być z tego mały smrodek.

– Liczę się z tym. Ale nie martw się, jestem smrodoodporny.

Tomek westchnął i spojrzał w sufit.

– No dobra. – Założył ręce na piersi i spojrzał na mnie.

– Jestem tolerancyjny, Darek. Nie przeszkadza mi na

przykład przykry zapach potu, chyba że wynika z braku higieny a nie z choroby, tak jak u Sławka. Nie przeszkadzają mi geje, lesbijki, miłośnicy kotów, fani disco polo ani że pada w niedzielę, kiedy jestem nad jeziorem, choć mogłoby w poniedziałek, kiedy tkwię w tym budynku, w którym teraz jesteśmy. Nie przeszkadzają mi również czyjeś poglądy, w tym głoszony przez niektórych, że w każdym zdarzeniu są zawsze dobre strony. – Spojrzał na mnie znacząco. – Tak na marginesie, uważam, że są zdarzenia, w których nie ma dobrych stron. Nieważne, powtarzam: jestem tolerancyjny. I choć uważam, że przed chwilą lekko przesadziłeś, to powiem ci również, że dla Cieślara tolerancji we mnie nie ma. Nie ma jej dla głupoty, bezczelności i arogancji tego człowieka. Dlatego, jeżeli faktycznie zrobi się z tego jakaś afera, to jeśli chcesz, będziemy mówić, że to w ogóle się nie zdarzyło albo przynajmniej, że nas wtedy z Zalewskim i Jończykiem nie było w pokoju. Że zostaliście w nim sami, a my trzej gremialnie poszliśmy się wyszczać albo zeszliliśmy na dół po batoniki do automatu ze słodyczami, jakimś cudem zupełnie zapominając, że takiego automatu w komendzie nie ma.

– Zrobią to dla mnie? – Zmarszczyłem brwi. – Dla obcego człowieka? To miłe.

– Cóż, spójrzmy na to w ten sposób: jeśli Cieślara ma choć odrobinę honoru, to więcej się u nas nie pojawi,

a przynajmniej będzie to robił niezmiernie rzadko, ograniczając bezpośrednio kontakty z nami do niezbędnego minimum. Resztę będzie załatwiał telefonicznie i mailowo. I choćby za to właśnie powinniśmy być ci wdzięczni. Jeśli chłopaki nie zrobią tego dla ciebie, to zrobią przeciw Cieśladowi. Efekt będzie ten sam. Wyjdiesz z tego obronną ręką. I o to chyba chodzi.

– Jeżeli wy macie mieć z tego powodu jakieś problemy, to nie ma sprawy – mruknąłem, machając ręką. – Podchodzę do takich rzeczy w dość specyficzny sposób, jak sam widziałeś. To, co mam w głowie, nieco pozmieniało mi priorytety. Przekonanie o potrzebie bycia grzecznym za wszelką cenę, bo tego wymagają normy współżycia społecznego, minęło mi dwa lata temu na parkingu Probstheide. A to, że właśnie zrobiłem sobie z prokuratora Cieślara osobistego wroga, martwi mnie jeszcze mniej. Nie ja prowokowałem konflikt, tylko on. Nie będę udawał, że pada deszcz, jak ktoś pluje mi prosto w twarz. Chamstwu należy się przeciwstawiać chamstwem, a nie kulturą osobistą. Cham kultury nie pojmuje.

Do pokoju weszli Sławek z Krzysiem.

– Poszedł do komendanta. – W głosie Jończyka było zdumienie. – Normalnie poszedł nakablować, jak jakiś gówniarz.

– Bo to jest gówniarz – powiedziałem. – Wygląda na czterdzieści lat, ale jest gówniarzem.

– Czemu to zrobiłeś? Żeby nas ująć? – zapytał Jończyk, poprawiając okulary zsuwające mu się ze spoconego nosa. – Jeśli tak, to niepotrzebnie. Skończyliśmy podstawówkę wiele lat temu.

Zastanowiłem się przez chwilę. Faktycznie mogło to tak wyglądać.

– Nie – odparłem beztrąsko. – Poszedłem na pełen spontan. Widzicie, ja... Ja mam od jakiegoś czasu taką dewizę życiową, że nie przejmuję się rzeczami nieistotnymi. Pierdołami, które wobec rzeczy naprawdę ważnych są niewarte uwagi. Nie muszę nikogo ujmować swoim zachowaniem, bo mam gdzieś, co kto myśli o moim zachowaniu. Przykro mi, będę brutalnie szczery, ale waszą opinię o sobie mam w tym samym miejscu. Jak mnie wkurzycie, to też wam to powiem bez ogródek, odpowiadając takim samym kalibrem. Odpowiedź będzie współmierna do zaczepki. Cieślar użył armaty, to ja też. Chamstwo chamstwem się odcisnęło. Wszystko na ten temat. – Rozparłem się na krześle i z uśmiechem na twarzy spojrzałem na nich.

W tym samym momencie zadzwonił telefon na biurku. Rędzia podszedł do niego i odebrał. Przez chwilę słuchał, a potem wciąż nic nie mówiąc, wyciągnął słuchawkę w moją stronę. Wyjąłem mu ją z ręki i przyłożyłem do ucha.

– Czy ja nie wspominałem nie tak dawno temu, że nie życzę sobie żadnych tarć? – zapytał Bartocha. – I że nie jestem waszym tatusiem?

– Owszem – potwierdziłem. – Pamiętam doskonale. Ale byłem przekonany, że to dotyczy zespołu „Nietykalny”. Poza tym ustaliliśmy z zespołem, że tatusiem zostanie komisarz Rędzia... – Mrugnąłem do Tomka.

– Panie Darku, ja pana proszę, dobra? Nie jesteśmy w przedszkolu. Prokuratora Cieślara również należy traktować jako członka tego zespołu. Zdaję sobie sprawę, że się świetnie bawiliście, ale nie życzę sobie następnych tego typu zabaw. Wyraziłem się jasno?

– Oczywiście. Nie będzie więcej zabaw. Czy on tam jest teraz z panem?

Bartocha chrząknął.

– Owszem. Ale nie musi mi pan niczego tłumaczyć. Temat zamknięty. A komisarzowi Rędzi proszę przekazać, żeby na przyszłość informował pana prokuratora o istotnych rzeczach dotyczących naszej sprawy. O nowych członkach zespołu „Nietykalny” również.

– Wie pan, on nawet nie pozwolił sobie...

– Wiem. Wiem to. I jak wspominałem przed chwilą, temat traktujemy jako zamknięty. Do widzenia.

Komendant się rozłączył. Odłożyłem słuchawkę i skrzywiłem się lekko.

– Załatwione. Smrodu nie będzie.

Wszyscy trzej popatrzyli na mnie ponuro.

– Poczekaj jeszcze – powiedział Tomek złowieszczo. – Nie znasz Cieślara. On ci tego nie daruje.

Nie przejąłem się tym, co powiedział Tomek. Moja filozofia życiowa pozwalała na to, co wytłumaczyłem im przecież przed chwilą. Pytanie tylko, czy wiedział o tym Cieślara. Znałem odpowiedź na to pytanie.

Oczywiście, że nie wiedział, bo i skąd?

Następny dzień przyniósł niespodziewany przełom, a przynajmniej taką mogliśmy mieć nadzieję. O dziewiątej pojechaliśmy z Tomkiem do domu Ejzertów porozmawiać z mężem ostatniej z ofiar. Była piękna pogoda, robiło się gorąco, ciemne plamy kałuż pozostałych po nocnym deszczu powoli znikwały, pozostawiając na asfalcie i ziemi nieregularne pola żółtego pyłku sosen. Podjuchy też były skąpane w słońcu, choć ta część, w której się zatrzymaliśmy, tonęła w cieniu drzew.

Dom Ejzertów znajdował się przy końcu ślepego, wyłożonego betonowymi płytami zaułka ulicy Cynowej. Dwukondygnacyjny, ze stromym dachem, wybudowany jakieś dwadzieścia lat temu, nadawał się już co najmniej do odświeżenia. Drewniane elementy wyblakłe od słońca niemal pozbawione były ochronnej warstwy lakieru, zdartej deszczami, mrozem i niesionym wiatrem kurzem. Z ogrodu przed domem wypełzał płożący się bluszcz, sięgając zachłannie wypełnionych ziemią szpar między płytami ulicy w bezpośrednim sąsiedztwie płotu.

Minęliśmy uchyloną furtkę i skierowaliśmy się w stronę drzwi. Tomek sprawdził wcześniej, że Ejzert będzie w domu. Był pracownikiem urzędu marszałkowskiego, aktualnie przebywał na urlopie, aby się pozbierać po śmierci żony. I wcale mnie to nie dziwiło. Informacje na temat przebiegu zbrodni i okoliczności znalezienia Ejzertowej przez męża, którymi podzielił się ze mną Tomek na początku, były kompilacją zeznań świadków i nieskładnego bełkotu zszokowanego Ejzerta. Rędzia ani Cieślar nie mogli wcześniej dokładnie go przesłuchać ze względu na stan psychiczny, w jakim się znajdował. I to mnie też nie dziwiło.

Tomek wcisnął przycisk dzwonka i po kilku sekundach Ejzert otworzył nam drzwi. Był dużym, lekko otyłym mężczyzną, miał gładką twarz z czerwonymi rumieńcami na pulchnych policzkach i fryzurę wymagającą sporo pracy. Zaczesane na bok włosy musiały być usztywnione lakierem albo czymś podobnym. Nie miałem pojęcia czym, bo wypadłem z obiegu; od czasu postrzału strzygłem włosy krótko, góra pięć milimetrów.

Ejzert w milczeniu wpuścił nas do środka. Wnętrze domu urządzone bez szaleństw, widać było, że jego wystrój nie jest najistotniejszą rzeczą w życiu zamieszkujących go ludzi. Wyjątkiem stanowiła duża drewniana rzeźba smukłego kota, pochodząca najprawdopodobniej z Afryki. Siedział w holu, między lustrem a prowadzącymi na piętro schodami. Gospodarz

zaprowadził nas do jednego z pokoi i wciąż nic nie mówiąc, wskazał ogromną skórzaną kanapę w kolorze mlecznej czekolady. Usiedliśmy na niej z Tomkiem, a Ejzert wybrał jeden z foteli pokryty taką samą, lekko skrzypiącą skórą. Nie zaproponował nam nic do picia, tylko w milczeniu wpatrywał się w czubki swoich kapci. On wiedział, co będzie dalej, i najwyraźniej bał się tego.

– Przykro mi z powodu śmierci pana żony – zaczął Rędzia, pocierając czubek nosa.

– Naprawdę panu przykro? – Ejzert splótł dłonie na kolanach tak mocno, że aż palce mu pobieleły.

Tomek się nie spieszył. Musiał słyszeć takie pytania wcześniej.

– Owszem – odparł tym samym tonem. – Nie znałem jej, nie znam pana, ale mi przykro, bo zginął człowiek. Tak normalnie, po ludzku mi przykro.

– W porządku. – Ejzert rozplótł palce i chrząknął, przytykając dłoń do ust i wciąż nie patrząc na żadnego z nas. – Przepraszam, ja... Ja jeszcze nie doszedłem do siebie. Dopiero wczoraj wieczorem wróciłem do domu.

– Nie ma sprawy, rozumiem. Przepraszam, że musimy pana męczyć, ale nie mamy wyjścia. Rozumie pan, że czas w tej sytuacji jest bardzo cenny? – Pociągnął lekko nosem.

– Tak... Tak, oczywiście, proszę... Proszę pytać.

Tomek zaczął od momentu znalezienia Anity Ejzert. Jej mąż odpowiadał rzeczowo, cicho i monotonicznie, często

masując sobie skronie albo zaciskając palce na podłokietnikach fotela. Widać było, ile kosztuje go ta rozmowa. To, co powiedział, pokrywało się z informacjami zebranymi wcześniej. Niestety, niewiele z nich wynikało. A potem Rędzia zaczął go wypytywać o żonę; jaka była, czy miała przyjaciół, a może wrogów. Z opowieści Ejzerta wyłonił się obraz kobiety silnej, pewnej siebie i nastawionej na osiągnięcie sukcesu, jeśli już go nie osiągnęła. I to ich łączyło. Rzadko się widywali, skoncentrowani na swoich celach zawodowych, ale mimo wszystko wciąż pozostawali zgodnym małżeństwem. Tak przynajmniej twierdził Ejzert. Twierdził również, że nie miała wrogów.

– Przepraszam, czy tu mieszka jakieś zwierzę? – zapytał nagle Tomek.

Ejzert spojrzał na niego lekko zaskoczony.

– Tak, mamy kota... Mieliśmy... To znaczy żona miała, był jej pupilem. Ja nie przepadam za zwierzętami. Czy coś nie tak? – zainteresował się.

Rędzia podtarł nos rękawem.

– Nie, nie, w porządku, jestem trochę uczulony na sierść. Po prostu zastanawiałem się, o co chodzi z moimi zatokami...

– Bardzo mi przykro. Ale Klemensa nie ma teraz w domu. W ogóle rzadko w nim bywa, jest półdziki.

– W porządku, nic się nie stało. No dobrze... Czy żona dobrze zarabiała? – zapytał Tomek, kontynuując wątek

zawodowy małżeństwa Ejzertów.

– Owszem. Co z tego?

– Nic, pytam tylko.

– Jakie to ma znaczenie?

– Mam prośbę. – Rędzia sapnął przez zapchany nos. – Zdaję sobie sprawę ze stanu, w jakim pan się obecnie znajduje, ale niech pan nie reaguje tak na moje pytania, choćby nie wiem jak niestosowne się panu wydały, dobrze? Ja nie zadaję ich po to, żeby pana zdenerwować albo sprawić panu przykrość, tylko po to, żeby się jak najwięcej dowiedzieć o żonie, rozumie pan? – Patrzył badawczo na Ejzerta. – Czy pan mnie rozumie?

Ejzert markotnie pokiwał głową.

– W porządku. – Rędzia rozluźnił się nieco, widziałem to po sposobie, w jaki poprawił się na krześle. Rozejrzał się po pokoju i zapytał: – Czy macie państwo dzieci?

– Jedno.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Syn, córka?

– Syn.

– Jak to zniósł?

– On... On jeszcze nie wie.

– Rozumiem. – Rędzia pokiwał głową, ale widać było, że nie rozumie; że być może zdaje sobie sprawę z istnienia powodów, z których można nie poinformować

dorosłego dziecka o śmierci matki, ale ich nie zna. – Kiedy zamierza pan mu powiedzieć? I czy w ogóle?

– Daniel jest w szpitalu. – Ejzert powoli spuścił głowę, ale zanim to zrobił, zauważyłem, że lekko poczerwieniał na twarzy.

– Co mu się stało?

– On nie jest w zwykłym szpitalu.

– A w jakim?

– Jest w prywatnym ośrodku opieki... psychiatrycznej. Jest taka klinika w małej miejscowości...

– W jakiej miejscowości? – włączyłem się nagle do rozmowy, kiedy w głowie zapaliło mi się światełko.

Ejzert podniósł głowę, lekko zdziwiony niespodziewaną zmianą w monotonnej wymianie pytań i odpowiedzi.

– W Gronowie. To na Pojezierzu Drawskim.

Tomek skojarzył, ale nie dał niczego po sobie poznać, a przynajmniej nie zrobił nic, co mogłoby uświadomić Ejzertowi, że właśnie powiedział coś, co Rędią trochę wstrząsnęło. Mną również, ale też nic nie zrobiłem. Nawet nie drgnęła mi powieka.

– Z jakiego powodu syn tam trafił? – zapytał Tomek jak gdyby nigdy nic, po raz kolejny wycierając nos rękawem kurtki.

Ejzert prychnął.

– A z jakich powodów trafia się do psychiatryka?

– Z przeróżnych. A ja już pana przed chwilą o coś prosiłem, prawda?

Ejzert przygryzł wargę.

– Ma problemy psychiczne. Nie znam się na terminologii medycznej, ale ma zaburzenia, to się zdarza okresowo i wtedy umieszczamy go w Gronowie.

– Nie wie pan, na co dokładnie choruje pański syn?

– Powiedziałem panu: nie znam się na medycynie. Bardzo długo go diagnozowano, zanim odkryto, jaki to rodzaj zaburzeń. Żona znalazła ten ośrodek i kiedy synowi się pogarsza, trafia tam na kilka tygodni, aż mu się poprawi. Wtedy wraca do domu. Siedzi w nim, aż znowu przychodzi załamanie i znowu zawozimy go do Gronowa. I tak od kilku lat. A nawet kilkunastu... – Popatrzył w bok i jakby się zawiesił; ze wzrokiem wbitym w niebo za oknem siedział tak przez dobre dziesięć sekund.

Może patrzył w przeszłość, usiłując odnaleźć w niej moment, w którym to się zaczęło, a może właśnie odwrotnie; patrzył w przyszłość i nie widział w niej nic dobrego. Jak ja kiedyś. Nie chciałem mu mówić, że jakoś się w końcu z tego otrząśnie i będzie żył dalej, bo przecież nie po to tu byłem. Poza tym z takimi rzeczami trzeba rozprawić się samemu. Dobre rady ceni się wyłącznie wtedy, kiedy daje się je komuś. Kiedy ktoś daje je tobie, ty i tak wiesz swoje.

Powiedział Suder-Dobrarada.

– Czy pana żona była ubezpieczona na życie? – zapytałem.

– Oczywiście. – Ejzert wzruszył ramionami. – To chyba normalne w dzisiejszych czasach, że osoby o wysokim statusie materialnym chcą zapewnić bliskim życie na takim samym poziomie nawet po ich śmierci.

– Na ile opiewa polisa?

– To już nie pańska sprawa.

– Owszem, moja. I tak zapyta o to pana prokurator, możemy to również sprawdzić w ciągu kilku, kilkunastu dni, ale nam się trochę spieszy, to chyba zrozumiały. Na ile?

– Na milion.

– Dziękuję. – Skończyłem swoją część.

Tomek zapytał Ejzerta jeszcze o kilka rzeczy, ale w zasadzie tylko z rozpędu. Na koniec spojrzał na mnie, czy chcę coś dodać, lecz niedostrzegalnie pokręciłem głową. Też chciałem już wyjść, w końcu trop aż parzył. Pożegnaliśmy się więc, krótko i szybko, a poblady nagle Ejzert odprowadził nas do drzwi. Był niemal biały, tylko na środku policzków wciąż czerwieniały mu dwie maleńkie plamki. Obejrzałem się jeszcze, kiedy szliśmy do furtki. Stał oparty o framugę i patrzył za nami, ale jego oczy nie miały żadnego wyrazu, były jak u lalki. W końcu usłyszałem cichy trzask zamykanych drzwi. Nie obejrzałem się już.

Wsiedliśmy do skody i siedzieliśmy przez chwilę, nic nie mówiąc. Takie rozmowy nigdy nie są miłe i coś w człowieku pozostawiają. Jakaś cząstka tragedii innego człowieka zostaje w duszy, wczepiając się w nią gdzieś jak kleszcz szukający ciepłego, ciemnego i wilgotnego miejsca na ciele człowieka. I tak jak kleszcza odkrywa się w końcu z zaskoczeniem gdzieś na własnej skórze, kiedy jest już napompowany krwią, tak ten kawałek, który zabrało się ze sobą po takiej rozmowie, ujawnia się nagle w najmniej spodziewanym momencie.

Tomek westchnął nagle głęboko.

– Uuu, Jezu, już lepiej... Cholerny sierściuch, całą kurtkę sobie obsmarkałem, no...

Obejrzał z niesmakiem jej prawy rękaw, potem uniósł biodra i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął komórkę. Wybrał jakieś nazwisko z listy kontaktów i przyłożył telefon do ucha.

– Sławek, znajdź mi szybko dokładny adres szpitala psychiatrycznego w Gronowie, Gro-no-wo, gdzieś koło Drawska, dobra? Tak, dobrze kojarzysz, tam pracował Olędzki... Czekam na „esa”. A potem tam jedziemy z radcą. – Taką nieoficjalną ksywkę otrzymałem od nich po akcji z Cieślarem.

– Nie masz internetu w komórce? – zapytałem nieco zdziwiony, kiedy skończył rozmowę z Jończykiem. – Sam nie możesz sobie sprawdzić?

– Mam i mógłbym. – Zabębnił palcami na kierownicy.
– Ale mam też Sławka i bardziej ufam jemu niż...

– Nie wierzę. – Zmarszczyłem brwi. – Rozgryzłem cię.
Ty jesteś... technofobem.

– Srobem. Niech się szaszłyk Jończyk przyda na coś, no nie? – Tomek spojrział na słońce, potem zamknął oczy, grzejąc się przez chwilę w ciepłe promieniującym z rozgrzanej szyby i zapytał: – Coś się zaczyna kroić, prawda?

– To może być czysty przypadek – ostrzegłem go.

– Taa... Przypadek to jest wdepnięcie w psie gówno.

Patrzyłem na ten radosny wyraz jego twarzy. Tomek był autentycznie zadowolony i w sumie trudno mu się dziwić. Po kilku tygodniach dreptania w miejscu coś wreszcie miał. Nie wiadomo co, ale coś. Po chwili usłyszeliśmy sygnał nadchodzącego esemesa. Tomek odczytał go i uruchomił silnik, chowając telefon do przegródki w drzwiach.

– Wiesz, jak jechać? – zapytałem.

– Znamy się trochę z Jończykiem – wyszczerzył zęby – rozpisał mi trasę. Do Drawska jakoś dojadę. W połowie drogi między Drawskiem a Ostrowicami musimy skrócić w prawo. Szpital jest jeszcze przed samym Gronowem, ze trzy kilometry od wsi. Znajdziemy...

Ruszyliśmy.

Jazda zajęła nam godzinę i dziesięć minut. Trasa była malownicza, przywodziła na myśl wakacje, ich

przesyconą zapachem trawy i wody atmosferę, której tak unikałem za życia mojej żony i córki. Chłonałem zieleń oczami i zastanawiałem się, gdzie byłbym teraz, gdyby dwa lata temu nie zginęły na parkingu Probstheide. W jakim miejscu życia bylibyśmy teraz? Otrząsnąłem się. Wracały demony przeszłości. Kiedy żyłem sobie spokojnie na swojej wsi, trzymały się z daleka; krążyły nieopodal, ale mimo wszystko utrzymywały dystans. Jakiś. A teraz, kiedy znów widziałem ludzką tragedię, wracały.

Zatrzymaliśmy się niespodziewanie. Tomek spojrział w prawo, pochylając się, bo zasłaniałem mu widok. Niemal położył się na kierownicy i wpatrywał się w przerwę w ścianie lasu. Wypełniała ją stalowa brama osadzona w szarym murze. Flankował ją z obu stron, obie części miały jakieś dwa, trzy metry długości, a potem kończyły się niespodziewanie, nie przechodząc w siatkę, płot ze sztachetami ani jakiegokolwiek inne ogrodzenie, co czyniło całość czymś niemal absurdalnym. Na murze, po prawej stronie, widniał napis: LEŚNA OSTOJA.

– To musi być tu – stwierdził Tomek, przyglądając się napisowi. – Taak, to na pewno tu. Ładnie napisane. Tak niewinnie. Jak „Kukułcze gniazdo”.

– A co mieli napisać? – zdziwiłem się. – „Szpital dla czubków”?

– W sumie racja...

Tomek wrzucił bieg i powoli zjechał z drogi, skręcając w stronę bramy. Zatrzymał się tuż przed nią i zabębnił

palcami w kierownicę. Też zastanawiałem się, co teraz.

– Jest kamera. – Wskazałem oko obiektywu widoczne nad murem. – Poczekajmy chwilę.

Ledwo skończyłem mówić te słowa, brama drgnęła i zaczęła się powoli przesuwac, sprawiajac wrazenie, jakby wsiakala w cegly. Kiedy calkiem zniknela w szczelinie w murze, Tomek dodal delikatnie gazu i wjechał w brukowaną ścieżkę, która zaczynała się tuż za linią wyznaczaną przez bramę. Bruk był stary, spomiędzy granitowych, wyszlifowanych na gładko nieregularnych kostek wyrastały mech i krótka trawka, wytarte w miejscach, w których przejeżdżały koła samochodów. Ścieżka, czy może raczej uliczka, zakręcała lekko w prawo, niknąc za ścianą lasu. Kiedy ją pokonaliśmy, naszym oczom ukazał się spory budynek, wyglądający na jakiś dworek albo pałacyk. Miał trzy kondygnacje; mansardowy dach skrywał dodatkowe piętro, na pewno użytkowe, o czym świadczyły okazałe lukarny. Z obu stron pałacyku dobudowane były niższe o jedno piętro symetryczne skrzydła, w takim samym pruskim stylu: masywne i z ciężkim detalem. Cały budynek wyglądał przez to na twardo wrośnięty w ziemię, niczym teutoński dąb wczepiony w nią korzeniami tak mocno i głęboko, że aż nie do wyrwania.

– Tu mieszkał jakiś junkier? – zapytał Tomek. – Czy to były koszary?

– A skąd mam wiedzieć? – odpowiedziałem pytaniem.
– Przecież jeszcze kilka godzin temu nie miałem pojęcia o istnieniu tego miejsca. Zadzwoń do Jończyka – doradziłem mu, wzruszając ramionami.

Zaparkowaliśmy na jednym z miejsc postojowych. Parking na skraju sporego placu przed pałacem był niemal pusty, trzy miejsca dalej stał czarny passat ósemka na drawskich numerach. Kiedy wysiedliśmy, otoczyły nas parne powietrze przesycone zapachem lasu i ogłuszający świergot ptaków. Rędzia zamknął drzwi samochodu. Ptaki umilkły na chwilę, kiedy rozległ się ich głuchy huk, ale już sekundę później podjęły przerwane trele.

– Słyszałem, że śpiew ptaków jest uspokajający. Jak dla mnie, ktoś, kto tak twierdził, grubo się mylił. Jeśli nie wyjedziemy stąd w ciągu godziny, będę musiał tu zostać jako pacjent. – Tomek rozejrzał się po koronach drzew. – Na bank.

– W ciągu godziny przestaniesz zwracać na nie uwagę, nie martw się – uspokoiłem go.

Pamiętałem swój pierwszy dzień w Bartoszewie, kiedy wprowadziłem się do altany. Też myślałem, że mnie coś trafi. A potem zasnąłem i spałem jak opity mlekiem mamy osesek.

– Ja jestem człowiek z miasta – odparł Tomek tonem skargi. – Jeśli za oknem nie będę słyszał tramwajów, to nie zasnę.

– Przecież w Szczecinie nocne tramwaje nie jeżdżą od lat – zwróciłem uwagę.

Rędzia spojrział na mnie zezem.

– To była przenośnia.

– Wiem – odparłem, uśmiechając się pod nosem.

Ruszyliśmy ku fikuśnym schodom, które zapraszająco wychodziły przed budynek, wyciągając ku gościom szerokie ramiona kamiennych barierek utkanych ozdobnymi tralkami. Rzuciłem jeszcze raz okiem na elewację i do głowy przyszła mi myśl, że w deszczową pogodę ten skądinąd sympatyczny pałacyk musi wyglądać dość złowieszczo. To pewnie przez kraty w większości okien. Były nawet ładne, w otwory nie wstawiono zwykłych, siermiężnych prętów ani siatki, tylko małe, ozdobne arcydziełka sztuki kowalskiej. Ktoś miał dużo pieniędzy albo konserwatora zabytków na karku.

Weszliśmy do środka przez ogromne drzwi. W holu nie było żadnej recepcji, tylko tablica informacyjna. Wynikało z niej, że dyrekcja szpitala mieści się na pierwszym piętrze i tam właśnie, po dotarciu na górę, zaczęło być widoczne, że to nie hotel ani żaden inny przybytek kojarzący się z przyjemnie spędzonymi chwilami. Ogromne przeszklenie oddzielało klatkę schodową od korytarza biegnącego wzdłuż budynku. Szkło było grube, a drzwi miały specjalny zamek. Obok, w ścianie, znajdowała się klawiatura i czytnik kart, a znad nich,

niczym srogie oko Saurona, wpatrywał się w nas obiektyw kamery. Kolejna kamera, z opcją podczerwieni, wisiała pod sufitem i celowała w spocznik i okno w ścianie klatki.

– Słucham? – dobiegł nas anonimowy damski głos sączący się z otworków obok klawiaturki.

Tomek wyciągnął odznakę i nic nie mówiąc, podetkał ją Sauronowi pod oko. Moja wciąż leżała w domu; miła pamiątka, ale czasem się przydawała.

Brzęk zamka zasygnalizował wolną drogę. Pociągnąłem drzwi i weszliśmy na korytarz. Kończył się z obu stron takimi samymi przeszkleniami jak te, które przekroczyliśmy. Były daleko od nas i miały na sobie oznaczenia: wielkie litery „A” i „C”. Przez chwilę nie mogliśmy zdecydować się, w którą stronę pójść, a potem równocześnie wybraliśmy lewą. Nie miałem wątpliwości, że decyzja ta wynikała po prostu z budowy ludzkiego mózgu, a jednakowy czas jej podjęcia z czystego przypadku. Ale stworzone przez ten przypadek wrażenie dogadywania się z Ręzią było przyjemne. Dobra współpraca z ludźmi jest dla mnie równie istotna, jak przygotowana przez sąsiada Waldka karkówka po bartoszewsku albo dobry koncert na TVP Kultura. W moim wieku i w mojej sytuacji życiowej człowiek nie ma już wielu przyjemności i musi doceniać te, których ma szczęście jeszcze doświadczać.

Kiedy zobaczyliśmy dyżurkę pielęgniarek w rozszerzeniu korytarza, zatrzymaliśmy się, znów jak na komendę. Krótkie pytanie o gabinet dyrekcji, jeszcze krótsza odpowiedź i kilkanaście sekund później pukaliśmy do właściwych drzwi oznaczonych tabliczką z grawerowanym laserowo napisem „Dyrektor”. Resztę napisu zasłaniała kartka, na której sprecyzowano informację: „P.o. dyrektora – dr n. med. Łukasz Dzieszko”. Tomek nie dał osobie po drugiej stronie żadnej szansy; tuż po tym, jak przestał pukać, chwycił za klamkę i nie czekając na zaproszenie, otworzył drzwi. Rędzia był lepszy niż hiszpańska inkwizycja.

– Dzień dobry, komisarz Tomasz Rędzia, a to radca Dariusz Suder, Komenda Wojewódzka Policji w Szczecinie. Możemy?

Pytanie zadane zostało takim tonem, żeby nie pozostawić dyrektorowi Dzieszce żadnych wątpliwości, że owszem, możemy. Dzieszko nie był zaskoczony, a przynajmniej na takiego nie wyglądał; przypuszczalnie pielęgniarka z dyżurki już dała mu znać o naszym przybyciu. Tak czy siak, nie miał zbyt wiele czasu, by się do tej wizyty przygotować. Wstał zza biurka i wyszedł nam naprzeciw. Był średniego wzrostu, ubrany w biały kitel nie nonszalancko zarzucony na ramiona, tylko porządnie zapięty na wszystkie zatrzaski, z wyjątkiem tego pod szyją, dzięki czemu widziałem staranny, gruby węzeł krawata, mimowolnie przypominający mi ten

u Cieślara. Dzieszko był lekko otyły, miał gładko ogoloną twarz, blond włosy i brwi, prosty nos i szare oczy, patrzące bystro, badawczo, w sposób budzący u mnie głęboki niepokój. Czułem, jakby jego wzrok wwiercał się w mój mózg. Jakby Dzieszko mnie właśnie badał.

– Dzień dobry, proszę bardzo – powiedział, rozciągając mięsiste wargi w uprzejmym, w pełni kontrolowanym uśmiechu, pokazując przy tym dolne, równiuteńkie zęby.

Zamknąłem drzwi. Widziałem plecy Tomka i charakterystyczną pozę, jaką przyjmował w obecności obcych; miał wtedy zawsze szerzej rozstawione nogi, a na plecach pojawiał się lekki garb, kiedy głowa pochylała się do przodu, a ramiona lekko unosiły.

Dzieszko był nawet przystojny, choć jego twarz można by raczej określić jako przeciętną. Nie miała charakterystycznych cech, może z wyjątkiem tych świdrujących oczu. Takie oczy mieli wszyscy mądrzy ludzie, których spotkałem w życiu: zwracały uwagę natarczywym w swej ciekawości spojrzeniem, spojrzeniem głodnym wiedzy.

– Panowie w jakiej sprawie? – zapytał Dzieszko, przysiadając na skraju swojego biurka i chowając ręce między kolana. – Dość nietypowe wejście, powiedziałbym. Zwykle służby, czy to policja, czy prokuratura, zapowiadają się jakoś wcześniej...?

Zakończył wypowiedź w sposób sugerujący, że była pytaniem. Siedział wciąż na rogu biurka i wpatrywał się

w nas, raz we mnie, raz w Tomka. Ta nonszalancka postawa niezbyt korespondowała z jego strojem. Może starał się wyglądać na luzaka, a może taki był.

Tomek usiadł na krześle, ja tak samo, wybierając to po drugiej stronie gabinetu.

– Chcieliśmy porozmawiać z panem o dwóch rzeczach, a właściwie o dwóch osobach. O Grzegorzu Olędzkim i... pacjencie o nazwisku Ejzert.

– Daniel Ejzert – wtrąciłem.

– Właśnie. O Danielu Ejzercie.

Dzieszko spojrzał na nas z ukosa.

– Dość enigmatyczne wyjaśnienie powodów panów niespodziewanej wizyty. Powód jest już dla mnie jasny, ale przyczyna pośpiechu?

– Sprawa zabójstw popełnionych na terenie Szczecina przez nieustalonego sprawcę w ciągu ostatniego miesiąca.

– Mowa o tym „Snajperze”?

Tomek milczał, więc ja tym bardziej. Czekaliśmy tak przez dłuższą chwilę: dyrektor na odpowiedź, a my na moment, w którym zrozumie, że dalszych wyjaśnień nie będzie i musi z tym żyć. Zrozumiał. A potem sam odpowiedział na swoje pytanie.

– Olędzki, Ejzert... To o kim innym może być mowa? A jeśli chodzi o wspomniane osoby... Może być trudno. – Dzieszko rozłożył ręce z przeprasającym uśmiechem na ustach. – Dyrektora Olędzkiego nie znałem na gruncie towarzyskim, a jedynie zawodowym. W ogóle nie

spotykaliśmy się prywatnie. A pan Ejzert? Cóż, jest pacjentem, w związku z tym obowiązuje mnie tajemnica lekarska, której bezpodstawne ujawnienie może skutkować pociągnięciem mnie do odpowiedzialności karnej i zawodowej. To chyba oczywiste. A mogę wiedzieć, skąd mają panowie informację, że pan Ejzert przebywa w naszym zakładzie?

– Może pan. Od jego ojca. Był przez nas przesłuchiwany w związku ze śmiercią żony, czyli matki Daniela.

Po twarzy lekarza przebiegł cień.

– To... Trudno mi nawet ubrać to w słowa. W swojej karierze lekarskiej miałem do czynienia z wieloma mordercami, kilku przebywało nawet tutaj, ale nigdy, przenigdy nie zdołałem zrozumieć: dlaczego. I nigdy tego nie zrozumieć, choćbym nie wiem, co robił, żeby to pojąć.

– Nie przyszło panu do głowy, że istnieje związek między tymi dwoma zabójstwami? – W głosie Rędzi była podejrzliwość. – Kiedy już się pan dowiedział o zabójstwie pani Ejzert?

– O śmierci Anity... pani Ejzert dowiedziałem się dwa dni temu. Oczywiście, że ta koincydencja mnie zastanawiała, lecz nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje. Owszem, miewam kontakty zawodowe z funkcjonariuszami aparatu ścigania i sprawiedliwości, ale niuanse pracy dochodzeniowej są mi kompletnie nieznane. Miałem zadzwonić na policję czy do

prokuratury i zapytać, czy szanowni państwo wiedzą, że ofiary „Snajpera” miały ze sobą coś wspólnego? Tak to sobie pan wyobraża?

– Powiedział pan o pani Ejzert per „Anita”. Znał pan ją prywatnie?

– Można tak powiedzieć. Edwarda również, choć ją dużo lepiej. Czasem przyjeżdżali do Daniela oboje, ale częściej zjawiała się tu sama. W końcu była matką... Przez te kilka lat zdążyliśmy się lepiej poznać. To była kobieta na poziomie, rozmowa z nią... – spojrzał w okno, lekko przekrzywił głowę i wrócił spojrzeniem do Tomka – ...po prostu miło się z nią rozmawiało. Nie tylko o synu.

– Ejzert nie wie o jej śmierci, prawda? – wtrąciłem się.

– Nie wie. Kwestię tego, kto i kiedy poinformuje go o tym, pozostawiłem do rozstrzygnięcia ojcu. Do chwili obecnej nie mam odpowiedzi. Nie mam też prawa się jej domagać, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się Ejzert, mam na myśli Edwarda, a przynajmniej stan, w jakim się znajdował, kiedy rozmawialiśmy. A przede wszystkim dlatego, że to ich sprawa...

– Rozmawiał pan z Edwardem Ejzertem?

– Oczywiście...

– Dla nas to nie jest takie oczywiste.

– Dobrze: owszem, rozmawialiśmy. Dzwonił do mnie przedwczoraj.

– Mógł z panem rozmawiać? Podobno był wtedy jeszcze w szpitalu, w szoku...

– Skoro zadzwonił i rozmawialiśmy, to widać mógł.
– W porządku, skoro już jesteśmy przy Ejzercie...
– Chwileczkę, panie komisarzu. – Dzieszko podniósł rękę. – Zanim przejdziemy do meritum, chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy. Nie wiem, co panowie sobie wyobrażają o takich miejscach jak to, ale „Leśna Ostoja” nie jest zakładem stricte psychiatrycznym. To uogólnienie. Musicie panowie wiedzieć, że w naszej placówce będącej zakładem o warunkach wzmocnionego zabezpieczenia znajdują się trzy rodzaje pacjentów. W skrzydle „A” przebywają osoby w stanach wegetatywnych i bardzo ciężkich: udarowcy, ofiary ciężkich wypadków skutkujących obrażeniami głowy, osoby z powikłaniami neurologicznymi. Oddział nie jest duży, w tym skrzydle znajduje się w związku z tym również hotel dla niższego personelu i kilka służbowych kwater dla nas, lekarzy. Między innymi dla mnie. Skrzydło „B”, czyli budynek główny, mieści dwa oddziały: psychiatryczny, nazwijmy go ogólnym, i całodobowej opieki nad osobami starszymi głównie z problemami neurologicznymi. W skrzydle „C” znajdują się osoby przebywające na obserwacji psychiatrycznej zleconej przez sądy. To tak w skrócie. Daniel Ejzert jest pacjentem skrzydła „B”, oddział, na którym przebywa, mieści się na pierwszym piętrze.

– Jezu, myślałem, że to zwykły domek wariatów, a to niemal kombinat.

Dzieszko spojrział na Rędzię zimnym wzrokiem.

– Kombinat to nie jest właściwe określenie. Dom wariatów również.

– Wie pan, jestem przeciętnym zjadaczem chleba, a moja wiedza o leczeniu chorób psychicznych opiera się niemal wyłącznie na dowcipach o wariatach.

– Widzę.

Tomek odchrząknął i zapytał:

– Na co cierpi Daniel Ejzert?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Dlaczego?

– Już to wyjaśniałem. Rozumie pan, że po prostu nie mam prawa tego robić?

– Teoretycznie tak, ale sprawa jest poważna, a my nie zamierzamy tą informacją się z nikim dzielić.

– Zgadza się, sprawa jest tak poważna, że na udzielenie takiej informacji muszę mieć zgodę samego pacjenta. Albo opiekuna prawnego lub nawet sądu, jeśli pacjent nie jest w stanie udzielić jej sam. Więc proponuję zwrócenie się do Edwarda, bo nie wyrażę zgody na spotkanie z pacjentem podczas terapii. To wykluczone. I nie wracajmy już do tego.

Dzieszko widać nie wiedział, że zwrócenie się do Ejzerta z takim pytaniem niczego nie da. My już to wiedzieliśmy.

– Dobrze, zostawmy to na razie. Ale jest pacjentem waszej placówki, to może pan potwierdzić.

– Zgadza się. Potwierdzam i o ile się nie mylę, przed chwilą to powiedziałem. I to byłoby wszystko na temat Daniela Ejzerta. Tylko tyle mogę powiedzieć o jego chorobie – wzruszył ramionami – skoro i tak macie, panowie, informację, że przebywa w „Leśnej Ostoi” od jego ojca...

– Jest niebezpieczny?

– Niebezpieczny? Ależ skąd. Pan Ejzert ma sporo swobody w naszej placówce. Jak na pacjenta, oczywiście.

– Swobody? Nie bardzo rozumiem... Czy to znaczy, że może sobie wychodzić, kiedy chce? Do domu, to mam na myśli. Albo do wsi, do sklepu?

– Nie, oczywiście, że nie. Ma dość dużą swobodę poruszania się po terenie, ale wyłącznie w obrębie zakładu.

– Po terenie? Teren nie jest ogrodzony – wtrąciłem. – Może z wyjątkiem bramy wjazdowej. To jest chyba jedyny istniejący element ogrodzenia?

– Nie do końca. – Dzieszko pokręcił głową. – Za szybko wyciąga pan wnioski. Nie ma potrzeby ogradzać całego terenu. Jest bardzo rozległy, jak panowie z pewnością zauważyli. Ale za głównym budynkiem zakładu jest taki, powiedzmy...

– Spacerniak – rzucił Tomek.

– To znów nie jest właściwe określenie. – Kształtne usta Dzieszki wykrzywił grymas niesmaku. – Ani zbyt taktowne. To tak zwana zewnętrzna przestrzeń

rekreacyjna. Pacjenci, którzy mogą korzystać z dobrodziejstw spacerów, poruszają się po niej pod dozorem pracowników w określonych porach dnia. W związku z tym ten wydzielony fragment terenu ograda zwykła, trzyipółmetrowej wysokości siatka, a nie mur z zasiekami z drutu żyłkowego. Zresztą nie dopuszczamy do sytuacji, w której pacjent znajdzie się nawet w pobliżu tej siatki. Chodzi raczej o przypadkowe osoby z zewnątrz i zwierzęta.

– A jeśli taka sytuacja się zdarzy? Że pacjent, niebezpieczny pacjent, jednak znajdzie się przy siatce?

– Nie zdarzy się. – W głosie Dzieszki brzmiała pewność.

– Myślałem, że wszyscy mogą korzystać z dobrodziejstw spacerów – zdziwił się nagle Rędzia. – Nawet więźniom z kategorią „N” spacer przysługuje jak psu buda.

– Owszem. Ale u nas jest inaczej. Nie mówię nawet o pacjentach po wypadkach, których ludzie z tamtej strony płotu nazywają „warzywami”. Oni z oczywistych względów nie wychodzą na spacer. Mówię o czym innym; niektóre rodzaje zaburzeń wykluczają kontakt z otoczeniem, przynajmniej na jakiś czas. A pan Ejzert... Cóż, ze względu na fakt, że przebywa tu niejako za własną zgodą, a jego przypadłość nie należy do tych objawiających się agresją, traktowany jest nieco łagodniej. Co, jak już wspominałem, nie oznacza

absolutnie, że może stąd wyjść, kiedy chce i gdzie chce. Porusza się również jedynie wewnątrz strefy rekreacyjnej, ale o różnych porach. Jeśli ma ochotę wyjść na dwór i jego stan na to pozwala, nie widzimy przeszkód... Kiedy jest taka pogoda jak dzisiaj, przebywa na zewnątrz niemal cały czas.

– Stały pacjent?

– Coś w tym rodzaju. Nigdy nie sprawił żadnych problemów. A przynajmniej nie takie, które można zakwalifikować jako zagrażające życiu. Czy to jego, czy kogoś z personelu.

– A to nie jest tak, że każdy pies jest łagodny, dopóki nie ugryzie pierwszy raz? I wtedy wszyscy są zdziwieni, bo przecież był zawsze taki miły? Wie pan, co mam na myśli?

– Owszem, wiem. Ale to porównanie jest bezzasadne. To są zupełnie dwie różne rzeczy. U pacjenta zdiagnozowanego i leczonego przewlekłe takie stany da się przewidzieć i w związku z tym po prostu nie dopuścić do nich sposobami farmakologicznymi. Ale powtarzam: w przypadku pana Ejzerta nie ma mowy o stanach psychotycznych. To nie ta jednostka chorobowa.

– Mówi pan, że te stany da się przewidzieć? Zawsze?

– Zawsze to świeci słońce, jak mawia mój ojciec. Ale u Daniela to ryzyko jest znikome. Tak niewielkie, że niewarte brania pod uwagę.

– Kto go prowadzi?

– Ja.

– Pan?

– Tak.

– Myślałem, że dyrektor zarządza, a lekarz leczy?

– To również jest pewien stereotyp. Faktem jest, że dyrektor Olędzki nie był już czynnym lekarzem. Mam na myśli to, że poświęcił się całkowicie funkcji menedżerskiej. Nie leczył od lat.

– A pan? Pan leczy?

– Tak. Ja pozostałem również przy leczeniu.

– Da się to pogodzić?

– U mnie jak najbardziej. Tak uważam.

– To znaczy, że Olędzki tych dwóch rzeczy nie mógł pogodzić? Tak mi to zabrzmiało.

– Niech pan mnie nie łapie za słówka. Nie wypowiadam się na temat dyrektora Olędzkiego. To była jego sprawa, jego wybór.

– Jak na razie daje pan radę?

– Owszem i myślę, że dalej nie będzie gorzej. Wie pan, przez kilka ostatnich lat pracowałem jako zastępca Olędzkiego. To nie tak, że wsiadłem na tego konia, nie mając pojęcia, jak się jeździ konno. Jest ciężko, ale wypełniam swoje obowiązki sumiennie na obu stanowiskach i oba te zajęcia bardzo lubię, co niewątpliwie mi pomaga je ze sobą godzić. To bardzo ważne, żeby lubić swoją pracę. Inaczej można się szybko wypalić, nieprawdaż?

– Nie wiem. – Tomek wzruszył ramionami. – Ja też bardzo lubię swoją pracę. Ale mam również rodzinę i chciałbym spędzać z nią trochę czasu...

– Ja natomiast jestem sam. – Wzrok Dzieszki świadczył o tym, że temat jego sytuacji rodzinnej został wyczerpany.

Nieważne, czy był samotny z wyboru, czy z powodu niezależnych od niego okoliczności; to w jakiś sposób tłumaczyło jego pracowitość czy raczej poświęcenie pracy.

– A niech mi pan powie, czy dyrektor Olędzki miał tu wrogów.

– Co to znaczy „tu”?

– Nie ma pan pojęcia o życiu osobistym Olędzkiego, więc zadanie ogólnego pytania, czy miał wrogów, byłoby nieprecyzyjne. Ale pracował pan z nim, więc pytam, czy miał wrogów w tej placówce. Chodzi mi o konflikty, zatargi, porachunki, a może walkę o wpływy czy coś w tym rodzaju.

Dzieszko wyprostował się, ale schował szyję w ramionach, jakby poczuł się urażony pytaniem.

– Wie pan – głos też mu się obniżył nieznacznie – to jest placówka spełniająca nie tylko wymagane kryteria i standardy, ale również znacznie je przewyższająca...

– Ja pana nie pytam, czy placówka spełnia standardy, tylko czy dyrektor Olędzki miał w niej jakichś wrogów.

– Nie. Nie miał.

– Nie miał czy pan o nich nie wie?

– Słuszna uwaga. A więc: nie, nic nie wiem o jego wrogach.

– A ludzie odczuwający do niego niechęć?

Dzieszko delikatnie wydał policzki, a potem wargi, prezentując przepływ powietrza towarzyszący reakcji lekkiego zniesmaczenia.

– To był nasz szef, tak? Tu jest około osiemdziesięciu osób personelu, począwszy od techników, poprzez personel pielęgniarski, na księgowych i lekarzach skończywszy. Wiadomo, że wśród tylu osób zawsze znajdzie się ktoś niechętny władzy. To naturalne w każdym systemie i nieważne, czy chodzi o politykę, czy o dużą firmę.

– A kto niechętny władzy znalazł się w „Leśnej Ostoi”?

Dzieszko zamilkł, a na jego twarzy pojawił się wyraz namysłu.

– Nie odpowiem na to pytanie – oświadczył po chwili.

– Nie będę oczerniał ludzi tylko dlatego, że zdarzyło mi się usłyszeć z ich ust jakąś krytyczną uwagę na temat przełożonego. Poza tym nie bardzo rozumiem: przecież dyrektor Olędzki został zabity przez „Snajpera”. Został ofiarą seryjnego mordercy. A mam wrażenie, że tego, kto go zabił, szukacie panowie tutaj, w naszym ośrodku. Nie mylę się?

– Pan pozwoli, że to jednak my będziemy zadawać pytania. – Tomek skinął głową w moją stronę. – Darek?

Odkleiłem się od oparcia i wyprostowałem.

– To prywatna placówka, tak? – zapytałem, a kiedy Dzieszko potwierdził ruchem głowy, kontynuowałem: – Jaka jest jej forma prawna?

– Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością – odpowiedział, lekko zdziwiony. – Ma nazwę „Gronowo”. Jesteśmy niepublicznym zakładem opieki zdrowotnej, jednym z trzech prywatnych podmiotów wskazanych w rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych w sprawie zakładów przeznaczonych do wykonywania środków zabezpieczających. A jeśli chodzi o szczegóły: może pan je sprawdzić w KRS-ie. Szczerze mówiąc, nie mam nawet za bardzo czasu na takie rozmowy.

– A pan jest również współnikiem?

– Tak.

Dzieszko zawahał się tuż przed udzieleniem odpowiedzi. Minimalnie, ale jednak. Zupełnie nie wiem dlaczego. Czy to jakiś wstyd?

– Dobrze, to ostatnie pytanie...

– Proszę.

– Czy możemy rozejrzeć się po budynku?

– Absolutnie nie.

Tym razem w głosie Dzieszki nie było nawet odrobiny wahania.

– Dlaczego?

– Bo tu nie ma nic do oglądania. To jest szpital, proszę pana. Tu są ciężko chorzy i umierający ludzie. Nieszczęśliwi ludzie. Dla niektórych każde odstępstwo od

ściśle uregulowanego trybu życia, na przykład zobaczenie obcego człowieka, może skutkować pogorszeniem formy lub zdrowia. Dlatego. Mam pełne prawo panom odmówić i będę to robił, dopóki nie przedstawicie mi nakazu rewizji czy jakiegokolwiek innego dokumentu umożliwiającego panom wejście na oddziały.

– Cóż, rozumiem. Myślę, że nie ma jednak na razie potrzeby oglądania szpitala.

Wstałem i Tomek też.

– Na razie? – zdziwił się lekko Dzieszko.

– Och. – Machnąłem niedbale ręką, ruszając w kierunku drzwi. – Proszę mnie nie łapać za słówka. Tak mi się powiedziało.

– Rozmawia pan z psychiatrą. Pan to powiedział, a nie „się” panu powiedziało, prawda?

Zatrzymałem się. Dzieszko siedział za biurkiem ze złożonymi na blacie rękami i wpatrywał się we mnie przenikliwie z krzywym uśmieszkiem. Znów odzyskał to hipnotyzujące spojrzenie, które miał na początku rozmowy.

– Prawda – powiedziałem, odwracając się w jego stronę. – Chodziło mi o to, że tym sformułowaniem zastrzegłem niejako sobie i koledze prawo do ponownego odwiedzenia tego miejsca, w razie gdyby ustalenia śledztwa to uzasadniały. Może zrobiłem to trochę nieświadomie, ale niewykluczone, że tak będzie. Że tu się jeszcze pojawimy. Nie musimy oczywiście niczego sobie

zastrzegać, żadnego prawa, bo my to prawo po prostu mamy. Chodzi o to, że wciąż liczymy na współpracę. Jakby co...

Dyrektor wstał zza biurka. Założył ręce do tyłu z nieco zagadkową miną, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma pozostać wyniosły, czy zgodzić się ze mną, że współpraca będzie najlepszym rozwiązaniem. Wybrał w końcu to drugie. Zniknęła sztywność, a ręce wyłoniły się zza pleców. Rozłożył je szeroko i spokojnie powiedział:

– Zapraszam. Gdyby panów ponowna wizyta okazała się koniecznością, nie mam nic przeciwko. Oczywiście proszę pamiętać o obowiązujących mnie przepisach.

Na koniec wbił nam szpilę. Niezbyt bolesną, bo z pewnością miał sporo racji, ale zawsze. Cóż, miał takie prawo. Opuściliśmy gabinet, nie reagując na jego słowa i darując sobie pożegnanie. Kiedy szliśmy korytarzem w stronę klatki schodowej, Tomek zapytał:

– Wiesz, jak się nazywa facet, który jest równocześnie lekarzem i dyrektorem szpitala?

– No?

– Doroktor. Sam to wymyśliłem. Wiem, słabe.

– Owszem – odparłem bez litości.

– Więc nie mówmy o tym więcej. Za to powiem ci coś innego: na samym początku rozmowy odnosiłem wrażenie, że ten facet ma niesamowitą charyzmę. Że gdyby spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział: „Tomaszu, Tomaszu, włóż rękę do garnka z wrzątkiem”, tobym mu

nie odmówił. Ale potem... – skrzywił się – ... jakoś to wrażenie uleciało. Jakby starczyło mu pary tylko na kilka minut. Rozumiesz, o czym mówię?

– Odniosłem identyczne wrażenie. I na początku, i później. Dokładnie takie, jak mówisz; że zaczął z wysokiego „c”, a potem obniżył loty. Może tyle wystarczy?

– Co masz na myśli?

– Chodzi o zrobienie dobrego pierwszego wrażenia. A pierwsze wrażenie robi się tylko raz, jak sam wiesz, albo i nie wiesz. Przychodzi klient z forszą, który musi zrobić coś z chorym członkiem rodziny. Szuka dobrego zakładu opieki czy szpitala, bo go stać. Ale skoro ma na to wywalić kupę szmalu, to chce mieć pewność, że płaci za dobry towar. Pierwsza rozmowa odbywa się zapewne z Dzieszką. Doktorek robi na kliencie piorunujące wrażenie, a potem oddaje go w ręce niższego personelu, żeby pokazali mu szpital, bo on musi wrócić do swych bardzo ważnych obowiązków. Proste?

– Proste – westchnął Tomek – ale trzeba mu jedno oddać: nie dał się wyprowadzić z równowagi moimi tekstami o domu wariatów.

– Nie dał – przyznałem. – Za to wyrobił sobie o tobie odpowiednią opinię.

Tomek wyciągnął rękę w stronę drzwi, a zamek brzęknął jak zaczarowany. Rędzia pchnął je, kładąc szeroko rozczapierzone palce na tafli szkła.

– Widzisz, nie do końca. On nie wyrobił sobie o mnie opinii, tylko ja mu ją zasugerowałem. Podsunałem. Myśli o mnie to, co ja chciałem, żeby myślał. A to różnica. To zagrywka w stylu Columbo. I chciałem ci to wyjaśnić, bo widziałem, jak na mnie ukradkiem patrzyłeś u Dzieszki w gabinecie.

– Tak ci zależy, żebym miał o tobie dobre zdanie? – zdziwiłem się.

– W ogóle mi nie zależy. Ale coś ci opowiem. Miałem szwagra... To znaczy mam szwagra. Pewnego dnia stwierdził, że musi skosić trawnik. Wyjął z garażu kosiarkę i wziął się do roboty. Dwie godziny później, kiedy nie wracał z ogrodu do domu, moja siostra wyszła zobaczyć, co się dzieje. A on stał z piłą do gałęzi w ręce na środku trawnika, a w całym ogrodzie nie zostało się ani jedno drzewko czy krzak. Ściął wszystkie co do jednego. Opierdolił cały, założony za kupę szmalu ogród, który oboje pielęgowali od lat. Dbali o niego, jakby to były Łazienki Królewskie, rozumiesz? Stał tak zadowolony z siebie i kompletnie nie rozumiał, o co chodzi mojej siostrze i dlaczego płacze. Kilka tygodni później wylądował na Broniewskiego, tak szybko to poleciało. To już jest inny człowiek. Schizofrenia ujawnia się nagle, dopiero potem bliscy przypominają sobie jakieś drobne, nieco dziwne zdarzenia z przeszłości, i okazuje się, że one stanowiły zapowiedź... A przecież on był już po czterdziestce, w tym wieku schizofrenia ujawnia się

niezwykle rzadko... Ludzie nie mają pojęcia, jak straszna jest choroba psychiczna. Jak odczłowieczająca. Łatwo się śmiać, kiedy się jej nigdy nie widziało... – Podrapał się po nosie i zmarszczył go. – To co, wracamy do Szczecina?

– A nie chcesz pójść jeszcze na spacer? – zapytałem.

– Na jaki spacer?

– Do lasu.

– Jesteśmy w lesie. Jesteśmy w samym środku cholernego lasu opanowanego przez drące dzioby ptaszyska.

– Ja nie mogę – sapnąłem, kręcąc głową. – Ale ty jesteś niedomyślny... Chodź, przyjrzymy się temu wybiegowi.

– Aa, przestrzeni rekreacyjnej?

– O właśnie. Przestrzeni rekreacyjnej. W przeciwieństwie do spacerniaka przestrzeń rekreacyjna to bardzo taktowne określenie.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy do samochodu.

– Tu w ogóle wszystko jest bardzo taktowne, zauważyłeś? – rzucił Tomek.

– Dzisiaj panują wysokie standardy. I pamiętaj, że to prywatna firma. Chcesz zarobić, to musisz się odrobinę postarać. A może i nie odrobinę.

Wsiedliśmy do skody. Tomek ruszył powoli, objechał plac dookoła i skręcił w brukowaną ścieżkę, którą tu przyjechaliśmy. Brama zaczęła otwierać się na długo przedtem, zanim się do niej zbliżyliśmy, jakby ktoś nie

mógł się doczekać, aż wyjedziemy poza teren szpitala. Minęliśmy ją i skręciliśmy w drogę prowadzącą do Drawska. Spojrzałem w lusterko boczne i zobaczyłem, że mur wypluwa bramę z powrotem w tej samej chwili, w której tył samochodu minął jego linię. Ktoś był naprawdę niecierpliwy; mechanizm uruchamiany fotokomórką nie zadziałałby tak szybko. Chwilę później Tomek zjechał z drogi w ścieżkę, którą kilkanaście metrów dalej zamykał biało-zielony szlaban ustawiony przez służby leśne po to, żeby nikt nie robił takich rzeczy, jaką my zrobiliśmy teraz. Zatrzymaliśmy się tuż przed nim. Tomek zaciągnął hamulec ręczny i nie wyłączając silnika, zerknął na mnie.

– Po co pytałeś o te sprawy formalne? – Zaczął zamykać okna.

– Nie wiem dokładnie. – Wzruszyłem ramionami. – Wydało mi się zasadne o to spytać. Ostatnia z afer, w które byłem wplątany, miała podłoże biznesowo-finansowe. Takie właśnie sprawy formalne okazały się istotne przy dojściu do rozwiązania zagadki, ale nie pytaj mnie o szczegóły, bo i tak nie mogę o nich mówić.

– Okej – odparł Tomek po prostu i przez chwilę patrzył w przednią szybę, za którą rozciągał się las. Potem wyłączył silnik i kiedy otoczył nas świergot ptaków słyszalny nawet w środku, zapytał: – To co, idziemy?

– Idziemy.

Wysiedliśmy i niemal bezgłośnie zamknęliśmy drzwi. Ustaliliśmy kierunek, w którym powinniśmy pójść, i po kilku minutach przedzierania się przez las dotarliśmy do stalowej siatki rozpiętej na wysokich słupach. Co drugie przęsło ogrodzenia zdobiła żółta tabliczka z napisem „Uwaga, teren prywatny, wstęp wzbroniony”. Nie dostrzegłem nic o napięciu elektrycznym, więc położyłem dłoń na siatce. To nie była siatka z wielkimi oczkami z miękkiego drutu, jaką odgradza się teren wyłącznie przed większymi zwierzętami. Mieliśmy przed sobą porządny, mocny płot, który oparłby się i rozjuszonemu zubrowi. Dzieszko mówił prawdę: nie było również concertiny, czyli odmiany drutu kolczastego z ostrymi blaszkami zamiast kolców. Nie była potrzebna; płot załamywał się dwa metry nad ziemią i zwieszał pod kątem na kolejny metr do wewnątrz. Nie miał prawa się na niego wspiąć nikt po tamtej stronie, chyba że miał palce ze stali.

Przez siatkę i pnie drzew prześwitywał budynek szpitala, a w zasadzie jego tylna elewacja. Boczne skrzydła, niższe od głównego, tworzyły coś w rodzaju wewnętrznego dziedzińca, otwartego na las. Na jego środku stała fontanna, a cały teren wyglądał, jakby kiedyś, w dawnych dobrych czasach, był pięknym założeniem ogrodowym. Teraz został jedynie trawnikiem, a o starych, dobrych czasach świadczył już tylko układ ścieżek tworzących zawiły geometryczny rysunek.

Ruszyliśmy z Tomkiem wzdłuż płotu, zerkając ciekawie do środka. Po dziedzińcu spacerowało kilkoro ludzi, ale sądząc ze skoordynowanych i celowych ruchów, strojów oraz papierosów w ustach, był to raczej personel.

– Obejdźmy to dookoła, jak już tu jesteśmy – zaproponowałem. – Zajmie nam to kwadrans, góra dwadzieścia minut.

– Czego się spodziewasz po tej wycieczce?

– Niczego. Lubię robić rzeczy do końca. Las też lubię... A może w przestrzeni rekreacyjnej zobaczymy sobie Daniela Ejzerta?

– Tak, oczywiście – Tomek skrzywił się kpiąco – już na nas czeka.

– Dzieszko wspomniał, że gość ma sporą swobodę w poruszaniu się po terenie szpitala. Jest piękna pogoda, myślisz, że chciałby siedzieć na tyłku w swoim pokoju, czy w czym oni tam mieszkają, bo żadna taktowna nazwa nie przychodzi mi akurat do głowy?

– Jest chory psychicznie, tak? Może panicznie boi się słońca? Albo lasu?

– Dzieszko mówił też, że niemal przez cały czas przebywa na zewnątrz – przypomniałem mu.

– A nawet jeśli będzie na tym wybiegu, to co nam to da? Zawołasz go, żeby podszedł do płotu?

Szliśmy wzdłuż siatki, a sytuacja po jej drugiej stronie się nie zmieniała. Nie było śladu spacerowiczów, którzy nie nosiliby białych kitli. Nie wiedziałem, czy pacjenci

noszą koszule, czy pasiaste pizamy, czy chodzą na przykład w swoich dresach, ale żadna z osób na dziedzińcu nie wyglądała na pacjenta. W pewnej chwili poczułem jakiś słodkawy zapach. To było dość dziwne poczuć go w takim miejscu jak to...

– Tomek, też to czujesz? – zapytałem Rędzię.

Odwrócił się. Miał duże oczy i wyraz rozbawienia na twarzy.

– No, właśnie czuję i nosowi nie wierzę... Przecież to ewidentnie zioło!

Szliśmy wciąż wzdłuż płotu, a im dalej się posuwaliśmy, tym mocniej czuć było zapach marihuany. Nagle, za płotem, pomiędzy pniami sosen zobaczyłem białą plamę. Dotknąłem ramienia Tomka, a kiedy się obejrzał, przytknąłem palec do ust i pokazałem mu ją. Stanęliśmy. Przez dłuższą chwilę przypatrywaliśmy się młodemu mężczyźnie w luźnej koszuli, który dreptał między drzewami ze wzrokiem wbitym w leśne runo, jakby coś wcześniej w nim zgubił, a teraz tego szukał – powoli, planowo i konsekwentnie. Co jakiś czas przytykał do ust palce, w których tkwił mały, niezbyt zgrabny skręcik. Facet stał dosłownie kilka metrów od nas, ale nie widział niczego poza swoimi stopami obutymi w granatowe basenowe klapki zanurzające się w usłanym uschniętymi igłami mchu. Był szczupły, wręcz chudy, miał mocno owłosione przedramiona i łydki wystające spod nogawek przykrótkich spodni z tego samego

materiału co koszula. Widzieliśmy go z profilu. Ostre rysy bladej twarzy pokrytej na policzkach i podbródku ciemnym zarostem odcinały się jasną plamą od tła lasu. Potargane, czarne włosy sterczały w nieładzie na wszystkie strony, jak to zwykle u pacjentów szpitali. Koniec jointa żarzył się pomarańczowym punkcikiem za każdym zbliżeniem palców do ust, któremu towarzyszyło zapadnięcie się policzków. A potem kłęb gęstego dymu i słodkomdłący zapach. Pełen relaks. Nie ma to jak wylogować się na chwilę z szarzyzny codzienności na łonie natury.

– Cześć! – zawołał cicho Tomek.

Chudzielec po drugiej stronie płotu nie przestraszył się. Powoli spojrzął w bok, a kiedy nas zobaczył, pomachał nam ręką, w której trzymał skręta.

– Cześć – odpowiedział, podchodząc w naszą stronę.

Miał miły, niski głos.

– Nie jesteś lekarzem ani pielęgniarzem, co? – zapytałem.

– A wyglądam na lekarza albo pielęgniarza?

– Pozory często mylą. Rozumiem, że to marihuana lecznicza?

Parsknął śmiechem.

– Można tak powiedzieć.

– A kto cię zaopatruje w to lekarstwo? Szpital? Oni wiedzą, że się leczysz na własną rękę?

– Nie o wszystkim muszą wiedzieć.

– Ale jak się dowiedzą, to będziesz miał problem, nie?

– Niekoniecznie.

– Niekoniecznie!?

– Owszem, niekoniecznie. Ja tu wiele mogę – powiedział chłopak, a w jego głosie słychać było wyraźnie coś w rodzaju dumy.

– Rządzisz tu?

– Nie, nie w tym znaczeniu. Po prostu na wiele mi pozwalają. Kim jesteście?

Spojrzeliliśmy na siebie z Tomkiem. W jego oczach zobaczyłem lekkie niedowierzenie, w moich on ujrzał stoicki spokój, jakbym nie dziwił się już niczemu. Ale owszem, też byłem zdziwiony. Rozbawiony również. I to bardzo. Wyglądało na to, że zostałem lokalnym prorokiem.

– A ty? – zapytałem Ejzerta, bo to musiał być on.

– Najpierw wy.

– Policjantami – rzucił Tomek, wymownie patrząc na skręta. – Jesteśmy z policji.

Daniel Ejzert nie przejął się tym zupełnie. Też spojrzał na jointa, jakby chciał utwierdzić się w przekonaniu, że ręka, która go trzyma, jest w istocie jego ręką, ale nie był absolutnie zaskoczony. Potem uniósł głowę i patrzył na nas przez chwilę nieruchomym wzrokiem spod lekko przymkniętych powiek. Nie wiedziałem, ile zielska wypalił ani w jaką mogło ono wejść interakcję z lekami, które brał.

– Policjantami – powtórzył beznamiętnie. – Fajnie. Po co się tak czaicie w tym lesie?

– Chcemy z tobą porozmawiać – znów przejąłem pałeczkę.

– Ze mną? Dlaczego akurat ze mną?

– Bo wyglądasz na fajnego koleśia.

– Ostrzegam, jestem pierdolnięty – powiedział Ejzert z uśmiechem, unosząc rękę i pokazując nam skręta, jakby miał o tym zaświadczyć.

– Nie jesteś. – Też się uśmiechnąłem, mrużąc oczy.

Miałem nadzieję, że to go mile połechtało.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Powiedzmy, że znam się na ludziach.

– O! Znasz się na ludziach? No dobra... A o czym chcecie porozmawiać? Ze mną?

– O szpitalu.

– To idźcie do dyrektora.

– Zdaje się, że nie ma dyrektora?

– No tak. „Snajper” go załatwił.

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowany?

– A to takie dziwne?

– W miejscu odosobnienia? W takiej izolacji? Trochę tak.

Ejzert przyglądał mi się przez chwilę, mrużąc oczy, a ciemne brwi zbiegły mu się nad nosem.

– Normalni ludzie często nie doceniają wariatów, wiesz?

– Wiem. My cię doceniamy. Dlatego właśnie chcemy porozmawiać z tobą, a nie z dyrektorem, którego nie ma.

– Jest następca. Doktor Dzieszko.

– Gadaliśmy z nim – machnąłem ręką – ale on reprezentuje jeden, określony punkt widzenia. A my chcielibyśmy poznać inny. Chcielibyśmy poznać opinię kogoś z drugiej strony. Rozumiesz?

– Jasne. Ale nic za darmo.

– Oczywiście. Słucham twojej propozycji.

– Mmm... Paczka fajek.

– Okej. Coś jeszcze? Tylko nie prosź o maryśkę.

– Nic więcej.

– Nic? Tylko paczka fajek?

– Tak. Paczka fajek wystarczy. Mówiłem, że jestem pierdolnięty.

– Och, tam zaraz... A może po prostu niedrogi?

– Jak chcesz. Może jestem po prostu niedrogi. Kupujesz?

– Kupuję – oświadczyłem z zadowoleniem. – To w takim razie pierwsze pytanie. Jak ci tu jest?

Ejzert zaciągnął się jointem, widać potrzebował trochę czasu. Zatrzymał dym w płucach, a potem uniósł twarz ku koronom drzew, zamknął oczy i robiąc z ust dzióbek, pozwolił, by dym wylał się z nich leniwą smużką, którą po chwili lekki wietrzyk rozerwał na strzępki i porwał ze sobą.

– Jak mi tu jest? – powtórzył moje pytanie, co również uznałem za próbę uzyskania chwili do namysłu. – Spoko, nie narzekam. W każdej sytuacji trzeba się umieć odnaleźć. Dyskusja z rzeczywistością nic nie daje, więc po co się szarpać? Mam tu kolegów wariatów, mam kolegów sanitariuszy, mam święty spokój, las, telewizor, w którym oglądam, co chcę, bo pozostałym, tym, którzy mogą go oglądać, jest wszystko jedno... Mam opiekę medyczną. Nie mogę zasnąć? Dostaję procha. Boli mnie głowa? Dostaję procha. Jak się tak dobrze zastanowić, to jestem zajebiście urządzony.

– Wszyscy mają tak zajebiście jak ty?

– Nie. Mówiłem wam. Mnie pozwalają na więcej. Lokatorom „warzywniaka” jest wszystko jedno, ale najgorzej mają ci ze „specki”.

– Co to jest „specka”?

– Oddział specjalny w skrzydle „C”. Tam trzymają tych najciężej chorych i tych z obserwacji. Niektórzy z nich siedzą tam latami, wiecie?

– Cóż – wzruszyłem ramionami – jeśli są ciężko chorzy...

– Jeśli są ciężko chorzy, to tak. Ale ci z obserwacji nie są, prawda? A też całe lata gniją w pokoju bez klamek, mimo że formalnie są zdrowi, a lekarze dopiero zastanawiają się, czy rzeczywiście formalnie, czy nie... Czasem trafiają tam również ci ze skrzydła „A”. To znaczy z naszego.

– Dlaczego?

– Za krnąbrność, na przykład. Albo jak za dużo machają rękami.

– Ale ty tam nie trafiasz? – zapytałem podejrzliwie.

Ejzert spuścił wzrok.

– No... Zdarzyło się kilka razy.

– Tobie? Przecież tobie wolno więcej?

– Czasem przesadzam. Mówiłem już...

– Tak, jesteś...

– Pierdolnięty. Chodzi o to, że mimo wszystko jakieś reguły obowiązują. Czasem zdarzyło mi się szturchnąć pielęgniarza i trafiałem na „speckę” na noc. Wiecie: pasy, zastrzyk i parę kuksańców na dobry sen... Standard.

– Słyszeliśmy o standardach w „Leśnej Ostoji” – mruknąłem, zerkając znacząco na Tomka.

– Sami widzicie. Ale nie narzekam. Generalnie jest w porządku. Wolę być tu niż w domu. Czasem mnie wypuszczają, ale jestem jak bumerang – uśmiechnął się lekko – zawsze wracam. Zawsze. A mówią, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

– Tak zwykle mówią ci, którzy nie lubią z niego wychodzić.

– A może mój dom jest tu, a nie tam? – zapytał chytrze Ejzert.

– Tam dom twój, gdzie serce twoje. Tak też mawiają.

– O, to jest dobre. Naprawdę niezłe! Muszę zapamiętać.

Podszedł do siatki, przełożył palce przez oczka, wczepiając się nimi w krzyżujące się druty, i zbliżył do nich twarz. Czubek jego nosa znalazł się na zewnątrz płotu. Ejzert mocno wciągnął powietrze, zamykając oczy.

– Czujecie? – zapytał.

Kiedy nic nie odpowiedzieliśmy, otworzył oczy i zmarszczył brwi.

– No dalej! Powąchajcie!

Pociągnęliśmy z Tomkiem nosami. Poczułem zapach rozgrzanej, suchej ściółki i sosen.

– Teraz czujecie? Prawda? To powiem wam coś. Powietrze jest takie samo po obu stronach. Pachnie identycznie, ma identyczny skład. Las, w którym wy stoicie, jest taki sam jak ten, w którym stoję ja po swojej stronie płotu. Te same gatunki drzew, takie same robale, jeże i zaskrońce. Ten płot nic nie znaczy, rozumiecie? Jakby go tu nie było. – Chwycił siatkę palcami, zacisnął je na niej i pociągnął, prostując ramiona, jakby chciał ją wyrwać. – To jeszcze jeden argument za tym, że w sumie wszystko jedno, gdzie jestem; tu czy tam...

Nie chciałem z nim polemizować na ten temat. Ejzert zamrugał i zaczął wodzić oczami po naszych twarzach, od mojej do Tomka i z powrotem. Był w nich jakiś niepokojący błysk.

– To teraz ja chcę was o coś zapytać – powiedział nagle. – Bo męczy mnie to.

– Pytaj – zachęciłem go – za darmo.

– Zastanawiam się, kiedy w końcu ktoś mi powie, że matka nie żyje.

Opanowałem się jakoś, żeby nie spojrzeć na Tomka.

– Ty... Wiesz?

– Masz rację co do izolacji; stwarza pewne ograniczenia, ale w tym budynku za mną też można znaleźć gazety. A to, że jestem wariatem, nie oznacza, że nie umiem czytać i że nie kojarzę faktów. Ile jest Anit E., lat pięćdziesiąt dwa, dyrektorek banku mieszkających w Szczecinie? Ojciec też nie przyjechał w weekend...

– Trafił do szpitala na kilka dni, ale już z nim dobrze – bąknąłem. – Cóż, przykro mi...

– Wicie, dlaczego trafiłem tu pierwszy raz?

– Skąd moglibyśmy wiedzieć, Daniel?

– Bo jak byłem nastolatkiem, to rzuciłem się na nią z nożem. Na własną matkę...

Na chwilę straciłem rezon. Zatkało mnie. Tomek też nic nie mówił.

– Czyli tobie nie jest przykro? – zapytałem Ejzerta ostrożnie.

Wzruszył ramionami.

– Trudno mi powiedzieć, jakie mam uczucia. Wesołe na pewno nie, w końcu matka to matka... Ale wtedy, jak byłem chłopakiem, to nie zrobiłem tego bez powodu, co nie?

– W takim razie dlaczego to zrobiłeś?

Milczał przez długą chwilę, a potem patrząc w ziemię, kilka razy pokiwał w zamyśleniu głową.

– Jak już wspomniałem, jestem pierdolnięty. Chyba od zawsze. To dlatego. – Po raz ostatni zaciągnął się skrętem, który musiał już parzyć palce, potem niedbale rzucił go pod nogi i wdeptał starannie w ziemię. – Żartuję. To znaczy jestem, ale wtedy to było z innych powodów. Tak myślę. Po prostu nie radziłem sobie sam ze sobą, jak wiele dzieciaków w moim wieku, tylko że większość zatrzymuje to wszystko w środku. I to ma swoje konsekwencje w życiu dorosłym. – Podniósł głowę i spojrzał na korony sosen. – To nie jest pedagogiczne pieprzenie. To prawda...

– No dobra, chłopaku – powiedziałem, wzdychając. – Będziemy się zbierać.

– Pamiętajcie o fajkach, co?

– Jasne. – Podniosłem rękę i pomachałem temu blademu chudzielcowi w białej koszuli podzielonej na prostokąty oczkami siatki.

Wracaliśmy do samochodu w milczeniu. Dopiero kiedy do niego wsiedliśmy, odezwałem się do Tomka:

– I jak wrażenia z wycieczki?

Rędzia wyduł wargi i pokiwał głową.

– Moja matka mówiła na takich jak ty „przechera”. Skąd wiedziałeś, że on tam będzie?

– Przechera oznacza chyba co innego?

– Wiem, nieważne. Ona tak mówiła. Skąd?

– Nie ma w tym żadnej sztuczki ani tajemnicy. To po prostu było bardzo prawdopodobne, tłumaczyłem ci już. A że był tak blisko nas, to przypadek. Czysty przypadek. Wiesz, jakie jest prawdopodobieństwo wygranej w totka?

– Mniej więcej.

– No. A jednak ktoś trafia tę pieprzoną szóstkę. Czasem nawet pada trzy razy w tygodniu.

– Otóż to: ktoś. Ale to nigdy nie jestem ja. I nie będę.

– Właśnie to jest najciekawsze w przypadkach. Jesteś przekonany, że coś nie ma prawa się zdarzyć, a potem to się dzieje. Dwa lata temu pewne rzeczy też nie zmieściłyby mi się w głowie.

– Coś w tym jest...

– Wiem. A co myślisz o Ejzercie?

– Co myślę? Zastanawiam się, skąd miał towar. Zastanawiam się, czy nie ma gdzieś małej plantacji w jakimś zagajniczku nieopodal szpitala. Zrobił sobie dziurkę w płocie i dogląda poletka na każdym spacerze...

– Chyba nie. Konopie są zbyt wrażliwe na takie warunki. Poza tym jak i gdzie zrobi sobie susz? Ktoś z zewnątrz mu go dostarcza. Jeśli do ściśle strzeżonych zakładów karnych ludzie są w stanie przemyć komórki, narkotyki, a nawet broń, to do wariatkowa nie dadzą rady wnieść małej paczuszki?

– W takim razie po co chciał od nas papierosy, skoro ma dostawcę? Poza tym w więzieniach w procederze biorą udział przekupieni klawisze.

– Nie chodziło o papierosy. Chodziło o gest. A może o to, żebyśmy się znowu spotkali tam, przy płocie, i pogadali trochę. Może jednak mu się czasem nudzi? Może ma dosyć wciąż tych samych wariatów i pielęgniarzy? Poza tym uważasz, że strażnika łatwiej przekupić niż pielęgniarza w psychiatryku?

– Fakt. I jak to ma się do tych wysokich standardów, o których wspominał Dzieszko?

– Chcesz powiedzieć, że mu uwierzyłeś?

– W coś trzeba wierzyć.

– To w siebie wierz. A nie minęła ci ta wiara w Dzieszkę po rozmowie z Danielem?

Rędzia pokiwał głową i w zamyśleniu potarł palcem deskę rozdzielczą, zostawiając na niej ciemniejszą smugę.

– Co za fleja oddała auto w takim stanie – mruknął, oglądając zakurzoną opuszkę, a potem spojrzał na mnie. – Ciekawe, czy chłopak zdaje sobie sprawę, że to jego wygodne życie zaraz się skończy i wyląduje w zwykłym wariatkowie, gdzie za każdą niewłaściwą odżywkę będą go pompować hydroksyzyną i haloperidolem albo przywiązywać pasami do łóżka? Ewentualnie wszystkie te atrakcje naraz...

– Tu też go przywiązywali. Mówił przecież.

– To, co robili z nim tutaj, to małe piwo przy tym, co dzieje się w państwowych szpitalach psychiatrycznych. Tam nikt się z nimi nie obcyndala.

– Czemu miałyby się skończyć?

– To jego matka zarabiała kasę. A przypominam, że nie żyje. Ile może dostawać urzędnik od marszałka, nawet jeśli jest kierownikiem czy tam dyrektorem? Przypuszczam, że... czesne, że tak to taktownie ujmę, musi wynosić ze dwie moje pensje. Albo i trzy.

– Trudno, to ich sprawa.

– Niby tak...

– Zresztą byli ubezpieczeni, Ejzert wspominał coś o milionie? Z samych odsetek z takiej sumy można nieźle uciągnąć... Dobra, pora na małe podsumowanie. Jakie są efekty naszej wycieczki?

– Na razie niezbyt imponujące. Wciąż nie wiemy na pewno ani nawet nie mamy powodu do przypuszczeń, że młody Ejzert jest wspólnym ogniwem tych zabójstw. To ciągle może być przypadek, ale coś mi mówi, że jednak mało prawdopodobny. Wiem jedno: będziemy musieli grzebać w tym temacie. Grzebać, aż się do czegoś dokopujemy.

– Wiesz, to niekoniecznie Daniel Ejzert może być wspólnym ogniwem – rzuciłem w zamyśleniu.

– A kto?

– Nie mówię teraz o nikim konkretnym. Myślę raczej o miejscu, rozumiesz? Chodzi mi o szpital. Może Nietykalny spędził tu jakiś czas? I przykładowo nie polubił Olędzkiego.

– I Ejzerta? Dlatego zabił mu matkę? A co w takim razie z sędzią? Jaki ona ma związek ze szpitalem?

– Nie wiem. Może członek jej rodziny też przebywał w Gronowie?

– Sugerujesz, że powinniśmy sprawdzić wszystkich leczonych tam pacjentów, którzy opuścili mury „Leśnej Ostoi”? – Zerknął na mnie. – Opuścili mury: delikatnie to ująłem, prawda?

– Prawda – zgodziłem się. – I tak, to właśnie sugeruję.

– Szaszłyk i Zalewski będą mieli trochę roboty... – Tomek przekręcił kluczyk w stacyjce. – A jak przekażesz te fajki Ejzertowi? Przecież nie będziemy znowu tropić go na tym spacerunku?

– Przestrzeni rekreacyjnej – poprawiłem odruchowo.

– Właśnie, przestrzeni? Wyślesz mu w paczce? Czy przekupisz pielęgniarza?

– Żartujesz? – Spojrzałem na niego oczami okrągłymi ze zdziwienia. – Gnój rzucił się z nożem na własną matkę i jeszcze fajki mam mu kupować?

Rędzia roześmiał się, wrzucił jedynekę i ruszył z chrzęstem opon, aż drobiny żwiru zagrzechotały, uderzając o podwozie i blachy nadkoli.

Po powrocie do komendy Tomek zadzwonił do Janusza Materny, męża zabitej sędzi, zapytać, czy ktoś z jej rodziny był leczony psychiatrycznie w Gronowie bądź gdziekolwiek indziej. Odpowiedź była zdecydowana i negatywna. Niezrażony tym Rędzia zlecił Jończykowi skontaktowanie się z administracją szpitala w Gronowie i uzyskanie informacji o pacjentach, którzy zakończyli leczenie w ostatnich dwóch latach. Miały obejmować osoby, które hospitalizowano w związku z chorobami psychicznymi charakteryzującymi się agresją. Sam zadzwonił do Dzieszki, informując go, że wkrótce do szpitala dojdzie pismo z komendy w tej sprawie, i prosząc, żeby dyrektor zlecił komuś wyszukanie tych informacji od razu, bez czekania aż list dojdzie do Gronowa.

– Ja proszę o pomoc, tak? – perorował przez telefon. – Nie żądam poufnych danych. Nie interesują mnie jednostki chorobowe; ja tylko proszę pana, fachowca, żeby stwierdził na podstawie swojego doświadczenia, które z osób leczonych w „Leśnej Ostoi” mogą wykazywać

nieładne skłonności. Niech pan przejrzy kartoteki, zleci lekarzom, żeby zrobili to samo w sprawie swoich pacjentów... Tak, to w związku z zabójstwami... To pan jest specjalistą. Wystarczy imię, nazwisko i numer PESEL, żebyśmy mogli tę osobę ewentualnie namierzyć... Tak... I proszę o profesjonalne, rzetelne podejście do sprawy; przypominam, że chodzi o ludzkie życie. I jeszcze jedno pytanie: rozumiem, że pacjenta wypuszczonego... Tak, wypisanego ze szpitala psychiatrycznego nie można uznać za w pełni wyleczonego? Nie, no ja rozumiem, że to zawsze są niuanse, ale w zasadzie nie można być nigdy pewnym, że... Dobrze, przyjmuję do wiadomości. Na kiedy mogę liczyć na te dane? Jutro? Maksymalnie do jutra, jeśli mogę prosić... Wiem, że jest już sporo po południu... Dobrze, pojutrze rano. Tak, mail wystarczy... Jeśli nie dostanę go do dziewiątej, będę atakował... Dziękuję, do widzenia.

Rędzia rozłączył się i rozejrzał po naszych twarzach.

– Ja wiem, że ich praca nie jest łatwa. Ja to naprawdę rozumiem. Ale, do kurwy nędzy, są sytuacje, w których trzeba ścisnąć pośladki choćby nie wiem co i zrobić coś dla ludzkości... To...

Przerwały mu dźwięki marimby. Podniósł telefon i spojrzał na niego zdziwiony, a może zły, że ktoś mu przerywa. Odebrał, rzucił do niego krótkie „Rędzia”, a potem słuchał przez kilkanaście sekund tego kogoś po

drugiej stronie. Patrzyliśmy z Jończykiem i Zalewskim, jak jego brwi podjeżdżają do góry, a czoło się marszczy. Kiedy skończył słuchać, rozłączył się i wierzchem dłoni trzymającej telefon otarł pot z czoła.

Potem jeszcze raz zerknął na telefon i schował go do tylnej kieszeni spodni. Bardzo niebezpieczny odruch. Niebezpieczny dla telefonu.

– To był dyżurny z komendy miejskiej – wyjaśnił wreszcie, a następnie sprawił, że podniosło nam się ciśnienie. – Mamy następnego trupa. Jedziemy.

* * *

– Gronowa dwadzieścia „a” – relacjonował Tomek głośno, bo jego słowa zagłuszał jęk syreny. Jończyk i Zalewski wciśnięci w oparcie tylnej kanapy nadstawiali uszu. – To na Świerczewie. Paru dzieciaków eksplorowało stary dom, podobno piłka im wpadła do ogrodu i jeszcze nie wiem, co ma jedno z drugim wspólnego. Mieszkają po sąsiedzku. To jakaś rudera. Na piętrze ujawniono zwłoki mężczyzny, najprawdopodobniej rany tłuczone głowy, tak zeznał dzielnicowy, który był pierwszy na miejscu. Ofiara to Zenon Jakiśtam, mieszkaniec tego domu, jedyny mieszkaniec. Tyle w telegraficznym skrócie. Cieślar już jedzie, technicy też, mam nadzieję, że będziemy pierwsi. To znaczy przed Cieślarem.

– Ulica Gronowa. Gronowo, powiat drawski – rzucił Jończyk. – Przypadek?

Nikt nic nie powiedział, a po chwili dojechaliśmy na miejsce. Zdążyliśmy przed Cieślarem, choć w zasadzie miało to niewielkie znaczenie, bo prokurator dotarł kilka minut po nas. Zaparkowaliśmy i kiedy jednocześnie wysiadaliśmy ze skody, podszedł do nas policjant służby patrolowo-interwencyjnej.

– Ten dom – powiedział i wskazał za siebie.

Spojrzeliliśmy w tamtym kierunku. Przed furtką, w cieniu rozłożystej sosny dostrzegliśmy drugiego policjanta, przy którym, jak dwa warujące i wystraszone pieski, stali dwaj kilkunastoletni chłopcy. Funkcjonariusz nie miał na sobie umundurowania ćwiczebnego jak patrolowcy, tylko koszulkę polo i notatnik pod pachą. Pewnie ów dzielnicowy z komisariatu Szczecin Pogodno, który przyjechał pierwszy.

– To nie rudera, tylko po prostu zaniedbany budynek – powiedział Jończyk.

– Co za różnica? – Rędzia wzruszył ramionami.

– Zasadnicza...

– Jaka to różnica dla nas?

– W sumie żadna...

Mała, brukowana cementową kostką uliczka powoli wypełniała się samochodami policyjnymi, nadjechała karetka pogotowia. Milkły jęki syren, migotały tylko niebieskie światła, wywołując niezdrową sensację. Do sprawy „Nietykalnego” powołano w KWP stałą grupę operacyjno-procesową, składającą się z funkcjonariuszy

kilku pionów oraz techników z laboratorium kryminalistycznego. Byli wcześniej wszędzie tam, gdzie uderzał „Nietykalny”. Przyjechali i teraz, mimo braku pewności, że to faktycznie on.

Tymczasem w oknach domów pojawiały się zaniepokojone twarze mieszkańców, niektórzy wychodzili na zewnątrz i powoli przesuwali się w naszą stronę, jeszcze trochę nieśmiało, popatrując na siebie i dodając sobie w ten sposób otuchy.

– Wiesz, co mi przypominają te grupki ludzi, które gromadzą się w miejscach tragedii, wypadków i innych nieszczęść? – zapytałem Tomka, pokazując mu ich. – I stoją tak i się gapią?

– No?

– Tłumek zombie podejmujący decyzję o przypuszczeniu ataku na żywych. W ich oczach jest autentyczny, niezaspokojony głód. Głód sensacji.

– Tak, wiem, o czym mówisz. Dobra, rozwińcie taśmy – polecił Rędzia policjantom z patrolu. – Od płotu do płotu przy tamtej latarni i tak samo z drugiej strony, przy tym żywopłocie. Koniec przedstawienia. Zakazuję wpuszczania dziennikarzy na wyznaczony obszar.

– Boże, tekst jak z thrillera klasy B – mruknąłem, kiedy policjant szedł do samochodu po taśmy. – Skąd tu dziennikarze?

– Niby masz rację – potwierdził Rędzia. – Ale o zostawianym na miejscu zbrodni naboju skądś się

dowiedzieli, co? A jak myślisz skąd? Bo nadał im to ktoś od nas, któryś z tych łebków kręcących się przy zabezpieczeniu... Im mniej ludzi tu się kręci, tym lepiej.

Pokiwałem smętnie głową. Chwilę później nadjechało jeszcze jedno auto. Wysiadła z niego kobieta ubrana w kostium: wąską spódnicę za kolana i żakiet. Na nogach miała buty na niewysokim obcasie. Krótkie włosy okalały miłą twarz z ciemnymi brwiami i wydatnymi ustami, teraz ściągniętymi w wyrazie powagi.

– Psycholożka – powiedział cicho Rędzia.

– Wiem – mruknąłem, pozdrawiając ją uniesieniem dłoni.

Miała na imię Małgosia, pracowała w sekcji psychologów. Poznałem ją kiedyś przez Milenę Korcz. Skinęła nam głową i skierowała się prosto ku dzieciakom i dzielnicowemu. Poszliśmy wszyscy za nią; kiedy ją mijaliśmy, kucała właśnie koło chłopców, coś do nich cicho mówiąc. Mniejszy wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

Dzielnicowy zostawił ich i ruszył z nami. Przywitaliśmy się krótko, przedstawiając się. Chłopak miał stopień starszego sierżanta i był dzielnicowym drugiego rewiru w rejonie pięćdziesiątym piątym, obejmującym kilka ulic w tym rejonie Świerczewa. Kiedy minęliśmy furtkę, wskazał na drzwi wejściowe.

– Tu zamknięte, od tyłu jest otwarte. Tamtędy weszli chłopcy.

Przeszliśmy ogrodem na tył domu.

– Niczego nie dotykałem – mówił dzielnicowy, kiedy przedzieraliśmy się przez zaniedbane chaszczce, w jakie zmieniły się krzewy bzu. – Doszedłem na górę schodów i zobaczyłem denata...

– Na pewno denata? – zapytał Jończyk.

– Na pewno – stwierdził z przekonaniem sierżant. – Nie było żadnych wątpliwości, że nie żyje. Sami zobaczcie. Smród też je rozwiewał. Dlatego nie szedłem dalej.

– I bardzo dobrze. – Głos Cieślara za naszymi plecami, mimo że całkiem przyjemny, był jak strzał z bicia. – I my też nie będziemy iść, poczekamy na techników. Zastanawiam się również, czy panowie zorganizowali sobie wycieczkę zakładową, tyłu was tu jest.

Rędzia chciał coś odpowiedzieć, ale zza rogu domu wyłonił się technik z walizką, a zaraz za nim dwóch następnych. Jończyk i Zalewski jakby rozumieli się bez słów, bo obaj jednocześnie odwrócili się, zeszli z tarasu na coś, co kiedyś być może było trawnikiem i oddalili się w kierunku starej czereśni. Stanęli pod nią, a Krzysiu wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Sławka. Technicy zaczęli przebierać się w kombinezony, co prokurator skrzętnie wykorzystał.

– Cokolwiek zastaniemy w środku, to życzę sobie, żeby wszyscy podeszli do swojej pracy wyjątkowo rzetelnie – oznajmił. – Tkanki, wydzieliny, wydaliny plus ślady

botaniczne i zoologiczne. Wszyściuteńko. Jeśli to faktycznie robota Nietykalnego, to nie muszę nikomu mówić, jak ważne jest dokładne przeprowadzenie oględzin i prawidłowe zabezpieczenie śladów. Niech ktoś choćby kichnie i obsmarka podłogę, to zapierdolę. Nie wyobrażam sobie także sytuacji, że jakiś zabezpieczony przedmiot nie ma metryczki albo jest nieprawidłowo zapakowany. Dlatego pan komisarz Rędzia również bez dyskusji nakłada kombinezon.

– Poproszę jeszcze jeden dla pana radcy – zwrócił się Tomek do technika, który podawał mu pakuneczek z jednorazowym kombinezonem.

– Wie pan, kto to jest gospodarz śledztwa? – Cieślar stanął obok nas i powiedział to cicho, ale dobitnie. – To ja decyduję, kto wchodzi, a kto nie.

– Niech pan nie robi scen, dobra? – poprosiłem, również cicho. – To ma być prywatna zemsta czy co?

Jakby nie usłyszał pytania. Po prostu odwrócił się i rozejrzał po ogrodzie, nie odpowiadając. Nie wiedziałem, czemu tak się zachowywał. Podobnie zareagował w komendzie na moją prośbę, żeby spierdalał, po prostu wyszedł bez słowa. Może dlatego, że było nas czterech, a on jeden, a może po prostu był jednak mądrzejszy ode mnie i ustąpił. Teraz było nas nawet pięciu i on, i teraz to ja byłem mądrzejszy, na pewno bardziej niż wtedy w komendzie. A on znów ustąpił.

Patrzyłem, jak Cieślar nakłada kombinezon i zastanawiałem się, co lub kto tak go skrzywdził. Jak to się dzieje, że ludzie stają się dupkami. Tomek trącił mnie w ramię i podał mi paczkę. Kiedy prokurator zniknął we wnętrzu domu, a ja zacząłem rozdzierać opakowanie, Rędzia szepnął do mnie:

– I dokona swej pomsty w zapalczym gniewie...

– Nie wygląda na zapalczego. – Zerknąłem na drzwi.

– No właśnie. Tym gorzej. Będzie ją w takim razie smakował na zimno. Będzie cię zuł powoli i dokładnie, tak jak powinno się przeżuwać pokarm, żeby enzymy zawarte w ślinie zdążyły zacząć działać. A kiedy cię wypluje, będziesz strzępkiem siebie.

Skrzywiłem się tylko.

– Skąd wiadomo, że ofiara to właściciel tego domu? Jak on się w ogóle nazywa? – zapytałem jeszcze dzielnicowego.

– Łopaciński, Zenon Łopaciński. Bywałem tu kilka razy, znałem go z widzenia. W końcu mój rewir... A ciało leży tak, że nie miałem problemu z rozpoznaniem. Pomijając brak połowy głowy...

– Uhm – mruknąłem.

Dokończyliśmy przebieranie się w kombinezony i ruszyliśmy do środka. Gdy tylko uchyliliśmy drzwi, otoczył nas smród przypominający woń zepsutego mięsa. To było jak uderzenie obuchem. Odór nie był mocny, ale

wyjatkowo dokuczliwy. Dzielnicowy został na zewnątrz; kiedy ostatni raz spoglądałem na ogród, szedł w stronę czereśni, do Jończyka i Zalewskiego.

– W poprzednich oględzinach uczestniczyłem w zeszłym wieku – powiedziałem do Tomka, mimowolnie szepcząc.

Rozejrzałem się po zaniedbanym wnętrzu. Smród przesiąkniętych dymem papierosowym tapet, niepranych zasłon i lepkiego brudu na linoleum był równie dokuczliwy jak odór zwłok i wciskał się w nozdrza. Sprzęty i meble były stare i zakurzone, czułem się tak, jakby ktoś cofnął mnie w czasie o dobre trzydzieści, czterdzieści lat.

– Po prostu niczego nie dotykaj i patrz pod nogi. – Rędzia wskazał na plamę rozbryzanych na podłodze wymiocin. – A najlepiej stańmy w jednym miejscu... Wiesz, w latach osiemdziesiątych była taka sprawa; morderstwo starszej kobiety na tle rabunkowym. Znaleźli całkiem sporo odcisków; świeżych i wyraźnych, więc na nich się skupili. Należały do jednej osoby. Wiesz do kogo?

– Do sprawcy albo ofiary. Do kogo mogły należeć?

– Do prokuratora. Wszystkie. Co do jednego.

– Prokurator obrabował i zabił staruszkę? – zdziwiłem się, czując, jak śniadanie podchodzi mi do gardła.

– Nie. – Rędzia popatrzył na mnie krzywo. – Przyjechał na miejsce ujawnienia zwłok i przeszedł się po mieszkaniu, żeby się rozejrzeć. Kretyn rozglądał się

rękami, dasz wiarę? Więc trochę rozumiem Cieślara, choć oczywiście mógłby być mniej obcesowy. W końcu nie ma do czynienia ze stadem baranów.

Mijając technika robiącego zdjęcia, weszliśmy na górę po skrzypiących drewnianych schodach i zobaczyliśmy plecy Cieślara opięte kombinezonem zebrany w pasie ściągaczem. Prokurator stał w drzwiach do jednego z pomieszczeń i przyglądał się czemuś w milczeniu. Kiedy usłyszał, że wchodzimy, bez słowa odsunął się od drzwi, ale jego dłoń obleczona w lateks pozostała oparta o framugę, blokując nam drogę. Stanęliśmy obok niego i zajrzeliśmy do środka; ja nad ramieniem prokuratora, a Tomek pod jego pachą. Smród stał się już niemal nie do zniesienia. Zastanawiałem się, czy maseczka na twarz zmieniłaby cokolwiek, nawet gdybym ją miał. Oraz co jest gorsze: obraz, jaki ujrzałem w pomieszczeniu, czy jednak smród.

Łopaciński leżał na środku pokoju z roztrzaskaną czaszką. Dzielnicowy trochę przesadził, nie brakowało jej połowy, ale widok i tak nie należał do przyjemnych. Jej czubek wyglądał jak rozbite jajko na miękko, obrzęknięty mózg wychodził przez pęknięcia w kości, tworząc struktury przypominające indyjskie korale. Krew zaschła już, oblepiając siwe, obcięte na zapałkę włosy i tworząc na podłodze czarną skorupę. Denat leżał na boku, z podkurczonymi nogami, twarzą w kierunku drzwi. Miał związane z tyłu ręce i był nagi, a jego skórę pokrywały

strupy, sińce i plamy opadowe. Obok głowy, na żółtawym linoleum, leżała biała kartka papieru, na której wielkimi literami napisano: NIETYKALNY TO JA. To nie było odręczne pismo, tylko wydruk. Mój wzrok od razu powędrował nieco w górę, w stronę prostego stołu pod ścianą. Zobaczyłem na nim drukarkę, zwykłego lexmarka za dwieście złotych, jednorazówkę, która mimo to mogła służyć wiele lat. Stacjonarny komputer, stary jak świat, stał pod blatem, a wysunięta szufladka na płytę CD sprawiała wrażenie, jakby cała sytuacja była sceną zastygłą w czasie, kadrem koszmarnego filmu, zatrzymanego klawiszem pauzy; filmu, którego jednak nie da się już obejrzeć dalej.

– Myślicie, że targany wyrzutami sumienia popełnił wyrafinowane samobójstwo, tuż przed śmiercią przyznając się do winy? – zapytał Rędzia, wskazując kartkę leżącą przy zwłokach.

Jakoś nie chciało mi się śmiać, choć w ponurym żarcie Tomka coś było.

– Proszę nie wchodzić do środka, dopóki ekipa nie skończy – polecił nam Cieślak. – Najlepiej zejdźmy na dół i dajmy im spokojnie pracować.

Zeszliśmy więc na parter, jak życzył sobie prokurator. Jeden z techników obfotografowywał dół domu, dwóch, w kombinezonach i maseczkach na twarzach, tachając walizki kryminalistyczne, kierowało się w stronę schodów. Obejrzałem się za nimi. Wielkie napisy

POLICJA – TECHNIK KRYMINALISTYCZNY na plecach nie pozostawiały żadnych wątpliwości, kim są panowie wyglądający jak pracownicy fabryki przetwarzającej żywność albo produkującej leki.

Cieślak również odprowadził ich wzrokiem.

– Proszę pobrać paluchy i wymazy od tych szczyli. Tylko poczekajcie na ich rodziców, jeśli jeszcze nie przyjechali – rzucił jeszcze gdzieś w przestrzeń, zapewne do któregoś z nich albo do Rędzi i bez słowa pożegnania czy tłumaczenia opuścił miejsce zbrodni.

Usłyszałem tylko cichnący stukot jego butów na betonowych płytach tarasu i szelest ściąganego kombinezonu.

– A już zaczynałem sądzić, że jednak jest profesjonalistą. – Westchnąłem. – Przynajmniej takie wrażenie zrobił na mnie na początku. A potem je tak pięknie popsuł, no...

– Nigdy nie mówiłem, że nie jest profesjonalistą – powiedział cicho Tomek. – Bo jest. Ale jest też dupkiem, o czym wiedzą wszyscy tu zgromadzeni z wyjątkiem samego zainteresowanego.

Wszyscy zebrani wykazali się chłodnym profesjonalizmem oraz dystansem, ponieważ nie padło ani jedno obelżywe słowo pod adresem Cieślaka. Nie ścigało go, nie leciało za nim przez drzwi na taras, nawet jeśli on miałby go nie usłyszeć, a ono miało zostać wyłącznie między nami i być jedynie wyrazem ulgi bądź

lekceważenia. Choć nie wątpiłem, że niejednemu z policjantów takie słowa cisnęły się na usta, to jednak nie padły.

– Słuchaj, może dałoby się pogadać z tymi dzieciakami, zanim przyjadą ich starzy, co? – zapytał Tomek. – Wykorzystamy, że jest ta Małgośka z miejskiej. Jakby co, nikt nam nie zarzuci, że przesłuchiwalismy ich bez obecności psychologa. Zresztą to będzie normalna rozmowa, a nie przesłuchanie. Spróbujemy?

– Dobra. – Wzruszyłem ramionami.

– Tylko... Nigdy jakoś nie miałem dobrego kontaktu z obcymi dzieciakami – powiedział z lekkim skrepowaniem. – Ze swoimi to co innego, ale z obcymi... Chyba się mnie boją. Pogadasz z nimi ty? A ja w tym czasie z Jończykiem i Zalewskim zrobimy rozpytanie wśród zombie.

– Jasne.

Nie widziałem problemu. Z dzieciakami dogadywałem się z łatwością, choć ta łatwość przyszła w moim życiu dużo za późno.

Zdjąłem kombinezon i przewietrzając nieco przepoconą koszulkę, wyszedłem na dwór. Okazało się, że na miejscu jest już matka jednego z chłopców. Tak przynajmniej sądziłem, widząc, jak kobieta trzyma jego wątłą rączkę w miążdzącym uścisku swojej dłoni.

– Dlaczego to tak długo trwa? – zapytała rozdygotanym ze zdenerwowania tonem, kiedy

podszedłem do nich. Małgosia stała obok.

– Pani jest...? – zapytałem kobiety.

– Jestem matką, proszę pana... Matką.

Przedstawiłem się i powiedziałem:

– Nie będzie to trwało ani chwili dłużej niż trzeba. Jak wam na imię, chłopaki?

– Leszek – szepnął ten niższy, a wyższy mu zawtórował:

– Jarek.

– Widzieliście, co tam się stało? – Wskazałem dom.

– Tylko ja – powiedział Jarek. – Wszedłem na górę, bo tam strasznie śmierdziało... I jak zobaczyłem tego trupa, to uciekłem i zadzwoniłem do taty. A on zadzwonił na policję... Piłka nam wpadła do ogrodu... Trochę się baliśmy, bo pan Łopaciński nie był za bardzo sympatyczny, ale gałę Leszek dostał na komunię, to Adidas, na finał Ligi Mistrzów w Cardiff, wie pan?

– Myślałem, że dziś na komunię dostaje się tablety albo quady?

– Też – zgodził się Jarek. – Ale tabletem nie da rady pograć w nogę, nie?

– No, nie – przyznałem, uśmiechając się. – I co dalej?

– Nic. – Mały wzruszył ramionami, podcierając nos nadgarstkiem. – Uciekliśmy. Ja... Proszę pana, ja tam wymiotowałem...

– Nie dziwię ci się, mnie też niewiele brakowało. Co było potem?

– Zadzwońm do taty, tata jest w pracy i czekaliśmy tu grzecznie. Znaczy na ulicy, pod płotem. Ale mama Leszka przyjechała pierwsza.

– Jacek... To znaczy ojciec Jarka zadzwonił do mnie, a ja pracuję niedaleko... – wydusiła z siebie kobieta.

– Okej – chrząknąłem – a czemu w ogóle weszliście do środka? Zamiast zabrać piłkę z ogrodu i pójść sobie?

– No, bo... Dwa dni temu też graliśmy tu po południu w nogę i...

– I?

– Usłyszeliśmy z tego domu taki jakby krzyk...

– Krzyk?

– Raczej jęk – wtrącił się Leszek. – Tak zduszony, jakby ktoś zaczął krzyczeć, ale nie mógł. I jęczał.

– I co wtedy zrobiliście?

Chłopcy spojrzeli po sobie.

– Nic – burknął Jarek. – Mało to ludzie krzyczą w domach?

– To dlaczego tym razem weszliście do środka? A czasami nie wymyśliliście sobie tych jęków teraz, żeby się jakoś wytłumaczyć? Co, panowie?

– Nie, naprawdę! – W oczach chłopaków dostrzegłem jakąś desperacką zarliwość, to nie był strach przed złapaniem na kłamstwie, tylko autentyczna uraza, że nie dają wiary ich słowom. – Trochę mnie dziwiło, że pan Łopaciński nie mignął w oknie, bo on zawsze podglądał, jak się bawiliśmy na ulicy, czy nic nie psujemy. Czy

samochodów nie rysujemy... Mój tata mówi na niego „szeryf” i jeszcze inaczej na niego mówi, ale nie bardzo mogę powtórzyć... Przypomniałem sobie ten krzyk, te jęki, znaczy... Ja tylko popchnąłem te drzwi od tyłu i one się otworzyły. To pomyślałem, że... No... Pomyśleliśmy, że może jednak coś się stało. Wtedy, dwa dni temu, nikomu o tym nie powiedzieliśmy. I dopiero teraz wpadło nam do głowy, żeby to sprawdzić... – Jarek pociągnął nosem. – Myśli pan, że to przez nas zginął? Że gdybyśmy wtedy tam weszli, to on by nadal... – Urwał.

Co mogłem odpowiedzieć dziecku na tak zadane pytanie? Co mogłem odpowiedzieć mu w tej chwili, nieważne, jak by je sformułował? Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. I widziałem to też w oczach psycholożki.

Kucnąłem przed nimi i spojrzałem im w oczy, najpierw Leszkowi, a potem Jarkowi.

– Moim zdaniem bardzo dobrze się stało, że tam wtedy nie weszliście. Naprawdę bardzo dobrze. To akurat niczego by zmieniło; nie pomoglibyście tamtemu człowiekowi, a wasi rodzice już by was nie mieli, rozumiecie? To prawda, mogliście te dwa dni temu zadzwonić na policję, powiedzieć rodzicom, ale nie wchodzić. Bohaterowie mają to do siebie, że większość istnieje tylko w filmach. I tylko w filmach nic im się nie dzieje. Więc pamiętajcie o tym na przyszłość, zanim

przyjdzie wam do głowy zostać bohaterami, bo zamiast tego możecie zostać kalekami albo jeszcze gorzej...

Wstałem i spojrzałem na nich już z góry. Przesadziłem. Ale cóż, mam już swoje lata. W moim wieku i po moich przejściach na pewne rzeczy patrzy się zupełnie inaczej.

– Pojedziecie na chwilę do komendy z mamą Leszka i panią Małgosią, dobrze? – powiedziałem. – Byliście w środku, więc będziemy musieli pobrać od was odciski palców i próbki biologiczne.

– Jakie próbki? – zaniepokoił się Jarek.

– Nie bójcie się, to nie boli. Wsadzą wam taki patyczek do buzi i pogilgoczą nim po policzku, od wewnątrz. A palce położycie na takim czytniku jak na filmach z Bondem.

– Albo CSI Miami! – zawołał Leszek.

– Tak jest – zgodziłem się.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Przejedziecie się radiowozem, chcecie? – zapytałem.

– Taaak! – wrzasnęli jednocześnie.

– Jak można robić coś takiego dziecku? – zapytała wstrząśnięta matka Leszka.

– Bądź co bądź pani dziecko włamało się do czyjegoś domu – zauważyłem sucho.

Nie mogłem się oprzeć, musiałem jej to wytknąć. Ludzie często nie dostrzegają faktu, że każdy czyn w życiu niesie jakieś konsekwencje. Każdy. Dobry czy zły.

I dzieje się tak zawsze. Prędzej czy później. Natychmiast albo po latach. I dotyczy to każdego, niezależnie od wieku. Mnie również.

– To stara rudera, a nie dom – zaprotestowała kobieta.

– Co nie zmienia faktu, że to czyjaś rudera.

– Przecież nawet nie był w środku. To Jarek...

– Dobrze, proszę pani, chce pani jeszcze ze mną podyskutować czy jak najprędzej załatwić sprawę? Dopuszczam możliwość, że chłopcy byli tam jednak obaj, ale teraz wstydzą się do tego przyznać. Musimy to sprawdzić, tak? Chce pani, żebyśmy ciągaliby go później?

– Mamo, ale ja chcę jechać na te odciski z Jarkiem... – jęknął Leszek. – Radiowozem...

– Cicho bądź! – Jego matka szarpnęła dłonią, w której ścisnęła rękę syna, aż się cały zatrzęsł. – W domu sobie pogadamy...

Kątem oka zobaczyłem, jak podchodzi do nas Tomek. Kiedy powiedziałem mu, że właśnie skończyliśmy tu, na miejscu, skinął na dzielnicowego, który stał niedaleko i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Proszę ich zabrać na Mickiewicza, dobrze? Panią psycholog również. Poprosimy paluszki i wymazy. A potem o podwózkę z powrotem do domu, okej?

Na Mickiewicza mieścił się komisariat Szczecin Pogodno.

Dzielnicowy zabrał gromadkę do swojego samochodu, a my z Tomkiem poszliśmy do ogrodu Łopacińskiego. Stanęliśmy pod starą czereśnią i skierowaliśmy twarze w stronę słońca. Ciepło jego promieni przyjemnie grzało czoło i policzki. Lubiłem to uczucie. Stare koty też je lubią i coś w tym jest. Coś jest w tym, że kiedy jest się młodym, to takich rzeczy się nie zauważa albo traktuje się je obojętnie, bez chwili refleksji czy zastanowienia, przechodząc nad nimi do porządku dziennego.

Stare kocury wiedzą, co dobre.

– Będziemy się zbierać, co? – zapytał Tomek, wciąż nie otwierając oczu ani nie odwracając twarzy od słońca.
– Jończyk z Zalewskim potem dojadą, podwiezie ich któryś z mundurowych.

– Nie lepiej jeszcze się pokręcić? – zapytałem leniwie.

– Po co? – Rędzia obrócił głowę i spojrzał na mnie tym swoim smutnym wzrokiem.

– A jak technicy coś przegapią?

– Oni przegapią, a ty nie? – zdziwił się. – Przed chwilą mówiłeś, że nie masz o tym zielonego pojęcia?

– Fakt. – Spojrzałem na swoje buty; krawędzie podeszew były pobrudzone ziemią, a do obcasów przykleiło się jej kilka wilgotnych grudek.

– Komuś trzeba w końcu zaufać, no nie...? – Tomek westchnął i poszliśmy do samochodu.

6

Dwa dni później dysponowaliśmy już sporą częścią wyników badań. Jak nad człowiekiem wisi bat, to potrafi dokonać niemożliwego. Dotyczy to również anatomopatologów, laborantów i techników kryminalistycznych. Dzień wcześniej pojechaliśmy jednak jeszcze raz na ulicę Gronową, żeby rozejrzeć się po domu Łopacińskiego na spokojnie. Bez jego ciała, Cieślara i tłumku techników oraz gapiów. Naciskałem Tomka, aż się ugiął. Na miejscu obeszlśmy wszystkie pomieszczenia, na wszelki wypadek opukaliśmy ściany. Weszliśmy nawet na niewielki stryszek, na którym znaleźliśmy tylko tony kurzu i kilka martwych gołębi. Nic niezwykłego. Uwagę zwracały jedynie plamy krwi na linoleum i wylepiony na nim białą taśmą dziwny kształt odwzorowujący postać skuloną w pozycji embrionalnej. Tyle zostało po właścicielu. Po oględzinach Tomek przykleił na drzwiach nowe plomby i pojechaliśmy do domów.

Rano, w komendzie, Jończyk i Zalewski natychmiast po przyjeździe zaczęli robić sobie kawę. Patrzyłem tylko,

czy nie trzęsą im się już ręce. Albo z głodu kofeinowego, albo z przedawkowania. Potem Zalewski ponarzekał na przedszkole swojego syna, a Jończyk przejrzał „Angorę”. Tomek siedział nad papierami, które dotarły jeszcze przed siódmą, a także nad listą z danymi pacjentów leczonych w szpitalu w Gronowie, którą przesłano do komendy wczoraj po południu. Zauważyłem leżący na biurku protokół z oględzin zwłok i opinię obducenta z ich otwarcia oraz wyniki pierwszych analiz. Wziąłem je do ręki i zacząłem przeglądać. Oficjalny, pełny protokół z sekcji nie był jeszcze gotowy, Cieślak widać nie uznał za stosowne zastosować się do własnych żądań bezwzględnego pośpiechu, mimo że w niej uczestniczył.

Rędzia wstał, podszedł do okna i otworzył je na oścież.

– Co mogę powiedzieć – zaczął, krzywiąc się lekko. – Próbkę nasienia i naskórka pobrane w miejscach zbrodni „Nietykalnego” pasują do DNA Łopacińskiego. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Żadnych. Również odcisk palca z naboju należy do niego. – Jego głowa zaczęła huśtać się w górę i w dół. – Chujowo, panowie. Wygląda jednak na to, że ktoś nam go sprzątnął sprzed nosa.

– Co teraz? – zapytał Jończyk.

– Nie wiem. Czekamy na ruch Cieślara. Pewnie zamknie śledztwo, a w sprawie zabójstwa Łopacińskiego będzie wszczynać odrębne postępowanie. Nie wiem, co w tym drugim przypadku zarządzi Bartocha. Być może dalej będziemy w to zamieszani jako zespół, ale pewności

nie ma. Na razie i tak czekamy na resztę wyników badań. Wracamy do swoich spraw, ale jesteśmy w gotowości. To jeszcze nie koniec. Nie powinno się wyłączać sądów w wymierzaniu kary...

Przeglądałem opinię patologa i słuchałem rozmowy członków zespołu „Nietykalny”; zespołu powołanego do wykrycia sprawcy serii zabójstw, zespołu, który właśnie przechodził do historii, i to bynajmniej nie w blasku chwały z powodu rozwiązania sprawy, bo ta niejako rozwiązała się sama, przynajmniej częściowo. Na to wyglądało.

– Nie wiem, czy toksykologia zmieni cokolwiek wobec faktu, że wszystkie ślady ewidentnie świadczą o tym, że to Łopaciński był Nietykalnym. – Rędzia oparł się o parapet i wyjrzał na zewnątrz.

– To będzie już tylko statystyka – zauważył Zalewski.
– Faktycznie niczego nie zmieni. Zasadniczo.

Zamknąłem opinię, wkładając palec między dwie strony, które akurat oglądałem. To była część dotycząca oględzin zewnętrznych zwłok przeprowadzonych powtórnie w zakładzie medycyny sądowej, już po ich rozebraniu.

– Wiecie co? – rzuciłem. – Jest w tym wszystkim coś dziwnego.

– Co dziwnego? – Tomek odwrócił się od okna.

– Te wyniki sekcji są dla mnie nieco zastanawiające. – Pomachałem plikiem zbindowanych kartek. –

A w zasadzie nie tyle samej sekcji, ile oględzin zwłok sprzed ich otwarcia.

– To znaczy?

– Przyczyną zgonu była rana tłuczona głowy skutkująca obrzękiem mózgu. Ale pomijając obrażenia zadane tuż przed śmiercią, patolog znalazł na ciele Łopacińskiego ślady starszych obrażeń. Wszystkie są tu wymienione. Wyglądają na pobicie. Są też oparzenia, tak zwane odgachy od papierosów. Te ślady są starsze, ale nie aż tak stare. Obrażenia zadano nie dalej jak kilka tygodni przed śmiercią. Nie rozumiem tego. Z rozpoznania środowiskowego wynika, że on mieszkał sam. A takich ran sam sobie nie mógł zadać, przynajmniej większości. – Otworzyłem opinię w miejscu, które zaznaczyłem palcem, i wskazałem zdjęcie denata ułożonego na brzuchu na stole sekcyjnym; na jego plecach widniało kilka sinych pręg i czerwone kropki. – Kilka tygodni bicia. To mi wygląda podejrzanie...

– Był na prostej drodze do stoczenia się. Pewnie koledzy od butelki go pobili. Normalka.

– Nie do końca – powiedziałem – „podbiegnięcia krwawe i oparzeliny w różnym stadium gojenia”.

– Jakby go torturowano, tak? O to ci chodzi? – zapytał Tomek.

Pokiwałem głową.

– Dokładnie. I nie godzinę czy dwie. To trwało długo.

– Skąd ten wniosek?

Rędzia, widząc kpiące spojrzenia Jończyka i Zalewskiego, dodał:

– Pytam poważnie. Wiem, że facet został obity jak piñata, a obrażenia miały różną fazę gojenia, ale chcę usłyszeć, dlaczego Darek uważa, że był to efekt długotrwałego torturowania. A skoro tak, to i przetrzymywania, bo to chyba wynika jedno z drugiego, albo na odwrót. Dlaczego uważa, że ktoś z Łopacińskim mieszkał przez jakiś czas, może nawet kilka dni, bo taka jest chyba konkluzja? Dobrze cię wyczuwam?

Posłałem mu lekki uśmiech.

– Wczoraj, jak rozglądaliśmy się po domu, zajrzałem do pieca. Tam jest jeszcze taki kaflowy. Kwiecień był chłodny, początek maja też, ale w piecach nie pali się już od dość dawna. I nie będzie aż do jesieni. A w piecu zalegało mnóstwo popiołu. Każdy, kto pali w piecu, czyści go po sezonie. A Łopaciński tego nie zrobił...

– Widziałeś, jak wyglądał dom. On był normalną fleją, po prostu. I może również zmarzlakiem. – Tomek przeszedł przez pokój i usiadł za biurkiem, za którym spędziłem kawałek swojego życia. – A te worki z popiołem, które stały obok pieca? Co tam robiły, skoro w nim nie sprzątał?

– Do worków zaraz wrócę. Nawet jeśli Łopaciński palił w piecu regularnie aż do tej pory, to tym bardziej nie powinno być w nim tyle popiołu. Nie mógłby ponownie

rozpalić, dopóki by nie posprzątał resztek z poprzedniego palenia...

– Może po prostu nie zdążył? Ani rozpalić, ani tym bardziej posprzątać?

– Możliwe – pokiwałem głową – ale z tego pieca dziwnie śmierdziało. To, co do niego włożono, zanim zmieniło się w popiół, na pewno nie było drewnem ani brykietem.

– Nie wiesz, że ludzie palą w piecach nawet butelkami PET? Ale do czego zmierzasz?

– Przyjmijmy, że zabójca Łopacińskiego faktycznie więził go przez jakiś czas. Jeśli tak, to musiał zostawić jakieś ślady. A tymczasem na miejscu stwierdzono ich brak. Jakichkolwiek. Nic. – Potrząsnąłem plikiem kartek. – Pomijam odciski palców, ale znaleziono tylko Łopacińskiego. A jego zabójca duchem nie był, duchy nie mogą utrzymać młotka, bo są duchami, tak?

– Po prostu nie było nikogo takiego. Wlazł do domu, stuknął faceta i wyszedł...

– Załóżmy, że jednak ktoś był. Nie jednorazowy gość, tylko ktoś, kto tam często bywał. I ten ktoś po prostu chodził w kombinezonie i rękawiczkach, jadł w jednorazowych naczyniach, wszystko wyrzucał do jednego worka. A potem spalił to w piecu. Tak bym to widział.

Sławek uśmiechnął się lekko, samym kącikiem ust.

– Nawet gdyby, to skoro codziennie rozpalał, co stało na przeszkodzie, żeby pozbywać się tych rzeczy regularnie? – zapytał.

– Ależ całkiem możliwe, że tak robił – zgodziłem się. – Stąd właśnie te worki koło pieca. Bo każdy normalny człowiek wyniósłby je do śmietnika, zamiast zostawiać je w domu. A skoro te zostały, to oznacza, że nie miał ich kto wynieść. A dlaczego? Bo Łopaciński leżał związany, a jego oprawca nie mógł się pojawić przed domem ze zrozumiałych względów.

– Tylko że Łopacińskiego nikt nie odwiedzał – powiedział Rędzia. – Tak zeznali zombie z sąsiedztwa.

– O to pytaliście? – upewniłem się. – Dokładnie o to? Czy ktoś go odwiedzał?

Zalewski z Jończykiem potwierdzili leniwym skinieniem głów. Znowu jak na komendę.

– Taką pewnością to oni wszyscy mogliby mieć, gdyby gapili się na dom Łopacińskiego bez przerwy, dwadzieścia cztery na dobę. Odpowiedź była dobra, ale na źle zadane pytanie. – Popatrzyłem na nich. – Skąd mieliby to wiedzieć, skoro osiem godzin dziennie siedzą w pracy, kolejne osiem śpią, a przez resztę dnia zajmują się swoimi sprawami? Ale to moim zdaniem nieważne.

– Jak nieważne?

– Zwróciliście uwagę, jak ci dwaj chłopcy weszli do domu? Od tyłu. Drzwi do ogrodu nie były zamknięte, wystarczyło je popchnąć.

– Morderca wyszedł nimi poprzedniego dnia i nie miał jak ich zamknąć, to logiczne. To stara, ponemiecka stolarka, szyby umocowane na kit szklarski, te drzwi nie miały zamka i dało się je zamknąć tylko klamką od środka.

– Owszem. Ale tak samo logiczne jest dla mnie to, że tajemniczy gość wchodził do domu tamtędy. Wchodził i wychodził, bo przecież nie siedział w nim cały czas przez te kilka tygodni.

– Co z tego? Przecież i tak trzeba wejść do ogrodu przez furtkę od strony ulicy? Jakby tak wchodził i wychodził nawet dwa razy dziennie, to ryzyko, że ktoś go zobaczy, jest spore.

– Zgadzam się, ale on tak nie ryzykował. Bo on wchodził nie z Gronowej, ale ze Świerczewskiej.

– Jak ze Świerczewskiej? Przecież to...

– Właśnie. Posesja Łopacińskiego nie graniczy z innymi ogrodami, jak to zwykle bywa w zabudowie jednorodzinnej. Tam od tyłu, o ile pamiętam, jest skarpa. I od razu ulica. Właśnie Świerczewska. Ulica, przy której nie ma domów, przypominam wam. Brukowana kocimi łbami droga łącząca Santocką z Derdowskiego, gdzie jest tylko kilka sklepów z glazurą i farbami na obu końcach. A pośrodku nic. Kto by go tam zobaczył? Zakradał się od tyłu i już...

– Dobra, w porządku. Przyjmijmy faktycznie do dalszych rozważań, że ktoś Łopacińskiego więził...

Poczułem wiatr w żaglach. Podniosłem opinię z sekcji i wskazałem kolejną rzecz, która mogła potwierdzać moją teorię.

– Jest coś jeszcze i może to was przekona. Zobaczcie na jego nadgarstki. Nie ma otarć ani zsinień od jakichś pęt, to prawda.

– Jest owłosiony jak małpa – zwrócił uwagę Jończyk i faktycznie, przedramiona ofiary pokrywało gęste owłosienie. – Przez to słabo widać.

– Nie martw się, patolog je na pewno odgarnął i obejrzał skórę, skoro opisy pozostałych obrażeń są tak szczegółowe. Ale zobaczcie te jaśniejsze miejsca. – Wskazałem nadgarstki. – Wygląda trochę jak błądy ślad na opaleniźnie. Dość regularny, jak po bransoletce albo pasku zegarka. Wiecie, co to znaczy?

– Nosił bransoletkę albo zegarek – powiedział Krzysiu.

– Nie. – Uśmiechnąłem się. – Te ślady są na obu przegubach. I to nie jest bledszy odcień skóry. Tu jest po prostu mniej włosów. Brakuje ich, i to całkiem sporo, bo zostały na taśmie klejącej, rozumiecie?

Patrzyłem na nich. I widziałem, że przetrawiają moje słowa. Powoli. Rędzia założył ręce za głowę i odchylił się w fotelu, wbijając wzrok w sufit.

– Ci chłopcy wspominali, że słyszeli jęki dochodzące z jego domu – zauważył. – W porządku. Niech będzie na razie po twojemu. To teraz zastanówmy się, jaki to ma

sens. Przetrzymywał go, ile... nawet kilka dni, tak? Po co? Żeby się przyznał?

Milczałem.

– Bez sensu – odpowiedział sam sobie Tomek. – Nawet jeśli nie był pewien na sto procent, że Łopaciński to Nietykalny, musiał zdawać sobie sprawę, że po takich torturach każdy przyzna się do wszystkiego. Nie wierzę w bajki o takich bohaterach, którzy się nie poddali. Po prostu oprawcy nie spróbowali wszystkiego. Teraz są dużo prostsze i czystsze metody niż wyrywanie paznokci i ściskanie głowy w imadle. Wystarczy brak snu albo kubek wody, którą leje się na ścierkę leżącą na ustach... Największy twardziel się złamie. Więc przyznanie się Łopacińskiego do bycia Nietykalnym nie mogło być dla zdrowo myślącego człowieka żadnym potwierdzeniem. Torturowanie wyłącznie w celu uzyskania takiego potwierdzenia jest działaniem bezsensownym. Zwłaszcza przez tyle czasu.

– Może nie był zdrowo myślący? – zapytał Zalewski. – Tu zdecydowanie nie może być mowy o jakimkolwiek zdrowiu, a na pewno nie psychicznym.

– W takim razie torturował go z zemsty – wtrącił się Jończyk. – To wydaje się oczywiste. Może to członek rodziny którejś z ofiar, który przeprowadził prywatne śledztwo i wpadł na jego trop wcześniej niż my. To chyba bardziej prawdopodobne.

– Nie „wcześniej niż my”, bo my na żaden trop nie wpadliśmy – uściśliłem.

– Nieważne. Mścił się, torturując go, a w końcu zabijając. Zwróćcie uwagę, że śmierć zadano w taki sam sposób jak ofiarom Nietykalnego. To jest chyba, nie wiem... symboliczne, nie? W każdym razie trzeba się będzie im przyjrzeć. Tym rodzinom.

– Mogło tak być – z ociąganiem przyznałem Sławkowi rację. – Oko za oko, ząb za ząb. Ale myślę, że mogło być jeszcze inaczej.

– Jeszcze inaczej? Osobiście nie widzę trzeciej możliwości. – Zalewski sięgnął po kubek z kawą.

– Owszem, jest.

– Jaka?

Jończyk podniósł rękę, jakby zgłaszał się do odpowiedzi w szkole.

– Oprawca Łopacińskiego mógł być w rzeczywistości jego współnikiem zbrodni. Stanowili tandem, jak Malvo i Muhammad. Jak Kielan i... Sorry, Darek... – Urwał, ale nic nie powiedziałem; nie było sensu. – I może faktycznie naszły go wyrzuty sumienia, ale nie chciał iść do pierdła? I rozegrał to w taki sposób? O to ci chodziło?

Potoczył po nas triumfalnym spojrzeniem, czekając na reakcję. Jeśli liczył na aplauz i frenetyczne oklaski, to się srodze zawiódł. Przykład Marty i Bogutowicza nie był co prawda trafny, bo oni nie zabijali z chęci zaspokojenia

sadystycznych potrzeb, tylko z czystej chęci zysku, ale coś w tym, co powiedział Sławek, mogło faktycznie być.

Jak twierdził Sherlock Holmes, czasem trzeba brać pod uwagę nawet te najbardziej nieprawdopodobne możliwości. W jego czasach ludzie bywali takimi samymi skurwysynami jak dziś, i on to wiedział, choć wtedy nie było internetu, w którym można by o tym przeczytać. Albo nawet to zobaczyć.

Przez chwilę milczałem.

– Tylko po co by go wcześniej torturował? – dobił Jończyka Zalewski.

– Ty byś w takiej sytuacji, jako krewny jego ofiary, nie chciał się z nim przedtem trochę zabawić? – odgryzł się Sławek.

Rędzia uśmiechnął się półgębkiem.

– To dawaj tę swoją opcję – powiedział do mnie.

– Nie żebym od razu twierdził, że mam rację – zastrzegłem. – To po prostu możliwość, taka sama jak dwie poprzednie...

– Trzy poprzednie – wtrącił Sławek.

– Niech będzie, że trzy... Bo możesz mieć trochę racji z tym rozegraniem.

– Dawaj, dawaj.

– To nie Łopaciński był Nietykalnym. Łopaciński był wyłącznie jego kolejną ofiarą. Może nawet ostatnią, kto wie, ale jednak ofiarą...

Zapadła chwila ciszy, nieco krępującej, tak ją przynajmniej odbierałem. Przerwał ją Sławek.

– Wciąż pozostaje pytanie bez odpowiedzi. – Westchnął i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. – Kluczowe. Po co go przetrzymywał i torturował? Skoro to nie było ani wymuszenie przyznania się do winy, ani zemsta, to co?

– Otóż to. Bo potrzebował materiału – powiedziałem. – Naskórek to pół biedy, ale ślady spermy na ciałach kobiet...

– Ale teraz przesadziłeś. – Jończyk parsknął. – Sugerujesz, że kazał mu walić konia do słoika, żeby podrzucić ją potem na miejscu zbrodni!?

– Mniej więcej – mruknąłem z niesmakiem. – Nie mam pojęcia, czy anatomopatolog jest w stanie stwierdzić, jak dawno powstały pierwsze z obrażeń, ale dam sobie obciąć paznokiec, że czas ich powstania pokrywałyby się mniej więcej z czasem zabójstwa ofiary numer jeden.

– Numer dwa – rzucił Jończyk. – Olędzki nie miał na sobie śladów spermy.

– Ale koło niego leżał nabój z odciskiem palca Łopacińskiego – zauważyłem.

– Ano tak. Fakt. Czyli od siedemnastego marca. Około siedemnastego, trzeba by mu dać kilka dni na zorganizowanie wszystkiego. Wychodzi na to, że

w momencie zabójstwa numeru jeden Nietykalny miał już ten nabój z paluchem Łopacińskiego przy sobie.

– Jeezu... – jęknął Zalewski. – Czyli trzymał go nie kilka dni, a co najmniej dwa miesiące?! Ja pierdołę, facet przeżył piekło...

– Nie przeżył – rzucił ponuro Rędzia.

– No, nie...

– Czyli co, zgadzacie się ze mną? – zapytałem niewinnie. – Że Łopaciński to nie Nietykalny, a jedynie próba skierowania śledztwa na fałszywy tor?

– Może po prostu pojeb chciał skończyć z zabijaniem, przy okazji odsuwając od siebie podejrzenia? – głośno myślał Zalewski. – Ta kartka z napisem „To ja jestem Nietykalny” coś w końcu oznacza.

– To ma być sposób? – prychnął Tomek. – Chcesz mi powiedzieć, że ktoś może być na tyle głupi, by sądzić, że coś takiego załatwia sprawę?

– Może mu się wydaje, że zabójcy psychopaty policja nie będzie ścigać tak zajadle. W końcu przysłużył się społeczeństwu, więc nie będzie takich nacisków prasy ani opinii publicznej. Ludzie będą mu nawet kibicować.

– Jasne. – Tomek popatrzył na niego pobłaźliwie. – Tylko idiota mógłby tak myśleć. A on nie jest idiotą. Jest psycholem, ale nie jest idiotą.

– A to nie to samo? – zdziwił się Zalewski.

– Nie. To taka sama różnica, jak w przypadku Cieślara, który jest inteligentny i głupi jednocześnie.

Wyczuwacie tę subtelność? – Potoczył wzrokiem dookoła.
– Z Nietykalnym jest tak samo. Jest zdrowo jebnięty, ale nie jest idiotą...

– Ale może jednak tak myśli? – upierał się Krzysiu. –
Że będziemy się mniej starać?

– Ja na pewno nie będę się mniej starać. – Tomek przeciągnął się na krześle. – Wyrwę i zeżrę jego serce. Jak już go dorwę... Poza tym seryjni tak łatwo nie przestają zabijać. Wszystkie znane mi z literatury fachowej przypadki ustania serii zabójstw dokonanych przez niewykrytych seryjnych zabójców wynikały najprawdopodobniej z faktu ich śmierci bądź przeniesienia się w odległy rejon. Albo po prostu braku powiązania tych schwytanych z tymi nierozwiązanymi przypadkami.

– Najprawdopodobniej?

– Bardzo najprawdopodobniej.

– Tylko skąd możemy mieć pewność, że Nietykalny to faktycznie seryjny? – znów wsadziłem kij w mrowisko. – Przecież znaleźliśmy powiązanie, tak? Szpital w Gronowie... Może skończył, co zaplanował, i w ostatnim akcie podłożył nam fałszywego Nietykalnego? Na wabia. To przetrzymywanie Łopacińskiego może świadczyć o tym, że od początku był to jakiś plan, rozumiecie? Do tego cały czas zmierzam. Zgrabny plan ze zgrabnym i w miarę wygodnym zakończeniem. Wszystkie te możliwości, o których

rozmawialiśmy, są dość prawdopodobne. Nawet ta Sławka, o zemście dokonanej po przypadkowym odkryciu, że Łopaciński był seryjnym zabójcą. Tylko że do żadnej z nich nie pasują te wielotygodniowe tortury. Z wyjątkiem mojej...

– Gronowo też może być przypadkiem – rzucił Rędzia, a ja natychmiast mu przerwałem.

– Jak to było z tym psim gównem? – przypomniałem mu. – Ta twoja autorska definicja przypadku?

Rędzia nie wyglądał na zmieszanego.

– Zmiana zdania wobec nowych okoliczności nie jest niczym niezwykłym. – Skrzywił się lekko, machając niedbale ręką. – Czyli podsumowując, mamy trzy opcje. Pierwsza: ten prawdziwy jest prokuratorem albo policjantem związanym ze sprawą... – było oczywiste, że ma na myśli także Jończyka i Zalewskiego, ale żaden z nich nic nie powiedział – ... bo tego też nie można wykluczyć, choć limit takich przypadków po sprawie Kielan uznałbym za wyczerpany. Chciałbym tak uznać. Kurwa, z tego, co pamiętam, w tę aferę zakończoną rozpierduchą w porcie zamieszany był także jakiś prokurator, tak? – Tomek popatrzył na mnie pytająco.

Nie odpowiedziałem na to pytanie.

– Albo... – kontynuował – Sławek ma rację, ktoś wytropił Nietykalnego i wymierzył mu sprawiedliwość, o czym może świadczyć ten napis. Coś jak Lisbeth Salander tatuująca swojemu opiekunowi na klatce

„Jestem pieprzonym gwałcicielem”. Ale wtedy nie pasuje jedna rzecz, co może potwierdzać opcję numer trzy, czyli wersję Darka: pseudonim. Morderca Łopacińskiego popełnił błąd, dość poważny, a nawet dyskwalifikujący. Bo zamiast napisać na tej kartce „To ja jestem Snajperem”, podał znany jedynie nielicznym osobom pseudonim „Nietykalny”. Gdyby nawet mściciel odkrył tożsamość mordercy, skąd wiedziałaby, że przedstawiał się nam nie jako „Snajper”, tylko „Nietykalny”? I znów: skoro znał ksywę „Nietykalny”, wracamy do opcji numer jeden; w sprawę zamieszany był ktoś od nas. – Przejechał dłońmi po szczecinie na głowie. – Ja pierdzielę: gdzie się obrócisz...

– To niekoniecznie był błąd. Nie mamy tylu danych, by stwierdzić to na pewno. Może Łopaciński podczas tortur zdradził po prostu swojemu zabójcy również to – wtrącił Jończyk. – Pseudonim. Pewnie gadał jak najęty, byle tylko przestał się nad nim znęcać...

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o szóstce w totka? – zapytałem Tomka.

– No?

– Wiesz, że podobno jest w Polsce ktoś, kto trafił dwa razy?

– Pieprzysz?

– Nie...

– Łamiesz mi serce.

– Przykro mi. Chodzi mi o to, że nie istnieje coś takiego jak limit przypadków. To tyle, jeśli chodzi o nawiązanie do Kielan. Teoretycznie nie możemy zakładać, że coś takiego więcej się nie zdarzy.

– Niech ci będzie. Tak czy siak, nie pozostaje nam nic innego, jak grzebać w tym dalej. W każdym razie ja wam mówię, że to nie była żadna próba zerwania z zabijaniem. Zwłaszcza podjęta nagle. Darek ma trochę racji: to wszystko zostało przemyślane od początku do końca. Tyle że niewiele nam to daje. Wciąż jesteśmy w czarnym dupsku, bo nie wiemy po co i dlaczego.

– Czyli idziemy w moim kierunku? – zapytałem.

Rędzia zamilkł na chwilę i popatrzył na Jończyka i Zalewskiego, jakby szukał u nich pomocy. Nic nie mówili, tylko wpatrywali się w niego z niemal identycznymi uśmiezkami błąkającymi im się na ustach.

– Brzmi to wszystko mało prawdopodobnie, Darek – mruknął w końcu, kręcąc obręczką. – Mimo wszystko. Sam przyznasz. Nie chciałbym, żeby sposób twojego myślenia określała strategia confirmacyjna i efekt potwierdzenia. To niebezpieczne, wiesz o tym? Zwłaszcza w tej robocie.

– Wiem. Ale to, co powiedziałem, jest według mnie dość prawdopodobne. I tak będziemy... Będziecie tropić zabójcę Łopacińskiego. Ja po prostu proponuję, żeby nie przyzwyczajając się jeszcze za bardzo do myśli, że Nietykalny jest faktycznie martwy. Bo możemy się

zdziwić. Za tydzień, miesiąc, rok... Trzeba tylko zaglądnąć do skrzynki pocztowej. Bo nawet jeśli założymy, że to chęć zakończenia tego zabijania w zgrabny i wygodny sposób była powodem zabójstwa Łopacińskiego, to nie mamy pewności, czy tak się rzeczywiście stanie. Czy zabójca nie wróci kiedyś do swojego hobby.

Tomek pokręcił głową.

– To był plan, Darek – mruknął. – Już to ustaliliśmy. Nie wiemy jaki i o co w nim chodziło, ale został wykonany.

Pogadaliśmy jeszcze trochę, a potem postanowiłem pojechać do domu. Siedzenie w komendzie nie miało sensu, równie dobrze, a nawet wygodniej, mogłem posiedzieć w ogrodzie. Tak naprawdę nie doszliśmy do żadnego konkretnego wniosku, a cała dyskusja była spekulacją. Pożegnałem się z chłopakami, a Tomka poprosiłem o telefon, gdy tylko zdarzy się coś ciekawego. Rozparty w fotelu pokiwał głową, położył ją na oparciu i zamknął oczy.

– Dwie szóstki – mruknął. – Ja pierdolę...

– Nadmiar szkodzi – ostrzegłem go, wychodząc z pokoju. – Nadmiar wszystkiego. To się tyczy również szczęścia.

– Tak, tak... – Pomachał mi, nie otwierając oczu.

Zalewski i Jończyk siedzieli już z nosami w laptopach. Mruknęli coś, kiedy zamykałem za sobą drzwi. Na dole przyłożyłem kartę do czytnika, minąłem przeszkłone

drzwi do przedsionka, które nie wiem czemu przypomniały mi zakład psychiatryczny w Gronowie, a potem wyszedłem na świeże powietrze.

* * *

Przez dwa dni pilnie nasłuchiwałem wieści w Radiu Szczecin. W wiadomościach co jakiś czas pojawiały się suche i skąpe informacje dotyczące zabójstwa przy Gronowej. Policja ani prokuratura oficjalnie nie potwierdziły związku z poprzednimi zabójstwami, tłumacząc zakręcenie kraniku z informacjami tym co zwykle, czyli dobrem śledztwa. Ale ludzie wiedzieli swoje. Kranik kranikiem, lecz przecieki były sprawą naturalną. Sprawie „Snajpera” poświęcono nawet część audycji Czas reakcji. Dzwoniący do radia ludzie mówili w niej, co o tym wszystkim sądzą, rzecznik KWP mówił to, co mu kazali, czyli niewiele i przeważnie w kółko to samo, a wszyscy byli tym wszystkim jednakowo zmęczeni. Ludzie mieli pretensję do policji. Ludzie chcieli wiedzieć.

Tylko co ta wiedza miała im dać? Spokój? Satysfakcję?

A na trzeci dzień zadzwonił Rędzia. Nie do radia, tylko do mnie. O dziewiątej rano, właśnie wychodziłem spod prysznic. Poranne telefony od komisarza Rędzi zaczynały powoli stawać się rutyną i to chyba dla nas obu.

Chwyciłem komórkę wilgotną dłonią i odebrałem.

– Co porabiasz? – usłyszałem jego wesół głos.

– Zaczynam dzień – sapnąłem. – Jakie decyzje zapadły w naszej sprawie?

– Wszystko się jeszcze kotłuje na górze. Jak zwykle. Ale jest coś nowego – oznajmił z zadowoleniem. – Dlatego dzwonię.

– No?

– Jeśli Gronowo było szóstką, to właśnie trafiliśmy drugą. – Roześmiał się, dodając: – Przechero...

– Czyli miałem rację, że to nie Łopaciński był...?

– Nie wiem, czy miałeś, czy nie – przerwał mi. – W każdym razie w jego organizmie stwierdzono duże stężenie produktów rozpadu leków psychotropowych. Opcje są dwie: albo lubił się faszerować psychotropami, albo...

– Ktoś go nimi faszerował.

– Otóż to. Bo skąd ktoś taki jak Łopaciński miałby tyle leków tego rodzaju? A sprawdziliśmy, że nie leczył się psychiatrycznie.

– A skąd je miał ten, kto go nimi faszerował? – odparłem.

– I widzisz, tu być może pojawia się nagle odpowiedź...

– Czyżby miał je z Gronowa? – zapytałem chytrze. – Chociaż to i tak jeszcze niewiele zmienia. Wiesz o tym?

– Wiem. Ale to jeszcze nie wszystko. Wyłaź z betów i przyjeżdżaj. Dzieje się. Jedziemy na wycieczkę. –

I zanim zdążyłem zapytać gdzie, dokończył: – Oczywiście, że do Gronowa.

Poczułem znajomy lekki ucisk w nadbrzuszu. Pojawiał się zawsze, kiedy coś się działo. To było nawet miłe uczucie – oznaczało, że wciąż jestem komuś potrzebny.

Albo że powinienem iść do lekarza...

Od momentu wyjścia z łazienki do chwili, w której parkowałem pod pawilonem Centrum Dialogu Przełomy, minęło niecałe pół godziny. Skoda stała już na zakopertowanym miejscu postojowym tuż pod wejściem do komendy. W środku był Tomek, chyba pisał esemesa. Kiedy wsiadłem, odłożył telefon do szufladki pod radiem i z szerokim uśmiechem zapiął pas.

– Jedziemy, po drodze ci opowiem.

Ruszył, ledwo zdążyłem zamknąć drzwi. Nawrócił na wjeździe do podziemnego parkingu filharmonii i skierowaliśmy się w kierunku Wałów Chrobrego, skąd zjechaliśmy na nabrzeże, a potem na Trasę Zamkową. Tomek prowadził jedną ręką, drugą zmieniał biegi i pomagał sobie w mówieniu.

– Pamiętasz tłumek żądnych sensacji istot, które nam się przyglądały pod domem Łopacińskiego? Wysłałem wtedy Zalewskiego i Sławka, żeby zrobili wśród nich rozpytanie, a my wróciliśmy do komendy... – zaczął.

– Pamiętam. – Pokiwałem głową.

– No. Każdy zombie, którego przesłuchiwali, dostawał ten sam zestaw pytań. Wiadomo: czy pan go znał, jaki był

i czy ktoś go odwiedzał – Rędzia spojrział na mnie ze znaczącym uśmiechem – oraz: czy wiadomo panu, żeby Łopaciński z kimś miał zatarg. Z rodziną, z którymś z sąsiadów... Odpowiedź padała zawsze taka sama, bo rodziny nie miał, a z sąsiadami nie utrzymywał kontaktu.

– No wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Sławek o tym wspominał.

– No tak. Ale... – Tomek podniósł palec.

– Ale? – zapytałem, patrząc, jak szara wstęga asfaltu znika połykana zachłannie przez maskę samochodu.

Zostające w tyle miasto z wysokości Trasy Zamkowej przypominało trochę wielką makietę.

– Jończyk przy okazji rozdawał swoje służbowe wizytówki. Na wszelki wypadek. I jeden z zombie zadzwonił, wyobraź sobie. Wczoraj rano. Przypomniała mu się historia sprzed paru lat i uznał, że to może policję zainteresować. I bardzo dobrze uznał. – Rędzia kiwał z przekonaniem głową. – Okazało się, że kilka lat temu Łopaciński miał pod „Hiprem”, tym sklepem z farbami i klejami na Świerczewskiej, scysję z jednym facetem. Podobno wtedy jeszcze nie był taki zdziwaczały. Poszło o samochód tamtego. Obaj spotkali się przy wyjściu, Łopaciński niósł wiaderka z farbą, a ten facet, Bieżun się nazywał, właśnie wysiadał z samochodu. Uderzył drzwiami w Łopacińskiego, a właściwie w jedno z wiaderek i stwierdził, że wgniół mu drzwi i że to jego wina. Łopaciński się postawił i faktycznie miał rację, to

nie była jego wina, tylko Bieżuna. Ale od słowa do słowa zrobiła się pyskówka, choć podobno prawie cały czas wrzeszczał ten Bieżun. Groził mu, używał wulgaryzmów, wiesz, typowa polska mediacja. Obiecał, że tak tego nie zostawi i puści go w skarpetkach. Ale Łopaciński też tego tak nie zostawił. Zawiadomił policję i, uważaj, prokuraturę. Miał świadków, zapamiętał numer rejestracyjny. Policja zrobiła rozeznanie i może wszystko rozeszłoby się po kościach, gdyby nie ta prokuratura. Bo naprawdę zaczęło się dopiero wtedy, kiedy oni zareagowali. Bieżun dostał wezwanie. Stawił się przykładowo. Tylko że zrobił fatalne wrażenie, tak to określimy. Zachowywał się w taki sposób, że prokurator w toku śledztwa uznał za celowe umieszczenie go w odosobnieniu, aby przeprowadzić odpowiednie badania. Rozumiesz już?

– Nie mów, że wsadzili go...

– Tak. Właśnie tam. Miałeś rację, wspominając niedawno, że to nie Ejzert może być wspólnym ogniwem, tylko szpital. Znowu miałeś rację i powiem ci szczerze, zaczyna mnie to lekko wpieniać...

– Bo?

Tomek zerknął na mnie szybko.

– Pamiętasz nasze dywagacje sprzed kilku dni? Zwłaszcza to, że w zbrodni może być zamieszany ktoś z naszej strony? Coś dużo tych szóstek ostatnio, panie radco...

Sugestia była żartem. Trochę nieprzyjemnym, ale poznałem Rędzię na tyle, by wiedzieć, że to jednak żart. Pamiętałem jednak również opowieść Waldka o wizycie wpytujących o mnie policjantów, która miała miejsce na chwilę przed tym, jak Bartocha zaproponował mi dołączenie do zespołu „Nietykalny”. To już nie był żart, lecz sprawdzanie alibi.

– Kiedy to się stało, mówisz? – zapytałem. – Ta kłótnia?

– Osiem lat temu.

– Co się z nim teraz dzieje? Z tym Bieżunem?

– Jończyk z Zalewskim próbują to ustalić. A my rozejrzemy się na miejscu, w Gronowie. I porozmawiamy sobie trochę z Dzieszką. Wygląda na to, że ta lista z danymi pacjentów, którą nam zrobił, nie będzie nam już potrzebna.

Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Myślałem o tym, co powiedział mi Tomek. Jeśli te opowieści zombie były prawdą, to pojawiał się nowy, wyraźny trop. Oczywisty motyw. Banalny. Typowy. Po prostu zemsta. Jeśli miałem rację, to pasował do większości zabójstw.

– Zastanawiam się, kto wydał opinię o konieczności umieszczenia Bieżuna w psychiatryku w celu przeprowadzenia obserwacji – powiedziałem. – Mówię o formalnym skierowaniu. Wiem, że robią to sądy, choć nie znam szczegółów ani konkretnych przepisów.

Tomek odwrócił głowę w moją stronę, ale jego wzrok pozostał na drodze. Jechaliśmy zwykłą drogą wojewódzką, ale z szybkością ponad sto pięćdziesiąt na godzinę.

– Tak, pewne rzeczy zaczynają robić się jasne. Łopaciński: pierwszy kamyk w lawinie. Olędzki był dyrektorem psychiatryka, więc to zrozumiałe, że Bieżun mógłby mieć coś do niego. A jeśli to faktycznie sędzia Materny skierowała Bieżuna do Gronowa, to również wiele wyjaśnia. Praktycznie wszystko. Pytanie tylko, co w gronie denatów robiła Ejzertowa.

– Jej syn siedział tam z Bieżunem. Może młody Ejzert też przysłużył się w czymś Bieżunowi, a ponieważ nie mógł dorwać jego, bo był już poza zakładem, to zabił mu matkę...

– Nie wiemy, czy tam się widywali. Czy w ogóle się znali. Poza tym Bieżun siedział tam osiem lat temu, więc niekoniecznie jego pobyt tam musiał się pokrywać z pobytem Ejzerta. Jego ojciec wspominał, że leczył go od lat, ale aż od tylu...?

– Wszystko się zgadza, ale po to właśnie tam jedziemy: zapytać. Z drugiej strony, kto normalny zabija za to, że spędził kilka tygodni w psychiatryku? I dlaczego dopiero teraz, po tylu latach?

– Może właśnie nie był normalny? Może to złamało mu życie? Albo najzwyczajniej w świecie naprawdę chorował.

Tomek nie odpowiedział. Założył ciemne okulary i prowadził w milczeniu, a ja patrzyłem na pola i niebo. Rozdzielała je ostra, prosta i wyraźna linia horyzontu. Gdyby wszystko na świecie dało się rozdzielić tak wyraźnie i bez żadnych wątpliwości...

Do Gronowa dotarliśmy niedługo potem.

„Doroktor” Dzieszko siedział za swoim biurkiem i wyglądał jak siedem nieszczęść. Był blady i spocony, jego palce zaciskały się na długopisie, który kilka razy chrupnął, kiedy nacisk kciuka na plastikową rurkę przekroczył dopuszczalną normę na zginanie. Dzieszko w ogóle nie przypominał siebie z poprzedniej wizyty, był cieniem, i to bladym cieniem tamtego zdecydowanego faceta o spojrzeniu ostrym jak brzytwa, który przywitał nas w tym gabinecie ostatnim razem.

– Tak, Ryszard Bieżun przebywał w naszej placówce. Został tu skierowany przez sąd – wydusił w końcu z siebie po kilku minutach nagabywań z naszej strony.

– Ale już nie przebywa?

– Nie. Został zwolniony kilka miesięcy temu.

Zerknąłem szybko na Tomka, czy się nie przesłyszałem. Coś mi się nie zgadzało.

– Czyli został wyleczony?

– To nie do końca tak...

– A jak?

– On nie przyjechał tutaj na leczenie, tylko... To była obserwacja psychiatryczna w związku z podejrzeniem możliwości popełnienia czynu zabronionego.

– Kiedy?

– Co: kiedy?

– Kiedy zaczął się jego pobyt tutaj?

– W dwa tysiące dziewiątym, o ile pamiętam...

– Hm, sporo pan pamięta – zauważyłem.

– Nie rozumiem. – Po oczach Dzieszki widziałem, że rozumie.

Zabawne, bo ja nie rozumiałem. Jeszcze nie.

– „Leśna Ostoja” jest dość pojemną placówką – zauważyłem. – Podejrzewam, że w ciągu ośmiu ostatnich lat przewinęło się przez nią mnóstwo pacjentów. A pan pamięta rok, w którym przywieziono jednego z nich; w dodatku odpowiada pan na moje pytanie o datę z zaskoczenia, nawet się nie namyślając... Ciekawe.

Dzieszko zamrugał i zacisnął usta. Odłożył wreszcie długopis.

– Dobrze. – Westchnął. – Na pewno w dziewiątym. Na pewno, bo znam jego historię. Znam ją na tyle, na ile musiałem poznać z powodu roszczeń, o które wystąpił pan Bieżun w związku z... pobylem w naszej placówce.

– Jak to się stało, że w końcu wyszedł? – zapytał Tomek.

– Ktoś doprowadził do rewizji spraw związanych ze skierowaniem go tutaj...

– Kto? Prawnik?

– T-tak...

– Prawnik Bieżuna? – upewniłem się.

– Nie. – Zobaczyłem, jak na czole Dzieszki pojawia się kilka następnych kropel potu. – To znaczy on nie był jeszcze wtedy prawnikiem Bieżuna.

– To czym? Waszym? Czy z jakiejś fundacji społecznej?

– Nie, zatrudnił go inny pacjent...

– Nie rozumiem... Mówi pan o jakimś koledze Bieżuna? Stąd? – Coś nagle przyszło mi do głowy, ale tak absurdalnego, że aż nie chciało mi się w to wierzyć. – Chyba nie chce pan powiedzieć, że był jeszcze ktoś, kto...

– Do podobnej sytuacji jak ta z panem Bieżunem doszło w naszej placówce jeszcze dwukrotnie, jednak tamci pacjenci nie zdecydowali się na złożenie pozwu. Zrobił to tylko pan Bieżun.

– Rozumiem, że chodzi o czas, jaki spędzili tutaj?

– Też. Nie tyle, ile Bieżun, ale też sporo.

– A można wiedzieć ile?

– Siedem. Siedem lat. Wszyscy przybyli tu w dwa tysiące dziewiętnastym.

– Uhm. A dlaczego tamci nie chcieli was pozwać?

– Nie mogę rozmawiać o tych sprawach z osobami...

– A nieoficjalnie? Dla zaspokojenia ciekawości? Pan wybaczy, ale to przecież naturalne, że ludzie chcą finansowego zadośćuczynienia za krzywdę?

– Jeden z pacjentów, pan Leon Walas, zmarł wkrótce po opuszczeniu zakładu.

– Rozumiem. Problem rozwiązał się sam. Jak to miło z jego strony. – Dzieszko popatrzył na mnie wzrokiem bazyliuszka. – A drugi?

– Pan Piekarczyk otrzymał satysfakcjonującą go sumę pieniędzy w ramach ugody. Wynegocjował ją ten sam prawnik, który doprowadził do zwolnienia de facto całej trójki. Tyle musi panom wystarczyć. Reszta to tajemnica handlowa spółki.

– Bieżun nie chciał negocjować?

Dzieszko milczał.

– Czyli suma oferowana przez szpital nie satysfakcjonowała go? – zapytałem. – Uważał, że przed sądem wywalczy więcej?

Dzieszko ledwo skinął głową, nie patrząc na mnie.

– Dobrze, powiedzmy, że moja ciekawość została zaspokojona. Chciałbym zapytać o jeszcze jedną rzecz. Właściwie powinniśmy zapytać o to w pierwszej kolejności, od razu po tym, jak powiedział nam pan o czasie pobytu Bieżuna w pana placówce. Wspominał pan, że jego pobyt tu nie był leczeniem, tylko... obserwacją. – Dzieszko pokiwał głową. – Chce mi pan powiedzieć, że facet skierowany na obserwację psychiatryczną siedział tu nie kilka tygodni, czy nawet miesięcy, tylko ponad osiem lat? OSIEM LAT? Chryste, jak to w ogóle możliwe?!

Dzieszko wciąż milczał, patrząc w okno.

– Wiem, co panowie sobie teraz myślicie – powiedział w końcu cicho i spokojnie. – Potwory w białych fartuchach, pozbawieni empatii, zobojętniali i nieczuli na ludzką krzywdę. Ja wiem, nie zaprzeczajcie, to nie ma sensu. Tylko że nie bierzecie pod uwagę pewnych okoliczności.

Podniosłem rękę.

– Pan wybaczy, panie doktorze, ale nie potrafię sobie wyobrazić żadnych okoliczności, które mogłyby tłumaczyć coś takiego. Choćbym nie wiem jak się starał, to nie potrafię.

– To ja panu powiem, jak to możliwe. Przed dwa tysiące dziewiątym rokiem przepisy kodeksu postępowania karnego nie regulowały kwestii obserwacji psychiatrycznej w sposób jasny. Dopiero jego nowelizacja unormowała tę sprawę...

– Co to znaczy? – zapytał Tomek.

– Dziś maksymalny łączny czas trwania obserwacji psychiatrycznej zleconej przez sąd na wniosek prokuratora jest ściśle wyznaczony przepisami. A kiedyś nie był. Nie trzeba było dowodów wskazujących na możliwość popełnienia przestępstwa. Wystarczyło samo podejrzenie. To było pole do uznaniowości. Tak naprawdę przed nowelizacją artykułu dwieście trzeciego kodeksu postępowania karnego brakowało przesłanek do

zarządzenia zarówno obserwacji, jak i czasu jej trwania, rozumiecie, panowie?

– Nie – odpowiedzieliśmy jak na komendę.

Dzieszko obrzucił nas wymownym spojrzeniem.

– Nie rozumieją tego policjanci? – zapytał, a my z Tomkiem spojrzeliśmy tylko po sobie. – Widzieliście kiedyś idealnie sformułowany, jasny, klarowny i niebudzący wątpliwości interpretacyjnych przepis prawa?

– Dobrze – chrząknąłem – co dalej?

– Obserwacja Bieżuna była przedłużana...

– Kto konkretnie ją przedłużał?

– Sąd. Wyłącznie sądy są uprawnione zarówno do zlecenia obserwacji psychiatrycznej na wniosek prokuratury, jak i do jej przedłużenia.

– Skąd sąd wie, że zachodzi taka potrzeba? Na czyj wniosek ją przedłuża?

Dzieszko milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, choć przecież jako praktyk tak naprawdę nie miał nad czym się zastanawiać.

– Na wniosek zakładu leczniczego, w którym przebywa obserwowany...

– Był podobny przypadek jakiś czas temu, bodaj w Rybniku – wtrącił Tomek. – Tam również pacjent przesiedział na obserwacji kilka lat...

– To prawda.

– Z tego zrobiła się afera na całą Polskę. A o tym... – potoczył dłonią po gabinecie – ...cisza.

– W sprawie rybnickiej chodziło o szpital publiczny – powiedział cicho Dzieszko i zamilkł, jakby dalsze wyjaśnienia nie były potrzebne.

Fakt, nie były.

– Nikt się o niego nie upominał? – drążyłem dalej. – Nie próbował czegoś zrobić? Na przykład rodzina?

– Jego stosunki z rodziną nie układały się za dobrze. Rozwiedziony, miał chyba syna, ale jak wspomniałem, nie pamiętam... Z nim w ogóle była trudna sprawa. Był kaleką...

– Jak to kaleką?

– Nie miał lewego przedramienia. Amputowano mu je po porażeniu prądem. To na pewno jakoś wpłynęło na jego dalsze życie. W każdym razie po pewnym czasie uznano, że on jest po prostu chory. Bywa i tak, i choć to budzi naturalny sprzeciw, czasem nic się nie da zrobić. Nic...

– Zachorował tak nagle? Tu, w zakładzie?

– Pewne objawy świadczyły o...

– Mówi pan o powodzie, z jakiego go tu skierowano? Bo groził komuś pobiciem?

– Pan wciąż myśli, że to takie proste, co?

– A co tu jest skomplikowanego, panie doktorze? Facet zostaje wsadzony do wariatkowa: kiedy tu przyjeżdża, jest zdrowy jak koń, a kiedy z niego wychodzi niemal

dekadę później, jest ledwo powłóczącym nogami wrakiem człowieka.

– Być może choroba rozwinęła się podczas pierwszego pobytu na skutek okoliczności, w których Bieżun się znalazł. Ale to nie oznacza, że jej wcześniej nie było. Znajdowała się w fazie prodromalnej, a to zdarzenie, o którym pan wspomniał, oraz późniejsze zachowanie w prokuraturze mogły świadczyć o tym, że wkracza w następną fazę.

– W momencie skierowania tu Bieżun miał niespełna czterdziestkę. Choroba objawiła się u niego tak późno?

– Zdarza się – odparł Dzieszko. – Tu nie ma zasady.

– Była tak ciężka, że musiał tu przebywać przez tyle lat?

– Widocznie tak. – Głos Dzieszki był suchy. – Nie będę wypowiadał się autorytatywnie. Decyzje podejmował dyrektor Olędzki, podejmował je jako ordynator i lekarz prowadzący. Nie znam szczegółów i nie mogą mnie panowie traktować jako winnego jakichś potencjalnych nieprawidłowości tylko dlatego, że jestem pracownikiem szpitala, w którym do nich doszło. Ewentualnie doszło... To nie jest podrzędny oddział psychiatrii sądowej w jakimś areszcie, tylko szpital.

– Ile lat pan tu pracuje?

– Dwanaście. Ale to nie ma nic do rzeczy. Powtarzam, byłem po prostu jednym z lekarzy, a działania doktora Olędzkiego nie dotyczyły moich pacjentów. Nie neguje się

opinii przełożonych. Są autonomiczne, a konsekwencje ich podjęcia ponoszą wyłącznie oni.

– Nie dotyczyły pana, nawet jeśli łamały prawo?

– Wyjaśniałem już to panom. Prawo nie zostało złamane. Koniec dyskusji na ten temat. Nie będę się powtarzał.

– Dobrze. – Rędzia podrapał się w nos. – Przyjmuję do wiadomości, chociaż dobrze pan wie, że ma się prawo odmówić wykonania polecenia służbowego, jeśli jest niezgodne z prawem. Ale to teraz nieistotne. Darek?

– Czy Bieżun był inteligentny? – zapytałem. – Jak się wysławiał; używał bogatego słownictwa czy raczej mówił w prosty i mało wyrafinowany sposób?

– Wie pan... Iloraz inteligencji miał nieco powyżej przeciętnej, wykształcenie średnie, ale to jeszcze oczywiście o niczym nie świadczy. Z rozmów z nim pamiętam, że czasem zdarzało mu się nadużywać przekleństw, ale to były takie fale. Powiedziałbym, że związane z fazami jego choroby. Poza tym nie było problemu z logicznym kontaktem, wyrażał się raczej precyzyjnie. Pamiętam, że lubił krzyżówki. Rozwiązywał je namiętnie, jeszcze zanim tu trafił. Prosił parę razy, żeby mu dostarczyć kilka pisemek z krzyżówkami: „Rewię rozrywki”, „1000 krzyżówek panoramicznych” i takich tam...

Pomyślałem, że to by faktycznie wiele wyjaśniało. No dobra: wiele może nie, ale przynajmniej zasób słów. Przez

chwile błysnęła mi myśl, że ktoś mu te listy jednak pisze, ale wyglądało na to, że robi to sam. Spojrzałem na Rędzię, dając mu znak, że skończyłem. Otrzymałem odpowiedź na nurtujące mnie pytanie i to mi na razie wystarczyło. Tomek westchnął i wypalił:

– Okej, to może w takim razie poprosilibyśmy pana o umożliwienie spotkania z Danielem Ejzertem.

To był dobry pomysł. Rędzia szybko się uczył.

– Proszę?! – Brwi Dzieszki uniosły się, a oczy rozszerzyły się tak bardzo, że ukazały się białka otaczające tęczęwki.

– Chcielibyśmy się z nim zobaczyć i porozmawiać. Nasza prośba jest silnie umotywowana.

– Mianowicie?

– Ejzert jest naszym łącznikiem, aktualnie jedynym, o ile wiem.

– Jakim łącznikiem? Z czym?

– Z kim, nie z czym. Z Bieżunem.

– Nie rozumiem... Skąd w ogóle pomysł, że oni się ze sobą zetknęli? Poza tym nie mogą panowie po prostu skontaktować się z panem Bieżunem?

Wpatrywaliśmy się w Dzieszkę i pewnie obaj z Rędzią zastanawialiśmy się, co mu odpowiedzieć zarówno na pierwsze pytanie, jak i na drugie. Odczytał nasze milczenie jednoznacznie. Zresztą słusznie.

– Nie macie z nim kontaktu, tak? – zapytał sucho, przesuając po blacie jakieś papiery. – Dziwne. Chociaż

nie, właściwie wcale mnie to nie dziwi. Wobec tego proszę udać się do jego prawnika. On z pewnością kontakt z klientem utrzymuje. Zwłaszcza jeśli umówił się z nim na dobry procent od wygranej sumy odszkodowania... I nie, nie mam pojęcia, jak nazywa się ten adwokat...

– Skąd pan wie, że adwokat, a nie na przykład radca prawny? – zapytał Tomek.

– Nie wiem – powiedział zimno Dzieszko. – Tak mi się powiedziało. Nie łapcie mnie za słówka; już to chyba mówiłem, i to nie raz.

Rędzia myślał teraz pewnie o tym samym co ja. Jak wytropić tego cholernego papugę Bieżuna, jeśli Jończykowi i Zalewskiemu jakimś cudem nie uda się znaleźć jego samego. Zaczynałem mieć przeczucie, że może to być trudne.

– Dobrze, w takim razie ponawiam swoją prośbę. – Tomek pochylił się w stronę biurka. – Prosimy o umożliwienie spotkania z Danielem Ejzertem. Teraz, jeśli łaska.

Dzieszko również pochylił się nad blatem, oddzielony od nas jego bezpieczną powierzchnią. Poczł chyba przyływ pewności siebie. Oczy błysnęły mu hardością. Oblizał usta i przeszedł do kontrataku.

– Jeżeli dalej będziecie tak bezpardonowo postępować wobec mnie, złożę oficjalną skargę. Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli; nie mam nic do panów osobiście, chodzi mi o to, że taki sposób działania jest dla mnie

zupełnie nie do zaakceptowania, ponieważ zmusza mnie do postępowania wbrew prawu. Poza tym w niesprzyjających okolicznościach może się to odbić na mnie i na mojej karierze, a panowie nie macie żadnego wpływu na to, czy takie okoliczności wystąpią, czy nie. Jeżeli ktokolwiek, kiedykolwiek uczyni mi zarzut w związku z przekroczeniem obowiązków lub ich niedopełnieniem, zostanę z tym sam. Nikogo nie będzie obchodzić, w jakim celu złamałem prawo, liczyć się będzie tylko to, że je złamałem. I kiedy będę stał przed rzecznikiem odpowiedzialności zawodowej podczas postępowania dyscyplinarnego, was przy tym nie będzie, żeby świadczyć na moją korzyść. Nikogo przy mnie nie będzie. W związku z tym zrobię wszystko, żeby się przed tym bronić: przed próbami narzucenia mi, co mam robić, a czego nie. To ja o tym decyduję, przynajmniej w tym miejscu, w którym się znajdujemy.

Tomek powoli obrócił głowę w moją stronę, uniósł wysoko brwi, a ja odczytałem to jako wyraz kapitulacji. Pozwoliłem więc sobie przejąć pałeczkę. Bądź co bądź, miałem niewiele do stracenia, skargami mogłem się wcale nie przejmować, a Dzieszko nie miał o tym pojęcia. Byłem na wygranej pozycji.

– Wie pan co? – zapytałem spokojnie, jakbym rozmawiał z kolegą o wczorajszym grillu. – Traktuje nas pan, jakbyśmy zaraz po wyjściu stąd chcieli sprzedać informacje o chorobie Ejzerta do kolorowej prasy. Pańskie

postępowanie przypomina reakcję kierowcy, który stoi pierwszy na skrzyżowaniu, na czerwonym świetle, kiedy z tyłu nadjeżdża karetka na sygnale. Wszyscy ustępują jej miejsca, zjeżdżając na bok, a on stoi, bo przecież jest czerwone, tak? Może coś z boku nadjedzie i będzie jego wina? To chodzi o życie, człowieka, ludzkie życie. Nie interesuje nas to, co dzieje się za murami „Leśnej Ostoi”, panie doktorze. My tylko ścigamy się ze skurwysynem, który zabija ludzi, nie przejmując się panem ani nami, ani nikim innym na tej planecie. Więc olej pan sądy, rzeczników odpowiedzialności zawodowej i wszystkich innych, tylko idź pan do Daniela Ejzerta i zapytaj go, po prostu, kurwa, zapytaj, czy nie miałby ochoty zobaczyć się z nami. Z gliniarzami zza płotu, tak niech pan powie. Czy możemy prosić chociaż o to? To chyba nie będzie wbrew prawu, co?

Dzieszko usiłował nie stracić twarzy. Zmieniała kolor, raz blednąc, a raz czerwieniejąc, a czubek języka wypychał prawy policzek w nerwowym tiku, którego dyrektor nie był świadomy.

– Proszę tutaj poczekać, zaraz przyjdę – zdecydował po chwili, gwałtownie wstając z za biurka.

Wyszedł z gabinetu, ale widać było, że ledwo nad sobą panuje.

– Gratuluję, panie radco – powiedział wesoło Tomek, siedząc z założonymi rękami i nogami wyciągniętymi

przed siebie, jakby chciał je zaraz położyć na biurku Dzieszki. – Udało ci się wyprowadzić go z równowagi.

– Ważne, że osiągnęliśmy cel.

– A jak zaraz wpadną osiłki w białych kitlach, żeby nas spacyfikować? Z kaftanami bezpieczeństwa i strzykawkami pełnymi cudownych specyfików dostępnych wyłącznie na różowe recepty. Co wtedy powiesz?

Spojrzałem na Tomka. Żartował. Oczywiście, że żartował... Patrzyliśmy w okno i czekaliśmy. Rędzia westchnął nagle.

– Pamiętasz, Ejzert wspominał o tych ze „specki”, o tych z obserwacji...

Pokiwałem leniwie głową.

– Szczerze ci powiem, pomyślałem sobie wtedy, że chłopak pieprzy. Że coś mu się pomerdało, bo przecież obserwacja psychiatryczna trwa kilka tygodni, no, góra parę miesięcy. Ale lat?! A tu proszę... Wiedział, co mówi. Ja pierdołę... Wierzyć się nie chce, że takie rzeczy dzieją się na świecie... Miejmy nadzieję, że miał kontakt z Bieżunem.

Dzieszko wrócił kilka minut później. Sam.

– Stwierdziłem, że stan Ejzerta umożliwia widzenie, jednak obawiam się, że do niego nie dojdzie. – Wciąż miał zmęczony głos. – Nie wiem, o co chodzi. On twierdzi, że nie wyraża ochoty na spotkanie z ludźmi bez honoru. Cokolwiek to oznacza, nic z tego nie będzie. Ma pełne

prawo odmówić, a ja nie zamierzam go do niczego zmuszać. Czy teraz wreszcie zostawią mnie panowie w spokoju?

– Obawiam się, że jeszcze nie – odparłem bezlitośnie.
– Proszę mu zaraz przekazać, że natychmiast jedziemy do wsi, żeby naprawić swój błąd. Po dziesięciokroć.

– S-s-słucham?

– Proszę mu to przekazać. Poważnie. Chcemy się zrehabilitować. Jesteśmy z powrotem za pół godziny, czterdzieści minut. Niech będzie gotowy.

– Nie podoba mi się to. Panowie wyraźnie świetnie się bawią... Co tu się dzieje?

– Niech się pan nie martwi, panie doktorze. Nie jesteśmy idiotami, cokolwiek pan sobie o nas myśli. To żadna zabawa. I wszystko jest pod kontrolą.

– Waszą kontrolą. Albo tylko wam się wydaje, że tak jest. A to ja za niego odpowiadam. Wyłącznie ja.

Podszedłem do niego, pochyliłem się i patrząc w jego pełne rezygnacji oczy, powiedziałem spokojnie i cicho:

– Niech pan to zrobi, bardzo proszę. I bez numerów.

– Jakich numerów? – zapytał, mrugając.

– A na przykład takich, że jak tu wrócimy, to nie otworzy się brama wjazdowa. Pan ma sporą świadomość prawną, więc wie pan również, że mamy narzędzia, by tu jednak wejść nawet bez pana zgody?

– Niech mnie pan nie straszy – rzucił Dzieszko zmęczonym głosem. – Dobrze wiem, ile trwają procedury

sądowe.

– Nie w tym wypadku, proszę mi wierzyć. – Uśmiechnąłem się. – Po prostu załatwmy sprawę, dobrze?

Zostawiliśmy go tak, z niepewną miną i kręcącego głową. Zbiegliśmy do samochodu i w ciągu dziesięciu minut dotarliśmy do Ostrowic. Przy głównym skrzyżowaniu był sklep spożywczy; różowa, betonowa kostka z płaskim dachem i małym parkingiem obok. Wpadłem do środka, wyciągając z kieszeni portfel.

– Sztangę LM-ów, proszę – rzuciłem kobiecie w niebieskim fartuszk z białymi wyłogami.

Siedziała za kontuarem i studiowała jakieś kolorowe czasopismo opisujące osobiste tragedie gwiazd, takie jak różyczka latorośli czy dwie takie same sukienki podczas jednej imprezy. Jednym słowem, koszmary.

Rzuciłem sto pięćdziesiąt złotych i wybiegłem z kartonem pod pachą i pudełkiem zapalek, które widać dodawali w promocji. Kiedy wsiadłem do skody, Tomek, wykręcając na drodze, zauważył z przekąsem:

– Zaszalałeś.

– Stać mnie – burknąłem.

– To teraz módl się, żeby Ejzert zechciał przyjąć tę przebłagalną, całopalną ofiarę i pogadał z nami. Inaczej sam to będziesz musiał wyjarać. – Roześmiał się i pognął w stronę Drawska.

Dzieszko nie zrobił nam numeru, brama zaczęła się otwierać, zanim jeszcze zjechaliśmy z szosy. Kiedy wysiadaliśmy z samochodu pod szpitalem, Rędzia zdziwił się, że zostawiam papierosy na siedzeniu.

– A co, mam mu to wręczyć przy Dzieszce? – zapytałem. – Przecież zaraz mu skonfiskuje. Podamy mu przez płot, po rozmowie. W tym samym miejscu co wtedy, tylko trzeba mu dać znać jakoś inteligentnie...

Pokiwał głową, przyznając mi rację. Weszliśmy do głównego budynku, spoceni i zmęczeni. W gabinecie Dzieszki siedział już Daniel Ejzert. Miał nogę założoną na nogę, ponurą minę i patrzył na nas bykiem, obejmując mocno swoje kolano. Wyglądał jak obrażony pięciolatek. Dzieszko zresztą też.

– Właściwie nie powinienem z wami w ogóle rozmawiać – powiedział Ejzert grobowym głosem.

– Wiemy, dlatego chcemy się zrehabilitować – rzuciłem zamiast przywitania, bo widziałem wyraźnie, że jego wzrok prześlizguje się po naszych dłoniach. – Nie zapomnieliśmy o tobie; prawda jest taka, że najzwyczajniej w świecie nie mieliśmy czasu. Ale rozumiem, że mogłeś odebrać to inaczej.

– To po co jechaliście teraz do Ostrowic, skoro nie zapomnieliście?

Spojrzałem z lekkim zakłopotaniem na czubki swoich butów.

– Proponuję nie kontynuować tematu, zanim zabrnjemy za daleko, co ty na to? Tak więc naprawimy wszystko w wiadomym ci miejscu. Jesteśmy przygotowani. Bardzo dobrze przygotowani. Stoi?

Ejzert mlasnął i przewrócił oczami.

– Jak tak, to stoi. Niech wam będzie...

Dzieszko stał z założonymi rękami oparty o parapet i z pewnością był wściekły. Ja bym był.

– Cieszę się. – Uśmiechnąłem się do Ejzerta najszczerzej, jak potrafiłem. – Chcieliśmy z tobą pogadać o Bieżunie. Ryszardzie Bieżunie. Kojarzysz typa?

– Ryśka? Jasne. – Wzruszył ramionami, a mnie nagle zrobiło się gorąco.

– Skąd? – zapytał szybko Tomek. – Przecież przebywaliście na różnych oddziałach.

– Zdarzało się, że na jednym. – Ejzert spojrzał w sufit. – Prawda, panie doktorze?

Mina Dzieszki była nieprzenikniona, ale w oczach miał niedowierzanie, jakby właśnie uświadomił sobie, że nie ma kontroli nad czymś, nad czym z racji zajmowanego stanowiska powinien mieć. Znałem to uczucie. Jak ja je dobrze znałem...

– Kiedy bywałeś niegrzeczny, tak? – zapytałem Ejzerta. – To masz na myśli?

– Właśnie. – Chłopak pokiwał głową, a na ustach wykwitł mu zagadkowy uśmiech.

– No dobra. – Chrząknąłem. – Mówisz, że kojarzysz Ryśka... Czyli znaliście się?

– Tak, można tak powiedzieć.

– Co to znaczy: można tak powiedzieć? Znaliście się czy nie?

– W domu wariatów na wszystko trzeba patrzeć z nieco innej perspektywy. – Ejzert westchnął. – Znać się tam, na zewnątrz, to znaczy: spotykać się w lokalu, czyimś domu, dzwonić do siebie, umawiać się na lody, piwo... Zjadłbym dobre lody – rozmarzył się nagle.

– A jaśniej? – zapytałem niecierpliwie, bo bałem się, że Ejzert odpłynie i nie zdoła wrócić do wątku. – Mógłbyś rozwinąć tę myśl?

Spojrzał na mnie nieco bystrzej.

– Trudno mówić o poznawaniu kogoś, kiedy się jest przypiętym pasami do łóżka, no nie? I kiedy tamten drugi też jest przypięty. Poznaliśmy się na tyle, na ile można poznać kogoś, gadając z nim podczas długich bezsennych nocy. Trafiło nam się parę takich wspólnych. A może paręnaście...

– Danielu, o czym ty mówisz? – powiedział cicho Dzieszko. – Przecież leżałeś w izolatce, zresztą niejako na własne życzenie, bo mówiliśmy ci, że tam trafisz, jeśli nie będziesz robił tego, o co cię prosimy. A ten człowiek też był odizolowany. Leżał w swoim pokoju. On w swoim i ty w swoim, w dodatku byliście pod wpływem leków...

– Ale leżeli na jednym oddziale? – zapytałem Dzieszki.
– Na „specce”?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Tak – odparł po chwili. – Na oddziale „C”. I nie leżeli, tylko tam bywali, w części specjalnej tego oddziału. A bywali tam z tych samych powodów. I być może kilka razy faktycznie przypadkowo zdarzyło się, że trafili tam w tym samym czasie, ale nie jest możliwe, żeby nawiązali ze sobą jakikolwiek kontakt. – Popatrzył na Ejzerta smutnym, zatroskanym wzrokiem. – Dlaczego mówisz nam nieprawdę?

– Nie kłamię. – Ejzert powiedział to spokojnie i z zastanawiającą pewnością siebie. – Rozmawialiśmy przez gniazdko elektryczne.

Dzieszko zagryzł wargę, a potem spojrzał na mnie i Rędzię w bardzo wymowny sposób.

– W tych pomieszczeniach nie ma gniazdek, Danielu, wiesz? Nie może ich tam być...

– Chcecie, to wiercie, nie chcecie, to nie... Mnie tam, szczerze mówiąc, zwisa. Wy pytacie, to ja wam odpowiadam. Taka była umowa, co nie?

Podszedłem do Ejzerta i patrząc mu w twarz, zapytałem Dzieszki:

– Możemy się tam przejść?

– Przepraszam bardzo: gdzie?

– Na „speckę”. – Odwróciłem głowę w stronę dyrektora. – Zobaczyć te pomieszczenia, w których

izolowani byli Daniel i Bieżun.

– Chyba pan... Tam nie mają wstępu osoby postronne!

– Myślałem, panie doktorze, że tę kwestię już sobie wyjaśniliśmy? – zapytał Tomek ze stoickim spokojem.

Dzieszko oklapł. Potem gwałtownym ruchem odsunął się od parapetu, podszedł do biurka i chwycił słuchawkę stacjonarnego telefonu. Zrobił to tak, jak podnosi się kamień, by nim w kogoś cisnąć. Wybrał trzy cyfry i po chwili warknął do kogoś po drugiej stronie:

– Poproszę pielęgniarkę. Tak, Leszka, teraz. Do mnie do gabinetu.

Czekaliśmy w milczeniu kilka minut, słuchając tykania wiszącego na ścianie zegara. Na tarczy widniała reklama jakiegoś leku. Nazywał się Afobam. Nie miałem pojęcia, co miał leczyć, ale wiedziałem jedno, że nigdy, przenigdy nie chciałbym go zażywać. Nagle rozległo się ciche pukanie, chwilę później drzwi uchyliły się i do gabinetu wszedł wysoki mężczyzna w białych spodniach i takiej samej koszuli z krótkim rękawem. Z kieszeni na piersi, na której wyhaftowany był napis Coaxil, wystawała czarna antenka krótkofalówki.

Pielęgniarka stała przed nami, a ja zastanawiałem się, w jakim konkretnie celu Dzieszko wezwał go do siebie. Istniało w końcu ryzyko, że po prostu chciał wyrównać siły na dwa do dwóch. Po chwili otrzymałem odpowiedź na moje rozterki. Dyrektor spojrzał na nas ciężkim wzrokiem.

– Chodźmy – zarządził.

Wstaliśmy więc i poszliśmy.

* * *

Oddział „C” w porównaniu z „A” był jak inny świat. Białe, gładkie ściany, tafle przeszkleń i białe, jasne światło ledowych lamp zmieniły się w beżowe lamperie, pomalowane na taki sam kolor sklejk i mglistą, żółtawą poświatę sześćdziesięciowatowych żarówek. Podłogę korytarza pokrywało wyslizgane linoleum w kolorze gorzkiej czekolady, które pamiętało chyba jeszcze czasy Czerwono-Czarnych, albo nawet kajzera. To skrzydło „Leśnej Ostoi” zdecydowanie wymagało doinwestowania. A może właśnie nie było sensu tego robić?

Minęliśmy coś w rodzaju śluzy odgradzającej od siebie te dwa światy. Nie wyglądała tak, jak tamte na oddziale „A”. Białe kraty i metalowe siatki były niczym zasieki na froncie jakiejś zajadłej wojny. Albo jak żelazna kurtyna. Pielęgniarski sprawnie wyłuskał z pęku kluczy ten właściwy i wszyscy przekroczyliśmy granicę, znajdując się po tej gorszej stronie. Przeszliśmy jeszcze kilka kroków wąskim, przypominającym dworcowy tunel korytarzem z drzwiami po obu stronach, aż nagle Dzieszko wyprzedził nas i stanął przed jednymi z nich. Miały jeszcze charakterystyczny brązowy pas na krawędzi po stronie klamki, zakończony na górze, nad zamkiem, zgrabnym, podwójnym łukiem. Pamiętałem

takie drzwi z dzieciństwa, z przychodni, do której chodziłem na szczepienia. Tylko te miały na wysokości oczu judasza, a obok niego metalową zasuwę.

– Tu czy obok? – zapytał Dzieszko Ejzerta.

Ejzert powolnym ruchem podniósł rękę, wskazał nią gdzieś przed siebie i wycedził:

– Następne moje. Tam leżałem najczęściej. Prawie zawsze, z kilkoma wyjątkami. A Rysiek jeszcze jedno dalej. – Wydał usta, wzniosł oczy ku sufitowi i zapał: – Witamy ponownie w naszym ekskluzywnym hotelu, panie hrabio Ejzert, czy życzy pan sobie ten sam apartament co zwykle?

Roześmiał się krótko i machnął ręką. Dzieszko skinął na pielęgniarza, który bez słowa powtórzył procedurę ze śluzu, znów bez patrzenia na potężny pęk kluczy wybierał z niego ten właściwy. Pewnie widział je opuszkami. Czytał je jak niewidomy alfabet Braille'a. Po chwili drzwi stanęły przed nami otworem. Nie czekając, wszedłem do środka pierwszy i rozejrzałem się po pomieszczeniu.

W dużym oknie zobaczyłem kraty, te małe dzieła sztuki kowalskiej, które zauważyłem z zewnątrz podczas pierwszej wizyty w Gronowie. Dopiero stąd widać było jednak, że okno zabezpieczone jest dodatkowo metalową siatką o drobnych oczkach. Nasuwała skojarzenie z wolierą. Prostokąt światła wpadającego przez okno zdobił przeciwległą ścianę. I ta, i pozostałe miały zielonkawy kolor, a pokrywająca je warstwa farby

miejskami odłaziła, tworząc bąble przypominające te w gotującym się budyniu. W pomieszczeniu nie było sprzętów z wyjątkiem szpitalnego łóżka, nawet szafki na rzeczy osobiste typowej dla szpitalnych oddziałów. Łóżko stało przy jednej ze ścian, oddalone od niej o kilkanaście centymetrów. Podszedłem tam i zajrzałem za nie. Tuż pod ramą, od strony wezgłowia, na ścianie zauważyłem małe, białe kółko.

– Co to takiego? – zapytałem.

Dzieszko wszedł do środka, za nim Tomek, Ejzert i pielęgniarz. Dyrektor zbliżył się do mnie i nachylił, zerkając za łóżko.

– To? A tak, kiedyś faktycznie znajdowały się tu gniazdka. Instalacja elektryczna była natynkowa, jeszcze aluminiowa, bo budynek jest z lat trzydziestych. Kable usunięto, gniazdka zlikwidowano i zagipsowano. – Rozejrzał się po ścianach i uznał za stosowne udzielić dalszych wyjaśnień. – Remont tej części pochłonąłby tyle pieniędzy, że rentowność całej inwestycji stanęłaby pod znakiem zapytania. Trzeba było znaleźć jakieś oszczędności. Te pomieszczenia i tak wykorzystywane są sporadycznie, więc... – Wzruszył ramionami.

Usiadłem na łóżku, odsunąłem zakończone rzepami pasy z materiału, z jakiego zrobione są szelki plecaków, i sięgnąłem do kółka, stukając w nie knykciem. Rozległ się głuchy odgłos, taki sam, jaki wydają tanie paździerzowe drzwi, w które się puka.

– Pan mi pożyczycy na chwilę swoje radio, dobrze? – zwróciłem się do pielęgniarka.

Popatrzył na Dzieszkę, nie wiedząc, co robić. Dyrektor wzruszył ramionami, jakby już mu na niczym nie zależało, więc drab w białym kitlu wyjął krótkofalówkę z kieszeni i podał mi ją w milczeniu. Wstałem, wziąłem urządzenie i podszedłem do kąta utworzonego przez ścianę z drzwiami i tę, w której pobliżu stało łóżko. Klęknąłem i przyłożyłem radio do tej drugiej, ustawiając je poziomo tak, żeby spód dotykał pierwszej. Odznaczyłem paznokciem miejsce, w którym kończyła się antenka i przeniosłem krótkofalówkę, tak że teraz jej spód dotykał opuszki palca. Powtarzałem to dotąd, aż dotarłem do kółka. Jedenaście pełnych długości, dwunasta do połowy antenki. Podniosłem się z kolan i ignorując zaskoczone spojrzenia wszystkich, także Rędzi, poprosiłem Dzieszkę:

– Przejdziemy obok?

Odpowiedzią znów było wzruszenie ramion. Na korytarzu wszyscy w ciszy przyglądaliśmy się, jak pielęgniarka, znów bez pudła wyłuskuje z pęku właściwy klucz. Po chwili drzwi pomieszczenia obok stały otworem. Wszedłem do niego pierwszy i powtórzyłem zabawę z radiem przy ścianie dzielącej oba pokoje. Odległość do białego kółka, takiego samego, jak po drugiej stronie ściany, była mniejsza o grubość mojego palca. Błąd pomiaru w granicach tolerancji. Wysokość nad poziomem

posadzki była identyczna. Oddałem pielęgniarzowi radio i spojrzałem na wszystkich.

– Nie chce mi się mierzyć, ale głowę dam, że ta ściana ma grubość góra pół cegły – powiedziałem, wskazując na nią. – W nocnej ciszy głosy słyhać o wiele lepiej, zwłaszcza że tu robi się kanał. Nie ma chyba sensu robić eksperymentu i gadać do siebie przez tę dziurę. Cóż, nie wiem jak oni, ale ja ci wierzę – zwróciłem się do Ejzerta, który wpatrywał się w kółko z niedomkniętymi ustami.

– Przecież mówiłem – powiedział powoli.

– Widzisz, ale niektórzy potrzebowali dowodu, co nie?
– Uśmiechnąłem się do niego, wiedząc, że dzięki temu staję się mu bliższy niż pozostali, co zamierzałem wykorzystać. – To o czym gadaliście z Ryśkiem?

Ejzert powoli pokręcił głową. Wszystko robił wolno i leniwie. Również w taki sposób mówił.

– To tak, jakbyś zapytał, co mi się śniło, ja wiem, dwie noce temu – powiedział. – I jakbyś zapytał, tobym ci powiedział, że na pewno miałem sny. Straszne i śmieszne jednocześnie. Pojawiał się w nich jeden pielęgniarz, ale nie wiem, co tam robił. Rozumiesz? Tak samo pamiętam te rozmowy z Ryśkiem. Jak przez mgłę...

– Opowiadał ci o sobie? Co zrobił? Czemu tu jest? Co planuje po wyjściu?

– Patrz punkt wyżej.

– Nic nie pamiętasz? Naprawdę nic?

– Nie, no coś pamiętam. Pamiętam, że miał takie fazy. Raz był wściekły na wszystko i wszystkich. Nie sypał nazwiskami, ale mówił, że kilka osób go wkurzyło... Potem twierdził, że nic już nie ma znaczenia, że chuj go to wszystko obchodzi i że i tak tu zdechnie, bo widać tak mu już pisane... Ale jakieś konkrety...? Wiesz, to wyglądało mniej więcej tak, jak rozmowy koleś na imprezie, na której wszyscy palili zioło. Jakieś zdania bez związku, dłuższe przerwy w nadawaniu i tak dalej...

– Okej... A ty?

– Co: ja?

– Czy ty opowiadałeś mu o sobie?

– Zdarzało się – przyznał chłopak z ociąganiem. – Coś tam o sobie mu mówiłem, w końcu na tym polega rozmowa, co nie? Dialog, znaczy... Na wymianie zdań.

– A o swojej matce? – drażyłem. – Wspominałeś o niej?

– O matce? No, wiesz... Nie żeby zaraz mu się spowiadał ze swojego życia, ale pewnie ze dwa, trzy albo nawet trzydzieści razy temat mógł zejść na matkę. Nie wykluczam tego.

– Czyli dokładnie nie pamiętasz?

– Nie.

– A gdyby on zapytał cię o nią teraz, w tej chwili, to co byś mu odpowiedział?

– Teraz? – Zerknął na łóżko, a może na białe gipsowe kółko za nim. – Teraz to nie wiem. Teraz jestem czysty. – Przeniósł wzrok na mnie, a potem na Dzieszkę. –

Ostatnio nie dostałem niczego, co mogłoby mi namieszać w głowie. Żadnych zastrzyków ani nowych pigułek, tylko te co zwykle. Ostatnio jestem grzeczny, prawda, panie doktorze?

– Prawda – mruknął dyrektor, wpatrując się w okno.
– Jesteś.

– Z tego, co kojarzę, rozmawialiśmy z Ryśkiem o cięciu się, narkotykach, braku miłości i akceptacji, emocjonalnym chłodzie i tym wszystkim, co w skrajnych przypadkach zwykle kończy się w takich miejscach jak to. Tylko właśnie nie pamiętam, który z nas to mówił. I czy była w to zaplątana akurat moja matka, czy czyjaś inna, na przykład jego... A może mówiliśmy o tym obaj? Co pan na to, panie doktorze, żeby urządzić mały seansik hipnotyczny i cofnąć się w przeszłość? Może bym sobie przypomniał?

– Przestań się zgrywać, mogę cię prosić? – Głos Dzieszki był obojętny, jakby powtarzał to Ejzertowi od lat po kilka razy dziennie.

Może powtarzał?

Wróciliśmy do gabinetu Dzieszki tą samą trasą. Towarzyszył nam ten sam brzęk krat i kluczy. Jasny i czysty korytarz oddziału „A” sprawił, że uczucie lekkiego przygnębienia, które ogarnęło mnie na „specce”, nieco zelżało. Nie opuściło mnie do końca, ale zdecydowanie łatwiej mi się oddychało. Na pewno głębiej i dużo rzadziej.

Dzieszko usiadł za swoim biurkiem. Pielęgniarsz został przy drzwiach i czekał chyba na dyspozycje. Ejzert stanął przy oknie i gapił się na las, dłubiąc w nosie. Jego czarne włosy sterczały w nieładzie i teraz już wiedziałem, czemu archetypiczny wariat jest zawsze rozczochrany. Bo mu nie zależy i nie tylko dlatego, że nie ma dla kogo się czesać. To miejsce tak działa na ludzi. Wysysa wszelką chęć, sprawiając, że wszystkiego się odechciewa, a proste czynności, takie jak czesanie, urastają do rangi zadania, któremu trudno podołać. I pozostaje tylko dłubanie w nosie. Albo tępe wpatrywanie się w przestrzeń za oknem.

– Czy to wszystko, czy panowie chcą jeszcze czegoś się dowiedzieć? – zapytał Dzieszko, zerkając znacząco na zegar z napisem Afobam. – Nie będę ukrywał, że mam dużo pracy... Daniel też chyba ma już dość, prawda?

Ejzert wyciągnął palec z nosa, obejrzał go uważnie i zrobił niezdecydowaną minę.

– Tak, to chyba już wszystko – bąknął Tomek, a ja ruszyłem nagle w stronę okna.

– W takim razie proszę odprowadzić Daniela na oddział – rzucił Dzieszko w stronę pielęgniarsza.

– Za kwadrans, tam gdzie wtedy – szepnąłem Ejzertowi, stając obok niego, ale nie patrząc mu w twarz. – Nie pożałujesz.

Nie pokiwał głową ani się nie odezwał; nie zrobił nic, co mogłoby potwierdzić, że mnie usłyszał. Jego twarz

pozostała obojętna. Poszedł w kierunku drzwi, a kiedy pielęgniarz otworzył je przed nim, po prostu wyszedł na korytarz, znikając nam z oczu. Teraz ja oparłem się o parapet, tak jak wcześniej Dzieszko. Wszystkich tu chyba ciągnęło do okien. Poczułem, jak moje plecy rozgrzewają się od słońca i przestałem się temu dziwić.

– On naprawdę chorował. Mówię o Bieżunie – odezwał się Dzieszko. – Nie był niebezpieczny, a przynajmniej nie wykazywał takich oznak w ciągu ostatnich paru lat, ale bez wątpienia chorował. Jego pobyt tu był właściwie detencją, rozumiecie panowie?

– Przecież nie popełnił żadnego przestępstwa, prawda?

– To był nieszczęśliwy, chory psychicznie człowiek...

– To, że był nieszczęśliwy, rozumiem – wtrąciłem się.

– Nie rozumiem za to czegoś innego: dlaczego chorego człowieka stąd wypuszczono?

Wyszliśmy, zanim Dzieszko zdążył nam odpowiedzieć. I nawet nie wiem, czy w ogóle miał zamiar.

* * *

Ejzerta nie było w umówionym miejscu. Przydeptana po obu stronach płotu trawa świadczyła o tym, że nie pomyliliśmy się i to na pewno w tym ustronnym zakątku spotkaliśmy się ostatnio.

– Daj mu szansę – powiedziałem do zniechęconego Tomka, ściskając pod pachą sztangę fajek. – Może nie dał

rady wyjść tak od razu?

– Może... – mruknął. – A może my po prostu damy sobie spokój i olejmy go? W końcu nie będzie nam już potrzebny.

– Też tak myślałem ostatnio i co? Kosztowało mnie to półtorej stówy zamiast półtorej dychy.

– Powiedziałeś przecież, że cię stać.

– Nie chodzi o pieniądze, chodzi o zasadę. Poczekajmy jeszcze chwilę...

– Jak chcesz. – Rędzia westchnął. – Wkurwił mnie trochę ten cały Dzieszko. Zero poczucia winy i głupie tłumaczenia. Detenecja-srencia... To Bieżun był w końcu chory czy nie? A jak był, to czy go wyleczyli, czy wypuścili wyłącznie dlatego, że siedział tu bezprawnie, a sprawa zaczęła śmierdzieć, kiedy ten adwokat zaczął węszyć?

– Gdybyśmy poczekali w jego gabinecie, może by nam odpowiedział na to pytanie?

– Eee tam. Nie odpowiedziałby, bo chyba sam nie zna odpowiedzi. Boi się o stanowisko. No i o kasę chodzi. Pewnie grubą...

– A Bieżuna w ogóle widziałeś na tej liście Dzieszki?

Tomek zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią.

– O ile pamiętam, to nie.

– Dlaczego?

– Bo nie był w warunkach detencji, a przynajmniej nie na detencję został skierowany. Przebywał tam na obserwacji.

– Aha. Widzisz, zrobiliśmy błąd, żądając danych tylko tych pacjentów, których tam leczono.

– Błąd?

– Może nie do końca błąd, ale złe było założenie początkowe. Należało sprawdzić również tych, którzy siedzieli tam na obserwacji. Powinniśmy sprawdzić wszystkich. A Dzieszko zrobił dokładnie to, o co go prosiliśmy... Ani odrobinę więcej.

– To już nieważne. – Tomek kopnął pieńek złamanego drzewka wystający ze ściółki i spojrzał przez płot. – Przylezie tu w końcu czy nie?

Ejzert przyszedł dziesięć minut później. Najpierw zobaczyliśmy białą postać; daleko, na placu, co jakiś czas znikwała za pniami rosnących przed nami drzew, a kiedy pojawiała się na nowo, była już odrobinę większa. Kiedy minęła linię otaczającego szpital lasu, rozpoznaliśmy w niej Ejzerta. Nie spieszył się. Sunął powoli i statecznie, brodząc w ściółce z rękami założonymi do tyłu, i przyglądał się niemal każdemu drzewu, które mijał. W końcu przybił do płotu ze spokojem cumującego do nabrzeża luksusowego liniowca.

– Elo – powiedział.

– Zgodnie z umową plus premia za opóźnienie – odparłem, przerzucając papierosy ponad płotem. – Naprawdę niezła premia.

Przeleciały nad siatką i upadły w wysoką trawę niedaleko chłopaka.

– Okej – powiedział, nie ruszając się z miejsca. – Spłacone. Uratowaliście swój gliniarski honor.

– To fajnie – odparł Rędzia. – Pozwól więc, że się poże...

– Chwilunia. – Ejzert podniósł rękę, przerywając Tomkowi w pół słowa. – Te pytania o Ryśka i moją matulę... Myślicie, że to Rysiek ją zajebał? I tych pozostałych też? Przecież tego „Snajpera” ktoś załatwił? To o co chodzi? To on nim był?

Następny, no...

– A kto ci powiedział, że Rysiek to „Snajper”? – zapytałem.

– To, że jestem pierdolnięty, nie oznacza, że jestem głupi. To raz. Czytam gazety, słucham, co do mnie mówią, i kojarzę fakty. To dwa.

– Więc może lepiej nie czytaj gazet – poradziłem mu. – Albo tylko te motoryzacyjne. Gazety kłamią. Podają swoją prawdę, rozumiesz? Prawdę podrasowaną sensacją, żeby sprzedały się w większym nakładzie. Więcej ponad to, co słyszałeś tam, na „specce”, nie możemy ci powiedzieć. Nawet Dzieszce nie mogliśmy.

– Dobra, dobra – mruknął, wpatrując się w leżący u jego stóp karton LM-ów, jakby zastanawiał się, czy go podnieść, czy nie.

– Dzięki i na razie, Daniel – pożegnałem się. – Bądź grzeczny.

Skinąłem Tomkowi i ruszyliśmy z powrotem w las. Nie zdążyliśmy zrobić trzech kroków, kiedy zatrzymał nas cichy okrzyk Ejzerta.

– Ej, mądrale, a czym ja sobie mam przypalić te fajki, co?

Odwróciłem się.

– A czym ostatnio zapaliłeś skręta?

Ejzert zrobił nieszczęśliwą minę.

– Miałem rewizję w pokoju. Znaleźli zapalniczkę...

Sięgnąłem do kieszeni spodni.

– Pełna obsługa szanownego pana. – Ukłoniłem się i rzuciłem mu przez płot pudełko zapalek, które dostałem gratis w sklepiku.

Ejzert śledził je wzrokiem, a potem chwycił zręcznie jedną ręką i uśmiech okraszył jego bladą i wymizerowaną twarz.

– No, to rozumiem! – Schylił się, podniósł wreszcie karton z papierosami z ziemi i pomachał nim. – Życ, nie umierać, moi panowie, żyć, nie umierać!

– Smacznego – rzuciłem i ruszyliśmy z Tomkiem przed siebie, kierując się w stronę samochodu, który zostawiliśmy przed szlabanem przy wjeździe do lasu.

Dzień dopiero się zaczął, a ja, szczerze mówiąc, miałem go już serdecznie dość. Nigdy nie znosiłem czezej gadaniny, choć w moim poprzednim życiu i pracy jej nie brakowało. Traktowałem to jako zło konieczne i starałem się ograniczyć do minimum. Tu nie miałem wyboru. To nie była już „moja” praca. Tu nie ja decydowałem, ile i o czym będzie się gadać. Tu mogłem tylko słuchać i ewentualnie odpowiadać na pytania.

Siedzieliśmy w ośmiu w gabinecie komendanta Bartochy na czymś w rodzaju nieoficjalnej odprawy. W powietrzu mieszały się wonie męskich kosmetyków, kawy i potu. I byłoby całkiem znośnie, gdyby nie prokurator Cieślar. Musiałem uczciwie przyznać, że zachowywał się normalnie; nie patrzył nawet w moją stronę, nie przygadywał mi ani nie robił nic, co wzbudziłoby we mnie odrazę bądź wkurw. Prezentował swoją postawą chłodny profesjonalizm, choć podejrzewałem, że mimo to coś knuje. Przypominał ozyriacki filar, gdy stał tak z założonymi rękami, przyklejony plecami do ściany i wpatrywał się

w przeciwległą ścianę ponad głowami Bartochy, Rędzi, Jończyka, Zalewskiego i swojego zastępcy, Maćka Zabieli. Oraz moją i Szulca; szefa zespołu do walki z przestępczością przeciwko życiu i mieniu Wydziału Kryminalnego. Nasz zespół podlegał bezpośrednio Bartosze, więc nie wiem, po co siedział z nami Szulc, ale był, choć praktycznie się nie odzywał.

Komendant bębnił palcami w blat stołu. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, rękawy podwinęte do łokci, a na jego twarzy malowało się zmęczenie. Przed nim stała nietknięta kawa, do której wcześniej wlał tyle mleka, że teraz kolorem przypominała cienkie kakao.

– Muszą w końcu zapaść jakieś decyzje – zaczął tak, jakby te decyzje miał podejmować ktoś inny. – Nie możemy tak trzymać ludzi w niepewności w nieskończoność. Mamy już sporo informacji, w tym takie, które nie pozwalają nam zamknąć śledztwa, to chyba oczywiste. Panie prokuratorze?

Cieślak skrzywił się i wykonał głową ruch, który różnie można było odczytać. Bartocha odczytał go po swojemu.

– To może jako gospodarze spotkania zaczniemy my, a pan prokurator wypowie się potem, jak on by to widział. Na pewno dojdziemy do porozumienia...

Zamknąłem na chwilę oczy. Co za kultura. Jak na razie wszyscy zachowywali się tak, jakby policja faktycznie miała cokolwiek do powiedzenia. Nawet

Cieślar. Z zamierzchłych czasów mojej pracy w tym gmachu pamiętałem te wzajemne relacje nieco inaczej. W zamierzchłych czasach bywało z tym różnie. Bardzo różnie...

Zanim dotarliśmy do punktu, w którym musiały być podjęte te nieszczęsne decyzje, Rędzia zreferował dotychczasowy przebieg sprawy z uwzględnieniem ostatnich ustaleń. Nie tylko tych, które poczyniliśmy w Gronowie. Okazało się na przykład, że to na znalezionej w domu Łopacińskiego drukarce wydrukowane zostały listy, które Nietykalny wysyłał do komendy po każdym z zabójstw. Tak samo było z kartką leżącą obok zwłok Łopacińskiego, tą, która wprowadzała tyle zamieszania. Sam komputer i system operacyjny były chyba starsze niż ludzie, którzy właśnie kończą studia informatyczne, ale to nieistotne, bo to na nim je pisano; na klawiaturze odkryto wyłącznie odciski palców właściciela komputera. Co oczywiście niekoniecznie musiało przeczyć naszej teorii, że to nie Łopaciński był Nietykalnym, a właśnie Bieżun, w końcu w jakimś celu Łopacińskiego torturowano, między innymi w tym. Ostatecznie przyjęta została do dalszego procedowania hipoteza zakładająca, że to Ryszard Bieżun jest Nietykalnym, a odarcie go z odium seryjnego mordercy, zasłony, za którą się krył, ujawniło prymitywną przesłankę, jaką się kierował. Wyglądało na to, że

jedynym motywem popełnionych przez niego zbrodni była po prostu zwykła zemsta. Jak to często się zdarza.

– Co pan proponuje, panie komisarzu? – zapytał Bartocha Tomka.

Cieślar wciąż tkwił pod ścianą, Szulc dalej się nie odzywał, podobnie jak Sławek i Krzysiu. Ja także siedziałem cicho. Rędzia namyślał się przez chwilę, choć wiedziałem, że pewnie wszystko ma już dawno przemyślane.

– Zróbmy teatrzyk. Niech on myśli, że tańczymy, jak nam zagra. Zespół zostanie oficjalnie rozwiązany, ogłosi się w mediach sukces; sukces połowiczny, ale zawsze... Powie się kilka słów o tym, że nikt nie ma prawa brać sprawiedliwości w swoje ręce, bo od tego są odpowiednie instytucje. Zapowiemy, że sprawca samosądu będzie ścigany nadal, a tak zwany feedback opinii publicznej będzie zapewne jednoznaczny: po co ścigać kogoś, kto wyrwał chwast ze zdrowej gleby społeczeństwa. Wszyscy i tak będą przekonani, że nie będziemy się za bardzo starać. A my usuniemy się w cień. I w tym cieniu będziemy dalej robić swoje.

Bartocha pokiwał głową.

– O zespole była mowa na pierwszej konferencji, nie ma w ogóle sensu poruszać znów tego wątku. Potwierdzimy fakty: wszystko wskazuje na to, że ostatnia z ofiar była sprawcą trzech poprzednich morderstw i została zabita przez nieznanego sprawcę, który

najprawdopodobniej uznał, że Zenon Ł. jest poszukiwanym „Snajperem”. Na jakiej podstawie tak uznał, tego jeszcze nie wiemy, będzie to przedmiotem dalszych ustaleń, ale badania porównawcze wskazują, że się nie pomylił. O tym akurat musimy powiedzieć i zastanawiam się, czy nie dać cynku komuś z „Kurier”, „Głosu” czy „Wyborczej”, że hipotezy zakładają udział w tym zabójstwie osoby zaangażowanej emocjonalnie; czytaj z grona rodziny, bliższej bądź dalszej. Dajemy oczywiście jasny sygnał, że ślady biologiczne ujawnione na miejscach zbrodni odpowiadały DNA Łopacińskiego. Odpowiedzi na kolejne konkretne pytania nie przewiduję ze względu na dobro toczącego się postępowania. Dalej odpowiadacie tylko na pytania ogólne, jeśli będą. Tyle. Co pan na to, panie prokuratorze?

Twarz Cieślara pozostawała nieprzenikniona. Odkleił się od ściany i stanął przed nami.

– Ustalenia układają się w logiczną całość, więc pociągnąłbym to w tym kierunku. Co do teatrzyku: róbcie konferencję, my zrobimy swoją, im więcej szumu, tym lepiej. Niech poczuje się pewnie, w miarę pewnie. Pamiętajcie, że z każdym kolejnym morderstwem wzrastają nasze szanse, a maleją sprawcy. A tu nie będzie następnych morderstw. Tak przynajmniej zakładamy. Inaczej ta ustawka z Łopacińskim nie miałaby sensu, prawda? Ten cały Bieżun się zemścił i zakończył definitywnie sprawę.

– A Ejzertowa? – wtrącił Rędzia. – Tu motyw zemsty nie bardzo pasuje, szczerze mówiąc...

– Zakładam, że to efekt rozmów Bieżuna z jej synem. Po prostu w skołowanym mózgu zakotwiczyła myśl, że to ktoś, kto również jest odpowiedzialny za czyjeś nieszczęście. Skoro Ejzert sam przyznał w rozmowie z wami, że kiedyś rzucił się na matkę z nożem, to Bieżunowi również musiał to wyznać. Tylko podał pewnie więcej szczegółów. A Bieżun zafiksował się na zemście. Kto wie, może przez te wszystkie lata Daniel Ejzert był jedyną osobą, która okazała mu choć odrobinę zainteresowania, więc postanowił mu się w jakiś sposób odwdzińczyć?

Zdziwiłem się nieco, że Cieślar umiał rozważyć tę kwestię w kategoriach empatii. Ale mógł mieć rację. To brzmiało rozsądnie, o ile cokolwiek rozsądnego można było zakładać, mając do czynienia z wielokrotnym mordercą.

– Została jeszcze sędzia Materny – zauważył Tomek.

– Tak – przyznał Cieślar. – Sprawdzamy to. Być może odpowiadała za któreś z przedłużeń detencji Bieżuna. A może nawet kilka. Niedługo powinienem mieć wyniki.

– Czemu tylko ona? Jeśli inni sędziowie również to robili, to dlaczego...

– Sprawdzamy – powtórzył Cieślar, wbijając w Rędzię wzrok.

– Jest jeszcze jeden wątek, który powinniśmy sprawdzić – powiedziałem.

– Mianowicie?

– Czy zachowanie Bieżuna w prokuraturze było jedynym powodem, z jakiego znalazł się potem w Gronowie.

– Nie bardzo rozumiem...?

– To fakt, że gdyby nie scysja z Łopacińskim pod „Hiprem”, to Bieżun nie trafiłby przed oblicze prokuratora. Ale stało się. I chodzi mi o to, że być może ktoś miał interes w jego eliminacji. Eliminacji w sposób inny niż morderstwo. Ale też skuteczny. Mam na myśli detencję w psychiatryku.

– Niby kto miałby w tym interes?

– Właśnie to trzeba sprawdzić. Wzajemne relacje między Materny, Olędzkim i Ejzertową również. W przypadku tego akurat zabójstwa może wcale nie chodziło o przysługę dla towarzysza niedoli. Może Anita Ejzert też miała jakiś wpływ na to, co się przytrafiło Bieżunowi. Ona i Łopaciński również...

– A młody Ejzert?

– Wplątanie w to wszystko Daniela Ejzerta mogło być zwykłym przypadkiem...

– Pan naprawdę w to wierzy, panie radco? – zapytał Cieślar.

– Owszem – odparłem, nie patrząc na niego. – Jest to równie możliwe jak wszystko inne. Nie takie rzeczy się

zdarzały, a istnienie układów i towarzystw wzajemnej adoracji w środowiskach prawniczych i biznesowych nie jest niczym nowym...

Cieślar wzruszył ramionami.

– Dobrze, skupmy się na razie na samym Bieżunie. Zarządzam poszukiwanie i występuję o areszt poszukiwawczy. Krótkie podsumowanie: wiemy już, że nie utrzymywał kontaktów z byłą żoną ani synem. Rozstali się kilka lat przed zamknięciem go w Gronowie, powód rozstania stanowiła jego chorebliwa i bezpodstawna zazdrość o żonę oraz skłonność do nadużywania przemocy wobec ich obojga. Tak przynajmniej twierdzi żona. Mimo braku ręki dawał im radę. Stracił ją kilkanaście lat temu, kiedy pił z kolegą wódkę koło stacji transformatorowej. Kolega się sfajczył, Bieżunowi się udało, wykpił się tą ręką. Mieszkał sam w kawalerce po swojej matce, obecnie zamieszkuje ją ich syn ze swoją rodziną. Opiekował się mieszkaniem pod nieobecność ojca. Od czasu wyjścia na wolność Bieżun nie skontaktował się z żadnym z nich. W każdym razie musimy skurwysyna dorwać jak najszybciej. Psychiczny to psychiczny, nigdy nie wiadomo, co takiemu do głowy strzeli. A jak stwierdzi, że skończył za szybko? To, o czym wspomniał pan Suder; te jakieś niby dziwne układy też trzeba sprawdzić. Faktycznie, choć to mało prawdopodobne, jest jednak możliwe. Ma to co prawda znaczenie drugorzędne, ale na pewno będzie pomocne

w ustaleniu motywów jego postępowania, kiedy go już wreszcie dorwiemy. List gończy i przeszukania danych miejsc ze zrozumiałych względów są wykluczone, ale zostają inne sposoby: przede wszystkim wyjątkowo dyskretna obserwacja byłej żony i syna. To podstawa. Może drą z nim koty wyłącznie na pokaz, a tak naprawdę wożą mu żarcie do nory, w której się przyczaił. Może nawet ta nora jest gdzieś w piwnicy ich domu lub w tym mieszkaniu, które zajmuje syn. Postarajcie się dotrzeć do kogoś z jego dawnego środowiska; z pracy, kręgu znajomych, z którymi chodził na piwo albo dziwki. Wiem, że minęło parę lat, ale nic innego prócz grzebania w jego przeszłości nam nie pozostaje. Ponadto uczulić dzielnicowych na nowe osoby pojawiające się w podległych im rejonach: szczególnie u samotnych kobiet oraz mężczyzn, o skłonnościach homoseksualnych. Mógł się jakoś wkupić, kogoś uwieść, cokolwiek, byle gdzieś zakotwiczyć. Oczywiście sprawdzenie noclegowni. Co prawda zima już się skończyła, ale trzeba przepytac meneli, czy nie pojawił się ostatnio w tym środowisku ktoś nowy, bez ręki. A nuż? Wiemy też, że Bieżun nie wyjechał poza strefę Schengen, a przynajmniej nie pod prawdziwym nazwiskiem, bo nigdy nie miał paszportu. Po zwolnieniu z Gronowa nie wyrabiał też nowego dowodu osobistego, a poprzedni stracił ważność, więc jeśli jest gdzieś w Europie, w obrębie wspólnoty, pierwsza przypadkowa kontrola i jest nasz. Nawet jeśli będzie

udawał wariata, żeby nie dać się zidentyfikować jako Polak, Europol roześle zdjęcia do łączników w komendach i jakoś do nas to dotrze, przynajmniej w teorii. Ale raczej na to nie liczymy, byłoby zbyt pięknie. Następnie: rozpytania do komend, analiza wszelkich dziwnych zdarzeń z udziałem niezidentyfikowanych sprawców zachowujących się jak niezrównoważeni... I to na terenie całego kraju, panowie. Można by też rozważyć sprawdzenie w urzędach gmin zgłoszeń utraty bądź kradzieży dowodów osobistych, ale pod kątem fizycznego podobieństwa do Bieżuna. Co, jeśli posługuje się czymś dokumentem, nawet nie tylko po to, żeby wyjeżdżać, ale brać chwilówki albo meldować się w hotelach? Wiem, że to w chuj roboty, ale przy dobrej koordynacji jest do zrobienia. A przypominam, że zależy nam. Liczymy na łut szczęścia, ale będziemy mu aktywnie pomagać. I zaczniemy od teatrzyku.

Bartocha pokiwał głową, ale w tym geście było chyba więcej rezygnacji niż zgody. Wstał, wyszedł zza biurka i podszedł do stołu, przy którym siedzieliśmy. Oparł się o niego i lekko pochylony popatrzył kolejno na każdego z nas.

– Czyli się zgadzamy? – Nikt nic nie powiedział, pytanie było retoryczne. – W porządku. Na jutro, pojutrze zespół rzecznika komendy zorganizuje konferencję prasową u nas, powiedzmy we wczesnych godzinach przedpołudniowych, żeby parę godzin później można było

powtórzyć to w prokuraturze. – Bartocha skinął głową Cieślarowi. – Przygotujemy mały spektakl, pan komisarz Rędzia, jako szef zespołu śledczego, wystąpi w kominiarce; jak teatrzyk, to teatrzyk. Zostanie oczywiście przedstawiony jako osoba odpowiedzialna za śledztwo, będzie miał pana Darka do pomocy jakby co, bo słyszałem, że raczej nie przepada pan za mediami i jakby to ująć... Zdaje się, że miał pan kiedyś jakieś problemy z kimś z redakcji pewnej gazety?

Rędzia uśmiechnął się pod nosem.

– To nie ja miałem problem, to on.

Bartocha chrząknął i zwrócił się do mnie.

– Pan, panie Darku, po pierwsze zna szczegóły, po drugie jako praktyk wie, którymi z nich nie należy dzielić się z mediami, a po trzecie... No właśnie, jest pan praktykiem, jeśli chodzi o kontakty z prasą i tak dalej, więc wesprze pan komisarza Rędzię. Z tego, co wiem, to nigdy nie był dla pana żaden kłopot na poprzednim stanowisku.

– Wie pan, to zależało od pytań – bąknąłem.

Nie podobał mi się ten pomysł. W ogóle mi się nie podobał. Ani teatrzyk, ani ja występujący w nim w roli może nie głównej, ale znaczącej. Nie potrzebowałem takich akcji, żeby zaspokoić swoje ego, to po pierwsze. A po drugie, mimo świadomości wagi celu, nie chciałem być środkiem do jego osiągnięcia. Nie w taki sposób.

– W takim razie ustalone. – Bartocha nie podzielał moich obaw i zapewne nie podzieliliby ich również nawet wówczas, gdyby je znał. – Czekajcie na szczegóły od rzecznika...

Zapadła chwila ciszy. Taki wstęp do rozejścia się, ostatnia szansa na dodanie kilku słów, może krótkie podsumowanie. Nie skorzystałem ze swojej szansy. Cieślar natomiast roześmiał się nagle.

– Pamiętam ten dzień w prokuraturze, wiecie? – Zmrużył oczy i podrapał się za uchem, robiąc to tak, jakby targał sobie włosy.

– Jaki dzień? – zapytał Bartocha.

Cieślar wzruszył ramionami.

– Kiedy moja patronka przesłuchiwała Bieżuna. Byłem wtedy asesorem.

– Uczestniczył pan w przesłuchaniu? – Zmarszczyłem brwi.

– Owszem. I co z tego? – Popatrzył na mnie bez wyrazu, podszedł do stołu, wziął butelkę z wodą i odkręcił nakrętkę. – Wtedy to nie miało żadnego znaczenia. Był po prostu furiatem, który powiedział o kilka słów za dużo i naruszył nietykalność cielesną funkcjonariusza publicznego na służbie, czyli podarł pani prokurator bluzkę i rozerwał naszyjnik z pereł. Sztucznych. Zdarza się. Kto wtedy mógł przewidzieć, jak to się skończy w przyszłości. – Jeszcze raz wzruszył ramionami, a potem

popatrzył mi w oczy i dodał: – Gdyby człowiek wiedział, że się wywróci, toby się położył, nieprawdaż, panie radco?

Podniósł butelkę do ust i przechylił. Wydatna grdyka zaczęła poruszać się jak w skurczu.

– Przecież niczego nie sugeruję – odparłem spokojnie, nie komentując osobistej wycieczki, a odnosząc się jedynie do treści; może ta wycieczka wynikała jedynie z faktu, że to właśnie ja zadałem pytanie i byłem po prostu lekko przewrażliwiony. – Dziwię się tylko takiemu przypadkowi.

– Dobrze pan mówi. – Prokurator odstawił butelkę i otarł usta wierzchem dłoni. – Przypadkowi. Myślicie, że w związku z tym powinienem wnioskować o ochronę? – Wyszczерzył zęby.

To było mało zabawne, ale tego już nie skomentowałem. Bartocha wstał zza biurka, uznaliśmy więc z chłopakami, że to sygnał, i poszliśmy do siebie. Cieślar został, a Szulc odłączył się od naszej czwórki na korytarzu, życząc nam powodzenia z podejrzeniem wesołkowatym uśmiechem i wyrazem twarzy. Spojrzałem na Rędzię.

– I tak mi się to nie podoba – sarknąłem. – Ta konferencja. Po co taka szopka?

– Po pierwsze polityka. Wizerunek. Po drugie; osobiście uważam, że taki teatrzyk powinien przekonać Nietykalgiego, że z entuzjazmem łyknęliśmy wszystko, co nam podał jak na tacy.

– Wszystko fajnie, tylko to ja będę robił z siebie pajaca, a ty będziesz sobie łypał z za tej kominiarki.

– I bardzo dobrze. Nie znoszę pismaków. Prasa kłamie. Zresztą oni wszyscy kłamią: coś takiego jak rzetelność mediów nie istnieje. Z informacji medialnych wierzę wyłącznie w te kulturalne.

– Ja nawet w te nie wierzę – sapnął Jończyk.

– Takie teatrzyki robi detektyw bez licencji – dodałem jeszcze.

– Dokładnie. – Tomek pokiwał z przekonaniem głową.
– I dlatego właśnie kiedy zapytasz kogoś o detektywa, to każdy bez namysłu wskaże właśnie jego, chociaż nie ma licencji. O to detektywowi chodzi. O rozgłos. I nam teraz też dokładnie o to chodzi. Rozumiesz?

Zastanowiłem się przez chwilę i zapytałem Tomka:

– Co z tym kimś z gazety, o którym wspominał Bartocha?

– A, taka stara historia. – Machnął ręką. – Kiedyś ci przy piwie opowiem.

Zalewski z Jończykiem zrobili takie miny, jakby powstrzymywali się od śmiechu, ale nie puścili pary z ust. Dotarliśmy w końcu do naszej kwatery. Zalewski od razu po wejściu przyssał się do ekspresu do kawy.

– Kapsułki. – Rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie, grzechocząc podłużnym pudełkiem, w którym zostały już może ze cztery małe ładunki nasyconego kofeiną proszku.

– Tak – odparłem skruszony. – Nie pamiętałem. Ale zaraz ustawię sobie przypomnienie w telefonie.

– Wracając jeszcze do pomysłu Bartochy... – powiedział Tomek, siadając za biurkiem. – To nie jest głupi facet. Pamiętaj jednak, że na jego stanowisku myśli się nieco innymi kategoriami. Każdy pomysł; dobry czy zły, jego czy nie, musi doprawić pod swój zmysł smaku. W końcu jest szefem wszystkich szefów, tak?

– Taka robota, co? – mruknąłem.

– Właśnie. Taka robota. A my róbmy swoją. Sławek, ty skoordynujesz te urzędy. Wyślesz zapytania przez ePUAP, dołączysz zdjęcie Bieżuna: mają sprawdzić wszystkie zgłoszenia utraty dowodu, porównując zdjęcie zgłaszającego z jego mordą. Jeśli uznają, że jest podobieństwo, nawet nieduże, ale jakieś, to podają nam dane. Nie-zwłocz-nie.

– Czy ten facet wie, co mówi? – jęknął Jończyk, wskazując za siebie, mając widocznie na myśli Cieślara. – W Polsce jest prawie dwa i pół tysiąca gmin! Rozumiecie? Dwa tysiące, kurwa, pięćset!

– Dodajmy województwa – rzuciłem.

– Co?

– Trzeba również sprawdzić urzędy wojewódzkie. Co do zasady koncepcja Cieślara jest słuszna, ale obejmuje raptem jeden rodzaj dokumentu, który umożliwia przekroczenie granicy, choć tylko strefy Schengen. Czyli dowód osobisty. A przecież Bieżun mógł komuś rąbnąć

paszport, nie? Taki starszy, jeszcze bez danych biometrycznych. – Klepnałem Sławka w ramię. – Nie martw się, to tylko szesnaście dodatkowych. Co to jest przy dwóch i pół tysiąca...

Jończyk przewrócił oczami. Tomek zabębnił palcami po blacie, a potem machinalnie pogładził koliste wybrzuszenie na jego środku. Poczułem lekkie ukłucie z lewej strony żeber.

– Krzysiu, załatw ekipę i sprzęt do obserwacji rodziny Bieżuna – powiedział. – Może faktycznie tylko mówią, że nie mają z nim kontaktu. Kasa ma to do siebie, że zbliża ludzi. Tych, którzy chcą ją mieć, do tych, którzy ją mają.

– Skąd Bieżun miałby mieć kasę? – zdziwił się Zalewski.

– Z odszkodowania.

– Ach, o to ci chodzi... – Machnął ręką. – Przecież nie dostał?

– Ale dostanie. Być może są tacy, którzy wciąż w to wierzą. W rodzinach to się zdarza.

– To jak dzielenie skóry na niedźwiedziu.

– Zgadza się, ale ludzie uwielbiają to robić. A dlaczego? Bo nie wyobrażają sobie, że mogliby misia nie upolować. To co, do roboty? – Rędzia zatarł ręce, nie ruszając się zza biurka.

Zalewski wyszedł z pokoju, a Jończyk zasiadł przed laptopem, w który powpinano chyba kilkanaście kabli. Niknęły za biurkiem albo w urządzeniach peryferyjnych

porozstawianych wokół niego. Nie widząc roboty dla siebie, poszedłem do domu. Wieczorem zadzwonił Tomek i oznajmił, że nieszczęsna konferencja prasowa odbędzie się następnego dnia o dziesiątej.

– Przygotuj się psychicznie i merytorycznie – powiedział na koniec. – Będą nas cisnąć. Nie zakładam, że twoje wsparcie okaże się potrzebne, ale jakby co, to żeby nie wysnęła ci się tylko ksywa Nietykalny... Będzie dobrze.

– Uhm – mruknąłem, gapiąc się w okno, a poczucie bezsensu całej akcji rosło we mnie z minuty na minutę.

* * *

Konferencja przebiegła nadspodziewanie dobrze. Nie wydarzyło się nic, co mogłoby ją zakłócić. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem, jakby zgromadzeni go znali, nawet dziennikarze. Nie było głupich pytań ani żadnych pretensji. Bartocha siedział z nami za długim stołem, na tle ogromnego baneru z logo komendy wojewódzkiej, ale nie odzywał się, pomijając kilka słów wstępu. Ja na szczęście też nie musiałem. Tomek faktycznie miał na głowie kominiarkę; przez pierwsze kilka minut konferencji, zerkając na niego, odnosiłem wrażenie, że uczestniczę w jakimś cyrku, potem mi minęło, w końcu człowiek do wszystkiego się przyzwyczai. Rędzia odpowiadał gładko na pytania, zresztą przewidywalne, uśmiechał się oczami do kamer, starając

się po równo obdzielić nimi TVN, Polsat i TVP. Gdzieś w mojej pooranej pamięci odzywały się echa przeszłości; w dawnej pracy w dawnym życiu od czasu do czasu uczestniczyłem w podobnych szopkach, choć nie na taką skalę. Zgodnie z przewidywaniami wszyscy byli bardzo zadowoleni z faktu, że „Snajper” nie żyje, a z zadawanych pytań można było wyciągnąć wniosek, że sprawa ujęcia jego zabójcy jest kwestią drugorzędną. Tak jak przewidywaliśmy.

Materiał wyemitowano w wieczornych wydaniach wiadomości i po kilka razy w stacjach newsowych, ale nie uznałem za stosowne ani konieczne obejrzeć się w nich. Podczas konferencji siedziałem jak kołek, usiłując wyglądać tak, jakby moja obecność w tamtym miejscu i czasie była uzasadniona. Ludzie przeważnie czują ekscytację na samą myśl o tym, że mogliby wystąpić w telewizji, nawet jako przechodzący obok kamery anonimowy przechodzień. To zrozumiałe, każdy chce mieć swoje piętnaście minut sławy, nawet jeśli taki „występ” pozostanie szczytowym scenicznym dokonaniem, to wspomina się go chyba do końca życia. Ja już jeden kwadrans sławy miałem i nie życzyłem sobie więcej, więc tego dnia z premedytacją nie włączyłem telewizora nawet na sekundę. Informację o moim występie przekazał mi Tomek następnego ranka. Przyjąłem ten niezwykle interesujący fakt do wiadomości i zapytałem, czy możemy wrócić do pracy.

Dwa dni po konferencji na ulicy Korzeniowskiego, nieopodal „Słowianina”, znaleziono zwłoki mężczyzny z roztrzaskaną czaszką. W ustach denata, pod językiem, tkwił nabój kalibru dziewięć milimetrów. Tym razem nie znaleziono żadnych śladów biologicznych sprawcy, co nie zdziwiło chyba żadnego z nas. Daktyloskopia również nic nie dała, lecz poza tym wszystkie okoliczności zabójstwa były niemal takie same jak w poprzednich przypadkach. Włączając w to brak jakichkolwiek świadków zdarzenia.

Jeśli miałem rację i zrobił to Bieżun, to nic już nie było jasne. Rację mogłem mieć wtedy tylko co do jednego: Łopaciński nie był Nietykalnym. Cała reszta nie miała sensu... Zwłaszcza śmierć Łopacińskiego. Każda z tych zbrodni nie miała sensu, ale ta przedostatnia zadziałała jak ziarnko piasku w trybach delikatnej maszyny; burzyła wszystkie koncepcje, nawet te oparte na całkiem sensownych przesłankach czy poszlakach. Nawet te, z których wynikało, że to zemsta.

Zaczynałem podejrzewać, że w tym wszystkim brak jakiegokolwiek sensu...

* * *

– Więc jednak... – Jończyk westchnął, stukając paznokciami w plastikowy podłokietnik krzesła.

Siedzieliśmy u siebie, biurko w moim dawnym gabinecie zasłane było gazetami. Przyniósł je nam Bartocha; codziennie rano dostawał prasę na biurko, tym

razem uznał, że my również powinniśmy zapoznać się z punktem widzenia mediów. Brakowało tylko Zalewskiego.

– Gdybym nie zakazał puszczania pary z gęby, mielibyśmy dziś w komendzie Armagedon – powiedział komendant, wskazując gazety. – A tak to tylko domysły i krótkie informacje. Poszły kontrolowane przecieki, że to było zwykłe pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Ale to w końcu wyjdzie. Kwestia czasu...

– Cóż, teatrzyk zadziałał – bąknął Rędzia.

Bartocha w zamyśleniu pokiwał głową.

– Wygląda na to, że mamy tego gościa na sumieniu – powiedział cicho, werbalizując myśli chyba każdego z nas. – Poniekąd.

– Za wcześnie na takie konstatacje – odparł zdecydowanie Tomek. – Poczekajmy jeszcze, na samobiczowanie zawsze znajdzie się czas. Pamiętajcie, liczyliśmy się z tym, że to wszystko jest jakimś chorym planem i on jeszcze wróci do zabijania?

– Ten denat... Kto to? – zapytałem, bo tego dnia przyszedłem nieco później.

Poprzedni wieczór spędziłem z sąsiadem Waldkiem. Kiedy pod „Słowianinem” ginął ten mężczyzna, ja wlewałem w siebie Waldkową jałowcówkę, rozmawiając z jej producentem i snując rozważania o życiu i śmierci. Tak się złożyło.

– Jarosław Bagicz, lat pięćdziesiąt jeden. Handlarz używanymi autami, podobno tymi bardziej luksusowymi, ale bez żadnych zanotowanych kontaktów z przestępczością samochodową. Konkubina, bez dzieci. Zatłuczony pod „Słowianinem”, kilkanaście metrów od własnego samochodu; chwilę wcześniej odwiózł swoją kobietę na pociąg. Wiemy też już, że nie był pacjentem Gronowa, to sprawdziłem w pierwszej kolejności, kiedy jeszcze spałeś. Związków z resztą ofiar szukamy. Ty też szukasz, od teraz. Świadcowie zdarzenia: brak, monitoring: brak, ślady: brak. Jeden wielki brak...

– Po co on to zrobił? Jakby wiedział, że my wiemy...

– Może to nie on, tylko naśladowca – powiedział Jończyk.

Rędzia się skrzywił.

– Zawsze jest szansa, że to naśladowca, oczywiście przy założeniu, że Łopaciński był jednak Nietykalnym.

– Nikła szansa. – Bartocha pokręcił głową. – Poza tym, czy naśladowca uderzyłby tak szybko?

– Nie ma zasady, panie komendancie – odparł Tomek.
– Jedni pojawiali się po latach, inni po kilku miesiącach. Być może nasz teatrzyk wcale nie zaktywizował ponownie Nietykalnego, tylko uruchomił naśladowcę, prawdziwym Nietykalnym był jednak Łopaciński, zabił go nie wiadomo kto, a Bieżun nie miał z tym nic wspólnego. Tak też może być.

Chrząknąłem.

– Nabój pasuje? – zapytałem.

– Pasuje – mruknął Tomek. – Ten sam typ, też nówka, tyle że tym razem nie było na nim paluchów i nie leżał obok ofiary, lecz w ustach. Uderzenie w to samo miejsce głowy...

– Czyli nie naśladowca. Czyli Bieżun.

– Tylko listu brak. – Rędzia spojrzał na mnie z jakąś nadzieją w oczach.

– Na razie brak – zwróciłem uwagę.

– Zgadza się, być może tylko na razie. – Westchnął. – Czynności procesowe w toku, sekcja się robi; to chyba tylko formalność, ale zawsze możemy się zdziwić. Krzysiu przeprowadza rozeznanie w środowisku, na razie wiemy tyle, ile ci powiedziałem. Czekamy...

– Na list czy następną ofiarę? – zapytałem niewinnie.

Rędzia, Bartocha i Jończyk równocześnie spojrzeli na mnie.

– Oto jest pytanie – wycedził Tomek. – Oto jest pytanie...

Bartocha wstał i pożegnał się z nami, zabierając swoje gazety i życząc nam na koniec powodzenia. To stało się już chyba jakimś rytuałem, może nawet zaklęciem. Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Co takiego się stało, że zaczął znowu zabijać? – Rędzia wstał z fotela i chodził po gabinecie. – Tyle zabiegów, żeby wszystko uprawdopodobnić, odsunąć od siebie podejrzenia i co? Znow się ujawnia! Przecież nie

może mieć pewności, że my podejrzewamy go o taką manipulację? Co tam: pewności, on nie ma prawa nawet się tego domyślać? O co tu, kurwa, chodzi!?

– Klasyczna sytuacja „on nie wie, że my wiemy, że on wie”. Coś w tym stylu.

– Ale jaki był powód?

Teraz ja pogłaskałem wypukłe kółko na okleinie blatu swojego dawnego biurka.

– Bo chciał zrobić z nas idiotów? – powiedziałem powoli. – Zasugerował koniec Nietykalnego po to, żeby uspokoić opinię publiczną, a właściwie żebyśmy my to zrobili, na przykład na konferencji prasowej przypominającej teatr, a potem wzbudzić jeszcze większy strach? Może to prostu zwykły psychopata? I może ta bestia tkwiła w nim od zawsze? Uśpiona, w jakiś sposób pod kontrolą, nie wiem. Aż nagle się obudziła razem z tym pełnym ujawnieniem się choroby...

– Albo ktoś ją obudził – zauważył Jończyk, bawiąc się teraz nienapoczętą jeszcze paczką mentolowych marlboro.

– Zgadza się. A może nawet nie była to jedna osoba, rozumiecie? – zapytałem.

– Masz na myśli ten układ biznesowo-prawniczy?

– Tak. Jedno nie wyklucza drugiego. Bieżun może być psychiczny, ale się mści. Zemsta, ale chora zemsta. Łopaciński to nie był jeszcze koniec... Tylko co miała oznaczać ta kartka przy jego zwłokach?

– Przecież sprawdziliśmy sytuację Bieżuna sprzed lat.
– Rędzia spojrział na mnie lekko zdziwiony. – Wiesz, że Cieślar tak podobno maglował jego eks, że ta aż dostała spazmów? Poważnie, doprowadził ją do białej gorączki. Ale efekty były... To znaczy brak efektów, ale to w tym wypadku jednoznaczne: Bieżun nie był kimś specjalnie ważnym, sytuacja materialna przeciętna, w kręgu znajomych, o których wiemy, brak osób powiązanych z jakimiś aferami... Zwyczajny szarak, jak ja czy ty. Co mógłby zrobić, że ktoś chciał go tak potraktować i to w sposób wymagający zaangażowania tylu ludzi?

– Właśnie ci ludzie? – zapytałem.

– No tak, ale po co?

– Szantażował ich czymś i chcieli zamknąć mu usta?

– Nie kupuję tego – stwierdził Tomek. – Brak powiązań to jedno. A drugie? Nawet gdyby tak było, to prostu by go zlikwidowali. Fizycznie. Tylko ustanie akcji serca i pracy mózgu szantażysty daje pewność, że szantaż się skończy. Bo nawet okup czasem nie pomaga, wiesz? Takie gnoje jak dostaną palec, to chcą całą rękę.

– Może mieli opory moralne przed dokonaniem zabójstwa, więc zmontowali taką akcję?

– Jasne... Chyba sam w to nie wierzysz...

– No, nie – przyznałem po chwili. – Nie wierzę... Zobaczmy, jak do pozostałych ofiar ma się ten Bagicz. Czy pasuje, czy nie. Może sprowadzał im samochody?

– Myślisz? – Zerknął na mnie podejrzliwie.

– Nie – przyznałem. – Marna szansa, rzucam tylko pomysły na gorąco. Ludzie o takim statusie majątkowym jak Olędzki czy Ejzerci nie bawią się w sprowadzanie używanych aut, nawet luksusowych. Oni biorą w leasingówki z salonu, a po trzech latach zwracają je i biorą następne, bo to im się to bardziej opłaca, po prostu. Ale wiesz, z ostrożności procesowej trzeba by sprawdzić i to...

Tomek westchnął głęboko i przeciągnął się. Podeszedł do okna, oparł się rękami o parapet, wykręcając je w łokciach i wyjrzał na zewnątrz, niemal dotykając nosem szkła. Po chwili odwrócił głowę w naszą stronę.

– Musimy go jakoś dorwać – wycedził. – Musimy gnoja znaleźć. Wygrzebać z tej jego nory, gdziekolwiek ona jest. I powiem szczerze, że nic mi nie przychodzi do głowy. Nie mam pojęcia, ani nawet cienia pomysłu na to, gdzie on mógł się zamelinować. No, nieważne... – zerknął na zegarek i spojrzał na mnie – ...chodź, przejedziemy się.

– Dokąd?

– Do mecenasa Żuławskiego. Żona Bieżuna podczas „tortur” wyznała Cieślarowi nazwisko prawnika, który zwrócił się do niej jakiś czas temu z prośbą o umożliwienie kontaktu mężem. Byłym mężem. To ten papuga, który reprezentował ich podczas afery z przedłużaniem detencji. Podejrzewam, że Cieślar jego też już w tej sprawie wymęczył, ale wolałbym pogadać z nim osobiście.

Jończyk pomachał nam tylko zza swojego biurka i wsadził nos w komputer.

* * *

Mecenas Filip Żuławski miał kancelarię przy alei Jana Pawła II, gdzieś w połowie drogi między placem Grunwaldzkim a urzędem miejskim. Teren przed kamienicą, w której się mieściła, był rozkopany; miasto rewitalizowało właśnie aleję, przywracając jej przedwojenny wygląd. Granitowe murki z balustradkami miały odtąd grodzić przedogródki do czasu, aż zielone enklawy znów zmieniają się w wybieg dla psów i miejski szalet. Szybkość tego procesu zależała wyłącznie od mieszkańców kamienic, służb miejskich i porządkowych oraz świadomości społecznej spacerujących aleją w godzinach nocnych. O ile na dwie pierwsze rzeczy można było jeszcze liczyć, na tę ostatnią moim skromnym zdaniem nie za bardzo.

Sekretarka Żuławskiego załatwiła sprawę szybko i profesjonalnie, a także bardzo cicho. Cicho zapytała, czym może służyć, w ciszy i wyjątkowo starannie obejrzała legitymację i odznakę Rędzi, cicho weszła do gabinetu szefa i tak samo cicho zaprosiła nas po chwili do środka. Wszystko trwało może minutę. Jak się miało okazać, cała nasza wizyta trwała niewiele dłużej.

Po formalnym powitaniu i przedstawieniu się adwokat od razu przeszedł do rzeczy.

– Nie zamierzam panom udzielać żadnych informacji – oświadczył nieco histerycznie. – Tajemnica zawodowa i tak dalej, sami panowie wiedzą, poza tym byłem już w prokuraturze, wyjaśniłem te sprawy, które mogłem, i na tym moja rola się skończyła...

Więc jednak... Problem w tym, że nie wiedzieliśmy, ile Cieślar powiedział Żuławskiemu. Nie odkrył przed nim wszystkich kart, to pewne, ale czy zdradził mu, dlaczego organy ścigania interesują się jego klientem?

– W porządku. – Tomek uniósł ręce. – Po prostu zadamy kilka pytań, a pan odpowie na te, na które pan zechce. Może być?

Żuławski łypnął na niego podejrzliwie i burknął:

– Dobrze, ale nie spodziewajcie się panowie zbyt wiele. Poza tym mam mało czasu. – Zerknął na zegarek wystudiowanym ruchem, w ogóle nie skupiając wzroku na tarczy cyferblatu, i jakby się trochę uspokoił. – Przejdźmy może do konferencyjnego.

Wstał i nie czekając na nas, szybkim krokiem przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Zrobiliśmy z Tomkiem to samo. Żuławski usadził nas po jednej stronie stołu na krzesłach, sam przysiadając na skraju blatu. Stara sztuczka. Patrzył na nas teraz z góry, w dodatku siedząc na tle okna. Uśmiechnąłem się w duchu. Rędzia też nie wyglądał, jakby mu to przeszkadzało. W końcu to my mieliśmy zadawać pytania.

– Czy wie pan, gdzie przebywa obecnie Ryszard Bieżun? – zaczął Tomek.

– Nie – krótko i konkretnie odpowiedział Żuławski.

Ech, ci prawnicy...

– Jego żona wie?

– Też nie.

– Po co pan go szuka?

– A jak pan myśli?

– Gdybym miał na ten temat swoje przemyślenia, tobym pana o to nie pytał albo inaczej sformułował pytanie, prawda, panie mecenasie?

– Jest moim klientem.

– Walczy pan o odszkodowanie za przetrzymywanie w Gronowie?

– Owszem.

– Można wiedzieć ile?

– Można. – Żuławski wzruszył ramionami. – Mój klient nie kryje się z tym, taką informację podał nawet dziennikarzom, dziwię się, że panowie, w końcu prowadzący dochodzenie w jego sprawie, tego nie wiecie...

– Kto powiedział, że prowadzimy dochodzenie w jego sprawie?

– Skoro jest poszukiwany przez prokuraturę...

– Kto to panu powiedział?

Żuławski zdjął ze spodni niewidzialną nitkę. Z namaszczeniem strzepnął ją na podłogę, udając przez

chwilę, że przyczepiła mu się do palca, i uśmiechnął się lekko.

– Nic nie wiem o jakichkolwiek przestępstwach popełnionych przez pana Bieżuna. Nie interesuje mnie to. Reprezentuję go wyłącznie w postępowaniu przeciwko spółce „Gronowo”. Dwa i pół miliona. Walczymy o dwa i pół miliona.

– Przecież spółka występowała tutaj jako podmiot wskazany przez państwo, a nie prywatny? – zapytał Rędzia. – Nie powinien pan występować o odszkodowanie od skarbu państwa?

– Och – Żuławski machnął ręką – oczywiście, roszczenie dotyczy jednostki organizacyjnej nadrzędnej w stosunku do spółki „Gronowo”, a nawet kilku: prokuratura, minister i tak dalej! Wciąż badam tę sprawę, a to tylko uproszczenie, przecież nie będziemy się tu przerzucać terminami prawniczymi...

– Dobrze, a pozostali?

– Pozostali?

Rędzia westchnął i spojrzał na mnie prosząco. Uznałem to za podanie pałeczki, którą niezwłocznie przejąłem. Nie bez przyjemności.

– Panowie Walas i Piekarczyk – powiedziałem. – Rozmawialiśmy już z doktorem Dzieszką, jeśli to ułatwi panu odpowiedź.

– Cóż... Sprawa pana Walasa została niejako zamknięta automatycznie z powodu jego śmierci. Nie

miał również nikogo bliskiego, kto mógłby mieć interes w kontynuacji tej sprawy. Życie. Przypadek pana Piekarczyka natomiast był w miarę prosty, spółka poszła na ugodę i wypłaciła mu żadaną sumę z pominięciem nikomu niepotrzebnych i szkodliwych dla wizerunku firmy hec.

– Ile? – zapytałem.

– Podobno rozmawialiście z Dzieszką?

– Owszem. Ale on stoi po drugiej stronie barykady, więc do udzielenia akurat tej odpowiedzi raczej się nie kwapił. Pan chyba nie widzi przeszkód?

Żuławski skrzywił się lekko, wstał ze stołu i podszedł do ściany, zatrzymując się przed jednym z obrazów; nowoczesnym bohemazie o stonowanych kolorach, jakie zdobią niemal każdą kancelarię adwokacką czy notarialną.

– Sto tysięcy. – Studiował przez chwilę szczegóły obrazu, jakby widział go pierwszy raz, a potem odwrócił się do nas; w jego oczach dostrzegłem zdziwienie. – Tanio się wykpił. Za tanio. Sugerowałem to panu Mirosławowi, ale on był zadowolony. Powiedział, że tyle mu wystarczy, bo nie ma już wiele potrzeb, a nie jest pazerny. Sto tysięcy... Niewiele za osiem lat w psychiatryku, co? Wychodzi niecałe trzydzieści pięć złotych za dzień. Rozumiecie to, panowie? Trzydzieści pięć złotych...

– Może nie chciało mu się czekać na koniec procesu? Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

– Gołąb? Chyba rajski ptak.

– Hmm... – mruknąłem. – Dziwne, że spółka wypłaciła odszkodowanie z własnych środków. Przecież przed chwilą ustaliliśmy, że nie działała w imieniu własnym, tylko wymiaru sprawiedliwości i to Prokuratoria Generalna wypłacałaby pieniądze? Zamiast tego sięgnęli do własnej kieszeni... Naprawdę dziwne...

– To jest ich sprawa. Ugoda to ugoda. Widać tak im bardziej pasowało. To nie jest pytanie do mnie, tylko do doktora Dzieszki.

– Czemu pan zajął się tą sprawą? A właściwie wszystkimi trzema?

– Ktoś mi zasugerował przyjrzenie się tym przypadkom.

– Kto?

– To już nie panów sprawa. To jedno z pytań, na które nie udzielę odpowiedzi. Nie muszę.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową. – Ale wciąż nie odpowiedział pan na to poprzednie.

– Czyli?

– Dlaczego pan się tym zajął?

Żuławski zacisnął usta i to musiało wystarczyć mi za odpowiedź.

– Więc nie ma pan pojęcia, gdzie jest Bieżun?

– Nie. – Spojrzał na mnie ciężko. – Nie mam pojęcia, gdzie jest facet, który pozywa kogoś na dwie i pół bańki, mając całkiem spore szanse na wygraną, a potem znika,

nie dając znaku życia i zostawiając mnie z rozgrzebaną sprawą. Co więcej mam panom powiedzieć? Teraz, po mojej wizycie w prokuraturze i waszej u mnie, mam podstawy podejrzewać, że z jakichś powodów ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości lub ma status zaginionego, jeśli nie ofiary morderstwa. Mam rację?

Tradycyjnie pozostawiliśmy to pytanie bez odpowiedzi. Pożegnaliśmy się z Żuławskim, który na koniec wręczył nam swoje wizytówki. Były białe, eleganckie, z tłoczonymi literami. Minęliśmy kontuar z cichą kobietą w skupieniu notującą coś w grubym skoroszycie i wyszliśmy na zewnątrz.

– Teraz już mnie nie dziwi, czemu Żuławski nachodził Bieżunową o męża – sapnął Tomek. – Bo mu zależało. Nie wiem, ile procent biorą papugi za wygraną sprawę o odszkodowanie, ale na pewno mu się to opłaci. Jak widać, nie jesteśmy jedynymi, którzy zadają sobie pytanie, czemu Bieżun zniknął i dalej zabija, zamiast pięknie zakończyć sprawę na Łopacińskim i jak gdyby nigdy nic szarpać się ze szpitalem o te dwie i pół bańki. Jest o co walczyć, sam przyznasz. W tym wypadku to o wiele bardziej realne niż twoja mityczna szóstka w totka. I sam nie wiem, czy chęć zabijania może być silniejsza od żądzy pieniądza, jeśli oczywiście te dwie rzeczy nie są ze sobą związane. A tu nie są. Tych zabójstw nie popełnił z chęci zysku. One wręcz ten zysk

przekreślają. I to, tak jak sam powiedziałeś, jest w tym wszystkim najbardziej zastanawiające...

Wróciliśmy do komendy. Do końca dnia nic ciekawego się nie wydarzyło.

* * *

Następnego ranka obudził mnie telefon od Tomka. Rozmawialiśmy jeszcze wieczorem i ustaliliśmy, że ze względu na brak czegokolwiek, co mogłoby pchnąć śledztwo na nowe tory, przynajmniej ja mogę się wyspać i nie muszę przychodzić do roboty zbyt wcześnie. To przestało być aktualne już o wpół do dziewiątej rano. Rędzia nie chciał mi powiedzieć, o co konkretnie chodzi, ale zasugerował pośpiech. Ubrałem się i nie jedząc nawet śniadania, pojechałem do komendy. Wbiegłem po schodach, nie czekając na windę. Wpadłem do naszego biura, gdzie siedział już Tomek. Stałem przed nim. Patrzył na mnie, a w jego oczach nie dostrzegłem nawet śladu tej specyficznej lekkiej kpiny, która była w nich niemal zawsze.

– Co masz? – zapytałem, widząc, że ściska w palcach kartkę papieru w koszulce foliowej z zamknięciem strunowym i od razu domyśliłem się, czym jest ten papier. – Znów list? Od niego? To dlatego nie dałeś mi się wyspać?

Pokiwał głową, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Więc jednak. – Westchnąłem. – To nie naśladowca...

– No nie. Sam wiesz, że ta opcja była wyjątkowo mało prawdopodobna.

– Ta... Napisał coś ciekawego czy jak zwykle? – zainteresowałem się. – Bełkot o rannych drzewach i drogocennej przeszłości?

Tomek przez chwilę nic nie mówił, stał tylko z kartką zwisającą mu spomiędzy palców; kciuka i wskazującego. Trzymał ją, jakby się jej brzydził; nawet nie tyle treści, ile jej samej jako przedmiotu.

– Tym razem jest coś nowego – odparł, podając mi list od Nietykalnego. – I nie będziesz zadowolony.

– Dlaczego? – Zerknąłem na niego podejrzliwie.

Potem spojrzałem na list, ale nie wyciągnąłem po niego ręki i nie wziąłem go od Tomka. Jakoś nie miałem ochoty go dotykać.

– Pojawił się niespotykany dotąd... – Rędzia na chwilę zawiesił głos – ... jakby to powiedzieć? Element. Do tej pory Nietykalny tak nie postępował.

– Jak nie postępował?

– On... Napisał do kogoś konkretnego – powiedział Tomek, unosząc list. – Zaadresował go jak zwykle do komendy wojewódzkiej, ale tym razem podał adresata. Z imienia i nazwiska.

– A kto nim jest?

– Ty.

II

GRA

Poczułem, jak kąciaki moich rozciągniętych w kpiącym uśmiešku warg opadają w grymasie zaskoczenia i... strachu. Tak, strachu. Irracjonalnego, bo przecież nie miałem pojęcia, co jest w liście, choć z grubsza przypuszczałem, czego mogę się spodziewać. Nie chodziło o jego treść, tylko o intencje nadawcy wobec odbiorcy. Intencje nieobliczalnego nadawcy w stosunku do zaskoczonego i nieprzygotowanego na coś takiego odbiorcy.

– Co ty powiedziałeś? – zapytałem Tomka zduszonym głosem.

– Słyszałeś, co powiedziałem. Jest do ciebie.

Złapał mnie za dłoń, jak łapie się nieposłuszne dziecko, które nie chce wziąć marchewki, bo jej nie cierpi, ale którą każą mu jeść mimo to, i wcisnął mi list w palce, zaciskając je na śliskiej, chłodnej folii.

– To nie wszystko. Zdziwisz się jeszcze bardziej.

– Nie wiem, czy mogę zdziwić się jeszcze bardziej.

– Możesz. – Rędzia kiwnął z przekonaniem głową i wyciągnął z kieszeni telefon, ale nie swój. – To też dla

ciebie.

Miałem w głowie pustkę.

– Powiedziesz mi wreszcie, o co...

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Sam nie wiem, o co pojebowi chodzi. Filmów się chyba naoglądał.

– Gdzie? – parsknąłem, biorąc od niego komórkę. – W Gronowie?

– Może nadrobił. Kupił abonament Netflix'a albo ma w swojej norze diamentowy pakiet z kablówki... – Wskazał oczami telefon. – Sprawdzony. W nocy sprowadziłem spec'a i kazałem mu go przetrzepać. Nie ma żadnych pluskiew, lokalizatorów GPS ani innych gównien, dodatkowego oprogramowania też nie, zresztą trudno byłoby coś takiego w nim zainstalować. Zwykły telefon, szmelc z lombardu albo z szuflady. Tylko ładowarki nie dodał ani swoich odcisków palców... Tego ustrojstwa przyklepionego z boku nie ruszaj, to nasze, do nagrywania, pilnuj też, żeby się wtyczka nie wysunęła...

Wpatrywałem się w komórkę, zwykłego, prostego samsunga. Ciężyła mi w otwartej dłoni, a ja złapałem się na tym, że podświadomie oczekuję, aż zadzwoni.

– Przeczytaj list – poradził mi Tomek. – Tam są instrukcje. Nie żebym zaraz chciał tańczyć, jak mi chuj jeden zagra, ale lepiej go nie wkurzać.

– Przecież dokładnie to robimy – zwróciłem mu uwagę.

– Co? Wkurzamy go? Chyba on nas...

– Tańczymy, Tomek. Tańczymy, jak nam zagra.
Rędzia zmarkotniał.

– No dobra, czytaj – powiedział cicho.

Odłożyłem telefon na biurko i wziąłem list. Usiadłem i zacząłem czytać.

Dzień dobry, panie Dariuszu.

Jest Pan zapewne bardzo zdziwiony. Naprawdę mocno zdziwiony, wiem to. Zastanawia się Pan, dlaczego wybrałem właśnie Pana, ale odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta i założę się, że już Pan na to wpadł. Więc skoro już wszystko jasne, przejdźmy do rzeczy. Chciałem zaproponować Panu grę. Panu i generalnie całej Policji, ale to Pan będzie ją w tej grze reprezentował. Zasady są proste, w istocie jest to kontynuacja naszej zabawy. Wy musicie złapać mnie, ale ja nie mogę Wam dać się złapać. Chodzi o czas. Będą ginąć ludzie. Nie niewinni, bo nie ma niewinnych. Tamci zapłacili za swoje przewinienia, ten pod „Słowianinem” za swoje. Jeśli chce Pan wiedzieć, za co zapłaciła ostatnia ofiara, powiem Panu, ale tylko o niej; o tym, co zrobiły poprzednie, musi pan dowiedzieć się sam, to też element gry. A ten człowiek zabił zwierzę. Najechał na gołębia spacerującego po ulicy. To nie był przypadek. Jechał powoli, ale nie ominął go, tylko umyślnie skręcił w stronę krawężnika, żeby go zabić. Widziałem to. Człowiek kontra zwierzę. Winny człowiek kontra niewinne zwierzę. Za zabicie niewinnej istoty bez

wątpienia należy się kara, człowiek dostał więc to, na co zasłużył. Ale to gra, choć wplotłem w nią element niejako metafizyczny. Nadałem jej wyższy wymiar, lecz nie zmienia to faktu, że to wciąż gra. I ja ustaliam jej reguły. A więc żadnych listów gończych, albo ofiar będzie więcej.

To mój ostatni list. Od teraz komunikujemy się przez telefon. Ma go Pan ciągle mieć przy sobie. Tylko Pan może go odbierać. Jeśli zadzwonię i usłyszę w nim głos negocjatora, psychologa, komendanta głównego policji czy samego papieża lub czyjkolwiek inny niż pański, kończę zabawę. To mój warunek. Ma Pan dbać, żeby był zawsze naładowany i włączony. Ma Pan o niego dbać w swoim interesie, a właściwie w interesie Policji i społeczeństwa, którego podobno strzeżecie. To ja dzwonię do Pana. Rozmawiamy tylko wtedy, kiedy ja mam na to ochotę. Możecie mnie namierzać i wiem, że będziecie to robić, ale to nic Wam nie da. Przekonacie się sami.

Nowa gra właśnie się zaczęła, Panie Dariuszu. Czyż to nie ekscytujące? Do usłyszenia!

Nietykalny

Przeczytałem list ponownie. A potem jeszcze raz.

– Za cholerę nie wiem, dlaczego akurat ja. – Popatrzyłem bezradnie na Tomka.

Rędzia wziął ode mnie list, położył go na biurku i pomasował sobie kciukiem nasadę nosa. Było rano, a on wyglądał, jakby dzień miał się już kończyć, albo

przynajmniej bardzo by tego chciał. Żeby mógł pójść do domu i zapomnieć o wszystkim, jeśli nie na zawsze, to chociaż do następnego ranka.

– Z jakichś względów mu się spodobałeś. – Usiadł na blacie biurka, opierając się na wygiętych do tyłu ramionach; zauważyłem, że robi tak dość często. – Będzie z nami grał w gry, chuj jeden...

– Jak zadzwoni w nocy, kiedy będę sam, co wtedy?

– Będziesz improwizował. Na tym czasami polega gra, no nie? Na improwizacji...

Telefon zadzwonił półtorej godziny później. Przez cały ten czas niemal parzył mnie przez materiał kieszeni, co chwila wyciągałem go, żeby sprawdzić, czy działa, aż Rędzia zwrócił mi uwagę, że jak go będę tak ciągle aktywował, to w końcu padnie bateria. Ładowarkę wciąż jeszcze organizowano. Moment pierwszej konfrontacji nadszedł niespodziewanie.

– Jak mam z nim gadać? – zapytałem Tomka gorączkowo, ściskając wydającą natarczywe dźwięki komórkę w ręku. – Mam udawać, że nie wiem, kim jest, czy walić prosto z mostu?

Rędzia wzniosł oczy ku sufitowi.

– Nie wiem, kurwa, co mam ci powiedzieć. Nie wiem, Darek. Tu nie ma dobrej opcji. Teoretycznie powinniśmy udawać ciemniaków, ale on nie jest głupi. Z jakiegoś powodu wybrał do kontaktu akurat ciebie. Więc teraz

wybieraj ty. Odpowiedzialność i tak ponoszę ja. Decyduj. I improwizuj.

Miałem kilka sekund na podjęcie decyzji. Ryzykować czy nie? Wiedziałem jedno: jeżeli nie ujawnię się z tym, że znamy jego tożsamość, będziemy mieć przewagę. Nikłą, ale zawsze jakąś. A jeśli przyznam, że wiemy, kim jest, opcje są dwie: albo zamknie się na wieki i stracimy swoją szansę, albo właśnie na odwrót. Ujmę go tym. Zyskam jego szacunek za to, że traktuję go jak godnego przeciwnika. A tak naprawdę to była loteria. Odbierając telefon od Nietykalnego, nie wiedziałem jeszcze, co zrobię.

– Halo? – powiedziałem niemal bez tchu.

– Tu mówi Nietykalny – w uchu zabrzęczał mi jego głos, kątem oka zauważyłem zielony błysk diody zamontowanej na rejestratorze przymocowanym do obudowy.

Nie miałem więcej czasu na zastanawianie się.

Zaryzykowałem. Zaimprovizowałem.

– Witam, panie Bieżun – odpowiedziałem sucho.

Bieżun się roześmiał. Najpierw cicho i serdecznie, jakbym naprawdę go czymś ubawił, a potem już w głos. Spokojnie czekałem, aż mu przejdzie.

– Nooo, proszę – powiedział wciąż rozbawiony. – Więc jednak coś potraficie?

– Owszem. Zdaje się, że musi pan zmienić pseudonim.

– O nie, niekoniecznie. To, że znacie moją tożsamość, niczego w tej kwestii nie zmienia, panie Dariuszu. Niczego. Wciąż nie możecie mnie dotknąć. Śmiem twierdzić, że teraz będzie to jeszcze trudniejsze niż przedtem... Ba, obawiam się, że to wręcz niewykonalne. Co nie zmienia oczywiście faktu, że nie możecie ustawać w wysiłkach schwytania mnie. W końcu za to wam płacą. I tego od was oczekują.

– Co ma pan na myśli?

– Hm, powiedzmy, że wzrasta stopień trudności gry. To kolejny level, jak mawia młodzież. Podnoszę wam poziom trochę na wasze własne życzenie, że tak powiem.

– Nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Może kiedyś pan zrozumie... Ucieszyłbym się nawet, gdyby pan to pojął. Naprawdę!

– Dlaczego ja? – zapytałem nagle.

Odpowiedziała mi cisza. Słyszałem tylko oddech Bieżuna, świszczący w telefonie.

– Dlaczego? – powtórzył. – Nie wie pan tego? Aż nie wierzę, że pan na to nie wpadł. A chyba nie tak trudno się domyślić, co?

– Załóżmy, że trudno, albo że mógłbym się domyślić źle. Więc dlaczego?

– No dobrze, powiem panu. Otóż chcę grać w naszą grę z panem, bo...

– To nie jest nasza gra. To jest pańska gra – rzuciłem ostro, a Rędzia spojrzał na mnie spod zmarszczonych

brwi i pogroził mi palcem.

– W porządku. – Bieżun był chyba lekko rozbawiony.
– Chcę grać w moją grę z panem dlatego, że prezentuje pan odpowiedni poziom. Ci, którzy siedzą tam obok i nadstawiają ucha, przysłuchując się tej rozmowie... – Rędzia wzruszył ramionami i przewrócił oczami – ...to pionki. Żołnierzyki, które poświęca się w bitwie, wystawiając je na pierwszą palbę przeciwnika. Pan jest wart więcej, dużo więcej. I pan to już udowodnił...

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli. Rzuca pan zagadkami jak stworek z jakiegoś programu na dziecięcym kanale. Pan Zagadka.

Bieżun parsknął śmiechem. Zerknąłem na Rędzię. Bazgrał na skraju tylnej okładki „Angory” słowo „palba”, poprawiając je długopisem tak długo i mocno, aż czubek wkładu przebił papier.

– Niech pan nie udaje skromnisia, panie Dariuszu. Nie ma chyba w Polsce osoby, która by o panu nie słyszała. O tym, co się panu przytrafiło, i o tym, co pan zrobił potem.

– W związku z tym to ma być kara właśnie za to, co mi się przytrafiło?

Bieżun milczał przez chwilę.

– To nie kara za to, co się panu przytrafiło – powiedział wreszcie poważnym tonem. – To niejako konsekwencja tego, co nastąpiło później. Tak to określmymy.

– Skąd pan może wiedzieć, co przytrafiło mi się później?

– Mówiłem już panu. Wszyscy wiedzą.

– Skąd?

W moim głosie musiało być chyba coś autentycznego, bo Bieżun bez śladu kpiny odparł:

– Mamy erę mediów, panie Dariuszu. Rozumiem, że z pewnych względów coś mogło panu umknąć, ale mediom umyka niewiele. One zawsze będą wiedzieć wszystko lepiej od tych, którym mają służyć. Polecam poszperać w sieciach. To może być dla pana trudne, ale dopiero wtedy zrozumie pan, o czym mówię...

– Dobrze, zostawmy to na razie – rzuciłem zduszonym głosem, nie patrząc na Tomka. – To jedyny powód, dla którego włączył mnie pan do swojej gry?

– Nie, nie jedyny. Są dwa powody i przyznaję uczciwie, że gdyby istniał tylko ten jeden, pierwszy, nie rozmawialibyśmy teraz.

– Jaki jest drugi powód?

– To, że pan tam jest.

– Nie rozumiem. Gdzie?

– W komendzie. Drugim powodem jest to, że został pan zaangażowany w śledztwo przeciwko mnie. Nie mam pojęcia na jakiej zasadzie, ale to nieistotne. Został pan w to wplątany i już. A ja tylko skorzystałem z okazji. Proste, co?

To krótkie pytanie zabrzmiało niemal dziecinną radością, jakby Bieżun był z siebie niezwykle zadowolony. Zacząłem się zastanawiać, w którym momencie wpięprzyłem się w to szambo: czy już na cmentarzu, kiedy zagadnął mnie Bartocha, czy dopiero na konferencji prasowej, którą Bieżun zapewne obejrzał w telewizji. Zamknąłem oczy. To i tak nieistotne. Popełniłem błąd. I równie mało ważne było to, czy zrobiłem to dla dreszczyku emocji, z nudów, czy po prostu z pragnienia powrotu z bocznego toru, na który mnie odstawiono, a może nawet odstawiłem się tam sam. Błąd to błąd. I teraz pytanie, ile miał mnie kosztować. A może nie mnie, tylko przypadkowych ludzi?

Bieżun jakby czytał w moich myślach.

– Niech pan nie sądzi, że zechcę zrzucić na pana brzemień odpowiedzialności za swoje uczynki – niemal słyszałem, jak kręci głową – o nie. To moja część gry. Moja i wyłącznie moja. Oni ginęliby i tak, bez względu na to, czy w tę grę grałby ze mną pan, czy kto inny.

– Po co pan to robi? Jaki to ma sens? Mówię o zabiciu Łopacińskiego. Ładnie pan to zakończył, a teraz się odsłania...

– Przecież i tak wiecie, że to ja. Nawet się pan z tym nie krył.

– Ale pan nie miał pojęcia, że my wiemy. Prawda, panie Bieżun?

– Nie – przyznał z lekkim ociąganiem, jakby zastanawiał się, czy może to zdradzić, czy nie. – Nie wiedziałem. Ale to bez znaczenia. Powiedzmy, że to element naszej gry. Mojej gry, niech panu będzie. Kolejne zabójstwo i nie ostatnie, podkreślam. A wy musicie mnie przed następnym powstrzymać.

– Ile mamy czasu?

– Czasu?

– Do następnej ofiary?

– Reguły gry nie przewidują takiej podpowiedzi.

– O co chodziło z Łopacińskim?

– Patrz punkt wyżej. Róbcie swoje.

– To nie gra, panie Bieżun. Pan myśli, że może wszystko, ale nie może pan i my to panu udowodnimy...

– Niech się pan tak nie ekscytuje, panie Dariuszu; o ile się orientuję, nie wolno panu ze względu na stan zdrowia. – Ton jego głosu lekko się obniżył. – Jak na razie, to ja wam udowadniam, że mogę wszystko, nie widzi pan tego? Kręcicie się jak pies za własnym ogonem. Nietykalny to ja! – Przerwał na chwilę. – Do usłyszenia, panie Dariuszu. Do roboty. Zegar tyka. Tik, tak, tik, tak...

Rozłączył się, a ja jeszcze przez chwilę trzymałem telefon przy uchu. Potem Tomek wyjął mi go z ręki i odłączył ustrojstwo do nagrywania.

– A teraz damy to specom, niech przefiltrują, wyczyszczą i odsłuchają po swojemu.

– Co to znaczy po swojemu?

– Nie będą służyć Bieżuna, jego słów, tylko otoczenia. Namierzanie to jedno, ale skoro podkreślił, że nic nam to nie da, to znaczy, że się jakoś przed tym zabezpieczył. Czy skutecznie, to się dopiero okaże. Ale dźwięków z tła nie wyłączy, chyba że siedzi w jakiejś norze pod ziemią. Może nie słyszeliśmy dzwonów jakiegoś kościoła? Albo sygnału karetki czy radiowozu, dzięki czemu po ustaleniu czasu i lokalizacji przejazdu określimy przynajmniej rejon, z którego dzwonił? Sprawdzimy. Poczekaj, zaniósę to do labu, żeby zgrali plik, i znów podłączymy. Mam nadzieję, że nie zadzwoni ponownie za chwilę.

– Użył wyrażenia level, ale powiedział też: „w sieciach”, a nie „w sieci” – rzuciłem. – Zauważyłeś?

Skrzywił się.

– Och, to zrozumiałe. Musi sporo nadrobić. Dziewięć lat. Może się nie znam na nowoczesnych technologiach, ale przynajmniej zdaję sobie sprawę, że w informatyce to cała era. I mamy kolejny dowód na to, że to Bieżun. Kolejny mały klocek, ale już powoli widać, co będzie na całej układance. Zaraz wracam – powiedział i wyszedł.

Pogapiłem się przez chwilę w ścianę, a potem podszedłem do komputera. Usiadłem przed nim, a moje palce zawisły nad klawiaturą.

Nigdy nie przyszło mi do głowy sprawdzać, co o mojej osobistej tragedii pisały w tamtym czasie media.

Widziałem jedynie film z monitoringu nagrany na parkingu Probstheide. Krótki film o zabijaniu. Pamiętałem każdy jego kadr. Zagryzłem wargi, z bijącym sercem wpisałem w pasku wyszukiwarki swoje imię i nazwisko i kliknąłem „szukaj”.

Serce zabiło mi szybciej. Boże... Inspektor Dariusz S. Ta fraza powtarzała się wszędzie, przywołując na myśl oczywiste skojarzenia z danymi podejrzanymi o popełnienie przestępstw. „Czy to wyrok?”, grzmiał jeden z portali informacyjnych. „Rodzina policjanta ginie, on sam w stanie krytycznym”, porażał inny. Nie musiałem tego czytać. Ani nie chciałem. Bieżun miał rację. Bez mojej wiedzy i zgody wywalono przed nos tak zwanej opinii publicznej pół mojego życia oraz śmierć bliskich.

Zawahałem się przez chwilę, potem przewinałem stronę do góry i kliknąłem opcję „grafika”.

Zdjęcie ministra spraw wewnętrznych i ówczesnego komendanta wojewódzkiego stojących z grobowymi minami przy moim łóżku, z rękami złożonymi na podbrzuszu, tak jak zwykle stoi się na pogrzebach. Komendant w mundurze galowym, minister w granatowym płaszczu, załapał się jakiś fotoreporter z głupią miną starający się wyjść z kadru. Moja głowa jak wielki, biały kokon z bandażu, rurka respiratora niknąca w ustach, wężyki kroplówek, wiszące na stojaku worki z przezroczystą albo białą zawartością, pompy infuzyjne i monitory.

Parking Probstheide, razem z mapką i podaną lokalizacją.

Znowu ja na szpitalnym łóżku, już bez kokonu, tylko z kroplówkami i sondą nosowo-żołądkową, z twarzą ukrytą za cielistymi kwadratami, jakby to mogło coś zmienić. Gdybym dorwał skurwiela, gdy robił to zdjęcie, zająłby łóżko obok mnie. Ale nie dorwałem, ponieważ stałem okrakiem między życiem a śmiercią. A teraz nie miało to znaczenia.

Najechałem kursorem na krzyżyk w rogu strony i zamknąłem ją kliknięciem myszki. Wystarczy. Siedziałem jeszcze przez chwilę w ciszy, kiedy zadzwonił telefon. Drgnąłem. Na szczęście dzwonił mój własny. To był Rędzia.

– Co tam? – zapytałem.

– Wpadnij do nas, co? Chłopaki mają tu te swoje cudowne zabawki, załatwimy to od razu. Tylko weź drugi telefon, ten od niego. Czekaamy.

Rozłączył się. Zdjąłem kurtkę z oparcia krzesła, a w drzwiach minąłem się z Jończykiem. Wraciał z kanapką; po śniadaniu miał zająć się obróbką informacji, które powoli spływały z urzędów gmin. Nie miał jakiegś wyjątkowo szczęśliwej miny, ale nie była ona również zbyt żałosna. Sławek chyba po prostu lubił swoją robotę. Mrówczą, żmudną i niezbyt ekscytującą, ale wbrew pozorom często dającą zaskakujące wyniki.

– Lecę do laboratorium – rzuciłem do niego. – Dzwonił Bieżun, będziemy zaraz obrabiać i odsłuchiwać nagrania. Damy znać.

Pokiwał głową i zniknął za drzwiami, a ja rzuciłem się biegiem w stronę schodów. Byłem niemal pewien, że oprócz głosu Bieżuna nie słyszałem w telefonie niczego innego, nawet pojedynczego dźwięku, który nie wyszedłby z jego ust. Zdawałem sobie sprawę, że być może obiecujemy sobie po nagraniu zbyt wiele, ale wiedziałem również, że skupiałem się, i to bardzo mocno, na samej rozmowie. I kto wie, może zaraz czekała nas niespodzianka?

* * *

– To dopiero wstępna obróbka, taka zabawa, powiedzmy. Ostatnią kroplę wycisną z tego dopiero w Krakowie, w instytucie ekspertyz sądowych – wyjaśnił technik, odchylając jeden nauszник słuchawek i odwracając się w moją stronę. – Ale zobaczymy, co da się zrobić na cito. Coś tam się już udało...

– Cieślar gwałci operatora o zamiary na połączenie – szepnął mi Tomek na ucho, a ja patrzyłem, jak palce technika skaczą po suwakach i pokrętkach maszyny przypominającej skrzyżowanie syntezatora Mooga z didżejską konsolą.

Pokiwałem głową. Również byłem ciekaw, czy uda się namierzyć Bieżuna, czy też wiedział, co mówi, twierdząc,

że to nie ma sensu. Kilka minut później technik zdjął słuchawki i popatrzył na nas.

– Chyba nic więcej z tego nie wycisnę. – Wzruszył ramionami. – Wyciszyłem ścieżkę z jego głosem i wzmocniłem tło. Wszystkie słyszalne dźwięki to odgłosy z otoczenia. Posłuchajcie sami. Jak dla mnie to szum miasta...

Kliknął myszą, odtwarzając nagranie. Usłyszeliśmy coś jakby szum skrzyżowany z mruczeniem, co pewien czas padał jakiś dźwiękowy akcent.

– Rozmowy – rzucił technik, na pewno o wiele bardziej doświadczony w interpretacji dźwięków niż my. – Szum rozmów ludzi. Jest gdzieś w tłumie. Na zewnątrz.

– Skąd wiesz? – zapytał Tomek, unosząc brwi.

– Brak takiego specyficznego pogłosu. Kiedy duża grupa ludzi rozmawia w pomieszczeniu, nawet sporym, słychać właśnie coś w rodzaju pogłosu. Możecie nazwać to echem, jeśli chcecie. To niuans, wy tego nie usłyszycie, a ja to bardziej wyczuwam, niż słyszę, ale mówię to również na podstawie doświadczenia, okej?

Dla mnie był to po prostu szum.

– On idzie. Nie słychać kroków, ale dość szybko oddycha, za szybko jak na spoczynek. Głos się obniża w momencie stąpienia, słyszycie to? Ten szum to przejeżdżający samochód. A teraz jakiś dzwonek. Nie wiem; telefon, gdzieś niedaleko. Dzwoni komuś idącemu obok.

Pokiwałem głową. Akurat to słyszałem teraz całkiem wyraźnie, choć byłem pewien, że umknęło mi to podczas rozmowy.

– To nie telefon – powiedział nagle Rędzia.

– A co? – zdziwił się technik. – Szkolny dzwonek?

– Tramwaj! To jest tramwaj! – Tomek klepnął się otwartą dłonią w udo, wydając głośny trzask. – Gnojek jest na ulicy, w samym środku miasta i robi z nas wałka. Rozumiecie to?

– Może jednak nie? – zapytałem. – Może to faktycznie telefon? Albo dzwonek w szkole?

Rędzia powoli odwrócił głowę w moją stronę i wycedził:

– To nie żaden telefon ani dzwonek. Ja wam mówię, że to cholerny tramwaj...

Wróciliśmy do siebie. Jończyk siedział w drugim pomieszczeniu, wydzwaniając do gmin, które przesłały dane o zgłoszeniach zagubienia lub kradzieży dowodów osobistych i ustalał szczegółowe okoliczności tych wzbudzających największe podejrzenia. Krzysiu Zalewski był tu również. Koordynował pracę zespołów obserwacyjnych wysłanych w miejsca kojarzone z Bieżunem: jego dawne mieszkanie, dom byłej żony oraz lokale kilku przyjaciół z dawnych czasów, do których, przynajmniej w teorii, mógł zwrócić się o pomoc. Tomek chodził od ściany do ściany; powoli, jak zwierzę w klatce albo więzień na spacerunku.

– Wciąż myślę o tym, co słyszeliśmy w labie – powiedział. – I o tym, że Bieżun, zamiast zostać przy listach, zaczął bawić się w głupie telefonowanie. Mówił, że i tak go w ten sposób nie namierzemy. Był pewny siebie; wiedział, że spróbujemy, ale mimo to się nie przejmował. Więc albo nie ma pojęcia, że dziś można namierzyć nawet wyłączony telefon, albo robi coś, co wymyka się schematom.

– Może po prostu wyjmuje baterię? – zapytałem.

– To też nie pomaga. Jest jeszcze wewnętrzna bateria podtrzymująca zasilanie BIOS. Pomijając aplikacje automatycznie wykorzystujące funkcję lokalizacji, w komórkach wbudowane są też układy, które również temu służą. Nie pytaj mnie po co. Podobno celują w tym Chińczycy, co może stanowić częściową odpowiedź na to pytanie.

Spojrzałem na Rędzię z podziwem. Przygotował się chłop, biorąc pod uwagę jego wrodzoną awersję do techniki.

– Też czasem sobie coś poczytam, wyobraź sobie. – Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Nie chce mi się wierzyć, że tak szybko nadrobił stracony czas. – Wykrzywiłem usta w kpiącym grymasie.

– Sam mówiłeś, że w informatyce to cała epoka.

– Może jest kumaty i poszperał trochę w internecie, jak robi to dziś każdy średnio rozgarnięty dzieciak?

– A może ma starą nokię albo alcatela wielkości cegły?
– zapytałem, obserwując, jak Tomek nagle lekko markotnieje.

– Może – mruknął. – Dobra, zostawmy to teraz. Skupmy się na innych rzeczach. Na jego przeszłości. Będę wracał do tego z uporem maniaka, bo to tam tkwi początek. W jego dawnym życiu. Zgadza się? – Spojrzał na nas.

Pokiwałem leniwie głową. Też tak uważałem, to chyba nie ulegało żadnej wątpliwości.

– Może sięgając w przeszłość Bieżuna, coś pominęliśmy? – zapytał Rędzia. – Coś, o czym nikt nie wie? Zwłaszcza że on sam w listach wskazuje na ten aspekt...

– Wciąż myślę o tym naboju – powiedział nagle Zalewski, tak od niechcienia, jakbyśmy siedzieli przy piwie; cztery stare pierdoły opowiadające sobie anegdoty z czasów młodości. – Zastanawiam się, po co ten chuj wciąż je zostawia.

– No właśnie. – Tomek się ożywił. – To się wciąż przewija, a my nie wiemy dlaczego. Może pora zastanowić się nad tym na poważnie? Mała burza mózgów, co wy na to? Wszystko, co kojarzy się z nabojami. Nawiazania, sprawy ze świata, książki, filmy, co wam tylko przyjdzie do głowy.

– Podobno żołnierze specnazu, kiedy nie mieli wyjścia i musieli strzelić sobie w łeb, w zaciśniętej pięści trzymali

nabój. Oznaczał, że nie wzięto ich żywcem i że walczyli do końca, do ostatniej kuli – powiedziałem.

– Głupie – rzucił Zalewski. – Przecież ostatnią mieli w ręku?

– Chodzi o symbol, no – upierałem się. – Poza tym tak słyszałem. Rzucamy teraz pomysłami, tak?

– Mogli załatwić jeszcze jednego „npla”, a zatrzymywali te kulkę dla głupiego symbolu, który nie znaczył nic. A może właśnie dzięki tej ostatniej by przeżyli?

– Krzysiu, proszę cię, nie draż... – sapnął Rędzia.

– Sam chciałeś...

– Wiecie co? – Jończyk, który przysłuchiwał się tej dyskusji zza ściany, wszedł nagle do naszego pomieszczenia. – Przypomniała mi się jedna rzecz z początku mojej tak zwanej kariery w policji. To znaczy ja nie brałem w tym udziału, tylko słyszałem od kumpla, z którym kiedyś pracowałem. Ale ta rzecz w jakiś sposób wiązała się z pociskiem...

– Z nabojem czy pociskiem? – zapytałem.

– Oj tam... – Machnął ręką. – Wiadomo, najpierw pocisk był częścią naboju. Generalnie mówię o tym czymś, co nierozzerwalnie związane jest z bronią, jasne?

– No i co z tym pociskiem? – zapytał leniwie Zalewski.

– W dziewięćdziesiątym drugim albo trzecim w centrum Szczecina napadnięto na jubilera. Wtedy szalały „młode wilki”, wicie: napady na kantory, jakieś

porachunki w pubach i na siłowniach, cuda się działy, jeszcze się ludzie nie przyzwyczaili, że kapitalizm ma także swoje złe strony. To było lato. Nie pamiętam, jak się nazywał ten sklep, coś z „pol” na końcu, w każdym razie szli na ilość. Mieli mnóstwo towaru, a sklep był spory, nie jakaś klatka z kilkoma szufladkami wielkości uli, tylko porządny lokal. No i pewnego dnia dyżurny dostał zgłoszenie, że rabują ten sklep. Ktoś widział broń, ktoś krzyczał, ktoś inny słyszał brzęk szkła, ktoś uciekał z torbą, gdzieś turlały się obrączki; nie wiadomo, o co chodzi. Przyjechała ekipa. Jeden sprzedawca leżał związany i pobity za ladą. Kolejny był nieprzytomny, ranny w głowę. A na zapleczu znaleźli jeszcze kogoś. Ten sklep miał dość dziwny układ, duża sala sprzedaży i mnóstwo małych pomieszczeń na zapleczu; zanim wyszło się od tyłu, trzeba było przechodzić z jednego do drugiego jak w jakimś labiryncie. No i właśnie w jednym z tych pokoików znaleźli tego gościa. Leżał na ziemi, miał ręce we krwi i jęczał, trzymając się za brzuch. Powiedział, że przechodził obok i zorientował się, że ktoś obrabia jubilera. Widział przez szybę, jak biją szyby w witrynkach i zabierają precjoza. Stwierdził, że skoro trenuje karate, to da sobie radę z dwoma gnojkami z łomami. Ale nie przewidział, że mają broń. Zdołał uciec na zaplecze, ale jeden z nich za nim strzelił. Potem uciekli, kiedy zaczęły się krzyki na ulicy, ale on bał się

wychodzić, bo nie był pewien. I tak go znalazł ten mój kolega...

– Miało być o pocisku – wtrącił Rędzia.

– No, czekaj, przecież mówię, no... Pogotowie zabrało go do szpitala. Dotarł tam podobno w niezłej kondycji. Położyli go pod rentgen, żeby zlokalizować pocisk. Ale zanim wywołali te klisze, gość zniknął.

– Coś mi się przypomina. – Zalewski się skrzywił.

– Jak to zniknął? – zapytałem. Mnie nic się nie przypominało, bo w tamtym czasie nie byłem jeszcze w Szczecinie. – Uciekł? Ranny?

– Do dziś nie wiadomo, dlaczego zniknął i co się z nim stało. Lekarze podejrzewali, że był w szoku, może bał się operacji. W każdym razie ulotnił się. W gazetach i „Kronice szczecińskiej” trąbili o tym, pokazywali portret pamięciowy: „Kto wie, gdzie jest bohater, który ratował jubilera?”. A na zdjęciach rentgenowskich wyszło, że ten pocisk faktycznie tkwił w nadbrzuszu. Pewnie facet zaszył się gdzieś i kipnął. Kto wie, może kiedyś znajdą w kanałach albo gdzieś w lesie jakiś szkielet z zardzewiałym pociskiem między żebrami? – Powiódł po nas wzrokiem i dodał: – Tak mi się przypomniało...

– Dziwne to jakieś – skomentowałem.

– Przecież mówiłem – zauważył Jończyk.

– Nie w tym sensie. Co innego mam na myśli. Powiedziałaś, że jeden z rabusiów strzelił za nim, kiedy

uciekał na zaplecze. ZA nim. To znaczy, że strzelił mu w plecy. A on został ranny w brzuch? To jak to możliwe?

– Może ta rana na brzuchu była wylotowa?

– Przecież pocisk został w ciele? Mówiłeś, że wyszedł na zdjęciach rtg.

– To może dostał kilka razy? No, kurwa, nie wiem, nie było mnie tam... Rykoszet? A może obejrzał się jeszcze za siebie, skręcając tułów i wtedy dostał? Mówię; nie wiem. Został ranny w brzuch. Tak twierdził kumpel, który tam wtedy pojechał po wszystkim. W końcu to on był przy nim, nie ja.

– Masz jeszcze z nim kontakt? – zapytałem.

– Nie mam. Jest na emeryturze. Krzysiu, Grucę pamiętasz?

– Nie.

– Ze dwanaście lat temu odszedł... A co? – Sławek zmarszczył brwi. – Po co ci kontakt do niego?

Rędzia i Zalewski też spojrzeli na mnie.

– No, śmiało, nie krępuj się. Obiecuję, że nie będziemy się śmiać.

Nabrałem powietrza w płuca. Zacząłem ostrożnie. To, co chciałem zaraz powiedzieć, miało być wyłącznie dywagowaniem. I liczyłem się z tym, że kiedy skończę, chłopaki mogą jednak zacząć się śmiać.

– Tomek mówił mi, co sądzi o Nietykalnym psycholog. Jest zdania, że nabój może być jego znakiem rozpoznawczym. To jak stygmat. Dla każdego

z seryjnych, który posługiwał się czymś takim, zawsze był to rodzaj symbolu niezwykle ważnego w jego życiu. Jak Biblia dla Biblijnego Johna, ogień dla Kurtena i Syna Sama, klaun dla Gacy'ego, jak być może ten kolisty symbol dla Zodiaka. Hansen, morderca z Alaski, był myśliwym, a sposób, w jaki mordował kobiety, przypominał polowanie. Siekiera dla Kata z Nowego Orleanu. Knychała też miał swoją „ulubioną siekierkę”. Stały schemat działania. I stały element.

– Przygotowałeś się, widzę – rzucił nieco cierpko Tomek.

– Jakoś muszę spędzać długie samotne wieczory – mruknąłem w odpowiedzi.

– Portret był robiony w ciemno – zwrócił uwagę Zalewski. – Teraz wiemy, co reprezentuje sobą morderca. Poza tym Bieżun zabija młotkiem, a nie strzela. To młotek jest jego fetyszem.

– Zgadza się – przyznałem. – Może nie mieć dostępu do broni, ale na przykład go fascynuje. I tak to się przejawia. Albo może się bać, że jakby co, łatwiej ją znaleźć, a przede wszystkim dopasować do ofiar niż zwykły młotek. Pewnie jednak liczy się z tym, że może zostać schwytany, i planuje również obronę przed sądem. Nieważne, że tamte zabójstwa to była zemsta. Teraz zabija już z innych powodów, zabija jak psychiczny, którym w istocie jest! Sposób dokonywania zabójstw może mieć drugorzędne znaczenie. Ważna jest symbolika.

Ten nabój jest ważny. On się z nim w jakiś sposób identyfikuje, nie wiem, jak to określić... Musiał w jego życiu odegrać jakąś rolę. Istotną. Może został kiedyś postrzelony?

– Sugerujesz, że Bieżun, nasz Nietykalny, to ten koleś, który z narażeniem życia ratował jubilerów? – Jończyk miał coraz większe oczy, ale jeszcze się nie śmiał.

– Przypomnę coś jeszcze, bo najwyraźniej wam to umknęło... – rzuciłem.

– No?

– Wskazówka z listu numer trzy. „Wziąłem się z przeszłości, skrzęcej się drogocennym blaskiem”. Czy coś w tym stylu. Pamiętacie to jeszcze? Pasuje jak ulał, co? I jest ta twoja przeszłość. – Zerknąłem na Tomka.

Jończyk nie wyglądał już, jakby miał zaraz się roześmiać. Grymas półuśmiechu zszedł mu z twarzy.

– Przecież te listy to ściema. Pisał je jeszcze wtedy, kiedy mścił się na tamtych...

– Nie szkodzi. – Pokręciłem głową. – To chyba naturalne, że sięga się do własnych wspomnień. To i tak było na tyle niejasne, że nie istniały szanse na powiązanie tej zagadki z czymkolwiek.

– A teraz co zrobiłeś? Powiązałeś.

– Teraz to co innego. Teraz gramy z panem Bieżunem w inną grę. Tamtych rabusiów złapano? – zapytałem.

– O ile wiem, to nie.

– No właśnie... – Zawiesiłem znacząco głos.

Sławek odgadł, co miałem na myśli.

– Darek, naprawdę myślisz, że to kolejna zemsta? Że jednak przeżył, wylizał się z ran, a w psychiatryku opracował nie jeden, a dwa plany niecnej zemsty? Że jakoś doszedł, kto stał za napadem i kto go postrzelił, i teraz realizuje ten drugi? – Kąciaki ust powędrowały mu do góry.

– Wciąż nie znamy przeszłości ostatniej ofiary, tego handlarza autami. – Wzruszyłem ramionami. – Może facet był właśnie jednym z rabusiów? Wiek mniej więcej pasuje... Myślicie, że da się jakoś dotrzeć do akt tamtego śledztwa? Tego napadu na jubilera?

– Ty tak na poważnie? – Jończyk spojrzał na mnie, a potem na Rędzię, jakby szukał u niego pomocy.

– A masz coś lepszego do roboty niż czekanie na następną ofiarę? – rzuciłem.

– Trzeba zapytać Zabieliły o te akta. – Tomek dźwignął się z fotela i podszedł do okna.

– Co, ty też? – Sławek zamrugał gwałtownie, a mina zrzędła mu jeszcze bardziej.

– Też. – Tomek patrzył na wieżę Zamku Książąt Pomorskich. – Także nie mam chwilowo nic lepszego do roboty.

Zabiello siedział okrakiem na krześle, ręce położył na oparciu. Był młodym chłopakiem, jeszcze przed trzydziestką, miał postawione do góry włosy, krótki, rudawy zarost wokół wydatnych ust, inteligentne spojrzenie i jakiś wewnętrzny spokój, który emanował z każdego jego niespiesznego ruchu. Wysłuchał nas uważnie, a teraz zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Oczywiście, że w obecnej sytuacji pójdzie tym tropem, pójdzie jakimkolwiek tropem, jest jak najbardziej zasadne. Ale słabo to widzę. – Uniósł głowę i pokręcił nią.
– Mówię o aktach. To było dwadzieścia pięć lat temu. Grube sprawy przechowujemy do dwudziestu lat. Szansa, że znajdę to w archiwum, jest znikoma. A co z waszymi aktami kontrolnymi?

Policja wykonująca czynności w sprawie również ma swoje akta, ale zwykle są one dużo mniej obszerne od prokuratorskich. Rędzia wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pewnie to samo...

– Sprawdźcie. Wyślę kogoś do naszego archiwum, ale nie obiecuję, że będą efekty. Wręcz doradzam, żebyście

nie robili sobie za dużych nadziei. Wiecie, co się zwykle dzieje w archiwach zakładowych? Miałą wszystko, czemu minie termin przechowywania wynikający z nadanej kategorii archiwalnej, byle zrobić trochę miejsca. – Spojrzał na nas. – Coś jeszcze?

Rędzia pokręcił głową.

– Dobra. – Zabięło wstał z krzesła, wyciągnął je spomiędzy swoich nóg i odstawił na bok. – To leceć. Dam wam znać, jak tylko coś będę miał.

I wyszedł. Kiedy po czternastej zadzwonił do Tomka, nie miał dobrych wieści.

– Nic. Kompletnie nic. Akta z tamtego okresu zniszczono już dawno temu. Szukajcie u siebie. I też dajcie mi znać, jaki jest efekt poszukiwań. Powodzenia...

Tomek odłożył telefon na biurko i puknął palcem skraj jego obudowy. Komórka zakręciła się wokół własnej osi.

– Do którego szpitala go wtedy zawieźli? – zapytałem Sławka, który powoli szykował się do wyjścia.

– Kogo? Bieżuna?

– Proponuję nie przyzwyczajać się jeszcze do myśli, że to Bieżun był tamtym gościem, który próbował ocalić jubilerów. To tylko luźna myśl, hipoteza. Ale o niego mi chodzi. O naszego bohatera.

– Na Unii Lubelskiej.

– Skąd wiesz?

– Moja siostra była tam pielęgniarką. Pamiętam, jak mi opowiadała o tym dniu. Cały szpital przeszukiwali, od

piwnic po strych.

Pokiwałem głową. Nagłe zniknięcie pacjenta zawsze jest dla szpitala sprawą kłopotliwą. W jednym z nich zaginionego mężczyznę znaleziono dopiero kilkanaście dni później w kotłowni, martwego. A wielki pożar dachu w szpitalu na Unii pod koniec zeszłego wieku spowodowała podobno pacjentka, która uciekła na strych i zaproszyła tam ogień.

– To proponuję tak – zwróciłem się do Rędzi – zadzwoń do dyrektora szpitala na Unii i poproś, żeby jutro na wszystkich oddziałach ordynatorzy zapytali, czy ktoś ze starszych lekarzy lub personelu pielęgniarstwa miał tamtego dnia kontakt z człowiekiem przywiezionym z napadu. Jest szansa, że ktoś z nich jeszcze tam pracuje. Jeśli nikogo nie znajdziemy, spróbujemy w pozostałych szczecińskich szpitalach. I tak dobrze, że nie zawieźli go wtedy do kolejowego. Szukalibyśmy teraz wiatru w polu...

Dawny szpital sióstr boromeuszek, po wojnie przejęty przez kolejarzy, przekształcony w latach dziewięćdziesiątych w szpital miejski, zlikwidowano pod koniec ubiegłej dekady, a teren sprzedano Kościołowi.

– Jest to jakaś propozycja... – przyznał z ociąganiem.
– Krzysiu, weź zajrzyj do internetów i znajdź mi numer, co?

Zalewski zasiadł do komputera, poklikał chwilę w klawiaturę, a potem podyktował Rędzi numer telefonu.

Tomek wybrał go na swojej komórce i przyłożył ją do ucha.

– Dzień dobry, z tej strony nadkomisarz Tomasz Rędzia, komenda wojewódzka policji w Szczecinie, czy mogę rozmawiać z dyrektorem... Obawiam się, że to pilna sprawa... Tak, bardzo pilna... Proszę pani, ja to wiem, każdy jest zajęty, a tu chodzi... Półtorej minuty mu zajmę, niech na chwilę przerwie spotkanie... – Odsunął telefon od ucha, popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem, a potem z jakąś rezygnacją w oczach położył palec wskazujący na wyświetlaczu i spojrzał na mnie.

– Jedziesz ze mną? – zapytał.

Zerknąłem w okno, za którym świeciło piękne słońce. Maj wreszcie pokazał, na co go stać, lato zbliżało się wielkimi krokami. Przeciągnąłem się na krześle.

– Pewnie.

* * *

Zostawiliśmy samochód na parkingu przed szpitalem. Z lądowiska obok wzgórza Napoleona właśnie startował żółciutki śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, terkot jego wirnika wprawiał w vibracje bębenki uszu. Weszliśmy wejściem „A” i po krótkim błędzeniu uzyskaliśmy informację, że dyrekcja szpitala mieści się w osobnym budynku administracyjnym. Odnaleźliśmy go, weszliśmy do środka i w końcu stanęliśmy przed drzwiami sekretariatu. Tomek wszedł do środka

pierwszy, zamaszycie otwierając drzwi, tak jak zwykle wchodzi się do siebie; głośno, pewnie, ze świadomością, że nic nie może cię zaskoczyć. Przypomniało mi się moje pierwsze spotkanie z Cieślarem, kiedy wszedł do nas tak samo jak Tomek tu przed chwilą i pomyślałem, że to kolejny przykład tego, jak punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Kobieta za kontuarem spojrzała na nas. Tomek nie pozwolił jej nic powiedzieć, tylko wyciągnął legitymację służbową i podsunął jej niemal pod sam nos, jakby chciał, żeby sprawdziła, czy ładnie pachnie.

– Nadkomisarz Rędzia, radca Suder, KWP Szczecin – szczerką. – My do pana dyrektora. Dosłownie na minutę. Góra półtorej. Można, prawda?

Sekretarka miała taką minę, jakby właśnie w głowie przekładała wajchę z pozycji „nie można” na „można”. Ton głosu Tomka był bardzo przekonujący i bez wątpienia pomógł jej podjąć tę trudną decyzję o zmianie zdania. Po bez mała trzydziestu latach pracy w zawodzie policjanta wciąż nie mogłem się nadziwić, jakie wrażenie robiło na ludziach słowo „policja”. Większość reagowała, jakby miała coś na sumieniu, albo przynajmniej usiłowała przypomnieć sobie, czy nie gryzie ich wyrzut z powodu jakiegoś niecnego postętku. Zostawiliśmy ją z półotwartymi ustami i skierowaliśmy się ku jedynym drzwiom poza wejściowymi. Weszliśmy również bez

pytania. Tomek widać przygotowywał sobie grunt do rozmowy.

Za biurkiem siedział mężczyzna w garniturze i narzuconym na niego niedbale kitlu. Przyglądał się nam w milczeniu przez chwilę, a potem nikły uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Dzień dobry, panie Darku – powiedział.

– Dzień dobry, panie doktorze. – Ukłoniłem się.

Rędzia był wyraźnie zbity z tropu. Doktor Kryszak, obecnie dyrektor Kryszak, był jednym z lekarzy zajmujących się mną podczas mojego pobytu na oddziale neurologii.

– Gratuluję stanowiska. – Rozejrzałem się po gabinecie.

Nie był jakiś ekstrawagancki ani nawet wyjątkowy, tylko po prostu dyrektorski.

– Dziękuję. Wciąż jestem ordynatorem, choć nie dyżuruję. Wszystko w porządku? – Dyrektor spojrzał na moją głowę.

Pokiwałem nią i zerknąłem na Ręzię. Założę się, że przypomniał sobie swój dowcip z Gronowa.

– To w jakiej sprawie panowie przyszli? – Kryszak uśmiechnął się i usiadł. – Tak nagle?

Tomek otworzył usta i zamknął.

– Dzwoniliśmy wcześniej, żeby się zapowiedzieć, ale... To może ty, skoro się panowie znacie? – Cofnął się o krok, robiąc mi miejsce.

Nie miałem nic przeciwko. Wyjaśniłem doktorowi, o co chcemy go poprosić. Słuchał, nie przerywając mi.

– W porządku – powiedział, kiedy skończyłem, i zerknął na zegarek. – Nie ma sprawy. Jeszcze dziś obdzwonię wszystkich ordynatorów. Ale... Czy na pewno jest sens dzwonić faktycznie do wszystkich? Skoro to była rana brzucha, to po co pytać na przykład neurologów?

– Jest sens, jak najbardziej, panie doktorze. Może tego dnia był tam jakiś student medycyny, stażysta albo młody lekarz, który potem z jakichś powodów zmienił specjalizację. Czepiamy się wszystkiego.

– Słusznie, nie pomyślałem. – Pokiwał głową i popukał długopisem w blat biurka. – Dlaczego to takie pilne? – zapytał nagle.

Nie powiedziałem mu wszystkiego. Nie chciałem wzbudzać niezdrowej sensacji.

– Cóż. – Spojrzałem na Tomka. – Wróciłem do pracy. Jestem w zespole, nazwijmy go zespołem poszukiwań celowych, który ściga pewnego niebezpiecznego człowieka.

– Co się dzieje na tym świecie. – Doktor westchnął. – Coraz więcej popaprańców. Jakby tego „Snajpera” było mało, co?

– Właśnie – odezwał się Tomek. – Jakby go było mało...

– Niech pan uważa na siebie, panie Darku. – Kryszak wycelował we mnie długopis. – Wszystko, co mówiłem

panu podczas pobytu tutaj dwa lata temu i, o ile pamiętam, również w zeszłym roku, jest aktualne. Niech pan dba o siebie i się nie przemęcza. Mam na myśli przepracowanie, a nie zmęczenie fizyczne. Okej?

– Jasne. – Wyszczrzyłem zęby. – To co, zostawię numer do siebie? Proszę o kontakt, gdyby ktoś sobie coś przypomniał. Będziemy wdzięczni. Dozgonnie.

Podaliśmy sobie ręce i wyszliśmy z Tomkiem z gabinetu. Było już grubo po piętnastej, więc uznaliśmy, że przynajmniej ja kończę dzień pracy. Musiałem wreszcie skosić ten cholerny trawnik.

– Myślisz, że to coś da? – zapytał mnie Tomek, kiedy rozstawaliśmy się pod komendą.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, wątpię. Ale siedzenie z założonymi rękami daje zwykle jeszcze mniej. Do jutra.

– Do jutra. A, Darek?

– No?

– Z tymi „doroktorami” to jakiś zmyślny patent? O co tu chodzi? Większa kasa? Samorealizacja? Umiejętność rozciągania czasu? Coś jeszcze?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Ale chyba już sobie odpowiedziałeś na to pytanie.

– Która odpowiedź była dobra?

– Wszystkie. Musisz tylko jakąś wybrać.

Zostawiłem go pod komendą z wciąż zafrasowaną miną. Wróciłem do domu, odstawszy swoje w korku na

Głębokim, i całe popołudnie oraz wczesny wieczór spędziłem w ogrodzie. Tak jak sobie obiecałem, skosiłem trawnik, a potem przyciąłem żywopłot, zamieniłem kilka słów z Waldkiem i poszedłem na spacer do lasu. Późnym wieczorem, sącząc piwo prosto z butelki, patrzyłem w okno, starając się nie myśleć o niczym. Wylogować się na chwilę. Zerknąłem na leżący na kuchennym blacie podłączony do ładowarki telefon, który przysłał mi Bieżun, i zacząłem zastanawiać się, co skurwiel teraz robi, gdzie jest, co planuje. Ogląda telewizję czy właśnie zabiera komuś życie, a może siedzi w fotelu w swojej kryjówce, popijając piwo, i tępo wpatruje się w mrok za oknem, starając się nie myśleć o niczym?

Wyrzuciłem butelkę do pojemnika na szkło i położyłem się. Kolejny dzień śledztwa kończył się bez rewelacji. Dalej nie mogliśmy uchwycić nic konkretnego; żadnej nici, żadnego punktu zaczepienia. Nietykalny wciąż nie pozwalał się dotknąć...

Opatulony w duszny półmrok wieczoru w końcu zasnąłem.

* * *

Następnego dnia o wpół do dziewiątej zadzwonił mój telefon. Siedzieliśmy całą czwórką w pokoju, zastanawiając się, co dalej. Czekanie było najbardziej denerwujące i deprymujące.

Kiedy odebrałem, skoczyło mi ciśnienie. Usłyszałem głos dyrektora Kryszaka. Pomachałem do chłopaków i pokazałem na komórkę. Ucichli i wpatrywali się we mnie z napięciem.

– I jak? – Postarałem się, żeby mój głos brzmiał beztrzesko.

– Noo, wygląda na to, że coś mamy.

– Naprawdę? – spytałem ostrożnie.

– Tak jak pan prosił, zleciłem ordynatorom, żeby na raporcie rzucili temat. I niech pan sobie wyobrazi, że znalazł się ktoś, kto przy tym był! Profesor Gudejko, kierownik kliniki chirurgii. Rozumiem, że chciałby się pan z nim spotkać.

– Za chwilę jesteśmy – rzuciłem do telefonu bez tchu.

– Nie wiem, czy jest sens przyjeżdżać tak od razu. Profesor zaraz zaczyna operować...

– Planowa czy nagła?

– Operacja? Raczej planowa, ale...

– To niech się wstrzyma pół godziny. Mówię poważnie. Przyjeżdżamy najszybciej, jak się da. Błagam, niech pan to dla mnie zrobi!

Dojechaliśmy do szpitala w siedem minut, przez cały ten czas towarzyszył nam jęk syreny. Po drodze Kryszak zadzwonił jeszcze raz, informując, że Gudejko czeka na nas w swoim gabinecie na oddziale chirurgii. Zostawiliśmy samochód na miejscu dla niepełnosprawnych przy wjeździe od strony lądowiska

dla śmigłowców. Podtrzymywany przez miłosiernego Samarytanina konny jeździec opuścił głowę, nie patrząc na nas z wysokości postumentu swojego pomnika. Gdyby mógł spojrzeć, zapewne zrobiłby to z wyrzutem w zamglonych cierpieniem oczach.

Gabinet profesora Gudejki znaleźliśmy z trudem. Szpital przy Unii nie jest miejscem przyjaznym odwiedzającym. Skomplikowany układ budynków przekładał się na liczbę korytarzy mających więcej uchyłków niż jelito staruszka na diecie ubogoresztkowej. W ciągu dnia szpitalne korytarze tętnią życiem, masy ludzi wędrują po nich jak krwinki w naczyniach krwionośnych i to podczas wysiłku: szybko, na pozór bezładnie, choć przecież każda trafia w końcu do miejsca swego przeznaczenia, czyli odpowiedniego gabinetu czy pracowni.

Klinika Chirurgii Ogólnej i Gastroenterologicznej mieściła się na... piętrze. Pielęgniarka w dyżurce podała nam numer gabinetu profesora. Tym razem Tomek zapukał do drzwi, zerkając na mnie przez ramię z wysoko uniesionymi brwiami, jakby chciał, żebym go podziwiał albo chociaż docenił. Pokiwałem mu więc z uznaniem głową i w tej samej chwili zza drzwi dotarło do nas gromkie: „wejść”. Weszliśmy.

Profesor Gudejko stał przy oknie ubrany w kitel, na nogach miał białe crocasy, które od kilku lat zastępowały drewniane chodaki wyglądające, jakby lekarze zmówili

się i pozabierali je dziewczętom z obrazów flamandzkich mistrzów. Był wysoki, miał ostrzyżone tuż przy skórze białe włosy, a pośrodku głowy łysinę. Obrzucił nas uważnym spojrzeniem.

– Mamy pół godziny i ani minuty dłużej. Nie lubię zmiany rozpisu. I nie tylko z tego powodu, że muszę dłużej zostać w pracy. Jakby matka któregoś z panów miała być operowana i ktoś sprawiłby, że zabieg spada na następny dzień, byłiby panowie zadowoleni?

– Nie wiem, jak matka kolegi, ale moja nie żyje, więc może zostawmy ją w spokoju – wycedził Rędzia. – Zapewniam również pana profesora, że bez ważnej przyczyny nie zawracalibyśmy panu... – Urwał, reflektując się, że albo lekko przeholował, albo przecenił posiadany w swojej głowie zasób synonimów.

– ...Dupy – pomógł mu z uśmiechem Gudejko, choć nie wątpił, że akurat w tym wypadku Tomek poradziłby sobie sam. – W porządku, przejdźmy więc do rzeczy. Panowie usiądą... I słucham.

– To my chętnie posłuchamy. Historii o postrzelonym w brzuch człowieku, który w tajemniczy sposób zniknął ze stołu operacyjnego.

– Och, gruba przesada. Nie ze stołu operacyjnego, tylko z pracowni RTG. I nie zniknął w tajemniczy sposób, tylko uciekł. Po prostu uciekł.

– Podobno był pan przy tym?

– Owszem. Miałem dyżur, kiedy przywiozło go pogotowie. Nie byłem pierwszym dyżurnym, ale to ja go kwalifikowałem, bo docent wtedy operował na ostro. Stwierdziłem ranę postrzałową brzucha, nie znalazłem drugiej, którą mogła spowodować kula, więc uznałem, że została w środku. Pacjent zgłosił, że otrzymał postrzał, potwierdził to policjant, który z nim przyjechał. Był wydolny krążeniowo i oddechowo, stabilny, nie wystąpiło obfite krwawienie, nie było więc sensu kłaść go pilnie na stół i grzebać w jelitach. Wołałem najpierw sprawdzić, gdzie utkwiała...

– Na rentgenie widać narządy wewnętrzne?

– Trochę widać. Ale bałem się, że jest na przykład w okolicy kręgosłupa. Wtedy nie mieliśmy tomografów.

– Jasne. I co się wydarzyło później?

– Położyliśmy go na stół w rentgenie, kazałem mu leżeć nieruchomo i wyszliśmy do ciemni. Technik zabrał kliszę do wywołania, musieliśmy chwilę poczekać, a potem, kiedy wszedłem do gabinetu, okazało się, że stół jest pusty. Zostały tylko uchylone drzwi. Daliśmy znać na policję, bo tego funkcjonariusza, który przyjechał w karetce, już nie było. Wiecie, panowie, uznałem, że człowiek doznał szoku. Albo przestraszył się operacji. W każdym razie nie miałem pojęcia, co nim powodowało, ale wiedziałem jedno: potrzebował pomocy. Kula mogła się przemieścić i uszkodzić ważne naczynie, na przykład aortę brzuszną. On był w dobrym stanie ogólnym jak na

taką ranę, ale mimo wszystko był to bardzo poważny stan...

Słuchałem Gudejki w milczeniu. Coś o tym w końcu wiedziałem.

– Miał obie ręce? – zapytałem.

– Proszę? Czy miał obie...?

– Tak. Czy nie brakowało mu lewego przedramienia?

– Nie, miał oba...

– W porządku, proszę dalej. – Uśmiechnąłem się do niego.

– ...W popołudniowym wydaniu „Kroniki szczecińskiej” ukazał się apel policji i portret pamięciowy tego człowieka. Sam pomagałem go tworzyć, ale szczerze powiem, nie za bardzo się udał. Wtedy to robili rysownicy, a nie graficy komputerowi, choć i tak widywałem o wiele bardziej nieudolne wizualizacje komputerowe niż rysunki. Może to była wina moja, a nie rysownika, że nie potrafiłem przekazać dokładnie, o co mi chodzi, w każdym razie z tego, co słyszałem, nigdy go nie odnaleziono. Przez jakiś czas nawet się tym mocno gryzłem, a nawet obwiniałem. W końcu powinienem wiedzieć, że może być nieprzewidywalny... Miałem w swojej praktyce ludzi, którzy w stanie zagrożenia życia odmawiali zgody na operację, choć ta mogłaby ich uratować. Tak bardzo się jej bali. Cóż... – Gudejko rozłożył ręce. – Nic już nie poradzę. Tak to wyglądało.

– Pamięta pan coś jeszcze. Jakieś szczegóły? Znaki szczególne? Znamię, tatuaże, blizny?

– Nie. – Gudejko pokręcił głową. – Nic z tych rzeczy. Ale była taka dziwna sytuacja, kiedy go układałem na stole. Złapał mnie za rękę i zapytał, skąd pochodzę. Odpowiedziałem, że urodziłem się w Szczecinie. A on dociekał, skąd konkretnie, z jakich stron pochodzi moja rodzina. Powiedziałem, że z Zamojszczyzny i zapytałem, czemu pyta, ale on zamknął oczy i pokręcił głową. Pamiętam, że się uśmiechał. Aha, i jeszcze jedno. Przypomniałem sobie teraz. Dziwnie pachniał.

– Co to znaczy dziwnie?

– No... Nie śmierdział potem ani niemytym ciałem. Ale nie był też wyperfumowany. Poczułem taki kwaśny, jakby chemiczny zapach.

Nie byłem pewny, ale chyba aż otworzyłem usta ze zdumienia. Już wiedziałem, co zrobił człowiek zabrany karetką z miejsca napadu na jubilera. Sukinsyn... Pomysłowy sukinsyn.

– Jak pan stwierdził, że on został postrzelony? – zapytałem.

Gudejko zastanowił się przez chwilę.

– Jak to jak... Lekarz z karetki mi przekazał. Potem powiedział mi to pacjent. I, jak już mówiłem, potwierdził to policjant...

– Jak wyglądała ta rana? Na postrzałową?

– Nie rozumiem, co pan sugeruje?

– Czy jest pan pewien, że tę ranę brzucha spowodował postrzał? Tak pan przed chwilą twierdził, ale czy jest pan stuprocentowo pewien, że to faktycznie była rana postrzałowa?

– To była pierwsza rana tego typu, jaką pomijając zdjęcia z wykładów medycyny sądowej, widziałem w życiu, to prawda, ale... Zdaje pan sobie sprawę, że takie rany w zależności od kąta penetracji pocisku w początkowej fazie wyglądają różnie?

– Mniej więcej. A jak wyglądała tamta?

– Myśli pan, że to pamiętam? Po ćwierć wieku?

– Dobrze. – Odwróciłem się do Tomka przysłuchującego się ze zdziwieniem naszej dyskusji i zapytałem go: – Mogę cię poprosić o nabój?

– Słucham? – Brwi Rędzi powędrowały do góry.

– Daj mi jeden – powtórzyłem. – Wyciągnij z magazynka.

Zamrugnął, jeszcze bardziej zdziwiony, ale sięgnął za pazuchę kurtki i wyciągnął z kabury glocka. Patrząc wciąż na mnie, wyjął z niego magazynek, kciukiem wysunął nabój i położył mi na wyciągniętej dłoni. Chwyciłem go mocno jedną ręką, a drugą ścisnąłem łuskę i zacząłem poruszać palcami. Po chwili obłuzowany mosiężny walec z obłym czubkiem został mi w ręku. Gudejko i Rędzia przez całą tę operację siedzieli w ciszy i wbijali wzrok w moje ręce. Wstałem i podszedłem do

biurka profesora, ostrożnie podsuwając mu wypełnioną prochem łuskę pod nos.

– Niech pan powącha. Proszę, śmiało... To był ten zapach?

Zamrugnął zaskoczony i odchylił się do tyłu.

– Wie pan... – zaczął, ale kiedy specyficzny, ostry zapach prochu dotarł do jego nozdrzy, z powrotem pochylił się w moją stronę. – Cholera... To... To prawdopodobne. Głowy nie dam, ale pierwsze wrażenie było jak błysk... Tak, to mogło być to!

Zmarszczył brwi i zapytał:

– Ale o co chodzi?

– Nie ma pan styczności z bronią palną?

– Nie mam – przyznał. – Żadnej. I nie chcę mieć. To o co chodzi?

W oczach Tomka dostrzegłem to samo pytanie. Usiadłem, spokojnie osadziłem pocisk z powrotem w kołnierzu łuski i schowałem je do kieszeni. I tak się już do niczego nie nadawały.

– Ten człowiek nie został postrzelony. Zranił się sam w brzuch, niegroźnie, ot tyle tylko, żeby było trochę krwi i sterczał kawałek skóry.

– Po co?

– Policja zaskoczyła go na zapleczu sklepu jubilerskiego. On nie był przypadkowym przychodniem, który zarobił kulkę dlatego, że się wtrącił, tylko jednym z rabusiów. Buszował na tyłach sklepu i nie słyszał, że

przyjechała policja. Kiedy się zorientował, nie miał już żadnej drogi ucieczki. Więc zranił się czymś w brzuch i sprzedał swoją bajeczkę o postrzeleniu.

– No, zaraz, chwileczkę. W taki razie skąd ta kula? Przecież ewidentnie widać ją było na zdjęciu!

– Skoro to był napad, to pewnie miał ze sobą broń. Zamiast głupio nią wymachiwać i narażać się na zastrzelenie przez policję, ukrył ją gdzieś, ale przedtem zrobił to samo co ja przed chwilą. Wyjął jeden nabój i rozebrał go, a potem zranił się czymś ostrym w brzuch. A kiedy leżał na stole w gabinecie RTG i został już sam, bo przecież technicy wychodzą z niego na czas robienia zdjęcia, pocisk, który do tej pory miał w kieszeni czy w ręku, położył sobie po prostu na brzuchu albo wsunął pod plecy. Zdjęcie rentgenowskie to nie trójwymiarowa tomografia, w tomogramie taki numer wyszedłby od razu. A tam? Proszę bardzo: pocisk w tkankach. To dlatego tak pachniał. Pachniał prochem, bo pobrudził się nim, rozbierając nabój...

– To nie do końca tak – powiedział lekko rozbawiony profesor. – Zdjęcia ciał obcych w ciele ludzkim robiło się w dwóch rzutach, żeby prawidłowo zobrazować ich położenie w przestrzeni, rozumie pan? Potem kazaliśmy mu obrócić się na bok i na tym zdjęciu też widzieliśmy kulę...

– Zaraz, zaraz... Mówił pan, że położyliście go na stole i wyszliście, a kiedy wróciliście, już go nie było? –

zapytałem podejrzliwie.

– Nie, no, to taki skrót myślowy... Wykonano dwa zdjęcia. I skoro nic nie wzbudziło moich podejrzeń, to oznacza, że wszystko się zgadzało. Kula tkwiła w środku.

– A tak trudno zrobić to dwa razy? – zapytałem. – Przecież do drugiego zdjęcia też wyszliście, prawda? Wystarczyło pamiętać, żeby czubek był skierowany mniej więcej w tę samą stronę i nikt by się nie połapał.

– Cholera. – Gudejko smętnie pokiwał siwą głową. – My naprawdę się nie połapaliśmy...

Nie było już sensu w kontynuowaniu rozmowy. Wyszliśmy z gabinetu profesora i skierowaliśmy się do wyjścia z oddziału. Roześmiałem się cicho. To był trochę gorzki śmiech.

– Skurwiel nie mści się za to, że go postrzelono, bo udaremnił napad. On go nie udaremnił, tylko brał w nim udział. Jeszcze nie możemy mieć pewności, ale wygląda na to, że mści się na współnikach za wystawienie... To kolejny etap jego planu, Tomek. Jakby postanowił zabić wszystkich, którzy kiedykolwiek go skrzywdzili. Nieważne, czy krzywda była wyimaginowana, czy nie. Nieważne, czy na nią zasłużył, czy nie. I tak zabija...

Rędzia zerknął na mnie z wyrzutem w oczach.

– Muszę się teraz rozliczyć z kulki.

– Nie tylko. Trzeba sprawdzić, kiedy Bieżun stracił rękę. Wiemy tylko, że przed zamknięciem w zakładzie. Może to nie ma sensu? – Wskazałem za siebie.

Stanęliśmy. Tomek wyciągnął telefon i zadzwonił do Cieślara. Rozmowa była krótka i treściwa. Kiedy skończył, pokiwał głową i mruknął:

– Da znać.

Minęliśmy przeszklone drzwi oddzielające klinikę od klatki schodowej i ruszyliśmy do wyjścia z budynku. Szpitalny zapach nie był już tak dokuczliwy.

– Dobra, wracamy na Małopolską. – Tomek przyspieszył kroku. – Trzeba porządnie przycisnąć Jończyka w sprawie tego napadu. Skoro nie ma akt, możemy polegać tylko na jego pamięci.

– Mam nadzieję, że nie tylko jego – dodałem.

– A czyjej jeszcze?

Powiedziałem mu.

Kiedy wróciliśmy do komendy, przekazaliśmy chłopakom to, co ustaliliśmy u Gudejki. Też byli sceptyczni. Wyglądało na to, że tylko ja z naszej czwórki ludzę się, że to nie jest fałszywy trop. Zadzwonił Cieślara. Skontaktował się z żoną Bieżuna i ustalił, że wypadek, przez który stracił rękę, wydarzył się w dziewięćdziesiątym ósmym. Oznaczało to, że dalej idziemy tropem ze sprawy napadu na jubilerów. Skończyliśmy krótką dyskusję na ten temat i w tym samym momencie telefon Tomka zadzwonił jeszcze raz. Spojrzał zdziwiony na wyświetlacz, odebrał, przez chwilę słuchał kogoś w milczeniu, a brwi unosiły mu się coraz

wyżej. Kiedy skończył, potoczył po nas wzrokiem, w którym dostrzegliśmy totalne zaskoczenie.

– To znów był Cieślar – oświadczył. – Jest namiar telefonu Bieżuna. Dzwonił z okolic „Kaskady”. Rozumiecie to? Tak jak przypuszczałem, skurwiel dzwonił z samego centrum miasta, kilkaset metrów od komendy. Nie wiem, jakie uczucie bierze we mnie teraz górę: wkurw czy podziw. Zróbmy coś, panowie, bo nie jest dobrze. Nie jest, kurwa, dobrze...

– No nie jest... – przyznał cicho Krzysiu.

Chyba wszyscy byliśmy co do tego zgodni. Rędzia spojrzał na Jończyka.

– Sławek, skontaktuj się z tym swoim kolegą emerytem, co? Pilnie. Przepytaj go, może zaprosz do nas jeszcze dzisiaj, góra na jutro?

Jończyk cmoknął, a mnie zrobiło się miło, że Tomek mimo wszystko nie uciał spekulacji i podjął trop.

– Spróbuję. Tylko że teraz to on musi mieć chyba ze sto lat. Mam nadzieję, że nie ma alzheimera i że w ogóle żyje...

* * *

Szczyście wreszcie się do nas uśmiechnęło. Roman Gruca nie miał stu lat, tylko siedemdziesiąt, nie miał również alzheimera i ogólnie, pomijając dolegliwości związane z będącą skutkiem wypadku paraplegią, miał się dość dobrze. Jako że poruszał się na wózku, nie

wyraził zbytniej ochoty do odwiedzenia nas, ale opowiedział Jończykowi o szczegółach napadu sprzed niemal ćwierci wieku, a przynajmniej o tych, które pamiętał. Było coś jeszcze.

– Skubany – sapnął Jończyk dwie godziny później, potrząsając plikiem kartek, które ścisnął w rękę. – Wicie, co zrobił, odchodząc na emeryturę? Skserował akta części niewyjaśnionych spraw, które prowadził. Mówił, że panicznie bał się tej emerytury, że nie będzie miał co robić i zwariuje z nudów. Chciał się przyjrzeć tym sprawom na spokojnie i tak dalej, ale okazało się, że na emeryturze ma jeszcze więcej na głowie niż przed nią. Współpracował z jakąś agencją detektywistyczną, rozwodził się z żoną, pojawiły się wnuki, potem miał wypadek i koniec końców nie zabrał się do żadnej... Ale kwity wciąż miał. – Twarz Sławka rozjaśnił triumfalny uśmiech.

– Dawaj. – Rędzia klepnął blat biurka, drugą ręką odsunął filizanki po kawach, a mnie się przypomniało, że wciąż nie kupiłem tych cholernych kapsułek do ekspresu.

– Ogólnie dobrze wszystko pamiętałem. – Sławek położył papiery na biurku. – Potwierdził to Romek i przejrzałem to jeszcze pobieżnie u niego w domu; wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak mówiłem.

– To dobrze zapamiętałeś czy mniej więcej? – zapytał Zalewski.

– Dlatego mniej więcej, że zeznania świadków są sprzeczne. Jedni twierdzili, że broń była, inni, że jej nie widzieli. Jedni przysięgali, że sprawców było dwóch; inni, że trzech. Jeden gość gadał jak najęty. Jak zaczęli mu zadawać szczegółowe pytania, to zaplątał się w zeznaniach i zorientowali się, że w ogóle nie było go w tamtym miejscu. No, ale chciał poczuć się ważny, więc się zgłosił. Z przeszukania lokalu i wyjaśnień złożonych przez jubilerów wynika, że broń palna nie została użyta i tu coś mi nie gra, zważywszy na to, co się stało potem. Dobra, do rzeczy, teraz szczegóły, o którym wam nie mówiłem poprzednio. Sklep nazywał się „Silverpol”. Jak zapewne pamiętacie, w tamtym okresie nazwa niemal każdej firmy kończyła się na „-pol”, albo „-ex”, takie czasy. Wszystko odbyło się, tak jak wam opowiedziałem, więc nie będę się powtarzał. W teczce są akta sprawy, w zasadzie kopie i to tych najważniejszych, którym Gruca miał zamiar przyjrzeć się uważniej. Ale nie przyjrzał się, więc teraz zrobmy to my. I co tu mamy? – Sławek otworzył kartonową teczkę.

Wypełniały ją słabej jakości kserokopie, a sądząc po ich znikomej ilości, Jończyk stanowczo przesadził z entuzjastyczną reakcją na fakt zdobycia teczki od Grucy. Rędzia odwrócił kilka pierwszych stron: protokół oględzin miejsca zdarzenia, plan pomieszczeń niezdarnie naszkicowany na kartce w kratkę, dwa zdjęcia, z których kopiarka zrobiła abstrakcyjne kolaże czarnych i białych

plam. I niewiele więcej. W pewnej chwili zauważyliśmy mniejszy od pozostałych kawałek papieru. O dziwo, był oryginałem. Kwitek nosił datę szóstego sierpnia dziewięćdziesiątego trzeciego roku i widniała na nim pieczęta Przedsiębiorstwa Budownictwa Drogowego „PEDiM”. Sławek wyjął go z teczki i zbliżył do oczu.

– To o tym mówił Romek... „Przepustka materiałowa nr 116/VIII/93 – przeczytał. – Zezwala się obywatelowi Zdzisławowi Rymusz, zam. Szczecin, ul. Jagodowa 70, na wywóz w dniu 6.08.93 następujących materiałów”. „Mulek. Jednostka miary: Mg, ilość: 0,5”.

– Co to jest mulek? – zapytał Krzyś.

– Piasek taki. Drobnutki. Budowlany chyba – rzucił Rędzia.

– Aha. No dobra... Pół Mg. Co to „Mg”?

– Megagram. Czyli tona. Pół tony piasku.

– Co ten kwit robi w aktach?

– Znalaziono go na miejscu, w sklepie – odparł Jończyk. – Któryś z jubilerów zeznał, że szarpał się z jednym z napastników. Uznano, że musiał mu wypaść podczas tej szarpaniny albo jak pakował biżuterię za pazuchę. W sumie nic nadzwyczajnego. – Sławek wzruszył ramionami. – Nieraz trafiają się tacy debile, którzy potrafią zgubić na miejscu przestępstwa dowód osobisty albo komórkę...

– I co? – zapytałem. – Faktycznie zgubił go napastnik?

– No, akurat nie. – Sławek pociągnął nosem. – Przesłuchano tego Rymusza. Zeznał, że tego dnia kilka godzin wcześniej odwiedził jubilera. Jego córka wychodziła wkrótce za mąż, obiecał młodemu, że kupi im obrączki, i chciał się zorientować w cenach i modelach. Podobnie było z odciskami palców na pierścionku znalezionym niedaleko sklepu. Uznano, że musiał go zgubić któryś ze sprawców podczas ucieczki. Odciski należały do niejakiego Mariusza Kocewicza. Został zatrzymany kilka tygodni po napadzie; siedział kiedyś w poprawczaku i mieli jego paluchy w kartotekach. Został wypuszczony niedługo później: nic prócz odcisków na niego nie mieli, a on twierdził, że znalazł trochę precjozów na chodniku i poszedł je zwrócić, bo widział radiowozy i ludzie na ulicy mówili, że dokonano napadu. Jubiler potwierdził, że faktycznie ten facet przyszedł do sklepu, jak już była tam policja i oddał kilka sztuk biżuterii, twierdząc, że znalazł je na chodniku. Miały metki „Silverpolu”. Najwyraźniej ten pierścionek mu wypadł spośród tych, które pozbierał, i tego nie zauważył, a potem znaleźli go nasi...

– Wiecie co? – powiedziałem. – A sprawdzmy ich.

– Kogo?

– Wszystkich zamieszanych w ten napad. Jubilerów, świadków... Ale na początek czterech. Tego od mułku, tego drugiego, który oddał biżuterię, oraz jubilerów. Od razu. Co teraz robią, a przede wszystkim czy żyją.

– Co taki podejrzliwy jesteś?

Spojrzałem na Zalewskiego.

– Nie wierzę w człowieka. Nie wierzę, że człowiek jest z natury dobry. A tu patrzcie: nagle tyle dobroci... Jeden odważny broni sklepu z narażeniem własnego życia. Jak już wiemy, nie był bohaterem, wręcz przeciwnie, ale teraz nagle pojawia się drugi. Przychodzi i zwraca biżuterię wartą kupę szmalu. Trochę dużo tych bohaterów jak na jeden napad. Tylu miłosiernych samarytan w jednym miejscu i jednym czasie? To się nawet w Biblii nie zdarzało. Coś mi śmierdzi.

– Co nam ma to dać?

– Jakieś powiązanie z Bieżunem. Przyjęliśmy, że był jednak jednym z napastników. Mam wrażenie, że pomijając tego drugiego rabusia, który uciekł, ktoś z tej czwórki miał z Bieżunem coś wspólnego. Tam coś poszło nie tak. To, że ktoś ich nakrył podczas napadu, to jedno, ale w jaki sposób ten fakt pomieszał im szyki i co ważniejsze – komu, to drugie.

Tomek patrzył na mnie z taką miną, jaką mają dzieci, które na ulicy zobaczą zdarzenie przekraczające zdolność pojmowania ich niedoświadczonych umysłów.

– Dobra – powiedziałem. – Da nam przede wszystkim to, że pojawią się nowi ludzie, którzy być może pomogą nas do niego doprowadzić. Chociaż tyle. Taką przynajmniej mam nadzieję. Więc kujmy żelazo, póki gorące. Krzysiu, ustalisz miejsce zamieszkania Rymusza,

Kocewicza i tych dwóch jubilerów... – zerknąłem do akt – ...Kaliciaka i Truszczyńskiego? Jeśli faktycznie żyją, pogadamy z nimi i zobaczymy, co mają dziś do powiedzenia na ten temat. Co wy na to?

Rędzia skinął głową, choć jego mina wciąż świadczyła, że nie do końca jest przekonany. Ale znów dała o sobie znać jego zasada, zresztą bardzo dobra: dopóki nie ma nic konkretnego, czepiamy się wszystkiego. Co nam szkodzi? Tak się szukało topielców, kiedy jeszcze jednostki policyjne czy strażackie nie miały nurków. Rzucało się z łodzi linę z kotwiczką i pływało wte i wewte w rejonie poszukiwań, licząc na to, że zahaczy o ciało. To właśnie robiliśmy: rzucaliśmy na ślepo haki w nadziei, że o coś zaczepią.

O cokolwiek.

* * *

Kilka godzin później Krzysiu wpadł do pokoju z triumfalną miną.

– Trzy pudła, jedno trafienie – oznajmił. – Kaliciak i Truszczyński nie żyją. Mieli takie same daty zgonu, więc poszperałem, kontaktując się z żoną jednego z nich: zginęli w wypadku samochodowym w Rosji, sześć lat temu. Robili tam interesy wciąż jako wspólnicy, jeździli tam często po diamenty. Pewnego dnia stali w korku koło Tuły i wjechała w nich wywrotka z piaskiem. Nie było co

zbierać. Rymusz też nie żyje, zmarł w dwa tysiące drugim.

– A czemu Kocewicz jest trafieniem? – zapytał Rędzia.
– Tylko dlatego, że żyje? Bo rozumiem, że żyje?

– Hmm... Żyje, ale to nie dlatego jest trafieniem. – Zalewski uśmiechnął się jadowniczo, podszedł do biurka, wziął z niego kwitek na mułek i machając nim, wycodził:
– Wiecie, gdzie mieszka nasz miłosierny samarytanin? Na Jagodowej siedemdziesiąt. Przypadek? Nie sądzę...

Kiedy Rędzia na mnie spojrzał, skromnie spuściłem wzrok. Wiedziałem, co teraz myśli. Co mogłem mu odpowiedzieć? Mój brak wiary w człowieka okazał się tym razem słuszny.

– Czyli Rymusz i Kocewicz mieli ze sobą coś wspólnego – powiedziałem. – Jeden przychodzi przed napadem obejrzyć obrączki dla młodych i przy okazji gubi na miejscu zamówienie na piasek, drugi przychodzi po napadzie, zwracając znalezioną biżuterię i gubiąc po drodze jeden pierścionek, na którym zostają jego odciski palców. Nie wiem, dlaczego nikt nie znalazł tego powiązania wtedy, ale za to teraz dowiedzmy się, co jeszcze oprócz roztargnienia i ulicy Jagodowej łączy tych dwóch panów. Bo ja już chyba wiem co.

* * *

Ulica Jagodowa położona jest na samym skraju dzielnicy Gumieńce; zaraz za potokiem Gumieniec

zaczynają się grunty orne położone już w gminie Dobra. Cicha ulica w cichej okolicy, ludzie znają się od lat, każdy obcy jest doskonale widoczny, jak na wsi. A kiedy obcych jest dwóch, wzbudzają jeszcze większą sensację. Od razu zauważyłem ciekawskie spojrzenia zajmujących się swoimi ogródkami ludzi, rzucające znad krzewów i narzędzi ogrodniczych, prześlizgujące się między prętami płotów, by nas obmacać tuż po tym, jak wysiedliśmy z Rędzią z samochodu. Wiosenne porządki trwały w najlepsze, ale to w ogóle nie osłabiało przejawów sąsiedzkiej czujności.

Kocewiczka nie zastaliśmy w domu. Nikogo w nim nie zastaliśmy, a jeśli nawet tam był, to zapewne nie życzył sobie odwiedzin. Kiedy wcisnęliśmy dzwonek zamontowany na słupku przy furtce, nic się nie stało. Nikt nie wyjrzał przez okno ani przez drzwi, nie zabrzączał elektrozamek, nie rozległo się wołanie gdzieś zza domu, dochodzące z obrośniętego bluszczem tunelu między nim a garażem. Kiedy się rozejrzałem wzdłuż ulicy, wzrok sąsiadów znów koncentrował się na miotłach, grabkach i pędzlach.

– Co robimy? – zapytałem. – Czekamy?

Rędzia wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie wiem. Cholera wie, ile będziemy czekać. Z sąsiadami chyba też nie ma co gadać... O czym? Może przyjedziemy wieczorem?

Nagle usłyszeliśmy za plecami klekot diesla zdradzający spory przebieg samochodu i rychłą śmierć silnika zapowiadaną jego agonalnym rżeniem. Obejrzeliśmy się i zobaczyliśmy starego granatowego passata powoli podjeżdżającego pod wysoki krawężnik. Kombi zatrzymało się niemal przy naszych nogach, wysiadł z niego wysoki, szczupły mężczyzna o wysportowanej sylwetce. Był mniej więcej w moim wieku, miał krótkie, gęste i całkiem siwe włosy, pozbawioną zarostu twarz, ostry nos, a na nim okulary w lekkich drucianych oprawkach. Zamknął drzwi samochodu, popychając je dość mocno, i zmarszczył brwi.

– Słucham – powiedział, patrząc na nas spode łba.

– Policja – rzucił beztrosko Tomek. – Pan Mariusz Kocewicz?

– Ta. Coś się stało?

– Chcemy porozmawiać.

– Nie mam czasu – odburknął, wciskając przycisk na pilocie autoalarmu.

– Jeśli pan chce, my go panu znajdziemy, ale to będzie trwało dłużej. A tak załatwimy to szybko krótką pogawędką. Zachęciłem pana?

– W takim razie wprost nie mogę się doczekać, żeby was ugościć w swoich skromnych progach. – Jego twarz wykrzywił fałszywy uśmiech.

– Nie takich znowu skromnych – zaoponowałem, wskazując okazały, choć dość stary i brzydki dom; typową

kostkę ze schyłkowego okresu PRL-u. – Garaż też spory.

– Chodzi wam o samowolę budowlaną? – Kocewicz wyraźnie się zdziwił. – Przecież już zalegalizowana.

– Tak, wiem – rzuciłem. – Ale w tamtych czasach pewnie niełatwo było o materiały, co?

Kocewicz machnął ręką.

– To było już w latach dziewięćdziesiątych. Komuna się skończyła. Garaż stawiał mój teść, on popełnił samowolę, on go legalizował w nadzorze budowlanym, aż wreszcie umarł, a ja nie mam z tym nic wspólnego. To o co w końcu chodzi, bo przecież nie o tę budę?

– Wejdziemy czy będziemy rozmawiać na ulicy? – zapytał Tomek.

– Wejdziemy, ale tylko do ogrodu. Nie muszę was wpuszczać do domu. Nawet mi się nie przedstawiliście ani nie wylegitymowaliście, chociaż to wasz zasrany obowiązek.

– To czemu pan z nami rozmawia?

– Bo nie potrzebuję widzieć waszych blaszek ani papierków. Jedziecie gliną na kilometr. Temu.

– Pan ma doświadczenie, co? – Rędzia się uśmiechnął.

– Owszem. – Kocewicz podszedł do furtki, z kieszeni dresowych spodni wyciągnął klucz i otworzył ją na oścież, puszczając nas przodem. – Stare dzieje. Siedziałem kilka razy i co z tego? Dawno z tym skończyłem.

Wszedłem pierwszy, Tomek nie skorzystał z uprzejmości gospodarza, tylko odczekał, aż Kocewicz

wreszcie zorientuje się, że nie pozwoli mu zająć pozycji za jego plecami. Wszedł w końcu ostatni, zatraskując za sobą furtkę.

– Tędy. – Kocewicz minął mnie i zniknął w zielonym tunelu, prowadzącym na tył domu.

Poszliśmy za nim i po chwili znaleźliśmy się w ogrodzie porośniętym niekoszoną i zachwaszczoną trawą oraz kilkunastoma skarłałymi jabłonkami. Bruzdy w korze drzewek bieleły miejscami wypłukanym niemal do cna wapnem, którym je malowano chyba jeszcze w poprzedniej epoce. Wokół pni leżały kożuchy ze zwiędłych, opadłych płatków ich kwiatów. Pod ścianą domu, przy zejściu do piwnicy stał obłazący z farby ogrodowy stół i dwie ławki bez oparc. Kocewicz usiadł na skraju jednej z nich, oparł łokcie o kolana i lekko pochylony podniósł głowę, popatrując na nas.

– No? – rzucił.

Nie usiedliśmy, tylko stanęliśmy nad nim. Rozejrzałem się po ogrodzie. Widok zaniedbanego trawnika wzbudzał zgrozę nawet we mnie.

– Zna pan Jarosława Bagicza? – zaczął Tomek.

– Nie.

– Handlował samochodami...

– Nie znam. Nie wiem, o kogo chodzi. Czego wy ode mnie chcecie?

– A Bieżuna pan zna?

Kocewicz zacisnął usta, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok. Potem parsknął cicho i skupił wzrok na swoich dłoniach.

– Stare dzieje...

– Czyli zna pan?

– Powiedzmy.

– Co pan ma na myśli?

– Znałem go dawno temu.

– Wracając do pana teścia... Razem zrobiliście ten „Silverpol” w dziewięćdziesiątym trzecim, co?

Oczy Kocewicza zrobiły się wielkie jak młyńskie koła. Błysnęło w nich coś na kształt podziwu, a usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Długo wam zeszło – powiedział.

– Ano długo – przyznał Tomek. – Czyli to jednak wy?

– Minęło dużo czasu. To się chyba nazywa przedawnienie, tak? – Wyraz twarzy Kocewicza był niemal bezczelny i w sumie trudno się temu dziwić, bo miał rację.

– Owszem, tak to się właśnie nazywa. – Rędzia pokiwał głową, a jego twarz z kolei wyrażała udawany podziw nad przebiegłością Kocewicza; ale tylko przez chwilę, bo zaraz potem dodał: – Ale zabójstwa przedawniają się dopiero po trzydziestu latach, wiedział pan o tym?

Brwi Kocewicza zbiegły się nad okularami.

– Przecież wtedy nikt nie zginął? Co wy mi próbujecie...?

– Zdaje się, że ktoś został postrzelony?

– Nie pierdolcie. Mieliśmy zwykłe gazowce. Poza tym nie padł nawet jeden strzał.

– Fakty są takie, że do szpitala po napadzie przywieziono postrzelonego w brzuch przechodnia. Był w szoku i uciekł spod rentgena. Zniknął. Nigdy go nie odnaleziono. A może właśnie ktoś trafił na jego ciało w jakiejś piwnicy? Robi się nieciekawie, co?

Kocewicz roześmiał się. Szczerze. Zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu i rżał jak koń na łące. Tomek spojrział na mnie lekko zdziwiony, więc przejąłem pałeczkę.

– To może posłuchamy pańskiej wersji wydarzeń? – zaproponowałem Kocewiczowi, kiedy już się uspokoił. – Zrobiliście ten skok nie tylko z teściem, co? Bieżun też był w to zamieszany?

– Mam zostać kapusiem?

– Nie kapusiem. Tak jak pan sam powiedział, ta sprawa uległa przedawnieniu. Snujemy teraz wspomnienia i zbieramy informacje o Bieżunie. Nie chcemy, żeby został pan kapusiem, tylko żeby nam pan pomógł znaleźć mordercę.

– Mordercę?

– Tak, mordercę.

Kocewicz był wyraźnie stropiony i autentycznie zaskoczony.

– Rysiek zabrał się do mokrej roboty? Nie do wiary...

– Zostawiliście go tam u jubilera, prawda? Kiedy ktoś zawiadomił policję i na miejscu pojawiły się pierwsze radiowozy, uciekliście, zostawiając Bieżuna na zapleczu. Tak?

Kocewicz się skrzywił.

– Mniej więcej. On po prostu tam zniknął. Kiedy usłyszeliśmy z Kazkiem, moim przyszłym teściem, syreny, po prostu włączył nam się tryb ucieczki. Rysiu nie był dzieckiem i musiał zdawać sobie sprawę, że jakby co, to każdy musi radzić sobie sam.

– Ale zostawić kumpla na pastwę policji?

– Kiedy pierwsze emocje opadły, postanowiliśmy wrócić i sprawdzić, co się dzieje. Nie żebyśmy zaraz się martwili o Ryśka. Bardziej o siebie, bo gdyby go złapali, mógłby nas wydać, żeby zmniejszyć sobie wyrok. Poszedłem sam. To, że tam wróciłem, nie było może najmądrzejsze, ale wtedy wydawało nam się najlepszym rozwiązaniem. Wymyśliliśmy na szybko, że niby zwrócę znaną biżuterię, która miała metki „Silverpolu”. I tak zrobiłem. Wyciągnąłem z worka kilka pierścionków, ale kiedy tam dotarłem, Ryśka już nie było. Ludzie mówili, że z zaplecza wynieśli kogoś rannego, że niby od kuli. Wiedziałem, że Bieżun nie miał ostrej broni, więc

domyśliłem się, że to nie on strzelał, tylko został postrzelony, być może przez jednego z jubilerów.

– Nie został postrzelony. Z akt sprawy wynika, że na miejscu nie użyto broni. Symulował.

– Czyli nie umarł i nie został znaleziony w jakiejś piwnicy? – zapytał chytrze Kocewicz.

– No nie – przyznałem. – Choć szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy to nie byłaby lepsza opcja.

– Na pewno dla tego, którego zabił – skwitował moje słowa.

– Otóż to. – Nie sprostowałem, że chodzi o kilka osób, nie było takiej potrzeby. – Skoro mieliście tylko broń gazową, skąd Bieżun wziął ostry nabój? I po co?

– Nosił go na szczęście. To był jego talizman; pistoletowa kulka. Zrobił sobie z niego breloczek, na takim krótkim łańcuszku, miał go przy kluczach. I już, cała zagadka... Wbił go sobie jakoś w brzuch?

– Powiedzmy. – Spojrzałem na niego. – Bagicza naprawdę pan nie zna? Nie był wtedy z wami?

– Powiedziałem już, że nie znam. Byliśmy tylko we trzech. Nikt więcej o tym nie wiedział, i tak zostało. Do dziś... – Zerknął na nas.

– Bieżun nie zgłosił się po swoją część łupu? – zapytałem.

– Nie. – Zawahał się przez chwilę, a potem lekko zgarbił. – No dobra, wiedziałem, że nie został postrzelony.

– Tego akurat się domyśliłem – mruknąłem.

– Jak?

– Pana śmiech na sugestię kolegi o odnalezieniu ciała Bieżuna był bardzo szczery i radosny.

– No tak...

– To jak było z tą jego częścią?

– Nijak. Podczas napadu widziałem Ryśka po raz ostatni. Więcej się z nim nie spotkałem. Zadzwoił dwa dni później do mnie do domu. Z miasta, z budki. Opowiedział mi, jak się wykpił policji. Miał trochę pretensji, że uciekliśmy bez niego, ale bez jakichś gróźb; sam w końcu przyznał, że niepotrzebnie polazł na to zaplecze. Powiedział, że niedługo zjawi się po swoją część i żeby mu ją na razie przechować. Nie przyszedł ani niedługo, ani nigdy. Nie szukałem go, ja nawet nie wiedziałem, gdzie on dokładnie mieszka, podobno wyjechał na jakiś czas do RPA. Nigdy u niego nie byłem, a on nigdy nie wspomniał swojego adresu. Przysięgam na wszystkie świętości: nie wiem, co robi teraz, gdzie jest ani czy w ogóle żyje. Musi teraz mieć pod pięćdziesiątkę, tyle co ja. Nie widziałem go od tych dwudziestu paru lat i nie mam ochoty oglądać go znowu. Tyle w temacie. Nic więcej nie wiem.

Tomek westchnął i zrobił bolesciwą minę.

– Jest wyjątkowo niebezpieczny i mamy podstawy sądzić, że zabija ludzi, których uważa za sprawców swojego nieszczęścia. Nie będę panu tłumaczył

szczegółów, ale chodzi o to, że niestety nie jesteśmy pewni, jakie dokładnie są kryteria tego sprawstwa, rozumie pan? Ale wygląda na to, że żeby zasłużyć na karę, wcale nie trzeba było zrobić mu jakiejś wielkiej krzywdy. A na pewno nie takiej, jak zostawienie go po nieudanym napadzie na miejscu przestępstwa. Zostawienie współnika. To już zdaje się dość duży kaliber, chociaż Bieżun nie miał o to pretensji, nie sądzi pan?

– Sądzę... – Kocewicz potarł czubek nosa.

– No właśnie.

– Sądzę, że wiem już, co teraz zrobię...

– No?

– Zniknę na jakiś czas. Na wszelki wypadek. Wyjadę sobie do dalekiej rodziny żony. – Spojrzał na nas i lekko się uśmiechnął pod nosem. – Ze zrozumiałych względów nigdy nie darzyłem stróżów prawa sympatią, ale teraz szczerze, naprawdę szczerze, życzę panom powodzenia. I szczęścia. To był kawał zimnego sukinsyna. Inteligentnego sukinsyna, chociaż nie wyglądał ani na inteligentnego, ani na sukinsyna. Taak, Rysiu był pod pewnymi względami naprawdę wyjątkowy. Potraktujcie moje słowa poważnie. Śmiertelnie poważnie...

– Tak się pan go wystraszył?

– To nie strach. – Kocewicz pokręcił siwą głową. – To zdrowy rozsądek. Oraz to, że zdążyłem go kiedyś dobrze poznać. I to mi wystarczy.

– Był agresywny? Wybuchowy? – zapytałem.

Kocewicz zastanawiał się przez chwilę.

– I tak, i nie – powiedział w końcu.

– Czyli?

– Zdarzały się momenty, że wybuchał złością. Wkurwiał się na maksa, ale zaraz gasł, uspokajał się i zachowywał, jakby nic się nie stało. To było... chore. Nie wiedziałem, jak reagować w takich chwilach. Ale mimo wszystko odnosiłem wrażenie, że on to w sobie jednak wciąż dusi. Że zapamiętuje to każdemu, kto go zdenerwował. Wiecie, o co mi chodzi?

– Wiemy. – Tomek skinął głową.

– Ale zaznaczam, że to tylko moje wrażenie.

– Wiemy – powtórzył Rędzia.

Na pożegnanie jeszcze raz obrzuciłem ogród spojrzeniem pełnym zgorznienia. U siebie, w Bartoszewie, nie widuję takich rzeczy zbyt często, a właściwie nigdy nie widziałem tam czegoś takiego. Wyszliśmy na ulicę, Kocewicz odprowadził nas do furtki, a potem patrzył za nami oparty o przesłó ogrodzenia pospawanego z pasów grubej blachy z wyciętymi w nich taśmowo elementami. Jeszcze jedno oprócz domu wspomnienie minionych czasów, niczym kolejny eksponat w jakimś peerelowskim skansenie.

Wsiedliśmy do samochodu. Tomek położył ręce na kierownicy i westchnął.

– Rozwiązaliśmy zagadkę kryminalną sprzed ćwierćwiecza. Nikomu nie można nic za to zrobić. Co więc nam to dało? Niewiele, praktycznie nic. Po co był ten ślad? Trop do tego wydarzenia znajdował się w liście numer trzy, a więc jeszcze w czasie, w którym mieliśmy sądzić, że Nietykalnym jest ten nieszczęsny Łopaciński. Tymczasem prowadzi prosto do Bieżuna. A to może oznaczać, że ta gra zaczęła się jednak wcześniej.

Pokiwałem głową.

– Ale wiemy teraz, że Bieżun jest bezwzględny przeciwnikiem. Wiemy, że w sytuacjach, w których innych zjadłyby nerwy, on zachowuje zimną krew. Sam przyznasz, to był majstersztyk. Rozegrał to po swojemu. To jakby zapędzony w ślepy kąt lis, zamiast gryźć, udawał rudego kociaka z puchatym ogonkiem, dał się potulnie złapać myśliwym, pozwolił wywieźć się poza swój teren, a potem zwał i to tak, że wszyscy umierali z niepokoju, co się, kurwa mać, stało z biednym kotkiem? No nie mam racji?

– No masz – przyznał niechętnie Rędzia, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Zawrócił na ciasnej ulicy i ruszył w stronę centrum. Zerknąłem jeszcze do tyłu, ale Kocewicza już nie było; zniknął w swoim skansenie.

Szczerze mówiąc, chyba wszyscy po cichu liczyliśmy na to, że w końcu jakiś patrol przypadkiem wpadnie na Bieżuna, albo przeciwnie – to Bieżun wpadnie na patrol. Nasze nadzieje wbrew pozorom nie były płonne, bo wiele razy zdarzało się, że ujęcie niebezpiecznego skurwysyna mimo zaangażowania znacznych sił policyjnych było czystym zbiegiem okoliczności. Ale zdarzało się i na odwrót. Po ujęciu mordercy okazywało się, że można było złapać go znacznie wcześniej i tylko dzięki głupiemu przypadkowi udawało mu się odwlec moment schwytania, co często przekładało się bezpośrednio na większą liczbę ofiar. Istniała też trzecia możliwość. Najgorsza. Niektórych nigdy nie schwytano.

Siedzieliśmy u siebie w komendzie i milczeliśmy. Młyny sprawiedliwości miały powoli, a te organów ścigania nie są szybsze. Obserwacja bliskich, czy raczej byłych bliskich, Bieżuna trwała. Jończyk miał powoli dość wydzwaniania po gminach i zlecenia Zalewskiemu sprawdzeń podejrzanych i budzących wątpliwości kradzieży dokumentów. Przy okazji wykryli kilka

szwindli z wyłudzeniem kredytów, ale to ich nie pocieszało. Rędzia siedział w swoim fotelu z rękami założonymi za głowę i patrzył w okno, myśląc nie wiadomo o czym, a ja przeglądałem jedną z teczek z aktami sprawy „Nietykalny”. Popatrzyłem na kartę z danymi Bieżuna i uśmiechnąłem się do siebie.

– Co tak się cieszysz? – zapytał Rędzia.

Spojrzałem na niego wesoło.

– Pomijając historię opowiedzianą przez Kocewicza, mamy chyba kolejne potwierdzenie, że tam, u jubilera, to był jednak Bieżun.

– Bo? – zapytał Tomek.

– Wiesz, po tym postrzale pojawiła mi się jako efekt uboczny pewna przypadłość. Nie jest dolegliwa, a czasem nawet się przydaje.

– Jaka?

– Zapamiętuję pewne rzeczy. Przypadkowe, a czasem nieprzypadkowe. Wbijają mi się w pamięć kompletnie nieistotne informacje, głównie numery. Potrafię je nieświadomie zapamiętać, a potem z zaskoczeniem sobie uświadamiam, że pamiętam akurat je i to po długim czasie. Tablice rejestracyjne, telefony... I nazwiska.

– Do czego zmierzasz?

– Na drzwiach gabinetu tego chirurga, którego odwiedziliśmy w sprawie napadu na jubilera, była tabliczka. „Kierownik Kliniki Chirurgii Ogólnej

i Gastroenterologicznej, prof. dr hab. n. med. Mieczysław Gudejko”.

– Możliwe, nie pamiętam.

– A ja tak. Pamiętam również, że profesor powiedział na końcu, że tamten człowiek zapytał go, skąd pochodzi jego rodzina.

– No tak, i co z tego?

– Gudejko to panięskie nazwisko matki Bieżuna. – Pokazałem je na kartce.

– I myślisz, że to o czymś świadczy?

– Tak właśnie myślę. To może potwierdzać, że facet leżący na stole pod rentgenem wcale nie był ranny. Kiedy jest się rannym, a wokół tyle się dzieje: wszyscy biegają w panice, w perspektywie masz operację, której możesz nawet nie przeżyć, to pytanie, które wtedy zadał, jest, sam przyznasz, lekko od rzeczy?

– To po co je zadał?

– Zobaczył plakietkę na fartuchu lekarza. Identyfikator z nazwiskiem. Kiedy widzisz, że ktoś nazywa się jak twoja matka, naturalne jest zainteresowanie, czy to czasem nie jakaś daleka rodzina. Zwłaszcza jeśli nazwisko jest dość rzadkie, a to chyba jest? I o ile zgodzę się, że zainteresowanie jest naturalne, to na pewno nie w takich okolicznościach. O takich rzeczach raczej nie myśli się w być może ostatnich chwilach życia, co?

– Nie – przyznał.

– A skąd wiesz? – zapytałem, uśmiechając się szeroko.

– Bo w takich chwilach faktycznie myślałem o czym innym.

Spoważniałem.

– Okej – chrząknąłem, nie wnikając.

Rędzia przeciągnął się w fotelu i odchylił do tyłu, niemal tracąc równowagę.

– Sławek, są jakieś nowe informacje o Bagiczu? – zapytał Jończyka.

– Nic.

– Czyli dalej nie wiemy, czy ostatnia ofiara miała cokolwiek wspólnego z napadem na jubilera, nawet biorąc pod uwagę słowa Kocewicza. Nie możemy być więc pewni, że to zemsta. A przynajmniej za porzucenie go u jubilera.

– Może niepotrzebnie upieramy się przy tym „Silverpolu” – powiedziałem.

– Czegoś musimy się trzymać. Oczywiście to nie oznacza automatycznie, że trzymamy się wyłącznie tego, prawda? Sławek, liczę na ciebie. – Rędzia wycelował w niego palec.

– Taa... – mruknął Jończyk w odpowiedzi.

Kiedy zadzwoniła komórka, odruchowo i błyskawicznie złapałem się za kieszeń. Niepotrzebnie, to była ta moja, a nie Bieżuna. Spojrzałem na numer; nic mi nie mówił.

– Halo? – rzuciłem do telefonu.

– Witam, panie radco – usłyszałem głos Cieślara.

– Dzień dobry – odparłem beznamyślnie, myśląc, że dzień właśnie przestał być dobry. – Słucham.

– Dzwonię tylko, żeby przekazać panu pewną informację. Uznałem, że powinien pan o tym wiedzieć jako osoba bezpośrednio zainteresowana. Wiedzieć odpowiednio wcześniej.

– Słucham – powtórzyłem.

– Zadałem sobie trud i pojechałem do zakładu karnego w Lublińcu, żeby porozmawiać z niejaką Martą Kielan. Coś panu mówi to nazwisko, panie radco?

– Owszem – rzuciłem sucho.

Tak samo zrobiło mi się w ustach. Kurwa, do Lublińca jest ponad pięćset kilometrów; jeśli pojechał tam tylko po to, to musiało mu bardzo zależeć. Przypomniały mi się słowa Tomka, które padły w ogrodzie domu Łopacińskiego. Cieślara właśnie zaczynał mnie przeżuwać. Niemal poczułem enzymy jego śliny nadżerające moją skórę. Wiedziałem, o czym rozmawiał z Martą.

Jezu, byłem tego pewien...

– Pozdrawia pana, nawiasem mówiąc.

– Dzwoni pan w konkretnym celu, czy żeby pieprzyć o przeszłości? Mam lepsze rzeczy do roboty niż pieprzenie, więc proponuję się streszczać.

– Z panią Kielan rozmawiałem o znacznej sumie w euro, która zniknęła z jej domu tuż przed lub w trakcie zatrzymania; a pan również w nim uczestniczył.

Bingo. Oczywiście, nie trzeba geniusza, żeby na to wpaść, ale można było się jeszcze ludzić. Do tej chwili. Więc teraz nie pozostało mi nic innego, jak grać.

– Nie interesuje mnie, o czym pan rozmawiał z Martą Kielan. – Chłód mojego głosu miał sprawić, że Cieślara najdzie ochota na jak najszybsze skończenie rozmowy. – Do widzenia.

Niestety, to nie podziałało.

– A może powinno. Ta pani twierdzi, że to pan musiał zabrać plecak z pieniędzmi. Jest o tym wręcz przekonana. Ach, zapomniałem dodać, że w plecaku były również narkotyki...

– Nie interesują mnie twierdzenia tej pani. I nie mam bladego pojęcia, o czym pan pieprzy, tak jak nie miałem pojęcia, o czym pieprzą ci, którzy robili to rok temu i półtora. Nie jest pan pierwszy. A tak przy okazji: coś pan jej obiecywał za te słowa? Na przykład możliwość ubiegania się o warunkowe zwolnienie wcześniej niż za czterdzieści lat?

– Nie. Nie mam takiej możliwości. Na razie nie mam... Ale coś mi się wydaje, że ten aspekt został całkowicie pominięty w postępowaniu prowadzonym przeciwko tej pani i jej współnikowi. Nie wiem tylko, czy celowo, czy przez zaniedbanie.

Westchnąłem. Cieślak nie miał racji; ten aspekt nie został pominięty, jego rozpoznanie było tylko odsuwane w czasie. Marta i Bogutowicz od początku mówili, że

pieniądze znajdowały się w domu. Ekipa sprawdzająca dom twierdziła coś innego. Ja, oczywiście, również. Ale sprawa co jakiś czas wracała. Nikt tak łatwo nie zapomni o dwustu tysiącach euro.

Niecałych dwustu tysiącach.

– To muszę chyba panu coś uświadomić – oznajmiłem.
– Ta pani powie wszystko, żeby tylko osiągnąć swój cel. Owinie sobie pana wokół palca, obieca rewelacje, potem sypnie jakimiś zmyślonymi historyjkami, ale to pan zrobi z siebie głupka. Niech mi pan wierzy, wiem, co mówię.

– Nie wątpię – prychnął.

– Pewnie pan myśli, że jest teraz zabawny. To może powie mi pan jeszcze coś zabawnego o mojej żonie i córce?

Zamilkł.

– Zamierzam przyjrzeć się tej sprawie, panie Suder – powiedział po chwili, a jego głos tchnął zimnem, przy którym mój chłód z początku rozmowy był podmuchem letniego wietrzyku. – Zamierzam również sprawdzić, czy w sprawę nie są umoczeni inni oficerowie komendy wojewódzkiej.

– W taki sposób zawiadamia mnie pan o wszczęciu postępowania?

– Nie ma jeszcze żadnego postępowania. Ale ja jestem cierpliwy, panie radco. Cierpliwy i dokładny. Będę się przyglą...

– Do widzenia, panie prokuratorze. – Rozłączyłem się.

Podszedłem do okna i wróciłem pamięcią do chwili zatrzymania Marty i Bogutowicza w domu w Podjuchach. Zobaczyłem siebie zakładającego niedbale na ramię plecak, który stał pod ścianą. Zobaczyłem Jacka odprowadzającego mnie do drzwi zatroskanym spojrzeniem i kilku anonimowych policjantów rozglądających się po domu. Jacek nie żył. Nie mógł świadczyć przeciwko mnie, choć i tak wiedziałem, że nie pamiętał dokładnie chwili, w której wychodziłem stamtąd z plecakiem. A przynajmniej to dawał mi do zrozumienia, kiedy żył. Nie miałem pojęcia, czy Cieślar, przy całym swoim godnym Torquemady zapale, ma możliwość sprawdzenia, kto jeszcze uczestniczył w zatrzymaniu. I czy te osoby pamiętają cokolwiek, a przede wszystkim Sudera z plecakiem na ramieniu. Nie wiedziałem, co robić... Wiedziałem tylko jedno: w robieniu sobie wrogów byłem niezrównany.

Byłem w tym mistrzem.

– Dawałeś może Cieślarowi mój numer? – zapytałem Rędzi, odwracając się i chowając telefon do kieszeni.

– Twój...? A, tak... Wczoraj albo przedwczoraj. Zadzwonił do mnie i poprosił, zapomniałem ci powiedzieć. A co? – zainteresował się.

– Nie, nic. – Potarłem palcem bliznę na głowie, która nagle zaczęła mnie swędzieć.

– Źle, że dałem?

– Nie, nie o to chodzi. To niczego nie zmieniło.

– To o co chodzi? Coś z Kielan?

Uśmiechnąłem się, ale to nie był radosny uśmiech. Cieślar wiedział, że o tej porze jestem w pracy, w dodatku nie jestem w niej sam. Mógł poczekać z przekazaniem mi tej wiadomości do wieczora. Ale nie poczekał. I to też o nim w jakiś sposób świadczyło, w dodatku nie najlepiej.

– Nie do końca z Kielan – powiedziałem w zamyśleniu i poklepałem się po kieszeni, w której tkwił telefon. – Przeżuwa mnie.

– Cieślar? – Tomek zmarszczył brwi. – A nie mówiłem?

– Mówiłeś.

– Możemy ci jakoś pomóc?

– Nie możecie, Tomek. Przykro mi, ale nie możecie...

Rędzia miał teraz taką samą minę jak ja wtedy, gdy była mowa o myślach w ostatnich chwilach życia. Nagle zerwał się z fotela, zdejmując z oparcia swoją kurtkę. Zafurczała w powietrzu i trzepnęła rękawami o ścianę.

– Chodź, pojedziemy się odstresować – rzucił.

– Gdzie?

– Na Wernyhory.

– Co jest na Wernyhory? Oprócz niezłych kebabów?

– Strzelnica. Tam jest również policyjna...

Zamarł nagle w pół ruchu, wkładając ramię w rękaw kurtki.

– Cholera, sorry... – stęknął. – Powiadają, że w domu powieszzonego nie rozmawia się o sznurze. A ja ci tu

o strzelaniu...

Uśmiechnąłem się lekko.

– Idąc tym tokiem myślenia, musiałbym przestać korzystać z samochodów, unikać motocykli, a także nie zbliżać się do szpitali. Stary, daj spokój...

– No to w porządku. – Odetchnął.

Kilka minut później jechaliśmy już w kierunku Pogodna. Tomek ściszył radio, prowadził jak na siebie bardzo spokojnie, jakby się nigdzie nie spieszył.

– Też zostałem kiedyś postrzelony, wiesz? – powiedział nagle.

– Naprawdę?

– Naprawdę. W szyję. Niegroźnie, jak się okazało. To zdarzyło się osiem lat temu. Jechaliśmy z kumplem sprawdzić jedno miejsce, gdzie miał się zamelinować gość, który podobno wiedział coś o pewnym zabójstwie na Niebuszewie. Przez radio usłyszeliśmy, że w śródmieściu jest jakaś jazda. Na jednym z podwórek, wiesz, w takiej studni otoczonej budynkami, jakiś naćpany gnojek zranił funkcjonariusza nożem. Osaczyli go, ale machał tym majchrem, ciął się po przedramionach i wrzeszczał, że ma HIV i że wszystkich ochlapie krwią i pozaraża. Przejeżdżaliśmy niedaleko, no i zatrzymałem się, chociaż kumpel mówił, żeby się nie wpierdalać w nieswoje sprawy. Nie posłuchałem go, a jak zobaczyłem, że przed kamienicą stoi karetka, to już w ogóle włączył mi się tryb „bohater”. Weszliśmy tam... Nie do wiary, mówię ci. Jak

w amerykańskim filmie. Pod ścianą leży ten raniony nożem policjant, dwóch ratowników opatruje go na miejscu, pod nim kałuża krwi. Trzech młodych z pałami otacza tego gnoja, ale żaden nie robi nic sensownego. Boją się. Jeden ma wyciągniętą broń. Wszyscy krzyczą. Wszyscy! Rzuć nóż, gleba, i tak dalej. A tamten swoje: *Mam HIV-a, mam HIV-a!* To wszystko zlewa się w jeden bełkot, który odbija się od ścian budynków, tak że już nic nie można zrozumieć. Z okien patrzą ludzie i nagrywają telefonami. Opierają się o parapety, jakby przyjechała, kurwa, orkiestra Staśka Wielanka albo innego Wesołego Romka i przygrywała ku uciesze gawiedzi, czekając na datki. Cyrk, mówię ci, po prostu cyrk. Tamten w końcu rzucił się na tych trzech. Zaczęli go tłuc tonfami, ale się przedarł i poleciał do bramy, w której staliśmy my. I wtedy ten, który wcześniej wyciągnął broń, strzelił. Prosto w naszą stronę. I dostałem w szyję. Tak naprawdę to było draśnięcie, ale padłem na ziemię, bolało jak cholera, krwi wyleciało więcej niż z tamtego dziabniętego nożem. W takim momencie nie wiesz, co ci jest. Nie ogarniasz. Przez chwilę myślisz, że to już koniec. Że zaraz będzie po tobie. Że nie załatwiłeś tylu spraw. Że nie zobaczysz żon swoich synów ani wnuków. I ten ból... Kurwa, jak to boli... – Pokręcił głową. – Dopiero potem zbierasz się w sobie, zaczynasz trzeźwo myśleć, bo wiesz, że od tego może zależeć twój dalszy los. Zaczynasz mieć nadzieję, że jednak dasz radę, ale ta chwila, w której

witałeś się z kostuchą... Nawet nie wiem, czy ten stan można nazwać szokiem. W szoku nie czujesz bólu, postępujesz całkowicie irracjonalnie i tak dalej...

– Jak to się skończyło?

– Dla mnie? Dwoma szwami i miesięcznym zwolnieniem. – Odsunął skraj T-shirtu i pokazał mi ledwo widoczną, małą, podłużną bliznę na szyi, tuż nad barkiem. – Nie miałem potem żadnych problemów z psyche. Żadnych snów, z których budziłem się zły zimnym potem. Fal gorąca na widok broni albo bandziora. Niczego, taki ze mnie wyzuty z uczuć sukinsyn. Psycholożka trochę się dziwiła, w końcu leżąc tam, w bramie kamienicy, byłem pewien, że umrę, a takie rzeczy powinny zostawić w człowieku trwałe ślady. U mnie albo nie zostały, albo wyparłem to tak głęboko, jak tylko się dało. A może to po prostu trwało zbyt krótko, żeby wypalić mi w głowie ten ślad... Nie wiem. Agresora w końcu dopadli i tak stłukli, że potem pewnie ruski miesiąc sikał krwią. Ten dźgnięty nożem wyżył. Wrócił do pracy, ale za biurko. Ten, który mnie postrzelił, odszedł na własną prośbę, ale i tak nie pozwoliliby mu zostać. Ostatecznie sprawę zakwalifikowano jako wypadek, choć wszyscy uczestniczący w tym cyrku jakieś tam konsekwencje ponieśli. Nawet ja i kolega, bo nikt formalnie nas tam nie skierował, więc teoretycznie nie powinno nas tam być. Parę filmików z akcji pojawiło się w necie, wrzuconych przez te hieny wystające w okien,

ale to wszystko. Zresztą tego rodzaju hitów jest w sieci mnóstwo, więc nikt się nie przejął... I już.

– A teraz jak gdyby nigdy nic jedziemy sobie na strzelnicę? – Roześmiałem się. – O ile pamiętam, mieliśmy się odstresować, a nie przypominać sobie traumatyczne zdarzenia?

– Ogień zwalczaj ogniem. – Rędzia też się roześmiał. – Jak dzieciak uczący się jeździć na rowerze upada, trzeba go natychmiast wsadzić na niego z powrotem. Nie wiedziałeś?

Wiedziałem. Przynajmniej teoretycznie. Kiedy Agnieszka uczyła się jeździć na rowerze, byłem przeważnie w pracy...

Dojechaliśmy na miejsce. Strzelnica ćwiczebna na terenie KWP przy Wernyhory jest strzelnicą mobilną. Składa się z dwóch połączonych kontenerów i można ćwiczyć w niej strzelanie na krótkim dystansie, na dwóch stanowiskach strzeleckich. Taki typ strzelnicy daje możliwość użycia broni krótkiej i maszynowej, choć w przypadku tej drugiej strzelanie odbywa się wyłącznie ogniem pojedynczym i z ograniczeniami dotyczącymi kalibru i rodzaju pocisków oraz ich energii i prędkości początkowej.

Tomek przywitał się z instruktorem. Jego dłoń zniknęła w dłoni wielkiego, krótko ostrzyżonego faceta, moja utkwiała w niej chwilę później. Pogadali chwilę, widać znali się już wcześniej, potem przeszliśmy krótkie

szkolenie, dostaliśmy glocki, a kiedy instruktor wcisnął przycisk elektromagnetycznej zwory zabezpieczającej wejście do hali strzelań, przeszliśmy do niej przez małą służę. Hala strzelań była szumną nazwą, w rzeczywistości stanowiła krótki, wyłożony antyrykoszetowymi okładzinami kwadratowy tunel. Założyliśmy ochronniki słuchu i okulary przeciwoodpryskowe i przeładowaliśmy broń.

Ostatni raz, gdy trzymałem w rękach pistolet, zastanawiałem się, czy pociski, które tkwiły w ciałach zabitych w porcie policjantów i bandytów, pochodziły z mojej broni. Strzelałem jeszcze dawniej, nawet nie pamiętam kiedy. Kawał zimnej stali wpasowany pomiędzy kciuk i pozostałe palce, wypełniony śmiertelnościami ładunkami ciążył nieprzyjemnie w dłoni. Oddaliśmy po piętnaście strzałów w stronę złowrogich postaci czających się w tunelu z wycelowaną w nas bronią. Były od nas oddalone o piętnaście metrów i tylko na papierze. Naciskałem język spustowy miarowo i beznamiętnie, obserwując kręcące się w powietrzu łuski i niemal nie celując, chyba podświadomie chcąc po prostu skończyć jak najszybciej czynność, która nie sprawiała mi ani odrobiny przyjemności. Wszystko trwało kilkanaście sekund. Kątem oka zobaczyłem, że Tomek opuszcza swojego glocka, więc zdjąłem nauszники. Rędzia zrobił to samo, a po chwili jego tarcza podjechała do nas jak na zawołanie.

Tomek odłożył pistolet i wziął ją do ręki. Zauważyłem, że większość otworów po pociskach znajduje się wewnątrz obrysu sylwetki. Znacząca większość. Położył palec na szyi postaci, jakby chciał zbadać jej tętno.

– Tu dostałem – rzucił cicho.

Moim zdaniem zbyt cicho, jak na to, co mówił o braku śladów traumy. A może wciąż byłem ogłuszony hukami strzałów dochodzących do moich uszu pomimo ochraniaczy?

Rędzia złożył tarczę i schował do tylnej kieszeni dzinsów, a potem wziął glocka i zważył go w dłoni.

– Do broni mimo wszystko mam stosunek obojętny – powiedział. – Nie uważam jej za groźną. Groźni są tylko ludzie, którzy ją trzymają. Ale fascynuje mnie w jakiś sposób, to prawda. Patrzę na młodych, którzy biorą ją do ręki, i widzę, jak zmieniają im się oczy. Jak głęboko nabierają powietrza. Jak pewniej stają na nogach i unoszą im się ramiona. Robią się więksi i mocniejsi. A dlaczego? Bo to właśnie daje im broń: poczucie wielkości i mocy. Ale tak jest tylko na strzelnicy, kiedy mają przed sobą papierowego ludzika pięć, dwadzieścia czy trzydzieści metrów przed sobą. A kiedy przychodzi co do czego, zamiast w opony samochodu strzelają kierowcom w głowę. Albo nawet kolegom w szyję. Bo tak wyszło, rozumiesz? Wiem, że to trochę krzywdząca opinia i generalizowanie, ale pamiętasz, jak kilkanaście lat temu z cyrku uciekł tygrys? Była obława, a w końcu jeden

z naszych przed kamerami zastrzelił z kałacha weterynarza zamiast tygrysa. Takie rzeczy zdarzyły się nie raz i nie dwa, ale mnie chodzi teraz o ogólną zasadę. – Wskazał na drugą złowrogą papierową postać czającą się w krótkim tunelu. – Prztykanie raz czy dwa razy w roku nic nie daje. Byle odbębnić i żeby w papierach się zgadzało, bo „sztuka jest sztuka”. Otóż, kurwa, nie, nie jest. Nie z bronią. I dlatego również nie oszukujmy się, że to, co przed chwilą zrobiliśmy, sprawi, że zostaniemy snajperami. Nie zostaniemy. – Spojrzał na mnie nieco weselej. – No, wygadałem się. To teraz możemy skoczyć na kebab do Turka. Co ty na to?

– Tak w pracy?

Zerknął na zegarek i cmoknął.

– Jest już po pracy, panie radco – zauważył. – Od dwunastu minut.

– Aha. To jestem za...

* * *

Kolejny dzień nie przynosił niczego nowego aż do wpół do pierwszej po południu.

Moja bezustanna gotowość w oczekiwaniu na telefon od Bieżuna zmieniła się w przyzwyczajenie i swego rodzaju nawyk. Doładowywałem baterię codziennie wieczorem, sprawdzałem co jakiś czas, czy nie przegapiłem połączenia i to wszystko. Dlatego, kiedy w końcu Bieżun zadzwonił, serce, jak to mówią, niemal

wyskoczyło mi z piersi. Byłem w pokoju tylko z Rędzia, oglądaliśmy właśnie wyselekcjonowane przez Jończyka akta osób ubiegających się o dowód osobisty i paszport, które uznał za warte sprawdzenia w terenie. Wydruki tych danych, obejmujące wnioski z całej Polski, zajmowały spory segregator. Mrówcza robota, ale teraz to było nieważne.

– Halo? – rzuciłem do słuchawki niemal bez tchu.

– Dzień dobry, panie Dariuszu – rzucił Bieżun wesoło, a ja wciąż gorączkowo zastanawiałem się, po co dzwoni.

Zapowiedzieć kolejne zabójstwo? Dać podpowiedź? Wyjaśnić coś?

– Witam – odpowiedziałem chłodno.

– Jak tam poszukiwania Nietykalgiego?

– Trwają. I wygląda to obiecująco...

– Naprawdę? Pan komisarz Rędzia, jeśli nas słucha, a pewnie słucha, pewnie się teraz zdziwił. Bo coś mi się jednak wydaje, że kręcicie się w miejscu. Mylę się?

– Owszem – rzucił Rędzia pod nosem, ale dość głośno, bo Bieżun go usłyszał.

– Dzień dobry. Pan komisarz coś nie w sosie?

Tomek tylko uniósł wzrok i pokręcił głową z wyrazem lekkiego obrzydzenia na twarzy.

– Komisarza nie bawi pańska gra – powiedziałem. – Będę szczerzy: mnie też nie, ale chyba nie mam wyjścia...

– Ależ ma pan wyjście! – wykrzyknął, jakby to było oczywiste. – Wystarczy powiedzieć, że nie jest pan nią

zainteresowany, a przerwę ją natychmiast. Co pan na to, panie Dariuszu? Czy jest pan pewien, że tego chce? Czy jest pan tego absolutnie pewien?

– Szczerze mówiąc, panie Bieżun, jak do tej pory ta gra niczego nam nie dała. Niczego. Rozmawialiśmy kilka razy, sam nie wiem w jakim celu, usłyszeliśmy szumne zapowiedzi, jaka to arcyciekawa rozgrywka będzie, a tu nic... Wciąż nic. Słowa, słowa, słowa... Wyłącznie puste słowa.

Zerknąłem na Tomka. Uniósł kciuk, skinął mi głową i bezgłośnie, samymi wargami powiedział: „tak trzymaj”.

– Dobrze. – Bieżun nie zdenerwował się, jak tego oczekiwałem. – Pozwolę wam zadać kilka pytań. Powiedzmy trzy. Oczywiście nie na każde odpowiem, na przykład gdzie mnie można znaleźć, ale oto daję wam niepowtarzalną szansę. Zastanówcie się dobrze, bo nie będzie powtórek. Nie w tej rundzie.

– Aha, a pan nam na te pytania uczciwie odpowie? – zapytał Rędzia głośno i kpiąco.

– Owszem. – Głos Bieżuna był śmiertelnie poważny. – Jak gra, to gra. Ja zawsze przestrzegam zasad, rozumiecie? Zawsze!

– W porządku – mruknąłem, pokazując Rędzi otwartą dłoń; miałem nadzieję, że to czytelny sygnał, który zmusi go do tego, żeby trochę przystopował. – Przyjmuję do wiadomości.

– W takim razie słucham. Pierwsze pytanie.

– Nie da nam pan czasu na zastanowienie? –
zdziwiłem się.

– Nie ma aż tak dobrze. – Bieżun się roześmiał. –
Teraz, od razu, z marszu. Albo przegrywacie rundę.

– W jaki sposób ostatnia ofiara jest powiązana
z pozostałymi? – zapytałem, nie tracąc czasu, jakby to był
finał „Familiady”.

– Hmm, ciekawe pytanie... Rozumiem, że rozważył
pan ryzyko?

– Ryzyko?

– Zadając je, zdradził mi pan, że tego nie wiecie. Ale
chęć poznania prawdy przeważała. To zrozumiałe.
Szacowanie potencjalnych zysków i strat. I to na szybko,
w stresie...

– Tak, właśnie tak zrobiłem. Szybki bilans. Błagam,
niech pan tego wszystkiego nie przeintelektualizowuje.
Proszę o odpowiedź.

Bieżun się roześmiał.

– Ostatnia ofiara nie miała nic wspólnego
z pozostałymi. Nawet nie wiem, jak się nazywała.
Wspominałem już, że to nowe otwarcie, ze
zmodyfikowanymi zasadami? No właśnie, to jedna z nich.
Brak powiązań z tamtymi. Zobaczyłem, jak samochodem
najeżdża na gołębia na ulicy. Biedny ptak stał sobie
niedaleko krawężnika i dziobał coś z bruku, a ten
skurwysyn specjalnie skręcił, żeby go sięgnąć kołami.

– Okrucieństwo wobec zwierząt to powód do zabicia człowieka?

– To pańskie drugie pytanie?

– Nie. Potraktujmy to jako pytanie uzupełniające do pierwszego. Po prostu bardzo mnie interesuje ta kwestia.

– Wolałby pan, żeby zginął niewinny człowiek? W tym wypadku można jakoś tłumaczyć śmierć tego gnojka. Przynajmniej próbować. W końcu odpłaciłem mu pięknym za nadobne, a skala nie ma tu znaczenia. Tamci również zapłacili za czyjeś życie. Życie za życie, moje czy gołębia, to bez znaczenia. Po prostu. Życie za życie... – Westchnął i dodał: – Drugie pytanie poproszę.

Spojrzałem na Rędię. Rozłożył ręce i zrobił wielkie oczy. Wskazał mnie palcem, dając mi chyba do zrozumienia, żebym drugie również zadał ja, i wziął długopis, pochylając się nad skrawkiem jakiegoś papierka leżącego na biurku.

– Dobrze, drugie – powiedziałem powoli, żeby dać sobie jeszcze chwilę na zastanowienie się. – Drugie pytanie... Dlaczego to jest gra? Dlaczego gra, a nie zwykle zabijanie, zaspokojenie chuci, zemsta, cokolwiek, co popycha człowieka do zabicia drugiego człowieka? Chcę przez to powiedzieć...

– Wiem, co chce pan powiedzieć – przerwał mi. – Ale na to akurat pytanie panu nie odpowiem. To jedno z tych spoza puli. Mógłbym wymyślić coś na szybko, cokolwiek, na odczepnego, ale nie. Nie zrobię tego, bo pana za bardzo

szanuję, panie Dariuszu. Gra to jedno, ale ostrożność mimo wszystko jest równie istotna...

Pokręciłem głową. Bieżun ściemniał. Gra bez powodu? Gra dla samej przyjemności gry? Tak można grać w scrabble albo w chińczyka, a nie w zabijanie ludzi... Rędzia tymczasem podsunął mi pod nos kartkę. Wbrew temu, czego oczekiwałem, nie było na niej pytania od niego. Zamiast pytania nabazgrał tylko: „Chujowa ta gra. Cokolwiek by nam powiedział, nie mamy żadnej gwarancji, że mówi prawdę. I tak trzeba będzie to sprawdzić...”. Pokiwałem głową. Też to wiedziałem, żadna rewelacja. Ale Tomek mógłby się odrobinę postarać, nawet jeśli nie widział w tym sensu. Bo nawet kłamiąc, Bieżun też zostawiał jakiś trop, podpowiedź. Gdyby nagle takie kłamstwo wyszło w którymś momencie na jaw, moglibyśmy to przeanalizować i spróbować znaleźć jakąś prawidłowość. Cokolwiek.

Skupiłem się ponownie na Bieżunie. Miałem świadomość, że to wszystko się nagrywa, ale nie chciałem, żeby umknęło mi coś, co wymagało szybkiej reakcji w czasie rzeczywistym, w czasie rozmowy. A on tymczasem gadał jak najęty. Jemu skończyły się chyba leki, a mnie pomysły na kolejne, trzecie pytanie. Nie, nie tak; pomysły może miałem, nie wiedziałem tylko, który wybrać, by zapytać o tę najistotniejszą rzecz.

– ...bo ja jestem jak kot. Bardzo przypominam to przemile i niedoceniane zwierzę. Kiedy kot wskakuje na

jakieś wysokie miejsce, którego powierzchni nie widzi z dołu, robi to wyjątkowo ostrożnie. Odbija się mocno od podłoża, skacze i w ciągu jednej krótkiej chwili, gdy opada tam, gdzie chciał się dostać, ustawia łapy tak, by ominąć wszystko, co tam leży, a czego nie widział jeszcze ułamek sekundy wcześniej. Niesamowite. Po prostu niesamowite. I ja jestem jak ten kot. Ostrożny. Przewiduję nieprzewidywalne. Spodziewam się wszystkiego i na wszystko jestem przygotowany.

– Kurwa, w życiu nie widziałem kota o tak absurdalnie rozdmuchanym ego – palnął nagle Rędzia.

Powiedział to głośno, wyraźnie i z czytelną intencją. Doigrał się. Cisza, która zapadła w telefonie, nie wróżyła najlepiej.

– Panu komisarzowi Rędzi wydaje się, że jest zabawny, co? – Głos Bieżuna stwardniał; stał się nagle zimny i kpiący równocześnie. – To może ja też powiem coś zabawnego? A nawet dwie zabawne rzeczy? Pierwsza jest taka, że przegrywacie tę rundę i w związku z tym nie będzie ostatniego pytania. Natomiast ta druga będzie miała formę zagadki, co panowie na to? Nic trudnego, po prostu kilka liczb. Dwanaście, sześćdziesiąt trzy. Oraz liczby dodatkowe: pięć, siedem, pięćdziesiąt jeden. Bardzo zabawne, prawda? Dobra rada na przyszłość: czasem lepiej ugryźć się w język, zanim powie się coś nieodwracalnego. Dotyczy to zwłaszcza komisarza Rędzi. Do usłyszenia.

Bieżun się rozłączył. Spojrzałem na Tomka i zobaczyłem, jak w jednej chwili zbladł, a potem zaczął czerwienieć na twarzy. Oczy zwęziły mu się w szparki, nos zmarszczył, górna warga zbliżyła się do niego, odsłaniając zęby wyszczerzone w grymasie wściekłości. Pytanie „po co to było?”, które chciałem zadać Rędzi, zeszło nagle na dalszy plan.

– O co chodzi? – zapytałem zamiast tego.

– Skurwysyn – wysyczał. – Zajebię, przysięgam, nie dożyje procesu...

– O co chodzi, Tomek? – powtórzyłem spokojnie, mimo wszystko czując przyśpieszone bicie serca. – Co ta za liczby?

– Mój adres – wydusił z siebie. – Santocka dwanaście, mieszkania sześćdziesiąt trzy...

– Chyba... Chyba sobie żartujesz? – Miałem taki sam głos jak Rędzia. – Jak to możliwe?

Popatrzył na mnie tak samo jak wtedy, kiedy dawał mi list i telefon od Bieżuna.

– Jak to możliwe? – powtórzył i pokręcił głową. – Nie wiem, jak to możliwe, ale to jeszcze nic... To nie za te dwie pierwsze liczby go zajebię, tylko za te dodatkowe, wiesz?

Przełknąłem ślinę. Twarz Tomka rozjaśnił na chwilę smutny, bardzo smutny uśmiech, jaki mają ludzie pogodzeni z faktem, że będą zmuszeni zrobić coś strasznego.

– A te dodatkowe, to...? – zapytałem.

– Moje chłopaki chodzą do podstawówki na Jodłowej. SP 51. Do piątej i siódmej klasy. Rozumiesz już?

Wyprostował się, kopnął krzesło i patrzył, jak sunie w stronę ściany, odbija się od niej i upada na podłogę.

– Musimy ich stamtąd zabrać i ukryć – powiedziałem.
– Jak najszybciej.

– Pośpiech nic nie da. – Machnął ręką. – Wie, gdzie mieszkam; wie o mojej rodzinie, ale skoro powiedział nam o tym, to znaczy, że nie wykorzysta tych informacji po to, żeby coś im zrobić. Chciał mnie sprowokować. Może poczuć się ważniejszy, mądrzejszy...

– Dasz gwarancję, że tak nie zrobi? – Spojrzałem na niego. – A co, jeśli stoi teraz pod szkołą, patrzy, jak twoi synowie z niej wychodzą, i zaraz zapyta ich, czy chcą zobaczyć małe szczeniaczki, które ma w domu? Wiem, że są za duzi, żeby pójść na taki numer, ale wiesz, o co mi...

Rędzia zagryzł wargę i zerknął na zegarek.

– Pewnie, że możesz mieć rację – przerwał mi, wstając z krzesła. – Nikt nie da mi żadnej gwarancji. Wyślę po nich patrol. Po Bożenę też... Tylko co dalej? Trzeba im zorganizować bezpieczne miejsce, ale to jest, kurwa, cała papierologia...

– Zostaw to teraz – powiedziałem. – Załatw, żeby ktoś od nas natychmiast pojechał do szkoły i do pracy twojej żony i przywiózł ich tutaj, a ja zorganizuję resztę.

– Ty? – Zmarszczył brwi. – Jak? Bezpośrednio przez Bartoche?

– Nie będziemy mieszać do tego nikogo z komendy. – Pokręciłem głową. – Nie ma na razie takiej potrzeby.

– Więc jak?

– Ktoś ma u mnie dług wdzięczności i pora, żeby go spłacił.

Rędzia parsknął i rozłożył ręce.

– Biorąc pod swój dach całą rodzinę? – zapytał z kpina. – W dodatku nie swoją, tylko obcą? Co to musi być za dług?

Spojrzałem w okno, ale zamiast tego, co za nim było, widziałem tylko czyjąś twarz.

– Spory – powiedziałem bardziej do siebie niż do Rędzi. – Naprawdę spory...

Tomek wziął ode mnie telefon Bieżuna i wyszedł z pokoju, żeby zanieść go do laboratorium, a ja wyciągnąłem swój i wybrałem numer do kogoś, kogo nie widziałem kawał czasu. Ostatni raz spotkaliśmy się na pogrzebie jego córki. Kiedy Leśniewski odebrał, nic nie powiedziałem, tylko poczekałem, aż on odezwie się pierwszy.

– Dzień dobry, panie Darku – powiedział po chwili ciszy; on pewnie też czekał, aż ja odezwę się pierwszy.

– Witam – odparłem.

Nie bardzo wiedziałem, jak rozmawiać z tym człowiekiem po tym, co zrobił. Po tym co „Malecha” zrobił

Milenie i kilku innym ludziom, i po tym, co zrobiłem mu ja, a właściwie po tym, czego nie zrobiłem. Oszczędziłem Leśniewskiemu kilka lat życia, darowałem mu je, by mógł spędzić ten czas z rodziną, a nie w zakładzie karnym. Wciąż nie wiedziałem, czy zrobiłem dobrze; czy tak należało postąpić, czy tak po prostu wyszło. Ale stało się. Decyzje zostały podjęte i wcielone w życie, więc nie było już powrotu do przeszłości. Życie to nie film.

– Słucham pana – powiedział Leśniewski.

On też nie wiedział, jak ze mną rozmawiać. Zdawaliśmy sobie tylko sprawę z jednego: nasza rozmowa będzie konkretna i na jeden temat. Ja to wiedziałem i on też, mimo że nie miał pojęcia, jaki mam do niego interes.

– Potrzebuję na pewien czas jakiegoś lokalu dla kobiety z dwójką nastoletnich dzieci. Najlepiej w zacisznym miejscu. I dyskretnym.

– Poda mi pan jakieś szczegóły czy mam nie wnikać?

– Żona i dzieci policjanta – wyjaśniłem krótko. – Jest na niego zlecenie, wie pan, jak to bywa. Naraził się paru chłopcom z miasta. Twierdzi, że sobie poradzi, ale nie chce ryzykować życia rodziny. Czy to będzie dla pana problem?

– Ma pan na myśli, czy ja zgodzę się ryzykować życie swojej, tak? – zapytał.

– A chce pan ulokować ich u siebie? – spytałem lekko zaskoczony.

– Nie mam chwilowo innej możliwości – odparł beznamyślnie. – Wie pan, jak to jest w interesach: raz na wozie, raz pod wozem. Nie stać mnie obecnie na wynajęcie czegokolwiek, nawet dla pana. Chyba że kawalerkę na Golęcinie, taką z sześćcionożnymi współlokatorami. Mogę panu zaoferować jedynie kąt we własnym domu. A właściwie nie kąt, a osobne pomieszczenia z pełnym zapleczem sanitarnym. Pan wie, kto tam mieszkał, ale myślę, że to nie będzie nikomu przeszkadzać, prawda?

– Nie będzie – zgodziłem się.

Lichota dawno już smażył się w dziewiątym kręgu piekieł, więc nie powinien mieć nic przeciwko, podobnie jak żona Tomka, która nie miała pojęcia o jego istnieniu. I lepiej, żeby tak pozostało, na wszelki wypadek.

Nie bez przyczyny zwróciłem się o schronienie dla rodziny Rędzi właśnie do Leśniewskiego. Skoro Bieżun zdołał zdobyć tyle informacji o Tomku i jego bliskich, istniało ryzyko, że ktoś mu w tym pomógł. W związku z tym przy szukaniu bezpiecznego miejsca należało uniknąć wszelkich pośredników, nawet jeśli byli związani z organami ścigania. A może zwłaszcza takich. Życie mnie tego nauczyło. Bolesnie. Dlatego, mimo zaskoczenia, jakie poczułem w pierwszej chwili, ucieszyłem się, że Leśniewski zaoferował schronienie we własnym domu. Nie miałem pojęcia, co knuł Bieżun, zdradzając się ze swoimi informacjami o Tomku, ale

wiedziałem, czego mógł się w takiej sytuacji spodziewać po nas. Właśnie tego, że wszystkim zajmie się odpowiednia komórka policji. I może o to mu chodziło? A Leśniewskiemu daleko było do czegokolwiek, co wiązało się z szeroko pojętym wymiarem sprawiedliwości. Jego reputacja pozwalała stworzyć znakomitą zasłonę, nieprzenikalną i bezpieczną. Jak to mówią, najciemniej jest pod latarnią. I mówią tak nie bez kozery.

– Czy możemy przyjechać jak najszybciej? – zapytałem. – Powiedzmy, w ciągu godziny?

– Proszę uprzejmie – zgodził się Leśniewski i podał dokładny adres. – Czekam.

* * *

Jechaliśmy moim samochodem na Warszewo. Jak zwykle, sprawdziłem wcześniej parę rzeczy na Google Streetview. Leśniewski mieszkał na Wapiennej, w domu z wielkim ogrodem ukrytym za murem i ogromnym żywopłotem z tui, któremu mój, nieprzekraczający dwóch metrów, mógł czyścić gałęzie. Lepszego miejsca nie mogłem sobie chyba wyobrazić.

Żona Tomka i jego dwaj synowie siedzieli w milczeniu z tyłu. Bożena wciąż dochodziła do siebie, a początkowe przerażenie, które ogarnęło chłopaków na wieść o sytuacji, w jakiej się znaleźli, powoli zmieniało się w podekscytowanie. Może to i dobrze. Może zniosą to lepiej, niż myślałem.

– Zrozum, Bożena... – Tomek odwrócony w ich stronę machał rękami, jakby to miało mu pomóc ją przekonać – ...muszę normalnie pracować, muszę przede wszystkim dorwać skurwiela... Wy dwaj, zatkać teraz uszy... Przykro mi, że tak to wyszło, ale nic nie poradzę. Może myślisz, że nie wiem, co robię, ale wyobraź sobie, że wiem. I dlatego nie będę tam mieszkał z wami.

– Tylko gdzie? – Głos Bożeny był nienaturalnie wysoki; z napięcia, gniewu i wielu innych powodów.

– U mnie – powiedziałem. – Będzie mieszkał u mnie.

– A co z waszym bezpieczeństwem?

– Dostaniemy obstawę. – Pokiwałem głową, widząc wzrok Tomka. – Poważnie, załatwiłem z Bartochą. W najbliższej okolicy będzie przez cały czas funkcjonariusz. Spokojnie.

– Ale ja nie rozumiem, Tomasz, dwóch rzeczy; jak bandzior może grozić policjantowi, a po drugie: jak już do czegoś takiego doszło, to dlaczego nie możemy mieszkać wszyscy razem w jakimś policyjnym tajnym mieszkaniu, nawet nie wiem, jak to się nazywa...

– Bożena, to nie jest takie proste...

– W porządku, więc wyjaśnij mi to. Proszę, słucham.

– Dobrze. Po pierwsze: bandziory zawsze groziły policjantom, prokuratorom, sędziom, dlatego właśnie, że są bandziorami. Tak było, jest i będzie i nie pytaj mnie dlaczego. A ja jestem policjantem, więc automatycznie się w to wpisuję. Teraz proste?

Żona Tomka nie wiedziała nic o Nietykalnym. Oficjalna wersja była taka sama jak dla Leśniewskiego. Komisarz Rędzia wszedł w konflikt z przedstawicielem szczecińskiego półświatka, więc musiał przez jakiś czas siedzieć cicho i na wszelki wypadek ukryć gdzieś rodzinę. Ryzyko zawodowe. Żona marynarza godzi się na rozłąkę, a żona policjanta na to, że niektórzy ludzie mają mu za złe to, kim jest z zawodu.

Godzi się na to przynajmniej teoretycznie...

– A po drugie? – zapytała Bożena.

– Ten dom, do którego jedziemy, to takie właśnie tajne mieszkanie. – Tomek nie patrzył na nią ani na mnie. – Facet jest głęboko, naprawdę głęboko zakamuflowany... Zatkanąć uszy, mówiłem... A ja nie mogę mieszkać z wami, bo muszę pracować...

Chłopcy szeptali coś do siebie.

– Nie będziemy chodzić do szkoły? – zapytał starszy.

– Co ja mówiłem o uszach?

– Ale to ważne, tata. My też się liczymy, tak? Nie jesteśmy już dziećmi...

– Myłeś dziś rano zęby?

– Myłem, a co to ma...

– Ten ktoś, kto patrzył na ciebie z lustra: jak wyglądał? Jak dorosły?

– Nie, no ale...

– Więc owszem, jesteście dziećmi.

– Ale nie jesteśmy już mali i traktuj nas poważnie. To będziemy czy nie?

Tomek westchnął.

– Przez jakiś czas nie.

– Huraaaa!

– Myślicie, że to zabawne, głąby? – Odwrócił się do tyłu. – Będziecie przerabiać program z podręczników z mamą. Codziennie, według planu lekcji. Będziecie mieć raz w tygodniu sprawdziany. I to nie wszystko: macie być idealni, jak anioły. Usłyszę tylko, że wykorzystujecie sytuację, to obetnę internet i telewizję. Zostanie wam gapienie się w okno i rozmowy ze sobą. Może od tego przynajmniej trochę zmądrzejecie.

– Pięknie. – Zobaczyłem w lusterku, że Bożena patrzy w okno, a jej oczy wciąż skrzą się złością. – Przepięknie. Ja też mam pracę, przypominam ci...

– Pamiętam. Załatwię ci zwolnienie.

– Nie tylko o to chodzi. Zostawiasz mnie samą z...

– Tak – powiedział Rędzia tonem, że chłopakom uśmiechy zniknęły z twarzy. – Rozmawialiśmy kiedyś o możliwych kryzysach w naszym życiu, pamiętasz? Że frank zdrożeje, że któreś z nas może stracić pracę, dostać raka albo wpaść pod samochód...

– Tomek, dzieci...

– To jest właśnie taka sytuacja. To jest kryzys i to większy niż cholerny frank szwajcarski. Więc zażegnajmy go najszybciej i najlepiej, jak tylko się da, dobra? I nie

przeszkadzaj mi w tym, bo robię, co mogę, i też nie jest mi z tym dobrze, okej?

Bożena pokiwała głową, złość w jej oczach zastąpiły łzy i do końca trasy w samochodzie panowała absolutna cisza.

* * *

– Wejdźcie – powiedział Leśniewski, cofając się lekko i jeszcze szerzej uchylając drzwi wejściowe.

Zrobiłem to pierwszy. Za mną ostrożnie weszła Bożena z chłopakami, a na końcu Tomek, tachający wielką walizkę w szkocką kratę, które ledwo mieściła się w bagażniku mojego opla. Mijając „Malechę”, spojrzałem mu w twarz. W przedsionku było ciemnowo, ale od razu zauważyłem, że się zmieniła, odkąd widziałem ją ostatni raz.

– Wylew – wyjaśnił cicho, zauważając mój wzrok zatrzymujący się na wiszącym kąciku jego mięsistych ust. – Na szczęście lekki. Ale niedowład zostanie już na zawsze. Wchodźcie, wchodźcie, zapraszam...

Byłem tu pierwszy raz. Dom był spory i już nienowy. Zbudowano go jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu, w okresie, kiedy miasto zachłannie wdarło się na wolne i zielone tereny między starym Warszawem a Osowem, anektując je na potrzeby swoich mieszkańców, którzy dorobili się sporych pieniędzy, czasem tyrając jak woły całe lata, a czasem nagle i niemal bez trudu, jak to

w okresie prosperity bywa. Domu Leśniewskiego nie nazwałbym rezydencją, nie był też wielki. Wyglądał jak zwykły dom, który ma zapewnić podstawowe i niewyszukane potrzeby mieszkańcom, nienawykłym do luksusów, a może po prostu zupełnie ich niepotrzebującym. Wnętrze skromne, zupełnie nie pasowało mi do właściciela; nie do tego „Malechy”, którego widziałem w wypasionym biurze w Lastadia Office. To był po prostu dom. Nie ładny, nie brzydki; normalny.

Kiedy obejrzałem się i zobaczyłem wzrok Bożeny rozglądającej się po salonie, przypomniałem sobie Milenę i Kosmę. Boże, jak historia lubi się powtarzać... Nieważne, czy zatacza koła, czy występowanie podobnych do siebie zdarzeń jest jedynie czystym przypadkiem.

Leśniewski ze swadą pełnił honory pana domu. Kiedy się postarał, potrafił być czarujący, trzeba mu to przyznać. Pokazywał dom Rędziom, wyjaśniając, że żona jest w pracy, córka na uczelni, to jest dawny pokój najstarszej córki, a tam będą mieszkać. Na koniec wprowadził ich do tej części, którą dawniej zajmował niesławnej pamięci Jerzy Lichota. Zniknęli za drzwiami, a ja zostałem w salonie. Kilka minut później Leśniewski pojawił się z powrotem.

– No – oznajmił z zadowoleniem – mają tam wszystko, czego im trzeba. Niech się teraz zainstalują. Usiądziemy na chwilę?

Wskazał kanapę, za którą stał regał z zaskakująco dużą liczbą książek, głównie historycznych. Usiedliśmy. Leśniewski nie zaproponował mi nic do picia, ja nie prosiłem. Chciałem jak najszybciej stąd wyjść. Nie z powodu „Malechy”. Czekają nas sporo pracy. I im dalej od rodziny Tomka, tym dla nich lepiej.

Leśniewski uśmiechnął się smutno i poprawił okulary, które zsunęły się na czubek nosa. Wyglądał nobliwie; przytył trochę, skóra na czole i pod powiekami zmarszczyła się i zmatowiała.

– Taak – powiedział. – Wygląda na to, że jestem już na ostatniej prostej, panie Darku. Może pożyję jeszcze pół roku, a może dziesięć czy dwadzieścia lat, kto wie, ale to już ostatni etap w moim życiu. Nie starość, bo starość to stan umysłu, ale właśnie ostatnia prosta. W normalnej pracy przechodziłbym właśnie na emeryturę, ale ja nigdy nie miałem normalnej pracy. Choroba nie wybiera, z serduchem też już nie najlepiej, czas zacząć o siebie dbać. Wycofałem się z kilku interesów, żyję z oszczędności, udzielam się rodzinie, bawię wnuki. „Malecha” zdiadział, powiedzieliby niektórzy, i kto wie, może mieliby rację... Aż nie do wiary, co? – Roześmiał się połową twarzy, a potem nagle spowaźniał. – Pół roku. W pół roku z pełnego werwy faceta w średnio zaawansowanym wieku zaangażowanego w wiele spraw zmieniłem się w dziadka. Śmierć Andżeliki, wylew... Pół roku: zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Trudno uwierzyć,

jak podobne są nasze historie... – podniósł rękę, kiedy zobaczył, jak nabieram oddech, żeby zaprzeczyć – ...i jacy jesteśmy do siebie podobni. Wiem, już kiedyś mówiłem o tym naszym podobieństwie, ale po pańskiej twarzy widziałem wtedy, że nie przekonałem pana. Zgadza się, myliłem się. Nie byliśmy do siebie podobni, nie w tamtym czasie. Ale teraz jesteśmy. Jesteśmy podobni, bo tak ukształtowały nas losy. I dopiero teraz to naprawdę rozumiem, dopiero teraz wiem, jak to jest, cokolwiek pan sobie myśli. Ja to po prostu czuję. Czuję to, co pan, a przynajmniej bardzo podobnie.

Pomyślałem, że Leśniewski znów się myli. Mylił się wtedy, mylił się i teraz. Chociaż... Przypomniałem sobie Bożenę rozglądającą się po jego domu i Milenę, która rok temu robiła to samo u mnie. Może jednak Leśniewski miał odrobinę racji? Odrobinę. Ani nasze życia, ani my nie byliśmy podobni. To tylko pewne wydarzenia, które w nich wystąpiły, mogły się takie wydawać. Jedna na dwa i pół miliona osób zginie w katastrofie lotniczej. Jedna na dwieście pięćdziesiąt tysięcy w wypadku samochodowym. A ja z Leśniewskim byliśmy wśród tych, którym los zabrał kogoś bliskiego i podarował kalectwo. Ilu może być takich jak my? Nie wiem. Ale to czysta statystyka. Nie oznacza, że jesteśmy do siebie podobni.

– Pan wybaczy, panie Jarku, ale nie będę się z panem licytował – powiedziałem. – To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Każdy z nas ma swoje życie i zostaniemy przy

tym. Dziękuję panu za schronienie dla rodziny kolegi. Zdaję sobie sprawę, że to może być dla pana uciążliwe, więc tym bardziej jestem wdzięczny.

„Malecha” zerknął znad okularów.

– Kwestie wdzięczności zostawmy na boku – odparł cicho. – Po tamtej historii nie uratował pan tyłka mnie. Nie tak traktuję to, co pan dla mnie zrobił. Przede wszystkim uratował pan moją rodzinę. – Popukał się palcem w klatkę piersiową. – Moją, rozumie pan? I ja to wiem. Dlatego teraz ja pomogę innej rodzinie, choćby mnie to miało słono kosztować.

Zauważyłem, że Leśniewski zdążył nabrać dystansu do wydarzeń sprzed niespełna roku. Sam fakt, że nazywał je „tamtą historią”, świadczył o tym wymownie. I nie chodziło nawet o chorobę i śmierć jego córki, bo z tym na pewno się nie pogodził, ale o śmierć innych ludzi, do której pośrednio się przyczynił. Ale nic nie powiedziałem. Nie chciało mi się i nie miało to żadnego sensu.

Kiedy w drzwiach zobaczyłem Tomka, wstałem z kanapy i wyciągnąłem do Leśniewskiego rękę.

– Jakby co, proszę dzwonić o każdej porze. Do mnie albo do kolegi. Jeszcze raz dziękuję, panie Jarku.

Pożegnaliśmy się z nim i wyszliśmy. Nie odprowadził nas. Kiedy wsiedliśmy do opla, zapytałem Tomka:

– Głęboko zakamuflowany, he?

– A co miałem jej powiedzieć? Nawet nie wiem, kim ten facet jest...

Milczałem.

– Powiedziałem, że nie wiem, kim on jest – powtórzył, zapinając pas. – Dowiem się?

– Trochę za późno, co? – Roześmiałem się i wyjechałem na ulicę.

Odruchowo zerkając w lusterko wsteczne, zauważyłem, jak skrzydła automatycznej bramy zamykają się za nami. A potem powiedziałem Rędzi, kim jest Jarosław „Malecha” Leśniewski.

* * *

Pół godziny później byliśmy u mnie, w Bartoszewie. Powiadomiłem Bartochę o sytuacji, na wszelki wypadek z telefonu sąsiada Waldka. Kiedy oddawałem Waldkowi komórkę, rzucił spojrzenie za rozdzielający nasze ogrody płot i syknął:

– To ten o pana wtedy rozpytywał. Ten, co z panem przyjechał.

Uśmiechnąłem się lekko. Waldek widział Rędzię przez chwilę, zza swojego płotu, kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Dobry jest, pomyślałem.

– Będzie miał pan oko na obcych, co, panie Waldku? – zapytałem.

– Jak zwykle, panie Darek – pokiwał siwą głową – jak zwykle. W coś się pan znowu wpakowałeś czy co?

– Nie – odparłem. – Tym razem to mnie wpakowali. Na razie.

Wróciłem do siebie. Tomek siedział na kanapie z „Bosmanem” w ręku. Butelka nie miała już kapsla, ale Rędzia nawet nie zaczął pić piwa. Lekko drgnął, kiedy wszedłem do altany.

– Śledził mnie – powiedział. – Tylko dlaczego mnie, a nie ciebie? To z tobą gra, nie ze mną. Wkurzyłem go czymś czy co?

– Owszem, wkurzyłeś. – Pokiwałem głową, idąc do lodówki po piwo dla siebie.

– Nie mówię o tym, co się stało te kilka godzin temu. To musiało być wcześniej. Tylko nie wiem czym i kiedy... Ciekawe, czy za tobą też łaził?

– Nie musiał. – Skrzywiłem się. – O mnie wszystkiego dowiedział się z internetu i gazet.

Tomek wreszcie napoczął piwo. Przełknął pierwszy łyk i otarł usta.

– Jak mogłem nie zauważyć ogona? – zapytał, chyba samego siebie. – Mam pamięć do twarzy, w Lidlu czy na stacji benzynowej potrafię rozpoznać faceta, którego gdzieś, kiedyś raz już widziałem. Raz, i nawet nie wiem gdzie i kiedy, ale wiem, że już go widziałem. A przecież teraz wiem, jak on wygląda! Znam jego mordę na pamięć, w najdrobniejszym szczególe!

– Pamiętasz, co mówił Cieślar o sprawdzeniu noclegowni? Może faktycznie przebrał się za menela?

Wygląda jak dziad proszalny, wtapia się w tło... Takich ludzi z zasady omija się wzrokiem.

– Z zasady? – Uniósł brwi.

– Nie bądź taki święty. Wiesz, o co mi chodzi. – Szperałem w szufladzie pod kuchennym blatem w poszukiwaniu otwieracza.

– No dobra, wiem. Ale ja nie omijam ich wzrokiem. Ja im się przyglądam. Nie nachalnie, ale patrzę na nich i zastanawiam się, co się stało. Dlaczego im się to przytrafiło. Taki ciekawski jestem.

– Wszystkim się tak przyglądasz?

– Raczej tak.

– Nie powtórzył się któryś?

– Nie sędzę. – Znów przystawił butelkę do ust, przechylił ją i tym razem upił prawie połowę zawartości za jednym razem.

– To nie wiem, jak to zrobił. – Wzruszyłem ramionami i zobaczyłem otwieracz leżący na stoliku przed Rędią.

– Zapytam go pewnego dnia – Tomek uśmiechnął się jadowniczo – jak on to zrobił... Osobiście go o to zapytam...

Starłem palcem skroploną na zimnym szkle butelki wilgoć i powiedziałem:

– Wieczorem przyjedzie patrol. Będą tu nocować, pod płotem.

– Żartujesz?

– Nie. Bartocha się uparł. To warunek, pod którym możesz u mnie zostać. Inaczej wdrożą określone

zarządzeniami i innymi przepisami procedury, bla, bla, bla...

Rędzia głęboko wciągnął nosem powietrze, odstawił piwo na stolik i zerknął na mnie, a w oczach miał wesołe błyski.

– Wzbudzą sensację na tym osiedlu, co? – zapytał.

– Oj, żebyś wiedział – odparłem. – Żebyś wiedział...

Kiedy wieczorem przyjechał radiowóz, wyszliśmy z Tomkiem na ścieżkę, żeby się przywitać z jego załogą. Aspiranta widziałem po raz pierwszy, ale ładną blondynkę z końskim ogonem i tatuażem na nadgarstku poznałem od razu. Była tu u mnie, kiedy prokurator Pałka zalecił przywiezienie mnie do Koszalina na rozmowę. Pamiętałem koszmary, lepki upał i tę dziewczynę, która siedząc w radiowozie, przywoływała Proma ręką wyciągniętą przez otwartą szybę.

Zobaczyłem, jak ciekawie zerka w stronę żywoplotu, ewidentnie czegoś za nim wypatrując, i pokręciłem głową.

– Nie ma go już – powiedziałem cicho.

Uśmiechnęła się smutno i też pokręciła głową. Kucyk wystający z tyłu policyjnej czapki się zakołysał. Pogadaliśmy z nimi przez chwilę. Odrzucili propozycję kolacji, roześmiali się, kiedy zaproponowałem im, żeby zamiast marznąć w samochodzie, po prostu przespali się na górze mojej altany, bo przecież nikt się o tym nie dowie.

Potem zapadł zmrok, zjedliśmy z Tomkiem kolację, wypiliśmy po jeszcze jednym piwie i poszliśmy spać. Już wkrótce miałem żałować, że wszyscy potraktowaliśmy propozycję noclegu u mnie jako żart...

* * *

Obudził nas pojedynczy wystrzał.

Ostry huk wdarł się niespodziewanie w ciszę nocy. Poderwałem się z kanapy z sercem łomoczącym w piersi. Usłyszałem tupot nóg i w półmroku zobaczyłem na schodach sylwetkę Rędzi. Pochylony, zbiegał z nich z bronią w ręku po dwa stopnie naraz.

–Masz jakąś latarkę!? – wrzasnął.

– Na szafce przy drzwiach!

Zerwałem się na równe nogi i obaj, w samych slipach i podkoszulkach, wybiegliśmy przed dom, w chłód i mrok. Zdążyłem jeszcze włożyć zostawione przy drzwiach wejściowych buty. W niemal całkowitej ciemności widziałem przed sobą tylko białe kółko światła ślizgające się po ziemi przed Rędzią.

Radiowóz stał przed furtką. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, lampka na podsufitce rzucała na deskę rozdzielczą bladą, żółtawą poświatę. Gdzieś w lesie migzło białe światełko innej latarki, jego cienki snop prześlizgiwał się po pniach drzew, niknąc co chwilę pomiędzy nimi. Dochodziło nas wołanie: „Żaneta”. Pobiegliśmy w tamtą stronę, potykając się o gałęzie

i kępy traw, omijając pnie drzew majaczące w gęstwinie i na szczęście trochę widoczne dzięki księżycowi i mojej latarce, którą wciąż trzymał Tomek. Trzaski gałęzi pod naszymi stopami i szum potrącanych ramionami wiotkich, kilkuletnich samosiejek porastających tę połąć lasu zwróciły uwagę policjanta.

– Stój, skurwysynu! Stój, bo strzelam! – usłyszeliśmy paniczny wrzask.

– Policja, policja! – brakowało mi tchu, ale wykrzykiwałem to słowo najgłośniejszym głosem, jak umiałem.

Tomek robił dokładnie to samo. Dotarliśmy w końcu do policjanta. Kiedy oświetlił nas latarką i zobaczył, kim jesteśmy, zaczął spazmatycznie oddychać.

– Żaneta... – dyszał. – Dorwał ją chyba... Szukajmy jej... Szukajmy...

Widać było, że zaraz straci nad sobą panowanie, jeśli już nie stracił.

– Uspokój się. – Głos Rędzi był zimny i opanowany. – Uspokój się i powiedz, co się stało? Słyszysz mnie? Czy mnie słyszysz, człowieku?

Celował mu latarką w klatkę piersiową, tak żeby trochę światła obejmowało również twarz. Aspirant pokiwał głową, przełknął głośno ślinę, oblizał usta i opuścił rękę, w której trzymał pistolet. Jego latarka świeciła teraz w ziemię, malując światłem na darni białe, drżące koła.

– Poszła za potrzebą – mówił szybko, słowa wylewały się z jego ust histerycznym potokiem. – Poszła siku. Mówiłem jej, żeby kucnęła za radiowozem, ale powiedziała, że ktoś może wracać po nocy do domu...

– Gdzie poszła? – zapytałem.

Byliśmy jakieś sto metrów od radiowozu.

– Nie wiem. Nadała mi tylko, że słyszy jakiś szmer, więc kazałem jej wracać, żeby się nie natknęła na dzika. Potem, przez otwarte okno usłyszałem jej krzyk, coś jak „stój!”. Kiedy padł strzał, wyskoczyłem z samochodu. Widziałem światło migające w lesie i pobiegłem w tym kierunku. Wołałem ją, ale nie odpowiadała. Boże, ona musi gdzieś tu leżeć! Gdzieś tu blisko!

– Wezwałeś pomoc?

– Tak – jęknął.

– Czy ona wzięła ze sobą radio? – zapytałem.

– Ma nasobną krótkofalówkę.

– Dobra, mów do niej przez swoją, tylko cicho.

– Co mam mówić?

– Kurwa, nie wiem, cokolwiek! – Byłem zdenerwowany nie mniej niż on, drżał mi głos, sam nie wiem, bardziej z zimna czy z nerwów. – Mów jej imię! Ale niezbyt głośno, rozumiesz? Stój tu i mów!

Pokiwał głową i przytknął swoją krótkofalówkę do ust. Wcisnął przycisk nadawania i zaczął w sekundowych odstępach powtarzać imię dziewczyny.

– Idziemy. – Skinąłem na Tomka, wyjmując aspirantowi latarkę z ręki. – Ja w prawo, ty w lewo...

– Uważaj – powiedział poważnym tonem.

Domyślałem się, o czym mówi.

– Nie wiemy, czy to on. – Pokręciłem głową. – Może to faktycznie dzik albo wypadek. Zaczęła uciekać, uderzyła w drzewo i straciła przytomność...

– Krzyczałyby „stój” do dzika?

– W ciemności każdy kot jest czarny. Dobrze, będą uważał. Nawet jeśli, od dawna go tu nie ma.

– Od góra pięciu minut.

– Ona jest teraz ważniejsza...

Wyjąłem latarkę z ręki funkcjonariusza i rozeszliśmy się z Tomkiem w przeciwne strony. Znalazłem ją dwadzieścia metrów dalej. Najpierw usłyszałem cichy szum, a potem niewyraźne słowo „Żaneta”, dobiegające z lewej strony. Kiedy poświeciłem w tamtą stronę, zobaczyłem skuloną postać leżącą na poszyciu. Czapka leżała obok, jasne włosy rozrzucone wokół głowy przypominały aureolę. Dziewczyna była nieprzytomna, a krew na jej twarzy miała niemal czarny kolor. Zawołałem cicho w stronę, z której przyszedłem, i pomachałem latarkę, żeby aspirant i Rędzia zobaczyli, gdzie jestem. Obaj przybiegli do mnie chwilę później, niemal równocześnie.

– Jezu... – jęknął policjant, przypadając do koleżanki.

Starł jej z twarzy krew i odgarnął cienki kosmyk włosów, który przylepił się do zalanego nią czoła. Wyjął mi latarkę z ręki. Wracało mu opanowanie. Delikatnie odciągnął kciukiem powiekę policjantki i poświecił jej w oko, potem powtórzył to samo z drugim. Usłyszałem ciche westchnienie lekkiej ulgi. Tomek poświecił moją latarką w okolice biodra policjantki. Pistolet tkwił do połowy w kaburze przy pasie, a jej bok był przestrelony.

– Wystrzeliła, wydając go – powiedział Rędzia. – Ile razy? – zapytał aspiranta.

Mundurowy pobladł na twarzy. Zimne światło ledowej diody czyniło ją jeszcze bardziej upiorną.

– Chryste, co to teraz za różnica? – wydusił z siebie, głaszcząc nieruchomą dziewczynę po głowie. Wyglądał jak ojciec usypiający córkę.

Pytanie było uzasadnione. My słyszeliśmy jeden, ale mogły być jakieś wcześniej, których nie usłyszeliśmy, śpiąc.

– Raz – powiedział w końcu.

– Na pewno raz?

– Na pewno.

Rędzia wskazał kaburę.

– Czyli skurwiel niestety nie dostał. Nie zdążyła... To P99, skoro wystrzeliła, wyciągając go z kabury, musiała być w dużym stresie...

Walther P99 nie ma zewnętrznego bezpiecznika nastawnego. Ten typ pistoletu ma tak zwany spust

o długiej drodze nacisku i mechanizm spustowy działający w dwóch trybach. Jeśli broń jest przełączona w tryb samonapinania, a tak zwykle noszą ją jej użytkownicy, potrzeba dużo większej siły, żeby oddać pierwszy strzał. Zapobiega to przypadkowym wystrzałom przy upadku broni i przy jej użyciu w dużym stresie. Dziewczyna faktycznie musiała spanikować. Albo została uderzona w momencie, gdy wyjmowała broń z kabury.

– Kto to jest? Kto to, kurwa, jest!?! – jęczał aspirant. – Wy wiecie, tak? Dlaczego on jej to zrobił!?

– Chłopie, spokojnie...

– Co spokojnie! Była w ciąży, rozumiesz!?

– Co ty powiedziałeś!?

– Byliśmy w ciąży... – Chwycił dziewczynę za rękę. – Drugi miesiąc, nikt nie wiedział i dlatego nie chciała iść na zwolnienie. Właśnie się dla niej rozwodzę, chcieliśmy... Jezu, zróbcie coś, błagam... Gdzie jest to pierdolone pogotowie?

Jakby w odpowiedzi usłyszeliśmy daleki jęk syren. Rędzia odszedł na bok z krótkofalówką aspiranta i zaczął coś do niej mówić. Ja stałem, patrzyłem, jak policjant tuli matkę swojego dziecka, cicho do niej szepcząc, i pragnąłem tylko jednego: być jak najdalej stąd. Niczego nie mogłem już zmienić, niczego. Mogłem tylko iść, gdzieś daleko. Ale nie poszedłem...

Kiedy pnie i korony drzew zabarwiły się niebieską, pulsującą poświatą, pomogłem policjantowi wynieść

dziewczynę na ścieżkę. Oddychała płytko i chrapliwie. Delikatnie położyliśmy ją na trawie pobocza, w pozycji ustalonej bezpiecznej. Z karetki wybiegał już sanitariusz, dojeżdżały kolejne radiowozy. Zaczynał się cyrk. Odszedłem na bok, po chwili dołączył do mnie Tomek.

– Chodź do środka – powiedział cicho. – Nic tu po nas, nie będziemy tak stać w samych gaciach. Później nas przemaglują ...

Poszliśmy do mnie. Usiedliśmy na kanapie i milczeliśmy. Tomek wiercił się, jakby nie mógł się wygodnie usadowić, w końcu spojrzał na zegarek i skrzywił się.

– Wiesz co, jest prawie piąta. Jedźmy do komendy, okej? I tak chyba nie zaśniemy...

Pokiwałem głową. Siedzenie tu nie miało sensu. Machina pościgowa ruszyła i mogliśmy mieć tylko nadzieję, że przyniesie jakiś skutek. W komendzie przynajmniej mogliśmy śledzić przebieg poszukiwań Bieżuna. Ubraliśmy się i wypiliśmy jeszcze kawę, żeby się trochę rozgrzać. Skończyliśmy kwadrans po piątej. Tomek miał rację z tym maglowaniem, czekał nas ciężki dzień.

Zamykając drzwi domu, chwyciłem się odruchowo za lewą kieszeń spodni. To w niej nosiłem telefon Bieżuna. Teraz była pusta. Przypomniałem sobie, że jego komórka została na blacie w kuchni, ładowała się jak zwykle w nocy. Wróciłem do środka. Wszedłem do kuchni,

odłączyłem ją od ładowarki i kątem oka zobaczyłem, że świeci się zielona dioda. Sygnał odebranej wiadomości. Z pewnością nie było jej jeszcze wieczorem.

Tylko jedna osoba mogła wysłać do mnie esemesa na ten telefon.

Aktywowałem komórkę i wszedłem w zakładkę z wiadomościami. Na wyświetlaczu zobaczyłem: *Nie żartujcie sobie więcej.*

Nie zapytałem Tomka, czy wini siebie za to, co się stało. Nie musiałem. Sam mi powiedział. Siedzieliśmy w sali konferencyjnej komendy w oczekiwaniu na Cieślara, Zabiellę oraz Bartochę i rozpoczęcie spotkania roboczego, czy tam narady, jakkolwiek to nazwać. Minęła ósma, a ja byłem niewyspany, głodny i zdenerwowany.

– Nie czuję się winny – powiedział Rędzia, patrząc w sufit. – Nikt nie mógł przewidzieć, co on zrobi. Gdybym miał się obarczać winą za każde niepowodzenie w pracy skutkujące czymś nieszczęściem, tobym dawno albo zwariował, albo zmienił robotę. Dopóki nie jest to efekt mojej niekompetencji, nie mam sobie nic do zarzucenia. To nie ja zabijam i ranię, tylko ten popapraniec. Ryzykuję własne życie i, jak się okazuje, również życie swojej rodziny. Robię to za niecałe trzy i pół tysiąca na rękę, choć to akurat ma najmniejsze znaczenie, bo skoro nająłem się za osła, to muszę ryczeć. Usiłowanie przerzucenia na mnie odpowiedzialności za te akty przemocy uznaję za osobisty afront ze wszystkimi tego bolesnymi konsekwencjami.

– Mnie nie musisz przekonywać – uspokoilem go.

– Wiem – odparł i uśmiechnął się.

W tym samym momencie do sali wszedł Bartocha, wprowadzając Cieślara i Zabiellę. Spotkanie miało być kameralne. Idąca w dziesiątki liczba uczestniczących w nim osób niczego by nie zmieniła, mieliśmy wyjaśnić sobie kilka rzeczy, choć oczywiście zanosilo się na niezły opierdol. Nie było powitań ani wstępów, w których kiedyś celowałem. Od razu przeszliśmy do rzeczy.

– Z ostatnich ustaleń, poczynionych od wczesnych godzin rannych – zaczął referować Rędzia, posiłkując się kilkunastoma kartkami papieru; efektem naszej pracy – działania blokadowe podjęte około kwadransa po zdarzeniu nie doprowadziły do zatrzymania sprawcy. Bieżuna. Na pętli na Głębokim zatrzymano dwóch mężczyzn jadących nocnym autobusem linią „103” z Polic do Szczecina, zostali zwolnieni po badaniach na obecność śladów prochu.

– Po co? – zapytał Cieślara.

– Co: po co?

– Po co to sprawdzaliście, skoro żaden z nich nie był Bieżunem?

– Z ostrożności procesowej – burknął Rędzia. – Zakładamy, że sprawca, niekoniecznie Bieżun, mógł szarpać się z policjantką w momencie wystrzału, może chciał jej wyrwać broń...

– To niekonsekwencja. Przed chwilą, używając określenia „sprawca”, dodał pan: „Bieżun”, a teraz mówi mi pan, że badaliście jakichś typów na obecność...

– Oczywiście, ma pan rację – przerwał mu lodowato Tomek. – W tych okolicznościach nie powinienem sugerować, że to Bieżun, choć oczywiście to bardzo prawdopodobne.

– Dobrze, proszę dalej...

– Patrol straży granicznej wysłany do Dobieszczyna i dalej w stronę granicy nie zanotował żadnych pojazdów, tak samo na drodze do Nowego Warpna i okolicznych wiosek, aż do Trzebieży. Skierowanie w rejon poszukiwań śmigłowca z kamerą termowizyjną również nie przyniosło żadnych efektów. Stan funkcjonariuszki Żanety... – Rędzia zerknął do notatek – ...Ignaciuk lekarze określają jako krytyczny... To tyle, jeśli chodzi o dzisiejsze poranne zdarzenie...

– Działania, o których rozmawialiśmy poprzednio? – Cieślak zadał to pytanie, niemal nie otwierając ust.

– Z dwóch tysięcy czterystu siedemdziesięciu ośmiu gmin, do których wysłano wnioski o sprawdzenie, informacje spłynęły z niecałych dwóch tysięcy dwustu. Do wójtów, burmistrzów i prezydentów tych jednostek, które z jakichś powodów nie zareagowały, osobiście dzwonią właściwi komendanci powiatowi. Liczba wniosków o wydanie nowego dowodu z powodu kradzieży, zagubienia bądź zniszczenia idzie w dziesiątki tysięcy.

Pod uwagę brano w zasadzie skradzione dowody, ale musimy się liczyć z tym, że być może te zgłoszone jako zagubione również mogły zostać skradzione i na odwrót...

– Efekty? – warknął Cieślar.

Rędzia nawet na niego nie spojrzał. Przewrócił kolejną stronę swoich notatek i wyrecytował:

– Komisarz Zalewski na podstawie wyników pracy swoich ludzi zarekomendował sprawdzenie w terenie ośmiu tysięcy dwustu dziewiętnastu osób, a w zasadzie historii ich dowodów po utracie przez właściciela, mówię o kredytach, pobytach w hotelach i tak dalej. Te zalecenia wynikały z racji fizycznego podobieństwa do Bieżuna, oczywiście ocena jego stopnia jest sprawą subiektywną, ale chłopaki nie są idiotami i nie ocenią go po fryzurze czy okularach. Rozpytania środowiskowe w miejscach zamieszkania, potwierdzanie okoliczności i tak dalej. Około dwustu siedemdziesięciu osób z tych ośmiu tysięcy znalazło się w granicach administracyjnych naszego województwa w okresie od zwolnienia Bieżuna z Gronowa do pierwszego z popełnionych przez niego morderstw, z czego w dwudziestu trzech przypadkach kradzież dowodu osobistego nastąpiła właśnie w tym okresie. Te osoby przebywały wtedy bliżej bądź dalej Szczecina.

– Czyli ile? W promieniu od zera do stu, dwustu kilometrów?

– Na obszarze województwa zachodniopomorskiego – wycedził Rędzia.

– Więc kilometr od granicy województwa już nie sprawdzaliście?

– To oczywiście też jest sprawa poczynienia pewnych założeń. Gdzieś te granice trzeba określić, prawda?

– Urzędy wojewódzkie?

– Szesnaście informacji zwrotnych. Poprosiliśmy o sprawdzenie tylko kradzieży i zagubień paszportów na terenie kraju, a nie tych zgłaszanych w konsulatach i ambasadach poza granicami, nawet poza strefą Schengen. Zakładamy, że jednak nigdzie nie wyjechał w tym czasie...

– Dobra... Jakież trafienia?

Pytanie nie miało sensu. Gdyby było trafienie, nie siedzielibyśmy tutaj teraz. Maciek Zabięło nie odzywał się, tylko notował coś w swoim wielkim książkowym kalendarzu.

– Wciąż szukamy – rzucił Tomek. – Jak na razie nazwisko żadnej z tych osób nie wypłynęło w podejrzanych okolicznościach. Nie mówię o zwykłych wyłudzeniach kredytów, bo tego rodzaju przestępstw wykryliśmy kilkaset, prokuratury prowadzą postępowania. Oczywiście nie możemy jednak nie zakładać, że któregoś nie popełnił Bieżun...

Cieślar spojrział w sufit z taką miną, jakby dziwił się, że otoczony jest samymi durniami.

– Zalecam natychmiastową intensyfikację działań – powiedział głośno, podkreślając wagę swych słów pukaniem w blat stołu sztywno wyprostowanym palcem.

– Co tu jeszcze intensyfikować, panie prokuratorze? Robimy bokami, jak konie na drodze do Morskiego Oka. Co więcej możemy jeszcze zrobić?

– Zawsze można więcej! Chcieć, to móc! Kurwa, panowie, on sobie z nas kpi w żywe oczy. Napada na policjantów! Skurwiel nie uznaje żadnych świętości, żadnych! Podnieść rękę na stróża prawa? No, wybaczcie, nie wyobrażam sobie, co jeszcze gorszego mógłby zrobić. Chyba że zaraz zaczną podkładać bomby w restauracjach albo centrach handlowych! Tego chcemy? Z czymś takim nie mieliśmy jeszcze do czynienia... Aż nie chce mi się wierzyć, że to wszystko można zrobić w pojedynek. – Cieślar pogłaskał się po nosie i spojrzał na nas krzywo. – Może to nie on śledził komisarza Rędzię i pana radcę Sudera? Coraz realniejsza staje się hipoteza, że Bieżun może mieć współnika. Z obiema rękami na swoim miejscu. To raz. Dwa: ja wiem, że mógł wyciągnąć trochę wniosków z teatrzyku, jaki urządziliśmy; poznać skład zespołu i tak dalej. Przyznaję, może było to z naszej strony pochopne działanie, choć obliczone na realny cel... Nieważne, stało się, ale chodzi mi o to, że mógł się tego dowiedzieć niekoniecznie z telewizji, prawda? Jedno nie wyklucza drugiego. Podejrzana jest ta znajomość procedur i faktów ze śledztwa, które mogliśmy znać

wyłącznie my. Znaczą policja i prokuratura. – Popatrzył wymownie, i to już nie na nas wszystkich, lecz wyłącznie na mnie.

Cieśladowi od początku nie podobało się, że to mnie Bieżun upatrzył sobie na osobę do kontaktu z organami ścigania czy raczej, jak sam mawiał i pisał: na partnera do gry. Cieślak był na mnie zły, jakbym miał na to jakikolwiek wpływ. Jakby żałował, że to nie on, co na pewno w jakimś sensie pozbawiało go możliwości całkowitego wpływu na tok śledztwa, ale równocześnie sprawiało wrażenie gówniarskiej zazdrości, jak o resoraka czy fajniejszy tornister. A może naprawdę mnie podejrzewał? Po tym, jak opowiedział mi o swojej rozmowie z Martą, mogłem chyba spodziewać się wszystkiego...

– Namierzanie numeru dało tyle, że wiemy jedynie, skąd dzwonił. Za pierwszym razem był to rejon śródmieścia, obszar zamykający się mniej więcej ulicami Więckowskiego, Niepodległości, placem Zwycięstwa i Jagiellońską. Nieduży, w dodatku większość to park i centrum handlowe „Kaskada”, ale trochę mieszkań do sprawdzenia jest. Lepsze to niż nic. Za drugim razem dzwonił z okolic placu Rodła, czyli niedaleko. Musi więc ze swojej nory wyłazić, pewnie po to, żeby kupić jedzenie.

– Jak sprawdzić te wszystkie mieszkania? – zapytałem. – Puścić dzielnicowego, niby z ostrzeżeniem

przed złodziejami? Operacyjnych przebierańców w kombinezonach gazowni?

– Przypominam, że na nagraniu słychać było przejeżdżający samochód i dzwoniący tramwaj – przerwał Rędzia. – To oznacza, że niekoniecznie siedział w mieszkaniu.

– Nie mamy pewności, że to był samochód czy tramwaj. To pan tak twierdzi, a ekspertyzy fonoskopijnej jeszcze nie mamy.

– Owszem, to moja opinia, przynajmniej ta o tramwaju. Ale wiem, co mówię, i będę się upierał.

– Nawet jeśli, może stał w otwartym oknie? Nieważne. Co do pytania pana radcy o charakter działań; to jeszcze dokładnie ustalimy. Dziwne jest to, że sygnał się nie przemieszcza, a wręcz znika po zakończeniu połączenia. Całkowicie.

– W takim razie rozumowanie, że Bieżun w tym rejonie ma swoją norę, jest błędne – wtrącił Zabiello.

– Bo? – Cieślar odwrócił się do niego, unosząc wysoko brwi.

– Zanik sygnału może sugerować, że on w tym rejonie nie przebywa na stałe, jedynie wykonuje z niego połączenie, a potem stamtąd znika – powiedział Zabiello.

– Inaczej po co by to robił? Dziś każde dziecko wie, że telefon da się namierzyć, nawet jeśli jest wyłączony.

– Jak widać, akurat tego telefonu się nie da... – zauważyłem.

– No właśnie. Ale niemal z całą pewnością możemy założyć, że Bieżuna nie ma na stałe w miejscach, z których dzwonił. I w związku z tym faktycznie, jak wspomniał komisarz Rędzia, mógł rozmawiać z panem Darkiem po prostu z ulicy. Na przykład Niepodległości, bo tamtędy przecież jeździ tramwaj. Albo z Bramy Portowej czy ogólnie placu Zwycięstwa...

– Z całą pewnością, mówi pan? – Cieślar spojrział na swojego zastępcę kpiąco i westchnął. – Dobra, nie będziemy tu siedzieć bez sensu na dupach. Do roboty! Ale najpierw porozmawiamy sobie z panami o nocnych wydarzeniach. Pierwszy pan komisarz, później pan radca. Możemy to zrobić tu, na miejscu i od razu. Pan Rędzia zostaje, reszcie na razie dziękuję.

– Będzie szybciej, jeśli porozmawiamy we trójkę – zaproponował Tomek.

– Bez wątplenia – zgodził się Cieślar z zimnym uśmiechem. – Ale teraz nie chodzi o pośpiech. Pan mnie nie uczy mojej roboty, panie komisarzu, dobra?

Bartocha nic nie powiedział. Opuszczając salę, puściłem komendanta i Zabiellę przodem. Zamykając drzwi, obejrzałem się jeszcze i w szparze między skrzydłem a framugą zobaczyłem, jak Rędzia żegna mnie przeciągłym, rzuconym przez ramię spojrzeniem. Potem pożegnałem się z Bartochą i zastępcą Cieślara i usiadłem na krześle stojącym pod ścianą korytarza. Jakby na mnie czekało... Rędzia wyszedł po dwudziestu pięciu

minutach. Zostawił otwarte drzwi, za którymi widziałem Cieślara notującego coś na kartce.

– Będę na górze – rzucił Tomek, mijając mnie. – Pilnuj się, niech cię nie wyprowadzi z równowagi...

Pilnowałem się. Prawdę mówiąc, Cieślar nie dał mi żadnych powodów, bym mógł stracić nad sobą panowanie. Rozmowa była rzeczowa i na temat, nie padło w niej ani jedno słowo związane z Martą Kielan. Po prostu opowiedziałem mu, co wydarzyło się tej nocy w Bartoszewie minuta po minucie, potem Cieślar, nie patrząc mi w oczy, zadał kilka pytań, a kiedy na nie odpowiedziałem, po prostu grzecznie się pożegnał, zostawiając mnie jak zwykle w rozterce, co mam o nim sądzić. Wróciłem na górę do naszej kwatery.

– Gdzie chłopaki? – zapytałem, widząc, że Rędzia jest sam.

– Intensyfikują działania – mruknął. – I jak?

– Nijak. – Wzruszyłem ramionami. – Był grzeczny, formalny i bez zarzutu. Czyli mam się bać?

– Sam już nie wiem. Może dał sobie spokój? Nieważne.

– Co teraz?

– W komendzie miejskiej szykują już stanowisko podpięte do serwera centrum operacyjnego. Prosili, żeby dać im godzinkę albo dwie. Nagrania z miejskiego monitoringu archiwizowane są przez dwa tygodnie. Mamy w miarę dokładne dane dotyczące miejsca, w którym Bieżun przebywał, gdy do nas dzwonił. Jeśli

nawet, jak chce tego Cieślak, on ma gdzieś w tym rejonie metę, musi jakoś do niej dojść, prawda? Plus monitoring z „Kaskady”. Będę przeglądał te cholerne filmy do wyrzygania, ale w końcu go wypatrzę w tłumie. W sumie ilu może być ludzi bez ręki?

– Brak przedramienia można łatwo zamaskować – powiedziałem.

– Nieważne. Będę ślipiał, aż dorwę sukinsyna, jakim Rędzia... – Tomek popatrzył na mnie, marszcząc brwi – ...że tak powiem.

– Też chcę.

– Ależ jesteś zaproszony na seans. – Pokiwał z przekonaniem głową. – Cała nasza czwórka. Spotkajmy się tu za dwie godziny. Nie masz nic do załatwienia na mieście?

– Nie. Mogę poczekać tutaj.

– Okej. – Rędzia zastanowił się nad czymś przez chwilę. – A wracając do tego, co stało się w nocy. Nie tknął żadnego z nas, ani nikogo z mojej rodziny, choć mógł, zanim ich ukryliśmy. Myślę, że my dwaj jesteśmy bezpieczni. Nie eliminuje się uczestników gry, z którymi się ją rozgrywa, prawda? To by było bez sensu.

– Ale pokazuje, że w każdej chwili może to zrobić, nie sądzisz?

– Też bym tak to odczytywał. To nie prymitywna zemsta za zniewagę. To ostrzeżenie, żeby go nie lekceważyć. Chore, ale ostrzeżenie. Jest przewrażliwiony

na swoim punkcie, jak każdy popapraniec. Kurwa, szkoda tej dziewczyny... Kolejny trup...

– Ona żyje.

– Słyszałeś, co mówią łapiduchy. Ma niewielkie szanse...

– Ja również miałem niewielkie, wiesz? Podobno szacowali je na jakieś dziesięć procent.

Rędzia spojrzał na mnie.

– Życzę jej stu procent. Ale sam wiesz... No dobra, pojedę na chwilę do Bożeny i dzieciaków. Muszę się trochę zresetować. – Zerknął na kieszeń moich spodni. – Pilnuj telefonu, dobrze?

– Nic innego nie robię, Tomek. – Poklepałem się po udzie. – Jak już Bieżuna złapiemy, będę musiał iść odwyk. Wiesz, taki, na który wysyłają dzieciaki uzależnione od kompa i komórek...

– Obyś tam trafił jak najszybciej. – Uśmiechnął się słabo. – Jestem za dwie godziny.

– Uważaj na ogon.

– Uważam. Uwierz mi, patrzę do tyłu częściej niż w przód... Na razie.

* * *

Siedzieliśmy w jednym z pomieszczeń formalnie należących do komendy miejskiej, mieszczących się nie w jej głównej siedzibie na Kaszubskiej, lecz w kompleksie budynków usytuowanym naprzeciwko komendy

wojewódzkiej. To tam, w dużej sali obok klitki, w której nas umieszczono, na wielkich monitorach zajmujących całą ścianę tętniło życie miasta, śledzone oczami kilkorga dyżurnych reagujących na najmniejsze przejawy jego zagrożenia. Udostępniono nam pokój ze stanowiskiem umożliwiającym podgląd plików zapisanych na serwerze. W przebogatym archiwum przeróżnych zdarzeń zapisanych cyfrowo w jego przepastnych, wirtualnych przestrzeniach szukaliśmy po omacku człowieka, który napsuł nam mnóstwo krwi.

Po ustaleniu lokalizacji kamer miejskiego monitoringu na obszarze wskazanym przez operatora telefonii komórkowej Rędzia poprosił przydzielonego do tego zadania funkcjonariusza w randze aspiranta o wgląd w zarejestrowane przez nie filmy. Było tego sporo, nawet jak na niewielki wycinek czasu, który zajęła moja pierwsza rozmowa z Bieżunem między dziesiątą czterdzieści siedem a dziesiątą czterdzieści dziewięć.

– Zaczniemy od Niepodległości – powiedział Tomek. – On musiał być na zewnątrz, Cieślar nie ma racji, mówiąc, że Bieżun ma gdzieś tam swoją kryjówkę. Był na zewnątrz i korzystał z osłony tłumu. To najbardziej zatłoczone miejsce w mieście i przyjechał lub przyszedł tam specjalnie.

– Nie wiem, na co się nastawiacie, jeśli chodzi o jakość nagrań – ostrzegł nas policjant, Paweł Baranowski, obcięty na zapałkę blondyn o sympatycznej twarzy. – Nie

zebym miał defetyzm, ale sporo roboty przed nami, a efekty mogą być żadne. Naprawdę żadne...

– Jedziemy – zdecydował Rędzia, stojący nad nim z założonymi rękami.

Nasze krzesła ustawiono przy stanowiskach z małymi monitorami, ale Tomek na swoim nie usiadł nawet na chwilę; najpierw chodził po małym pomieszczeniu od ściany do ściany, a teraz stał nad Baranowskim jak kat nad ofiarą. Policjant kliknął jakąś ikonkę oznaczoną liczbą i zaczęło się. Następne dwie godziny było męczarnią. Ślepienie w monitory w poszukiwaniu kogoś przynajmniej przypominającego Bieżuna wydawało mi się bezcelowe. Mimo niezłej rozdzielczości trudno było z całą pewnością określić podobieństwo do Bieżuna bądź jego brak. Skupialiśmy się w zasadzie na tych sylwetkach, w których z jakichś względów nie widzieliśmy rąk; albo schowanych za torbami, albo pod przerzuconymi przez nie ubraniami. Miałem totalne poczucie bezsilności i beznadziei, które walczyły we mnie ze świadomością, że jakaś szansa istnieje. Małeńka, ale zawsze. I ta świadomość utrzymywała moje oczy szeroko otwarte i sprawiała, że nie uciekały w stronę okna ku zieleni i błękitowi za nim. Każdy z nas siedział przed swoim monitorem i co jakiś czas prosił Pawła o zbliżenie czyjejs postaci. I tak w kółko. Dziesiątki niespełna dwuminutowych sekwencji, dłużących się jak wenezuelskie seriale i powtarzanych po kilkanaście razy,

aż z całą pewnością mogliśmy stwierdzić, że obejrzelśmy wszystkie zarejestrowane w nich osoby.

Aż nagle coś zwróciło moją uwagę. I nie był to mężczyzna bez lewego przedramienia.

Ostatnie kilka lat życia nauczyło mnie czegoś: czasem drobne, niemal niezauważalne szczegóły niepasujące do reszty są oznaką czegoś większego. I niebezpiecznego. Lina pod pomostem na działce Bogutowiczów. Tablica rejestracyjna z obcego miasta pod kancelarią prawną. Starsza kobieta w płaszczu i chustce na głowie, z telefonem przy uchu.

– Zrób zbliżenie na tę staruszkę... – poprosiłem Pawła, odwracając się od swojego monitora.

– Którą? – rzucił Baranowski przez ramię.

– Tę w chustce na głowie. – Podszedłem i pochyliłem się nad nim, pokazując mu ją na monitorze. – Jeszcze, jeszcze...

– No, daj mi chwilę... – Klikał myszą, przesuwając ją szybko i wprawnie po podkładce.

Wydawało mi się dziwne, że staruszka w stroju niemal jak z muzeum etnograficznego rozmawia przez komórkę na ruchliwym deptaku w centrum miasta, w pobliżu najbardziej zatłoczonej galerii handlowej w promieniu dwustu kilometrów. Poza tym specyficznie trzymała telefon przy uchu. Starsi ludzie, nieobeznani z techniką, obawiają się jej. Boją się również o urządzenie, dlatego niemal zawsze trzymają je

w charakterystyczny sposób: delikatnie i niezgrabnie jednocześnie, jak gdyby bali się, że za chwilę je zepsują albo wypuszczą z rąk; nieważne, czy to pilot do telewizora, tablet czy komórka. Ta kobieta trzymała telefon niemal nonszalancko, swobodnie kręcąc głową, łokieć również zataczał szerokie łuki, kiedy zerkała na boki albo oglądała się za siebie. I to był ten szczegół, który zwrócił moją uwagę.

Drobiazg niepasujący do reszty.

– Dziwnie ubrana – powiedziałem. – Ile wtedy było stopni? Ze dwadzieścia?

– Starzy ludzie tak chodzą – odparł Rędzia, machając ręką; podszedł do nas od razu. – Zawsze im zimno, bo krew słabiej krąży. A może to bezdomna? Bezdomni zwykle mają na sobie i przy sobie cały swój dobytek...

– Tomek, zlituj się, bezdomna z komórką?

– No co; niektórzy mają nawet samochody... – wtrącił Jończyk, bujając się na swoim krześle; zauważyłem, że ma przekrwione oczy.

– Dobra, cofnij i sprawdź, czy widać, kiedy zaczyna rozmawiać. – Pochyliłem się nad Pawłem. – Chyba wyszła z za rogu, z Kaszubskiej.

Baranowski zrobił to na podglądzie. Patrzyliśmy, jak staruszka rusza nagle zwawo do tyłu, razem ze wszystkimi ludźmi w polu widzenia kamery. Kiedy docierała do narożnika kamienicy, poprosiłem:

– Teraz powoli.

Kobieta odsunęła telefon od ucha i schowała go do kieszeni płaszcza.

– Dobra, zatrzymaj.

Kiedy Paweł to zrobił, zerknąłem na godzinę w rogu ekranu.

– Patrzcie, dwie sekundy różnicy pomiędzy obrazem a godziną zarejestrowaną jako początek połączenia od Bieżuna.

– Tak? – Rędzia zmarszczył brwi.

– Tak. Sprawdziłem. Te dwie sekundy mają znaczenie? – zapytałem Pawła.

– Znaczenie dla czego?

Wyciągnąłem swój telefon, na którym miałem nagranie rozmów z Bieżunem.

– Co chcesz zrobić? – szczerze zdziwił się Rędzia.

– Odtworzyć nagranie z rozmowy, w tym samym momencie, w którym ta kobieta po raz pierwszy otwiera usta...

– Po co?

– Mam pewne wątpliwości... – Przygotowałem plik do odtworzenia i poprosiłem Pawła: – Puścisz na mój znak od momentu, w którym zaczyna rozmawiać?

Baranowski wzruszył ramionami, jakby już nic nie mogło go zdziwić.

– Pewnie...

– Teraz – powiedziałem i kiedy kadr na monitorze ożywił się, pacnąłem mały trójkącik na wyświetlaczu

komórki.

Popłynął z niej głos Bieżuna: Tu mówi Nietykalny, a chwilę później mój, pełen napięcia i wahania: Witam, panie Bieżun... Uniosłem telefon i powiedziałem do chłopaków, drugą ręką wskazując monitor przed Baranowskim:

– Patrzcie jej na usta.

Obraz był nieostry, nie dało się rozpoznać dokładnych rysów twarzy, ale dość wyraźnie widzieliśmy, jak kobiecie otwierają się usta. Czarna, migająca plamka pojawiała się w tych samych momentach, w których z telefonu płynął głos Bieżuna, a znikwała, kiedy mówiłem ja. Lekki poślizg w czasie nie miał znaczenia; trudno było to zsynchronizować na dwóch niezależnych urządzeniach. Ale nie miałem wątpliwości. To z tą kobietą rozmawiałem przez telefon przysłany nam przez Nietykalnego.

Tylko że to nie była kobieta.

Rędzia przyglądał się mi przez krótką chwilę, a potem lekko uderzył pięścią w ramię.

– Nie do wiary... Nie do, kurwa, wiary...

– Ta baba? – zapytał z powątpiewaniem w głosie Jończyk. – Może to przypadek?

– Przez półtorej minuty? – Tomek kręcił głową jak w transie. – Ruszałaby ustami słowo w słowo przez półtorej minuty? I wybuchnęła śmiechem w tym samym momencie? Kurwa, Darek ma rację, to on! Skurwysyn przebrał się za kobietę! Nie wierzę... Normalnie nie

wierzę. Daliśmy się wodzić za nos... Co ja gadam, za jaki nos. Wydupczył nas bez mydła i wazeliny. Ot co! Krzysiu, sprawdź mi autobus, który zatrzymali w nocy na Głębokim. Tam gdzie zgarnęli tych dwóch Bogu ducha winnych pijaczków.

– Znaczy, co mam sprawdzić?

– Zapytaj, czy wśród pasażerów znajdowały się kobiety!

– Jak mam to...

– Kurwa, nie mam pojęcia! Zadzwoń, gdzie trzeba, i zapytaj. Nie wiem gdzie, to ty jesteś od tego, żeby wiedzieć, no nie? Ustal, kogo tam wysłał dyżurny i zapytaj tego kogoś, czy pamięta ten autobus i kto w nim jechał. To było kilkanaście godzin temu, do cholery...

– Okej, okej...

– Najlepiej przyślij go tu od razu.

Jak się okazało, Zalewski załatwił sprawę w tempie ekspresowym. Po niecałej godzinie, którą spędziliśmy na wałkowaniu tego samego półtoraminutowego filmiku, stał przed nami rosły chłopak w czarnej bluzie i takich samych spodniach. Posterunkowy z komendy miejskiej, przyjęty do służby rok temu, był lekko stremowany, strzelał oczami po ścianach i sprzętach, nie wiedząc, czego ma się spodziewać. Rędzia przysiadł na skraju stolika i oparł łokcie o udo zgiętej nogi.

– Cześć – rzucił wesoło, żeby chłopaka trochę ośmielić, ale efekt był chyba odwrotny.

– Eee, cześć... – wydukał posterunkowy.

– Spokojnie, załatwimy to w try miga. Chcemy cię zapytać o coś związanego ze sprawą tej sierżant zaatakowanej na Bartoszewie. Trzepałeś nocny autobus na pętli na Głębokim, tak?

– Tak, z kolegą.

– Dobra. Ile było osób w tym autobusie?

– Z kierowcą?

– Eee, nie. Bez kierowcy. Jego nie liczymy.

– W takim razie trójka. To była czwarta czy piąta nad ranem, więc...

– Tak, wiem. Więc mówisz, trzy osoby. Bez kierowcy. Wiemy o tych dwóch mężczyznach, którzy wylądowali na PdOZ-cie do dalszego sprawdzenia. A ta trzecia osoba?

– To była kobieta.

– Jak wyglądała?

– A, taka wiejska babina. Chustkę miała na głowie i taki płaszcz. Nie wiem, co to za materiał, ale był gruby. Miała też torbę. I chyba laskę.

– Legitymowałeś ją?

– Nie, no po co...

– Jak to po co!?

– No, poszukiwany był mężczyzna bez lewej ręki...

– A ci dwaj, których zawinęliście, mieli lewe ręce?

– No, mieli...

– To po co ich zawijaliście?

– Noo... Byli mężczyznami... Polecenie było w miarę jasne: poszukiwany mężczyzna, prawdopodobnie bez lewej ręki... No to jak prawdopodobnie, to... – Urwał.

Rędzia zamknął oczy i zgarbił się. Potem machnął ręką i nie patrząc na posterunkowego, rzucił:

– Dobra, dzięki, możesz lecieć. Miłego dnia, chłopie.

Kiedy policjant wyszedł, Rędzia, wciąż zgarbiony, spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

– To proste chłopaki. – Wzruszyłem ramionami. – Mają wykonywać proste polecenia, pacyfikować chuliganów, ewentualnie szybko biegać i sprawnie machać służbową pałą. Tyle...

– Przecież nic nie mówię, Darek... W końcu to ja powiedziałem dyżurnemu, jak wygląda prawdopodobny sprawca, ale... Sam nie wiem, może czas na emeryturę? – Spojrzał na mnie ze skargą w oczach.

– Pytasz mnie o zdanie?

Uniósł brwi, jakby sam nie wiedział, a potem wstał z biurka i machnął ręką.

– Dobra, dawajcie dalej te filmy. Już mi się rzygać nimi chce, ale szansa, że to on, jest naprawdę spora.

– Wiecie, że musimy jeszcze raz to wszystko obejrzeć? – zapytał Jończyk. – Trzeba sprawdzić, skąd się w tym rejonie wziął albo jak się stamtąd zabrał. Może zdybiemy babę, jak wchodzi do którejś z kamienic lub wysiada z taksówki?

Nie dowiedzieliśmy się, jakim środkiem lokomocji Bieżun dotarł w rejon „Kaskady”. Byliśmy za mało uważni, uniknął oka kamery przypadkiem ukryty za grupkami ludzi; nie miałem pojęcia. Ale nie było aż tak źle. Przez następne cztery i pół godziny wypatrzyliśmy „staruszkę” w chustce na głowie jeszcze na dwóch filmach. Z jednego z nich wynikało, że udała się w kierunku placu Zwycięstwa, a z drugiego, że stała na przystanku tramwajowym. Patrzyliśmy, jak stoi bez ruchu pod wiatą. Nagle sięgnęła do torby i coś z niej wyjęła.

– Co ona... Co on robi? – zapytał nagle Jończyk.

– Rozkłada telefon na części. Wyjmuje baterię i kartę. Skubany... Czyli jednak wie, że telefon można śledzić, nawet gdy jest wyłączony. Sporo nadrobił. Kiedy go zamykali, telefony miały wielkość cegłówki i można było z nich tylko dzwonić, esemesować i grać w węża.

– E, przesadzasz.

– No, może...

– Coś mi nie pasuje – powiedziałem nagle.

Obraz nie był rewelacyjny, ale wszystko widziałem dość wyraźnie.

– To jednak nie może być on – stwierdziłem.

– Dlaczego?

– Przecież Bieżun nie ma ręki, do cholery!

– Sztuczną ma. Widzisz, że ma rękawiczki. Chyba, ale dłonie są za ciemne jak na kolor skóry. Ostrożny jaki...

Pilnuje się, żeby paluchów nigdzie na zostawić.

– Skąd wzięłby sztuczną rękę? O ile kojarzę, w Gronowie nie miał protezy. Skąd wytrzasnąłby ją po wyjściu? Takich rzeczy nie kupuje się jak zegarka czy samochodu, to trzeba dopasowywać do kikutu i tak dalej...

– Może miał ją wcześniej, ale nie pozwolili mu jej mieć w Gronowie? Czymś takim też można zrobić krzywdę. Sobie albo komuś.

– To nieistotne – uciałem. – Zobaczcie, jak rozkłada telefon. Robi to dość sprawnie. Za sprawnie, rozumiecie?

– Nie. – Tomek pokręcił głową. – Telefon da się rozłożyć jedną ręką, wyjąć baterie też. I już. Boże... – złożył dłonie i wzniosł wzrok ku sufitowi – ... dzięki za miejski system inwigilacji...

Kobieta w chustce zniknęła z przystanku po odjeździe jednego z tramwajów, „ósemki” jadącej w stronę ulicy Wyszyńskiego, w kierunku Odry.

– Co teraz? – zapytałem, wskazując na opustoszały nagle przystanek widoczny na ekranie.

– Jak to, co teraz? – Rędzia klepnął Pawła w ramię, co chyba niezbyt mu się spodobało; był już zmęczony, jak my wszyscy. – Dawaj monitoring z Wyszyńskiego, nad Odrą. Dwie minuty później.

Skrzyżowanie przed mostem Długim jest jednym z większych miejsc przesiadkowych szczecińskiego systemu komunikacji miejskiej. Krzyżują się tu dwie

główne trasy: z Pomorzana do północnych dzielnic miasta oraz z centrum na Prawobrzeże. Mnóstwo samochodów, autobusów i tramwajów.

Oraz ludzi.

Paweł, porównując czas zarejestrowanych filmów, odtworzył film z kamery zainstalowanej na tym skrzyżowaniu. Dojechał suwakiem do chwili, w której „ósemka” wjechała na przystanek. Niestety, usytuowanie kamery nie dało odpowiedzi na kluczowe pytanie: czy Bieżun wysiadł na tym przystanku?

– Da radę zrobić zbliżenie na numer boczny tramwaju? – zapytał Rędzia.

– Po co? To ten sam tramwaj.

– Jesteś pewien?

– Czas przejazdu mniej więcej się zgadza, prawdopodobieństwo, że dwa swingi linii numer osiem jechały jeden za drugim, jest prawie żadne...

– I o to „prawie” mi chodzi. Może zjeżdżał do zajezdni?

– Okej. Ale i tak nie da się odczytać numeru bocznego. To tylko monitoring.

– Dobra. – Rędzia machnął ręką. – Wypatrujcie go, kiedy tramwaj odjedzie.

Wpatrywaliśmy się w swoje monitory jak zaczarowani. Tramwaj odjechał, ludzie pozostali na przystanku zaczęli się rozchodzić, ale wśród nich nie było babuleńki w chustce na głowie.

– Pojechał dalej – stwierdził Rędzia. – Następny.

– Ty myślisz, że mamy kamery na każdym przystanku? – zapytał Paweł, odwracając się.

– A na Gdańskiej nic nie ma?

– Są. Ale nie na przystankach.

– Sławek – Rędzia zwrócił się do Jończyka – ustal, ile czasu trzymają nagrania z monitoringu w tramwajach...

Wystarczył jeden telefon do spółki „Tramwaje Szczecińskie”, do zajezdni na Pogodnie, byśmy dowiedzieli się, że w ogóle nie są trzymane, bo to po prostu nie ma sensu. Przez dłuższy czas przechowywane są wyłącznie te nagrania, które zabezpiecza się ze względów procesowych; na wniosek policji, prokuratury bądź z innych powodów, które przewoźnik uzna za stosowne, by zabezpieczać się przed roszczeniami.

– Kurwa, kiedy sprawdzaliśmy monitoring z komunikacji po ataku na Ejzertową, to było tego samego dnia, a teraz... Może coś się wtedy działo w tym tramwaju i on się załapał? – W głosie Tomka pobrzmiwała nadzieja.

– Będę ich cisnął, żeby to sprawdzili, jak chcesz – zaproponował Jończyk.

– Ciśnij. Nie mamy nic do stracenia, a wszystko do zyskania, poza tym, skoro i tak to niewiele roboty... – Wzruszył ramionami, później włożył w zęby paznokiec kciuka i zacisnął je na nim. – Nie mamy nic. Mógł wsiąść wszędzie. Do pętli na Turkusowej jest z dziesięć przystanków...

– Pętla jest dziewiątym przystankiem od Wyszyńskiego – wtrącił Baranowski.

– Skąd wiesz?

– Mój syn uwielbia jeździć tramwajami. Jak myślicie, co robię w weekendy?

– Okej... – Rędzia uśmiechnął się lekko, ale chwilę później uśmiech zniknął mu z ust.

Milczeliśmy wszyscy. Entuzjazm minął jak ręką odjął. Zrobiliśmy krok naprzód i to ogromny, ale mimo wszystko atmosfera nie była wesoła. Przez chwilę czułem, jakby Bieżun niemal wpadł nam w ręce, po prostu wystarczyło wyciągnąć je trochę dalej... Jak się okazało, radość była przedwczesna.

Zgubiliśmy go.

* * *

Popołudnie spędzałem w domu. Leżałem na hamaku, usiłując wymyślić, w którym miejscu Bieżun mógł wysiąść z tramwaju. Gdzie miał swoją norę. Co robił, co jadł i gdzie spał. Dawno nie dzwonił, nie przysyłał esemesów; zamilkł. Z jakiego powodu? Tomek miał rację: ta gra była dziwna. Nie miała reguł, to jedno, ale też przebiegała chaotycznie mimo pozorów, które usiłował stwarzać Bieżun. Pozorów, że to gra.

Zza żywopłotu dobiegły mnie dźwięki krzątania sąsiada. Waldek pakował drewno do sejfu, w którym zamierzał wędzić skombinowane dorsze. Polana stuknęła

głucho o metalowe ściany i o siebie. Wstałem, podszedłem do płotu i rozgarnąłem drobne listki i gałązki w miejscu, w którym najczęściej rozmawialiśmy z Waldkiem. Robiliśmy to dość często, dlatego zielona gęstwina tu się przerzedziła.

– Cześć, panie Waldku – zagadnąłem go.

– A, dzień dobry, dzień dobry... – Odwrócił się, wciąż klęcząc, i uśmiechnął się. – Co tam?

– Panie Waldku, pamięta pan, jak pana prosiłem, żeby pan miał oko na obcych?

– Pewnie, że pamiętam, panie Darek. Przecież filuję. – Wstał i podszedł do mnie. – A co?

– Nikogo takiego pan nie widział?

– Nie. – Pokręcił głową. – A jeśli chodzi o noc, co tę policjantkę stuknęli... Wie pan, w nocy to ja zwykle śpię...

– Nie, nie o to chodzi. Rozumiem. Mówię o porze dziennej. Kojarzy pan może jakąś babę?

– Kogo? Babę?

– Babinę taką. Wie pan, jak na wsiach się widuje. W chustce na głowie, być może z laską. Torbę mogła mieć, taką dużą...

– No, prawda, widziałem jedną na przystanku sto trójki w zeszłym tygodniu. I przedwczoraj też, koło gospody, a co?

Zrobiło mi się sucho w ustach.

– Zna ją pan?

– Nie, no skąd? Dwa razy ją widziałem...

– Ale mi pan nie powiedział?

Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Mówił pan o obcych, co nie?

– A ona jaka była?

– No... – Zgrabił się, wzruszył ramionami, lecz po chwili nagle odzyskał wigor i wykrzyknął: – Ale to baba!

– Ale obca. A ja nie mówiłem, czy facet, czy baba. Mówiłem ogólnie o obcych...

– No zaraz... – Zastanowił się nad czymś. – Panie Darek, przecież wiadomo...

Podniosłem rękę.

– Okej, panie Waldku, ja nie mam do pana żadnych pretensji.

Waldek patrzył na mnie w taki sposób, jakbym jego zdaniem jednak miał. Może faktycznie tak to zabrzmiało? Nawet jeśli, to pretensje mogłem mieć raczej do siebie. Waldek, przy całej swojej dobroci, nie był mistrzem intelektu. Odczytał moje słowa jednoznacznie, nawet jeśli nie do końca o to mi chodziło. Mój błąd. Zapłaciła za niego policjantka. Zresztą nawet gdyby Waldek powiedział mi o wiejskiej babie na przystanku, nie wzbudziłoby to żadnych moich podejrzeń, jedynie bym się ubawił. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Bieżun lubi przebieranki...

Waldek poszedł do siebie, wciąż lekko przygarbiony i chyba trochę obrażony.

Kolejne zwłoki ujawniono w lesie Arkońskim. Odkrycia dokonał spacerowicz w ustronnym miejscu, niedaleko asfaltowej ścieżki będącej przedłużeniem ulicy Kochanowskiego i prowadzącej aż do miejskiego kąpieliska „Arkonka”. Zaprowadził go tam jego pies, najwyraźniej zwabiony smrodem. Ponieważ wciąż obowiązywał alarm ogłoszony przez Rędzię, takie informacje, nawet w stu procentach niepotwierdzone, otrzymywaliśmy natychmiast, by mieć szansę dojechać tam razem z pierwszym patrolem i nawet przed technikami i patologiem, a na pewno przed prokuratorem.

Była sobota rano, telefon od Tomka od razu postawił mnie na nogi, pozbawiając równocześnie nadziei na spędzenie dnia w przyjemny sposób. Wsiadłem w samochód i pojechałem tam, nawet nie myjąc zębów. Zdążyłem tylko zabrać telefon od Bieżuna.

Dotarłem na miejsce w dziesięć minut, ale kilka kolejnych straciłem przy zjeździe z ulicy Wincentego Pola. Skręt w lewo, w las, uniemożliwiła taśma i stojący

przed nią policjant. Tłumaczenie na nic się zdało, chłopak, który nawet nie zaczął się jeszcze golić, konsekwentnie odmawiał mi wjazdu, a nawet wejścia, więc koniec końców wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do Rędzi. Młody patrzył beznamiętnie, jak rzucam do telefonu kilka słów. Zareagował dopiero wtedy, kiedy z jego motorolki rozległ się wyraźny i śmiertelnie poważny głos Tomka: „Przepuścić pana radcę”. Chłopak podniósł taśmę, a kiedy go mijałem, z niepewną miną oddał mi honory, przytykając dwa palce do daszka czapki.

Miejsce ujawnienia zwłok znajdowało się niedaleko, kilkadziesiąt metrów za budynekciem trafostacji, kilka metrów od drogi. Cyrk już przyjechał, choć zamiast klaunów byli policjanci i technicy kryminalistyczni, a zamiast namiotu rozpięte na stelażach ekrany zasłaniające widok ciekawskim. Ciekawskich i tak nie było, za to zjawił się prokurator, na szczęście nie Cieślar, tylko pełniący dyżur w prokuraturze rejonowej. Miałem nadzieję, że Cieślar pojechał gdzieś nad wodę i zapomniał telefonu, co skutecznie wykluczy go z grona osób uczestniczących w dzisiejszym, niezbyt miłym spotkaniu.

W pierwszej chwili pomyślałem, że zaszła pomyłka. Spodziewałem się kogoś z roztrzaskaną głową, tymczasem zwłoki leżały w dość płytkim dole, a ich stan wskazywał, że denat nie żył pewnie od dobrych kilku miesięcy. Widok był koszmarny, ale smród jeszcze gorszy. Truchło leżało zawinięte w folię, teraz rozciętą przez

techników i rozchyloną na boki. Przypominało to gigantyczny kwiat mucholówki z na wpół strawioną ofiarą.

– Kurwa – stęknął prokurator. – Myślałem, że widziałem już wszystko. To chyba gorsze niż półroczny topielec...

Nie powiedziałem mu, że wcale nie. Patolog stał z zamyśloną miną i z założonymi do tyłu rękoma, patrząc na trupa z jakąś filozoficzną zadumą w oczach.

– Kiedy? – zapytał Rędzia, wskazując ciało podbródkiem.

– Co kiedy? – ocknął się medyk, mrugając gwałtownie.

– Kiedy on mógł zostać zabity?

– Jeśli chce pan w miarę dokładnej daty, to musi pan poczekać. Przecież pan to dobrze wie, panie Tomaszu...

– A chociaż mniej więcej? W tygodniach, miesiącach?

– Około dwóch miesięcy. Z tolerancją tydzień w jedną albo drugą stronę. Zadowolony pan?

– Przyczyna zgonu?

Lekarz wznosił oczy ku rozpostartym nad nami koronom drzew.

– Co ja mam panu powiedzieć? – zapytał i łypnął na Rędzię błagalnie.

– Może pan obejrzeć jego głowę? – Tomek wskazał na nieboszczyka. – Czy ma jakieś ślady... Tylko niech pan niczego nie dotyka!

– Jakie ślady? Postrzału? Może być z tyłu głowy, ale przecież pan mi zakazał...

– Nie postrzału – zniecierpliwiał się Rędzia. – Uderzenia. Chodzi mi o pęknięcie czaszki.

– Uderzenie w głowę skutkujące zgonem nie zawsze musi spowodować pęknięcie kości, jeśli o to panu chodzi – zauważył medyk.

– Dobra. – Tomek machnął ręką. – Rzeczywiście zostawmy to teraz. Ale będę się dobijał o wyniki, nawet wstępne, może być pan tego pewien.

– Nie wątpię – mruknął lekarz, zdejmując lateksowe rękawiczki.

Rędzia obszedł denata i pochylił się nad czymś leżącym na ziemi po drugiej stronie grobu.

– Co to za bryłki? – zapytał, przywołując ręką technika.

– Które? – Człowiek w kombinezonie, z pędzelkiem w dłoni podszedł do Rędzi, ostrożnie stawiając stopy.

– Te białe. Tu. I tam też... I jeszcze tam...

– Nie mam pojęcia. Resztki styropianu? Pełno tu śmieci...

Teraz i ja zauważyłem białe kuleczki rozsypane wokół dołu. Technik podniósł jedną z nich, powąchał i rozgniół w palcach. Na rękawiczce została kupka proszku o konsystencji mąki.

– Cholera wie – mruknął. – Dziwnie pachnie. Ale na pewno nie jest to pokruszony styropian.

– Więc co?

– Nawóz sztuczny? Kulki na mole?

– Zabezpieczcie parę na wszelki wypadek. Za dużo ich tu i zbyt regularnie otaczają ten grób. Naboju nie znaleźliście?

– Naboju? Nie.

– Wykrywacz metalu macie?

– Jest w wozie.

– Przeszukać nim teren. Starannie. – Rędzia spojrział na prokuratora, który lekko zagubiony namyślał się, jak zareagować na fakt, że glina ma czelność tak się szarogęsić. – Przepraszam, że tak się rządę, ale... Potem panu wytłumaczę. A wy... – znów zwrócił się do technika – ...szukajcie naboju. Nowego, całego, a nie jakiegoś szmelcu z drugiej wojny.

Wszyscy rozeszli się do swoich zadań, prokurator zaś wyciągnął telefon i ze wzrokiem wbitym w ekran wodził po nim palcem. Nie miałem pojęcia, co robi. Najprawdopodobniej dobrą minę do złej gry, czekając, aż Rędzia faktycznie wyjaśni mu swoje szarogęszenie.

– Skąd tu nabój? – zapytałem Tomka, a on spojrział na mnie spode łba. – Myślisz, że to ofiara Bieżuna? Przecież to do niczego nie pasuje! Może to zwykłe morderstwo...

– Wiem, że nie pasuje – przerwał mi spokojnym tonem. – Ale to tak na wszelki wypadek, żebyśmy niczego nie przegapili. Ktoś, kto raz wpadł pod samochód, już zawsze będzie rozglądał się na ulicy we wszystkie strony,

nawet do góry; rozumiesz, o czym mówię? – Zerknął w bok, moje spojrzenie powędrowało w tę samą stronę i zobaczyłem technika niosącego wykrywacz metali.

– Chodź. – Tomek popchnął mnie lekko. – Pogadamy ze szczęśliwym znalazcą...

Starszy pan siedział na zwalonym obok drogi pniu. U jego nóg leżał pies; stary kundel o potarganej i posiwiałej, zmechaconej sierści. Obok, na szeroko rozstawionych nogach, stał policjant; znudzony, rozglądający się na boki w poszukiwaniu rzeczy, na której mógłby zawiesić wzrok, by choć przez chwilę przestać się nudzić. Podeszliśmy do nich.

– Dzień dobry, komisarz Tomasz Rędzia, komenda wojewódzka policji w Szczecinie – przedstawił się Tomek staruszkowi. – Załatwimy to szybko. To pana pies go znalazł?

– Tak – chrząknął – to Reks.

– Rasowy?

– Częściowo, po matce. – Starszy pan ożywił się lekko i łypnął chytrze na Tomka.

– Chyba dobry do polowań? Tyle czasu te zwłoki tu leżały, pewnie pełno ludzi i psów też tędy przechodziło, a dopiero pański pies je wytropił...?

– Do polowań? Panie, to już jest staruszek! Głuchy jak pień, na wpół ślepy, węchu też już prawie nie ma. Sam się zastanawiam, jak tego trupa znalazł. Ale to nie on go odkopał – zastrzegł z lekkim oburzeniem, jakby pies był

czemuś winny. – Musi lisy albo dziki. A do tego smrodu psa tropiącego nie potrzeba. Aż na Chełmońskiego go czuć... Tam mieszkam...

– Skąd pan wie, że nie on? – Rędzia wskazał kundla obojętnie siedzącego przy nodze pana i zupełnie niczym się nieinteresującego. Siedział i ziajał z wywalonym jęzorem, patrząc gdzieś przed siebie.

Staruszek pochylił się i pogłaskał go po łbie, co nie wywołało prawie żadnej reakcji z wyjątkiem przymknięcia oczu.

– Jak mi zniknął w tych krzakach, to od razu polazłem za nim – powiedział jego pan. – Kiedyś znalazł kawałek mięsa z trutką, ledwo go weterynarz odratował. Więc teraz go pilnuję, żeby czegoś nie zezarł, zwłaszcza że w tym wieku jakby co, to by się już nie wywinął. Nie miał tyle czasu, żeby to zrobić, a więc musiały go wykopać lisy. Albo dziki...

– Czyli jak co dzień szedł pan tędy na spacer z psem?

– Dokładnie.

– Wczoraj niczego pan nie czuł? Żadnego zapachu? Smrodu?

– Nie. Wczoraj nie. Dopiero dziś.

– No dobra, dziękuję, nie zatrzymuję już pana. Kolega... – Tomek wskazał na stojącego obok policjanta – ...spisze jeszcze pańskie dane, ale i tak dostanie pan zapewne wezwanie z prokuratury celem złożenia wyjaśnień.

– Ależ proszę uprzejmie... – Staruszek pokręcił ze zdziwieniem siwą głową. – Taka historia. Taka historia...

Patrzyliśmy, jak powoli wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki stary brązowy portfel, otwiera go i wyciąga z niego dowód osobisty, który następnie podał funkcjonariuszowi. Zauważyłem, że starzy ludzie są zwykle przygotowani niemal na wszystko, a być może nawyk noszenia ze sobą dokumentów po prostu nie zanikł u niego po przemianie ustrojowej. Zostawiliśmy ich i wróciliśmy do miejsca, gdzie leżały zwłoki. Obejrzałem się jeszcze. Zgarbiony staruszek odchodził powoli razem ze swoim psem, który powłóczył łapami tuż za swoim panem.

– I co, coś pan ustalili? – zapytał Rędzia lekarza kucającego przy zwłokach, kiedy już tam dotarliśmy.

– A owszem. – Doktor podniósł głowę, jego głos był teraz weselszy. – Taka mała ciekawostka. Brak lewego ramienia.

– Co pan powiedział?

– Powiedziałem, że denat nie ma lewej ręki. A ściśle rzecz biorąc, przedramienia z fragmentem ramienia...

To nie brzmiało dobrze. To w ogóle tak nie brzmiało... Poczułem, jak skacze mi tętno.

– Jak to brak? – zapytałem. – Może zabrało ją to zwierzę, które go wykopało?

– Nie sądzę – wtrącił się technik. – Kiedy przyjechaliśmy, folia w miarę szczelnie zakrywała ciało.

Ręce były pod nią.

– To jak ten staruszek, który je znalazł, zorientował się, że to trup, a nie na przykład zwinięty w rulon stary dywan? Musiałby odwinąć folię...

– Nogi wystawały. Stopy. A są obie, przynajmniej to, co z nich zostało. – Technik wzruszył ramionami.

– Stuprocentowej pewności ze względu na stan rozkładu włók oczywiście nie mam... – powiedział lekarz – ...ale wydaje mi się, że kończynę usunięto operacyjnie. Można by mieć jeszcze wątpliwości, gdybyśmy mieli do czynienia z wyłuszczeniem, czyli rozdzieleniem kości w stawie łokciowym. Ale to była chirurgiczna amputacja ramienia. Przecięcie kości ramiennej jest precyzyjne, a to, jak wyglądają resztki skóry w tej okolicy, może świadczyć o wyodrębnieniu kikuta. Tak nie wygląda odgryziona czy odrąbana kończyna.

Tomek przełykał ślinę i drapał się po czubku nosa. Smród nie zelżał, nie rozwiął go wietrzyk, z dołu wciąż wydobywały się wyziewy. Z trudnością powstrzymywałem odruch wymiotny. Było gorzej niż w domu Łopacińskiego, mimo że tym razem przebywaliśmy przecież na zewnątrz, na powietrzu.

– Nie mów tego, o czym teraz myślisz – powiedział cicho Rędzia, nie patrząc na mnie. – To niemożliwe.

– Wiem – odparłem.

I naprawdę mocno w to wierzyłem. Tylko co z tego?

– Wtedy, w miejskiej, kiedy oglądaliśmy filmy z monitoringu, mówiłem, że ta babcia to nie może być Bieżun... – rzuciłem cicho gdzieś przed siebie.

– Mówiłeś, mówiłeś... – Rędzia chrząknął. – Chryste, ten smród mnie dobija... Sam w to nie wierzyłeś.

– Nie. Ale coś mi nie grało z tą ręką... Może to naprawdę była jakaś babcia, a ten, tu, to Bieżun?

Rędzia jakby mnie nie słuchał.

– Dobra, nie ma na co czekać. – Wyciągnął telefon, kliknął w niego dwa razy i przyłożył do ucha, odchodząc kilka kroków na bok. – Krzysiu, wysyłaj technika do syna Bieżuna na pobranie materiału do testu DNA. Od razu. Wyniki na przedwczoraj.

Schował telefon, wrócił i popatrzył na nas, wskazując dół.

– Nie chcę nawet myśleć, że ten trup to Bieżun... Może naprawdę rękę porwało jakieś zwierzę? Może ten kundel zdążył chapsnąć kość i zakopać gdzieś obok na później?

– Nie oszukuj się – powiedziałem. – Słyszałeś przed chwilą, że to była amputacja. Operacyjna. Ale wciąż jest szansa, że to przypadek. Że ten gość po prostu też nie miał ręki i dopóki tego nie potwierdzimy...

– Przypadek, mówisz? Leżał tu kilka miesięcy, Darek. Jeśli to Bieżun, to...

– Poczekajmy na wyniki badań DNA. Może to też element gry? Może to znów jakiś numer jak

z Łopacińskim? Cierpliwości, Tomek.

Wyniki przysły dwa dni później.

Białe bryłki miały odstraszać psy i dzikie zwierzęta, trup zaś bez żadnych wątpliwości był Ryszardem Bieżunem.

Tego samego dnia w szpitalu zmarła policjantka zaatakowana tamtej nocy pod moim domem.

III

OSACZENIE

– Nie rozumiem. – Tomek stał z zadartą głową i wygrażał rękami sam nie wiem komu: Bogu czy sufitowi. – No, po prostu nie pojmuję, o co tu, do jasnej cholery, chodzi. Co jest, kurwa, grane?

– Ja nie rozumiem jeszcze bardziej, uwierz mi – powiedziałem spokojnie.

– Od początku szukaliśmy nie tego, kogo trzeba. Cała ta mrówcza robota z ukradzionymi dowodami i paszportami psu na budę...

– Zgadza się. Szukaliśmy tego, kogo Nietykalny chciał, żebyśmy szukali. Ale tym razem punkt dla nas. Mały, bo mały, ale zawsze.

– Usiłujesz mnie pocieszyć? Nas wszystkich?

– Niekoniecznie. Chodzi o to, że dostaliśmy mały prezencik od losu, o którym on nie wie. Trupa Bieżuna. Nietykalny, kimkolwiek jest, wciąż jest przekonany, że traktujemy go jako Bieżuna.

– Już tak kombinowaliśmy przy Łopacińskim, prawda?

– Owszem – przyznałem. – Ale teraz to co innego. Łopacińskiego mieliśmy w końcu znaleźć, bo go nam sam podłożył, a tamtego przypadkiem wykopały lisy. Przemyślał sprawę, rozsypując odstraszacz, ale się przeliczył.

– Hmm... Czy we wczorajszej prasie nie pojawiły się czasem notki o znalezieniu tych zwłok?

– Nałożyliśmy embargo na trupy, pamiętasz? Nic nie przedostaje się do mediów. A przynajmniej ma się nie przedostawać.

– Zgadza się, jest embargo, ale na świeże trupy zatłuczone młotkiem. Trzeba sprawdzić. Sławek, załatwisz to? Nasz rzecznik, rzecznik prokuratury, dzienniki papierowe i wydania internetowe... Jeśli pismaki wiedzą, trzeba będzie poprosić górę o szepnięcie słówka gdzie trzeba, żeby się wstrzymali z ogłoszeniem tej wiadomości...

Jończyk pokiwał głową.

– Jeśli nigdzie nie ma słowa na ten temat, to mamy szczęście. Jeśli jednak jest... Zorientuje się. To on go tam zakopał, więc od razu będzie wiedział. Co wtedy?

– Zobaczymy – mruknąłem. – Potem się będziemy tym martwić. Teraz martwmy się czymś innym. Na przykład Cieślarem. Coś czuję, że czeka nas ciężka przeprawa. Będzie po nas jeździł jak po łysej kobyle.

– Może ma rację z tym współnikiem? – rzucił Tomek z powątpiewaniem. – Nie on jeden, my też już o tym

rozmawialiśmy.

– Bieżun jest martwy od początku tej sprawy i pogódźmy się z tym, im wcześniej, tym lepiej. Nietykalny nie był współnikiem Bieżuna. To Bieżun był dla Nietykalnego przykrywką. Zasłoną. Dla prawdziwego zabójcy, kimkolwiek on jest. A ta gra... Ta gra to bzdura. Nie ma żadnej gry. Nie ma żadnych reguł, choć on stara się stworzyć wrażenie, że takowe istnieją. Najpierw wysyła te listy. Potem przysyła telefon, ale kiedy zadajemy pytania, mówi, że gra ich nie przewiduje. Za drugim razem dzwoni do nas i pozwala nam jednak zadawać pytania, choć to on uznaje, na które odpowie, a na które nie. Takie to niby zaplanowane, a tu co? To co to jest za gra? To farsa. Bełkot, to wszystko jest jakiś bełkot. Jeśli fakt, że zabił Bagicza za rozjechanie gołębia, jest prawdą, to tym samym przekreśla każdy znany schemat działania seryjnego zabójcy. Poszedł na spontan, afekt, jakkolwiek to nazwiemy. Nawet jeśli uznamy go nie za seryjnego, tylko za zwykłego mściciela. To nie tak, że zmienił się człowiek, bo człowiek był zawsze ten sam i nie był to Bieżun. On nagle zmienił modus operandi, jakby coś się stało. Coś, co kompletnie zmieniło obraz sytuacji. Jak myślisz, co mogło się stać?

– Strata. – Rędzia spojrzał mi w oczy. – Mógł kogoś lub coś stracić. I ta strata zmieniła wszystko, przewartościowała mu życie i... Sprawiała, że przestał się hamować. Krótko mówiąc: odpierdoliło mu.

Rędzia wciąż patrzył mi w oczy, ale nie nachalnie i wyzywająco, tylko naturalnie. Był jedną z niewielu osób w moim otoczeniu, które potrafiły bez skrępowania i wstydu rozmawiać ze mną na tematy bliskie mojej osobistej tragedii. Wyjaśniliśmy już sobie tę kwestię, ale ze wszystkimi innymi też już ją wyjaśniłem.

– Co by to mogłoby być? Lub kto? – zapytałem, choć dobrze wiedziałem, co mi odpowie.

– Kobieta. Albo facet, to nieważne; chodzi mi teraz o drugą połówkę. Dziecko. Majątek. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Chłopaki, wasze typy?

Zalewski z Jończykiem w tym samym momencie wzruszyli lekko ramionami.

– No nie chce się wam nawet chwilę pomyśleć? – W głosie Rędzi słychać było wyrzut. – Darek?

– Dokładnie takie same jak twoje, to oczywiste. I mnie również nic ponadto nie przychodzi do głowy.

– A mnie przyszło za to coś innego – powiedział Tomek, prostując się nagle.

– No?

– W związku z tym, że ilość niespodziewanych zwrotów akcji w tym śledztwie staje się nieprawdopodobna, pojechałbym do Gronowa i dał Ejzertowi do posłuchania nagranie którejś z rozmów z Bieżunem...

– Z Nietykalnym – poprawiłem go.

– Tak, oczywiście. – Skrzywił się. – Mam na myśli Nietykalnego... Tak na wszelki wypadek. Potwierdźmy, że to nie on.

Zerknął na zegarek. Miał smartwatcha dla sportowców; gadżet, który pod względem rejestracji parametrów życia z powodzeniem mógłby zastąpić niezły zestawik urządzeń na oddziale intensywnej terapii.

– Jest jedenasta – stwierdził. – Zdążymy obrócić przed piętnastą. To co?

– Skoro wiemy, że to nie mógł być Bieżun, to czego oczekujesz po tej wizycie? – zapytał Jończyk. – Że to jednak jego głos?

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, dopuszczam nawet myśl, że to nie Bieżun siedział przez osiem lat w Gronowie.

– Tylko kto?

– Cholera wie... Pamiętacie Hair, ten musical? Tam jeden koleś poszedł do wojska za drugiego. Znam przypadki, kiedy brat poszedł odsiadywać wyrok za brata. Może pójdźmy w tę stronę? W każdym razie nic mnie już chyba nie zdziwi. Nic.

– A może po prostu pojedźmy do Kocewicza? – zasugerowałem. – Będzie bliżej i szybciej.

– Nie. Z dwóch powodów. Raz: najprawdopodobniej wyjechał, tak jak nam to zapowiadał. A nawet jeśli siedzi na tyłku w domu, to dwa: ostatni raz słyszał głos Bieżuna ćwierć wieku temu.

– A była żona albo syn? Są na miejscu.

– Nie. Dwa dni temu Bieżunowa zgłosiła Cieślarowi wyjazd do matki pod Rzeszów. Jedziemy do Gronowa...

* * *

Ejzert nawet ucieszył się na nasz widok. Zapytał Dzieszki, który nas do niego zaprowadził, czy skoro już ma gości, to możemy wyjść na dwór. Dyrektor zgodził się, więc nie zdradzając jeszcze chłopakowi celu naszej wizyty, wyszliśmy do strefy rekreacyjnej, czyli na spaceriak za szpitalem. Soczysta zieleń ściany lasu nieopodal kontrastowała z błękitem nieba o odcieniu, jaki zwykle ma ono w samym środku lata, choć była jeszcze przecież wiosna. Zapach sosen unosił się w przejrzystym powietrzu. Staliśmy obok ławeczki przy wielkim krzewie budlei, wypuszczającym świeże gałązki, które wkrótce miały pokryć się wabiącymi motyle kwiatami. Świat był piękny.

– Jak tam, Daniel, odwiedzałeś ostatnio dom? – zapytałem na początek, żeby jakoś zagaić rozmowę.

Tomek się nie odzywał. Ejzert na moje słowa pokręcił głową, ale bez rezygnacji.

– Przez ponad cztery miesiące ani na chwilę nie opuściłem tego uroczego miejsca. Ale nie narzekam. Mówiłem wam, co sędzę o rzeczywistości po tej i po tamtej stronie płotu? Nic się nie zmieniło w tej kwestii – pociągnął nosem – nic...

– To prawda, mówiłeś – przyznałem. – No dobra, do rzeczy. Przyjechaliśmy cię odwiedzić z bardzo ważnego powodu. Chcemy cię o coś poprosić, o coś nietypowego.

– Noo? – wyraźnie się ożywił. – Teraz to mnie zaciekawiliście!

– Puścimy ci fragment nagranej rozmowy, a ty nam powiesz, czy to jest głos Ryśka Bieżuna, dobra?

– Spoko. A co z tego będę miał?

– Jak to, co? Naszą dozgonną wdzięczność.

– Mało... – Lekko spochmurniał.

– Przecież nie damy ci medalu? Podrożalesz nagle, Daniel? – zapytałem. – Przecież nas lubisz?

– Fakt. – Westchnął. – Lubię was, chłopaki. Dlatego wam pomogę. Za friko.

– No to nadstawiaj ucha. – Uśmiechnąłem się do niego, aktywowałem komórkę i odtworzyłem nagranie.

Krótki fragment został starannie wybrany, tak aby nie zdradzić osobom postronnym żadnych istotnych informacji. To był tekst o skaczącym kocie. Monotonny, choć wesoły głos człowieka, o którym do niedawna sądziliśmy, że jest Ryszardem Bieżunem, zabrzmiał w ciszy lasu. Ejzert słuchał go ze zmarszczonymi brwiami, w skupieniu wodząc palcem wskazującym wzdłuż grzbietu nosa.

– To nie on. – Spojrzał w końcu na Dzieszkę, kręcąc głową i trzymając się za nos. – To nie Rysiu.

Miał dziwną minę, więc na wszelki wypadek zapytałem:

– Jesteś absolutnie pewien? Słyszałeś go tylko przez ścianę...

Daniel wciąż patrzył na Dzieszkę, jakby czekał, aż ten coś powie. Dyrektor przez chwilę milczał, a potem westchnął.

– To z całą pewnością nie jest Bieżun – potwierdził z rezygnacją w głosie. – Pomijając, że głos jest faktycznie inny, Bieżun miał wadę wymowy. Nie wymawiał „r”.

– Kurwa... – Rędzia westchnął. – Wada wymowy, brak ręki, osiem lat odosobnienia tak naprawdę bez powodu. Niektórzy nie mają w życiu szczęścia...

– To Rysiu nie miał ręki? – zdziwił się Ejzert.

Zdrętwiałem i otworzyłem usta ze zdziwienia. Przysięgam, poczułem, jak puszczają mi mięśnie zuchwy, która opada, odsłaniając dolne zęby i język. Tomek wyglądał tak samo.

– Jak to? – Poczułem, że zaraz parsknę śmiechem albo walnę się w głowę. – Chcesz powiedzieć, że o tym nie wiedziałeś?

– A skąd niby miałem wiedzieć, że facet nie ma ręki? – zdziwił się Ejzert, podnosząc swoją i przypatrując się jej, jakby był zdziwiony, że należy do niego.

– Jezu, chłopie... Przecież gadałeś z nim tyle razy!?! – Nieświadomie podniosłem głos, zły nie wiadomo czemu na Ejzerta zamiast na siebie.

– Hej, detektywi: przecież mówiłem, że zawsze rozmawialiśmy przez ścianę. Zawsze! Czy ja kiedykolwiek wspomniałem, że się z nim widziałem? Helou? Nie mam zielonego pojęcia, jak gość wyglądał!

Przypomniałem sobie Waldka i obcą babę. Jak się okazało, po raz kolejny zresztą, komunikacja werbalna to bardzo skomplikowana sprawa.

– No, ale nigdy nie przyszło ci do głowy zapytać... – jęknąłem.

– Znaczy co, sugerujesz, że miałem go zapytać, czy mu czegoś nie brakuje, na przykład właśnie ręki? Bo nie rozumiem...

– Nie, no... Spędzaliście na rozmowach całe noce i on ci nie powiedział, że jest kaleką?

– Nie. Akurat tego nie powiedział. Nie znam się, ale to chyba nie jest rzecz, jaką można by się chwalić. Większość kalek pewnie raczej się wstydzi swojej ułomności. Tak mi się wydaje na zdrowy rozum, aczkolwiek weźcie pod uwagę, że jes...

– Tak, wiem. – Machnąłem ręką. – A im bardziej usiłujesz mnie o tym przekonać, tym bardziej myślę, że nie jesteś, wiesz, Daniel?

– O, to naprawdę miłe z twojej strony. Dajesz mi nadzieję, autentycznie! A to wyjątkowo ważne w procesie rekonwalescencji, prawda, panie doktorze? – zwrócił się do Dzieszki.

Dzieszko nie zareagował. Znał przecież zagrywki Ejzerta, widocznie zdarzały się zbyt często.

Tymczasem staliśmy, nie wiedząc, o co jeszcze moglibyśmy zapytać Ejzerta. I chyba nie było już o co pytać. Podziękowaliśmy mu mimo wszystko, Dzieszko poprosił, żeby poszedł do swojego pokoju, a my we trzech ruszyliśmy w kierunku parkingu przed głównym budynkiem szpitala. Dyrektor szedł wyraźnie wolniej od nas, wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Ja też się nad czymś zastanawiałem. Czy fakt, że Ejzert nie zdawał sobie sprawy z kalectwa Bieżuna, miał jakiegokolwiek znaczenie? Chyba jednak nie.

– Ja wiem, czyj to głos – powiedział nagle Dzieszko, odrywając mnie od moich rozważań.

Stanęliśmy z Tomkiem jak wryci w tej samej chwili. Teraz z kolei zacząłem zastanawiać się, czy można zdziwić się jeszcze bardziej. Oraz czy to prawda, że głupi ma zawsze szczęście...

– Czyj? – wykrztusiłem.

Twarcz Dzieszki była pozbawiona wyrazu, jak u manekina.

– To głos Piekarczyka. Mirosława Piekarczyka.

– Kurwa... – wyszeptał Tomek. – To jeden z tych trzech...?

– Tak. – Dzieszko wpatrywał się teraz w ziemię pod nogami. – To właśnie on.

* * *

– Nie będziemy czekać na decyzję sądu ani na zezwolenie zarządu spółki, ani pozwolenie od samego Pana Boga. Załatwimy to tu i teraz, w tej chwili. Chcemy wiedzieć o Piekarczyku wszystko – powiedział do Dzieszki Rędzia. – Wszystko, czego nie dowiemy się od jego rodziny, a wyłącznie od pana. Żadnych tajemnic. Stan zdrowia psychicznego i fizycznego, włączając ewentualny brak kończyn. Wyjątkowe zdolności, hobby, kontakty z innymi pacjentami; wszystko, tak? Oraz czy wymawiał „r”, czy nie, a dla pewności dodam, że dotyczy to wszystkich innych głosek, których można nie wymawiać z powodu wad aparatu mowy... Rozumiemy się?

Siedzieliśmy u Dzieszki w gabinecie. Napięcie było niemal namacalne. Klimatyzator na ścianie szumiał cicho, z kąta u zbiegu ścian i stropu, w którym wisiał, wiało chłodem o nieprzyjemnym zapachu. Zegar z napisem Afobam odmierzał kolejne sekundy, ciche kliknięcia przeskakującej wskazówki mąciły ciszę. Dyrektor siedział za swoim biurkiem i wyglądał inaczej niż zwykle.

Kiedyś, jeszcze jako krawężnik, złapałem chuligana sikającego na środku ulicy. Był pijany. Potem okazało się, że to uczeń renomowanego liceum, świetnie zapowiadający się matematyk, który na osiemnastce u kolegi po raz pierwszy w życiu spróbował alkoholu i jak

to często w takich sytuacjach bywa, nie potrafił zachować umiaru, bo nie miał doświadczenia. Kiedy wytrzeźwiał, a ja spisywałem protokół, wyglądał właśnie tak, jak Dzieszko teraz. Zszokowany tym, co się stało, chętny do współpracy, gotów na wszystko, byle tylko to, co stało się kilka godzin wcześniej, poszło w niepamięć, a najlepiej nigdy się nie wydarzyło.

– Rozumiem, że Piekarczyk też trafiał na „speckę” z podobnych powodów jak Bieżun czy Ejzert? – zapytałem.

– On przebywał na oddziale specjalnym na stałe, podobnie jak Bieżun. To Daniel trafiał tam sporadycznie.

– Nie o tym mówię. Pytam o przypadkowe spotkania, jak te Ejzerta z Bieżunem.

– Tak, też – odpowiedział krótko.

Byłem mu wdzięczny, że nie gędzi już o normalnych procedurach i takich tam. Powoli zaczynało mnie to doprowadzać do szału.

– Czy jest możliwe, że Daniel spotkał się w podobnych okolicznościach również z Piekarczykiem?

– Nie. To wykluczone.

– O jego rozmowach przez ścianę z Bieżunem nie miał pan pojęcia... – przypomniał Tomek.

– To co innego. Bieżun i Piekarczyk, chociaż trafili tu z tych samych powodów, to odrębne kategorie. Piekarczyk nie miał prawa przebywać w izolacji w tej części skrzydła specjalnego, w której czasem... – przerwał

na chwilę –

...czasem spędzali noce Daniel i Bieżun.

– Ale ze sobą mogli rozmawiać? Mówię o Bieżunie i Piekarczyku.

– Tego nie wykluczam. To nie Guantanamo.

– Czy on brał jakieś rzadkie albo bardzo drogie leki? Chorował na coś groźnego? Nie mówię o chorobach psychicznych, które miał. Bądź nie miał...

Dyrektor nie zareagował na oczywistą zaczepkę.

– Z chorób przewlekłych miał tylko nadciśnienie tętnicze. Dostawał enarenal, choroba była ustabilizowana, wartości ciśnienia w normie, na rzuty reagowaliśmy doraźnie, zbijając ciśnienie captoprilem. Miał bóle brzucha. Twierdził, że są silne. Uważaliśmy, że albo somatyzuje, albo wręcz symuluje. Dostawał leki przeciwbólowe...

– Ten era... Pan mi to zapisze potem, dobrze?... To na receptę?

– Tak.

– Są jakieś zamienniki bez recepty?

– Chodzi panu o generyki?

– Nie. O takie, które mają podobne działanie, ale są dostępne bez recepty.

– To nie ma.

– Te bóle brzucha... Co z diagnostyką? – zapytałem.

– Co pan ma na myśli?

– Gastroskopia? Albo chociaż zwykłe USG?

Dzieszko uśmiechnął się lekko.

– Diagnostyka nie była konieczna w jakimś szerszym zakresie. Okoliczności oraz objawy świadczyły wyraźnie...

– Pan to mówi poważnie? Pan, lekarz?

– A pan? Jest pan lekarzem?

Poczułem, jak rośnie mi ciśnienie.

– Dobrze, zostawmy to – powiedziałem. – Długo to trwało?

– Co?

– Te choroby. Nadciśnienie i bóle brzucha.

– Nadciśnienie zdiagnozowane miał dużo wcześniej, informacja pochodziła z wywiadu od samego pacjenta, przyjmował leki zalecone wcześniej przez kardiologa. Czyli od początku pobytu w Gronowie. A bóle brzucha...? Z tego, co pamiętam, zaczęły się jakiś rok przed wyjściem.

– Hobby? – rzucił Rędzia, pochylając się ku niemu.

– Wie pan, w takim miejscu...

– Wiem. Hobby?

– Szachy. O żadnych innych nie mam pojęcia.

– Rodzina?

– Brat. Nie odwiedzał go tu, a przynajmniej nic o tym nie wiem. Żony nie miał. Rodzice nie żyją. O rodzinie brata: żonie czy dzieciach, również nic nie wiem. O żadnych dalszych krewnych tym bardziej.

– Człowiek widmo, co?

Dzieszko spojrział gdzieś w kąt i przełknął ślinę, jakby gotował się na coś niebezpiecznego. Potem położył ręce na blacie biurka i wpatrywał się w złączone palce, ułożone równiuteńko i sztywno, jak u szefa kompanii na wieczornym przeglądzie stanu higieny. Zaczął powoli i z wahaniem.

– A więc dobrze – wydusił z siebie. – Porozmawiajmy szczerze. Trochę uproszczę sprawę, a może nie trochę... O ile w przypadku Bieżuna można by dyskutować w gronie specjalistów o tym, czy faktycznie jest schizofrenikiem, czy tylko lekko odbiega od normy, o tyle w przypadku Mirosława Piekarczyka wątpliwości już nie było. Osobiście uważam, że tu akurat dobrze się stało, że on trafił do nas na detencję. Natomiast źle się stało, że stąd wyszedł.

– Wyszedł, po czym daliście mu sto tysięcy – zauważył Rędzia.

– Nie ja podejmowałem decyzję o ugodzie.

– Ale jest pan przecież współnikiem w tej firmie?

– Owszem, ale przypominam, że wtedy nie byłem. Doradzałem w tej sprawie, przyznaję, ale wyłącznie jako lekarz.

– Co ma do tego lekarz? Rozumiem prawnik, ale lekarz?

– Pewnych rzeczy prawnik, choćby i najlepszy, nie oceni. Moje doradztwo było specjalistyczne. Brano pod uwagę hipotetyczne kroki, jakie mógłby poczynić

Piekarczyk po odmowie ugody. Jak by się zachował jako osoba w takim, a nie innym stanie psychicznym: czy zaangażowałby w to media i tak dalej...

– Czy szukałby sprawiedliwości w inny sposób, na przykład z młotkiem w ręku? – zasugerowałem.

Dzieszko oblizał usta i wytarł je rękawem, jakby zupełnie zapomniał o manierach.

– Rozważaliśmy również kwestie osobistego bezpieczeństwa członków personelu w razie odmowy, ostatecznie podjęto jednak decyzję o tym, by ją zaproponować.

– A dlaczego o tym nie wiedzieliśmy? – W głosie Tomka brzmiała wściekłość. – Pan wie, że to świadczy na pana niekorzyść, i to bardzo?

– Przecież pytaliście wyłącznie o Bieżuna – odpowiedział po prostu Dzieszko i, cholera, miał rację.

Rędzia wyprostował się, a dystans między nim i dyrektorem zwiększył się na tyle, by dać Dzieszce chwilę wytchnienia.

– Wszyscy byli zafiksowani na Bieżunie, wy przede wszystkim. – Dyrektor wskazał nas oskarżycielskim gestem wypielegnowanej dłoni.

– Podczas naszej pierwszej wizyty u pana nie było jeszcze mowy o Bieżunie – przypomniałem mu. – Nie wspomnieliśmy jego nazwiska.

– Owszem. – Pokiwał głową. – Ale już wtedy tłumaczyłem swoje podejście: to, że widzę w czymś

zastanawiającą zbieżność, jak w przypadku związku między ofiarami „Snajpera”, nie oznacza, że natychmiast polecę z tym na policję. Dla mnie był to wyłącznie przypadek. I to moje podejście dotyczy również Piekarczyka. Pomijając fakt, że to wyszło dopiero niedawno...

– Nie sądzi pan, że to jednak trochę inny kaliber? – zapytał Rędzia, mrużąc lekko oczy.

– Dla mnie nie – oświadczył sucho Dzieszko i nie wyglądał już jak ten licealista, tylko jak dama urażona grubiańskim zachowaniem. – Piekarczyk dostał to, czego chciał, i zniknął. W ogóle nie brałem go pod uwagę. Nazwijcie to jak chcecie: głupotą, naiwnością, nieważne, nie obchodzi mnie to. Po prostu o nim nie pomyślałem.

– Był niebezpieczny? Nieobliczalny?

– Był inteligentnym człowiekiem bardzo skupionym na sobie. Miał bardzo sztywne, by nie rzec radykalne, normy dotyczące współżycia społecznego, które w zasadzie sprowadzały się do tego, by sobie wszystkich podporządkować. To tak zwana nadkontrola. Wiem, że jako poborowy służył w jednostce specjalnej komandosów w Lublińcu, ale został z niej przeniesiony w niejasnych dla mnie okolicznościach. Prawdopodobnie konflikt z przełożonymi, tak myślę. Może znęcał się nad żołnierzami z młodszego rocznika, nie wiem. Na pewno miał w sobie spore pokłady tłumionej złości i frustracji.

– Złość i frustracja to nie są chyba choroby psychiczne?

Dziesko spojrział w okno i zacisnął palce, najpierw kilkakrotnie nimi przebierając, jakby mu zdrętwiały. Widać było, że bije się z myślami.

– Dobrze, inaczej. Powiem wprost, choć nie wolno mi tego robić, nie jako lekarzowi, ale w tych okolicznościach... Jak już wspomniałem, u Bieżuna pewne zachowania antyspołeczne pojawiały się w wyniku początków schizofrenii. U Piekarczyka wygląda to zgoła inaczej. Piekarczyk ma osobowość dysocjalną. Inaczej mówiąc, jest psychopatą i to dlatego podlegał nieco innym procedurom i nie mógł widzieć się z Danielem. To zaburzenie psychiczne, ale człowiek w tym stanie wbrew obiegowej opinii nie jest niepoczytalny. Ma deficyt emocji, nie potrafi nawiązywać, a co dopiero utrzymywać relacji interpersonalnych...

– Z kolegą nawiązał. – Tomek wskazał na mnie. – Przez telefon. Miałem wrażenie, że całkiem dobrze się im ze sobą rozmawia.

– Dobrze pan mówi: wrażenie. Tak naprawdę jest to relacja wyłącznie kalkulatywna, oparta na przydatności do własnych celów. Manipulacja drugą osobą. Jest narcyzem...

– Oj, tak. – Rędzia pokiwał z przekonaniem głową. – Z całą pewnością.

– ...Nie ma odruchów moralnych, brak mu empatii...

– Tu się pan myli. Lubi zwierzęta. Na pewno koty, a jedną z ofiar, jak sam twierdzi, zabił wyłącznie dlatego, że rozjechała gołębia na ulicy...

– To pan się myli. Psychopatów cechuje ubóstwo emocjonalne. Nie zrobił tego, bo było mu żal tego gołębia. Miał jakiś inny powód. To, co wam mówi, a rzeczywisty motyw, którym się kieruje, to mogą być dwie różne sprawy.

– Oczywiście, jesteśmy tego świadomi.

– Mam nadzieję. Ale jest coś jeszcze, co mi tu nie pasuje...

– Tak?

– Jednym z kryteriów diagnostycznych osobowości tego rodzaju jest również niezdolność przewidywania skutków swojego postępowania, wyciągania z niego prawidłowych wniosków, naprzemienne działanie konstruktywne i niekonstruktywne... Takie osoby nie umieją w zasadzie planować działań wybiegających w odległą przyszłość. Jak on to robi, że się wam wymyka? Różne rzeczy słyszałem o policji, ale wierzyć mi się nie chce w taką nieudolność... Nie obrażcie się, panowie, nie mówię o was, pytam wyłącznie w aspekcie czystej ciekawości naukowca... O co tu chodzi?

Milczałem. Tomek też. Jak mieliśmy odpowiedzieć na takie pytanie, skoro sami się nad nim zastanawialiśmy? Zamiast odpowiadać, zapytałem:

– Czy jest możliwe, że taka osoba, o jakiej rozmawiamy, nagle zmienia sposób działania? O ile wcześniej mieliśmy podstawy sądzić, że on się po prostu mści, to teraz działa zupełnie irracjonalnie, przynajmniej takie wrażenie odnosimy...

– A o czym przed chwilą mówiłem? – Dzieszko uśmiechnął się, ale to nie był wesoły uśmiech, raczej grymas wykrzywionych ust, których kąciki powędrowały do góry, w stronę oczu o wciąż poważnym, pełnym niepokoju spojrzeniu. – Typowe działanie psychopaty.

– Pan go prowadził jako lekarz?

– Nie. Był pacjentem doktora Olędzkiego, a kiedy ten przestał leczyć i został dyrektorem, przejął go inny kolega, doktor Zimnicki.

Tomek wstał. Zrobiłem to samo.

– Mam nadzieję, że kiedy znów poprosimy pana o pomoc, nie będzie się pan zasłaniał przepisami, sądem ani klauzulą sumienia? – Głos Rędzi był suchy i oficjalny.

Dzieszko milczał.

– Przecież współpracuję...

– Tak. Teraz tak. I mam nadzieję, że to się nie zmieni.

– Czy coś mi grozi? – Pytanie Dzieszki było ciche i niespodziewane.

– W jakim sensie? Odpowiedzialności karnej za...

– Nie, nie – przerwał dyrektor. – Czy coś grozi mi z jego strony?

Rędzia spojrział na mnie bezradnie. Zauważyłem, że kiedy chodzi o rzeczy związane z szeroko pojętą kwestią uczuć czy to pozytywnych, czy negatywnych, traci rezon. Szuka mnie wtedy nagle swoim posmutniałym wzrokiem, jakby oczekując pomocy. Tym razem też mu jej udzieliłem.

Jakbym był specjalistą od tych spraw...

– Będę szczery – powiedziałem twardo do Dzieszki. – Nie mam pojęcia, ale uważam, że ryzyko istnieje. I to spore. Proszę na siebie uważać, nie chodzić samemu w odludne miejsca, w nocy porządnie zamykać mieszkanie... Zachować ostrożność. Po prostu. Nic więcej nie może pan zrobić.

– A wy?

– Co ma pan na myśli?

– Co wy możecie zrobić?

– Dalej nie rozumiem...

– Nie dostanę policyjnej ochrony? – W oczach miał jakiś błysk, podbródek cofnął się, niemal niknąc w fałdach szyi.

– Nie – Rędzia przejął ode mnie pałeczkę. – W obecnej sytuacji nie ma takiej możliwości. Poza tym... Proszę mi wybaczyć brutalną szczerłość, ale wydaje mi się, że gdyby on traktował pana jako cel zemsty, już dawno byłoby po wszystkim. Co nie zmienia faktu, że ja również na wszelki wypadek zalecałbym daleko idącą ostrożność.

– Rozumiem... – Dzieszko pokiwał głową, jakby godząc się z nieuniknionym.

To było trochę dziwne. Zdecydowana większość ludzi nie pogodziłaby się z tym. Może zrozumiała jak on, ale nie pogodziła. Nawet świadomość czyjejs racji nie stłumiłaby w nich tej obawy o własne życie, które stawia się na pierwszym miejscu bez względu na okoliczności. Walczyliby. Przekonywali. Grozili konsekwencjami. Uruchamiali kontakty. A on nie. Po prostu siedział w fotelu, skulony w bezpiecznych objęciach obitych skórą podłokietników.

Wychodząc, odwróciłem się jeszcze w drzwiach. Nie wiem, czy chciałem przekonać Dzieszkę, że nie jesteśmy jednak tacy nieudolni, jak myśli. Twierdził coś innego, ale byłem pewien, że mimo wszystko ma nas jednak za nieudaczników. A może chciałem przekonać sam siebie?

– Wracając do pańskiego pytania, czy raczej sugestii naszej niekompetencji... – powiedziałem gdzieś w przestrzeń gabinetu. – Wygląda na to, że ten człowiek po prostu wymyka się schematom. Wszelkim schematom: czy to psychiatrii, czy kryminologii.

Nie odpowiedział. Zamknąłem drzwi i ruszyliśmy korytarzem w stronę wyjścia z budynku.

– Masakra – sarknął Rędzia. – Co by było, gdybym nie wpadł na pomysł, żeby tu przyjechać? Nawet nie chcę o tym myśleć... Chyba właśnie trafiłem coś lepszego niż

ta cholerna szóstka w totka. Mam tylko do siebie żal o jedną rzecz.

– No?

– Z tego, co pamiętam, Bieżun miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a Piekarczyk to przy nim mikrus; metr sześćdziesiąt pięć. Że ja nie zwróciłem na to uwagi, oglądając te nagrania z monitoringu. To, że nie rozpoznaliśmy twarzy, jest zrozumiałe, był za daleko, ale taka różnica wzrostu...? Od razu powinienem zauważyć, że coś jest nie tak.

– Nie bądź dla siebie taki surowy, to tylko piętnaście centymetrów. Myślisz, że to jest aż tak widoczne? – Wzruszyłem ramionami. – Jak dla mnie niepotrzebnie się zadręczasz.

Pomilczeliśmy chwilę.

– Daniel faktycznie nie mógł gadać przez ścianę z Piekarczykiem – powiedziałem w pewnej chwili w zamyśleniu.

– Rozpoznałby teraz głos?

– Właśnie. Za to Piekarczyk musiał spędzić z Bieżunem mnóstwo czasu. Co najmniej tyle, co Daniel. Dowiedział się o nim wszystkiego i wszedł w jego rolę. Utalentowany pan Ripley, psia jego mać...

– Na ile w tę rolę wszedł, a na ile my go w niej obsadziliśmy?

– Co masz na myśli?

– Osoba Bieżuna pasowała nam na początku, to prawda. Znaczący, od początku... Od kiedy wpadliśmy na historię sprzeczki przy sklepie. Wszystko się zgadzało. Ale podczas pierwszej rozmowy przez telefon sam zwróciłeś się do niego per „Bieżun”. Może był zaskoczony, ale koniec końców stwierdził, że skoro tak, to pociągnie tę zabawę dalej?

– O nie. – Pomachałem palcem, jakbym mu groził. – To on zrobił wcześniej wszystko, żebyśmy go skojarzyli z Bieżunem, Tomek. Obsadził się w niej sam. Tak jak mówiliśmy wcześniej: tańczyliśmy, jak nam zagrał. Inteligentni przestępcy zdarzają się bardzo rzadko, tym razem zdarzył się nam.

– Jak to się ma do tego, o czym mówił Dzieszko? Że psychopaci są jednak w jakiś sposób ograniczeni?

– Dzieszko nie jest wyrocznią – mruknąłem. – Żaden lekarz nie jest nieomylny, a każdy pacjent to osobna i niepowtarzalna historia choroby. Nieważne, istotne jest to, że teraz dzięki liskom z lasu Arkońskiego oraz Reksiowi wreszcie zdobyliśmy przewagę. I wykorzystajmy ją...

Od samego rana Tomek był jak skowronek. Odkrycie, że za wszystkim stał Piekarczyk, a nie Bieżun, nastąpiło przypadkiem, ale on temu przypadkowi bez wątpienia pomógł. Teraz, wyraźnie zadowolony z siebie, z nową energią zabrał się do roboty. O dziesiątej czekało nas spotkanie z Cieślarem, ale nie chodziło nawet o to, że Rędzia chciał się przed nim wykazać jak największymi sukcesami, bo nie chciał. Entuzjazm jego, a także nas wszystkich, wynikał wyłącznie z poczucia przybliżenia się do rozwiązania sprawy. Byliśmy o tym przekonani.

– Nie możemy zakładać tego z całą pewnością, ale najprawdopodobniej zainstalował się gdzieś na Prawobrzeżu.

– Dlaczego nie z całą? – zainteresował się Jończyk.

– Dzwonił z centrum, pozwalając się wykryć – wtrąciłem. – Co może świadczyć, że chciał nas zmylić, bo przecież nie będziemy sądzić, że ukrył się w tym samym miejscu. Ale jazda na Prawobrzeże też mogła być zmyłką. Mógł tam jechać coś załatwić. Dlatego nie z całą...

– Zgadza się – przytaknął Rędzia. – Tak więc, skoro nie możemy mieć pewności, gdzie się zamelinował

i dokąd po niego pójść, zrobmy na odwrót. Przewidźmy, dokąd on pójdzie, żeby na przykład znów zadzwonić... À propos... Coś nie dzwoni do nas ostatnio?

– Nie – potwierdziłem.

– Nie przegapiłeś czegoś? – Tomek zerknął na mnie lekko podejrzliwie.

– Na pewno nie. I nawet się cieszę, że nie dzwoni, wiesz? Nie wiem, jak teraz z nim rozmawiać. Boję się, że wyczuje zmianę; wyczuje, że my wiemy. – Wciąż przed oczami miałem blond kucyk policjantki, wystający spod granatowej czapki i kołyszący się na boki, kiedy kręciła głową. – Rozszarpałbym skurwiela gołymi rękami. Nawet nie za tamtych. Przede wszystkim za tę dziewczynę.

– Musisz grać. Jak gra, to gra. Do tej pory on grał nami i czas to teraz zmienić. Musisz się postarać.

– Tak zrobię – obiecałem.

– A wracając do tego, gdzie mógłby pójść i to nawet niekoniecznie po to, żeby zadzwonić...

– No? – zaciekawiał się Jończyk.

– Skoro miał nadciśnienie, to nie mógł przerwać nagle leczenia. Skądś musi brać leki. Wiemy już, że ma je za co kupić, ale to nie wystarczy. Potrzebuje recept. Z bólami brzucha też mógł chcieć coś zrobić, skoro nikt nie chciał się tym zająć na poważnie w Gronowie. Mógł najzwyczajniej w świecie pójść do lekarza. A więc znów robota dla Zalewskiego. Sprawdzenie oddziałów kardiologii wszystkich szpitali w województwie. Plus

poradnie, prywatne i przyszpitalne, chociaż stawiałbym na te prywatne, w końcu stać go. Poza tym w państwowej służbie zdrowia nie wyłgasz się od podania danych i tak dalej. Gabinety kardiologiczne też. A bóle brzucha? No to poradnie internistyczne czy tam chirurgiczne, też prywatne i też w szpitalach, na wszelki wypadek. Chyba że faktycznie symulował...

– Tomaszu, Tomaszu, dlaczego ty mi to robisz? – jęknął Zalewski.

– Dla dobra ludzkości.

Rędzia zerknął na zegarek i wyraźnie zmarkotniał. Zrozumiałem, że nadszedł czas nieuchronnego spotkania z prokuratorem.

– Dobra, idziemy – zdecydował Tomek. – Ciekawe, czym Cieślar nas dziś zaskoczy?

To było dobre pytanie.

* * *

Omówienie sytuacji zajęło nam kilkanaście minut. W sumie należało docenić fakt, że Cieślar wolał przyjeżdżać na narady do komendy, a nie wzywał nas do siebie. Teraz słuchał Tomka, przeglądając machinalnie swoje akta, co jakiś czas kiwał głową, ale nie przerywał. Zabięło siedział obok niego, miał swoje papiery, jednak teczka, w której tkwiły, była zamknięta i przygnieciona jego dłońmi splecionymi w jedną wielką, dziesięciopalczystą pięść. Bartocha siedział u szczytu

stołu, spokojny i opanowany jak zwykle. Ja i Rędzia zajęliśmy miejsca naprzeciwko prokuratorów. Było gorąco, dawno chyba niewietrzoną salkę konferencyjną obok gabinetu komendanta wypełniało lepkie, lekko stęchłe powietrze.

To, że sprawa skręciła niemal o sto osiemdziesiąt stopni, nie wpłynęło dobrze na Cieślara, jednak sytuację łagodził fakt, że teraz przynajmniej siedzieliśmy Nietykalnemu na ogonie. Wystarczyło, że wyściubi ze swojej nory chociaż jego koniuszek, a będziemy go mieli. Przynajmniej takie zapewnienia składał Tomek. Cieślar jednak był sceptyczny. Najwyraźniej nie podzielał do końca naszego entuzjazmu. Podczas omawiania szczegółów po prezentacji Rędzi wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie jest zadowolony z takiego obrotu sprawy. Aż wreszcie przyszła pora na przypuszczenie frontального ataku.

– Mam wrażenie, panowie, że panuje tu lekki chaos. Pewne rzeczy można traktować jako małe sukcesy, ale przeważnie są one niestety dziełem przypadku, a nie efektem pracy operacyjnej. Może pomogłyby małe zmiany w zespole? – zapytał Cieślar, patrząc wymownie na komendanta i nie zwracając uwagi na wysoko uniesione brwi Rędzi. – Jeśli ktoś sobie nie radzi, zwykle bierze się kogoś innego, kto jest w stanie udźwignąć temat.

– Przypominam, że ryba zwykle psuje się od głowy – powiedział powoli Tomek. – Może trzeba zmienić

gospodarza śledztwa? To też jest opcja, nad którą trzeba by się zastanowić.

– Przegina pan... – warknął ostrzegawczo prokurator, ale na Tomku nie zrobiło to najmniejszego wrażenia; pozostał spokojny i dalej mówił cicho i jednostajnie.

– Podobno był pan jako asesor przy przesłuchaniu Bieżuna te osiem czy dziewięć lat temu. A niedawno słuchał pan nagrań z rozmów Nietykalnego z panem radcą Suderem, które przekazaliśmy prokuraturze. I zwracam teraz uwagę na fakt, że umknęło panu coś bardzo istotnego.

– Mianowicie?

– Chodzi o głos...

– Brednie – prychnął pogardliwie Cieślar. – Co pan sugeruje; że mam pamiętać po ośmiu latach głos człowieka, którego słuchałem raz w życiu przez pół godziny...

– Bieżun nie wymawiał głoski „r”. – Rędzia wciąż był spokojny i opanowany. – Przyzna pan, że coś takiego zapamiętać o wiele łatwiej niż barwę głosu. Zwłaszcza w takich nietypowych okolicznościach, jakie nastąpiły tamtego dnia i o jakich pan sam nam opowiadał. A przecież pan jest taki drobiazgowy? Żeby widzieć źdźbło w oku bliźniego, najpierw trzeba nie mieć belki w swoim, panie prokuratorze. Gdyby nie to pana małe zapominalstwo czy jakkolwiek to nazwać, być może już dawno wiedzielibyśmy, że to nie Bieżun z nami pogrywa,

ze to nie on jest Nietykalnym. Kto wie, może nawet sprawa byłaby już zamknięta?

Cieślar zacisnął zęby. Prztyczek zabołał. Teza Rędzi była dyskusyjna, ale nie bardziej niż zarzuty prokuratora względem nas. Miałem tylko nadzieję, że to spuści z Cieślara nieco pary i wreszcie da nam spokój. Zapewne taką samą nadzieję i intencje miał Tomek, choć mogłem go już chyba witać w klubie przeżuwanym. Widziałem to w oczach prokuratora.

Bartocha uznał w końcu za stosowne zareagować.

– Dobrze, panowie. – Uniósł ręce jak zawodowy rozjemca. – Jeśli już wyjaśniliśmy sobie wszystko, to proponuję zabrać się do pracy.

Pożegnanie przebiegło chłodno, Cieślar nie raczył podać ręki nikomu z nas. Honor uratował Zabiełło, dyplomatycznie nie patrząc nam w oczy, kiedy po kolei, mocno i po męsku ścisnął nasze dłonie. Gdy wyszli z sali, Bartocha tylko westchnął.

– Do roboty...

Poszliśmy do siebie. Rędzia wciąż tryskał energią.

– Kontynuujemy działania. – Wyszczерzył się do nas, ledwo zamknąłem drzwi pokoju. – Mój pomysł z gabinetami, co wy na to? Wiem, że to od cholery roboty, ale za to nam płacą i kto wie, może coś trafimy?

Zalewski usiadł ciężko za biurkiem. Nie miał wesołej miny. Może to dlatego, że znów zapomniałem

o kapsułkach, a stojące obok ekspresu pudełko na nie świeciło pustkami.

– Dobra... – westchnął – ...jak ma to wyglądać technicznie? Zakładamy, że skoro nie ma NFZ-owskiego ubezpieczenia ani żadnego innego, to nie może zarejestrować się do publicznego ZOZ-u czy przyszpitalnej poradni specjalistycznej. Dlatego myślę, że publiczne placówki możemy zostawić na sam koniec. Wykaz prywatnych podmiotów zajmujących się taką działalnością to nie problem, a przynajmniej nie taki wielki. Ale co potem? W samym Szczecinie prywatnych gabinetów jest pewnie kilkadziesiąt czy kilkaset.

Rędzia zmarkotniał. Teraz miał taką samą minę jak Zalewski, który dalej wiódł swoje rozważania.

– Zadajemy oficjalne pytanie, czy Piekarczyk jest pacjentem danego gabinetu. Połowa z tych ludzi nas oleje, połowa z drugiej połowy z grzeczności przyśle jakąś odpowiedź w ciągu miesiąca, a my nie mamy czasu do stracenia. Ani jednej pieprzonej chwili. Co tu robić? Na telefon nikt nie udzieli nam żadnej informacji, wyśmieją nas. Mamy jeździć po tych gabinetach? Wysyłać patrole? Na jakiej podstawie?

– Poczekajcie – powiedziałem spokojnie. – Przecież nie będziemy żądać danych o pacjentach, o ich chorobach ani niczego takiego. Po prostu zadamy pytanie, czy Mirosław Piekarczyk zarejestrował się do gabinetu...

– To też jest informacja poufna – zauważył Tomek.

– Moim zdaniem nie. Na tej podstawie nie można wyciągać wniosków, czy ktoś jest na coś chory, czy nie.

– Nieważne. Sam fakt zgłoszenia się do gabinetu może świadczyć o tym, że jest się chorym...

– Słuchajcie, długo będziecie się tak przekonywać? – zapytał nagle Jończyk. – Ja, zamiast pieprzyć bez sensu, po prostu bym spróbował. I już...

Spojrzeliliśmy na niego z Rędzią i Zalewskim.

– Fakt – rzucił Tomek. – Zróbmy pierwszy odsiew: zobaczmy, którzy na dźwięk słowa „policja” zerkną w rejestr i bez zmrużenia powieki udzielą nam żądanej informacji. Krzysiu, zdobądź dane teleadresowe tych gabinetów, Sławek, sprawdź brata Piekarczyka.

– Chcesz z nim pogadać?

Rędzia spojrzał na niego jak na imbecyla.

– Tak, chcę go poprosić, żeby poinformował swojego braciszka, że gorąco pragniemy się z nim widzieć w sprawie Nietykalnego... Żartujesz?? Sprawdź tylko, gdzie facet mieszka, gdzie i czy w ogóle pracuje. Żadnego rozpytywania. Jasne?

– Jasne...

Końcówkę poprzedniego dnia oraz niemal cały następny spędziliśmy razem, solidarnie telefonując do prywatnych gabinetów internistycznych i kardiologicznych. Zgodnie z przewidywaniami efekty były różnorakie. Większość zdecydowanie odmawiała udzielenia informacji, o którą prosiliśmy. W sumie nic dziwnego. Nieco przerażające było jedynie to, że nie była to zdecydowana większość, a jedynie nieznaczna. Reszta z mniejszym lub większym wahaniem, albo wypowiedzianym ostrożnym i poufałym tonem zastrzeżeniem, że nie powinno się tak robić, radośnie informowała, że z całą pewnością pan Mirosław Piekarczyk nie jest pacjentem tej placówki.

Sam nie wiedziałem, czy cieszyć się z takiego obrotu sprawy, czy nie...

Szcześliwy traf, nasz mały odpowiednik szóstki w totka, przypadł tym razem mnie. Wykonywałem czterdziesty ósmy telefon tego dnia. Dopiero czterdziesty ósmy, bo rano zasnęłam. Za to przyniosłam wreszcie te cholerne kapsułki do ekspresu. Chłopaki byli

przeszczęśliwi. Miło widzieć, że ludziom sprawiają radość małe rzeczy. To krzepi.

– Dzień dobry, Dariusz Suder, KWP Szczecin – powiedziałem jak zwykle, przygotowany na riposty „a skąd mam pewność, że pan jest naprawdę z policji?” i inne takie. – Dzwonię z prośbą o udzielenie informacji, czy jest u państwa zarejestrowana osoba o nazwisku Piekarczyk, Mirosław Piekarczyk...

Nie padła odpowiedź.

– Halo? – rzuciłem niepewnie do telefonu.

– Tak, jestem... – Głos dziewczyny obniżył się nieznacznie. – Chwileczkę... Czy pan jest naprawdę z policji?

A jednak...

– Tak. Wie pani, zdaję sobie sprawę, że taka informacja...

– Chwileczkę, przełączam do menedżera kliniki – usłyszałem tylko, a potem rozległy się dźwięki kojącej muzyki, tuningowane ćwierkaniem ptaków.

Przez głowę przebiegła mi taka myśl: dobrze, że to nie Rędzia trafił na klinikę „Medicertum”.

– Halo. – Głos był mocny i zdecydowany, przygotowałem się więc na ostrą przeprawę.

Powtórzyłem, w jakiej sprawie dzwonię. Odpowiedź, jaką dostałem, bardzo mnie zdziwiła. Nie takiej oczekiwałem.

– Jeśli już rozmawiamy o tym przypadku, to bardzo proszę o pojawienie się u nas, jeśli to nie problem. – Głos nie był już taki pewny jak sekundę temu.

– Rozumiem, że to oznacza...

– To jeszcze niczego nie oznacza. Porozmawiamy na miejscu, dobrze?

– Jesteśmy za kwadrans – rzuciłem i rozłączyłem się.

Kiedy odłożyłem telefon na biurko i odwróciłem się, zobaczyłem twarze Rędzi, Jończyka i Zalewskiego, wpatrujących się we mnie ze zdumieniem pomieszanim z nadzieją. Wyglądali jak głodne wilczki, które nie są pewne, z czym tata wraca z polowania.

– Podśłuchujecie – stwierdziłem.

– Co jest? – zapytał krótko Tomek.

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – NZOZ „Medicertum” na Monte Cassino. Proszą o wizytę.

– Ale o co chodzi?

– Jezu, nie wiem. Facet usłyszał nazwisko Piekarczyk i zaczął nalegać, żebyśmy przyjechali.

– No to jedziemy. – Rędzia zerwał z oparcia swoją kurtkę.

Zafurczała, a jej rękawy o włos minęły głowę Jończyka.

W prywatnej przychodni „Medicertum” byliśmy z Ręzią niecałe dziesięć minut później. Jak człowiekowi na czymś zależy, to się stara. Przy recepcji powitał nas menedżer. Czekał tam chyba od momentu, gdy

skończyliśmy rozmawiać przez telefon. Całą ścianę za nim zajmowała ogromna kompozycja z mchu różnych gatunków, pieczołowicie poutykanego na wielkiej tablicy sięgającej sufitu. Podświetlony grecki krzyż i napis „Medicertum – pewność zdrowia” wystające ponad pionowe poszycie też były omszałe. Kiedy nie ma się w pobliżu natury jak ja, trzeba się ratować w inny sposób. Co nie zmieniało faktu, że wyglądało to imponująco i po prostu ładnie. Oraz drogo.

– Chodźmy – powiedział brodaty mężczyzna w granatowym garniturze, ściskający w ręku komórkę tkwiącą w etui typu „armour”.

Zaprowadził nas do windy, którą wjechaliśmy na poddasze, a potem do swojego gabinetu. Wielkie okno lukarny wychodziło na ogród za willą, w której znajdowała się klinika. Ogród, podobnie jak ściana mchu w recepcji, był zielony i zadbane. Trawnik również. Niektórzy to mają dobrze...

– Przepraszam, z tego wszystkiego zapomniałem się przedstawić. – Czoło mężczyzny było zroszone drobnymi kroplami potu, a ruchy rąk lekko chaotyczne. – Nazywam się Jakub Szenwald, pełnię tu funkcję menedżera kliniki... Poprosiłem panów o wizytę z pewnego delikatnego powodu...

– Taak? – rzuciłem uprzejmie, żeby go trochę ośmielić, wciąż nie mając pojęcia, czego się spodziewać.

– Ale panowie na pewno z policji?

Rędzia wyciągnął odznakę i dla pewności odwrócił ją, żeby Szenwald mógł obejrzeć również legitymację. Wyraźnie się uspokoił, jakby zrzucił z barków jakiś ciężar. Być może było to tylko moje wrażenie, bo nagle zaczął chodzić po gabinecie, co chwila przysłaniając mi siedzącego naprzeciwko, po drugiej stronie Rędzie.

– Dobrze. – Chrząknął. – Poprosiłem panów o przyjazd do nas w związku z panem Piekarczykiem... – Stał nagle zaskoczony i zapytał: – A dlaczego go poszukujecie?

Rędzia obdarzył go miłym uśmiechem.

– A kto panu powiedział, że go szukamy?

Palce prawej ręki, tej nieściskającej komórki, zniknęły w brodzie, a potem wychynęły z niej, pozostawiając ją zmierzwioną.

– Dobrze, to nie moja sprawa i w zasadzie jest to zupełnie nieistotne... – sapnął Szenwald. – Chciałbym tylko dostać jeszcze jego pesel. Żeby nie było żadnych wątpliwości, że mówimy o tym samym człowieku...

– To jest jakaś szansa, że nie o tym samym? – zdziwił się Tomek.

Pytanie lekko nie na miejscu, zważywszy na to, co działo się w tym śledztwie.

– Owszem. – Wzrok menedżera zapłonął przez chwilę, a jego odpowiedź dziwnym zbiegiem okoliczności korespondowała z moimi myślami. – To poproszę ten numer.

Rędzia spojrział na mnie, a ja wyrecytowałem go z pamięci.

– Zgadza się. – Szenwald pokiwał głową, znów uspokojony. – Więc do rzeczy. Sprawa jest delikatna i poufna. Ja... Ja chciałem się zwrócić do państwa o pomoc. Rozważałem to. Pan Piekarczyk...

– Czyli jest pacjentem tej kliniki?

– No... Jest i nie jest... Nie w tym sensie...

– A w jakim?

Szenwald wreszcie usiadł. Oparł łokcie o szeroko rozstawione kolana i popatrzył najpierw na Rędzię, potem na mnie.

– Pan Piekarczyk umówił się na wizytę w połowie kwietnia. Do internisty, w związku z nadciśnieniem tętniczym oraz uporczywymi bólami w nadbrzuszu. Został zbadany, od razu również zlecono diagnostykę, której część wykonano na miejscu dwa dni później. Mówię o gastrokopii i kolonoskopii. Pobrano materiał na badanie histopatologiczne oraz w kierunku *Helicobacter pylori* i... – zamilkł na chwilę – ...tu zaczynają się problemy.

– Jakie problemy?

– Materiał został wysłany do laboratorium medycznego. Po dwóch tygodniach przysły wyniki, z których wynikało, że pacjent ma chorobę nowotworową. Nowotwór złośliwy żołądka.

– Piekarczyk ma raka?

– No, właśnie nie ma...

– Nie rozumiem.

– Proszę mi dać wytłumaczyć. My... Klinika wykonuje procedury przy współpracy ze specjalistami, tak? Oni nie pracują u nas na stałe, tylko na zlecenie. Mamy umówione dni, w które przyjmują bądź wykonują badania. Gastrolog na przykład wykonuje badania w środy, co dwa tygodnie. Na ten dzień umawiamy zebranych pacjentów, zwykle jest ich kilku.

– Połykanie rury i rura od tyłu, tak? – Tomek nawet nie silił się na delikatność.

– Mniej więcej. Badania wykonywane są jedno po drugim, oczywiście z niezbędną przerwą technologiczną, że się tak wyrażę... W tamtym terminie badania endoskopowe wykonano w sumie siedmiorgu pacjentom. Generalnie obowiązują pewne procedury...

– Pan nam teraz tłumaczy, jak doszło do pomyłki, tak? Do tego pan zmierza?

– Tak – przyznał po długiej chwili ciszy Szenwald.

– Rozumiem, że pomyłka wynikła z waszej winy, a nie laboratorium? – zapytałem.

– Niestety, tak.

– Jak to możliwe?

– Czynniki ludzkie.

– Czyli niedbalstwo?

– Nie do końca. Czasem, z powodu braku czasu, zmęczenia czy innych przyczyn wycinki są... mylone.

Mam na myśli ich kolejność... Znacząca, opisująca je pielęgniarka zabiera je nie w takiej kolejności, w jakiej doktor wykonywał badanie i... – Menedżer wciąż szukał eufemizmów i kwiecistych synonimów niedbalstwa, a ponieważ nic więcej nie mógł wymyślić, przeszedł do innej linii obrony. – W laboratorium również może dojść do pomyłki, nawet pomimo kontroli krzyżowych...

– Ale doszło u was – zawróciłem go z tej drogi, bo dalsze tłumaczenia nie miały po prostu sensu. – Dobrze, co dalej?

– Pan Piekarczyk został poinformowany o chorobie. Niskozróżnicowany rak żołądka. Oczywiście diagnoza na podstawie takich badań wymaga poszerzenia diagnostyki. Zaproponowano mu skierowanie do szpitala na dalszą diagnostykę onkologiczną, założono kartę DiLO. Ale pan Piekarczyk, cóż, odmówił dalszego leczenia, tłumacząc, że to nie ma sensu. Zrezygnował z walki na samym jej początku, nie wiedząc nawet, jakie ma szanse. Jest to dla mnie kompletnie niezrozumiałe. – Szenwald szeroko rozłożył ręce, jakby tym pozornie szczerym ruchem miał w jakiś sposób zrekompensować albo wręcz ukryć ogrom winy firmy, którą reprezentował.

– A jakie miał szanse? Ten rodzaj raka jest bardzo złośliwy?

– Tak. Stan zaawansowania nie był co prawda na tym etapie znany...

– Dobra, zaraz: przecież on go nie miał? Tego raka?

– Nie miał. Miał chorobę wrzodową żołądka.

– Jak ta pomyłka wyszła na jaw?

– Zmarł drugi pacjent. Ten, który naprawdę miał raka.

– Ten, któremu po badaniach wyszło, że ma wrzody?

– Tak. – Ręce leżały już bez ruchu, jakby Szenwald uznał, że żaden ruch nie jest już w stanie zmasać winy „Medicertum”. – Zmarł na zawał serca, ale jego córka zleciła autopsję i ekspertyzę w niezależnej placówce orzecznictwa i usług medycznych.

– Dlaczego?

– Uznała, że śmierć ojca jest podejrzana. Leczenie antybiotykiem nie przynosiło efektu, bóle się nasilały, stwierdziła więc, że mogły być pośrednią przyczyną zawału. Ta pani prezentuje bardzo roszczeniową postawę, próbuje uzyskać odszkodowanie...

– Kurwa, pan wybaczy, ale skupmy się na Piekarczyku, dobrze? – Rędzia nie wytrzymał. – Co się z nim dzieje? Odmówił leczenia z tylko sobie znanych przyczyn i co?

– I nic. – Szenwald wzruszył ramionami. – Zniknął. Wszelkie próby skontaktowania się z nim były bezskuteczne. Ani adres mailowy, ani numer telefonu kontaktowego, który podał w formularzu rejestracyjnym, nie istnieją. Nie podał danych żadnych krewnych, których można by powiadomić w razie czego. Pod wskazanym adresem go nie ma. Nie mamy innych

możliwości, żeby go namierzyć. Dlatego właśnie, kiedy panowie zadzwoniliście w jego sprawie, pomyślałem...

– Co pan pomyślał?

– Że może jakoś pomożecie. W końcu szukacie ludzi zawodowo, tak? A mówimy o ludzkim życiu, jego życiu...

– Przecież nie umrze, bo nie ma raka, tylko zwykłe wrzody?

– Nie tylko o to chodzi. Pacjent miał te bóle od wielu lat, co najmniej dziesięciu. Teraz, kiedy wiemy już, że to był wrzód, zdajemy sobie również sprawę, że taki czas występowania objawów bólowych nie wróży nic dobrego. Istnieje spore ryzyko nagłego pogorszenia stanu jego zdrowia.

– Co to znaczy?

– Że w ciągu kilku miesięcy, a może nawet tygodni, może nastąpić perforacja ściany żołądka albo naczynia krwionośnego. I Piekarczyk umrze. Wykrwawi się lub dostanie zapalenia otrzewnej. Tylko natychmiastowa operacja daje w takim wypadku jakieś szanse. Inaczej...

– Szenwald zawiesił głos i wymownie pokręcił głową.

– Nikt nie próbował go przekonać do leczenia? – zapytałem cicho. – Jakoś trudno uwierzyć, że w takiej sytuacji człowiek może po prostu nie chcieć dać sobie pomóc.

– Oczywiście, że próbowaliśmy. Ale bez zgody samego pacjenta lekarz niczego nie zdoła. Pacjent decyduje sam o sobie. Jego prawo. Jako lekarze mamy obowiązek

rzetelnie informować go o stanie jego zdrowia, ale nie możemy niczego mu narzucać.

Kolejny raz stwierdziłem, że medycyna stanowi dla mnie nieustającą zagadkę, a zagadnienia stricte anatomiczne są w tym wypadku najmniejszym problemem.

Wracaliśmy do komendy w trochę gorszych nastrojach. Wciąż nie wiedzieliśmy, gdzie szukać Piekarczyka, choć nie wracaliśmy przecież z pustymi rękami. Tomek lawirował między samochodami, mrużąc oczy od słońca świecącego prosto w przednią szybę skody.

– Teraz wiemy, czemu zmienił zasady. Czemu gra. Miałeś rację. Jesteś geniuszem, cholernym farciarzem albo masz jakieś nadprzyrodzone moce. Nieważne, chyba nawet wolę nie wiedzieć.

– To najnormalniejszy w świecie tok myślenia, Tomek. Nic więcej. Poczyniliśmy pewne założenie i rozważaliśmy możliwości. Nie było ich znowu tak wiele, więc któraś musiała być trafna. Ot, i cała tajemnica.

– Jak tam sobie chcesz. W każdym razie Piekarczyk nie ma nic do stracenia. Nic. Wejdźmy na chwilę w jego skórę: jest przekonany o tym, że umiera i że nic nie może z tym zrobić. Świadomie zrezygnował z leczenia, widocznie uważa, że nie ma szans. Jest pesymistą albo nie chce dłużej żyć, nieważne. Tak jak mówił ten cały menedżer: wolno mu. Dlatego zmienił zasady, stąd telefon zamiast listów, chociaż ryzykował, że wpadniemy

w końcu na to, że to nie jego głos. Wystarczyło, że nagrań wysłuchałby ktoś z jego rodziny...

– Ale nie wysłuchał.

– No nie... Ale ryzyko istniało i musiał brać je pod uwagę, skoro taki z niego wytrawny gracz.

– Sam mówiłeś, że dziwna jakaś ta gra.

– A ty nie odnosisz takiego wrażenia?

– Owszem, odnoszę. A teraz mamy wyjaśnienie... – potarł czubek nosa – ...chyba.

Po powrocie Tomek streścił chłopakom przebieg wizyty w klinice „Medicertum”. Też nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli.

– Komu tu ufać? – zapytał żałośnie Jończyk. – Jak żyć? Dziecku mam badania zrobić, bo chyba ma anemię. Co mam teraz myśleć...?

A więc moja dedukcja z początku znajomości z chłopakami okazała się niewiele warta. Jończyk był jednak żonaty, obecnie lub kiedyś, nieistotne. Pozory są ogromnie zdradliwe. Po prostu myślą niczego niepodejrzewających detektywów amatorów...

Zalewski nie biadolił, tylko podał nam jakąś kartkę.

– Jacek Piekarczyk, brat Mirosława. Pracuje w agencji ochrony „Zodiak”. Zwykły stróż, licencja pracownika ochrony pierwszego stopnia, nie ma dostępu do broni. Siedzi w budce na bramie przy wjeździe do portu i sprawdza przepustki.

– To już chyba wiemy, na którym przystanku nasza babcia wysiadła z tramwaju... – Oczy Rędzi się zwięzły, a chytry uśmiech nieco rozjaśnił jego zmęczoną twarz.

– Myślisz? – zapytałem z powątpiewaniem.

– Myślę. Co jak co, ale z bratem trzeba dobrze żyć. Muszę dać znać Cieślarowi i zlecić obserwację. Szczególnie w miejscu jego pracy. – Rozejrzał się po naszych twarzach i zatarł ręce. – Wiem, że nie dzieli się skóry i tak dalej, ale mamy go. Czuję to, panowie. Czuję! Wreszcie go mamy!

* * *

Nietypową sytuację zaobserwowano przy bramie portu już następnego ranka, właściwie jeszcze w nocy. Wywiadowca nagrał, jak niezidentyfikowany mężczyzna odbiera od wartownika jakąś paczkę, a potem wraca na teren portu, skąd wcześniej przyszedł. Ze względu na odległość i nocną porę nie dało się ustalić, kim jest, ale wartownikiem był Jacek Piekarczyk, co sprawdzono wcześniej nawet nie w firmie ochroniarskiej, a w jednej z komórek portu „Gryf”, która odpowiadała za kwestie logistyczne i miała rozpiskę dyżurów uwzględniającą konkretne nazwiska. Akcję zatrzymania Piekarczyka zaplanowano na piątą rano następnego dnia. Zdecydowano o tym z różnych względów, między innymi dlatego, że o szóstej następowała w porcie zmiana, a co za tym idzie, wzmożony ruch pojazdów i ludzi. W przypadku

Nietykalnego przepisy i procedury nie mogły być aż tak istotne. Tu chodziło o ludzkie życie.

Do późnej nocy ślęczeliśmy w komendzie, ja w zasadzie tylko obserwowałem, jak Rędzia ustala z kierownictwem i antyterrorystami ostatnie szczegóły, wścieka się przez telefon na Cieślara i miota po pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca jak więzień w ostatni dzień odsiadki. Cieślak załatwiał formalności, a wszystko trzymane było w ścisłej tajemnicy. Około dwudziestej trzeciej Tomek spojrział na zegarek, potem na nas i zmęczonym głosem rzucił:

– Dobra, nie ma co tu dłużej wycierać dupskami krzeseł. Trzeba się wyspać. Zbiórka pod komendą o czwartej. A teraz do domu...

* * *

Drzałem. O czwartej nad ranem chłód wciskał się pod kurtkę, na zewnątrz było jakieś trzynaście stopni, a i zdenerwowanie robiło swoje.

Chciałem jechać na tę akcję. Nie musiałem, ale chciałem, w końcu zwieńczała śledztwo, w którym miałem swój udział, i to znaczny. Chciałem zobaczyć minę Nietykalnego w momencie zatrzymania. Pragnąłem ujrzeć to niedowierzanie, szok, może wściekłość, a może spokój i obojętność jako wyraz pogodzenia się z losem. Chciałem na własne oczy zobaczyć, co będzie czuł

morderca, kiedy nastąpi moment, którego w swej pysze i zaciętrzewieniu z pewnością sobie nie wyobrażał.

Tomek wyjechał z dziedzińca komendy. Skręcił w Małopolską, zajechał pod wejście główne, pod którym czekałem, i otworzył drzwi. W środku byli już Jończyk z Zalewskim. Siedzieli z tyłu, rozespani, w rękach mieli plastikowe kubki, znad których wraz z parą unosił się zapach kawy. Koło Tomka, w panelu między siedzeniami, stała napoczęta półlitrowa pepsi. Ja zdążyłem w domu łyknąć yerbę. I tak nie mogłem w nocy spać.

Jechaliśmy w ciszy przez puste ulice, po których poruszały się tylko taksówki i nieliczne autobusy. Wkrótce dotarliśmy na miejsce i zaparkowaliśmy koło hali, gdzie przez kilka lat mieściła się szczecińska opera i operetka. Instytucja wróciła już do swojej dawnej siedziby na zamku, ale srebrzysty, wyglądający jak zaryty w ziemię sterowiec koszmarek wciąż szpecił ten fragment miasta. Obok stał już szary volkswagen transporter i kilka osobówek. Czyste szyby bez śladu porannej rosy świadczyły, że auta przyjechały niedawno. Niedaleko zaparkował Cieślar; siedział z głową opartą o zagłówek, jakby drzemał, przez szybę widziałem jego wyniosły profil. Na parkingu kilku mężczyzn w ciszy paliło papierosy. Czuję zapach dymu tytoniowego, wody i czekolady, dolatujący z zakładów cukierniczych. Nikt nie mówił ani słowa. Tomek porozmawiał chwilę z jednym z antyterrorystów, a potem podszedł do nas.

– Tajniak wciąż filuje przy wejściu. Jeśli znów go zobaczy, to wkraczamy od razu, nie czekając. Czarni są już gotowi. – Zatarł ręce. – Jak tam, chłopaki, jest moc, co? Nie mogę uwierzyć, że to już koniec. Dał nam popalić...

Czekaliśmy dalej. Tuż przed piątą Rędzia dostał przez radio informację, że przy szlabanie coś się dzieje.

– Co, jest przebrany? – pytał gorączkowym szeptem, mimo że od wjazdu do portu dzieliło nas ze dwieście metrów. – Wychodzi!?! Ruszamy! Tak, od razu!

Zamachał gorączkowo do antyterrorystów siedzących w transporterze przy odsuniętych drzwiach. Zaczął się ruch, seria trzasków zamykanych i zasuwanym drzwi. A potem ruszyliśmy.

– Po ciemku – instruował Rędzia przez krótkofalówkę. – Sztuczne ognie dopiero przy bramie, bo nam jeszcze spierdoli...

Latarnie uliczne, nadbrzeżne i te, które oświetlały przyległe tereny leżące już na obszarze zespołu portów Szczecin i Świnoujście, rozpraszały ciemność nocy wystarczająco, byśmy mogli jechać bez włączonych reflektorów. Sunęliśmy kawalkadą w kierunku zabudowań starej rzeźni i bramy wjazdowej, przy której wszystko miało się szczęśliwie zakończyć.

Nie zakończyło się szczęśliwie.

Jeszcze zanim dojechaliśmy do bramy, z krótkofalówki zatrzeszczał głos wywiadowcy.

– Obiekt się oddala, powtarzam: obiekt się oddala, jak zrozumiałeś, siedem?

– Kurwa, gdzie się oddala? – Tomek dał sobie spokój z zasadami komunikacji radiowej. – W którą stronę!? W naszą czy do portu?

– Od szlabanu w stronę nabrzeża, powtarzam: w kierunku nabrzeża...

W volkswagenie czarnych włączyły się światła, Rędzia włączył swoje, dalszy kamuflaż nie miał sensu: Piekarczyk musiał nas usłyszeć albo wydał mu się podejrzany szum silników kilku samochodów naraz i postanowił na wszelki wypadek się ukryć. Transporter wyprzedził nas i zatrzymał się przed szlabanem. Rędzia otworzył okno i usłyszeliśmy wściekły ryk jednego z funkcjonariuszy SPAP-u:

– Podnieś, kurwa, ten szlaban albo go rozjebię! Już!

Szlaban się uniósł. Kolejny policjant wbiegł do stróżówki, kopniakiem wywalając drzwi. Kiedy mijaliśmy budkę, zdążyłem zauważyć, jak powala siedzącego na krześle strażnika na ziemię. Potem wjechaliśmy na teren portu i straciłem ją z oczu. Rędzia mamrotał coś pod nosem pochylony nad kierownicą i skupiony na widoku przed samochodem. Snopy przełączonych na długie reflektorów rozcinały mrok. Stanęliśmy kilkadziesiąt metrów dalej, Rędzia wyłączył silnik, nie wyjmując kluczyka ze stacyjki i nie wyłączając świateł. Po chwili podjechał do nas volkswagen i wysypało się z niego

kilkunastu chłopa w kevlarowych hełmach, kamizelkach kuloodpornych i pełnym uzbrojeniu. Rędzia wysiadł, wyciągnął z kabury broń i powiedział do nas:

– Zostajecie w wozie. Kurwa, nie powinno was tu w ogóle być...

– Idę z tobą – oświadczyłem zdecydowanie. – Ja mogę.

– Nie możesz i nie kłóć się ze mną.

– Mogę. Z jednego podstawowego powodu.

– Mianowicie?

– Kto miałby z nim negocjować, co?

Jończyk i Zalewski nie odzywali się. Rędzia też. A ja miałem rację, chociaż nie paliło mi się już tak bardzo do dalszego uczestniczenia w akcji. Ale taka była prawda. Jakby co, Piekarczyk będzie chciał rozmawiać wyłącznie ze mną.

W końcu to nasza gra.

Tomek sapnął głośno.

– Idziesz ze mną – zdecydował w końcu. – Ze mną, czyli góra dwa kroki ode mnie. Jak coś ci się stanie, to zabiję. Potem zreanimuję i znów zabiję. Masz na siebie uważać. Idziemy...

– Jak chcesz go znaleźć? – zapytałem, zamykając drzwi skody.

– Nie mam pojęcia – mruknął. – Nie ma chyba dużo możliwości ucieczki. Nie wiem... Krzysiu, wyłączcie światła – rzucił do radia i wskazał nasze długie cienie

kładące się na zakurzone klepisku. – Widać nas jak na strzelnicy...

Światła zgasły i cienie zniknęły. Wszystko skryło się w mroku.

– Jak go znajdziemy po ciemku? – zapytałem.

– Skoro on ucieka po ciemku, to widzi dokładnie to samo co my. Ciemność.

– Nie wiemy, czy ma broń – zauważyłem. – Albo noktowizor.

– Nie wiemy – przyznał. – Dlatego tym bardziej uważaj. Panowie – zawołał cicho do stojących z tyłu w rzędku antyterrorystów. – Ma nad nami jakąś minutę przewagi. Szukamy go, posiłki już jadą...

Nie szukaliśmy Piekarczyka długo. To on znalazł nas. Widać nie wiedział, gdzie się ukryć, albo wręcz przeciwnie, nie chciał uciekać, tylko przyciąć się gdzieś niedaleko, poczekać, aż pierwsza grupa przejdzie i przemknąć się jakoś, zanim nadejdzie wsparcie. Nie wiedziałem tego. Miejsce, w którym to się stało, nie było ciemnym zaułkiem gdzieś między na wpół zrujnowanymi budynkami starej rzeźni, tylko otwartym placem blisko nabrzeża Basenu Zachodniego. Przechodziliśmy obok jednego z nowszych budynków, kryjąc się w jego cieniu, w złudnym – jak się okazało po chwili – poczuciu bezpieczeństwa wynikającym z osłony, jaką dawały jego ściany. Też byłem zaskoczony, podobnie jak cała reszta, kiedy cios zadany czymś ciężkim z głuchym brzękiem

wytrącił Tomkowi broń z ręki. Rędzia miał szczęście, że nie dostał w dłoń, bo skończyłby jako inwalida. Ale nagle stało się to jego najmniejszym zmartwieniem, kiedy czarny cień wychynął zza rogu, ciemna macka objęła go za szyję i porwała z powrotem za róg budynku. Wszystko trwało ułamek sekundy. Skoczyłem za nimi. Nie miałem broni, nie miałem nic, z wyjątkiem głowy, której musiałem teraz użyć.

Piekarczyk stał oparty o ścianę magazynu, trzymając przed sobą Rędzię jak żywą tarczę. Miał na sobie kobiece ubranie i makijaż, brakowało tylko chustki na głowie. Dyszał ciężko, a rozszerzone oczy podkreślone konturem tuszu do rzęs wyglądały jak u aktora teatru kabuki. Jedną ręką obejmował Tomka za szyję, w drugiej trzymał nóż, którego czubek wciskał mu pod żuchwę. Upiorność podkreślało zimne, białozółte światło niedalekiej latarni. Skapani w nim staliśmy w przerywanej głośnymi oddechami ciszy. Tomek kurczowo trzymał przedramię napastnika, usiłując zluzować chwyt, który odcinał mu dopływ powietrza. Czas jakby przed chwilą zatrzymał się w miejscu, a potem ruszył, i to tak szybko, że nie było już go więcej do stracenia.

Miałem tylko jedno wyjście. Zaskoczyć Piekarczyka. Zbić z tropu, żeby nie wiedział, co myśleć i co robić. Zagrać z nim, ale tym razem na moich zasadach.

– Nie masz raka – powiedziałem niemal bez zastanowienia.

– Co? Skąd wy... – odparł zaskoczony i już nie miałem wątpliwości, że to z tym człowiekiem rozmawiałem kilka razy przez telefon.

Nietykalny był nasz. Prawie.

– Nie masz raka – powtórzyłem. – To wrzody żołądka.

Stał przez chwilę niezdecydowany, patrząc na mnie ogłupiałym wzrokiem, a potem jego twarz wykrzywił grymas. Tomek, z ramieniem Piekarczyka wciąż zaciśniętym na szyi, wpatrywał się we mnie. Nie było w jego oczach paniki ani szoku, tylko opanowanie. Oraz chłodna kalkulacja.

– Tylko na tyle cię stać, Suder? Na tekst z tandetnego serialu? – zapytał mściwie Piekarczyk, jeszcze mocniej przyciskając czubek ostrza do szyi Tomka. – Zaraz wyjdzie moja cudownie odnaleziona córka, której nigdy nie miałem, i powie mi: „Tato, wróć do nas”?

– Nie wyjdzie – powiedziałem, starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. – A jeśli chodzi o córkę, to mogę ci opowiedzieć o innej córce; córce pewnego człowieka, u którego wykryto chorobę wrzodową układu pokarmowego. Aktualnie jej prawnik dyskutuje z prawnikiem „Medicertum” o kwestiach zadośćuczynienia za błąd medyczny, przez który nowotwór żołądka leczono u jej ojca zwykłym antybiotykiem. Wszyscy byli zdziwieni, że zwyczajowo podawane w przypadku choroby wrzodowej leki nie działają. Jeszcze bardziej zdziwili się, kiedy ten człowiek

umarł, a podejrzliwa córka zazała sekcji. Po sekcji to zdziwienie było jeszcze większe... Tak, pomylili próbki z biopsji. Takie rzeczy niestety się wciąż zdarzają. Rzadko, bardzo rzadko, ale jednak. I to zdarzyło się tobie... – Patrzyłem, jak opadają mu ramiona, choć nóż wciąż pozostawał przy szyi Rędzi. – Teraz inaczej to wszystko wygląda, panie Nietykalny, co? Zupełnie inaczej...

– Kłamiesz! – wrzasnął nagle Piekarczyk. – Pierdolisz, żeby zyskać na czasie! Udowodnij to!

Maska opadła. Nie było już „pana Dariusza” ani ładnych słów. Nie było gry, jedynie wściekłość i nienawiść. Ślina w kącikach uszminkowanych ust i obłęd w oczach optycznie powiększonych czarną konturówką.

– Nie mam żadnych papierów, nie przy sobie – odparłem, wruszając ramionami i patrząc, jak Tomek szybko oddycha przez nos. – Są w klinice. Szukali cię, ale przecież zniknąłeś, na własne życzenie... Będziesz żył. W więzieniu, ale będziesz żył.

– Taki chuj! – Machnął nożem, a ja kątem oka zauważyłem jakiś cień przesuwający się z boku. – Myślisz, że ci uwierzę? Że się nabiorę? Co ja, kurwa, dziecko jestem? Powiedz, że to nieprawda! Powiedz, bo mu oderżnę ten głupi łeb! – Odchylił się nagle i w panice rozejrzał na boki; wyglądał przez chwilę jak mały

chłopiec w zatłoczonym hipermarkecie, który zorientował się, że właśnie zgubił mamę. – Nawet nie pró...

Czubek noża wskazał kogoś za mną. Oniemiały patrzyłem, jak w tej samej chwili Rędzia lekko się pochyła, przerzuca ciężar ciała na jedną nogę, a potem trzymając mocno przedramię Piekarczyka, jakby chciał go przerzucić przez bark, błyskawicznie okręca się na niej w lewo. Strzały były ogłuszające. Najpierw dwa, zlewające się w jeden, a potem następny, kiedy Piekarczyk już zsuwał się z pleców Tomka.

Rędzia poczekał, aż ciało upadnie na ziemię, wzniesając tuman kurzu, który uniósł się kłębamii wokół nich, potem uklęknął przy Piekarczyku, unosząc wysoko jedną dłoń, by dać znak antyterrorystom, że z nim w porządku. A przynajmniej tak sądziłem. Podbiegłem do nich na drewnianych nogach, z żołądkiem ściśniętym stresem. Za sobą słyszałem szuranie buciorów i ciężkie oddechy policjantów.

– Myślicie, że mnie macie... Ale nie dam wam... Tej... Satysfakcji... – Różowe pęcherzyki pękały wokół ust Piekarczyka, kiedy szeptał urywane słowa. – Skurwysyny... Skurwysyny...

Plama ciemnej czerwieni rozlewała się wokół jego tułowia w zastraszającym tempie, krew wypływała spod pleców i nawet nie nadążała wsiąkać we wszechobecny kurz. Rędzia nachylał się nad nim, klęcząc obok na kolanie. Trzęsły mu się dłonie.

– Hej! Mów do mnie, słyszysz?! Mów do mnie! – wołał, ale Piekarczyk już tego wołania nie słyszał.

Jego prawa noga lekko drgnęła, a podbródek opadł, ukazując czerwone od krwi wnętrze ust. Był martwy.

– Kurrrwaaaa! – wrzasnął wściekły Rędzia gdzieś w niebo, wstając z ziemi i wysoko unosząc ręce w swoim charakterystycznym geście wygrażania komuś, a potem obejrzał się na dwóch ludzi, którzy właśnie uratowali mu życie. – Ja pierdołę! Musieliście go zabijać!?

Obaj antyterrorysty bez słowa przypadli do leżącego na zakurzonym betonie ciała. Jeden zdecydowanie odsunął Tomka i ukląkł z boku, kładąc palce na szyi Piekarczyka. Odczekał kilka sekund, a potem położył splecione dłonie na klatce piersiowej i zaczął masaż. Drugi policjant wyciągnął swój IPMED, rozdarł opakowanie i położył obok siebie. Odgarnął fałdy zadartej aż na tułów spódnicy i odsunął zakrwawioną kurtkę, z której na ziemię wypadł telefon komórkowy. Wszystko działo się błyskawicznie i równocześnie jak na zwolnionym filmie. Ciało Piekarczyka podskakiwało w rytm silnych ucisków, a z dwóch małych dziurek czerniejących w jego boku sączyła się krew. Wszyscy wiedzieliśmy, że już nic Piekarczykowi nie może pomóc, lecz mimo to antyterrorysty nie rezygnowali. Jeden kolejny raz liczył cicho do trzydziestu, a drugi tamował krwotok, który z obfitego zmienił się w pulsującą strużkę.

Rędzia przyglądał się temu w milczeniu. Kiedy policjant robiący masaż serca spojrzał na niego, drgnął, jakby obudził się z drzemki.

– Sorry. – Tomek podniósł rękę, tym razem jedną, jakby zgłaszał się do odpowiedzi albo pozdrawiał kogoś i nagle zgarbił się, dodając cicho: – Wiem. Kurwa, wiem. I dzięki.

Podszedł do sterty worków, usiadł na jednym z nich, nie dbając, że jego spodnie od razu pokrywają się warstwą szarego pyłu, i schował twarz w dłoniach. Potem wysunął je przed siebie wierzchem do góry, szeroko rozstawiając palce i przez chwilę przypatrywał się im w milczeniu.

Było po wszystkim...

* * *

Mimo że Piekarczyk był martwy, jego ciało zabrała karetka, a nie karawan. Trup Nietykalnego pojechał do pomorzańskiego Zakładu Medycyny Sądowej, a my zostaliśmy, żeby ogarnąć chaos, który zapanował na miejscu. Zjawili się chyba wszyscy, oprócz FBI: przyплыnęła nawet łódź z Urzędu Morskiego. Ze stróżówki przy wjeździe przywieziono również brata Piekarczyka, który stał teraz przed Cieślarem i Rędzią blady i spocony, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

– Przysięgam, panowie, ja nie wiedziałem...

– Gdzie jego nora? – zapytał krótko Tomek, nie patrząc na niego, tylko na spokojną wodę w portowym basenie.

– Ja... Ja nie wiem, ja tylko...

– Gdzie jest jego zawszona nora, bo ci zaraz przypierdolę... – Teraz ja nie patrzyłem.

Odwróciłem głowę, mimo że pamiętałem czasy, w których robiłem to samo, co Rędzia teraz. Kątem oka widziałem, że Cieślar nie spuszcza z nich obu wzroku.

– Ja tam nie byłem... On mi nie pozwolił, zabierał tylko w nocy zakupy na bramie...

– Nie pytam, czy tam byłeś, tylko gdzie to jest. Ostatni raz i nie prowokuj mnie. Gdzie?

Strażnik skapitulował.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. – Odchylił głowę, rzucając przeciągłe spojrzenie gdzieś w bok. – Zaprowadzę was...

Kryjówka Nietykalnego mieściła się w jednym z opuszczonych, na wpół zrujnowanych budynków ponemieckiej rzeźni. Część z nich, ta poza portem, przy dawnym nabrzeżu „Starówka”, dostawała powoli nowe życie; po przebudowie i adaptacji do nowej funkcji stawały się jak „Stara Rzeźnia” restauracją i centrum kultury albo biurami. Te za murem wciąż niszczały mimo wykorzystywania ich jako uzupełniające infrastrukturę magazyny i składy. W jednym z nich, za górą worków wypełnionych jakimś szarym proszkiem,

urządził się Piekarczyk. Jak rasowy lis miał ze swej kryjówki wyjście awaryjne – szczelinę w ścianie szczytowej.

Odruchowo poświeciłem latarką po bokach drzwi i znalazłem włącznik światła starszy chyba niż ja – ebonitowy, przekręcany. Obróciłem go o sto osiemdziesiąt stopni. Powiedzieć, że światło zalało halę, byłoby grubą przesadą: dwie liche żarówki na stropie ledwo dychały i nie zdołałyby dobrze oświetlić średniej wielkości toalety. Brat Piekarczyka w milczeniu wskazał jakieś miejsce z tyłu. Ruszyliśmy tam.

Z boku hali, za stosem worków z tym szarym, wszędobylskim gównem, w jednym z małych bocznych pomieszczeń znaleźliśmy materac, wiadro z wodą, kilka zgrzewek butelkowanej wody, lodówkę turystyczną. Do jednego z naściennych przewodów elektrycznych biegł kabel zakończony listwą, do której podłączono czajnik i małą lampkę. Pod jedną ze ścian stało parę starych szafek. W ich środku znaleźliśmy pięć termosów, trochę suszonych wędlin, suchary delikatesowe, mnóstwo opakowań tabletek i kapsułek przeciwbólowych oraz pieniądze. Całkiem sporo. Pliki banknotów stułotowych miały jeszcze bankowe banderole. Przeliczyłem z grubsza kupki.

– Jakież trzydzieści osiem tysięcy – powiedziałem.

Rędzia gwizdnął pod nosem.

– Ze stówy? Sporo przepuścił. A chyba nie miał dużo wydatków?

– Z tego co wiem, Piekarczyk zażyczył sobie pieniędzy z ugody gotówką – rzucił nagle Cieślar, który do tej pory nie odezwał się nawet słowem. – Prawnik spółki „Gronowo” poszedł z nim do banku, wypłacił dla niego gotówkę i tamten zniknął. Ciekawe, w co schował taką kasę? – Zerknął na mnie znacząco, ale tak by nikt tego nie zauważył.

Nikt, z wyjątkiem mnie.

– Wbrew pozorom sto tysięcy w setkach to nie taki znów duży pakunek – odpowiedziałem. – Zmieści się do niewielkiej torby.

– Zna się pan na tym? – zapytał prokurator.

Słusznie, mogłem nic nie mówić. Ale skoro już zacząłem, to wypadało skończyć.

– Na tyle, na ile każdy przeciętnie inteligentny człowiek z podstawami matematyki i jako taką wyobraźnią przestrzenną – odparłem spokojnie. – A pan nie?

Cieślar zamknął się wreszcie. Nikt się nie zorientował, że razem gramy w jakąś dziwną grę.

– Gdzie się mył? – zapytał Tomek.

Brat Piekarczyka drgnął, zorientowawszy się, że to pytanie do niego.

– Tu, w wiadrze... – Wskazał je. – Raz na kilka dni, kiedy kończyłem nocną zmianę, brałem go do siebie do

firmy, żeby wziął prysznic.

– Dobra, zabierzcie go. – Rędzia machnął ręką. – Później pogadamy, tak, panie prokuratorze?

Cieślar zgodnie uniósł ręce i uśmiechnął się dobrotliwie. Jeden z policjantów wyprowadził skutego Piekarczyka.

– Co on miał na myśli, mówiąc, że wcale go nie mamy? – zapytał Rędzia.

– Nie wiem – odparłem i rzeczywiście nie miałem pojęcia, co o tym sądzić; byłem jeszcze zbyt roztrzęsiony, by nawet spróbować coś wymyślić.

Poprawiłem lateksową rękawiczkę zsuwającą mi się z nadgarstka i sięgnąłem do uchylonych drzwiczek jednej z szafek, zza których coś wystawało. Otworzyłem je szerzej.

– Jezu... – wyrwało mi się.

Na półeczce leżał młotek ciesielski. Spory. Miał pomarańczową rączkę. Dwufunkcyjna głowica o nowoczesnym designie sprawiała groźne wrażenie, przypominała alpinistyczny czekan. Ważył na oko ponad kilogram.

– Myślicie, że właśnie nim...? – zapytałem, przelykając ślinę.

Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby wziąć go do ręki. Zrobił to Rędzia, oczywiście w lateksowych rękawiczkach. Ostrożnie ujął końcówkę trzonka dwoma palcami,

podtrzymując głowicę drugą ręką i podsunął sobie młotek pod oczy.

– Kurwa – mruknął. – Niby czysty, ale w zakamarkach są jakieś ciemne plamy...

Podał go technikowi, który jeszcze ostrożniej położył go na leżącej na ziemi folii z miarką i zrobił kilka zdjęć, po czym zapakował narzędzie do kartonu i natychmiast oznaczył go kodem kreskowym. Patrzyliśmy w milczeniu na całą operację. Było mi smutno. Po prostu smutno i źle. Nie było już chyba sensu, żebym tu dłużej tkwił. Miałem dość.

– Słuchaj – powiedziałem do Tomka. – Nie najlepiej się czuję... Pójdę już, co?

– Jasne, jasne... – Zwrócił się do policjanta, który dojechał razem z posiłkami: – Proszę odwieźć pana radcę pod wojewódzką.

– Tak jest.

– Dzięki, Darek. – Uśmiech triumfu i ulgi rozjaśnił poszarzałą nie tylko od pyłu twarz Tomka. – Dzięki. Później pogadamy, teraz odpoczywaj, należy ci się.

Cieśla miał najwyraźniej inne zdanie, ale nie uznał za stosowne go wyrazić. Pomachałem Rędzi i poszedłem z posterunkowym. W radiowozie zasnąłem, policjant obudził mnie delikatnym szarpnięciem już pod komendą. Przesiadłem się do swojego samochodu i dojechałem do Bartoszewa jak na autopilocie, nie pamiętając niczego po drodze. Czułem się jak zombie i trochę tak wyglądałem.

W domu padłem na kanapę i zasnąłem na dobre. Nie zdążyłem nawet zdjąć powalanych szarym błotem butów.

Wieczorem ktoś zadzwonił do drzwi mojej altany. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem Tomka. Stał na schodkach, bez kurtki, tylko w koszulce polo, mimo że na dworze było już dość chłodno.

– Sorry – powiedział cicho. – Nie mogłem wytrzymać w domu. Nie dziś. Wiem, że Bożena i chłopaki dopiero wrócili od Leśniewskiego, że się trochę nie widzieliśmy, ale... Nie chciałem ich... Nie chciałem im... Żeby to na nich jakoś, wiesz...

– Wiem – odparłem. – Wejdz.

– Nie chcę się napruć ani nic takiego. Możemy po prostu posiedzieć u ciebie w ogródku? – Wskazał za siebie kciukiem.

– Jasne. Możemy sobie po prostu posiedzieć. W ogródku. W końcu nigdzie nam się nie spieszy, no nie?

Zeszliśmy więc do ogródka. Powoli zapadał zmrok, zrobiło się dość chłodno. Rozłożyłem krzeselka, ustawiając je na trawniku naprzeciwko siebie. Usiedliśmy na nich w milczeniu. Tomek niewidzącym

wzrokiem wpatrywał się przez dłuższą chwilę w żywoplot za moimi plecami, a potem westchnął.

– Nie wiem, jakie będą dla mnie konsekwencje całej akcji z Piekarczykiem ani czy w ogóle będą, jeśli ci na górze uznają, że wszystko odbyło się mniej więcej zgodnie z procedurami, zwłaszcza że nie zginął nikt od nas – powiedział. – Ale nie o tym chciałem pogadać... Dziś otarłem się o śmierć. Nie po raz pierwszy, jak już wiesz, ale tym razem było blisko. Najbliżej, jak do tej pory. Blżej niż w tej bramie na Śląskiej. Nie lubię tego określenia: „otrzeć się o śmierć”. To nie tak jak zostać rannym: lekko albo ciężko. Można być ciężko rannym, lekko rannym, ale nie można być trochę martwym, lekko martwym ani ciężko martwym. Tylko albo żywym, albo martwym. Nie ma nic pomiędzy. Tak zawsze uważałem. Do dziś. Kiedy on trzymał mi nóż przy szyi, to jeszcze jakoś dawałem radę. Nie wierzyłem, że to zrobi, że posunie się do tego... Trzymałem go za ramię i byłem pewien, że jak będzie chciał ciąć czy pchnąć, to go jakoś powstrzymam. Będę walczył, nawet jeśli miałyby mi pochłastać ścięgna na rękach. Ale zobaczyłem tych dwóch ze SPAP-u. Ty zagadywałeś Piekarczyka, a ja patrzyłem na nich. Dzięki tobie on ich nie widział; stali trochę z boku, za stosem worków z tym szarym gównem, a Piekarczyk skupiał się na tobie. I oni dwaj... Ja ich znam z widzenia. Ze strzelnicy. Ale znam ich tylko na „cześć, cześć”, czasami jakieś pogaduchy przy tarczach...

Generalnie są dla mnie obcy, nawet nie jestem pewien, jak jeden z nich, ten niższy, ma na imię. I oni odegrali taki teatrzyk, wiesz? Jeden chwycił drugiego za gardło, od tyłu, w taki sam sposób, w jaki Piekarczyk trzymał mnie. Potem ten, który był mną, pochylił się, biorąc tego drugiego na plecy i lekko się obrócił. I ten, co leżał na tym pierwszym, strzelił z palca i złapał się za bok, wykrzywiając twarz. To trwało ze dwie sekundy. Potem zapytali mnie oczami, czy się zgadzam. Nie wiem, czy zauważyłeś, jak łypałem w pewnej chwili. I chyba kiwnąłem głową. Nie było czasu na zastanowienie, zdecydowałem się w jednej chwili i już nie mogłem się wycofać. Jeden wymierzył, a drugi pokazał trzy palce. Potem dwa. Potem jeden. A potem ja zrobiłem to, co zrobiłem. Myślałem, że go tylko ranią, a nie zabiją, ale nie o to chodzi... Przecież nie chcieli go zabić, tylko unieszkodliwić. Byłem wściekły, oczywiście, w końcu straciliśmy możliwość dowiedzenia się, o co dokładnie skurwielowi chodziło, ale... To nie z tego powodu tu jestem...

Zamilkł, a ja nic nie mówiłem. Nie zapytałem, o co chodzi. Czekałem, aż Tomek powie to sam.

– Chodziło o to, że zaufałem obcym facetom, wystawiając się na strzał. Wiedziałem, że nieźle strzelają, widziałem to na strzelnicy, ale to nie to samo. Pamiętasz, jak mówiłem ci o policjantach mierzących w opony, a strzelających w głowy kierowców? – Pokiwałem głową.

– No, właśnie. Skąd miałem wiedzieć, jak strzelają w warunkach bojowych? W stresie, kontakcie z realnym człowiekiem? Wiem, że się nieustannie szkolą, że są jak roboty, ale ta wiedza to jedno, a życie to drugie. A jednak zrobiłem to. Zaufałem im... To było ZUPEŁNIE inaczej niż wtedy w bramie, rozumiesz? Zupełnie... Tam to był przypadek, nic nie mogłem zrobić i na nic nie miałem wpływu, a tu... Te pociski wbiły się w Piekarczyka kilkanaście centymetrów ode mnie. A nawet kilka centymetrów. Z tej odległości, z której strzelali, wystarczyło skierować lufę o milimetr, dwa za bardzo w prawo i... Błąd dwóch milimetrów i byłoby po mnie. To ja leżałbym w tym kurzu. Piekarczyka zajebaliby pewnie chwilę później, ale jakie to by miało dla mnie znaczenie? Dla mojej żony i dzieciaków? Po raz pierwszy w życiu poczułem na grzbiecie takie ciary jak od przeciągu. Tylko że to nie był przeciąg. To znów świsnęła kosa tej suki w czarnym kapturze. Minęła mnie o włos, o wiele bliżej niż ostatnim razem. O dwa milimetry. – Spojrzał na mnie i oblizał usta. – Dzięki, że mogłem się wygadać.

Pokiwałem głową, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Wiem. – Tomek zrobił to za mnie. – W porównaniu z tobą to jak pierdnięcie muchy. Mnie, w przeciwieństwie do ciebie, po tej przygodzie nic nie zostało w głowie. No może z wyjątkiem lekkiego urazu psychicznego, z którym sobie jakoś poradzę, jak poprzednio... Nie mam w niej kawałka metalu, a w domu czeka na mnie rodzina. Może

faktycznie nie powinienem był przychodzić z taką gadką akurat do ciebie, ale prawda jest taka, że nie mam nikogo innego, komu mógłbym to powiedzieć. A przynajmniej nikogo innego, kto by mnie zrozumiał... Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość.

– Minęły dwa lata, Tomek. Dopiero dwa i aż dwa. Nie było dnia, żebym o nich nie myślał, ale trzeba żyć dalej. Także nie osądzaj się zbyt surowo. Nie jest mi przykro i o ile pamiętam, już ci o tym mówiłem przy okazji wizyty na strzelnicy. Jest mi wręcz miło, że mogłem ci pomóc, jeśli w ogóle ci pomogłem. A uwierz mi, wiem, ile to znaczy. Dobrze wiem, bo mnie kiedyś też ktoś pomógł. I nie gadałem z tym kimś kilka minut, tylko kilka miesięcy. Na pewno niczego się nie napijesz?

– Na pewno, dzięki. Wozem jestem. – Spojrzał w ciemniejące niebo, podniósł rękę, celując palcem w pierwszą wieczorną gwiazdę, potem powolnym ruchem zakreślił nim nad sobą niewielki okrąg i powiedział: – Pamiętasz, jak po rozwiązaniu zagadki „Silverpolu” zastanawialiśmy się, dlaczego trop prowadzący do Bieżuna pojawił się w liście tak wcześnie; wtedy, kiedy jeszcze wszystko miało wskazywać na Łopacińskiego?

Pokiwałem głową. Tomek odetchnął głęboko chłodnym powietrzem. Zadrżał i rozmasował sobie przedramiona.

– Uznaliśmy, że to też element gry i zaczęła się ona wcześniej, niż zakładaliśmy. Jeszcze zanim dostaliśmy telefon od Bieżuna... Czy tam od Piekarczyka... Czyli

w takim razie nasza teoria, że Piekarczyk po dokonaniu zemsty kontynuował ją w sposób już chaotyczny z powodu przekonania o śmiertelnej chorobie, jest lekko chybiona. Źle powiedziałem, nie chybiona. Tu po prostu ciągle coś nie gra. Gdzieś w tym wszystkim wciąż brzmi fałszywa nuta, rozumiesz mnie?

– Dlaczego? On sam mówił, czy tam pisał, że spodobało mu się zabijanie, a ofiary nie były do końca przypadkowe, tylko sobie zasłużyły, przynajmniej w jego mniemaniu.

– Oj tam, mówił, pisał... Co z tego? Różne rzeczy pisał... O drzewach i kotach też pisał...

– No dobrze, więc skąd ta fałszywa nuta?

– Dlaczego zginęła sędzia odpowiadająca za skierowanie na obserwację Bieżuna, a nie Piekarczyka? Dlaczego Ejzertowa? Skoro pierwsze trzy ofiary miały być fałszywym tropem, to dlaczego ciągnął to dalej, po Łopacińskim? Wyłącznie z powodu przekonania o śmiertelnej chorobie? Ja wiem, że wtedy jest się w specyficznym stanie, może to coś w rodzaju kompleksu Boga: i tak mi nic nie zrobicie, więc nie muszę się niczym przejmować, nie tu, na ziemskim padole... Mam wrażenie, że to jakaś piętrowa intryga i jeszcze nie raz popatrzymy na siebie z otwartymi ze zdziwienia ustami, wiesz? Po prostu odnoszę dziwne wrażenie, że śmierć Piekarczyka to nie koniec. A jeszcze biorąc pod uwagę to, co powiedział tuż przed śmiercią...

– Że go nie mamy? – zapytałem. – Może był świadomy, że umiera, i chodziło mu o to, że wymyka się naszej sprawiedliwości? Ziemskiej?

– Może. – Rędzia się skrzywił. – A może właśnie nie. Niby mamy mordercę, narzędzie zbrodni, ale tak naprawdę niewiele rzeczy się wyjaśniło. A najgorsze, że on już nam ich nie wyjaśni. Musimy zrobić to sami.

Milczałem. Tomek miał rację i wiedziałem to, a przed chwilą bawiłem się tylko w adwokata diabła.

– Znałem kiedyś kogoś, kto potrafił takie rzeczy obmyślać z zegarmistrzowską precyzją – powiedziałem w końcu.

– Masz na myśli Kielan?

Pokiwałem leniwie głową.

– Przecież jest trwale wyłączona z obiegu?

Spojrzałem na Rędzię kpiąco.

– Ludzie kierują z więzień całymi grupami przestępczymi, Tomek. Myślisz, że kraty w oknach i strażnicy to problem?

– Sądysz, że ona ma z tym wszystkim coś wspólnego? Rozmawialiśmy o tym na początku śledztwa...

– Pamiętam. I sam teraz nie wiem, co o tym sądzić. Nauczony bolesnym doświadczeniem dopuszczam po prostu taką możliwość. Pewnie, że to mało prawdopodobne, ale co z tego? To jak ta twoja szóstka w totka...

– No właśnie nie moja...

– Nie trać nadziei. – Uśmiechnąłem się i westchnąłem. – Popatrz: Bogutowicz nie był jakimś idiotą, który dałby się zmanipulować przeciętnie inteligentnemu osobnikowi. Miał swój rozum. Sam jest przeciętnie inteligentny. A mimo to Marta potrafiła w jakiś sposób sprawić, by zabił kilkoro ludzi. Kurwa, Tomek, co trzeba zrobić, żeby przekonać w miarę sprawnego intelektualnie gościa, żeby zabił; zabił kilka osób, w tym jedną, którą podobno kochał? Pewnie, że Bogutowicz musiał być zły i zepsuty do szpiku kości, ale to nie wszystko, bo nie robił tego sam, tylko na jej polecenie. Czym go przekonała? Kasą? Prochami? Wizją wspólnej przyszłości gdzieś na południu Europy? Pewnie, że są ludzie, którzy zabijają za to własną matkę, ale wciąż nie mówimy o takich ludziach. Z badań psychologicznych tego skurwysyna wynika, że on taki nie był, rozumiesz? Ja co prawda tego nie rozumiem, zważywszy na to, co zrobił, ale też nie o to mi chodzi. Nie uwierzę, że Kielan przekonała go za pomocą języka, dłoni i reszty, choć nie przeczę, miała talent, jeśli chodzi o te sprawy. Mówię teraz poważnie; sam znasz przypadki, kiedy facet dla kobiety robił najgłupsze rzeczy pod słońcem, łącznie z zaryzykowaniem własnego życia. Ona była po czterdziestce, on nie miał nawet trzydziestu, był przystojny i z tego, co słyszałem, nie miał problemów z przygruchaniem sobie panienek. – Zamknąłem oczy,

usiłując nie myśleć o Agnieszce, nie w tej chwili. – Rozumiesz już, o co mi chodzi? Marta Kielan ma niebywałą zdolność do manipulowania ludźmi. W łóżku jest bardzo dobra, ale w tym jest lepsza. O wiele lepsza. Kto wie, może przekonała Piekarczyka, żeby zaczął zabijać, wciągając mnie przy tym w jakąś chorą grę... Skoro i tak musimy jeszcze mnóstwo rzeczy sprawdzić... – Wzruszyłem ramionami, nie patrząc na Rędię.

Na niebie zapłonęła kolejna gwiazda, a może planeta. Tomek wciągnął do płuc rześkie powietrze. Głęboko.

– Jak chcesz to sprawdzić? – zapytał, odganiając komara niecierpliwym ruchem ręki. – Chciałbyś ten wątek ciągnąć jako hipotezę śledczą? Mimo że śledztwo formalnie się kończy?

– Muszę tam pojechać. Do niej, do Lublińca. Muszę się z nią zobaczyć i wtedy będę wiedział.

– A jeżeli to Bogutowicz, a nie ona? Zakładając, że teoria o współniku jest trafna?

Roześmiałem się cicho.

– Neee – odpowiedziałem po chwili, kręcąc głową. – Nie on...

– A jeśli?

– Dobra, zostawimy go na później. Na sam koniec, jeśli nie pozostanie nam już nic, czego moglibyśmy się chwycić. To co, załatwisz widzenie?

– Ja? Trzeba się zwrócić do Cieślara.

– Właśnie o to chodzi, żeby on nie wiedział.

– Dlaczego? Przecież to wbrew prze...

– Wiem, że wbrew – przerwałem mu trochę niecierpliwie. – Ale nie bądźmy świętsi od papieża. Załatwisz?

– A powiesz mi, czemu chcesz się z tym kryć przed Cieślarem?

Mój wzrok powędrował w stronę granitowego głazu, pod którym leżał Promo.

– Wiesz, co on powie? – zapytałem. – Pomijając fakt, że dla prokuratury to, co się stało w porcie, jest bardzo wygodnym zakończeniem sprawy, bo sprawca nie żyje? Powie: „Pan radca znów ma przeczucia, a może ciągnie psa do suki”, i tak dalej, w ten deseń. Nie chcę tego słuchać, rozumiesz? Nie tym razem. Teraz to zbyt osobiste, ale i tak chciałbym to sprawdzić. Załatwisz to widzenie?

– Bartocha też będzie chciał wiedzieć. Bo ja sam nie dam rady tego zrobić, wiesz o tym. Jeśli chcesz uniknąć pośrednictwa prokuratora w tej sprawie, to trzeba uderzać wysoko, tam gdzie są znajomości. Nie twierdzą, że komendant zna się z dyrektorem pierdla, bo nie mam zielonego pojęcia, czy tak jest, ale wiesz... Trochę inaczej to wygląda, jak do dyrektora dzwoni komendant wojewódzki, a nie jakiś szeregowy glina.

– Jeśli Bartocha będzie chciał wiedzieć, powiem mu to samo co przed chwilą tobie – oświadczyłem. – Ale pogadaj z nim ty.

– Jasne, nie ma sprawy...

Nie byłem z Tomkiem do końca szczery. Powiedziałem prawdę, ale niecałą. Bo chciałem w Lublińcu upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Następny dzień nie przyniósł żadnych zmian, po prostu minął, wypełniony zwykłymi czynnościami, jakie towarzyszą zamykaniu sprawy. O szesnastej wróciłem już do domu. Rędzia zadzwonił wieczorem, kiedy leżałem w ogrodzie na hamaku i obserwowałem zieleń lasu widocznego znad mojego żywopłotu, ciemniejącego i tracącego barwę, w miarę jak niebo szarzało wraz z nadejściem nocy. Wieczory były coraz dłuższe i nieco cieplejsze, może z wyjątkiem wczorajszego.

– Jesteś umówiony z panią Kielan. – Tomka sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. – Jutro, co ty na to?

– Dobra – mruknąłem obojętnie. – Kujmy żelazo. Przecież się teraz nie wycofam.

– No, myślę – Tomek sapnął do telefonu. – Jedziemy służbowym. Podjadę po ciebie o szóstej rano. Może być?

– Może. Bartocha komentował?

– Nie. Poprosiłem go o wykonanie telefonu do Lublińca czy zrobienie czegokolwiek innego, co umożliwi ci spotkanie z tą suką, a on to po prostu zrobił, a potem oddzwonił do mnie, że załatwione. Facet jest naprawdę w porządku. To co, szósta?

– Szósta – potwierdziłem i rozłączyłem się.

Wstałem z hamaka i poszedłem do domu. Komary zaczęły już ciąć, no i musiałem się wyspać.

* * *

Dyrektorem więzienia w Lublińcu była kobieta. Major Iwona Ludwiczak zaprosiła nas do swojego gabinetu, zamknęła drzwi i zasiadłszy za biurkiem, zaczęła nam się z ciekawością przyglądać.

– Coś nie tak? – Tomek uprzedził moje pytanie.

– Nie, nie. – Pani major splotła dłonie, oparła łokcie o blat, a podbródek wygodnie złożyła w koszyczku, w który uformowały się krótkie palce o krwistoczerwonych tipsach. – Tylko... Nieczęsto zdarza się, że sam szef służby więziennej dzwoni z poleceniem przyjęcia dwóch panów z policji... Niezwłocznie...

Miała miły głos i inteligentne spojrzenie. Obcięte na boba włosy odsłaniały kark i zgrabną szyję, wystającą z kołnierzyka służbowego munduru, który leżał na niej jak markowa garsonka na bizneswoman o wysokim statusie w korporacyjnej hierarchii. Było jej w nim po prostu do twarzy.

– Wyobrażam sobie. – Tomek grzecznie skinął głową.

– No, ale i sprawa jest nietypowa... Nie możemy zdradzać wszystkich szczegółów...

– Osadzona została już poinformowana o spotkaniu, nie byliśmy tylko pewni godziny.

– Ale na pewno nigdzie się jej nie spieszy, prawda?

– Z pewnością, panie komisarzu. – Żart Rędzi nie był może najwyższych lotów, ale pani major uśmiechnęła się szczerze i przyjaźnie. – Bez wątpienia.

Tomek pokazał na mnie i uśmiechnął się jeszcze szerzej niż ona.

– Kolega pójdzie sam... – powiedział po chwili – ... a ja, jeśli nie ma pani nic przeciwko, poczekam tutaj. Albo gdzieś indziej, w każdym razie nie ma potrzeby, żebyśmy szli tam razem. Zgadzasz się? – Choć w tonie, jakim zadał mi pytanie, usłyszałem lekką, typową dla niego kpinę, spojrzenie miał poważne jak rzadko kiedy.

– Jasne. – Rozciągnąłem wargi w uśmiechu, w którym nie było krzty radości.

Tomek miał rację. Nie musieliśmy iść tam razem. W żadnym wypadku.

Oficer służby więziennej zaprowadził mnie do skrzydła, w którym znajdowała się sala widzeń. Ta wycieczka do przyjemnych nie należała, nasze kroki może nie dudniły głucho zwielokrotnione echem odbitym od ścian, ale posępność tego miejsca przytłaczała nie tylko z powodu jego przeznaczenia. Byłem kiedyś w agencji towarzyskiej. W latach dziewięćdziesiątych, służbowo. Zgarnialiśmy wtedy jakieś dzieciaki, którym wydawało się, że rządzą w mieście, bo mają kupę szmalu i sprowadzone zza Odry dobre samochody. Odwiedziłem jeden z pokoików, który służył za miejsce spotkań intymnych. Mały, bez mebli, z wyjątkiem szerokiego

łóżka przykrytego pikowaną kapą. Ściany pomalowane na malinowy kolor, dyskretne oświetlenie, ale wszystko w tanim, tandetnym wydaniu. Ułuda atmosfery sprzyjającej zbliżeniu. Udawane wnętrze, w którym prostytutki udawały rozkosz i orgazmy, a ich klienci udawali ogierów. W więzieniu nikt niczego nie udaje. Więzienie jest odarte z jakichkolwiek pozorów. Wyłącznie funkcja, czysty utylitaryzm i wieczny brak pieniędzy. To było widać jak na dłoni przez całą drogę, którą pokonałem na spotkanie z Martą Kielan.

Kiedy wszedłem do sali widzeń, Marta już tam była. Stojąc w drzwiach, patrzyłem na nią w milczeniu przez jakiś czas, czekając, aż mnie zauważy. Nie doczekałem się, więc z wyschniętym nagle gardłem niepewnym krokiem ruszyłem ku niej. Podszedłem, powoli odsunąłem krzesło i usiadłem. Zrobiłem to cicho, jakbym nie chciał jej przerwać tej chwili zamyślenia albo bał się, że będę musiał wreszcie jakoś zacząć rozmowę i chciał ten moment odwlec.

Marta siedziała po drugiej stronie kwadratowego stolika i wciąż nie zauważając mojej obecności, patrzyła w okno. Nogę założyła na nogę i skrzyżowała ręce; jedną dłoń wcisnęła pod pachę, drugą obejmowała ramię. Brakowało tylko filiżanki z kawą na dzielącym nas blacie, a wyglądałaby jak żywcem przeniesiona z kawiarni, wyjęta z klatki czasu, sprzed jakichś dwóch, trzech lat. Wrażenie prysło, kiedy jej się lepiej

przyjrzałem. Zmieniła się. Byłbym zaskoczony, gdyby tak się nie stało, ale mimo wszystko nie spodziewałem się takiego widoku. Przede mną siedział ledwie cień dawnej Marty Kielan, wyłuskany z szarej przestrzeni sali widzeń kwadratowym snopem światła wpadającego przez zakratowane okno. Jej długie kruczoczarne włosy były już tylko moim wspomnieniem. Miała krótką, potarganą czuprynkę, większość włosów stała się popielata. Skóra twarzy straciła opaleniznę, stała się matowa, a rysy się wyostrzyły. Marta sporo schudła. Rozpięty kołnierzyk więziennego drelichu ukazywał lekko obwisłe fałdy skóry na szyi, po jej bokach ciemniały zagłębienia nad obojczykami.

– Już, napatrzyłeś się? – zapytała obojętnie, nie odwracając twarzy od okna.

Więc jednak zauważyła... Położyłem ręce na blacie, splatając palce. Mocno, aż pobielają mi paznokcie.

– Nie powiem, żeby to był przyjemny widok.

– Coś ty? – Wreszcie na mnie spojrzała. – A czego się spodziewałeś? Że będę zrobiona jak do sesji na okładkę „Vogue’a”?

Milczałem, patrząc jej w oczy. Oboje wytrzymaliśmy swoje spojrzenia.

– To spotkanie zaaranżowano wyłącznie z jednego powodu – powiedziałem w końcu. – Chyba nie sądzisz, że się za tobą stęskniłem? Nie będziemy rozmawiać o tym,

jak żyje się nam obojgu w nowych okolicznościach. Nie będziemy wspominać starych, dobrych czasów...

– Ani nie będziemy się pieprzyć, co? – przerwała mi.

Nie zareagowałem na tę zaczepkę. Ordynarną i prymitywną. Pobyt w więzieniu na mało kogo wpływał mobilizująco pod jakimkolwiek względem. Marta była tego dobrym przykładem i jakoś mnie to nie dziwiło. W ogóle.

– Chcę ci tylko zadać jedno pytanie, no może kilka, na które albo odpowiesz, albo nie. Jestem wręcz przekonany, że wyjdę stąd z niczym, ale zawsze warto próbować, dlatego tu jestem. Teraz wszystko jasne?

Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Stary, dobry Suder... Prosto z mostu, co? Pytaj. Mam tu mało rozrywek, więc... Na bezrybiu i rak ryba.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Cieślar był rakiem czy jednak rybą? Co ci obiecał?

Prychnęła pogardliwie, a jej wąskie usta przez chwilę zrobiły się pełne, jak po wstrzyknięciu kwasu hialuronowego.

– Cokolwiek by mi obiecał, nie jestem małą dziewczynką, żeby od razu w to uwierzyć. Więzienie potrafi odebrać nadzieję i rozum, ale mnie odebrało tylko to pierwsze. – Spojrzała na mnie prowokująco, jakbym to ja był sprawcą jej nieszczęścia.

– Jeśli zaproponował ci atrakcyjny układ, to nadzieja mogła wrócić – zauważyłem.

Oblizwała usta koniuszkiem języka.

– Owszem, zaproponował układ. Przeniesienie. W tym zakładzie nie ma normalnych kobiet, Darek, wiesz o tym?

– Kiedy zrobiła króciuteńką przerwę, pokręciłem przecząco głową. – No właśnie, skąd miałbyś to wiedzieć i po co? Są ćpunkki. Alkoholiczki. Psychotyczki. Pomiatane przez znęcających się nad nimi mężów kury domowe, które wreszcie się od nich uwolniły, przeważnie za pomocą zwykłego kuchennego noża, i płacą za to koszmarnie wysoką cenę. I jestem ja. I Cieślar to wie, w przeciwieństwie do ciebie. Obiecał, że przyjrzy się mojej sprawie. Że pochyli się nad nią, jak powiedział. Ale ja jestem realistką i wiem, że bez względu na to, ile razy tu jeszcze przyjedzie, nie nabierze mnie, bo tak naprawdę niewiele może. Nic nie może. – Pochyliła się w moją stronę. – Wziąłeś go?

– A ile razy był? – zaniepokoiłem się.

– Na razie dwa. – Marta wykrzywiła usta, tym razem pozostały wąskie, a grymas uwydatnił w ich opadniętych kącikach zmarszczki, które wcześniej nie były widoczne. – Chyba mu zależy, żeby cię udupić. I sama nie wiem, Darek, co powiem mu następnym razem. Co powiem mu, kiedy ten dupek, patrząc na moje cycki upchane pod tym seksownym, zalatującym najtańszym proszkiem do prania i przesiąkniętym wonią grzyba wdziankiem, stwierdzi, że sprawa mojego przeniesienia jest w toku i zapyta po raz kolejny o plecak. Zapyta, czy wiedziałeś,

ze forsa i biały jak śniegi Kilimandżaro proszek są w tym cholernym plecaku. Więc jak, zabrałeś go czy nie?

Zagryzłem wargi. Marta zauważyła to i chyba jej się spodobało.

– Zabrałeś? – Zmrużyła oczy.

– Po co chcesz to wiedzieć? – zapytałem obojętnie, wzruszając ramionami. – Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Czy to cokolwiek zmieni?

– Oczywiście, to niczego nie zmieni, ale powiedzmy, że wolałabym wiedzieć, że pieniądze się nie zmarnowały. Chociaż tyle. A sprawa tych kilku tysięcy, które w tajemniczy sposób znalazły się na moim koncie, pachnie mi panem Suderem. Zawsze byłeś dość kreatywny, miałeś wyobraźnię... – Obrzuciła mnie powłóczyстым spojrzeniem. – Trzeba ci to oddać.

– To już przeszłość. – Dotknąłem blizny na głowie. – Jestem zwykłym, przeciętnym człowiekiem z dziurami w pamięci. Nie pamiętam żadnego plecaka, nawet jeśli tam gdzieś leżał, mógł go zabrać ktokolwiek, kto wtedy przyjechał do domu twojej matki. Ale przyznaję, że gdybym taki zobaczył, uznałbym, że może być formą jakiegoś zadośćuczynienia za doznane krzywdy. Rodzaj odszkodowania. Cholera, szkoda, że go wtedy nie widziałem...

– Słabe to było. – Znów wykrzywiła usta, które bez szminki nie wyglądały już tak ponętnie jak kiedyś. – Pamiętaj o jednym: zawsze mogę przypomnieć sobie, że

powiedziałam ci, gdzie jest forsa i kokaina, kiedy podczas naszej rozmowy tuż przed moim zatrzymaniem usiłowałam kupić sobie u ciebie wolność. Że są w plecaku, który potem zabrałeś...

Pokręciłem głową.

– Miałem podsłuch, pamiętasz? Przecież się nawet zorientowałaś.

– Owszem. Dlatego część zapisu jest bardzo niewyraźna, bo się o to postarałam. Jest nie do odtworzenia. Może właśnie wtedy ci powiedziałam? Słowo przeciwko słowu. A Cieślar z pewnością zadba, żeby to moje słowo było ważniejsze. Co ty na to?

Pomyślałem, kolejny zresztą raz, że Cieślar nie cofnie się chyba przed niczym, żeby osiągnąć swój cel. Żeby dobrać mi się do dupska. Traktował tę sprawę osobiście i honorowo; honorowo w swoście pojęty sposób. Układał się ze zbrodniarką, żeby dopiąć swego. Cudowna koalicja. Wręcz popisowa.

– Dobrze, zostawmy to – mruknąłem. – Powiesz mu, co uznasz za stosowne. I tak cię do niczego nie przekonam ani nie zmuszę. A błagać nie zamierzam.

Znów spojrzeliśmy sobie w oczy.

Kiedy ludzie, którzy byli sobie bliscy, spotykają się po długim czasie, szukają w swoich oczach tego czegoś. Wspomnień wspólnych chwil. Śladu uczucia, które ich łączyło; przyjaźni, miłości, przywiązania. W naszych oczach nie było niczego. Nawet ciekawości, tylko

obojętność. Może trochę wystudiowana, jak u bokserów podczas oficjalnego ważenia, a może właśnie nie. Może autentyczna. W końcu minęło trochę czasu. Nawet jeśli nie da się wybaczyć komuś pewnych rzeczy, to jednak ten czas leczy rany. Przynajmniej trochę, przynajmniej na tyle, by nie przeskoczyć nad blatem stolika i nie przestać być sobą, a stać się kimś innym, kimś obcym. Na chwilę, bo żeby zrobić komuś krzywdę, nie potrzeba wiele czasu. Kilka sekund wystarczy.

– Słucham – powiedziała cicho Marta. – Miało być kilka pytań. Mam wrażenie, że te, które zadałeś, nie były najważniejsze.

– Zgadza się. Były tylko przy okazji – skłamałem. – Chcę cię zapytać, czy mówią ci coś nazwiska: Bieżun i Piekarczyk. W zasadzie tylko o to chciałem cię zapytać.

Kąciki jej ust znów lekko opadły, brwi niedostrzegalnie uniosły się, a potem zmarszczyły. Jak wszystko u Marty wyglądały zupełnie inaczej niż kiedyś.

– Przejechałeś pół Polski, żeby zadać mi to pytanie? – Marta pochyliła się lekko w moją stronę, a jej głowa weszła w strefę cienia. – Nie mogłeś po prostu zadzwonić do dyrektorki, żeby mnie o to zapytała?

– Tak naprawdę nie chodzi mi o odpowiedź – powiedziałem. – Chodziło mi o zadanie pytania.

– A to nie to samo?

– Nie. – Uśmiechnąłem się. – Nie to samo. Musiałem widzieć twoją twarz, kiedy będziesz mi tej odpowiedzi

udzielać lub nie. W zasadzie chciałem widzieć twoją twarz i oczy, kiedy będę zadawał ci to pytanie. Telefon do dyrektorki niczego by nie załatwił.

Przymknęła kpiąco powieki. Tylko rzęsy zostały z tamtej kobiety, która mnie tak fascynowała. Zatrzepotały przez chwilę, a potem Marta wyprostowała się, odwróciła głowę i słońce znów błysnęło w jej oczach.

– I co zobaczyłeś w mojej twarzy, kiedy zadałeś swoje pytanie? – zapytała.

– Odpowiedź. – Odsunąłem krzesło i wstałem. – Zobaczyłem odpowiedź.

– Przecież jeszcze jej nie udzieliłam?

– Nie szkodzi. – Wsunąłem krzesło pod stół. – Już ją znam. Trzymaj się, Marta.

Patrzyła na moje ręce zaciśnięte na oparciu. Za chwilę miałem puścić to niewygodne krzesło, odejść i nigdy nie wrócić. Marta była zaskoczona takim obrotem sytuacji. Jasne, że nie mogła przewidzieć, jak przebiegnie nasze spotkanie, ale na pewno nie spodziewała się, że zakończy się tak szybko.

– Masz może przy sobie fajki? – rzuciła cicho, z jakąś rezygnacją w głosie.

Kiedyś nie zadałaby mi takiego pytania. Była zbyt dumna. W pewnych okolicznościach dumę chowa się jednak do kieszeni. Zwłaszcza kiedy ta kieszeń jest w więziennym drelichu.

– Rzuciłem – odparłem. – Zresztą i tak nie mógłbym ci ich tu dać. Dostaniesz w kantynie. Załatwię to z dyrekcją. Myślę, że to nie będzie duży problem.

Przypomniałem sobie Daniela Ejzerta. Papierosy bywały cenniejsze od pieniędzy, a przynajmniej im równoważne. Wiedziałem, że w takich miejscach jak to były jak pieniądze na zewnątrz. Stanowiły walutę.

Marta znów objęła się wpeł i wbiła wzrok w okno, jakby zaczęła nagle żałować, że poprosiła mnie o coś. Stałem przez chwilę, patrząc na kobietę, która zniszczyła mi życie, a innym je zabrała. A potem bez słowa odwróciłem się i wyszedłem. Miałem to, co chciałem. Miałem odpowiedź.

Marta nie miała z tym nic wspólnego. Marta Kielan była już w innym świecie i chyba się z tym pogodziła. Nawet z tym, że być może już nigdy go nie opuści.

* * *

– I jak? – zapytał Rędzia, kiedy oddziałowa wprowadziła mnie do pokoju dyrektor.

Siedział wciśnięty w głęboki fotel, trzymając go po bokach za spód, tak jak trzyma się wielkie dmuchane kółko na zjeżdżalniach w parku wodnym. Pokręciłem głową.

– To nie ona.

– Powiedziała ci to?

– Nie.

– To skąd wiesz?

– Wiem – mruknąłem.

Tomek puścił fotel i podniósł rękę.

– Okej. Twoja sprawa. – Spojrzał na dyrektorkę. – To co, będziemy się zbierać. Dzięki, Iwonka.

Uśmiechnąłem się lekko pod nosem. Tomek nie próżnował, podczas mojej nieobecności przeszli z panią major na „ty”. Poprosiłem jeszcze o umożliwienie Marcie zakupów w więziennej kantynie, zostawiłem na biurku dyrektorki stówę i pożegnaliśmy się. Sześć godzin później byliśmy w domu. Podczas jazdy Tomek tylko raz nawiązał do Marty. Kiedy ruszaliśmy z parkingu przed zakładem karnym, zapytał:

– Pamiętasz, co mówił Dzieszko o Piekarczyku? Że służył w komandosach w Lublińcu?

– Pamiętam – odparłem. – Wiem, do czego zmierzasz, ale to przypadek. To było kilkanaście czy dwadzieścia kilka lat temu. Uwierz mi: ona nie ma z tym nic wspólnego...

Więcej o niej nie rozmawialiśmy. Temat Marty Kielan został wyczerpany jeszcze w Lublińcu.

– Cieślar definitywnie kończy sprawę – oznajmił Tomek z samego rana. – Rozmawiałem z nim jeszcze o tych nie do końca rozwianych wątpliwościach, o których dyskutowaliśmy u ciebie na działce. Naszą, a w zasadzie twoją koncepcję o wspólniku uważa za gówną wartą. Twierdzi, że to szukanie dziury w całym.

– Nie słyszał ostatnich słów Piekarczyka – zauważyłem. – Nie było go tam. I, o ile pamiętam, sam na którymś ze spotkań twierdził, że istnienie wspólnika jest prawdopodobne...

– Ale jeszcze w czasach, w których głównym podejrzanym był Bieżun. Myślisz, że gdyby usłyszał ostatnie słowa Piekarczyka z jego ust, tam na miejscu, a nie z moich, później, miałby inne zdanie?

– Nie wiem. Może ta koncepcja nie podoba mu się dlatego, że jest moja? Zresztą... To wciąż tylko luźna hipoteza. W obecnej sytuacji praktycznie nie do obrony.

– Nie dlatego, że twoja. Nie powiedziałem mu, że ty to wymyśliłeś, a ja w zasadzie chyba się z nią zgadzam, bo wciąż coś mi lekko nie pasuje, ale nie o to chodzi. Przed

chwilą podkreśliłem tylko twój znaczny udział w jej powstaniu, natomiast w rozmowie z Cieślarem nie było mowy o jej autorstwie. Nasza, zespołowa koncepcja, to miałem na myśli...

– Bałem się, że znów będzie nawiązywał do Kielan – mruknąłem. – Powie, że pan radca wymyśla sobie powtórkę, bo nie stać go na wymyślenie czegoś świeżego. Zafiksowany na spółkach, wiesz; zbrodnicze duety i te sprawy.

Rędzia jakby mnie nie słuchał. Usiadł jak zwykle na krawędzi biurka i zaczął skubać sobie czubek nosa, wpatrzony w wykładzinę niewidzącym wzrokiem.

– Koncepcja współnika przewijała się niemal od początku śledztwa, to się zgadza. Pewne przesłanki mogły o tym świadczyć. Naprawdę trudno sobie wyobrazić, że można było to wszystko tak zorganizować w pojedynkę: logistycznie i tak dalej... Może to trochę kwestia szczęścia, ale tylko idiota będzie polegał wyłącznie na szczęściu. A to był plan. Iście szatański. Przyznaję, rozwój wypadków następował tak dynamicznie... Dobra, kurwa, wszystko się strasznie pierdoliło, nie ma co owijać w bawełnę. Ale jeśli założymy, że to prawda, że ktoś sterował tym wszystkim z tylnego siedzenia, to... No właśnie. – Spojrzał na mnie bezradnie.

– Sprawcą zwykle jest ten, kto najwięcej zyska na przestępstwie – rzuciłem odkrywczo. – Podtrzymujemy

twierdzenie, że Piekarczyk był narzędziem: z małym defektem, ale narzędziem. Zastanówmy się więc teraz, kto mógł zyskać najwięcej na śmierci niektórych z tych ludzi? Takie małe ćwiczenie z logiki, co ty na to?

– Och, najlepiej na tym wszystkim wyszedł „doroktor” Dzieszko, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Śmierć Olędzkiego otworzyła mu drogę do awansu...

– Przyjęliśmy, że sędzia Materny była przykrywką, Bagicz wybrykiem wynikającym z czegoś w rodzaju kompleksu Boga, ale Ejzertowa?

– No, tu właśnie nie wiem. Może łączyły ich wspólne, nie do końca legalne interesy?

– Na przykład?

– Też nie wiem. Jak to teraz sprawdzić, skoro śledztwo właśnie się skończyło?

– Hmm... – mruknąłem, oglądając swoje paznokcie. – Nie jestem w strukturach policji, to znaczy zaraz formalnie z nich wyjdę, nic nie będzie stało na przeszkodzie, żebym się trochę porozglądał.

– Chcesz się bawić w prywatne śledztwo?

– Jestem na rencie, mam dużo czasu... Kto mi zabroni?

– Ty, wiesz co? – Rędzia miał w oku szelmowski błysk. – Postanowienia o zakończeniu śledztwa formalnie nie ma. Zespół „Nietykalny” formalnie wciąż istnieje. Więc formalnie, panie radco, to my możemy sobie legalnie i służbowo parę rzeczy jeszcze załatwić. Na przykład

taką: weź mi przypomnij, jak się nazywał ten lekarz, który przejął Piekarczyka po Olędzkim?

– Zimnicki – bez problemu wygrzebałem nazwisko z pamięci.

– Właśnie. Może trzeba by z nim pogadać? Może szpitalik w Gronowie to wrzący kocioł, a my nie zajrzeliśmy nawet pod pokrywkę? Co ty na to? Pojedziemy sobie znowu na wycieczkę na Pojezierze Drawskie...

* * *

– To on – powiedziałem, widząc wysokiego bruneta wsiadającego do czarnego volkswagena arteona na drawskich numerach, kiedy wjeżdżaliśmy na parking przed szpitalem w Gronowie.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Rędzia.

– Koło dyżurki pielęgniarek wisiała taka tablica z podpisanymi zdjęciami wszystkich lekarzy Gronowa – wyjaśniłem.

– Ja pierdzielę. – Tomek spojrzał na mnie ni to z podziwem, ni to z odrazą, a potem zawołał do Zimnickiego: – Panie doktorze, chwileczkę!

Zimnicki zastygł z prawą nogą tkwiącą już w samochodzie.

– Tak?

– Możemy z panem chwilę porozmawiać?

– W sprawie...? – Spojrzał na nas podejrzliwie.

– Policja – przedstawił nas Tomek. – Tylko kilka pytań. Tu, na miejscu, bez jeżdżenia na komendę czy do prokuratury, co pan na to?

To zawsze działa, zadziałało i tym razem.

– Słucham – burknął. – Ale mam naprawdę mało...

– My również, panie doktorze, my również. Jeśli pan sobie życzy odrobiny prywatności, możemy porozmawiać w wozie. – Rędzia wskazał wzrokiem arteona.

Zimnicki wsiadł bez słowa za kierownicę, więc drzwi musieliśmy otworzyć sobie sami. Ulokowałem się z tyłu, Tomek – z przodu.

– Przyjemne auto – zagaił, ale na Zimnickiego to nie podziałało.

– Mówiłem, że mam mało czasu. – To już nie było burknięcie, raczej warkot.

– Jasne, przejdźmy więc od razu do rzeczy. Jak się panu tu pracuje?

– Dobrze. – Doktor patrzył na las przez przednią szybę.

– A precyzyjniej? Powiedzmy, w dziesięciopunktowej skali?

– Jakieś siedem.

– To nieźle. A możemy wiedzieć, co powoduje, że ocena nie jest wyższa?

– Sami panowie pracujecie w instytucji, w której teoretycznie macie jakąś autonomię działania, ale wiele zależy od przełożonych. Są również koledzy z pracy;

jednych się lubi, innych nie... Atmosfera bywa różna. Tak jest chyba wszędzie, co?

– U nas nie ma ambicji związanych z karierą naukową – zauważyłem.

– Tu też nie.

– Nie?

– Nie. Karierę naukową robi się na uczelni. Tu swoje ambicje realizuje się w inny sposób. Tu jest biznes, moi panowie.

– Pan też jest ambitny?

– Do pewnego stopnia.

– To znaczy?

– Znam granice.

– Jakie są pańskie granice?

– Rodzina.

– To się chwali. A gdyby miał pan wymienić kogoś z załogi Gronowa, kto takich granic nie ma? I nie mówię tylko o rodzinie?

Zawahał się przez chwilę.

– To oficjalne przesłuchanie? – zapytał w końcu.

– Żartuje pan? – zdumiał się Rędzia. – W arteonie?

– Dobrze... Na przykład dyrektor Dzieszko.

Rędzia zerknął do tyłu i spotkaliśmy się na chwilę wzrokiem.

– Zapytam wprost: nie lubi go pan? – Popatrzył Zimnickiemu w oczy.

Ten zamrugął, ale wytrzymał spojrzenie.

– Szczerze? Nie za bardzo. Łączy nas co prawda pasja, bo obaj lubimy wodę: ja żagle na pełnym morzu, on woli wody śródlądowe, ale to jedyny temat, na który możemy rozmawiać. Jego ambicję mógłbym określić jako chorobliwą, ale to mój punkt widzenia. Pamiętajcie, że patrzę na to z własnego punktu widzenia, człowieka rodzinnego. To nie jego wina, że nie założył rodziny i jest sam.

– Rozumiem.

– To nie mój styl pracy ani preferowany typ ścieżki awansu, rozumiecie, panowie – tłumaczył się niezręcznie, a ja go za to nagle polubiłem.

– Była walka o schedę po Olędzkim?

– Nie bawię się w takie sprawy. Ja akurat jestem tu od leczenia. Wyłącznie.

– Ale coś pan wie?

– Plotki.

– W takim razie słuchamy.

– Nie plotkuję. Nienawidzę plotek. – Zamknął oczy i energicznie pokręcił głową, a ja polubiłem go jeszcze bardziej.

Na jego poważnej twarzy pojawiło się szczere oburzenie. To był miły widok w kontekście tego, co przed chwilą powiedział. Czasem tracę nadzieję, że tacy ludzie w ogóle istnieją.

– Dobrze, zaznaczamy do własnej wiadomości, że to plotki – uspokoił go Tomek. – Pan ich nie tworzy, tylko

przekazuje. Lepiej?

– Podobno dyrektor Dzieszko brał aktywny udział w tej... powiedzmy walce. Był jeszcze jeden kandydat na to stanowisko, taki z silnym poparciem jednego z członków zarządu, ale nie przeszedł. Dzieszko pokonał go doświadczeniem.

– To się chyba rzadko zdarza w naszych realiach? – zdziwiłem się. – Częściej więcej znaczą plecy niż doświadczenie?

– Widać nie tutaj. Były jeszcze inne względy, również kontakty z branżą farmaceutyczną, co też nie jest bez znaczenia, normalka... – Machnął ręką.

– Dobra, dziękujemy za rozmowę, panie doktorze. – Rędzi jakby nagle zaczęło się spieszyć. – Wszystko oczywiście zostaje między nami.

– Mam nadzieję.

– Umowa to umowa.

– Na to właśnie liczę...

Zimnicki odjechał po chwili, za bramą skręcił w stronę Drawska Pomorskiego. Rędzia odprowadził arteona lekko zazdrosnym spojrzeniem użytkownika skody, a potem podrapał się w kark i zerknął na mnie rozbawiony.

– Wiesz co, jak już tu jesteśmy, to chodźmy jeszcze raz do „doroktora” Dzieszki. Zadamy mu kilka pytań uzupełniających, co ty na to?

Zgodziłem się oczywiście.

– Jest już po godzinach pracy – zauważyłem.

– I tak tu mieszka w tygodniu, a do Szczecina wraca tylko na weekendy. – Rędzia wzruszył ramionami. – Co mu szkodzi? Przecież obiecał, że będzie współpracował, więc chyba nam nie odmówi?

Dzieszko nie odmówił, choć nie piał z zachwytu. Też bym nie piał, ale najwyraźniej dyrektor wychodził jednak z założenia, że słowo się rzekło, kobyłka u płota. Przyjął nas więc w swoim służbowym mieszkanku, które zajmował w części skrzydła „A”: tak maleńkim, że kawalerka w bloku typu „leningrad” wydawała się przy nim apartamentem. Było za to sympatycznie i ciepło urządzone, przypominało nieco księżowską służbówkę w przykościelnym budynku w dużej parafii, tylko bez jakichkolwiek symboli związanych z Bogiem. Za to na ścianie wisiał zegar z napisem Afobam, taki sam jak w gabinecie. Stwierdziłem, że nie uwolnię się już od tej nazwy.

– Kawy, herbaty? – zapytał Dzieszko, ale takim tonem, że natychmiast mi się odechciało.

Odmówiliśmy. Zresztą i tak nie moglibyśmy przyjąć żadnego poczęstunku. Służba nie družba, jak to mówią.

Dzieszko był w jakimś melancholijnym nastroju. Nie wyglądał, jakby coś wypił, nie czułem zapachu alkoholu, ale miał smutną minę i smętny głos. Usiadł na fotelu, nie proponując nam niczego więcej, ani do picia, ani do siedzenia.

Rozejrzałem się po pokoiku. Na ścianie wisiało kilka oprawionych w delikatne metalowe ramki zdjęć. Wszystkie przedstawiały dyrektora Dzieszkę w przeróżnych sytuacjach i ubiorach: na konferencjach w garniturach, na koncertach we fraku, na safari – jedynie w szortach. Mnóstwo różnych miejsc, ludzi i strojów. Małe streszczenie życia, które ludzie lubią wieszać na ścianach lub ustawiać na szafkach, by przypominało im szczęśliwe chwile albo żeby się pochwalić. Dzieszko nie był wyjątkiem, choć nie wiedziałem, z którego z powyższych powodów umieścił na ścianie swoje streszczenie.

Na jednej z fotografii zobaczyłem go uśmiechniętego i szczęśliwego, stojącego za sterem małej łodzi motorowej przycumowanej do pomostu w jakiejś niewielkiej marinie. Machał do obiektywu. Wyraz jego twarz był zupełnie inny od tego, który widywałem w Gronowie, nawet w tej chwili, jakby na łódce stał inny człowiek. Szczęśliwy i spełniony. Za Dzieszką dostrzegłem czyjaś pochyloną postać, a właściwie fragment jej nagich pleców, czerwone spodenki i owłosione nogi. Widziałem już kiedyś te nogi. Tutaj, w okolicy budynku, w którym się znajdowaliśmy. Wystawały wtedy spod białej szpitalnej koszuli. Moją uwagę przykuła jednak inna rzecz. Nazwa łodzi wymalowana na burcie.

„Anita”.

– To pana łódka? – zapytałem Dzieszki lekko zaskoczony, wskazując zdjęcie.

– Moja.

To wyjaśniało widoczną na nim minę dyrektora. Pewnie przez cały tydzień wpatrywał się w nie, nie mogąc doczekać się weekendu, by móc uciec z tej dziczy w inną dzicz, pełną wody i słońca.

– Dlaczego właśnie „Anita”?

Dzieszko milczał.

– Czy pan i pani Ejzert mieliście romans? – zapytałem wprost.

– Tak – przyznał w końcu Dzieszko po długiej chwili milczenia, dodając: – Tak i nie.

– Co to znaczy?

– To zdarzyło się ponad dwadzieścia lat temu. I romansiem raczej bym tego nie nazwał. Byliśmy parą, zanim poznała Edwarda.

– Czy... Czy on o tym wiedział?

– Nie. – Dyrektor spojrział mi prosto w oczy i mocnym, opanowanym głosem potwierdził. – Nie wiedział.

– Ejzert nie wie, że Daniel nie jest jego synem? – Kolejne pytanie nie zrobiło na Dieszce najmniejszego wrażenia.

Za to na Tomku owszem. Aż otworzył usta.

– Nie wie – odparł Dzieszko.

– A od kiedy pan to wie?

– Od jakichś ośmiu lat. Od kiedy Daniel zaczął dojrzewać i okazało się, że jest podobny do mnie, kiedy byłem w jego wieku...

Tomek zamrugął.

– Daniel Ejzert jest pana synem? – zapytał, jakby pojawił się w tej scenie nagle i bez wcześniejszego poinformowania przez reżysera.

Dzieszko go nie słyszał.

– Spotykałem się z Anitą dwadzieścia kilka lat temu – mówił spokojnie i monotonicznie. – Byliśmy parą. Poprosiłem ją o rękę, a ona przyjęła oświadczyny. Byłem pewien, że jak to się mówi, pójdziemy razem przez życie, dorobimy się majątku, dzieci, potem wnuków... I nagle ona poznała Edwarda. Nie był moim przyjacielem ani kolegą, nie odbił mi jej, po prostu pojawił się znikąd i ona... Ona oszalała na jego punkcie. Z wzajemnością. Nie wiem, co w nim zobaczyła. Przeciętny facet, jakich wielu, bogaty z domu, ale dla niej akurat to nie było najważniejsze. Pobrali się, niedługo po ślubie pojawiło się dziecko... Klasyka. Pogodziłem się z tym. Co innego mogłem zrobić? – Roześmiał się gorzko. – Powiesić się? Wyjechać? Poświęciłem się karierze naukowej, potem robiłem to, co umiałem najlepiej. Pracowałem po osiemnaście godzin na dobę i było mi z tym dobrze. Anita zjawiała się u mnie jakieś dziesięć lat temu. Okazało się, że Daniel ma problemy ze zdrowiem psychicznym. Nie będę panom opowiadał szczegółów, już to pokrótce

wyjaśniałem i zagłębianie się w temat nie ma sensu. To nieistotne. Zacząłem go leczyć, oczywiście ze względu na dawną znajomość... Ze względu na to, co nas kiedyś łączyło... Daniel pojawiał się w Gronowie co jakiś czas, potem wracał do domu, i tak co kilka, kilkanaście miesięcy. Utrzymywałem go w takim stanie, żeby mógł jakoś funkcjonować. Kiedy zaczął stawać się mężczyzną, zauważyłem, jaki jest do mnie podobny. Ja... Ja się sporo zmieniłem, raczej nie przypominam siebie z czasów młodości, ale Daniel to była niemal moja kopia...

– Edward Ejzert nie zauważył podobieństwa?

– Mówiłem, że nie przypominam siebie z czasów...

– Kiedy pan się z nim poznał osobiście?

– Dopiero wtedy, kiedy pierwszy raz przyjechali z Danielem. Byliśmy jakoś po czterdziestce. Ja wcześniej straciłem włosy, a na studiach sporo przytyłem. Nie dziwi mnie, że Edward się nie zorientował.

– A jeśli jednak tak?

Moje pytanie zawisło w powietrzu.

– To nie dał mi nigdy do zrozumienia, że wie. Nigdy.

– Nie interesowało to pana? Czy on wie?

Spojrzał na mnie jak na wariata.

– Miałem go o to zapytać, to pan sugeruje?

Chrząknąłem. Fakt, przed chwilą zrobiłem z siebie głupka.

– Co na to jego żona? Jak to sobie wyjaśniliście?

Dzieszko był wyraźnie zdziwiony moim pytaniem.

– Zapytałem ją o to. Po prostu. Zapytałem ją, czyim synem jest Daniel. I powiedziała mi. Kilka lat temu, za którymś razem, kiedy go tu przywiozła, usiedliśmy w moim gabinecie, opowiedziałem jej o swoich podejrzeniach i poprosiłem o wyjaśnienia. Zrobiła to. Błagała mnie tylko, żebym nigdy nikomu tego nie zdradził, zwłaszcza Danielowi, a ja jej to obiecałem. Ale teraz, kiedy nie żyje...

– Daniel nie wie?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– A to? – Wskazałem na zdjęcie z łodzi. – To normalne, że psychiatra ot tak zabiera pacjenta w wolnym czasie na swoją łódkę? Nie wzbudziło to jego zdziwienia? Podejrzeń o nieczne zamiary?

– Byliśmy tam wtedy we trójkę, z jego matką. To ona zrobiła zdjęcie.

Zamilkłem. Brawo, Suder... Straciłem rezon, ale tylko na chwilę. Nic się nie dzieje, jeśli prawidłowe wnioski wyciągane są na podstawie mylnych założeń. Ważne, że są prawidłowe, nawet jeśli to kwestia przypadku, a nie nieudolnej dedukcji, jak ta przed chwilą w moim wykonaniu.

– Zaraz, coś mi nie gra. – Nagle mnie zastanowiła jedna rzecz. – Ona rzuciła pana dla Ejzerta, tak? Nie wiem, ile czasu po ślubie urodził się Daniel, ale musiało pewnie minąć kilka miesięcy. Ich narzeczeństwo też musiało trwać co najmniej kilka następnych. Więc jak...

Tym razem to Dzieszko mi przerwał.

– Spotkaliśmy się na tydzień przed jej ślubem. – Jego głos znów był matowy i beznamiętny, jakby relacjonował przebieg porannego obchodu na swoim oddziale, a nie dotykał bolesnych chwil ze swojej przeszłości. – Edward wyjechał wtedy na kilka tygodni. Wypiliśmy trochę, zaczęliśmy wspominać stare czasy, jej było żal mnie, a mnie było żal siebie samego. Standard. Wylądowaliśmy w łóżku. To się więcej nie powtórzyło, ale owocem tego spotkania jest Daniel. Anita nie miała co do tego żadnych wątpliwości, a ja... Jeśli kiedykolwiek je miałem, to pozbyłem się ich, kiedy Daniel zaczął dojrzewać... Coś jeszcze?

Przygryzłem dolną wargę. Rędzia, który w tym czasie znalazł sobie krzesło, patrzył w okno, siedząc zgarbiony, z rękami opartymi o uda, dłońmi wygiętymi w nadgarstkach i zetkniętymi palcami. Nie wiem, jak robił te cuda, chyba miał wiotkość stawów.

– Nie trzeba, dziękuję – odparłem.

Właśnie domyśliłem się, jak to wszystko się odbyło. W jednej chwili. To nie był jednak ten błysk, ta iskra, która sprawia, że w ułamku sekundy z chaosu rodzi się porządek. Wbrew pozorom nasze śledztwo nie przypominało chaosu; doszliśmy w nim przeróżnymi ścieżkami do pewnych wniosków, które się potwierdziły, choć wciąż brakowało kilku istotnych szczegółów mogących uczynić obraz kompletnym. A teraz te

szczegóły dostałem. Kilka faktów, które dał mi Dzieszko, było niemal jak prezent. Bardzo cenny prezent.

Stałem przed dyrektorem i nabrałem w płuca powietrza. Dużo powietrza.

– Mam wrażenie, że wszystko jest już jasne – powiedziałem. – To może pozwoli pan, że teraz ja opowiem panu historię. O pewnym psychiatrze z prywatnej kliniki. Na razie bez nazwisk, nazwijmy go panem Iks. Otóż pan Iks wymyślił sobie, jak za jednym zamachem w sposób ostateczny i niezgodny z prawem załatwić kilka spraw oraz wyrównać parę rachunków, równocześnie pozostając bezkarnym. Jest w jego otoczeniu kilka osób, przez które nie osiągnął w życiu tego, co planował. Ma także chrapkę na intratną posadę, która w jego mniemaniu po prostu mu się należy. Dzięki swoim umiejętnościom pozyskuje do współpracy jednego z pacjentów, wykorzystując przy tym kilku innych jako nieświadome niczego narzędzia swego planu i zemsty w jednym.

Rędzia obserwował mnie ze zmarszczonym czołem i ściągniętymi brwiami. Zacząłem mówić trochę głośniejsze i pewniej.

– Historii z pacjentami przetrzymywanymi w tej klinice na nieco przedłużonej obserwacji nie będę powtarzał, bo ją wszyscy już dobrze znamy. Nasz pan Iks w jakiś sposób przekonuje jednego z tych pacjentów, niejakiego Piekarczyka, do popełnienia kilku zbrodni. Nie

jest to chyba przesadnie trudne, bo ów pacjent przejawia nieładne skłonności, z których powodu zresztą w tej klinice przebywa. Piekarczyk dokonuje zabójstw, podszywając się pod innego z tych pacjentów, Ryszarda Bieżuna. Wszystko wygląda na działanie seryjnego zabójcy: są listy, tajemnicze znaki na miejscu zbrodni i inne takie, które zwykle oglądamy w filmach. W pierwszej kolejności ginie szef kliniki. Do popełnienia tego akurat zabójstwa Iks przekonuje zapewne Piekarczyka niezwykle łatwo: w końcu to sam szef przetrzymywał go na tej obserwacji, on wydał diagnozę o jego psychopatii. Potem giną pani sędzia i dyrektorka banku. To dla Piekarczyka skutek uboczny, środek uświęcający cel, może zaspokojenie chorych skłonności. A dla Iksa? Czym te zgony mogą być dla niego? Zemstą i stopniem, jeśli nie trampoliną do kariery. Zemstą na kobiecie, z którą był kiedyś związany; zemstą za porzucenie wiele lat temu. Oraz usunięciem przeszkody w awansie, jaką stanowił szef kliniki. Sędzia najprawdopodobniej była wskazówką, która miała nas nakierować, a właściwie w jakimś momencie upewnić, że to sprawka Bieżuna. Jak to się zaczęło z Bieżunem? Piekarczyk podczas izolacji na „specce” wyciąga z niego wszystkie informacje, Iks robi to samo podczas sesji terapeutycznych i przekazuje je Piekarczykowi. Może część informacji się powtarza, może są uzupełnieniem tych, które Piekarczyk już ma, ale w konsekwencji dają

im pełny, kompletny obraz Bieżuna. Znają historię jego życia, osobowość, rodzinę, konflikty, na przykład ten z Łopacińskim... Wiedzą o nim wszystko! I kiedy Piekarczyk i Bieżun, a także Walas zostają wypuszczeni, wszystko też jest już zaplanowane, a pierwsze, co robi Piekarczyk, to zabija Bieżuna i ukrywa jego zwłoki. Niezbyt dokładnie, jak się później okazało. Pojawia się „Snajper”, nasz Nietykalny, który zabija niby przypadkowe osoby, wysyła listy i robi wiele, żeby naprowadzić nas na swój ślad. Ale w tym miejscu plan pana Iks dzieli się na A i B, na dwa warianty: pierwszy to ten, że nie powiązemy ofiar i do końca będziemy sądzić, że to seryjny morderca. Wariant A zakłada zbrodnię doskonałą. „Snajper” przestaje zabijać i pozostaje nieodkryty. To już się zdarzało na świecie. Drugi wariant zakładał, że jednak odnajdujemy to powiązanie. Stąd wskazówki w listach, które miały być wskazówkami wyłącznie wtedy, gdy już na to powiązanie wpadniemy – w przeciwnym razie były nic nieznaczącym bełkotem. Bieżun miał być ubezpieczeniem. Kiedy Iks dowiedział się, że powiązaliśmy Olędzkiego z Materny i Ejzertową, pan pozwoli, że powoli zaczniemy używać wszystkich nazwisk, wdrożył plan B. Na jego polecenie Piekarczyk zabija Łopacińskiego, pozorując samosąd jako ostatnią, nieudaną próbę zakończenia z powodzeniem planu A, ale mimo to wkrótce nie mamy już żadnych wątpliwości, że to sprawka Bieżuna. Nawet gdyby nie zadzwonił do nas

sąsiad Łopacińskiego, któremu przypomniała się scysja z Bieżunem, jakoś byśmy wpadli na jego trop. Przecież grzebalibyśmy w przeszłości Łopacińskiego, a ta sprawa wyszłaby w pierwszej kolejności. Ewentualnie podsunąłby nam trop, jak z listem, może nawet bardziej czytelny. A Bieżuna już od dawna nie ma, gnije w lesie od kilku tygodni. Wszystko idzie gładko, bo przecież kto lepiej kontroluje osobę zaburzoną psychicznie niż psychiatra? Psychiatra, który go zna; zna nie tylko jego umysł, ale i organizm, tolerancję na leki, ich dawki i tak dalej. Idzie gładko, ale do czasu. Nagle pojawia się niespodziewana komplikacja, bo Piekarczyk wymyka się Iksowi spod kontroli. Przekonany, że ma raka i niedługo umrze, decyduje się nie podejmować leczenia i zabija dalej, grając z nami, ze mną, w swoją chorą grę. Iks musiał być kłębkim nerwów w tym czasie. A potem Piekarczyk zostaje zabity w porcie, nie zdążywszy nam niczego wyjawić. Iks odzyskuje spokój: ostatnie ogniwo łańcucha łączącego go ze zbrodniami zostaje usunięte. Teraz przyszedł już chyba czas, żeby za Iks podstawić konkretne nazwisko. Pańskie, panie doktorze. – Popatrzyłem Dzieszce w oczy. – Bo nagle okazuje się, że jest pan ojcem Daniela Ejzerta, a Anita Ejzert była kiedyś pańską narzeczoną, która zostawiła pana dla innego. Kiedy do tej układanki dorzucimy kolejne elementy, czyli jak został pan dyrektorem szpitala oraz

prezesem zarządu spółki „Gronowo”, to wszystkie klocki wskakują nagle na swoje miejsce...

Dzieszko patrzył na mnie takim wzrokiem, że poczułem się jak idiota.

– Nie wiem, czy mam się śmiać, czy podziwiać pańską kreatywność – powiedział spokojnie, ale widziałem, jak rusza mu się grdyka. – Choć prawdę mówiąc, nie ma w tym nic śmiesznego.

– Ale przyzna pan, że brzmi to naprawdę logicznie? – Mój głos miał w sobie niezmaconą pewność; miałem jej w sobie mnóstwo, podekscytowany własnym nagłym odkryciem i tym znanym mi już wcześniej uczuciem, kiedy klika ostatnia zapadka i wszystko jest już jasne.

– Możliwe, choć przyznaję, że w paru miejscach się zgubiłem ze względu na brak znajomości wszystkich szczegółów. Nie miałem na przykład pojęcia, że Piekarczyk miał raka.

– Nie miał. Powiedziano mu tylko, że ma. A jeśli chodzi o pozostałe szczegóły, to powinien je pan chyba dobrze znać.

– Czyżby?

– Tak sądzę.

– A niby dlaczego?

– Skoro to pan wszystko wymyślił i tym kierował...

Dzieszko uniósł ręce i opuścił je gwałtownie, łapiąc podłokietniki swojego fotela. Zrobił to mocno, jak przed jazdą na rollercoasterze, kiedy człowiek nie jest pewien,

czego się spodziewać, ale wie, że będzie ostro. I zaczął z innej strony.

– Czy są panowie na służbie?

– A co to ma wspólnego...? – nastroszył się Rędzia.

– Są panowie?

– Tak się składa, że dziś mam dzień wolny.

– No właśnie. – Słaby uśmiech pojawił się na twarzy dyrektora. – Zatem nie ma pan prawa dokonywać czynności służbowych...

– Ależ mam, jak najbardziej – stwierdził Tomek. – I właśnie to robię.

– Czy pański przełożony o tym wie?

– Nie musi. Działam zgodnie z ustawą o policji i jestem policjantem również po służbie. Proszę spytać swojego prawnika.

Dzieszko milczał przez chwilę, palce wbijał w skórę fotela.

– Pan pozwoli, że do niego zadzwonię? – zapytał w końcu.

– Proszę.

Wziął telefon i wybrał numer z kontaktów.

– Mam małe kłopoty – powiedział cicho do kogoś po drugiej stronie. – Prawne. Tak, teraz... Jest u mnie policja, mówią dziwne rzeczy i sugerują, że popełniłem przestępstwo. Tak, poważne. Zabójstwo, a nawet kilka zabójstw. Przyjedziesz? Mam nic nie mówić, dopóki się nie zjawisz? Piotr, jestem niewinny, to stek bzdur! Ja

chcę z nimi współpracować, żeby to jak najszybciej wyjaśnić... Dobrze, czekam... Na razie.

Odłożył telefon na stolik, dłonią wytarł z czoła pot, który zrosił je obficie, a potem oblizał usta i spojrzał na nas.

– Mylicie się. – Zdecydowanie pokręcił głową i wycelował we mnie palec. – Grubo. Nie wiem, jak pan to wszystko sklecił, ale to stek bzdur. Fakt, że pańska historia brzmi logicznie, nie oznacza, że musi być prawdą.

– Wie pan co? – Rędzia był bezlitosny. – Mnie kolega przekonał. To ja mam jeszcze jedno pytanie. Prosiliśmy jakiś czas temu o dane pacjentów zwolnionych z zakładu po odbyciu leczenia zaburzeń objawiających się agresją. Nie podał pan danych osób podlegających obserwacji. Czyli między innymi Bieżuna i Piekarczyka. Dlaczego?

– Nie były leczone. Chodziło wam o leczone...

– Nie. Nie podał ich pan dlatego, żebyśmy nie natrafili na ślad Bieżuna. Nie za szybko w każdym razie. No i w konsekwencji na Piekarczyka. To pan był mózgiem.

– Ludzie, co wy... – Oczy Dzieszki niemal wyszły mu z orbit.

– Proszę zostać na miejscu, prosiłbym również, żeby pan przez cały czas trzymał ręce na widoku, dobrze? Zostaje pan zatrzymany w związku z podejrzeniem popełnienia czynu zabronionego polegającego na nakłanianiu innej osoby do dokonania zabójstwa, a więc

podżeganie do zabójstwa. Musimy również dokonać przeszukania pomieszczeń, w których pan mieszka i pracuje. Zatwierdzenie przeszukania, czyli stosowny nakaz w formie postanowienia wydanego przez prokuratora bądź sąd, zostanie panu doręczony w terminie siedmiu dni na pańskie żądanie, o czym pana pouczam. Ma pan prawo uczestniczyć w przeszukaniu. Ma pan również prawo złożyć wniosek o wydanie postanowienia o zatwierdzeniu zatrzymania przedmiotów, które uznamy za dowód w sprawie i zabezpieczymy...

– Dobrze, dobrze, rozumiem...

– Mam obowiązek pouczyć pana o przysługujących prawach...

– Uznajmy go za wypełniony. Pana kolega jest świadkiem. Jezu, skończmy to już, dobrze?

Dzieszko oklapł. Najwyraźniej stwierdził, że opór nie ma sensu, a dalsze zaprzeczanie faktom tylko pogorszy sytuację. I miał rację, bo tak właśnie zwykle jest.

– Proszę, róbcie, co musicie. Jestem niewinny i udowodnię to. Nie mam nic do ukrycia. Mój prawnik zaraz się zjawi, ale nie widzę przeszkód: możecie, panowie, zaczynać. Nie mam nic do ukrycia – powtórzył.
– A wręcz deklaruję swoją pomoc.

– Pokaże nam pan zawartość sejfów? – zapytał nagle Tomek.

– Proszę!?

– Sejf, ten na regale. – Wskazał sięgający sufitu ciężki, dębowy regał, częściowo wypełniony książkami i bibelotami. – Skoro deklaruje pan pomoc, to rozumiem, że umożliwi nam pan również obejrzenie jego zawartości? I tak do niego zajrzemy, z panem czy bez pana...

Dzieszko wstał i podszedł do regału. Trzęsącymi się rękami wbił czterocyfrowy kod, a potem otworzył drzwiczki skrytki.

– Jezus Maria – wydusił z siebie.

Kiedy zaczął się odwracać, Rędzia rzucił się w jego stronę.

– Tylko spokojnie! – krzyknął, ale kiedy Dzieszko obrócił się w naszą stronę, nie trzymał w ręku broni ani niczego, czym mógłby nam zagrozić.

– Nie wiem, skąd się to tutaj wzięło! Ja... Zaglądam tu bardzo rzadko, bo nie mam powodów, ale na miłość boską, nie mam pojęcia, kto to tu podłożył!

Paczki banknotów w rękach Dzieszki wyglądały po prostu jak dowód przestępstwa. Nowiutkie stuzłotówki w banderolach przywodziły na myśl inne, takie same, znalezione w kryjówce Piekarczyka.

– Pięknie, coraz piękniej. – Rędzia westchnął, wyraźnie uspokojony i wskazał komórkę, której dyrektor używał przed chwilą. – To służbowy telefon? Mogę? Tylko proszę mi odblokować... Dziękuję. – Dzieszko robił wszystko machinalnie i automatycznie, jakby stracił już

jakąkolwiek nadzieję. – Tyle numerów... PH przy nazwisku oznacza...?

– Przedstawiciel handlowy firmy farmaceutycznej...

– Aha. No tak, sam mogłem na to wpaść. Pozwolę sobie zadzwonić, dobrze? Klawiatura... Pięćset, sto pięć... O, widzę, że ten numer ma pan zapisany w kontaktach. Ziemski PH... Kto to?

– Nie wiem. Mam zapisane setki telefonów i nazwisk, z niektórymi z tych ludzi rozmawiałem pewnie raz w życiu albo i nigdy...

– To ja panu powiem, do kogo należy ten numer. Ta osoba na pewno nie nazywa się Ziemski i nie jest przedstawicielem handlowym firmy medycznej. Telefon o tym numerze miał Piekarczyk. Pamięta pan, podczas naszej ostatniej rozmowy o Piekarczyku powiedział pan coś takiego: nazwijcie to głupotą, naiwnością, ale nie pomyślałem, że to on. Nie nazwę tego ani głupotą, ani naiwnością, tylko wyrachowaniem i premedytacją. Już wiemy, jak to się stało, że psychopata działał tak logicznie. Bo pan nim sterował.

– To już naprawdę zaszło za daleko! – Dzieszko po raz pierwszy podniósł głos. – Jak pan może? Co to za insynuacje!? Ja sobie wypraszam! Żądam zaprzestania przeszukania do momentu, w którym zjawi się tu mecenas!

Nagle stęknął głucho, chwytając się za brzuch.

– O Boże... – wykrztusił. – Ja... Ja się źle czuję...

– Niech pan usiądzie, spokojnie...

– Czuję ból za mostkiem... To chyba zawał...

Oddychał ciężko. Zbladł i zaczął słać się na nogach, a czoło ponownie zrosił mu rześisty pot. Nie udawał. Z Dzieszką naprawdę działo się coś złego.

– Niech się pan położy na kanapie – poradziłem, pomagając mu. – Proszę rozpiąć koszulę i oddychać spokojnie. W szpitalu w Drawsku jest kardiologia?

– Wezwijcie pogotowie – wystękał, zaciskając zęby z bólu i rozrywając koszulę na piersi.

Tomek już wybierał sto dwanaście. Trwało to wszystko kilkadziesiąt sekund, a rozmowa z dyspozytorem pogotowia była jak echo rozmowy z operatorem numeru alarmowego. Nigdy nie rozumiałem do końca sensu powtarzania wszystkich danych: to była strata cennego czasu. Kiedy Rędzia odsunął telefon od ucha, podszedł do kanapy i oznajmił:

– Pogotowie będzie za jakieś dziesięć, piętnaście minut. Bierze pan jakieś leki?

– Nie... Nie biorę... – Popatrzył na nas i wydyszał ciężko: – Ja naprawdę tego nie zrobiłem...

– Zostawmy to teraz – powiedziałem. – Najpierw lekarz.

Tomek wyszedł dokończyć rozmowę na korytarz. Usiadłem przy Dzieszcze i patrzyłem na niego, na jego bladą, mokrą od potu twarz, nabrzmiące żyły na szyi i czołe, unoszącą się w rytm spazmatycznego oddechu

pierś. Nie chciałem, żeby umarł. Miał odpowiedzieć za to, co zrobił. Śmierć, tak jak w przypadku Piekarczyka, byłaby za prosta. Ale nie powiedziałem mu tego. Patrzyłem tylko, ale unikałem jego wzroku. Jęczał co chwilę krótko, trzymając się za lewy bark. Minęło tak trochę czasu, może kwadrans, może dwadzieścia minut, aż nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł Rędzia, a za nim dwóch ratowników medycznych z noszami. Szybko rozstawili sprzęt, założyli Dzieszce mankiet ciśnieniomierza i przyklepili do tułowia elektrody EKG. Badanie trwało kilka minut, jeden sanitariusz obsługiwał Dzieszkę, drugi wypełniał kartę. Poza pytaniami o stan zdrowia porozumiewali się ze sobą tylko spojrzeniami i krótkimi mruknięciami.

– I co? – zapytał Rędzia, kiedy ratownik zaczął wypinać kable z elektrod na ciele Dzieszki.

– Nie ma ewidentnych cech zawału, ale zapis EKG jest niejednoznaczny, no i ciśnienie dwieście na sto. Damy panu captopril pod język. Jeśli się pan zgodzi, pojedziemy do szpitala.

– Zgadza się. – Rędzi lekko opadły ramiona.

– Nie pan, tylko pacjent. – Ratownik zmarszczył brwi.

– Muszę mieć zgodę pacjenta.

– Który szpital?

– W Szczecinku.

– Dobrze, ostrzegam: będzie asysta policji. Pan został właśnie zatrzymany – wyjaśnił Tomek, widząc minę

ratowników.

Rozłożyli podwozie noszy i pomogli dyrektorowi ułożyć się na nich. Rędzia wyciągnął telefon i zadzwonił do kogoś. Odprowadziliśmy Dzieszkę aż do karetki. Kiedy ratownicy wsuwali nosze do karetki, na podjeździe przed szpitalem pojawił się radiowóz z komendy powiatowej w Drawsku. Rędzia tylko pomachał i pokazał karetkę. W obu pojazdach zamigotały koguty i kiedy ambulans ruszył, radiowóz zatrzymał się na moment i wysiadło z niego dwóch policjantów z walizczkami. Kierowca szybko nawrócił i pojechał za karetką. Po chwili oba auta zniknęły za bramą, która zasunęła się za nimi bezgłośnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Wracamy – sapnął Rędzia i nagle stanął w miejscu.
– Cholera, mam nadzieję, że jakiś cieć nas wpuści? Tam wszędzie są te cholerne chipy...

Wyciągnąłem rękę, w której na smyczy z napisem Afobam dyndał identyfikator Dzieszki.

– Jest pan wielki, panie radco. Kurwa, największy! Dawajcie na górę!

Kiedy we czterech weszliśmy do gabinetu, poczułem się jak szabrownik, ale taki mało doświadczony. Uczucie będące czymś w rodzaju podniecenia związanego z nieskrępowanym dostępem do czyichś tajemnic zakłócało lekkie poczucie winy. Zupełnie nie wiem czemu.

– Zgrabnie ci wyszła ta historia z panem Iks – stwierdził Rędzia. – Jak speedcube. No wiesz, kostka

Rubika rozkminiana w kilka sekund...

– Wiem. Co robimy? – zapytałem.

– Jak to co? Szukamy dalej.

– Osoba, u której dokonuje się przeszukania, ma prawo do obecności podczas jego przebiegu...

– Przecież był tu. Poza tym został pouczony o prawie żądania dostarczenia kwitów, więc wszelkie wymogi formalne zostały spełnione... To w czym problem? Nawet sejf nam otworzył! Miło z jego strony, że zdążył, zanim dopadł go zawał, więc może my też zdążymy tam zajrzeć, zanim przyjedzie ten jego prawnik? Co ty na to?

Byłem za.

– Panowie? – Rędzia zerknął na techników.

– Nie mamy nic przeciwko. – Uśmiechnęli się, odkładając walizeczki na podłogę pod ścianą.

Sejf nie był duży, przypominał te hotelowe. Tomek założył lateksowe rękawiczki i najpierw wyciągnął z niego paczki banknotów, które starannie poukładał na biurku w zgrabną wieżyczkę. Teraz mogliśmy zajrzeć, co jest głębiej. Na półeczce leżała mała aluminiowa walizeczka, a obok niej stało pudełko z nabojami kalibru dziewięć milimetrów Parabellum. Kiedy je otworzyłem, dla pewności końcówką długopisu, okazało się, że brakuje czterech. Obok pudełka leżał magazynek, pusty, ale samej broni nie było. Pod magazynkiem znaleźliśmy małą czerwoną książeczkę, która okazała się legitymacją posiadacza broni. Wziąłem ją do ręki i otworzyłem.

– Jego – stwierdziłem krótko.

– To dlatego Piekarczyk nie strzelał do ofiar, tylko zabijał je młotkiem. – Rędzia pokiwał z przekonaniem głową. – Nie mógł mu go dać, bo skoro pistolet jest legalny, to w zasobach policji są wystrzelone z niego pociski. Dzięki nim doszlibyśmy wtedy do niego...

– Tylko gdzie jest ten pistolet? – zapytałem, wskazując sejf i pusty magazynek.

– Właśnie. Ale to teraz mniej istotne. Ważniejsze jest to, czy to z tego pudełka pochodziły naboje, które znajdowaliśmy przy ofiarach. Zabezpieczamy laptop, komórki i co tam znajdziemy. Przygotujcie już wszystko – polecił technikom. – Kiedy przyjedzie mecenas, pokażemy mu to tylko i zbieramy się. Szkoda czasu.

Popatrzył na mnie wesoło.

– Gratuluję, panie radco. – Takiego szerokiego uśmiechu, jaki wykwitł na twarzy Rędzi, nie widziałem u niego nigdy wcześniej; był tak szeroki, że zauważyłem brak górnej szóstki. – Właśnie zakończyliśmy sprawę „Nietykalny”. Teraz niech go przeżuwiają inni, my swoje zrobiliśmy...

– Poczekaj chwilę. – Usiadłem przy biurku Dzieszki, przed otwartym laptopem, budząc go z uśpienia stuknięciem w klawisz spacji. – Jak już tak wszystko sprawdzamy...

– Zahasłowany pewnie?

– Pewnie tak – zgodziłem się. – Ale spróbujmy.

Popatrzyłem chwilę na migający w polu na hasło kursor, a potem wpisałem „Anita”. Rędzia tylko pokręcił głową, kiedy na monitorze pojawiło się zdjęcie łodzi Dzieszki.

– Ludzie nie są skomplikowani – wyjaśniłem mu. – Do głowy im nie przyjdzie, że zagrożenia w informatyce są jak najbardziej realne i mogą dotyczyć również ich. Daj mi sto osób, a dziewięćdziesiąt pięć z nich ma hasło logowania związane z najbliższą osobą albo zwierzakiem. A ty, użytkowniku Tomaszu Rędzia, jesteś wśród tej piątki czy pozostałych?

– Nie bądź taki mądry. – Rędzia stanął za moimi plecami. – Co chcesz sprawdzić?

– Czy był tak nieostrożny, naiwny albo pewny siebie, żeby trzymać tu te listy do nas.

– Przecież te listy, o ile pamiętam, przynajmniej pierwsze trzy, były pisane na komputerze Łopacińskiego?

– Niby tak – mruknąłem.

– No właśnie. Poza tym po co chcesz w tym grzebać? Panowie... – wskazał policjantów za naszymi plecami – ...go zabiorą, a informatycy sprawdzą, od tego są.

– Wiem – wzruszyłem ramionami – ale skoro i tak czekamy na prokuratora, to co nam szkodzi? Nie jestem specem, ale przejrzeć zawartość dysku każdy głupi umie, nie?

Cztery pliki z listami były w folderze „Dokumenty”. Znalezienie ich zajęło mi pół minuty. Otworzyłem jeden

z nich, ten o kaleczonych drzewach krwawiących żywicą. Kursor migał na początku tekstu, jakby zachęcając do dopisania kilku słów od siebie.

– Widzisz? – Pokazałem. – Znów błędne założenie, mówię o sprawie Łopacińskiego. Nie wiem, jak głęboko sięgali spece, badając ten jego zabytek techniki, ale wypadaloby wtedy sprawdzić, czy pliki tekstowe powstały od początku na tamtym kompie, czy zostały przeniesione na jakimś urządzeniu.

– Tamten komputer nie miał chyba nawet jeszcze portu USB?

– Nieważne, może to była płytka. Jak widać na załączonym obrazku, jakoś zostały tam przeniesione i wydrukowane.

– Cóż, rzeki nie zawrócisz... Jeezu, nie chce mi się wierzyć, że można być tak głupim. – Rędzia parsknął śmiechem. – Taka intryga, tyle zachodu, a koronne dowody trzyma niemal na widoku...

Obejrzałem się na niego.

– Oni nigdy nie zakładają porażki, Tomek, i dziwię się, że ty się dziwisz temu. To ślepa wiara we własne siły, szczęście i umiejętności. Mało razy widziałeś miny zatrzymywanych sprawców? Nie mogą uwierzyć, że to jednak się stało, że ktoś wpadł na ich trop. Zacieranie śladów rzadko kiedy dotyczy najbliższej sfery. Laptop i komórka są teraz dla ludzi jak dodatkowy narząd: własny, niezbędny i intymny. Nie mieści im się w głowie,

ze ktoś mógłby tę sferę naruszyć. Poza tym był pewny siebie, a to zawsze w końcu gubi. Zgubiło i Dzieszkę...

– Te naboje... Te listy... Całe to pierdolenie o symbolach... Pocięte drzewa, koty wskakujące na blaty i tak dalej... Wszystko gówno warte. Ludzie boją się psycholi, a powinni bać się tylko ludzi wyrachowanych...

Prawnik Dzieszki przyjechał niemal równocześnie z prokuratorem, ściągniętym z dyżuru w drawskiej prokuraturze. Obaj nie byli szczęśliwi z takiego sposobu spędzania popołudnia i wieczoru. Zaczęliśmy formalne przeszukanie i zabezpieczanie dowodów. Mecenas nagrywał wszystko małą kamerką, komentując przy tym niemal każdą czynność techników i Rędzi.

Trzy godziny później wracaliśmy do Szczecina, zostawiwszy cały bajzel za sobą. Byłem głodny, koszmarnie zmęczony i śpiący.

– Wiesz, co jeszcze powinniśmy zrobić? – zapytał Rędzia.

– Ejzert? – odpowiedziałem pytaniem.

– Dokładnie. Chyba powinniśmy mu kilka kwestii wyjaśnić. Wypadałoby przynajmniej...

– Ano.

– To już w takim razie jutro. Po południu, najlepiej po robocie. Chcesz ze mną jechać? – Zerknął na mnie.

– Lubię doprowadzać rzeczy do końca.

– Czyli tak?

– Tak. – Pokiwałem głową. – Chcę. Doprowadźmy to do końca razem.

– Dobra. – Uśmiechnął się z zadowoleniem i dodał: – Zatrzymamy się po drodze na jakiegoś kebsa albo szaszłyk?

Wolałem znaleźć się jak najszybciej w domu, ale też byłem głodny. Wiedziałem również, że kiedy do niego dotrę, zmęczenie wygra z głodem i nie będzie mi się chciało przygotowywać niczego do jedzenia.

– Może być kebs albo szaszłyk – mruknąłem. – Na co tylko masz ochotę...

Było po dziewiętnastej. Edward Ejzert siedział przed nami dokładnie w takiej samej pozycji, jak podczas naszej poprzedniej wizyty w jego domu. Miał nawet na sobie tę samą koszulę w delikatne błękitne prążki. Był w domu sam; Daniel wciąż przebywał w Gronowie. Na moją sugestię, że jego stan jest niezły i pozwala na spędzenie jakiegoś czasu poza kliniką, Ejzert odparł:

– Lepiej, gdyby jeszcze trochę tam został. Muszę pozamykać pewne sprawy...

– Nie przyszedł na pogrzeb matki? – zapytałem, zdając sobie sprawę, o jakich sprawach mówił Ejzert.

– Nie. Nie chciał. Stwierdził, że to tylko ciało, które spróchnieje w ziemi, a tak naprawdę liczy się pamięć o tym kimś, kto je zamieszkiwał. Uczestniczenie w pogrzebie niczego nie zmieni, jeśli nie chce się pamiętać, to tylko pusty symbol, tak samo jak nieobecność na nim nie oznacza, że się go nie kochało. Nie dyskutowałem z nim. – Uśmiechnął się lekko. – Był nawet moment, że chciałem przyznać mu rację... To nie jest głupi chłopak, tylko po prostu chory.

Ja też się uśmiechnąłem, i również lekko. Ejzert się nie mylił.

Kiedy uśmiechy zniknęły już z naszych twarzy, stwierdziłem, że przyszedł wreszcie czas, by dowiedział się prawdy. Umówiliśmy się z Tomkiem, że ja będę tym złym policjantem. Sam mu to zaproponowałem, zanim on jeszcze zaczął się jąkać, próbując wyartykułować swój brak empatii i doświadczenia w tej delikatnej materii. Rozumiałem go. Dlatego wziąłem to na siebie, jak zwykle.

– Jest jedna rzecz, o jakiej powinien pan wiedzieć – zacząłem ostrożnie, patrząc Ejzertowi w oczy. – Powiem to wprost, bo nie ma sensu kluczyć ani przygotowywać pana na takie wieści. Otóż Daniel nie jest...

– Moim synem – dokończył za mnie niespodziewanie. Zdziwiłem się, i to porządnie.

– Dlaczego pan nam nie powiedział?

– Po co? – Rozłożył ręce. – Co by to zmieniło?

– A wie pan, kto jest ojcem Daniela?

– Wiem. – Wzruszenie ramion było obojętne, jakby ten fakt nie stanowił w tej sytuacji żadnej różnicy.

I kto wie, może nie stanowił? Choć w obecnej sytuacji, kiedy poinformowaliśmy go o zarzutach szykowanych przez prokuraturę Dzieszcze, byłoby to jednak dość dziwne.

– A jednak zmieniliby – stwierdziłem. – Gdybyśmy to wiedzieli, szybciej wpadlibyśmy na jego trop.

– W takim razie przepraszam. Nie miałem pojęcia. Co więcej mogę powiedzieć?

– Jak pan się dowiedział?

– Domyśliłem się. Nie wiem; przeczucie, szósty zmysł, lekkie, niemal nieuchwytnie podobieństwo do Łukasza...

Pokiwałem głową. Niemal zapomniałem, że Dzieszko ma tak na imię.

– Powiedział pan o tym żonie?

– Nie, nigdy.

– Dlaczego?

Znów obojętne wzruszenie ramion i to samo pytanie co zwykle.

– Po co? Udawałem, że się nie domyślam, bo to by niczego nie zmieniło. Wychowywałem go jako swojego syna przez piętnaście lat, kiedy się zorientowałem. Zleciłem badania DNA, potajemnie. Gdy miałem już pewność, wyjechałem na kilka dni, żeby wszystko przemyśleć. Kochałem żonę i kochałem jego, choć może nie zawsze dawałem mu to odczuć, ale taki już jestem... Raczej unikam uzewnętrzniania uczuć, przynajmniej tych dobrych. Jestem również osobą raczej porywczą, z czego zdaję sobie sprawę, a z kolei Daniel był zawsze bardzo wrażliwy, więc mogło to wyglądać różnie. Co nie zmienia faktu, że starałem się mu dać wszystko. Zawsze... Podjąłem decyzję, że będę żył dalej tak, jakby nic się nie zmieniło.

– A to nie tak, że nie chciał pan problemów?

– Jakich problemów?

– Nie wiem – dociekałem. – Takie rzeczy zwykle kończą się jeśli nie rozwodem, to na pewno jakąś skazą, nie wiem: rysą albo nawet szczeliną w związku i to taką, której już nie da się zasklepić.

Ejzert na mnie spojrzał.

– Naprawdę nie muszę tłumaczyć panom motywów mojego postępowania, choć to przed chwilą zrobiłem. Nie spodziewam się również, że choćby odrobinę postaracie się mnie panowie zrozumieć. To nie ma dla mnie znaczenia. Zrobiłem to, co zrobiłem, i z całym szacunkiem, nic wam do tego. Absolutnie nic.

– Oczywiście, zgadzam się i przepraszam, jeśli pana uraziłem. – Podniosłem ugodowo dłonie. – Z pańskich słów wynika jednak, że Daniel silniej związany był z matką?

– Tak – przyznał niechętnie. – Choć odkąd ujawniła się choroba, też różnie to wyglądało. Zwłaszcza w okresie dojrzewania. To był wyjątkowo trudny czas – podkreślił. – Wyjątkowo.

– Rozumiem – chrząknąłem.

– Chyba nie do końca. – Ejzert popatrzył na mnie z lekką wyższością, jakby jego przeżycia związane z chorobą syna, i to przysposobionego, czyniły go kimś może nie nadzwyczajnym, ale na pewno nieco bardziej doświadczonym życiowo niż na przykład ja.

Jego oczy mówiły: „co ty tam wiesz”. I to też rozumiałem. Taki już jestem empatyczny typ.

– Powie pan w końcu... – odruchowo zawiesiłem na moment głos – ...synowi?

– Nie wiem. Być może. Jeszcze o tym nie myślałem. Muszę przedyskutować to z lekarzami, jak to wpłynie na jego zdrowie psychiczne, a sami panowie rozumiecie, że taka rozmowa z oczywistych względów nie będzie łatwa...

Pokiwałem w zamyśleniu głową. Rędzia poruszył się nagle w swoim fotelu, rozglądając się po salonie.

– Nie ma pan już kota? – zapytał Ejzerta.

– Nie. Skąd pan wie?

– Mogę swobodnie oddychać. To znaczy, że nie ma tu sierści, na którą jestem uczulony – wyjaśnił Tomek. – A przynajmniej świeżej sierści.

– Nie wrócił z dworu jakieś dwa tygodnie temu. Nie wiem, co się z nim stało. I tak za nim nie przepadałem. Może wyjdę na zimnego drania, ale... To był kot żony.

– Nie musi się pan tłumaczyć, ja doskonale pana rozumiem. – Tomek uśmiechnął się porozumiewawczo. – Też nie przepadam za zwierzakami. Jakoś się nie lubimy i tyle. Cóż, dziękujemy za rozmowę, to by chyba było na tyle, jeśli chodzi o całą sprawę.

Zgrabnie zakończył temat, jakby to on przez cały czas go omawiał. Uścisnęliśmy sobie z Ejzertem dłonie i w milczeniu opuściliśmy jego wielki i pusty dom.

Jadąc z prawobrzeża do centrum, rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas o tej sytuacji.

– Porąbane to wszystko – oświadczył w pewnej chwili Rędzia. – Nie wiem, co sądzić o tym, co mówił o swoim stosunku do syna, że go niby tak kocha... Pamiętam, jak nie potrafił dokładnie powiedzieć, na co choruje Daniel, to chyba o czymś jednak świadczy, ale nie znam się, nie jestem psychologiem. I nie wiem też, co bym zrobił na jego miejscu. Chyba wolałbym jednak nie wiedzieć. Slogan „prawda ponad wszystko” czasem traci swoją moc. Czasem, kurwa, po prostu lepiej nie wiedzieć, wtedy żyje się lepiej.

– Ale czy tak jest uczciwie? – zapytałem przekornie.

– Uczciwość, tak samo jak prawda, też w pewnych sytuacjach schodzi na dalszy plan.

– Taak? – Uniosłem brwi.

– Nie. Nie wiem. – Machnął ręką i na powrót zacisnął ją na kierownicy. – Dajmy już spokój, cieszymy się sukcesem. Zasłużyliśmy na piwo. Masz w domu?

– Mam. A jak wrócisz do siebie?

– Bezalkoholowe masz? Oranzadę o smaku piwa?

– Kupimy u „Pomidora”.

Tak zrobiliśmy. Rędzia zatrzymał się przy sklepiku niedaleko głównego i chyba jedyne skrzyżowania w Bartoszewie i zaopatrzył się w dwie butelki bezalkoholowego „Lecha”. Czego to człowiek nie wymyśli, żeby się napić... Potem pojechaliśmy do mnie. Zrobiłem

tosty, z lodówki wyciągnąłem swoje piwo, prawdziwe, i zasiedliśmy do stolika przy kanapie w saloniku. Typowo męska, wystawna kolacja.

Rędzia pochłoniął swój napój w niecałe pół minuty. Potem wyciągnął z kieszeni telefon i zerknął na wyświetlacz.

– Cholera, bateria mi pada... Mogę podładować?

– Tam jest gniazdko. – Wskazałem blat w aneksie kuchennym. – Ładowarka leży koło tosterka.

Podszedł tam i podłączył komórkę, potem wrócił do saloniku i usiadł na kanapie obok mnie z drugą butelką piwnego ersatzu, którą po drodze wyciągnął z lodówki.

– A, nie powiedziałem ci o Dzieszce – sapnął. – Nic mu nie jest. Jeszcze go trzymają w szpitalu, ale to nic wielkiego. Nerwy. Twierdzi, że nie wie, gdzie jest broń. Nikt poza nim nie miał dostępu do sejfu, a on jej stamtąd w ogóle nie wyjmował. Bredzi. Pewnie się namyśla i ustala linię obrony. Potem okaże się, że pistolet komuś dał i tak dalej... Stara zasada: kiedy złapią cię za rękę, twierdź z całą stanowczością, że to nie twoja ręka, i tak nie masz nic do stracenia.

– Mówiłeś mu o laptopie? Co w nim znaleźliśmy?

– Ja z nim nie rozmawiałem, to Cieślar pojechał do niego do Szczecinka. Rano. Nie wiem, czy mu powiedział, ale to nie ma znaczenia. Facet jest przygwożdżony. Nie wywinie się, choćby wziął najlepszego papugę w tym

kraju. Cieślar już rozgrzewa kleszcze, żeby zacisnąć je na jego jajcach, znasz go przecież...

Pogadaliśmy jeszcze z pół godziny o pierdołach. Przyjemnie się z nim rozmawiało, jak z każdym, kto jest otwartym, trochę szorstkim w obyciu, ale w gruncie rzeczy sympatycznym, w dodatku niegłupim facetem. Słuchając, jak opowiada jakąś anegdotę o swojej żonie, zastanawiałem się, czy będziemy kontynuować naszą znajomość, czy jednak przyjmie ona w końcu formę kontaktu zapisanego w telefonie, a to wszystko, co razem przeżyliśmy, stanie się tylko starą historią, przywoływaną od czasu do czasu we wspomnieniach z jakiejś okazji. Złapałem się na tym, że wolałbym tę pierwszą opcję. Zdecydowanie.

– Dobra, lecę. – Tomek zerknął na smartwatcha, a potem przez okno, za którym mocno poszarzało. – Obejrzę ze swoimi chłopakami meczycho albo coś...

– Zabierz telefon.

– Racja... – Przeszedł do kuchenki i odłączył komórkę od kabla ładowarki. – Trzymaj się, Darek. Miło było...

– Spokojnie, jeszcze się pożegnamy oficjalnie. – Uśmiechnąłem się, patrząc, jak Tomek szybkim, sprężystym krokiem zmierza do wyjścia.

Zasalutował, wyszczerzył zęby i otworzył drzwi.

– Kluczyki! – krzyknąłem za nim.

Zatrzymał się w pół kroku. Wziąłem kluczyki do samochodu ze stolika i rzuciłem mu, żeby nie musiał po

nie wracać. Chwycił je zręcznie.

– Dzięki! – Odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Rozsiadłem się wygodnie, rozkładając ręce szeroko na oparciu kanapy, i popatrzyłem za nim. Oto facet, który prowadzi śledztwa wymagające doskonałej organizacji pracy, zdolności kojarzenia faktów, fenomenalnej pamięci i dbałości o szczegóły. Na tym polega jego robota. A zapomina telefonu i kluczyków do auta, i to na raty... Ale przynajmniej zręczny... Siedziałem tak kilka minut, wpatrując się w sufit z założonymi za głowę rękami. Byłem zrelaksowany. I wtedy coś sobie przypomniałem.

– Jezu... – wydusiłem z siebie i aż mnie przygięło.

Przełknąłem ślinę przez nagle wyschnięte gardło i powoli, jakbym wciąż nie wierzył, co robię, wstałem i poszedłem do wieszaka przy drzwiach. Kurwa, powinienem był to sprawdzić na samym początku. Nawet jeśli nie na samym, to na pewno przed tym, zanim opowiedziałem Dzieszce i Tomkowi piękną, logiczną i spójną historię pana Iks...

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnąłem portfel, a z niego jedną z wizytówek, poupychanych w przegródkach. Wróciłem z białym kartonikiem na kanapę, wziąłem do ręki telefon i zadzwoniłem do mecenasa Żuławskiego. Nie spodziewałem się, że odbierze o tej porze, ale o dziwo odebrał. Widać był jednym z tych prawników, którzy pracują przez całą dobę. Przedstawiłem się i zapytałem:

– Mam jedno pytanie, panie mecenasie. Sprawa jest poważna. Bardzo.

Coś musiało być w moim głosie, bo Żuławski powiedział tylko:

– Słucham pana.

– Muszę wiedzieć, kto zasugerował panu zajęcie się sprawą Bieżuna, Walasa i Piekarczyka. Muszę to wiedzieć, rozumie pan? W tej chwili. Chodzi o ludzkie życie. Powie pan, kto to był?

Powiedział, a mnie w tym samym momencie zrobiło się zimno. Rozległo się ostatnie kliknięcie w zamku, po którym drzwi do prawdy stają otworem. To, a nie dawny związek Dzieszki z Anitą Ejzert.

Rozłączyłem się i od razu wybrałem numer Tomka.

– Wróc po mnie – rzuciłem do telefonu niemal bez tchu, kiedy Rędzia odebrał po kilku sygnałach.

– Co się stało? Jeszcze czegoś zapomniałem?

– Zmiana planów.

– No?

– Przejedziemy się gdzieś razem.

– Podrzucić cię do miasta?

– Nie o to chodzi. To nie Dzieszko jest Nietykalnym...

Odpowiedziała mi cisza i stłumione przekleństwo.

– Kurwa, przez ciebie złapałem kołem pobocze... Co ty znowu...?

– Wracaj szybko – powiedziałem i rozłączyłem się.

Czekałem na niego przed furtką. Na zewnątrz zapadł już zmrok, choć wciąż było dość ciepło. Dwie minuty później w ciemności pojawiły się snopy samochodowych świateł, prześlizgujące się po gęstwinie lasu. Kiedy skoda wjechała na ścieżkę, reflektory oślepiły mnie na moment. Tomek zahamował gwałtownie tuż koło mnie, wzbijając tuman kurzu. Wysiadł, nie gasząc silnika. Czując na sobie spojrzenie Rędzi, obszedłem samochód dookoła i wsiadłem. Tomek zrobił to samo, głośno zamykając drzwi. Światelko na podsufitce zgasło i w środku zrobiło się ciemno, nasze twarze spowijała tylko delikatna poświata podświetleń deski rozdzielczej.

– No to słucham – warknął Rędzia, wrzucając wsteczny, obejmując oparcie mojego fotela i odwracając się do tyłu.

Ruszyliśmy gwałtownie, a jak tak samo odetchnąłem. Gwałtownie. I głęboko.

– Daliśmy się znowu zrobić, Tomek. Dotarliśmy do celu, ale do tego, który nam wskazano, a nie do tego, do którego powinniśmy. Po raz kolejny...

– Lepiej, żebyś był przekonujący, Darek. To zakrawa na komedię pomyłek, a nie na kryminał... Łopaciński, Bieżun, Piekarczyk, i w końcu Dzieszko. Mało? Każdy z nich był już naszym Nietykalnym. A teraz znów mam zrobić z siebie idiotę? Kolejny raz!? – Oblizał usta. – Dokąd?

– Na razie do centrum. I to nie my zrobiliśmy z siebie idiotów, Tomek. To ktoś z nas ich zrobił, wiesz?

– Wytlumacz to. I powtarzam: lepiej, żeby był pan przekonujący, panie radco...

Poprawiłem pas, wrzynający mi się w zagłębienie obojczyka.

– Piekarczyk wcale nie wymknął się spod kontroli Dzieszce. On wciąż był pod kontrolą, ale nie Dzieszki, tylko kogoś innego. A ta heca z pomyleniem próbek biopsji jeszcze temu komuś w jakiś sposób pomogła, bo Piekarczyk nie miał już nic do stracenia. Nic. My od początku mieliśmy dojść do Dzieszki! Teraz widzę, że to ujawnienie ciała Bieżuna nie nastąpiło przypadkiem. Ten ktoś kazał Piekarczykowi częściowo je odkopać, żeby mogło zostać znalezione przez jakiegoś spacerowicza w tym, a nie innym momencie... Po to był rozsypany odstraszacz na psy, żeby nie znalazły ciała zbyt wcześnie. Dopiero smród po jego odkopaniu miał zwrócić czyjąś uwagę. Ostatni list, ten, który przyszedł po czwartym zabójstwie razem z telefonem, też miał te same cechy stylistyczne, pisała go ta sama ręka. Gdyby faktycznie Piekarczyk działał już sam, napisałby go inaczej niż jego „prowadzący” albo w ogóle by nie napisał, rozumiesz?

– Nie rozumiem. List napisał Dzieszko. Przecież plik był w jego laptopie w Gronowie.

– Laptop, w przeciwieństwie do komputera stacjonarnego, ma tę zaletę, że można go przenosić,

prawda? Jeździ sobie w samochodzie, stoi w różnych miejscach, w których akurat przebywa jego właściciel, i zwykle jest włączony, co najwyżej uśpiony. Co za problem podłączyć pendrive'a i podrzucić plik do jakiegoś nieużywanego folderu? Albo nawet stworzyć taki folder gdzieś w czeluściach dysku? Ile to trwa? Dziesięć sekund? Mniej niż wyjście do toalety, do kuchni, żeby zrobić herbatę... Mnie znalezienie tych listów w jego laptopie zajęło pół minuty! O hasła nawet nie będę wspominał... To samo z komórką i numerem Piekarczyka: co za problem wpisać kontakt w piętnaście sekund, kiedy telefon leży na biurku...? Wiem też już, dlaczego trop prowadzący do Bieżuna pojawił się tak wcześnie, w trzecim liście. Sprawca zabezpieczył się, chciał mieć pewność, że w końcu trafimy na Bieżuna, tak czy siak. Być może były jeszcze inne tropy, tylko po prostu ich nie odczytaliśmy! A przez Bieżuna mieliśmy trafić na kolejnego przetrzymywanego bez wyroku pacjenta Gronowa i w konsekwencji do Dzieszki. Dokładnie tak, jak to się stało. A u Dzieszki w służbówce, jak w serialu o nowojorskich glinach albo detektywie w sutannie: wchodzi policja, a tam wszystkie dowody podane jak na talerzu. To jak szachista światowej klasy wystawiający króla pod mata. „Doroktor” został w to wrobiony, rozumiesz? Jeszcze jedno może o tym świadczyć: to on nam powiedział, czyj głos słyszeliśmy w telefonie, pamiętasz? Gdyby Dzieszko był mózgiem, nigdy,

przenigdy by nam tego nie zdradził. A nawet jeśli, to Piekarczyk wiedziałby o tym, że mu siedzimy na karku już pół minuty po naszym wyjeździe z Gronowa. I to wszystko by inaczej wyglądało...

– Po co ten ktoś robiłby to w tak skomplikowany sposób? Mógł to zrobić o wiele prościej.

– Właśnie. Nikt nie uwierzy, że ktokolwiek mógłby zadać sobie tyle trudu, żeby zrobić kogoś w kilka morderstw. Bo to się kupy nie trzyma. Zrobić coś takiego, żeby ukryć własne zbrodnie? Każdy stanąłby na głowie, żeby uniknąć wykrycia. Nie każdego byłoby stać na to intelektualnie, ale są wyjątki. Na przykład inteligentny, łebski facet, znakomity lekarz i biznesmen, znawca ludzkiej psychiki. W to dużo łatwiej uwierzyć, nie sądzisz?

– W takim razie kto podrzucił Dzieszce do laptopa plik z listami? I naboje? Kto wpisał numer Piekarczyka do jego telefonu?

– Zostały już tylko najprostsze rozwiązania, Tomek. Kto widywał się z Dzieszką wystarczająco często, żeby mieć okazję do zrobienia czegoś takiego? Kto był z nim związany poprzez bliskie osoby? Kto mógł mieć interes finansowy w śmierci niektórych z nich? Kto najwięcej zyskał na śmierci tych ludzi? I nie mówię o Dzieszce?

– À propos finansów: Piekarczyk nie złożył pozwu, zrobił to tylko Bieżun...

– Owszem, z pieniędzy Bieżuna ów ktoś nie miałby pożytku. Nie wyszarpałby mu tej forsy zbyt szybko, nawet jeśli znalazłby na to sposób. Procesy o odszkodowania od Skarbu Państwa ciągną się koszmarnie długo, natomiast Bieżuna trzeba było usunąć natychmiast. A Piekarczyk dostał kasę z ugody, i to miała. Stosunkowo miała – dodałem po chwili, przypominając sobie dzienną stawkę, którą wyliczył mecenas Żuławski.

– Właśnie. Przypominam, że Piekarczykowi załatwił ją Dzieszko, przekonując zarząd.

– Zgadza się. Ale może ktoś mu to zasugerował? Ktoś, z kim był związany, kogo uważał za bliską osobę?

– Ejzert... – wyszeptał Tomek. – Przecież dobrze się znali, od lat... Bywali u siebie, Ejzert przyjeżdżał odwiedzać syna, więc jako przyjaciela rodziny gościł go u siebie w gabinecie. Chodziło o zemstę! Ejzert zemścił się na Dzieszce za Daniela. Przecież zorientował się, że Daniel nie jest jego synem, tylko Dzieszki, sam nam to przyznał. Kurwa... Plus okrągła bańka za śmierć żony, która go zdradziła na samym początku małżeństwa; świetny deser po głównym daniu... I kot! Pamiętasz? W liście było o kocie wskakującym na blat! Przecież Ejzert miał pieprzonego kota! I kto mógł wiedzieć, że w Gronowie latami przetrzymywani są pacjenci objęci detencją!? Trzeba przycisnąć Żuławskiego, kto go wy...

– Już to zrobiłem.

– Powiedział ci?

– Powiedział.

– Kurwa, nie wierzę. – Tomek kręcił głową, jakby się zaciął, i walił ręką w kierownicę. – Pieprzony Ejzert! Mieliśmy go cały czas pod samym nosem... Niby taka pierdoła w sweterku albo koszuli, jakby nawet w domu był w pracy...

Patrzyłem na niego lekko rozbawiony. Dobrze mu szło i wyraźnie podekscytował się swoim odkryciem.

– Cieślar nam nie uwierzy – gorączkował się. – Nie pójdzie na to, zobaczysz. Przecież nie złoży wniosku o areszt na podstawie naszych wywodów. I kota... A jeśli nawet złoży, to sędzia go wyśmieje. Nawet cztery osiem też nic nie zmieni, bo to zbyt mało czasu; Ejzert wyjdzie za dwa dni i spierdoli za granicę... Kurwa... – Walnął otwartą dłoń, tym razem w klakson. – Jedziemy po niego! Coś musimy zrobić!

– Spokojnie. Najpierw sprawdzimy, czy jest w domu. Coś czuję, że może być za późno.

– Jak chcesz to sprawdzić?

– Zadzwoń do niego.

– Przecież go spłoszymy!

– Powiemy, że chcemy jeszcze porozmawiać o Dzieszce.

– Może po prostu tam pojedźmy, co?

– To nie tak, Tomek. Dojedziemy tam za minimum pół godziny...

– Jest po dwudziestej. O tej porze damy radę w kwadrans! No, dwadzieścia minut! Przecież on nie wie, że my wiemy! Trzeba dać znać Cieślowskiemu, niech wszystko szykuje...

– Tomek, to jeszcze nic pewnego, jeszcze jedna teoria. Sprawdźmy najpierw, gdzie on jest – naciskałem.

Rędzia dał się przekonać, dopiero kiedy powiedziałem mu, kogo naprawdę mam na myśli. Wystarczył jeden telefon, by okazało się, że być może faktycznie jest już za późno. Tylko o jakiś kwadrans, ale mimo wszystko za późno...

– Nie lubię, jak ktoś ze mną pogrywa – odezwał się Tomek, mocno ściskając kierownicę.

Patrzył w skupieniu na drogę, pomarańczowe punkty ulicznych lamp oświetlających ulicę Wyszyńskiego znikały za górną krawędzią przedniej szyby, niczym połykane przez łapczywą bestię. Silnik wył na wysokich obrotach, Rędzia redukował biegi, a potem wrzucał wyższe, jego nogi tańczyły na pedałach, a skoda lawirowała między nielicznymi samochodami. Okoliczności niemal identyczne z tymi podczas akcji zatrzymania Piekarczyka, tylko wtedy nie byliśmy sami i jechaliśmy wolniej. O wiele wolniej.

– Wciąż jest nadzieja, ma nad nami naprawdę niewielką przewagę, a szansa, że spotkamy go właśnie tam, jest naprawdę spora – powiedziałem. – Tak uważam.

– Nie o tym mówię. – Tomek zerknął na mnie.

Roześmiałem się. Nie jest łatwo się śmiać w aucie pędzącym ulicami miasta momentami ponad sto czterdzieści na godzinę, ale bliskie rozwiązanie zagadki

Nietykalnego poprawiło mi humor. I naprawdę uważałem, że wciąż mamy szansę spotkać się z nim w miejscu, do którego zbliżaliśmy się z koszmarną prędkością.

Za mostem Długim Tomek ostro zahamował, skręcił w lewo i przeciął tory tramwajowe. Samochód podskoczył na krawężniku, opony głucho zastukały na szynach, a potem znów dotknęły asfaltu na przeciwległej, na szczęście pustej jezdni. Byliśmy niedaleko miejsca, w którym zginął Piekarczyk, ale nie jechaliśmy do portu „Gryf”.

– Zrobiłeś ze mnie wałka, a tego nie lubię – powiedział ponuro.

– Sam z siebie zrobiłeś. – Wzruszyłem ramionami.

Skręciliśmy w ulicę Wendy i naszym oczom ukazał się biurowiec Lastadia Office, a w perspektywie budynki starej rzeźni, ciemniejące na tle granatowego nieba. Odruchowo zerknąłem na fasadę biurowca, w którym kiedyś swą siedzibę miał Jarek Leśniewski.

– Podnieciłem się tym Ejzertem jak panienka pierwszą randką – powiedział Rędzia.

– Owszem – przyznałem, wracając wzrokiem na drogę. – Gdybyś mógł zobaczyć swoją twarz...

– Bardzo śmieszne... Co, jak go tam nie będzie? Masz jakiś inny pomysł?

– Jak go nie będzie, to wtedy pomyślę.

– A jak był, ale zdążył się już zwinąć?

- Nie może być daleko.
- Ale jeśli?
- Alert. Śmigłowiec i wodniacy.
- Tak. I amerykański satelita.
- Zadzwoń do Bartochy, załatwisz co trzeba.
- Bartocha – prychnął. – Słowo-wytrych...

Zostawiliśmy samochód przy restauracji „Stara Rzeźnia” i pobiegliśmy w kierunku mostu prowadzącego na Wyspę Grodzką, do „Northeast Mariny”. Do celu mieliśmy kilkadziesiąt, może sto metrów.

– Ja na jego miejscu popłynąłbym raczej w górę rzeki – rzuciłem. – Przecież nie wpieprzy się po ciemku do portu i na tor wodny ze Świnoujścia.

– Może wpłynąć na jezioro Dąbie i próbować dostać się, ja wiem, do Lubczyny? Albo nawet na zalew i do Stepnicy?

– Nie. Jest ciemno.

– To chociaż na prawobrzeże. Stąd to żabi skok.

– Bez sensu. W tamte rejony miasta łatwiej uciec samochodem niż łodzią.

– Owszem, ale wie, że grożą mu blokady.

– Przecież nie ma pojęcia, że właśnie wpadliśmy na jego trop. Działa spokojnie. Jeszcze. Poza tym pchać się po ciemku taką łódką na jezioro? Stawiam raczej odwrotny kierunek. Gryfino, a właściwie Mescherin. Albo nawet Gartz...

– Myślisz? Psiakrew, to jak go dorwać?

– Niedaleko jest przystań policji wodnej i WOPR-u, oni też mają kilka szybkich łodzi...

– Chyba pontonów z silnikami.

– Nieważne... – Przebierałem nogami, usiłując dotrzymać Tomkowi kroku.

– Kurwa, naprawdę zły jestem na siebie, że sam na to nie wpadłem. – Tomek, w przeciwieństwie do mnie oddychał równo i głęboko. – Pamiętasz, kiedy snuleś opowieść o tym, jak to Dzieszko skonstruował zgrabny plan...

– Każdy może się pomylić – sarknąłem między dwoma kolejnymi spazmatycznymi oddechami. – Przyganiał kocioł...

– Nie o to chodzi, nie mam do ciebie żadnych pretensji. Powiedziałeś wtedy istotną rzecz.

– No? – Na więcej nie było mnie stać, oddech miałem krótki jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Mówiłeś, że wiedza o pacjencie to klucz do kontroli nad nim. Leki, stan umysłu i tak dalej... Zapytałeś, kto lepiej może znać organizm i umysł osoby zaburzonej psychicznie. I sam odpowiedziałeś, że leczący go psychiatra, to było oczywiste. Wtedy... A przecież jest ktoś jeszcze, kto może to wszystko świetnie wiedzieć... – Minęliśmy szczyt łukowego mostu, kątem oka zauważyłem świecące znaki nawigacyjne i dalby. – A czasem nawet lepiej i więcej. To po prostu inny

pacjent... Jezu, patrz! To on? Nie wierzę, zdążyliśmy!
W ostatniej chwili!

Wychodził właśnie z przeszklonego budynku mariny. W pomieszczeniach paliło się światło, część żaluzji była odsłonięta, prostokąty bladego światła kładły się na kamienną posadzkę między budynkiem a nabrzeżem. Obserwowaliśmy Nietykalnego przykucnięci na moście, ukryci w mroku, do którego nie docierały światła ani budynku, ani kilku lamp oświetlających nabrzeża mariny. Mieliśmy szczęście; nowoczesne i wielkie niczym pożyczone ze stadionu latarnie były wyłączone. Mimo to nie mieliśmy wątpliwości, kim jest człowiek wychodzący z budynku. Patrzyliśmy na chudą postać idącą wzdłuż szklanej fasady. Krótkie spodenki odsłaniały owłosione nogi, przez kilka sekund doskonale widoczne w świetle padającym z okien budynku mariny. To dzięki nogom wpadłem na to, gdzie najprawdopodobniej znajdziemy Nietykalnego.

– Wciąż nie mogę uwierzyć – szepnął Tomek. – Dzieszko mówił, że on nie jest niebezpieczny...

Prychnąłem cicho. Głos po wodzie niesie się daleko, musieliśmy o tym pamiętać.

– Wiesz, co to jest wyparcie? Psychiatrów to też dotyczy. A w tym wypadku Dzieszko nie był psychiatrą, tylko przede wszystkim ojcem. Oczywiście, że mógł po prostu kłamać, ale nawet jeśli, to z tego samego powodu.

Bo jest ojcem. Powiedziałbyś obcemu człowiekowi, w dodatku policjantowi, że twój syn jest niebezpieczny?

– Albo że jest pierdolnięty, co?

– Nie jest. Daniel Ejzert nie jest chory psychicznie. Osoba chora psychicznie nie skonstruuje tak skomplikowanego planu. On nie jest seryjnym mordercą, nie zamordował osobiście żadnej z ofiar. On jest po prostu ostro zaburzony. Jest socjopata. Inteligentnym, byстрыm, przekonany o własnej wartości i słabości innych socjopata, może o skłonnościach psychopatycznych, nie wiem. Dzieszko nam to wyjaśni. I to dlatego jest niebezpieczny. Oraz dlatego, że nikt go nie docenia. A on potrafi manipulować ludźmi. Owija ich sobie wokół palca. Dzieli i rządzi. Jak Marta Kielan. Dogadaliby się...

Tomek wyciągnął telefon.

– Skoro teraz mamy już pewność... – powiedział szeptem – ...dzwonię do dyżurnego i do Cieślara. Nie będziemy się wygłupiać.

Przytaknąłem machinalnie. Nie słuchałem rozmowy Tomka, tylko skupiłem się na Ejzercie. Przechadzał się nabrzeżem i zerkał gdzieś przed siebie, na rzędy nielicznych łodzi zacumowanych do pomostów. Chodził trochę niepewnie, jakby nie mógł się zdecydować i dopiero po chwili zobaczyłem pomarańczowy punkcik żaru papierosa. Rozjarzył się przy owalnej ciemnej plamie, która była głową Ejzerta, a potem poszybował łukiem ku czarnej wodzie i zniknął mi z oczu. Ejzert

wrócił do budynku już pewniejszym krokiem. Po chwili wyszedł z niego z wielką torbą, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Znow włączył latarkę, przeszedł kilkanaście kroków, zeskoczył z nabrzeża na wcinający się prostopadle w wodę wąski pomost i podszedł do jednej z większych łódek. Niedbale wrzucił torbę na pokład, a potem sam wskoczył na niego, znikając w półotwartej kabinie. Światło przygasło, a potem się pojawiło, a wraz z nim sylwetka Ejzerta widoczna przez boczną szybę owiewki. Oświetlił latarką coś, co trzymał w dłoni, i zaczął się temu przyglądać, przebierając palcami. Kluczyki. Włożył jeden do stacyjki, ale nie uruchomił silnika. Chyba nadszedł najwyższy czas, żeby coś zrobić. Patrzyliśmy, jak Ejzert znow wraca do budynku. Zobaczyliśmy go po chwili za jedną z tafli szkła, tą z opuszczonymi żaluzjami. Kręcił się po pomieszczeniu recepcji, w której dyżur pełnił bosman maryny. Nikogo innego poza Ejzertem w niej nie było.

– Dawaj. – Pociągnąłem Tomka za rękaw kurtki, widząc, że chowa telefon do kieszeni. – Nie będzie tak krążył tam i z powrotem w nieskończoność.

Rędzia popatrzył na mnie zdumiony.

– Znasz historię o chłopcu, który udawał, że się topi? – zapytał.

– Co!?

– Był sobie gnojek, który udawał, że się topi. W morzu. Machał rękami i wrzeszczał „ratunku!”, a kiedy

ktoś rzucał mu się na pomoc, wstawał z kolan i zaśmiewał się do rozpuku, bo okazywało się, że ma wodę do pasa. Potem znowu powtarzał dowcip. I znowu. Za czwartym razem nikt nie reagował, bo już się to wszystkim znudziło. A on się naprawdę topił. I utopił się. Skutecznie...

– Tomek – chrząknąłem – nie bardzo mamy czas na takie historie... Skąd ci to przyszło do głowy akurat teraz?

– Cieślar mi ją przed chwilą opowiedział. Wiesz, co to znaczy?

Zamrugąłem gwałtownie.

– Nie uwierzył ci?

– Otóż to. Ziewnął i powiedział, że jutro się nad tym pochyli. Pochyli się, rozumiesz? Gad jeden...

– Jezu... Co teraz?

– Ubłagałem dyżurnego, żeby wysłał nam jeden wóz.

– Jeden?

Rędzia znów wbił we mnie zdumione spojrzenie.

– Mecz dzisiaj jest, z Jagiellonią – sapnął, jakby to wszystko wyjaśniało, a potem, dla pewności dodał: – Wszystko rzucili na miasto. Przyjedzie, ale nie wiadomo kiedy. Jak da radę. Może za kwadrans, może za pół godziny.

– Więc radzimy sobie sami – rzuciłem mściwie, oglądając się na most i budynek mariny.

– Jestem za. – Tomkowi błysnęły oczy. – A co chcesz zrobić?

– Zabrać kluczyki. Nic wielkiego, jak widzisz. Zero ryzyka. Idź pilnować przy wejściu, schowany za rogiem budynku, a ja je po prostu wyjmę ze stacyjki.

– A co mam, kurwa, zrobić, jak on stamtąd wyjdzie? Pomachać ci? Zagwizdać?

Popatrzyłem na niego.

– Zatrzymać, chłopie. Masz go zatrzymać, w końcu jesteś policjantem, tak? Może nie chowaj się za winklem, tylko patrz przez okno; jak zobaczysz, że opuszcza pomieszczenie, w którym jest, po prostu biegnij do mnie. To tylko kilkadziesiąt metrów, wyjęcie kluczyków też trwa kilka sekund, zdążymy ukryć się na innej łodzi. Albo po prostu go zatrzymamy razem, przy jego łajbie. Przy Dzieszki łajbie... I już.

Pokręcił głową, choć bez przekonania. Wiedziałem, że go namówię. Przebiegliśmy cicho przez most i rozdzieliliśmy się po drugiej stronie. Ja pobiegłem schylony w stronę łodzi, a Tomek do bosmanówki. Starąłem się poruszać jak najciszej. Zeskoczyłem na pomost biegnący wzdłuż nabrzeża mariny i wśród kilku zacumowanych przy wyrastających z niego sięgaczach łodzi wypatrzyłem „Anitę”, kilkumetrowy motorowy jacht z charakterystycznym skośnym spojlerem. Potruchtałem do łodzi pomościkiem pomocniczym, kucnąłem, chwyciłem zimny, wilgotny reling i przerzuciłem nogę na

jej burtę. Potem przeniosłem ciężar ciała nad wodą i stoczyłem się na pokład. Rozległ się cichy łoskot, kiedy uderzyłem kolanami i łokciami w tworzywo sztuczne, którym wyłożony był pokład. Łódź zakołysała się leciutko, ale napięte cumy trzymały ją w miejscu. Wciąż skulony wpełznąłem do sterówki i wyciągnąłem kluczyki ze stacyjki. Nie tracąc więcej czasu, wycofałem się na czworakach na pokład i sięgnąłem do torby, którą Ejzert wrzucił na pokład chwilę wcześniej. Chciałem zobaczyć, co w niej jest.

– Cześć, panie wścibski – za plecami usłyszałem nagle głos Daniela Ejzerta.

Zamknąłem oczy, przeklinając własną głupotę. Serce niemal przestało mi bić. Co z Rędzią? Wstałem i zacząłem się odwracać.

– Wypuścili cię? – zapytałem słabo.

– Lekarz zastępujący doktora Dzieszkę uznał, że zasłużyłem na krótką przerwę. Powoli – rzucił Ejzert zimno, a ja zastygłem w bezruchu w połowie obrotu. – Wszystko spokojnie i powoli, rączki na widoku. Pistolecik poproszę.

– Nie mam broni – szepnąłem.

– Nie?

– Nie. Pomyśl, kto by mi ją dał?

– Zdejmij kurtkę i podnieś resztę łachów. Powolutku. Zrobiłem, co kazał.

– Teraz odwróć się i to samo. Plus nogawki. Wszystko w górę. Chcę zobaczyć, że nie poutykałeś niczego w gaciach albo skarpetkach. Na przykład tego, czego podobno nikt by ci nie dał.

Nietykalny stał na pomoście ze sztywno wyprostowaną ręką, trzymając w niej pistolet wycelowany w głowę Rędzi. Odległość między nimi była na tyle mała, że Ejzert z pewnością nie miałby problemu z trafieniem, ale na tyle duża, by Tomek nie miał szans niczego spróbować, na przykład rzucić się na niego. Pokazałem Ejzertowi, że nie ukrywam niczego pod ubraniem. Kiedy zimno nieprzyjemnie załaskotało mnie w brzuch, popatrzyłem w oczy Tomka. Była w nich wściekłość, i jak zdążyłem go poznać, to bardziej na samego siebie niż na Ejzerta.

– Tak, wyobraź sobie, że też w to nie wierzę – powiedział.

– Morda w kubek – syknął Ejzert. – Odzywacie się, tylko kiedy wam pozwolę, i nie chcę słyszeć żadnych głupich, porozumiewawczych haseł. Każdy niezrozumiały dla mnie tekst będzie karany bolesnym uderzeniem, więc proponuję wyrażać się precyzyjnie, a najlepiej w ogóle niczego nie gadać, dopóki sam nie zapytam, jasne? – Pomachał pistoletem w moją stronę. – Wyskakuj z „Anitki” i nie zapomnij przedtem wsadzić kluczyków z powrotem do stacyjki, dobra? Świetnie. Idziemy...

– Mogę włożyć kurtkę? – zapytałem.

Ejzert zastanawiał się przez chwilę, czy nic nie kombinuję. Rozumiałem go. Też bym się zastanawiał.

– Możesz – powiedział w końcu. – Wkładaj i wyłaź stamtąd.

Ubrałem się, wdrapałem na pomost i stanąłem obok Tomka. Sylwetka Ejzerta z wyciągniętą ręką uzbrojoną w pistolet czerniała na tle świateł głównego budynku maryny jak bohater spektaklu japońskiego teatru cieni.

– No, dawajcie, nie ma na co czekać.

– Nigdzie z tobą nie idę – mruknął Rędzia.

– Gdzie bosman? – zapytałem.

Ramiona czarnej sylwetki uniosły się lekko.

– Śpi. Albo nie żyje, nie wiem. Dostał w łeb. Jak ma szczęście, to się obudzi, jak nie ma, to się nie obudzi albo zostanie warzywem. W drugim i trzecim przypadku na jedno wychodzi. Pójdziemy teraz z rączkami na głowach do światełka, żebym was lepiej widział. Jak w bajce, co? – Zachichotał. – Babciu, dlaczego masz takie wielkie oczy? Żeby cię, kurwa, lepiej widzieć...

– Tu jest całkiem jasno – zaoponowałem.

– Nie dyskutuj ze mną, dobrze?

Podobnie jak Tomek, też nie chciałem iść do bosmanówki. Tam mogło nas czekać tylko jedno. Nie mieliśmy chyba jednak wyjścia, a każda zwłoka była nam teraz na rękę. Odwlekała nieuniknione, ale odwlekała.

Poszliśmy, czując na plecach wzrok Ejzerta.

– Chyba czas na emeryturę, panie komisarzu Rędzia.
– W jego głosie wyraźnie słyszałem kpinę. – Taka wpadka...

To chyba było wszystko, jeśli chodzi o wyjaśnienie zagadki, jak to się stało. Tomek tylko zgrzytnął zębami. Zeszliśmy z głównego pomostu i podeszliśmy do budynku, tam stanęliśmy z Rędzią jak na komendę.

– Do środka. – Ejzert szturchnął mnie w plecy lufą. Odwróciłem się, zdejmując ręce z głowy.

– Nie chcesz wiedzieć, jak wpadliśmy, że to ty? – zapytałem.

Czas. Potrzebowaliśmy czasu. Tylko to się teraz liczyło.

– Wiesz co? – Ejzert podrapał się muszką po skroni, mierzwiąc jeszcze bardziej i tak rozczochrane z boku głowy włosy. – To w zasadzie jest bez znaczenia wobec takiego, a nie innego obrotu sprawy. Nigdy nie sądziłem, że jesteście mistrzami intelektu, ale fakt, że przyjechaliście tu sami, tylko we dwóch, stawia pod znakiem zapytania całą moją mimo wszystko dobrą opinię o was. Nie zawahałbym się użyć nawet określenia „idioci”. Wybaczycie pierdolniętemu? – Uśmiechnął się przeprasząco i pokręcił lekceważąco głową. – Szeryf i jego dzielny zastępca. Załatwię sprawę na własną rękę, żeby ani kropla sławy nie skapnęła przypadkiem na kogoś innego. Myślałem, że tak robią tylko w filmach akcji. Chyba naprawdę was przeceniałem...

– Co nie zmienia faktu, że tu jednak jesteśmy – zauważyłem. – I wiemy, że Nietykalny to ty. Wiemy też, że tak naprawdę nigdy nie było żadnego Nietykalnego. Pomińmy freudowskie pierdoły o lęku kastracyjnym, superego i tak dalej i nazwijmy rzecz po imieniu i wprost. Nie było Nietykalnego, tylko mały, wyrafinowany psychol, który chciał ukarać tatusia za to, że go zostawił. A przy okazji miało się dostać kilku innym osobom, które też miały w tym swój udział. Prawda, Daniel?

Uśmiech spełznął Ejzertowi z twarzy, a oczy zapłonęły. Pomyślałem, że przesadziłem; że powinienem rozegrać to trochę inaczej, może nieco delikatniej.

Oblizwał usta, a potem zgarbił się lekko i wytarł je wierzchem drugiej dłoni. Wodził lufą od lewej do prawej, zmieniając kierunek w momencie, gdy muszka spoczywała na twarzy któregoś z nas.

– No, dobra, panowie – rzucił cierpko. – Karty na stół. Wy pierwsi. Jak?

Wiedziałem, że ciekawość zwycięży. Byłem tego pewien. Ludzie tacy są, ciekawscy. U jednych skutkuje to wynalezieniem lub odkryciem czegoś wyjątkowego i pożytecznego, lekarstwa czy nowego pierwiastka. U innych jej zaspokojenie oznacza wyłącznie stratę czasu. A w tym wypadku strata czasu u Ejzerta oznaczała, że my go zyskamy. Prosta arytmetyka. Patrzyłem Ejzertowi w oczy, starając się znaleźć w nich zapowiedź tego, co spróbuje zrobić chwilę później. Przewidzieć jego ruch.

Staliśmy w końcu przed obliczem psychopaty, który w dodatku mierzył do nas z broni. Ale zyskałem trochę tego czasu dla nas.

– Pamiętasz, jak przywieźliśmy ci fajki do Gronowa? – zapytałem, powstrzymując drżenie głosu, bo żaden ze mnie bohater.

Chyba najnormalniej w świecie zrobiłem się za stary na takie numery.

– Pamiętam.

– Rzuciłem ci przez płot zapalniczki, kiedy powiedziałeś, że znaleźli i zabrali ci zapalniczkę.

– No tak. I co z tego?

– Złapałeś je. Bardzo zgrabnie, w locie. Złapałeś je prawą ręką...

– Bo jestem praworęczny, Sherlocku, to którą miałem złapać?

– Otóż to. W takich sytuacjach zawsze użyjesz ręki prowadzącej, to naturalny odruch. Jak będziesz coś komuś wskazywał, to też użyjesz prawej, prawda?

– No?

– Później, za którymś pobytom w Gronowie, rozmawialiśmy z tobą o Bieżunie. Nie miałeś pojęcia o tym, że nie ma przedramienia. Tak przynajmniej wtedy twierdziłeś; pytałeś, skąd miałbyś to niby wiedzieć, skoro nigdy się nie widzieliście, bo zawsze rozmawialiście przez ścianę dzielącą wasze izolatki. Byliśmy zaskoczeni, ale koniec końców przyjęliśmy to do wiadomości. Ale wtedy

właśnie popełniłeś błąd. Błąd, który widziałem już wtedy, ale zauważyłem dopiero teraz. Jaki ten ludzki mózg nieprzewidywalny, co? – Roześmiałem się, chociaż nie było mi do śmiechu.

Cała ta sytuacja wcale mnie nie bawiła, wręcz przeciwnie. Zastanawiałem się, czy zdążę zagadywać Ejzerta do przyjazdu policji, jeśli w ogóle ktoś tu przyjedzie. Bo mogło być i tak, że załoga mitycznego radiowozu zastanie na nabrzeżu tylko nasze stygnące trupy...

– Jaki to był błąd, cwaniaku? – Ejzert znów miał na twarzy uśmieszek, ale nie mrużył już oczu.

– Mówiąc o ręce Bieżuna, odruchowo pokazałeś swoją. Podniosłeś ją. I to była lewa ręka, Daniel. Lewa. A Bieżun nie miał właśnie lewego przedramienia i ty o tym wiedziałeś, inaczej uniósłbyś prawą, bo odruch to odruch. A skoro jednak wiedziałeś, ale nam skłamałeś i to wydawałoby się w tak błahej sprawie... Przeszarżowałeś wtedy. Za bardzo chciałeś nam udowodnić, że nigdy nie widziałeś Bieżuna na oczy. Nie wiem, po co to zrobiłeś: żeby uprawdopodobnić swoją historię czy z innego powodu, ale przefajnowałeś. I kiedy sobie to uświadomiłem na kanapie w moim domu, godzinę temu, dalej poszło jak klocki w domino, w kilkanaście sekund.

– Brawo... Brawo... – Ejzert wzruszył ramionami. – Cóż, wszystkiego nie da się przewidzieć, prawda?

– Prawda. Dlatego zastanawiam się, co byś zrobił, gdyby wtedy, kiedy puszczaaliśmy ci nagranie rozmowy z Piekarczykiem, nie było przy nas twojego ojca. Co byś powiedział. Czy twierdziłbyś, że to głos Bieżuna, żeby zakręcić nas jeszcze bardziej? Jakby co, byłeś kryty. Gdyby prawda wyszła na jaw, zawsze mogłeś mówić, że słyszałeś go przez ścianę i byłeś zmulony lekami, i każdy dałby temu wiarę. Pech, że Dzieszko był wtedy z nami, co? Pierwszy powiedziałaś, że to nie Bieżun i tym samym wykonałeś dobry ruch, bo wiedziałeś, że Dzieszko i tak by to potwierdził. Natomiast nie wiedziałeś, że on rozpoznał głos Piekarczyka i poinformował nas o tym później. Potem wyszła ta ręka i już nie było tak dobrze...

– Nie wracajmy do tego. Było, minęło, wyszło, jak wyszło. Chcesz coś jeszcze dodać czy moja kolej?

– W zasadzie wszyscy trzej wiemy już, jak to się odbyło. Miałeś pewnie klucze do służbowego mieszkania ojca. Pogwałcił wszelkie zasady i dał ci komplet, żebyś mógł sobie w weekendy korzystać z internetu, tak? Oglądać seriale, filmy, pornosy... Dał ci również grafik dyżurów lekarskich i pielęgniarских, żebyś wiedział, kiedy masz uważać, a kiedy masz luzy. Dziwi mnie tylko, że dał ci kod do sejfu. To już głupota, a nie rodzicielska miłość...

– Nie dał. – Ejzert uśmiechnął się skromnie. – Mirek załatwił kamerkę, którą tam zainstalowałem. Łatwizna...

– A jak przekazywałaś pendrive’a z listami Piekarczykowi, które potem drukował u Łopacińskiego w domu? Jak dałeś mu naboje, które podrzucał na miejscach zbrodni? Jak on dawał ci maryskę? I tę kamerkę? Chyba wiem jak. W twoim ulubionym miejscu przy płocie, tak? Zastanawiam się, na ile nasze pierwsze spotkanie w tym miejscu było przypadkiem. Pewnie tamtego dnia minęliśmy się z Piekarczykiem o włos, co? A przy okazji: twoja opowieść o pacjentach Gronowa, zwłaszcza tych trzymanyh latami na „specce”... Majstersztyk. To się nazywa zaszczepić w kimś koncepcję...

Ejzert wybuchnął sztucznym śmiechem. To znów był spektakl. A aktor grający główną rolę świetnie się bawił.

– No dobra, teraz ja. Tak, masz rację, chodziło wyłącznie o Dzieszkę. O ojca. O mojego prawdziwego ojca. O matkę i człowieka, którego poślubiła też, ale najbardziej winny był on. Jeezu, tyle lat bili się z myślami, zastanawiając się, które z nich wie, które nie wie, które się domyśla, że tamto jednak wie... Cyrk, panowie, cyrk na kółkach. I tylko najbardziej zainteresowany, czyli ja, nic nie wiedział. Do czasu, bo domyślenie się, kto jest moim prawdziwym ojcem, a kto go udaje, było dziecinnie proste. Przynajmniej dla mnie. Dzieci są naprawdę bystrzymi obserwatorami, a potem im to mija, bo dorastają i stają się tacy jak wszyscy: tracą zainteresowanie uczuciami, przenosząc je na troskę

o pełny portfel i brzuch. Nawet nie wiecie, jaki miałem ubaw, patrząc na te ich gierki, ukradkowe spojrzenia, kiedy myśleli, że nie widzę. Od dwóch lat utrzymywaliśmy ze sobą potajemne relacje ojcowsko-synowskie. Nikt o tym nie wiedział, taką mieliśmy umowę – prychnął nagle, mrużąc oczy. – Jak na psychiatrę z takim stażem zaskakująco łatwo dał mi się owinąć wokół palca. Chyba mu brakowało miłości, a ja coś o tym wiem. To jak z suchą, spękaną ziemią na pustyni: spragniona wody chłonie każdą kroplę wilgoci, nawet jeśli to mocz kojota...

– Świetne porównanie i takie głębokie – zauważyłem.
– To miało być w następnym liście?

Spojrzał na mnie krzywo.

– Po co to wszystko, Daniel? – zapytałem. – Po co? Dlaczego mu to zrobiłeś?

– Po co? To miała być kara, i to dotkliwa, dotkliwsza niż śmierć. Co by mi przyszło z jego śmierci? Śmierć to stan nieistnienia. Po prostu by nie żył: nie mógłby cierpieć, nie miałby nad czym myśleć... O nie... Miał siedzieć w więzieniu do końca swojego żalosego życia, miał gnić tam bez swojego domku nad jeziorem, bez łódki, bez samochodu, dziwek, wystawnych kolacyjek i podróży służbowych na zagraniczne konferencje. Gdyby był przy mnie od dziecka, tak naprawdę przy mnie, jak powinien być ojciec, może nie byłbym teraz pierdolnięty. Może żyłbym normalnie jak inni, kończył studia, choćby

medycynę, żyłbym pełnią życia, zaliczał panienki, jeździł na wakacje z przyjaciółmi... Podświadomie czułem, że ten gruby facet, z którym mieszkałem, to nie mój stary. Matce należało się za to, że mi to zrobiła. Że związała się z emocjonalnie ułomnym człowiekiem, który z wyjątkiem nazwiska nie dał mi niczego, nawet odrobiny ciepła. A jej z kolei nigdy nie było w domu. To co to za matka? No sami powiedzcie...

– A reszta? – zapytałem. – Po co tyle trupów? Mogłeś podrzucić Dzieszce do komputera treści pedofilskie, mogłeś ukraść coś cennego i podrzucić mu do domu... Cokolwiek!

– Nie, nie, nie... Wymigałby się. Takie pierdoły by mu nie zaszkodziły. Dowody by zniknęły, a cała sprawa rozmyłaby się dzięki towarzyskim układzikom. Znam takie numery. Pytasz o resztę? Otóż reszta była środkami uświęcającymi cel. Reszta miała po prostu pecha. Nazwijcie to sobie, jak chcecie. Olędzki miał co prawda wiele na sumieniu jako dyrektor „Leśnej Ostoi”, uwierzcie mi, ale to przy okazji. To nieistotne i bez znaczenia. Plan został zrealizowany. Nie zamierzam się z tego nawet tłumaczyć, choć przyznam szczerze, że świetnie się bawiłem. – Pochylił głowę jak szarżujący byk, a oczy zmieniły się w wąskie szparki o lekko błędnym spojrzeniu. – Naprawdę, zabawa była przednia! W miejscach takich jak „Leśna Ostoja” nie ma zbyt wielu interesujących rzeczy do roboty, za to czasu jest mnóstwo.

Miałem go wystarczająco dużo, żeby wszystko starannie przemyśleć... Więc przemyślałem. To było trochę jak planowanie wojny: strategia, przewidywanie ruchów przeciwnika... Szachy, tylko bardziej emocjonujące, o wielką stawkę, no i bardziej krwawe. Albo raczej brydż. Bo z partnerem. Mirek spisał się na medal, musicie to przyznać. Kurwa, na medal...

– Tamta policjantka przy moim domu to też na medal?
– zapytałem cicho.

– To prawda, był moment, że chłop poczuł się panem sytuacji i trochę mi namieszał. Przyznaję, lekko zgłupiałem, kiedy puściliście mi tę nagraną rozmowę, bo nie powiedział mi, że gra we własną gierkę. Przeprowadziliśmy nawet na ten temat krótką rozmowę dyscyplinującą, bo nie lubię odstępstw od planów, zwłaszcza dobrych planów. Bywa... Szkoda, że w końcu wpadł, ale i tak nie miał za dużych szans...

– Miał – powiedziałem. – Nie miał raka, jeśli o tym mówisz. To była pomyłka laboratorium.

– O... – Był wyraźnie zaskoczony, i nic dziwnego. – Zalewasz... Naprawdę?

– Naprawdę. Ale trzeba przyznać, że partnera miałeś lojalnego. Nie pisnął słowa o tobie, kiedy umierał, wiesz?

– Umieranie to ciężka sprawa i człowiek wtedy skupia się raczej na sobie niż na innych – powiedział Ejzert, kiwając głową i wykrzywając wargi, jak gdyby doskonale wiedział, o czym mówi, ale jednocześnie nie wyglądał,

jakby było mu żal Piekarczyka. – Cóż, bywa i tak. No to miałem trochę szczęścia, można powiedzieć, bo widmo bliskiej śmierci go tylko motywowało, choć czasem powodowało lekkie komplikacje, patrz facet pod „Słowianinem” czy martwa policjantka. A szczęście też się liczy. Każdy genialny plan potrzebuje szczypty szczęśliwego przypadku. Ale i tak bym sobie poradził.

– Bez wątpienia – rzuciłem.

Po drugiej stronie Duńczycy nic się nie działo. Na wrzynającym się w wodę trójkątnym cyplu Łasztowni wciąż nikt się nie pojawiał; a na pewno nie policyjny samochód ze wsparciem. Światła okien „Starej Rzeźni” rozpraszały ciemność w najbliższym sąsiedztwie budynku, ale w ich blasku widać było tylko kilkanaście zaparkowanych przed restauracją osobówek. Refleksy świetlnych punktów mnożyły się w nieskończoność w ich szybach i lakierze. W restauracji ludzie jedli swoje kolacje przy świecach, a my walczyliśmy o życie.

Ejzert szeroko rozłożył ręce. Pistolet zawisł mu na palcu, kiedy rozluźnił na moment chwyt. Pomyślałem, że Tomek coś zaraz wymyśli, ale nie; stał bez ruchu, oddychając głęboko, ale miarowo.

– Ja naprawdę jestem nietykalny, rozumiecie? – zapał radośnie Ejzert. – Nawet jeśliby mnie jakimś cudem złapali, to nie zrobią mi nic ponad to, czego doświadczam od lat, do czego się przyzwyczailem i co nawet odrobinę polubiłem. Mam żółte papiery, chłopaki.

Jestem pierdolnięty, jestem oficjalnie zatwierdzonym przez system wariatem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Nic mi nie zrobią. Nic. Nie Gronowo, to inny psychiatryk. Co za różnica, skoro i tak wszystkie wyglądają podobnie? I tak bym tam rządził, byłbym gościem wśród tych zaślinionych, zaćpanych lekami wariatów. Jestem Nietykalny. Po prostu Nietykalny... A teraz będę żył pełnią życia. Należy mi się. Należy mi się jak nikomu innemu. A na pewno nie, kurwa, im wszystkim.

– Co teraz? – zapytałem.

– Teraz znikam. – Ejzert machnął bronią w stronę łodzi. – Wystarczą mi dwie, trzy godziny, żeby uciec do Niemiec, zatopić łódź w szuwarach, złapać stopa i gdzieś w Europie zacząć nowe życie, którego zadatek leży sobie w torbie w „Anitce”. Wyłącznie najpotrzebniejsze rzeczy i trochę kasy na początek. Jak się domyślacie, nie mam dużych potrzeb, więc powinno wystarczyć na jakiś czas. Wszystko mam już obmyślane. Miałem na to naprawdę dużo czasu, chłopaki. Proste, nie?

– Plan zaiste genialny w swej prostocie. – Tomek pokiwał głową. – A my? Co z nami?

Ejzert pociągnął nosem i spojrzał gdzieś w bok.

– Polubiłem was. Przyznaję, mam do was słabość. Naprawdę! Nic na to nie poradzę! I przepraszam za tych idiotów... Więc może zrobmy tak: nie zastrzelę was, ale za to dobrowolnie wejdziecie do bosmanówki, tam dam

wam w łeb, żebyście się za szybko nie obudzili, związę was i już. To mi wystarczy, żeby zniknąć. Załatwimy to szybko. Skoro nie słyszę policyjnych syren, to znaczy, że mamy jeszcze chwilę.

– Jakie to proste, co? – Głos Tomka był pełen zaskoczenia, ale słyszalne w nim wcześniej napięcie zniknęło niemal zupełnie.

Dziwne. Tomek wyraźnie się rozluźnił. Czyżby było coś, o czym nie wiedziałem?

– Owszem, proste jak sikanie – odparł Ejzert. – To jak będzie?

– Wiemy już, że masz nas za idiotów, ale to nie do końca prawda. Mamy uwierzyć, że nas nie zabijesz? – zapytałem spokojnie, chociaż absolutnie nie czułem spokoju. – Jeśli przeżyjemy, to twój plan spali na panewce. Wszyscy dowiedzą się, jak było naprawdę, a Dzieszko wyjdzie na wolność i dalej będzie jadał kolacyjki i latał na zagraniczne konferencje. A ty, nawet jeśli uciekniesz, będziesz poszukiwany i w końcu wpadniesz, bo wszyscy wpadają. Miesiąc, rok, dziesięć lat później, ale wpadają i nieważne gdzie są: w Hiszpanii, na Malcie czy na Wyspach. Taka prawda. Cholera, ty rzeczywiście myślisz, że jesteśmy tacy naiwni. Pierdolnięty jesteś?

– Myślałem, że to już ustaliliśmy? – Ejzert uniósł brwi. – No dobra, przejrzałeś mnie. Trudno. Ale obiecuję, że załatwię to szybko i bezboleśnie... Zapraszam do

środeczka, do pana bosmana, inaczej przestanę się krępować i zrobię to tutaj, na świeżym powietrzu...

– Dobra, pogadaliśmy sobie trochę, wyjaśniliśmy pewne rzeczy, ale faktycznie skończmy już ten żaloszny teatrzyk – powiedział nagle Rędzia. – Nie znasz się na broni, co?

Lufa pistoletu nieznacznie się cofnęła, jak gdyby Ejzert na wszelki wypadek chciał go mieć bliżej siebie.

– Bo? – zapytał. – Nie kombinuj, dobra?

– Słuchaj, Daniel... Skoro mamy trochę czasu, to może powiem ci dwie rzeczy. To nie potrwa długo, obiecuję, no i przecież nie słyhać syren. – Rędzia zerknął na mnie kątem oka. – Pierwsza rzecz: do tej chwili myślałem, że Nietykalny to niezwykle inteligentny psychol posiadający niesamowitą zdolność manipulowania ludźmi i przewidywania pewnych rzeczy kilka kroków naprzód, coś jak szachy, o których wspomniałeś. Krwawe szachy. Dobra, nie oszukujmy się, wszyscy tak myśleliśmy: Darek i reszta moich współpracowników. Ale pomyliłem się. Wszyscy się myliliśmy. Cholera, sam nie mogę uwierzyć, jaki byłem naiwny. Może faktycznie masz rację, a my dwaj jesteśmy naprawdę idiotami... Bo widzisz, właśnie okazało się, że Nietykalny to najzwyklejszy w świecie czubek, któremu po prostu udało się nas wykiwać wyłącznie czystym przypadkiem oraz dzięki odrobinie szczęścia. I tyle...

– Nie prowokuj mnie – ostrzegł Ejzert, a ja miałem ochotę powiedzieć Rędzi to samo.

– I druga rzecz. – Tomek nie wyglądał na przejętego. – Gdybyś się znał na broni, tobyś wiedział, że w pistolecie musi być magazynek. Inaczej możesz sobie taką giwerą podeprzeć drzwi, żeby się nie zamykały albo zrobić z niej przycisk do papieru.

– C... Co?

– Magazynek. Takie metalowe pudełko w rękojeści. W nim właśnie są naboje, którymi się strzela. A ty ich nie masz, bo w twojej broni nie ma magazynka. Nie wiem, skąd masz tę pukawkę, tak jak nie wiem, co zrobiłeś z magazynkiem i dlaczego nie ma go w środku, choć mogę się domyślać. Ale to właśnie utwierdza mnie w przekonaniu, że jesteś tylko zwykłym psycholem wysługującym się innymi ludźmi. Już nie mówię o samym roztrzaskiwaniu komuś głowy, ale zastanawiam się, czy ty umiałbyś w ogóle użyć młotka zgodnie z jego przeznaczeniem, czyli choćby nawet do tego, żeby wbić w ścianę zasrany gwóźdź? – Tomek spojrzał na mnie wyraźnie rozbawiony. – Ty widziałeś, debil nie włożył magazynka... Oddaj mi to żelastwo, co? Przecież w życiu nie strzelałeś...

Mignął mi w myślach strzęp prowadzonej na samym początku mojego udziału w śledztwie rozmowy o listach Nietykalgogo. Zwróciłem wtedy uwagę, że autor mylnie nazwał nabój pociskiem, co mogło faktycznie świadczyć

o braku obycia z bronią, a wręcz o nikłej wiedzy na jej temat. Chciałem też powiedzieć Tomkowi, że nie widziałem, czy ten pieprzony magazynek jest w pistolecie, czy nie, bo nie mam okularów. Chciałem go również zapytać, czy na pewno wie, co robi. Ale nie zdążyłem. Ejzert skierował lufę broni w górę, oblizał usta, zsunął palec z kabłąka na język spustowy i nacisnął go. Huk boleśnie uraził nasze bębenki, jego kolejna fala odbiła się od ściany bosmanówki ułamek sekundy później, przetaczając się po wodzie. Poczuliśmy smród prochu.

– Cóż, właśnie okazało się, że strzelanie też jest proste jak sikanie – powiedział chłopak. – Zdziwiony?

Z pewnością dzwoniło mu w uszach, tak jak nam, ale starał się wyglądać na rozluźnionego. Słabo mu to wychodziło. Był spięty i zdenerwowany. Ja chyba jeszcze bardziej. Rędzia tylko wzruszył ramionami.

– Ten tkwił w komorze, widocznie ktoś tu nie zachował wszystkich zasad bezpieczeństwa – wyjaśnił, robiąc krok w stronę Ejzerta i wyciągając przed siebie otwartą dłoń. – I dodam, że to był jedyny nabój, który miałeś. Jeden jedyny nabój, którym mogłeś jeszcze przez jakiś czas pograć z nami w swoją grę. Ale teraz to już naprawdę koniec. Gratuluję przegranej, panie Nietykalny. Znalazłeś ten złom na strychu czy podebrałeś tatusiowi?

Zanim zdążyłem go powstrzymać, nagle rzucił się w stronę Ejzerta. Ten w panice nacisnął spust, ale nic się nie stało. Nie zauważył, że po strzale pokrywa zamka została w tylnym położeniu. Tomek miał rację. Chryste, miał rację... Ejzert w pośpiechu zapomniał włożyć do pistoletu magazynek. A może nie w pośpiechu; może faktycznie nawet nie wiedział, że powinien tam być. Coś nieprawdopodobnego... Ale nie miałem czemu się dziwić. Największe wydarzenia w historii świata przebiegały często w taki, a nie inny sposób wyłącznie dlatego, że ktoś popełnił jeden mały i głupi błąd. Mały wobec znaczenia owego wydarzenia w historii, ale to nieistotne, ważne były jego konsekwencje. Jak kamińnik, od którego zaczyna się lawina.

Kiedy Rędzia pokonał już niemal cały dystans dzielący go od Ejzerta, ten cisnął w niego pistoletem. Kawał żelastwa minął głowę Tomka o centymetry, upadł na skraj nabrzeża, odbił się od niego i z pluskiem zniknął w wodzie. Po chwili obaj zwarli się w uścisku jak dwa walczące niedźwiedzie. Tomek był niższy od Ejzerta, choć na pewno sporo cięższy, nie zdołał go jednak powalić. Objęci niczym zapaśnicy próbowali sprowadzić przeciwnika do parteru. Ich nogi szurały po ziemi, głuche stęki wybrzmiewały w wieczornej ciszy jak parodia ekstazy kochanków. Zwarci w dziwnym tańcu obracali się, zmierzając w stronę przyczółka mostu, potem minęli go ściśnięci jak zapaśnicy tuż przed przejściem do walki

w parterze. Ale nie przeszli do parteru. Rędzia próbował podciąć Ejzertowi nogi, lecz wciąż nie był w stanie go przewrócić; nie dawał rady cisnąć o ziemię wymizerowanym chudzielcem ważącym pewnie z połowę mniej od niego. Ejzert po prostu walczył o wszystko, naprawdę wszystko, a to dodaje sił. W desperacji człowieka stać na wiele więcej. Ja stałem jak w jakimś stuporze, bezmyślnym kibicowskim zapamiętaniu, w którym jedynie zaciska się pięści w oczekiwaniu na wynik. Stałem i patrzyłem na to przez kilkanaście sekund, nie wiedząc, co mam robić. Dalej tak stać i patrzeć czy jednak rzucić się na pomoc Tomkowi. Zanim podjąłem decyzję, obaj zdążyli minąć most i dotrzeć na skraj nabrzeża po drugiej stronie przyczółka. Przez chwilę widziałem ich złane w jedną sylwetki, ledwo widoczne na tle bujnej zieleni działek za płotem mariny, która teraz była ciemną, nieprzeniknioną gęstwiną, a potem wszystko zlało się w czerń. To mnie otrzeźwiło. Zacząłem wreszcie biec w tamtą stronę. Nagle usłyszałem plusk, kiedy obaj zwalili się do wody. Zeskoczyłem na nabrzeże biegnące wzdłuż wznoszącego się łukiem przęsła mostu, lecz po jego przeciwległym skraju, gdzie nie dochodziły światła mariny. Klęknąłem i zacząłem wpatrywać się w nieregularne, pienne koło falujące na czarnej wodzie. Wypłynęli już oddzielnie, parszając i kaszląc. Nie próbowali znów zewrzeć się w walce, teraz

ważniejsza była inna walka: z przejmującym zimnem. I jak się miało okazać, z czymś jeszcze.

Tomek był tuż przy skraju nabrzeża, jego głowa na chwilę zniknęła za krawędzią, a potem znów się pojawiła, kiedy odbił się od wysokiego oczepu. Oczy przyzwyczyły mi się już do ciemności; widziałem matowe, blade policzki, fosforyzujące wilgocią na ciemnym tle wody.

– Darek, ratunku, nie umiem... – usłyszałem nagle niewyraźne słowa zagłuszone gwałtownym pluskiem.

– Spokojnie! – krzyknąłem, a serce zatrzepotało mi w piersi. – Spokojnie! Jestem tuż obok! Nie walcz, tylko nabierz głęboko powietrza i połóż się na wodzie, na plecach, słyszysz? Już cię biorę!

Położyłem się na deskach z barkami zwieszonymi nad wodą. Tomek przestał panikować. Leżał spokojnie, a policzki miał wydęte jak rozdymka. Uspokoilem się od razu. Tak nabierają powietrza małe dzieci, kiedy zaczynają nurkować w wannie i chcą go mieć jak najwięcej. Tak nurkowała Agnieszka, kiedy była malutka. To był dobry znak. Tomek pomagał mi swoim opanowaniem. Musiałem przyznać, że facet miał nerwy ze stali. Jedną ręką chwyciłem poler, a drugą wyciągnąłem do Rędzi.

– Dawaj! – zawołałem.

Lodowata dłoń chwyciła mnie za nadgarstek. Zacisnąłem palce na jej przegubie i pociągnąłem. Rędzia znów mi pomógł, młóćąc nogami wodę, tak że niczym

delfin na pokazie w oceanarium niemal z niej wyskoczył. Leżąc górną połową ciała na brzegu, zamachnął się nimi jeszcze raz i wreszcie na niego wypełznął. Zerwał się na równe nogi i zaczął się trząść. Oddychał spazmatycznie, a wargi drżały mu z zimna.

– Kurwa... – wyszeptał, szcękając zębami i zdejmując przez głowę mokrą bluzę. – Wciąż nie mogę uwierzyć, jaki to czub. I wciąż nie mogę uwierzyć w infantylność jego planu ucieczki w porównaniu z tym, co nam wszystkim zafundował... Czub, no... Czub, a prawie mnie zabił... Dzięki...

– Ile ty masz żyć? – zapytałem, ściągając swoją kurtkę, żeby mu ją podać.

– Właśnie o to chodzi, że tylko jedno... – odpowiedział, wkładając ją.

– Wiedziałeś, że nie ma magazynka?

– Nie od razu. Zacząłem wyjmować broń dopiero przy budynku, myśląc, że Ejzert wciąż jest w środku. A skurwiel właśnie wychodził i wpadliśmy na siebie w drzwiach. Zdążył przede mną, mój błąd, przyznaję, i mógł mnie drogo kosztować. Przystawił mi gnata do głowy, zapytał, czy jestem sam, a kiedy powiedziałem, że tak, kazał iść do łodzi. Więc nie miałem jak wcześniej się przyjrzeć i zobaczyłem to dopiero, gdy się odwróciliśmy do niego przy budynku. Szczerze mówiąc, nie byłem na sto procent pewien, ale pamiętałem, że w gabinecie Dzieszki

nie było broni, ale obok pudełka z nabojami leżał magazynek i to były te brakujące procenty.

– To mógł być zapasowy, pomyślałeś o tym?

– Coś mi tam świtało, ale zaryzykowałem... Dobrze, że mojego glocka pieprznał gdzieś w kącie, do bosmanówki. Kurwa, dopiero od rusznikarza wrócił po tej hecy w porcie... – Urwał, spojrzał na mnie i parsknął, pryskając wodą. – Chyba nie myślisz, że gdybym był pewien, to rozegrałbym to w taki sposób?

– Nie wiem, jakbyś to rozegrał. – Podniosłem ręce i uśmiechnąłem się z ulgą. – Tylko pytam. Kto cię tam wie, może chciałeś wydobyć z niego resztę, żeby wyjaśnić wszelkie niejasności?

– Zapewniam cię, że gdyby nawet, to na pewno nie w taki sposób. – Zacisnął pięści. – Wszystko skończyłoby się tam, gdzie się zaczęło. Przy drzwiach. Pamiętasz, co mówiłem o banii się psycholi i ludzi wyrachowanych? Zmieniłem zdanie. Najbardziej należy bać się wyrachowanych psycholi! Pieprzony czub... A ja drugi, kretyn...

Milczałem przez chwilę.

– W ogóle nie umiesz pływać?

– Ano, kurwa, w ogóle. – Tomek wzruszył ramionami, wciąż dysząc i rozluźniając pięści. – Mój ojciec był marynarzem, nie wrócił z morza, kiedy byłem mały. Od tamtej pory panicznie boję się wody.

– I przeszedłeś testy do policji?

– Napisałem, że umiem pływać, i nadrobiłem innymi rzeczami. No co? Jedni boją się latać, inni psów, a jeszcze inni wody, i już... – Pomachał połami kurtki wiszącej mu do połowy uda. – Za duża jest...

– Ale sucha. Nie marudź, zapnij ją, bo dostaniesz zapalenia płuc. Trzeba sprawdzić, czy Ejzert rzeczywiście zrobił coś bosmanowi...

– Właśnie, gdzie ten kutafon? – Rozejrzał się. – Ty, prawie o nim zapomniałem, wyobrażasz sobie?

Jakby w odpowiedzi, od strony wody doszedł nas cichy głos Ejzerta.

– Jezu, ratujcie mnie...

Rędzia stał pochylony z rękami opartymi o opięte mokrymi spodniami uda i wpatrywał się w rzekę; w miejsce, gdzie majaczyła niewyraźna plama, która była Danielem Ejzertem.

– Chyba nie chcesz, żebyśmy go tak zostawili? – zapytałem Tomka podejrzliwie, widząc jego oczy.

– Za kogo ty mnie masz? – burknął, rozglądając się i zgarniając z czoła strużki wody ściekające z włosów, a potem kopnął coś lekko, zapinając kurtkę pod szyję. – Tu jest lina. Rzuć mu.

– Idź sprawdź tego bosmana.

– Za chwilę. Najpierw wyciągnijmy z wody Ejzerta i skujmy go, zanim znów coś wymyśli.

Schyliłem się i podniosłem koniec liny, zawiązanej pod łbem błyszczącego gładką powierzchnią nierdzewnej stali

polera. Leżała niemal u naszych stóp zwinięta w zgrabny krąg, jakby ktoś specjalnie ją przygotował na to, co się działo. Może to normalne, że liny leżą przy polerach na wszelki wypadek, może był to przypadek, a może przeznaczenie, w każdym razie na szczęście dla Ejzerta leżała tam. Nie wyglądała na zbyt długą, ale powinna wystarczyć. Przed oczami mignęła mi inna lina, którą widziałem dawno temu, na innym pomoście i w innych okolicznościach.

– Farciarz pieprzony – mruknął Tomek, patrząc, jak zwijam z niej coś w rodzaju pętli, biorę zamach z forhendu i rzucam ją mocno w stronę Ejzerta, a potem krzyknął: – Masz, śmieciu! Lepiej byłoby, żebyś ją sobie potem zawiesił na szyi, ale masz, trzymaj...

Rzut wyszedł mi całkiem zgrabnie. Koniec liny plusnął w wodę jakiś metr od Ejzerta, zniknął w niej na chwilę, a potem wypłynął na powierzchnię jak szukająca ofiary anakonda. Ledwie widoczny, przez chwilę wił się unoszony drobnymi falkami. Ejzert szarpnął się, sięgając po niego rozpaczliwie. Zdołał jakoś chwycić go kurczowo i pociągnąć do siebie. Lina napięła się, a potem nagle zwiotczała. Zobaczyłem z zaskoczeniem, jak jej drugi koniec zsuwa się z polera do wody. Ani ja, ani Tomek nie zauważyliśmy w półmroku, że sznura nie zawiązano na pachołku, tylko niedbale na niego zarzucono. A teraz pływał w wodzie, groteskowo bezużyteczny. Oczy Ejzerta błysnęły przerażeniem. Było ciemno, ale przysięgam;

zobaczyłem błyski światła odbijającego się w białkach jego szeroko otwartych oczu.

– Nie umiem pływać – jęknął, oddychając spazmatycznie.

W jego głosie przerywanym świszczącymi haustami powietrza brzmiała skarga i zaskoczenie. Woda musiała być naprawdę bardzo zimna. Obok niego na powierzchni kołysała się paczka papierosów.

– Masz pecha – powiedział cicho Tomek, wpatrując się w ciemną toń gdzieś nad głową Ejzerta.

Zerknąłem szybko na Rędzię. Stał na szeroko rozstawionych nogach, zacisnął pięści, a głowę wtulił w ramiona; wyglądał jak zakapior szykujący się do ulicznej bójki. Miał zawziętą minę. Nie mściwą, ale zawziętą. Drżał jeszcze lekko z zimna, a może z emocji, nie wiem, a twarz błyszczała mu wilgocią, w której odbijała się poświata nieodległych lamp. Wróciłem wzrokiem ku wodzie. Pudełko z papierosami zniknęło. Ejzert nie machał już nogami, ręce nie były rozpaczliwie w jej migoczącą światelkami miasta powierzchnię. Zrobił to, co kazałem wcześniej zrobić Tomkowi; po prostu położył się na niej. Leżał na wznak, ale nie tak jak długodystansowy pływak, który odpoczywa, nabierając w płuca powietrza i zachowując zerową pływalność. On leżał, ale zakryty wodą, jej ciemne masy niczym powolne, ale uparte fale przyływu anektowały fałdy ubrania, rysując na nich wyraźne, płynne linie granicy między jej

lśniąca powierzchnią a satynowym półmatem materiału. Oddychał już spokojniej, choć wciąż głęboko, i zanurzał się powoli w wodzie kołysany nurtem rzeki. Poły rozpiętej kurtki falowały po obu jego stronach jak płaszczyki, które przywarły do wyjątkowo dużej ryby. Ejzert tonął. Pograżał się w odmętach Duńczycy spokojnie, jakby się z tym godził. Ale nie godził się. On się bał. Śmiertelnie, tak jak boją się wszyscy, którzy staną wobec czegoś groźnego, ale niepojętego równocześnie. Bał się jak jego ofiary, które nawet nie miały pojęcia, że to on sprawił, iż ginęły. I ten strach go paraliżował. W ciągu kilkunastu sekund stanął ze śmiercią twarzą w twarz, gdy wpadł do lodowatej wody, potem odwleczono zdawałoby się nieuchronne, kiedy rzuciłem mu na ratunek linę. A chwilę później patrzył, jak ona luźno zsuwa się z polera i nabrzeża i dotarło do niego, że to jednak koniec... Emocjonalny rollercoaster, skrajne stany umysłu, który i tak był zaburzony chorobą, pobytem w szpitalu psychiatrycznym, setkami dawek leków i traktowaniem przez najbliższych. Nie chciałem go tłumaczyć przed samym sobą, nie chciałem go tłumaczyć przed nikim, po prostu zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę, nawet nie próbując wczuć się w jego sytuację. Nie było sensu tego robić. Nie miałem siły, motywacji ani wystarczającej dozy empatii w sobie. Nie wobec Nietykalnego, nawet jeśli to nie on trzymał młotek roztrzaskujący ludziom głowy.

Ejzert ginął. Na naszych oczach. Oddalał się od nas powoli niesiony nurtem. Miał niewielkie szanse, chociaż nie szarpał się, tylko leżał spokojnie na wodzie. Ten spokój i tak by go nie uratował, odwlekłby jedynie nieuniknione, i to najwyżej o minutę.

Podniosłem lewą nogę i powoli zdjąłem but.

– Co ty... Co ty robisz? – zapytał Tomek z bezbrzeżnym zdumieniem w głosie.

Przestał się już trząść. Nie odpowiedziałem, tylko zdjąłem prawy, a potem rozpiąłem pasek spodni.

– Darek... Nie wygłupiaj się. Co ty, kurwa, człowieku, odpierdalasz?

Ejzert szeroko rozłożył ramiona i spojrzał w górę, w gwiazdy. Jego nóg nie było już widać, toń ciągnęła je w głąb. Śpiewał coś cicho, parszkając co chwila wodą wlewającą mu się do ust i wpatrując się w ciemne niebo szeroko otwartymi oczami jaśniejącymi w półmroku bielą twardówek.

– Śmierć często wokół mnie krążyła, ludzie ginęli, a ja temu nie mogłem zapobiec, Tomek – powiedziałem cicho.

– Ale za dużo ich umarło, żebym zostawił go w tej wodzie.

– Nie możesz mu pomóc... – zaprotestował gwałtownie Rędzia. – Przecież nie umiemy pływać...

– Ja umiem. – Uśmiechnąłem się blado, ściągając spodnie. – Tak się składa, że nawet całkiem dobrze. Widzisz, ja jestem ten, który boi się latać...

– Kurwa, Darek, woda ma z dziesięć stopni, a temperatura odczuwalna to minus sto! Masz pięćdziesiąt parę lat, jesteś kaleką, szok termiczny może cię zabić... – Słowa wylatywały z jego ust rozpaczliwym potokiem. – Nie wiem, jak wygląda brzeg tam, gdzie są już działki, ale niech sam jakoś próbuje tam dopłynąć... Nic nie możesz zrobić, Darek! Nic! Poza tym... On nie jest tego wart. Wiesz, że nie jest...

Ostatnie słowa, przytłumione przez materiał bluzy, którą ściągałem przez głowę, zabrzmiały, jakby Tomek dziwił się, że tego nie rozumiem, i jakby był o włos od obrażenia się na mnie za to. Za moją głupotę.

– Wiesz, że kilka lat temu trochę morsowałem? – powiedziałem cicho.

– I to ma mnie pocieszyć, a w tobie pobudzić automotywację czy jak?

– Jeśli Ejzert utonie, trudno będzie udowodnić niewinność Dzieszki, co? – zapytałem, stając na krawędzi nabrzeża ubrany tylko w slipy. – To będą słowa przeciwko słowom.

– Jeśli przeżyje, to też będą tylko słowa przeciw słowom. Nie rób tego, Darek – poprosił Rędzia, ale nie ruszył się, nie próbował mnie powstrzymać siłą.

Cieszyło mnie to. Nie chciałem myśleć, co bym zrobił, gdyby jednak spróbował. Może Rędzia miał rację z tą głupotą? Na pewno miał ją co do tego, o czym mówił wcześniej. To wszystko było oczywiste i dla mnie. Jasne

jak słońce; Ejzert nie był tego wart. Ale ja też miałem trochę racji, mówiąc o Dzieszce. Mimo że to miały być tylko słowa...

Nie zamierzałem ryzykować skoku na głowę i nie chodziło nawet o płytkie dno. Rozłożyłem szeroko ramiona i tak jak robią to ratownicy, skoczyłem z nabrzeża w noc, wpatrując się w bielejącą w ciemności plamę bladej twarzy Ejzerta i usiłując nie stracić jej z oczu, kiedy zaleje je rozbryzg lodowatej wody. Niczego więcej prócz twarzy nie było już na wodzie widać. Ścigał mnie krzyk Rędzi, ostry i rozpaczliwy; wydawało mi się też, że gdzieś w tle słyszę daleki jęk syren. A potem płynne zimno porwało mnie w swoje objęcia i ścisnęło lodowatymi kleszczami. Ejzert nie był daleko, zaledwie dwa, może trzy metry ode mnie, ale najpierw musiałem wygrać z zimnem walkę o oddech. Poczułem, jak moje serce przyśpiesza, trzepocząc w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć, wystawiłem usta nad wodę i zaczerpnąłem głęboko powietrza. Nagły błysk przed oczami uświadomił mi, na co się porwałem, a spóźniona myśl o przecenieniu własnych możliwości nie miała już znaczenia, bo było za późno. Już za późno. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przecież Tomek nie mógł wskoczyć za mną, żeby mi pomóc. Gdyby to zrobił, zginęlibyśmy wszyscy. Trzy dodatkowe zgony. Zamiast jednego. A może zamiast dwóch...? Poczułem, jak drętwieją mi ręce, i ogarnął mnie jakiś dziwny spokój. Nagły ból głowy odgiął mi szyję do

tyłu w niekontrolowanym spazmie. Ledwo zarejestrowałem, że moje palce musnęły kurtkę Ejzerta.

Kiedy wreszcie dotknąłem Nietykalnego, przed oczami miałem już tylko ciemność...

KONIEC

Szczecin/Pilchowo, 07 kwietnia 2017 – 31 lipca 2018

OD AUTORA

Do czasu wydania powieści Deniwelacja wszyscy byli święcie przekonani, że trylogia składa się z trzech części. Jak udowodnił Remigiusz Mróz, nie zawsze musi tak być. Nie twierdzę, że to dobrze czy źle; to nieistotne, w końcu kiedyś świat był płaski, a atom niepodzielny. Ta trylogia ma trzy części, chyba jestem nieco staroświecki. I na wszelki wypadek, zanim zmienię zdanie, w tym miejscu chciałbym Wam podziękować za to, że byliście z Suderem i ze mną na kartach trzech powieści na „Nie”. Suder zrobił już swoją robotę, czas odpocząć. Jeśli po zakończeniu lektury zastanawiacie się, co było potem, nie dziwię się. Jedni z Was będą przekonani, że Suder nie dał rady, a inni z kolei, że za jakiś czas wezmą do ręki książkę, która zaczynać się będzie od słów: „Nie strasz mnie więcej, Darek – powiedział Rędzia, kiedy otworzyłem oczy, a pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był stojak na kroplówkę”.

I kto wie, którzy z Was będą bliżej prawdy? Chociaż przyznam się do czegoś; zawsze miałem za złe Jo Nesbo, że w pięciomilionowej Norwegii wymyślił Harry’emu Hole

tak nieprawdopodobną liczbę seryjnych i wielokrotnych morderców, i jakby tego nie było dość, następnych szukał mu po świecie. Wszystko, co w nadmiarze, w końcu nuży.

No bo ile razy można budzić się w szpitalu?

Historia z ucieczką spod rentgena i pomyłką w laboratorium medycznym to dwa najmniej prawdopodobne elementy tej historii, przyznaję. A jednak wydarzyły się naprawdę, uwierzylibyście? Ta pierwsza bodaj w latach siedemdziesiątych w Warszawie, opisał to Jerzy Urban w jednej ze swoich historii w czasach, kiedy był jeszcze dziennikarzem. Rabowany nie był sklep jubilerski, ale to nieistotne, historia potoczyła się podobnie, tylko tamtego złapano. Pomyłki medyczne z kolei zdarzają się rzadko, ale się zdarzają. Słyszałem o kilku, najbardziej optymistyczna opowiadała o małżeństwie z Australii, które po informacji, że starszy pan ma nieuleczalnego raka, sprzedało wszystko, kupiło pełnomorski jacht i wyruszyło w podróż dookoła świata, a raczej do miejsca, do którego zdołają i zdążą dotrzeć jeszcze razem. W którymś z portów dostali informację o pomyłce. Pozwali szpital, bo nie mieli już do czego wracać... Zdarza się.

Na sam koniec podziękowania:

Oczywiście psychiatra: doktor Krzysztof Pastuszka – gdyby nie Ty, moja wiedza o chorobach psychicznych wciąż byłaby na poziomie dowcipów o wariatach, nie miałbym również pojęcia, że psychiatrzy też je znają.

Patolog: dzięki, Oktawian, za uświadomienie mi, że o pomyłki w procedurach medycznych takie jak w tej historii wcale nie tak trudno. Nie jest to krzepiąca wiedza...

Sylwia Trojanowska, pisarka: motywacyjne „kopy” od Ciebie zrobiły dla mnie więcej, niż ja sam byłbym w stanie. Albo nie byłbym...

Paweł Baranowski, KMP Szczecin: dzięki za pokazanie mi miejsca, gdzie jak na dłoni widać tętniące życie miasta.

Pracownicy spółki „Tramwaje Szczecińskie”: miło wiedzieć, że słuchacie Stelara w radiu!

Pan Jacek Ring, redagujący historie o Suderze oraz jego spostrzegawcza żona: Wam również dziękuję za ustrzeżenie mnie od niektórych wpadek, zwłaszcza od „złotego strzału”. Za te wpadki, które się zdarzyły, winę ponoszę wyłącznie ja.

Tomek Rędzia: dzięki za użyczenie postaci i personaliów. Zapisales się przez to w dziejach polskiej literatury kryminalnej, tylko jeszcze nie wiem, czy dobrze się zapisales, czy niezbyt... Czytelnicy ocenią. Ja tam komisarza Rędzię polubiłem. Coś czuję, że jeszcze gdzieś się pojawi, co Ty na to?

Pozostali, którzy byli ze mną, doradzali mi, komentowali i krytykowali. To bezcenne, naprawdę.

I moje dziewczyny. Za wsparcie i zrozumienie.

Oraz Wy, którzy czytacie te słowa. Wam, jak zwykle,
dziękuję najbardziej. To wszystko dla Was. Pozdrawiam.

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
***	6
I POLOWANIE	10
1	11
2	35
3	60
4	79
5	130
6	150
7	177
8	211
II GRA	245
9	246
10	272
11	312
12	360
13	388
III OSACZENIE	399
14	400
15	424
16	432
17	463
18	486
19	520
20	537

